

Biblioteka Sejmu Śląskiego

4620

18/5/12

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

1845.

KWIECIEŃ.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA, najregularniej w pierwszym dniu każdego miesiąca, na poczcie dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Ktoby jęj z prenumeratorów pocztowych, nie odbierał w zwykłym czasie, to jest najpóźniej w tydzień po wyjściu, lub odbierał nieopieczetowaną, z kartami rozciętemi, pobrudzonemi, proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jęj koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Senatorskiej pod Nrem 46^o%.“ Wrazie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadość uczynienie, ażeby regularnie nadal każdy poszyt dochodził niezwłocznie we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, wrazie nieodebrania zeszytu należnego, raczył nieodwłocznie o tem redakcyją zawiadomić.

Przedpłata na rok 1845 czyli na rok piąty istnienia pisma:

1 *Przedpłata całkowita*, wynosi na rok złp. 60.

2 *Przedpłata kwartalna*, przyjmuje się za złożeniem złp. 15 na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim poszycie złp. 15 na kwartał następny: — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumerator podpisać winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadość uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumerator pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w królestwie, zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1845, za opłatą roczną w ilości złp. 60 lub *kwartalną*, to jest za złożeniem na raz za *dwa kwartały* złp. 30.

*Nakładem Redakcyi Biblioteki Warszawskiej
wydane, są do nabycia następujące trzy dzieła,
stanowiące pierwszy oddział Biblioteki Zagranic-
znej:*

GUIZOT'A,

dzieje cywilizacyi Europejskiej od upad-
ku cesarstwa Rzymskiego zachodniego
do rewolucyi Francuzkiej, przekład Fe-
lix Bentkowskiego, tomów 2 złp. 10

FRYDERYKA SZYLLERA,

listy o wychowaniu estetycznym czło-
wieka, tudzież rozprawy o wzniosłości,
o sztuce tragicznej, o moralnej korzyści
estetycznych obyczajów złp. 5

BLANQUI'EGO,

ekonomia przemysłowa, kurs z r. 1837
i 1838 wykładany w Konserwatorium
sztuk i rzemiosł, tomów 3 złp. 15

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

4767/18

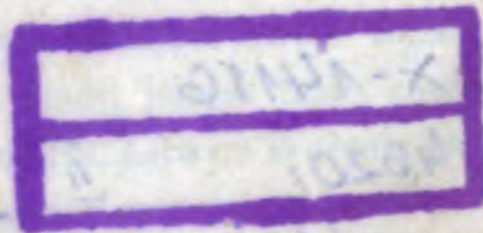
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.

1845.

Tom drugi.



W A R S Z A W A.

**W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Bednarzkiej Nr. 2690.**

1845.

WARSAWA
BIBLIOTEKA

WYDZIAŁ KSIĄŻKOWNI

4620.1845.2

II



30,000,-



X-14116
4620/

II 2.

1845

WARSZAWA
BIBLIOTEKA

POLESIE,

przez

Józefa Sniadeckiego.

Obszerna płaszczyna, między wzgórzami Litwy i Wołynia zamknięta, zupełnie odmienna sobie właściwem położeniem i wejrzeniem, odmianą tą mocno uderzająca oko, ciągnie się wzdłuż od brzegów Dniepru aż do Bugu i nazywa się Polesiem. W gubernii Mińskiej, powiat Ihumeński, Bobrujski, Rzeczycki, Mozyrski i Piński, oraz w znacznej części Słucki, w Grodzieńskiej Kobryńskiego i Brzeskiego część znaczna, stanowią Polesie tak zwane Litewskie. Powiat Radomyński, Owrucki, w części Żyto-miński, Ostrogski, i dalsze pobrażne Litwie Wołynia powiaty, stanowią Polesie Wołyńskie.

Jestto rozległa nizina mająca swoje wyższe i niższe miejsca, pochyłości i spady, jednak mało znaczne i niewielkie (1). Dwa wzgórza, Litwy i Wołynia kraj ten zamykające, ślą na tę nizinę swe źródła i rzeki; Berezina, Oressa, Ptycz wielki i mały, Słucz, Jasiołda i inne pomniejszych, zawsze jednak mniej więcej spławne, wiosną szczególnie, rzeki i rzeczki, wpadają od strony Litwy

(1) Doliny Polesia, zdają się być utworzone długim wystaniem wody, a wzgórza nanosem piasku.

i od stron Wołyńskich Sławeczna, Styr, Horyń, Słucz Wołyński, Uborc, Swicha i inne łączą się z Prypecią i zwiększają jej wody. Prypec jest główną rzeką kraj ten prawie cały wzdłuż przebiegającą; jest ona stron tych królową, której się głównie ruch i życie handlowe i łatwość wszelkiego wybytu należą. Do dziś dnia zdaje się ona bogactwa kraju wysysać, i odleglejszym podawać stronom; może też kiedyś stanie się środkiem ułatwiającym napływ dostatku i pomyślności. W nią Wołyń i bliższe Litwy powiaty, Pińszczyzna i całe Polesie, a nawet i żyzna Ukraina, spławia i śle swych lasów i roli wyroby.

Oprócz tych rzek główniejszych, tysiączne rzeczki i rzeczulki, jak żyły jakie, przeryniają niwy i lasy Polesia, i w różnych kierunkach przez jeziora i rzeki, do nich swe zlewają wody.

Bieg tych rzek i rzeczulek, jest powolny; po większej części błotniste, z tysiącznych nieoczyszczone zawad, za ledwie zda się że płyną; w suche lata najczęściej wysychają, lub bardzo mało mają wody. Sama nawet Prypec znacznie się ścieśnia w korycie, i w wielu miejscach do żeglugi staje się niezdatną.

W ogólności lata suche i zimy bezśnieżne, są na Polesiu wielką klęską dla handlu, a pomyślne dla rolnictwa; sąto prawdziwie lata urodzaju; przeciwnie zaś lata mokre i wielkich wylęwów wody, ożywiają znacznie handel, powiększają ruch i życie na rzekach i wodach, lecz są nieurodzajne, i najżyźniejsze zalévając pola, niszczą porobione na nich zasiéwy. Żyzne pobrzeża rzeki, a szczególniej czarnoziemia Turowa i Dawidgródka, zalane są rozlegle ze wszelkim ozimym posiéwem. W miasteczkach tych po ulicach pływają czólnami, a z wiosek nadrzecznych daleko się muszą wynosić mieszkańcy; opada w ty-

godni kilka woda, i rolnik nasienie i pracę, prócz widoków plonu obfitego, utracą. Częstokroć za powrotem, budowy swe zniszczone, lub znacznie uszkodzone znajduje; szczęśliwy, jeśli wczesne opadnienie wody i oschnienie gruntu, pozwoli na nim zrobić posiew jarzyny. W miarę jednakże ogromu tych rozlewów Prypeci, szkody wyrządzone w porównaniu do rzek innych podobnej wielkości, są bardzo małe i prawie żadne; woda po obszernej rozlana płaszczyźnie, płynie i spada spokojnie, a tracąc siłę w samym rozlewie, prawie żadnych w dnie swoim odmian nie czyni.

Oprócz ułatwiania handlowych stosunków, Prypecć dla Polesia co do rolnictwa, jest prawie drugim Nilem Egiptu; wylęwy jęj znacznie użyźniają przyległe grunta, lecz o tyle tylko, o ile to się dzieje naturalnem ich położeniem; przemysł i sztuka żadnego w tém dotąd nie miały udziału, co jednakże przy staraniu i zasobach, znaczneby przynieść mogło korzyści. Jestto jeden z licznych w tym kraju widoków na przyszłość.

Te nadzwyczajne wód i rzek wylęwy, zupełnie widok kraju odmieniają; tam, gdzie się suchą nogą chodzi w lecie, gdzie prawie kropli wody nie widać lecz wydmy piaszczyste, na wiosnę lub w mokrej jesieni, rzadko przejechać można inaczej jak w czółnie. Szczególniej rzeki Wołyńskie zalęwnęj wody dostarczają Polesiowi i daleko więcej od Litewskich; tysięczne niziny zwolna lub nagle napęlniają się wodą, podnoszą się rzeki i rzęczki, i po całym prawie rozlewają kraju. Prypecć po wyjściu z koryta, wszędz na mil dwie i więcej rozlewa, lecz woda w samém korycie tylko jest bystra i rwiąca, dalej spokojna i cicha, a statki i płyty w braku pomyslnego wiatru, w tym razie wolą płynąć bokami niż rzeką; oprócz tego ogromnego Pry-

peci rozléwu, tysiączne małe rzeczulki wzbierają, a obfite i jedynie Polesiowi właściwe brody, w całej podówczas występują okazałości. Co za szczególny i majestatyczny widok obszernych lasów dębowych zalanych wodą, błot kępiastych w rozległe przemienionych jeziora, z których gdzieniegdzie tylko sterczą wierzb i łoży wierzchołki! Nagłe przybycie wody jest zazwyczaj szkodliwe; ten gość pożądaný ale niespodziany, staje się częstokroć przyczyną utraty sprzętów i dobytku, a nawet śmierci dla ludzi. Przybycie to i wezbranie wody, zwłaszcza w jesieni, mało przynosząc pożytku, więcej zrządza straty i szkody, zalévając wioski i grunta, a szczególnież liczne stogi siana, które lub zupełnie znosi, lub zatapiając, podmacza i psuje. Przeciwnie, wylév wody na wiosnę jest zawsze pożądaný; bo gdy jesienny prócz obfitego ryb połowu, żadnej zresztą nie przynosi korzyści, ten ułatwia spław licznie przygotowanego bliżej lub dalej rzeki towarnego lasu, smoły, wódki i innych produktów, a nadto, użyznia nadrzeczne łąki ługami zwane, i daje obfity zbiór pięknego i jedkiego siana.

Wejrzenie Polesia w ogólności jest smutne; nie sąto wesole położenia Litwy lub Podola, okryte ładnymi gajami, wzgórze zielone, bystre rzeki i strumienie, grunta i łąki żyzne, piękną i świeżą pokryte murawą (1); Polesie jest po większej części piaszczyste, położenia jego leśne mają w sobie cóś smutnego lecz poważnego dla oka i serca, wszelkie drzewo rośnie wysoko i rozłożysto,

(1) Wyjątek stanowią położenia miasta powiatowego Mozyrza; w ogólności górzyste i piękne. Mozyr leży nad rzeką po prawym jej brzegu u spodu gór wysokich nad nim panujących. Położenia około Kimborówki gdzie jest klasztor XX. Cystersów i Cysterek, przypominają Popławy Wileńskie, a widok wielkiej rzeki daje im prawie pierwszeństwo.

wszelka trawa podobnie, najwięcej długa, ostra i gruba. Wogólności w położeniach Poleskich wielka panuje jednostajność; czyto nadrzeczne, czy leśne, czy polne, nie mają one téj różnorożności, która szczególnie oko bawi i właśnie się przez nowość podoba. Kto widział jedno z tych położeń, jedną stronę Polesia, widział już prawie całe Polesie; pod względem rzutu oka, nic mu się odmiennego w całej téj obszernéj nie przedstawi krainie. Położenia nadrzeczne są ładne, obszerne ługi nadprypeckie odwiecznymi pokryte dębami, mile aż do skoszenia zielenieją i kwitną; potem wzgórza posychają od słońca, w nizinach woda, błoto, lub *plusznik*, ślicznie po nich rosnąca rokita, też same ponadsmalane i pokaleczone dęby, mają w sobie coś zasmucającego. Położenia Prypecki o ile zyskują na wyléwie wody, o tyle tracą w latach suchych, kiedy się mało jéj wrzéce znajduje; w najsuchsze jednak lata Prypeć jest piękna, i do pierwszych rzek w kraju naszym liczyć się słusznie powinna.

Klimat Polesia jest umiarkowany, łagodny i zdrowy; a kołtun, ta narodowa nasza choroba, nawet *plica Polonica* w medycynie zwany, chociaż dosyć między ludem a szczególnie w Pińszczyźnie panujący, nie przeszkadza jednak, aby lud jego był mocny i zdrowy. Przy tak ciężkiej pracy jak są wyroby leśne, lud Poleski pędzący większą część życia w lesie lub na wodzie, jest wytrzymały i ładnie zbudowany; kobiety również są urodziwe i ładne, szpeci je tylko częstokroć dziwne i nienajgustowniejsze ubranie głowy.

Podróż odbyta w roku 1829 ponad Prypecią, przez pana Kontryma urzędnika Banku Polskiego, daje wyobrażenie o stanie handlu tego kraju, jego wyrobach i statkach transportowych; opisuje położenie geograficz-

ne, i znacznie z tą stroną którą przejeżdżał, może odleglejszych oznajomić czytelników. Przedmowa wydawcy tego dziełka, p. Edwarda Raczyńskiego, któremu się tyle za uczone jego prace wdzięczności od rodaków należy, staje mi się niejako zachętą, abym ile mi znajomość miejsca pozwoli, opis stron Poleskich przez p. Kontryma skрэślony, choć w części uzupełnił. Zdaje mi się, że kraj ten dla handlu stworzony, niedosyć jest opisać w stanie w jakim się znajdował lub dziś znajduje. Polesie bowiem pod względem gospodarstwa rolnego i leśnego, a nawet handlu przewozowego, jest prawie w dzieciństwie, jest prawie w pierwiastkowym stanie natury, z którego bogactw, ręka ludzka stara się jak najwięcej ciągnąć korzyści; lecz daleko jest od punktu doskonałości do którego dojść może i dojdzie, gdy też sama ręka przy ojcowskiej pomocy rządu, a możliwości, nakładach i staraniu właścicieli ziemskich, powiększy handel i granice jego rozszerzy, rozmnoży ludność i zasoby, osuszy błota i niziny, a obfite i żyzne grunta, odwieczny pokład roślinny mające, zpod okrywających je dziś lasów odkryje i wyrobi. Kiedy się do tego dołączy przemysł i sztuka, odmieni to widok kraju, i uzupełni jego wysokie przeznaczenie nietylko w gospodarstwie i handlu, lecz nawet ogólne bogactwo bliżej mu przyległych i odleglejszych kraju Słowian prowincyj, znacznie powiększy i pomnoży.

Pan Kontrym w dziełku swoim chciał uszczuplić obszerność Polesia, zamykając je niejako w samej Pińszczyźnie i posuwając ponad rzeką ku Mozyrowi. Ja zaś kraj cały, różny od właściwej Litwy i Wołynia, nietylko z wejrzenia, lecz gatunkiem pokładów ziemi, rostem drzewa i trawy, biegiem wód odmienny, gdzie

ubiór ludu i jego budowa odmienna, uprząż wołowa, gdzie zamiast słomianych, dachy włościan są deskami lub czerotem kryte; całą rozległą nizino-płaszczyznę, tyśiącem błot i błotek, rzék i rzeczulek przerzniętą, licznemi jeziorami pokrytą, gdzie lasy i puszcze obszerne, wyjąwszy jedynie porę zbiorów i posiewów polnych, rok prawie cały brzmią odgłosem niszczącego topora, ciągle się rąbią, smolą i palą, napelnione liczną z wiosek ludnością dniejącą i nocującą w tak nazwanych kureniach (1), gdzie błyszczą ognie idących pieców smołowych, gdzie się jeszcze obficie las towarowy znajduje, gdzie się choć nędzne i w małej ilości wyrabia żelazo, gdzie się trzyma zwierz rozmaity, rzadki lub nieznanym w dalszej Europie, a tak już dziś wyniszczony, niewinny bóbr, jeszcze ochronił się od zupełnego zaginięcia; cały kraj ten liczę i zajmuję, jak się właściwie należy, do Polesia. Proszę jednakże czytelników o pobłażanie, proszę także, aby nas Poleszuków nie chcieli za odrębną klasę ludzi uważać, do których się ani oświata, ani stopniowe nie wcisnęły ulepszenia; aby ziemi Poleskiej za niewdzięczną i niekorzystną dla rolnictwa nie mieli, aby te głuche lasy i błota które ją pokrywają, nie były za nic wazone i pozbawione wartości, dlatego jedynie, iż ta jest ukryta, tak jak ładne ryby w wodach, któremi się szczyli Polesie. Dodatek ten dlatego mi się zdaje potrzebnym, iż wiem, jak mało te strony są dotąd znane, i jak fałszywe częstokroć mamy o nich wyobrażenie. Polesie, podziela los skromnego mieszkańca głuchego

(1) Kureń nazywa się na Polesiu szalas mały z desek lub drani zrobiony, gdzie się w środku zawsze pali ogień, a po brzegach śpią ludzie, których to pokrycie z desek od deszczu i śniegu osłania, ogień ogrzewa.

ustronia, milczy ono, lecz położenie jego korzystne, i ukryte wniem bogate dary opatrności, głośno za niem przemawiają.

Rolnictwo, handel, wyroby leśne i inne.

Dawniej rolnictwo na Polesiu było w bardzo nędznym stanie, folwarki i wsie najczęściej na prawie lejących wydmach piasku zbudowane, otoczone lasami, błotami i brodami, niewiele liczyły pognojów, a miały zazwyczaj odległe po lasach i między błotami porozrzucane pola, na których chociaż się wiele wysiewało, jednak mało zbierało. I dwory i wsie wysilały się najwięcej na wytrzebianie pasiek i to jedynie na miejscach wyższych, gdzie las wycięty i spalony, popiołem użyźniał na lat kilka piaski, poczem pola te znowu na las zapuszczano. Włościanie do dziś dnia prawie tego się trybu gospodarowania trzymają. Dzisiaj są jeszcze dworne i włościańskie pola prostopolnemi zwane, na których się jedynie żyto i gryka sieją; zazwyczaj odległe i obszerne, które się co lat trzy lub cztery z kolei obsiewają, a dla oddalenia nigdy nie nawożą. Pola te ugorując, pięknie rozmaitem zarastają zieleń; najobfitszą jest dziewanna. Uprawa tych pól z natury piaszczystych, jest bardzo lekka; raz się tylko orzą, to jest sieje się pod sochę, a prawie nigdy nie bronują (1). Piaski te jednakże, na pozór tak mało obiecujące, dosyć są urodzajne; żyto i gryka rosna na nich bujnie, czysto i bez trawy, kłos bujny choć słoma nędzna, i chociaż użytek niewielki, wymłot jednak bywa bardzo dobry, bo na Polesiu kopa żyta, daje pięćdziesiąt

(1) Dlatego powiadają, że na Polesiu wiatr bronuje.

jeden, a najmniej trzydzieci ośm garncy ziarna pięknego i wazkiego. Ta ich rodzajność, zależy od nizkiego położenia, przez co się zawsze mniej więcej zasilają wilgocią, a wyleżenie się i wypocznienie ziemi, wiele także pomaga (1).

Głównym płodem rolniczym jest żyto, a dziś także kartofle i wódka, na którą się wszystko zboże od konsumcyi miejscowój zbywające, przepędza. Z jarzyny sieją owsy, jęczmiona, orkisz, lny, prosa, grochy, i gryki; najlepiej się one udają na ługach; na poletkach zaś dwornych, jeśli są natury piaszczystej, a takich jest najwięcej, zwłaszcza w lata suche, chybają; tym bardziej, że żyto i kartofle zawsze lepiej ugnojone zajmują grunta. Gospodarstwo rolne w ciągu lat ostatnich, szczególniej wiele zrobiło postępu; browary się rozmnożyły, przez co poletki dworne, wiele na uprawie i ugnojeniu zyskały; uwaga zwróconą została na wybór gruntów uprawie właściwych; przekonano się o potrzebie rowów i spadów osuszających; dawne piaski w wielu miejscach zapuszczono, a na ich miejsce zdatniejsze wydobyto grunta. Młockarnie i sieczkarnie dosyć się upowszechniły; zaczęto od *czuhunnych* i Ewansa, a skończono na drewnianych. Uprawa kartofli jest prawie powszechną i na wielką skalę; traci na tém trochę żyto a najwięcej jarzyna, lecz gdy wybyt wódki jest łatwiejszy, strata ta jest raczej korzyścią. Postęp rolnictwa byłby jeszcze znaczniejszy, gdyby wyroby leśne od roli nie odrywały potrzebnego robotnika. Położenie Polesia jest takie, że gdyby ludność jego mogła być potrojoną, zawszeby dla niej znalazło się zajęcie, a zajęcie

(1) Ta rodzajność piasków Poleskich, dziwnie uderza tych, którzy znają nieurodzaj nadbrzeżów piaszczystych Wilii i Niemna, jak to jest koło Kurzeńca i Wilejki, lub koło Merezca.

korzystne, gdyż przy wyrobach leśnych, nawet za gotowe pieniądze najmowany robotnik, gdyby go tylko znaleźć można było, zawszeby się sownie opłacił. Szczególniej jest uderzającym i zasługującym na pochwałę gospodarstwo pana Łappy, zamożnego obywatela w Bobrujskim powiecie.

W stosunku do obszaru ziemi zbyt mała ludność, nigdy nie mogła spożyć owoców pracy, i dlatego dawniej rolnictwo było prawie żadne, a cena majątków niska. Zasięwano tylko tyle, ile potrzebowała miejscowa konsumpcja, a w razie nieurodzaju, dostawano z sąsiedztwa, lub głód cierpiano. Później znalazł się handel i odbył do Krzemieńczuka, i na morze Czarne; zelektryzowały się umysły, i nieodłączny od handlu duch spekulacji powstał. Znalazło się gospodarstwo ziemne spekulacyjne, handel spekulacyjny, i przemysł spekulacyjny. Ten wzrost spekulacji, znacznie postać Polesia odmienił, i wiele na przyszłość nowych obiecuje odmian. Cena majątków urosła, i ciężko jest nawet znaleźć majątek do kupienia.

Dzisiaj każdy majątek ma browar; często nawet nad miarę, wódki się przepędza wiele, więcej daleko niż jej ludność miejscowa wypić może; a ta zbywająca jej ilość, posyła się do Krzemieńczuka, i cena jej zazwyczaj się reguluje do ceny tam istniejącej. Browar to dzisiaj podstawa naszego wiejskiego gospodarstwa, bo gdzieżby się znalazł kupiec na zboże, szczególnie w lata urodzaju, a tym bardziej na kartofle, których zbiory są znaczne; a nadto nawóz pozostały, i sprzedana braha którą się karmią woły, zasila rolnictwo, i grosz gotowy przynosi. Grosz ten zawsze ciężko przychodzi, bo częstokroć i wódkę za bezcen oddać potrzeba i stracić kufy, które zwykle darmo bierze kupiec.

Polesie nie zna cen umiarkowanych. Płody jego rolnicze są lub bardzo tanie i prawie za nic, lub nadzwyczaj drogie. Do mniejszej lub większej wody, to jest, do mniejszego lub większego jej rozléwu, zwykle się reguluje urodzaj ziemny i ceny zboża. Gdy w latach wielkich rozléwów, znaczna część posiewów lub pod wodą ginie, lub dla zbytku wilgoci wymaka; gdy nadzwyczajne susze zniszczą je na miejscach podniosłych, piaszczystych, wówczas pud żyta, od dwudziestu pięciu groszy lub złotego, nagle się do czterech i pięciu złotych podnosi; wiadro (1) wódki od pięćdziesięciu groszy lub dwóch złotych, dochodzi do rubla i ośmiu złotych. A nadto blizkie sąsiedztwo Ukrainy i Wołynia, przyczynia się wiele do nadzwyczajnej trudności wybycia zboża. Położenie właścicieli gruntowych byłoby często bardzo krytyczne, bo ceny są prawie żadne, niewracające kosztów produkcji, i brak zupełny kupujących. Lecz Opatrzność to upośledzenie sowiec wynadgrodziła Polesiowi, najprzód w lasach i spławnych rzekach, a powtóre w obszarach ziemi, chociaż na pozór niewiele obiecującej, jednakże rodzącej szczególniej żyto. Ziemia Poleska bowiem, chociaż w wielu miejscach zdalna jest do posiewów pszennych, jednakże mało pszenicy sieją, gdy sprowadzoną z Wołynia i Ukrainy, za bardzo niską sprzedają cenę.

Rodzaj gospodarstwa ziemnego jest powszechnie trzypolowy, na Polesiu bowiem o siano i wypasy nietrudno; na prostopolach zaś czteropolny. Żyto i kartofle przepędzają się na wódkę; owies zazwyczaj małej ceny, od rubla do dwóch najwięcej za beczkę dochodzi. W lata suche wszystkie wyższe miejsca ługów nad Prypecią i innemi

(1) Wiadro ma cztery garnce miary rządowej, zwykle Warszawskiemu zwanym.

rzekami w nią wpadającemi, uprawiają, sieją na nich po jedno-razowém zoraniu, jarzyny i żyto, które na tych użyźnionych napływem wody miejscach, bujnie rosną i obficie rodzą. Gryka szczególniej się udaje na Polesiu; uprawiają także włościanie gatunek prosa ber zwany; sieją go na polankach po lasach gdzie się najlepiej udaje; kaszę daje prawie delikatniejszą od jagły. Manny, kaszy również dobrej i smacznej, wiele zbierają na błotach.

W ogólności prawie pobraża Prypeci mają gatunek ziemi szarej jęczmiennój, a częstokroć i czarnoziem; odległej od niej leżące majątki, mają grunta najczęściej piaszczyste. Położenia nad Dnieprem w powiecie Rzeczyckim przy swój piękności, mają i dobrą ziemię. Okolice Mozycza, i majątki o mil kilka wokoło, mają ziemię bardzo dobrą jęczmienną; nawóz na niej trwa dosyć długo, i wszelkie zboże, nawet pszenicę siać można. W ogólności brzeg Prypeci od strony Wołynia, ma grunta lepsze, a samo Wołyńskie Polesie ma bardzo dobrą ziemię; najbardziej zaś piaszczyste jest Litewskie, jednakże w lata dobre, urodzaje są wielkie, i zapasy zboża znaczne.

Nie można powiedzieć, żeby całe Polesie było piaszczyste; różne rodzaje ziemi przeryniają je warstwami; w miejscach piaszczystych glina jest bardzo rzadką, a kamień prawie nieznan; na gruntach twardszych pokłady gliny są znaczne i kamień dosyć obfity, lasy wyniosłe rosną na ziemi najczęściej gliniastej lub mającej bardzo blisko pokład gliny; na piasku zaś czystym rośnie i las mizerny.

Siano, artykuł tak ważny w gospodarstwie, jest bardzo obfite i dobre; ługi czyli łąki nad rzeką położone, użyźnione i odwilżone wylęwem wody, dają najpyszniejsze

siano, z ziół różnych i kwiatów złożone, aromatyczne, i bardzo lubione od bydła i koni; rosną one tak bujno i obficie, że prawie wszystkich w dobre lata wykosić nie można; lecz w lata suche i małej wody, chybają, i zaledwie na miejscach niższych połowę lub czwartą część siana i nie tak dobrego mieć można. Drugi gatunek jest siano dąbrowne, które rośnie po pięknych zielonych dąbrownych lasach, i od ługowego jest mniej dobre, więcej do zbioru potrzebuje robotnika, a często i dowózka jego jest daleka. Majątki położone dalej od rzeki, mają także łąki blizkie, porzniete rowami, na których rośnie trawa miérogiem zwana, lub błotna poprawna, bardzo dobra dla koni i bydła. Siano ługowe i błotne w Pińszczyźnie, na wejrzeńie raczej do chwastu podobne, w dobroci istotnie mało ustępuje innym gatunkom siana, a szczególnie dobre jest dla bydła. Nakoniec obszerne błota, nigdy prawie w majątkach, gdzie są ługi niekoszone, w razie potrzeby zawczasu z wiosny wypalone lub choć raz skoszone, dają siano mniej jedkie i dobre, jednakże lubione dosyć od bydła; doświadczoną jest rzeczą, że ciągle tych błot koszenie, znacznie je poprawia, i gatunki traw na nich rosnące odmienia. Obfitość łąk tych jest tak wielka, tak rozległa, że smutno jest patrzeć, jak wiele tego daru opatrności, marnieje i ginie naprózno. Co bliższego i lepszego, to się tylko spożywa; odleglejsze miejsca stoją nigdy kosą nietknięte, a jednakże ileżto w nich wartości prawdziwej i drogo cenionej gdzieindziej, naprózno przepada! Jakież z nichby można wyciągać pożytki! Lecz do tego trzeba siły, której Polesie nie ma; ludność jego ogromowi robót zaledwie wystarczyć może i nie wystarcza; przemysł i siła dzisiejsza, skierowane są jedynie do wyrobów leśnych. Chłopek za-

jęty robotą we dworze, a dotego i leniwy, ciśnie się najchętniej do uprawy piasków jako najlżejszój, i kosi trawy poblizsze, wybierając z nich co najlepsze. Dwory zajęte wyrobami leśnemi, nie mają dosyć rąk, by z innych źródeł ciągnąć dochody; przez co źródła te, tak obfite, w zaniedbaniu zupełném zostają.

Tak wielka obfitość łąk i wypasów rozmaitych, sprzyja nadzwyczaj chowowi bydła; tego gatunek od Litewskiego roślejszy, a mniejszy od Ukraińskiego, pod nazwaniem Poleskiego znajomy, mocny i niewymyślny, po większej części siwy; woły do pracy i karmu najlepsze, lecz krowy mniej dobre na mléko, najczęściej po zarznięciu cielęcia, doić się nie dają. Chów tego bydła jest dosyć znaczny, wszystko mu sprzyja prócz licznych gatunków owadów w porze wiosennej i letniej, a szczególnie tak zwanój meszki i bąków (1). Liczne jarmarki i targi na bydło po miasteczkach Poleskich, kilka razy w rok przypadające, na których po kilka i więcej tysięcy bydła bywa na sprzedaż, są jedną z głównych przyczyn, tak częstego na Polesiu upadku bydła; gdyż woły siwe ze stepów Ukrainy, tak zwaną dzumę bydłecą czyli tyfus przynoszą. Zaraźliwa ta i niszcząca choroba, nie jest tak straszną dla bydła stepowego, które z niej łatwo wychodzi, lecz dla bydła Poleskiego jest prawie zawsze śmiertelną. Szerzy ona nadzwyczajną śmiertelność w licznych trzo-

(1) Panowanie to owadów nazywają *zajedzią*; liczą się w to bąki, komary i meszka. Małe te muszki są najnieznośniejsze; kolumny niezliczone, piramidalne téj meszki, zawsze w bliskości wody lub nad wodą stojące, napadają szczególnie na bydło. Owad ten nieznośny włazi mu w nozdrza, uszy i oczy, ciśnie się pod sierć do skóry i mocno gryzie; a napchany w nozdrza i uszy, na śmierć zabija, jeśli prędki ratunek, zależący na nacieraniu lodem, dany nie będzie.

dach pokrywających wsie i pastwiska, i wyniszcza je prawie zupełnie, uboży włościan ogałając ich z głównego bogactwa, i wielkie straty gospodarstwu rolnemu przynosi. Jestto jedna z największych klęsk gospodarskich, która tak często nawiedza Polesie, będące głównym targiem na bydło i woły dla całej Litwy. W lata suche, napój błotny i niezdrowy z półwyschłych błot i jezior, wprowadza karbunkuł, lecz choroba ta nie jest tak niszczącą i śmiertelną jak tyfus, i wczesne środki zaradcze, robią ją mniej straszną. Te upadki bydła tym się więcej czuć dają, że cały sprzężaj włościański i dworny, jest wołowy, chłopci bardzo mało i prawie zupełnie nie trzymają koni (2). Wół poczciwy, całą wiosnę wozi przypasy drewniane, do splawu i spłycenia smoły i lasu towarowego potrzebne; orze, bronuje, gnoje wywozi, w lecie zwozi siano i zboże do stodół lub stert i stogów; w jesieni za ledwo żyto odsiane, i rola na zimę zorana, aliści musi iść w lasy, zwozić rozrzucone po różnych miejscach łuczywa do pieców smolanych; w zimie wozi drwa na opał, i wszelki las towarowy na brzegi rzek splawnych wyciąga. To prawdziwie pracowite stworzenie, na lichęj przestające karmi, więcej niż gdziekolwiek, przynosi na Polesiu właścicielowi swemu korzyści; a jeśli w tej ciężkiej i ciągłej pracy nie padnie, lub się nie zerwie, bywa potem stawiane na brahę i za dobrą sprzeda się cenę. Te tak ważne usługi wołu, jego spokojność i siła, jako też i daleko tańsze od konia utrzymanie, dało mu na Polesiu pierwszeństwo; gdy prócz tych zalet, wszelkie błota i brody przebywa on śmieliej i pewniej od konia, w pia-

(2) W Dawidgródku, Jurowie, Petrykowie i innych miasteczkach, mieszczanie trudniący się handlem, najwięcej przewozowym, soli, trzymają dużo i dobrych koni.

skach nie tak prędko przystaje, a uprzykrzanie się owadów cierpliwiej znosi. Zaprząż jego, również niewymyślna, z samego jarzma drewnianego się składa, i dlatego nie tylko włościanie, lecz i dwory, w pomoc włości, liczne sprzężaje utrzymują wołów. Tylu wygodom i łatwościom hojnie zlanym przez naturę, chów bydła na Polesiu nie odpowiada przyzwoicie, i nie jest wcale spekulacyjnym; zamiast poprawiania i rozmnażania gatunków miejscowych, najwięcej wołów do roboty i na brahę sprowadza się z Ukrainy. Do chówu koni, na wielką nawet skalę, wszystko tu sprzyja; liczne ich stada mogłyby wraz z sarnami bujać swobodnie po łągach przez lato, a w zimie pewnieby im nie zabrakło pokarmu, lecz dotąd bogatsi właściciele, sprowadzają konie z Berdyczewa i Kowna; kmiotek ich wcale nie trzyma, a o tém żeby jakie stado było, wcale nie słyhać. Świnie mają tu wszelką wygodę; obfitość dębów i żołądzi sprawia, że utrzymanie ich mniej jak gdziekolwiek kosztuje. Stada świń, w lecie rozproszone po lasach, pod zimę zbierają się i wracają do wiosek, częstokroć się mieszają z dzikimi, niekiedy przy nich zostają, a często i dzikie do domów przychodzą (1). Przeciwnie owcom, samo położenie nie sprzyja, chów poprawnych jest bardzo mały i prawie żaden, prostych zaś chowa się w miarę potrzeby miejscowej, i te często motylca wyniszcza. W okolicach jednak za Pińskiem i w miejscach Polesia Wołyńskiego wyższych, już ku granicom właściwego Polesia, dużo chowają owiec poprawnych.

Panującą częstokroć bezcenność na zboża i wódkę, wynagradzają, jak powiedziałem wyżej, ceny produktów

(1) Raz na polowaniu w stadzie świń dzikich, które są zazwyczaj ciemno-szare, zdarzyło mi się widzieć jedną białą maciorę zapewne z domowych.

leśnych, które są zawsze chciwie poszukiwane. Smoła mianowicie, zawsze bogata w kupujących, zawsze ma ochotników i kupców rzadkich, którzy rokiem naprzód, gotowi z góry opłacić całą za nią wypadającą sumę. Handel Poleskich leśnych produktów, aż dotychczas prawie wyłącznie w ręku żydów Pińskich i innych miasteczek zostawał; mały w nim udział brali niekiedy mieszczanie Dawidgródka, Petrykowa lub Czarnobyła, którzy znaczne porobili fundusze. Zaczynali oni handlować żórawinami, grzybami, miodem, i innemi suszonymi jagodami; przechodzili potem do soli, a nakoniec do smoły, bajdaków i kłód towarowych, i wtenczas nie byli to już małej ręki handlarze, lecz kupcy kapitaliści. Biędny żydek zaczął najprzód skupować skórki lisie, wydrze, z kolei postąpił do bóbrowych i bóbrów, miodu, grzybów, i ryby, potem kupił barkę lub bajdak, handlował solą, smołą i dziegciem, a nakoniec pędził bogate płyty do Chersonu lub Memla. Oto są koleje zwyczajne, któremi handel z bogaca. Brak zupełny kapitałów i kredytu, brak ducha stowarzyszeń, trzymał w odrętwieniu klasę właścicieli ziemskich, co wszystkie te bogactwa mając w swém ręku, za niską je zbywali cenę, wówczas, kiedy kilka dni drogi w dół wodą, znacznie tych towarów powiększało wartość, a transport aż do progów Dnieprowskich, żadnym nie ulega niebezpieczeństwom i wcale niewielkie pociąga koszta. Pierwsza kompania handlowa obywatelska, zawiązała się w Pińsku, pod firmą s. p. Marszałka Twardowskiego, byłego rektora Wileńskiego uniwersytetu, która się bodaj równo ze śmiercią tego męża zamknęła, i której nienajlepiej się powodziło. Drugim domem handlowym obywatelskim, dziś istnieją-

cym pomyslnie na Polesiu, jest dom panów Horwattów braci i szwagra ich pana Hieronima Kieniewicza. Majętni ci i światli obywatele, zaczęli handel na skalę mniej wielką, jednakże dość znaczną bo od 40,000 rubli srebrem, dzisiaj miéwają corocznie tysiące beczek smoły, tysiące wiader wódki na targach w Krzemieńczuku, tysiące sążni dREW różNYch w Kijowie i dalej, a w Ekaterynosławiu i Chersonie, po kilkanaście tysięcy kłód sosnowych towarNYch, po kilka i kilkanaście barek z *nahruzem*. Liczne ich bajdaki naładowane solą, przebiegają Dniepr i Prypeć aż do Pińska, a targi Petersburgskie, dostają u nich corocznie najmniej parę tysięcy sztuk wołów siwych Ukraińskich piérwszego numeru. Ustalenie się tak znacznego domu handlowego, zaszkodziło wprawdzie kupcom pomniejszych, lecz zaprowadziło pewność w wybyciu, spokojność w opłatach, i sprawiedliwość w cenach.

Dawniej handel lasu na Polesiu był bardzo mały, i cały zwrócony do portów Bałtyckiego morza. Litwa obfitowała jeszcze w piękne towarne lasy; ubieganie się zatem kupców było tu mniejsze, dla trudnego pod wodę transportu. Lasy Wołynia i Polesia, dostarczały tylko co najstarszego drzewa sosnowego, jako masztów i *brusów*, i kłód i brusów dębowych *wanczosami* zwanych. Potaż, którego ceny podówczas były wysokie, gdyż szyfunt, pięćset funtów, płacono po pięćdziesiąt i więcej czerwonych złotych, wyrabiał się w znacznej obfitości; najwięcej wyrabiano potażu korytnym zwanego, a to z drobnego lasu jako leszczynniku, osiny, łązy i t. p. a ciemne czarnego lasu ostępy stały nietknięte, i w swój pierwiastkowej całości, do późniejszych się przechowały czasów: handel na morze Czarne był mało znany, przez co lasy sosnowe stały prawie nietknięte. Pamięta jeszcze

i opowiada lud Poleski tę całość odwiecznego lasu, ten jego zachwycający ogrom. Sosny niebotyczne stały jak świece wzniosłe jedne przy drugich, a wierzchołki ich związane, zastaniały widok nieba; las taki jest dziś nieznanym na Polesiu, a szczególnie w położeniach bliższych rzeki, i istnieje on tylko w podaniu.

Do wypalania popiołów na potaż, była użyta klasa ludzi budnikami zwana, a to dlatego, że miejsca gdzie robiono potaż, przyjmowano i zsypano popioły, z całym potrzebnym do tego zabudowaniem, nazywano budami. Budy były stawiane na ługach nad Prypecią, gęsto dębem i młodym zielonym lasem porosłych. Obowiązkiem budników było wypalać popioły i te do budy stawiać, gdzie je pod miarą zwaną cebrami, przeznaczony do tego oficyant lub ataman, to jest majster potażowy, przyjmował. Potaż wcześniej zakontraktowany, dostawiony był zimą do stołpców; a z tamąd szedł Niemnem za granicę. Później gdy się potaż korytny mniej stał w handlu potrzebnym, a lasy ługowe nadprypeckie znacznie zmniejszyły, zaczęto wyrabiać potaż fasowym zwany. Budy majstrów i budników, zaczęto przenosić w najciemniejsze i najcalsze czarnego lasu ostępy. Niedozór i niedbałość o utrzymanie należnego w rąbaniu i paleniu drzewa porządku, wrodzona ludowi naszemu marnotrawność bogactw natury, wkrótce z głuchych ostępów zrobiły obszerne pola i pasieki, smutne prawdziwie dla patrzącego oka pustynie.

Budy potażowe są początkiem i główną przyczyną zniszczenia lasów na Polesiu. Budnik osiadający w najciemniejszych lasach, sam siedział w lichój chacie, a zwał, psuł i palił co najpiękniejsze dęby, klony, jesiony, wiązy i graby, marnotrawił te nagromadzone wiekami

bogactwa, z dziwnym można powiedzieć niszczenia talentem. Budnik na Polesiu jest podług mnie wygórowanym punktem mądrości w niszczeniu lasu, i zwierzyny. Zaledwie gdzieś stanęła buda potażowa, aliści w lat kilka, zaledwie znak lasu pozostał; leżały i gnily jedne na drugich powalone najpiękniejsze drzewa odarte z kory, innych stały smutne szkielety. Trzeba być na miejscu i widzieć to nadzwyczajne zniszczenie, by uwierzyć, by je pojąć można; nadto, co najgrubsze towarne sosny, ścinali parobcy przeznaczeni do dostawki dREW dla budy; palił się tam wieczny ogień jak w piekle, a ogromne *horza*, pożerały w całości co najgrubsze kłody sosnowe. Gdy tym sposobem w jednem miejscu buda potażowa odbyła swoją powinność, gdy nie stało lasu starego i zdatnego, przenoszono ją z całym przyborem w punkt nowy, aby tam, co umieć, pokazała. Buda potażowa składała się głównie z trzech budowli większych, to jest: składu na popioły, kadowni w której się popiół dla oddzielenia z niego potażu w kadkach wymaczał; i hartownic, gdzie były wmurowane duże kotły miedziane *burdakami* zwane, szerokie a dosyć płytkie i mało wklęsłe, w których się potaż wywarzał, i z pieca hartownego, gdzie się suszył i do stanu właściwego w jakim szedł w handel, przez wypalanie doprowadzał; po wyjściu z pieca układał się i ubijał mocno w ogromne sosnowe beczki fasami zwane, i szczelnie z wiérzchu zabijał. Zakłady te fabryk potażu, wymagały nakładu dość znaczego na miedź i inne naczynia, dużo robotnika i uprząży, zdatnych do wypalenia popiołu budników i dobrego majstra, o których było najtrudniej; i z tego powodu budy w większych tylko majątkach istnieć mogły, i tym sposobem las w wielu miejscach ocalał.

Drugim rodzajem dochodu, były rudnie żelazne; tych ślady dziś w wielu miejscach jeśli nie w naturze, to w nazwaniu istnieją; pełno wiosek i wioseczek dzisiejszych nosi nazwiska rudeń, a gdzie tylko bystrzejsza rzeczka i nieco większy stawek, tam się dają ślady ich istnienia spostrzegać. Ruda błotna jest bardzo obfitą na Polesiu; tworzy ona spodnią warstwę błot łąk i błotek; wiele rzeczulek płynących w lasach znacznie w nią obfituje; ta się nazywa rzeczna i jest w gatunku lepszą od błotnej, najlepszą zaś jest górna, i takiej znaczne pokłady znajdują się w Owrzeckim powiecie, a mianowicie w dobrach Sławecznej, dawniej zamożnego domu Potockich, a dziś półkownika Czudowskiego własności. Wyrabiano i wyrabiają w nich sztabiki żelaza, *torzniki* czyli narogi do soch i pługów, i to jest główny produkt rudeń Poleskich. W ogólności rudnie upadły, i zaledwie gdzieniegdzie dzisiaj i to w nędznym stanie się znajdują. Brak ludzi zdalnych i oзнакомиomych z tym przedmiotem, brak ducha przedsiębiorczego i kapitałów, a takież i stan niemowłęcy przemysłu, zostawiają w zupełnym zaniedbaniu ten rodzaj dochodu przemysłowego, którego nie wątpię, iżby można wskrzesić ze znaczną korzyścią. Rudnie składały się zazwyczaj z pieca do wytapiania i czyszczenia rudy, z młotów, kowadeł i miecha; chodzili około tego tak zwani rudnicy, których obowiązkiem było kopać, dostawiać i przetapiać rudę, palić węgle, oraz materiał rudny na żelazo i narogi przerabiać. Były one najczęściej żydów spekulacją, i w wielu miejscach do arend propinacyjnych należały; co zda się być jedną z przyczyn ich upadku i stagnacyi, a rzadko sami rudnicy na siebie je arendowali.

Fabryki szklanych wyrobów, mogły również być korzystnymi na Polesiu, lecz tych jest bardzo mało, a najslawniejsza z nich, chociaż bardzo mierna, jest w miasteczku Urzeczu, majętności po-Radziwiłłowskiéj.

I wyniszczenie lasów czarnych i upadek zupełny potażu, gdy dziś zaledwo dwanaście rubli sreb. za szyfunt mieć można, są przyczyną, że budy potażowe zamknięte zostały, a wyrób potażu zupełnie zaniechany. Budnicy, których powszechnie mazurami nazywają, dlatego że początkowie z Mazowsza przybyli, a któremi Polesie i Wołyńskie i Litewskie jest znacznie osiedlone, obrócenie zostali do wyrobu klepki. Sąto ludzie po większej części wolni, przenoszący się z miejsca na miejsce podług tego, jak się gdzie las zdatny do ich roboty znajduje. Żyjąc oni po lat kilkanaście i więcej na jedném miejscu, zadłużają się często dziedzicom, a sprowadzający ich do swego majątku, muszą te długi za nich opłacać i odzyskiwać je później robotą. Dzisiaj, gdy się i materyał na klepkę już zaczął przebiérać, za mierną opłatę najmują się oni i do kopania łuczywa.

Produktem dawniej obficie wyrabianym, który dziś smole miejsca ustąpić musiał, jest dziegieć. Cena jego dochodziła dawniej do 25ciu dukatów za beczkę arszynówkę od 54ch wiader; dziś spadła ona na dukatów dziesięć, tak dalece, że na małą nawet ilość jeśli się gdzie wyrobi, z ciężkością kupca mieć można. Używał się dziegieć w marynarce i do wyprawy skór różnych; dzisiaj smoła zwyczajna kupiecka przerabia się na tak zwany *pik*, tojest wygotowuje się w kotłach, a w téj operacyi, oddziela się z niéj tran tłusty, który w marynarce miejsce dziegciu zastępuje; smoła zaś po odejściu jego pozostała, zsiadła i gęsta, ma również swoje użycie. Dziegieć wy-

rabia się z kory drzewa brzozowego nazywanéj brzostem; w porze wiosennéj, gdy kora ta odstając od miazgi, najlepiej drząc się daje, wybierano parobków którzy stawali w lasach na to zdatnych, tak nazwanym majdanem; na tym majdanie i ludzie i woły, użyci do darcia, zwożenia i układania brzostu, bawili ciągle aż do połowy czerwca, w której wracali na sianokos do domu: brzost był układany do pieca podobnego temu jaki się do wyrobu smoły używa, i podobnym sposobem ułożony i obsypany z wierzchu ziemią i próchnem, był przez atamana czyli majstra zapalany; tlał wolnym ogniem, a do urządzonego pod piecem naczynia, spływał dziegieć. Operacya ta, czyli palenie się, stosownie do wielkości pieca, trwało trzy do czterech tygodni. Wyrób dziegiu wielką zadawał kłeskę brzozom, gdyż pomimo pilności i zakazu, aby drzewa z pnia nie walono lecz stojące uważnie obdziéranno, rzadko się to wypełniało. Rzecz zastanawiająca, iż drzewo brzozowe tym sposobem ostrożnie z kory odarte, chociaż chorowało i mocno przez to cierpiało, siła jednakże jego żywotna, przewyciężywszy cierpienie, nową w lat kilka produkowała korę, która nawet co do wartości, za lepszą się od piérszéj uważa; gdyż brzost ten daleko jest lepszy na wychód, to jest, że stosunkowo większą ilość i lepszego wydaje dziegiu.

Towarem, który dziś wszelki rodzaj przemysłu na Polesiu zabija, jest smoła. Użyty do niéj robotnik, najkorzystniéj się opłaca; od wszystkich kupców pożądana, z góry, z pełną ufnością i szczególném współubieganiem się, kupowaną i opłacaną bywa. Niezbyt dawno jeszcze, zachowywano miarę w jéj wyrabianiu, a przynajmniej majątki sławniejsze z tego wyrobu, miary téj nieprzesadzały. W wielu majątkach wcale jéj nie robiono, lub bardzo

niewiele, a nawet wynajmowano jój wyrób postronnym za opłatą niewielkiej pniowszczyzny. Ostatniemi laty tak była wielka jój potrzeba, tak wielka o nią konkurencya, że cena beczki arszynówki (od 54 wiader) prawie się we dwoje podniosła; piérwój płacono ją po dziesięć lub dwanaście rubli srebrem, a potém po ośmnaście i dwadzieścia jeden na miejscu. To było przyczyną, że się ogólnie do jój robienia rzucono, gdzie tylko był las lub ślad lasu sosnowego, i to się znowu stało przyczyną, że cena jój nanowo spadać poczęła. Często rąbano na nią co najstarsze sosny, odcinając na łuczywo jedynie część smolną od *komla*, resztę zaś drzewa zostawiano marnieniu i gniciu; dzisiaj zwrócona jest na to większa uwaga, a robotnik nie może zwać drzewa stojącego, lecz tylko pnie stare wykopuje. Przy ogólném wyniszczeniu lasów i drzewa zdatnego, wyrób smoly dzisiaj ciężej przychodzi. Włóścianie postanowieni do kopania łuczywa, kopią pnie zazwyczaj stare wystale, z których błona wierzchnia uległa spróchnieniu; te pnie rąbią w kawałki czyli drobne polanka, i to się nazywa *troszczeniem*. Pień tak porąbany, stanowi właściwe do smoly łuczywo, które powinno być suche i starannie od zgnilizny i próchna oczyszczone; te albowiem psują wychód smoly. Parobek pobierający płacę i ordynaryą miesięczną, powinien przez miesiąc, 26 dni roboczych liczący, postawić sążen kubiczny takowego łuczywa.

Z wiosny i w jesieni, obraca się do niej często zbywająca od uprawy roli pańszczyzna, a prócz tego, wybierają się z chat *siemienistszych* parobcy; na dwóch parobków daje się jeden wół skarbowy. W piérwszych dniach tygodnia, kopią oni pnie sosnowe, potém je do pieca zwożą, a zwiezione przy piecu troszczą czyli rąbią

na łuczywa, i te układają w miary czyli klatki, *szurkami* zwane. Główna znajomość parobka, zależy na dobraniu pni zdatnych, ich dobrém zrąbaniu i szczelném złożeniu. Tak złożone łuczywo lub się zaraz układa do pieca, lub też lepiej jest, jeśli jaki miesiąc i więcej na słońcu przeschnąć może. Główna nauka atamana czyli majstra, zależy na urządzeniu i przygotowaniu pieca, na ułożeniu w nim łuczywa, na jego zapaleniu, opaleniu i szczelném dopilnowaniu, ażeby we wszystkich punktach stykania się z powietrzem, tłał powolnym żarem, a broń Boże nie zapalił się płomieniem, boby się wtenczas wszystko spaliło, a w miejscu smoły byłyby tylko węgle i popiół.

Piec smołowy usypuje się z ziemi, nad jój powierzchni przynajmniej o parę sążni wzniesiony; podobny jest do tygla przewróconego, u spodu zupełnie wąskiego, punktem prawie się zaczynającego, a okrągło w górę coraz się więcej i więcej rozszerza. Wybija się on najprzód cały wewnątrz gliną, wyklada dranią, której kóp kilkadziesiąt do jednego pieca potrzeba; nakoniec składa się do niego łuczywo, układa w klatki na krzyż, i podłużnie wewnątrz, i nad piec w górę, wysoko w miarę jój głębokości. To wszystko do pieca który bierze w siebie, dajmy pięćdziesiąt sążni łuczywa, wymaga najmniej ze trzysta robotnika pieszego; poczem łuczywo tak ułożone przykrywa się z letka dranią, obsypuje się dość grubo ziemią i próchnem drzewném, a zwierzchu samego u góry zostawia się mały otwór, przez który się zapala, pilnując, żeby płomienie były bardzo umiarkowane przez dni kilka, lub więcej, nim się piec opali, to jest regularnie obejmie ogniem w około; i ten peryod potrzebuje największej pilności.

Majster i kilku ludzi, ciągle dzień i noc chodzą wkoło pieca; każdy punkt jego gdzieby się pokazywał płomień, gaszą urządzone na to miotłami i obrzucają próchnem i ziemią. Najlepszy do tego jest czas pogodny i cichy. Tym sposobem łuczywo powoli się rozparza i wydaje z siebie wilgoć a potem smołę, które zciekają do urządzonej pod piecem kadzi za otworzeniem kruczka. Im płomień więcej postępuje, to jest, im się dłużej piec pali czyli idzie, tym rusztowanie zrobione z łuczywa, więcej się zniza i opada, potem równa się z piecem i coraz się zmniejsza, a na końcu zostaje tylko węgiel i popiół. Z początku odchodzi z pieca nieco wody smolnej, która się precz wyléwa; później spuszcza się i odchodzi smoła, która się zléwa w beczki, i dopiero ostatecznie oczyszcza od wody, przy zdaniu kupcowi na brzegu rzeki. Wychód nazywa się dobrym, jeśli z sążnia łuczywa, otrzyma się beczkę smoły czystej. Widok palącego się pieca w dzień, nie robi wrażenia, gdyż tylko w samym wierzchu dym z sadzą odchodzi; wieczorem i w nocy zdaleka daje się widzieć łona ognista oświecająca widnokrąg, a zbliższa zdaje się że z krateru buchają płomienie i iskry.

W piecach tak urządzonych, głównie zwrócona była uwaga na jak najlepszy wychód smoły, i dotąd nad tém myślą jedynie, aby jużto przez dobór łuczywa i gatunku lasu, już przez sposób układania w piecu, wychód ten o ile można powiększyć; inne zaś korzyści, jakieby przy tém otrzymać można, były i są zupełnie zaniedbane; i tak naprzykład, olejek terpentynowy, mogący się razem otrzymać, traci się zupełnie i ulatnia z dymem. Życzyć należy, ażeby te piece tak wydoskonaliły się na przyszłość, ażeby i ten produkt w handlu potrzebny i użyteczny, nie był traconym napróżno. Wyrób smoły, skoro jest zasto-

sowany do możności, nie jest bynajmniej ciężkim ani dla majątku, ani dla jego ludności, jak to niektórzy mylnie sądzą. Kopanie pni i ich rąbanie, potrzebuje zdrowia i siły; jeżeli zatem lud do tego wybiera się zdrowy i zdalny, a nie wymaga się od niego roboty nad siłę, robota ta, bynajmniej nie może być cięższą od innych pracy rodzajów. Jest ona prawda mozolna i kosztowna, gdyż oprócz wymienionych wyżej czynności, które potrzebują dużo robotnika i materiału leśnego, na zlanie smoły potrzebne są beczki, na które się używa najlepsze sosnowe drzewo, a nad ich zrobieniem pracują osobno ułożeni do tego bednarze. Zlaną smołę w beczki, trzeba częstokroć wieść o mil kilka do brzegu rzeki, przez lasy, groble i brody, a nakoniec do jej spłynienia, daje się kupcowi tak nazwany *przypas* bezpłatnie. Składa się on z kłód suchych, najczęściej z powału i leżaków dobiéranych, dwaście arszyn długości, a sześć i siedm wierszków grubości w odrębie mających, do wiązania i spłynienia których, trzeba dostarczyć żerdzi sosnowych lub osinowych, i łoży co nie miara. Pod każdą z tych kłód, pod spodem w wodzie, przywiązują się mocno beczki smoły, i tym sposobem spłycona, idzie aż do Krzemieńczuka, gdzie jej główna wyprzedaż się odbywa, i z kąd ją przybyłe z sobą Czumaki oraz kupce z Ekaterynosławia i Chersonu, lądem i wodą na różne rozwożą strony.

Obliczywszy ściśle cały materiał leśny i robotnika, zachodzi wielkie pytanie, czyli na robieniu smoły, w istocie jest zysk lub strata? To pewna, że las się coraz więcej wyniszcza i że cena jej, chybaby się znacznie podnieść musiała, w razie, gdyby przyszło robotnika najmować. Zastanowiwszy się jednak nad trudnością zbycia nawet za niską cenę produktów ziemnych, nad niemożnością

spięnienia się w latach urodzaju, a nawet nad obfitością i niską ceną samego lasu, gdy pnie, z których się smoła wyrabia, żadnejby inaczéj nie miały wartości, a robotnik bardzo mało się ceni; nie można odmówić smole przed wszystkiemi innemi wyrobami pierwszeństwa. W każdym razie, można za nią wziąć masę pieniędzy; łatwość jéj sprzedania, prędko zwraca koszt poniesiony i pracę opłaca; dlatego obrócenie całej siły do jéj wyrobu w dzisiejszém położeniu majątków, jest najkorzystniejszém; i to zdanie podziela dzisiaj całe Polesie.

Lasy Polesia obfitujące w tak piękne gatunki drzew rozmaitych, nietylko są zdadne do wydania potażów, dziegciu i smoły. Pomimo wielkiego wyniszczenia, któremu uległy najwięcéj przez nieporządne wycinanie oraz przez pożary i marnotrawne prawdziwie ich rąbanie i psucie przez lud prosty i niedbalstwo oficjalistów, pomimo, że dotąd jeszcze nie są urządzone podług prawideł gospodarstwa leśnego, wiele się w nich wyrabia i wyrabiać będzie drzewa towarne, jakoto: brusów Angielskich, klepki Chersońskiej i Memelskiej, bajdaków i barek dla użycia w przewoźnym handlu na Dnieprze i Prypeci. Na port Chersoński kłód sosnowych *szwajami* zwanych, dzielących się na sześcioryki, siedmioryki i ośmioryki, tojest, mające długości po ośm siedm i sześć sążni, a w odrębie po ośm i siedm wierszków grubości; kłód sosnowych, *kaczalkami* zwanych, cztery sążnie długich, a ośm wierszków grubych w odrębie; kłód jesionowych i klonowych podobnej miary, kłód olchowych po sześć sążni długości, a po ośm wierszków w odrębie; barek z *nahruzem*, przeznaczonych na port Chersoński; budowane one są z mniejszą starannością jak przewozowe, i po *wyhrużeniu*, tojest: opróżnieniu

w Chersonie, obracane na drobną budowę, lub opał. Zwyczajnie na taką barkę, ładuje się cztery tysiące krokiew i łat, kilka set lub więcej drążków, czyli kołów dębowych lub brzożowych, mogących się przerabiać na dachy i hołoble; lub téż ładują się te barki, osiami, *obodziakami* na koła, i tym podobnym drobnym lasem. Gdzie się już lasy towarne przebrały, robią smołę, lub sprzedają brusy sosnowe, cieńsze od Angielskich, lub kłody na drwa tylko zdatne, albo drwa olchowe, które się na brzeg rzeki wywożą i ustawiają w sąźnie, a potem zabierają je kupcy na wracające z Pińska próżne bajdaki, lub na płyty drzewa towarne.

Ze wszystkich tych gatunków towarne lasu, jedne tylko brusy Angielskie sprzedać można na miejscu w lesie, za opłatą pniowszczyzny, która się płaci najwięcej za kopę miary Litewskiej trzysta siedmdziesiąt ośm sążni mającą, po rubli srebrem sto dwadzieścia; kupiec w tym razie przyjmuje na siebie ich ocioskę i wywózkę. Z resztą, cały las towarne, sprzedaje się zwykle nietylko z obowiązkiem dostawienia do brzegu rzeki, lecz nadto do spłynienia daje się bezpłatnie wszelki las potrzebny, i ten również na brzeg rzeki wywozi. Ceny tego lasu są następane: Bajdak zbudowany kosztem sprzedającego z przypasem drewnianym, to jest masztem i stérem, płaci się od siedmiuset, do dziewięciuset rubli srebrenych. Barki płacą się stosownie do ich wielkości po czterysta, trzysta, i dwieście rubli srebrem. Kopa klepki Memelskiej wyrobionój i wywiezionój, po dziewięć i niekiedy dziesięć i ćwierć rubli srebrem; Chersonskiej, cztery i pięć rubli. Szważe, ośmioryki, i siedmioryki, od dwóch do trzech rubli srebrem za sztukę; sześcioryki płaciły się po ośm i dziesięć złotych, a dziś po dwa ruble sr. za sztukę.

Kaczałki płaciły się po cztery i pięć złotych, a dziś po rublu do ośmiu złotych za sztukę; podobnej miary kłody jesionowe lub klonowe po rublu srebrem za sztukę; kłody olchowe po ośmdziesiąt groszy za sztukę, a najwięcej trzy złote. Brusy sosnowe, cieńsze od Angielskich lecz również na kant bez *obzoi* ciesane, po rublu i pięć złotych za sztukę; para krokiew cztero-sążniowych na długość, a wierszków pięć lub półpięta grubych w odrębnie, na cztery boki ociesanych i na brzeg wywiezionych, dwadzieścia lub dwadzieścia pięć kopijek srebrem, a para lat na dwa boki ociesanych, złoty lub dwadzieścia pięć groszy. Sążen kubiczny drew olchowych na brzegu ustawiony, płaci się od dziesięciu do piętnastu złotych.

Oto są wyroby, które lasy Polesia dostarczają bezleśnym stronom Ukrainy i Czarnego morza, i portom Bałtyku, a mianowicie do Memla. Lasy te rosną pięknie i wysoko; w wielu miejscach ładne i czyste bory przerzniete są wzdłuż dolinami pokrytymi lasem czarnym, gdzie rośnie zielone drzewo jako dęby, których obfitość jest wielka (1). Wiązy, graby, jesiony, klony, osina, topola zwana *jasiokorem*, rośnie na brzegach rzek i w bliskości wody; brześcina, brzoza, wiérzbołoz zwany u ludu *blindzia*, i inne gatunki drzew i krzewów rozlicznych. Nadbrzeża rzek są pokryte wiérzbami, topolami i łożą rozmaitego gatunku; nizkie zupełnie miejsca zarastają olbrzymią olchą i stanowią rozległe *olsy*, w których i łoża olbrzymia również gęsto porasta. Jodła na Polesiu jest rzadka, a na prawym brzegu Prypeci idąc od Pińska, zupełnie jój nie ma; na lewym, zwłaszcza posuwając się ku północy, staje się coraz obfitszą.

(1) Dęby rosnące po ługach, rzadko są zdatne na klepkę; najwięcej używają się na tak zwane *kokory*, któremi się wiążą bajdaki.

Polesie obfituje w miody i lipce, których dostarczają ule pszczoł i barcie w lasach utrzymywane; ilość miodu zbiera się wielka i wosku przytém, lipce zaś zaczynają być coraz rzadszemi, gdy drzewa lipowe a mianowicie stare obdzierane na łuby i łyka, znacznemu uległy wyniszczeniu. Daje się i tu również widzieć podobna niedbałość i opuszczenie, do korzystania tak łatwego z chowu pszczoł, któremu wszystko sprzyja. Grzyby i rozmaite jagody leśne, a szczególnież zórawiny klukwami zwane, i suszone czernice, stanowią takż gałąź handlu niemałą, i wywożone bywają do Mało-Rossyi i Ukrainy. Cóż dopiero powiedzieć o rozmaitych gatunkach dzikiego zwierza, który się na tych błotno-leśnych obszarach trzyma i chowa; prześladowany i niszczone bez najmniejszej uwagi, podobnie jak lasy w których żyje, i on staje się rzadszym, a mianowicie łosie, ta prawdziwa ozdoba Poleskich lasów. Łosie, dziś prawie okolicznie wygubione, jeszcze w dość znacznej ilości na Polesiu się znajdują; mnóstwo sarn i świń dzikich, niezliczone stada a mianowicie piękne pojedynki odyńcami a poprostu *kabanami*, zwane, niedźwiedzie, wilki, rysie, lisy, i kuny, są bardzo obfite. Niżej nieco, opisując szczegółowo kaźden tych zwierząt gatunek, wspomnę o sposobach polowania na nie, i łowienia ich sidłami. Błota i czeroty, rzeki błotne, mają mnóstwo wyder i norek; a gdzieniegdzie jeszcze potrafił się uchronić od zniszczenia, dawniej tak obfity, bóbr poczciwy, który sobie buduje chatki, i ma lochy podziemne *projedziami* zwane, które mu do schronienia i wyjścia na źer, zwłaszcza w lata suche, służą. Jeśli kiedy, to dzisiaj rzewnie zapłakać musi nad niepowściągniętą chciwością ludzką, która nad jego wytępieniem

prawie dla lichéj korzyści z tak zwanego stroju bobrowego, i skóry używanéj na modne kołnierze.

Wielka obfitość jezior większych i mniejszych ponad rzekami i po lasach rozrzuconych, daje żér i przytułek wygodny dla wszelkiego rodzaju ptastwa wodnego. Oprócz rozmaitych i dziwnych gatunków kaczek których stada są niezliczone, wiele jest bocianów, które gniazda swoje po wsiach na drzewach, stodołach i chłéwach ścielą; gęsi, zórawi, i bocianów leśnych czarnych *hajstrami* zwanych, czapel, nurów, kulików wielkich i mniejszych, batalionów, bekasów, słomek, rybołówów &c. Obfitość nadzwyczajna jarząbków, cietrzewi, głuszców, gołębi, i turkawek. Nadto wszelkiego rodzaju najwyborniejsze ryby rzeczne i jeziorne. Z jezior które się z rzeką nie łączą, ryba nie jest tak dobra, i najczęściej trąci błotem, a szczególnie z okolic Pińska, którato ryba zepsuła niesłusznie reputacyą rybie Polskiej; z rzék zaś, a mianowicie Prypeci i łączących się z nią jezior, ryby są najlepsze. W Prypeci, oprócz szczupaków, linów, sędaczy, leszczów, sumów, jaziów, bieluchy, i innych mniejszych gatunków ryby, łowią się nadto bardzo często piękne jesiotry i wirozuby, gatunek karpia morskiego, a nawet czasem i sterlety, które do nas Dnieprem z morza Czarnego przychodzą. Rozléwy wodne i samo położenie, nadzwyczaj sprzyjają chowowi i mnożeniu się téj ryby; w każdym prawie nadrzecznym majątku, istnieją w lecie tak nazwane kurenie rybne, to jest miejsca, gdzie mieszkają rybacy, mając tam czółna, sieci, i składy; łowią oni najczęściej wieczorem i nocami po jeziorach stykających się z rzeką, gdyż ryba z rzeki na noc w nie nachodzi; złowioną zawsze obficie rybę w dzień skrobują, czyszczą i solą w kadziach, a usłoniałą


w miesiącach letnich na wietrze i słońcu suszą, nawłócząc drobną na łyżka secinami, a większą rozpinając na rożenkach drewnianych, i ryba tak wysuszona w handlu nazywa się *wieđlą*. W miesiącach zaś jesiennych, układają ją w beczki z umysłu na to sporządzone i solą, i ta ryba w handlu nazywa się *prosołową*; z kiszek zaś i wnętrzności wygotowują *waricol* najczystszy i najlepszy, zupełnie do oliwy podobny, który potem w handlu kupcy fałszują. Rybę tak przyrządzoną, rozwożą na różne strony mieszkańcy Petrykowa i Dawidgródka Horodczakami zwani; wiele jęj idzie na jarmarki do Parycz, a najwięcej do Litwy, i na sławny święto-Michalski jarmark w Nieświeżu, gdzie się w nią zwykle klasztory okoliczne zaopatrują. Na Prypeci w zimie zabijają jazy *poledniami* zwane, na których się bardzo wiele ładnej poławia ryby.

Nawet błota Poleskie dają w obfitości dziwny gatunek ryby wiunami zwany, czyli piskorzy, które lud prosty zbiera i łowi; nasadzone na rożenki drewniane, soli i suszy, i to się dosyć sprzedaje, gdyż lud ten używa ich na okrasę w dni postne, do barszczu i krupniku.

Lecz najobfitsze bywają zimowe połowy, gdy ryby są na tak zwanych przyduchach; ryba zmęczona długim trwaniem lodu, zaczyna słabnąć, opuszczać się w dół rzeki, i chciwie szuka świeżej wody, ciśnie się zatem do rzek i rzeczek z krynic idących, a skoro jęj nadzwyczajna massa u rzeczki lub jeziora się zbierze, wówczas przerębują lody, siatkami ją tak jak z cebra biorą, i na lód wyrzucają, lub niewodem wyciągają; częstokroć gdy jęj nie dostrzegą, a lód osiedzie, wiele napróżno ginie. Tym sposobem poławia się wiele bardzo ładnej i dużej ryby, którą kupcy na miejscu zabierają, częstokroć za bardzo niską cenę, zwłaszcza w czasie odelgi. Rzecz

szczególna, że w tych przypadkach, najczęściej się jednego gatunku ryba znajduje: albo same sędacze, albo leszcze, albo szczupaki, a rzadko bywa mieszana. Są majątki, które za takie ryb połowy, biorą przez zimę po kilka tysięcy rubli srebrem, a zważywszy, że się ryba za nic prawie przeda, można sobie wyobrazić, jak wielka jój być musi obfitość.

Skréśliwszy tu pokrótce rys ogólny bogactw i płodów Polesia, czuję, że wiele mi jeszcze i bardzo wiele do powiedzenia zostaje. Opisanie zatém miasteczek Poleskich, jarmarków w nich się odbywających, i ich położenia geograficznego, ludności i jój przemysłu, zwyczajów i ubioru ludu wiejskiego, różnych rodzajów polowania i sieci, oraz zabytków i podań starożytnych na Polesiu, do dalszego ciągu pisma tego odkładam, któreby znacznie rozciągnąć można, umieszczając przytém nadzieje i sposoby, do czego kiedyś kraj ten, dziś tak zaniedbany i opuszczony, przez przemysł i handel, z silném i możném, a światłém usiłowaniem, stopniami doprowadzićby można.



PAMIĘTNIKI MOJE W HISZPANII

przez

KAJETANA WOJCIECHOWSKIEGO.

(Dokończenie.)

W porze jesienniej 1812 roku, odbywając podróż konno przez Francją, mocnośmy od deszczów ciągłych uciérpieli; sprzedawszy zatém na pół darmo nasze konie, wsiedliśmy do dylizansu i stanęliśmy szczęśliwie w Paryżu. Nasamprzód z adresem w ręku poszedłem do naszego znajomego kapitana, który nas przyjąwszy uprzejmie, oprowadził po całym mieście. Z nim zwiędziliśmy pałace cesarskie, wszystkie teatra, ogród botaniczny, menażeryą, muzea i gabinety, place, ogrody, mosty na Sekwanie. Obejrzawszy wszystko, udaliśmy się do generała intendenta, dla uporządkowania naszych papierów i zaległego żołdu. Generał intendent, staruszek, już wiedział o naszym dość długim pobycie w Paryżu; wylajawszy nas żeśmy tak dużo czasu bez pozwolenia w stolicy stracili, rozkazał nam udać się natychmiast do zakładu w Sedan, dodając, że jeżeli zaraz jego rozkazów nie dopełnimy, przez żandarmów kaze nas przetransportować. Tego samego więc dnia zamówiwszy miejsca w dylizansie, ruszyliśmy do Sedan, gdzie nam żołd nasz zaległy wypłacić

miano. W Sedan, kędy zakłady całej legii Nadwiślańskiej konsystowały, zastaliśmy Huppeta, który zostawszy majorem, dowodził zakładem półku naszego. Zakładem półku 8go ułanów, dowodził pólkownik hrabia Tomasz Łubieński. Kapitanem ubiorem całym piechoty był Pozarzecki, a naszym kwatermistrzem kapitan Belleville. Ten miał dwie córki; ze starszą, Estellą, dosyć przystojną, ożenił się nasz Huppet, lecz nieszczęśliwy w małżeńskim pożyciu, wnet się z nią rozwiść musiał. Zaległości żołdu naszego odebrał był kommissant Pizulaga, a nam go nie wypłacił, i pomimo późniejszych reklamacyj rządu królestwa Polskiego, święta ta należność przepadła.

Przy końcu stycznia 1813 roku, dostawszy rozkaz od ministra wojny, udania się czémprędzej do Poznania, dla odebrania rekrutów przeznaczonych do półku naszego, natychmiast puściłem się w drogę. W Lipsku zastałem główną kwaterę vice-króla Włoskiego. Wyrobiwszy sobie rozkaz udania się do komendy z naszego półku, będącej pod dowództwem pólkownika Stokowskiego, w korpusie kawaleryi generała Latour Maubourg, ruszyłem do Dessau. Tam przybywszy, przedstawiłem się generałowi, któren mnie sobie przypomniał i na adjutanta zatrzymał. Kupiłem téż w Dessau piękną klacz Meklemburską. W ciągłym będąc ruchu, rozwożąc generała mego rozkazy po różnych stronach Niemiec, napotkałem na końcu oddział naszego półku znajdujący się pod rozkazami kapitana Rybałtowskiego; tam znalazłem porucznika Józefa Bogusławskiego i Luziniana, dawnych kolegów moich. Radość moja była wielką, a wróciwszy do generała Latour Maubourg, prosiłem go o pozwolenie połączenia się z komendą naszego półku. Zmarszczył się generał, ale gdym oświadczył, że szta-

bowej służby nigdy nie pojme, bom nawykł służyć w polu, a mając jednego tylko konia, nie wystarczę na ustawiczne posyłki; nakoniec, że mam zrujnowane zdrowie w skutek odniesionych ran w Hiszpanii, uwolnił mnie od siebie. Tym nierozważnym krokiem, utraciłem udział w nadgrodach przysłanych przez cesarza dla sztabu generała mojego. Przybywszy do komendy, znalazłem, że ta się składa zaledwie z 60 ludzi, i jest wcieloną do półku złożonego ze szczątków całej lekkiej kawaleryi Francuzkiej, czyli motłochu bez żadnej karności i porządku, pod dowództwem pólkownika du Cotlosquet.

Drugiego dnia mojego przybycia, wypadła nam potyczka dosyć zwawa. Tam, kędy droga z Magdeburga się rozdziela, po lewej stronie stanęła lekka nasza kawalerya, dwa bataliony Włoskiej piechoty, 4ry działa. Piechota w czworobokach z artyleryą, zajęła pozycyę na polach błotnistych, rowami w różnych kierunkach poprzerynanych. Kawalerya rozstawiwszy mocne pikiety z oficerem od huzarów, w małej wiosce rozlokowała się na wypoczynek. Na drodze na prawo o małą ćwierć mili, stanęła kawalerya z baterią pozycyjną i piechotą. Z rana około 10tej godziny, na naszym prawym skrzydle odezwały się działa. Wystąpiliśmy czémprędzej i ujrzeli nasze placówki umykające i pomieszane z czarnymi huzarami Pruskiemi. Cofnęliśmy się za wieś i uszykowali w linii za rowem, ale Pruskie huzary poza wsią obiegłszy, i poblizkie wzgórze konną artyleryą zająwszy, już nas oskrzydlać zaczęli. Postawiono Bogusławskiego z plutonem na jednem miejscu, mnie na drugim, rów zaś był szeroki i głęboki. Kiedy huzary za przybyciem więcej kawaleryi i artyleryi, zabięrali się do ataku, pólkownik nasz zakomenderował na pierwszy szwadron:

„formuj kolumnę ściśniętą”; i cofnąwszy się, odsłonił nasze działa i piechotę. Ale nieszczęsny ten obrót w oczach nieprzyjaciela wykonany, narobił hałasu i nieporządku w naszych sztykach, z czego korzystając Pruska artylerya dała ognia, a kawalerya rzuciła się na mostek przeze mnie broniony. Wprawdzie ułani moi przywitali ją rześistym ogniem, ale niemogąc się oprzeć przemagającej sile, drapnęli z pola. Pędząc przez pola, od huzarów ścigany, w tę stronę zmierzałem, z której huk armatni słyszeć się dawał i wnet dostałem się na wzgórek, gdzie znalazłem vice-króla Włoskiego z całym swoim sztabem. Tymczasem owe dwa bataliony Włoskiej piechoty o których wspomniałem, otoczone przez chmurę kawaleryi Pruskiej, pomimo nalegań aby broń złożyły, uformowały się w czworobok, i do samej nocy na pozycji dotrzymywały; wtedy dopiero mając generała na swoim czele, nieutraciwszy ani jednego żołnierza, ocaliwszy nawet niejednego kawalerzystę, w liczbie których był nasz Rybałtowski, zwolna do obozu wróciły. Co się zaś tycze naszego półku, wtedy, gdy na mnie na mostku szarżowali huzarzy, pierzchnął z placu, a nie wiedząc dokąd ucieka, wpadł na półk nieprzyjacielskiej jazdy; ta sądząc, że to śmiała szarża, przed uciekającymi uciekła. To widząc Pruska piechota i artylerya, również cofać się zaczęły, gdy jednak w odwrocie swoim, przywitały nasz półk rześistym ogniem, nuż wtedy nasze przypadkowe zuchy uciekać kaźden w swoją stronę. Półkownik wydobywszy się cały z tego popłochu, zaraportował vice-królowi Włoskiemu, iż winą tego nieszczęsnego wypadku są ułani Polacy, którzy kolumny jego nie umieli zasłonić. Nic nam jednak za to nie powiedziano, ka-

zden bowiem wiedział jak się rzecz miała. Po téj potyczce, cały nasz korpus pomaszzerował na Magdeburg.

Ostatnich dni kwietnia 1813 roku, półki nasze wzmożnione zostały; poczem od rzeki Saali i miasta Mertzburga, rozpoczęliśmy nasze operacye militarne, postępując za nieprzyjacielem. Wtém pewnego dnia, gęste działy wystrzały oznajmiły nam, że Napoleon z posiłkami przybył. W wojsku radość była nadzwyczajna, a kaźden z nas zapomniawszy co wycierpiał, już pewien był zwycięstwa a po niém tak pożądanego pokoju. Tego samego wieczora generał Jaquinot, dowodzący naszą brygadą, wysłał mnie we sto koni kawaleryi, dla otwarcia komunikacyi z główną armią, i dla odebrania od samego cesarza rozkazów dla naszego korpusu. Ruszyłem więc nocą, a niemając innego przewodnika, jak daleki blask ognisk obozowych, maszerując w cichości dróżyną, trafiłem na małą rzeczkę wpadającą do rzeki Saali. Dowiedziawszy się, iż rzeczona wieś jest obsadzoną przez kozaków, a niewiedząc w jakiej są sile, niechcąc komendy mojej na niepewny los narażać, ile, że mi generał zapowiedział, abym się w żadne nie wdawał potyczki, odesłałem napowrót do obozu mój oddział, a sam z dwoma Francuzami puściłem się w dalszą drogę. Przybliżywszy się do innej wsi, równie osadzonej kozakami, przejechaliśmy koło nich, odpowiadając na: kto idzie? swój. Lecz na drodze stał mocny oddział, który dawszy ognia, rzucił się na nas. Zwróciwszy konie, i oganiając się jak mogliśmy pałaszami od nacierających, dostaliśmy się nakoniec na drugi brzeg rzeki. Wtém słyszemy mocny tentent koni, i nimeśmy rozpoznać mogli kto się do nas zbliża, już byli przy nas, jużesmy w nich Francuzów poznali. Byłto bowiem oddział ki-

rassyerów Francuzkich z oficerem, wysłany ku nam z rozkazem podobnym do tego który mi dano. Połączywszy się z kirassyerami, wróciliśmy do wsi: Placówka dała ognia, a ja porozumiawszy się z oficerem, uradziliśmy przerznąć się przez wieś na drugą stronę. Zakomenderowawszy zatem marsz! marsz! ruszyliśmy do wsi; wtém przebiegłszy przez nią, żadnego z naszych kirassyerów nie ujrzelśmy już za sobą, prócz jednego draba, któren z koniem wpadł do rowu, zkąd go z wielką trudnością przyszło nam wydobyć. Niechcąc zatem błąkać się dalej po nieprzyjacielskich obozach, wróciłem do pólku mojego, co téż ze swój strony oficer od kirassyerów uczynił. Pomimo, że nie dopełnił danych mi rozkazów, powitany zostałem uprzejmie przez mojego generała, który skoro się dowiedział, że komenda beze mnie wróciła, miał mnie za straconego.

Dnia drugiego maja 1813 roku, na polu bitwy pod Lützen, zginął marszałek Bessières, dowódca staréj gwardyi Napoleona. Koło południa cesarz przybył przed nasz korpus. Zsiadłszy z konia, długo patrzył w stronę, kędy ogień działowy trwał bez przerwy. Wszystkich nas oczy były zwrócone w tę samą stronę: uważaliśmy, że się huk armatni ku nam zbliżał; w téj saméj chwili Napoleon rozesławszy adjutantów w różne strony, siadł na konia i rzucił się w największy ogień, a za nim ruszyła gwardya, za którą nasz korpus pomaszerował. Bitwa do późnéj nocy trwała. Plac pobojuwiska został przy nas, ale podobna wygrana dziwnie nam się wydała, bo ani zabranych chorągwi nie widzieliśmy, ani niewolników, wszędzie tylko trupy: nie tak bywało w Hiszpanii! Nazajutrz korpus nasz dostał rozkaz postępować za cofającym się nieprzyjacielem. Maszerując w awangar-

dzie, udało mi się uchwycić oficera Pruskiego, którego gdy przedstawiłem generałowi, ten mi rozkazał, po krótkiej rozmowie z jeńcem, stawić go przed samym cesarzem. Wziąwszy więc z sobą oficera, przeze mnie w niewolę wziętego, udałem się do głównej kwatery cesarskiej. Zsiadłszy z konia, zbliżyłem się śmiało do Napoleona, któren stojąc ponad rzeką Elbą, rozmawiał z vice-królem Włoskim. Spojrzawszy cesarz na mnie, rzekł: „*twój półk wraca z Hiszpanii?*” Gdym na te jego słowa, dotknął prawą ręką czapki, „*co mi powiesz?*” zapytał. „Najjaśniejszy panie, odpowiedziałem, z rozkazu generała Jaquinot, przyprowadziłem waszój cesarskiej mości, jeńca, któren z obozu nieprzyjacielskiego ciekawe wiadomości przynosi.” Nuż tedy mój jeńiec opowiadać, to co wiedział lub nie wiedział, a ja słowa jego lichą francuzczyzną tłómaczyć. Marszałek dworu zawołał na adjutanta, aby mi przyszedł w pomoc, lecz cesarz kiwnąwszy ręką na znak, że nie potrzeba, dalej mojego tłómaczenia słuchał, i coraz się pytał: „*i cóż więcej?*” Czasami zażywał tabakę i przez lorynetkę mnie się przypatrywał, jak gdyby żądał abym go o coś prosił. Tymczasem tyraliery nieprzyjacielskie, stojący po drugiej stronie rzeki, zaczęli do nas strzelać. Napoleon odwróciwszy się, zawołał: „*artylerya gwardyi*”, i prawie w mgnieniu oka, ziemia od huku dział zadrżała. Marszałek téż Duroc zbliżył się do mnie i powiedział po cichu, że mogę już odejść, z czego korzystając, siadłem nakoniec i do obozu swojego powróciłem. Skorom zdał raport z czynności mojemu generałowi, zapytał z radością: „*i cóż ci dał cesarz?*” — „*Nic.*” — Jako? czyś go o nic nie prosił?” — „*O nic,*” odpowiedziałem. — „*Toś osioł,*” zawołał w gniéwie generał. Gdym mu jednak całą rzecz

wytlómaczył, ścisnął mnie za rękę, i oświadczył, że dobrze zrobił, nieprosząc o nic cesarza.

Przymaszerowawszy do Drezna, musieliśmy rozerwaną jedną arkadę murowanego mostu, drzewem naprawić, a poniżej miasta postawić most na łyżwach. Półk nasz maszerujący w awangardzie, co tylko zaczął przechodzić po łyżwowym moście, ten się tak zatapiał, żeśmy prowadząc konie w rękę, po kolana mieli wodę. Kazano nam zatem cofnąć się, a skorośmy na brzegu stanęli, w kilka minut wezbrana rzeka most zerwała. Trzeba było wracać się, i przez most murowany przechodzić. Podczas przechodu wojska, Napoleon stał przy przerwie mostu, w najmniejsze wchodząc szczegóły. Prowadzone rekwizyta półkowe i żywność, kazał wrzucać do wody, furmanki do domów zwracał, kantynierki, powozy, kobiety i powodowe oficerskie konie, byle przez niefrontowego żołnierza prowadzone, kazał puszczać, a żołnierzy do frontu zaganiał. Słowem, wszystkich prawie łajał, i armię uwolnił od bagażów, ciężarów i juków. Z kolei prowadząc konia w rękę na czele moich ułanów, nadszedłem, kiedy cesarz zobaczywszy, że żołnierz od piechoty z bronią w rękę prowadzi powodowego konia, zawołał: „porzucaj tego konia, i biegnij do kompanii.” Świeży rekrut zapytał: „Jako, cesarzu, ja mam puścić konia mojego kapitana?” — „Puszczaj, odrzekł cesarz.” — „A kto, mówił dalej, będzie nami dowodził, skoro kapitan ranami okryty w tyle zostanie?” Napoleon machnął ręką, i żołnierza z koniem przepuścił.

Przeszedłszy przez most, stanąłem na boku, chcąc się przypatrzeć przechodzącemu wojsku. Za lekką kawalerią, szła bateria artylerii konnej Włoskiej, którą dowodził kapitan znany z waleczności swojej, ale tak czar-

ny, dzióbaty i obrośnięty, że wyglądał jak djabeł. Ten stanąwszy przed cesarzem, podczas gdy jego bateria maszerowała: „Najjaśniejszy panie, zawołał, daj mi krzyż, bom na niego zasłużył.” — A jaki? zapytał cesarz. — Korony Włoskiej, odpowiedział. — „Bertier, odezwał się Napoleon, zapisz go do krzyża.” Tymczasem po artylerji przechodziła piechota, a czarny kapitan ciągle stał przy cesarzu i na niego patrzył. „Czego chcesz jeszcze?” zapytał cesarz. „Chcę się tobie przypatrzeć, odpowiedział, bo ciebie bardzo kocham.” Napoleon poklepał go po ramieniu, poczem uradowany kapitan, ruszył za swoją komendą.

Z Drezna poszliśmy do Bautzen, gdzie stoczona została owa bitwa, sławna w dziejach wojennych. W wigilią bitwy pod Bautzen, korpus nasz stanął obozem pod miastem. Gdym stał na placówce na drodze wiodącej pod samym okiem nieprzyjacielskim, nad zachodem słońca przybiegł adjutant cesarski, i dał rozkaz, ażeby jak największa cichość zachowana była. Wtém nadszedł sam cesarz z wice-królem Włoskim. Gdy Napoleon zapytał mnie: „co tu widać?” wskazałem na stanowiska nieprzyjacielskie i szanice silnie działami obsadzone. Cesarz zsiadłszy z konia, oparł perspektywę na mojem ramieniu, długo się przypatrywał pozycyi nieprzyjacielskiej, poczem siadł na konia i kazał mi jechać przed sobą. Objechawszy łańcuch porozstawianych sztyldwachów na straconych posterunkach, wrócił na moje stanowisko, z kądem oczekującym na siebie wice-królem Włoskim, do głównej kwatery odjechał.

Nazajutrz mocna kanonada zapowiedziała rozpoczęcie bitwy, która przez trzy dni trwała. Opisywać ją nie jest moim zamiarem, a siły moje są za słabe do oddania tak wielkiego przedmiotu. Stojąc w szeregach półku mo-

jego, to tylko wiem, co z punktu na którym stałem własnymi oczyma widziałem, a to com słyszał już się stało własnością dziejów. W kilka dni po bitwie pod Bautzen, w awangardzie stojąc pod lasem, na prawej stronie mieliśmy wioskę. Skoro linia cała flankierów posunęła się naprzód, chmara kozaków ruszyła ze wsi ku mnie. Komenda moja z samej ruchawki złożona, natychmiast drapnęła, zostało mi się tylko kilkunastu ułanów z którymi otoczony zostałem. Po dość długiej utarczce, pchnięty dzidą pod prawą rękę w piersi, spadłem z konia, i już byłbym pewnie zabity, gdyby mi nie był przybył w pomoc kapral od huzarów Merzburgskich; ten z mojami ułanami odpędziwszy kozaków, podprowadził mi moją klacz Meklemburską, na którą siadłszy, z niebezpieczeństwa się wydobyłem. Rana też moja była bardzo lekka, gdyż ostrze od lancy uwięzło w srebrnym galonie od ładownicy.

Po bitwie pod Bautzen, cała nasza armia dążyła do Wrocławia. Korpus wice-króla Włoskiego trzymał nasze prawe skrzydło. Już byliśmy o jeden dzień pochodu od stolicy Szlązka, gdy nieprzyjaciel zrobiwszy raptem zmianę frontu przez lewo, znikł nam zupełnie z oczów. Wtém, na naszym prawym boku pokazały nam się wielkie masy wojsk, co nas przekonało, żeśmy oskrzydleni zostali. Spostrzegłszy ten obrót generał Latour-Maubourg, zostawiwszy za sobą znaczny oddział kawaleryi, i osadziwszy [wieś na prawém naszym skrzydle leżącą, piechotą i artyleryą, z resztą korpusu ruszył w dalszą drogę. Nazajutrz po dwóch śmiałych atakach, ruszyliśmy za korpusem. Maszerując w aryergardzie, spostrzegłem kilku wojskowych jadących ku mnie z trębaczem od strony naszej głównej kwatery; skorom ujrział białą

chustkę powiewającą, wziąłem mojego trębacza, kilku ułanów, i posunąłem się ku nim; wnet téż poznałem generałów Rossyjskiego i Pruskiego, których oficer od piechoty Francuzkiej, z głównej kwatery Napoleona, odprowadzał aż do ich obozu. Nazajutrz oznajmiono wojsku, iż zawieszenie broni zawarte zostało. Wkrótce przyszedł rozkaz, ażebym z komendą ułanów dążył przez Drezno do miasta Frejburga, do naszego pólku świeżo przybyłego z Hiszpanii. Połączywszy się z pólkiem, przedstawiłem pólkownikowi Tańskiemu całą moją komendę. Pólkownik uradowany zapytał, czemu nie awansuję, dodając, że starsi oficerowie wiele mu dobrego o mnie mówili. Dnia następnego kazał mi przyjść do siebie z Rybałtowskim na obiad, po którym poprowadził nas do generała Jaquinot, z którym udaliśmy się do generała Pojolle, komenderującego korpusem kawaleryi. Przedstawionych lub nie przez dowódców moich korpuśnemu generałowi, zapytany przez niego zostałem: „jak dawno jestem oficerem?” — „Cztery lata,” odpowiedziałem. — „Jakie robiłeś kampanie?” — „Pruską, Hiszpańską i terazniejszą.” — „Za co krzyż dostałeś?” — „Za batalię pod Albuhera.” — „Wiele razy ranny?” — „Cztery razy.” Generał ruszywszy ramionami: „to jest rzecz szczególna” zawołał, iż wasz półk okryty sławą, po tylu świetnych zwycięztwach, tyle niesprawiedliwości doznał!” Długo jeszcze pólkownik Tański rozmawiał z generałem, wyliczając mu wszystko co tylko półk ucierpiał, wiele pominięto nadgród, wiele zapomniano zasług. „Obaczmy co można będzie zrobić, przerwał pólkownikowi generał, a tymczasem proszę rozkazem dziennym zawiadomić, że ten pan, wskazując na mnie, postępuje na porucznika.” I tak więc, 19 czerwca 1813 roku, zostałem porucznikiem. W czasie zawiesze-

nia broni, książę Józef Poniatowski przyprowadził z Krakowa do głównej armii, korpus księstwa Warszawskiego. Długo spodziewany i żądany pokój gdy nie nastąpił, nanowo rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie. Pierwsza też nasza potyczka była pod miasteczkiem Marienberg na granicy Czeskiej z Austryakami. Poczem półk nasz przeznaczony został do dywizyi generała Gérard w korpusie 14tym, którym dowodził marszałek St. Cyr. Cesarz Napoleon szukając, jak się zdaje, sposobności stoczenia walnej bitwy, wszelkie siły swoje koncentrował w okolicach Drezna. Kiedy korpus marszałka St. Cyr, przemaszerował do tego miasta, nasz półk postawiono nad Elbą pod murami, dla zasłony mostu. Tymczasem Drezno przemagającymi siłami szturmowane przez dni kilka, pomimo dzielnego oporu, nie wiem czyby się dłużej opierać było mogło, gdyby sam cesarz nie był z gwardyami pośpieszył, i nie stoczył walnej bitwy dnia 26 sierpnia.

Na parę dni przed bitwą, około południa, przybył z lewego skrzydła, przed front naszego półku, król Neapolitański Murat, z jednym tylko adjutantem. Ubrany jak rycerz średnich wieków, młody, hoży, przystojny, z długimi włosami spadającymi w pierścienie, na barczyście ramiona, w niebieskiej haftowanej złotem katance, z mieczem prostym zawieszonym na wstędze, z kapeluszem osłoniętym różnobarwnymi piórami, zapytał: „czy to jest półk ułanów Polskich?” potem otoczony przez oficerów, każdego uprzejmie powitał, a z półkownikiem Tańskim dosyć długo rozmawiał.

Był u nas w półku adjutantem majorem, kapitan Piotr Doliński, którego półkownik przeznaczył na dowódcę 3ej kompanii, w której ja się liczyłem. Gdy po odjeździe króla Murata, kazano nam zsiąść z koni, i każdego wrócić do

obożu, częstowałem mojego nowego kapitana czém Bóg dał; wtém przed nami z ziemi, mysz się pokazała; ujrzawszy ją Doliński zbladł i zawołał: „*widzisz tę mysz? ona mi śmierć przepowiada*”. Co usłyszawszy, mysz odstraszyłem, a dziurę z której wyszła nogą zdeptałem. Ale Doliński ciągle w to samo miejsce patrzył i obaczył, jak powtórnie mysz wychodzi i ku niemu idzie; zerwał się z miejsca i krzyknął: „*a co? jeszcze nie wierzysz, że ja dzisiaj zginę?*”. Po raz drugi dziurę nogą zatknąwszy, nalałem kapitanowi kielich wina, któren gdy spełniał, po raz trzeci mysz z dziury wylazła; w tej samej chwili odebraliśmy rozkaz wystąpienia, a skoro się półk zformował, pociągnęliśmy ku lewemu skrzydłu naszej armii. Tam zastaliśmy króla Murata, który rozkazał półkowi stanąć na linii i wysłać flankierów. Porucznik Zawadzki wyskoczył z plutonem, i ogień na całej linii się rozpoczął. Wtém przybiega do mnie Doliński i pyta, czy nie mam araku? Na moją odpowiedź że nie mam, ale wnet kantynierka z obożu przywiezie, odjechał. Po niejakiem czasie, przybiegł powtórnie; dałem mu butelkę z arakiem którą do połowy wypróżnił, co mnie mocno zadziwiło; wiedziałem bowiem, że trunków z wielkiem umiarkowaniem używał; odwrócił potém konia i odjeżdżając: „*bywaj zdrów*” zawołał. Te były jego ostatnie słowa. Artylerya nieprzyjacielska grać zaczęła, a półk nasz mając na swoim czele króla Murata, pociągnął na lewo. Przejeżdżając przez pole, ujrzelśmy leżące ciało Piotra Dolińskiego, już obnażone; od kuli armatniej zabity, trzymał jeszcze pałasz w ręku. Król Neapolitański, przejeżdżając obok letniego pałacu króla Saskiego, rozkazał zostawić jeden szwadron w assekuracyi piechoty, której obrona tego pałacu poruczoną była. Pozostał zatem mój szwadron, którym dowodził książę Wo-

roniecki świeżo do półku z gwardyi przybyły. Stanęliśmy frontem pod laskiem, *Gross Garten* zwanym. Już piechota Francuzka silnie naciérana, rzeczony stanowisko opuścić miała, gdy na czele mojego plutonu poszedłem do szarzy. Przesadziwszy rów szeroki, gradem kul obsypany zostałem; tą nagłą jednak dywersją, atak nieprzyjacielski, na chwilę wstrzymałem. Wtém, podprowadzona bateria artyleryi, zaczęła mury gruchotać. W największym ogniu stojąc, dostałem kulą karabinową w brzuch, ale na szczęście kula uderzyła w zegarek złoty, roztrzaskała go na drobne kawałki, i lekką mi tylko ranę zrobiła. Pomimo tego, spadłszy z konia, zemdlałem. Przysłano nam téż rozkaz opuszczenia téj pozycyi, do utrzymania niepodobnej. Zegarek ten który mi życie ocalił, zachowałem; mam go dotąd, i chowam na pamiątkę dla dzieci.

Nazajutrz po bitwie pod Dreznem, kiedy nasz korpus maszerował, widzieliśmy na najwyższym wzgórzu Napoleona siedzącego na miedzy, i na kolanie piszącego. Wnet potem spostrzeżliśmy korpus generała Vandamme przyspieszonym krokiem idący; opóźniwszy się o dwadzieścia cztery godzin, pośpieszał, a w dni kilka popadłszy w górach Czeskich pod Kulm w zasadzkę, zupełnie zniezionym został. Vandamme, straciwszy armaty, bagaże, amunicyą, sam w niewolę się dostał. Po batalii pod Dreznem, cesarz Napoleon pośpieszył na drugi brzeg Elby, w pomoc marszałkowi Macdonald, który ściśnięty trzema nieprzyjacielskimi korpusami, w krytycznym bardzo był położeniu. Korpus nasz został w okolicy Dreznna, a mającym to miasto za oparcie, z całej armii było nam najlepiej. Gdy drudzy ustawicznymi dészczami dręczenia, przyciśnieni głodem, tak, że nieraz zdechłych koni

mięso, było dla nich specyjałem, my walcząc przez dzień cały, wieczorem wróciliśmy do miasta, gdzie nas kolacya i dobra butelka wina czekała.

W jednej operacyi wojennej, nakazano na wszystkich punktach przeciw nieprzyjaciela, ażeby go zmusić do przyjęcia bitwy; lecz ten cofając się ciągle, tę zachowywał przezorność, iż główne siły swoje maskował. Mała rzeczka zakryta krzakami, oddzielała obie strony. Awangardę prowadził kapitan Jagniński, ze swoją kompanią i kompanią strzelców konnych Włoskich, pod jego dowództwem będącą. Gdy król Neapolitański rozkazał wzmocnić komendę flankierami, półkownik Tański kazał mi z moją kompanią ruszyć za niemi. Wybiegłszy na wzgórze, obaczyłem za wsią kozaków, ale prócz nich, nic więcej nie było widać. Gdyśmy jednak zbliżyli się do rzeczki, ukryci strzelcy piesi zaczęli dawać do nas ognia. Wtém porucznik Jan Stadnicki, porwawszy kompanią Włochów, ruszył przez wieś galopem. Ja też osądziwszy właściwem zrobić toż samo, już za nim iść miałem, kiedy kapitan Jagniński rozgniewany na Stadnickiego, że mu porwał bez jego wiedzy kompanią Włochów, zawołał na mnie: „nie każe się ruszać”; odpowiedziałem, że nie jestem pod jego rozkazami, i naprzód ruszyłem. Za wsią, widziałem, jak Stadnicki formuje kompanią i przez górę rusza; co gdy z drugiej strony wsi uczyniłem, po niejakiem czasie przybiega do mnie Stadnicki z oficerami, donosząc, iż napadniętemu, przez przemagającą siłę otoczonemu, całą kompanię do niewoli zabrano, a sam z oficerami ledwo przedrzeć się zdołał.

Wtém rozkaz cofnięcia się odebrawszy, kapitan Jagniński aresztował mnie i Stadnickiego, i półkownikowi odmeldował. Stadnicki mało na to zważając, sprosił

wszystkich swoich kolegów, którym całe zdarzenie opowiadając, sutą nam ucztę sprawił. Gdy pólkownik odebrał rozkaz, aby zaufanego oficera z depeSZami wysłał do załogi Königsteinu i Pirny z tćm nadmieniem, że jeżeli dobrze się sprawi z polecenia sobie danego, otrzyma jedną rangę wyżćj, do tćj missyi wyznaczony zostałem; lecz na oświadczenie Jagnińskiego, że jestem nieuległy starszym, i że pomimo tego, żem był aresztowany, poszedłem na ucztę do Stadnickiego, wysłano więc Skarzyńskiego na moje miejsce, który bez przeszkody do fortecy dojechał, i wróciwszy został kapitanem. Skarzyński zastał w Königstein, mocno rannego Józefa Bogusławskiego, i zagrożonego utratą prawćj rćki, już podówczas kapitana w 8ym pólku szwoleżerów.

Cztćrnasty korpus marszałka St. Cyr, po raz ostatni spędzony do Drezna, od miesiąca października 1813 roku, w oblężeniu był trzymany. Czćste wycieczki zasilaly z początku garnizon żywnością, ale po bitwie pod Lipskiem i Hanau, bardzićj ściśniętym, dopiéro wtedy brak wszystkiego uczuć nam się dawał. W jednćj z wycieczek, gdyśmy z mocnym oddziałem ku Pirnie maszerowali, udało mi się z kompanią zabrać w niewolę batalion jegrów nieprzyjacielskich. Właśnie, gdym z moją kompanią korzystną szarżę wykonał, nadjechał gienerał Jaquinot, i uradowany z tego wypadku, z najchlubniejszymi pochwałami wspomniał o mnie marszałkowi; ten mianował mnie kapitanem, i do złotego krzyża obiecał cesarzowi przedstawić.

Marszałek St. Cyr kazał zrobić rewizyą żywności; i gdy się okazało, że zapasy nasze są nader szczupłe, uważając, że uporczywe oblężenie, mogłoby narazić stolicę króla Saskiego na zniszczenie, postanowił wyjść

z garnizonem z miasta, a maszerując ku wielkiej armii, połączyć się po drodze z załogami będącymi w Torgau, w Magdeburgu i Hamburgu. Wybraliśmy się przeto w marsz. Niedługo jednak trwała nasza wyprawa; przemagającymi siłami zmuszeni do odwrotu, wróciliśmy do Drezna, a gdyśmy już nie mogli dłużej się w tém mieście utrzymać, stanęła kapitulacya, mocą której, zostaliśmy wysłani do Węgier jako jeńcy wojenni.

Nasza niewola, trwająca przez pół roku na Węgrach, była prawdziwym dla nas wypoczynkiem po znojach. Regularnie byliśmy płatni, zupełnie swobodni, szanowani i poważani od władz cywilnych i wojskowych. We wsi Mooz, bogata rodzina Luzeńskich, uważała nas za powinowatych; tam zapraszani na obiady, wieczory, zabawy, używając polowania, przejażdżek, wszelkiego rodzaju gier, mieliśmy jak w raju. Jedno trzęsienie ziemi, poszło nam w niesmak; i przyznam się, iż wolę iść na armaty, jak siedzieć w izbie, gdy pod nogami wszystko się chwieje. Wracając do kraju, w Prezburgu, składaliśmy palatynowi podziękowanie za gościnność jakiej doznaliśmy w Węgrzech; przyjęci przez niego uprzejmie, badani, czy nie mamy jakich osobistych żądań, z grzecznością pożegnani, wygodnemi furmankami odesłani zostaliśmy aż do domu.

ODPOWIEDŹ

na rozprawę o procentach, o karze umownej i zastawach antychretycznych, przez W. D. napisaną, w Bibliot. Warsz. na miesiąc marzec i kwiecień 1841 r. umieszczoną (*).

Kilka lat już upłynęło, jak światły autor, ogłosił drukiem rozprawę o procentach, o karze umownej, i o zastawach antychretycznych, i w niej objawił zdanie swoje o tłómaczeniu przepisów prawa, dotyczących tych nader ważnych przedmiotów.

Gdy nikt z prawników dotąd na rzezoną rozprawę nie odpowiedział, mógłby ktoś nieświadomy rzeczy sądzić, że albo przedmiot rozprawy jest obojętny, albo sposób rozwiązania zachodzących wątpliwości, jest tak dokładny, tak pewny i jasny, że już dalszego rozbioru nie wymaga. Przecież tak nie jest: bo co do ważności przedmiotu rozprawy, śmiało powiedzieć można, że mało jest

(*) Jakkolwiek w mniemaniu Redakcyi, ściśle utrzymanie prawnej stopy procentu, nietylko nie szkodzi kredytowi, lecz owszem przez zwrócenie kapitałów do przyrodzonego im biegu, silnie go podnosi, wszakże, dla ważności praktycznej i codzienniej przedmiotu, i przez poszanowanie dla wolności ściérających się zdań, chętnie karty swoje dla wysłuchania innego, zwłaszcza tak poważnego głosu otwiera; z tą jeszcze przyjemną nadzieją, że spór ten, wywołać może energiczniejsze powtórzenie zdania autora z roku 1841, którego rozprawa z powszechném uznaniem przyjętą była.

przedmiotów, któreby więcej na powszechną uwagę zasługiwały, jak obecny. Przedmiot ten, obchodzi nie tylko prawników, tak pod względem teoryi jak praktyki; ale nadto obchodzi wszystkich kapitalistów, kupców, bankierów, obchodzi tych wszystkich, którzy wypożyczyli, lub mają kapitały do wypożyczenia; i tych, co są w potrzebie pożyczania. Przedmiot ten ma nierozdzielny związek z kredytem; kredyt stoi na procentach, a na kredycie polega przemysł i handel, które są podstawą pomyślności krajowej, a zatem przedmiot jest ze wszech miar ważny.

Co się tycze sposobu wyłożenia obranego przedmiotu, należy oddać sprawiedliwość znanemu światłu autora, który mistrzowskim piórem usiłuje wyjaśnić zachodzące wątpliwości. Kiedy jednak przedmiot jest téj natury, że jedynie przez władzę prawodawczą, stanowczo mógłby być rozstrzygnięty; zdania zaś pojedynczych prawników, nigdy za ostateczne uważane być nie mogą; kiedy autor rozprawy, objawił teorią zupełnie nową, trzydziesto-kilko-letniej praktyce, licznymi wyrokami wszystkich instancyj uświęconej, przeciwną; a może nawet duchowi i literze prawa nieodpowiednią; kiedy ta nowa teoria, wsparta powagą autora, równie z teoryi, jak z praktyki zaszczytnie znanego, pokryta milczeniem innych prawników, mogłaby znaleźć zwolenników z uszczerbkiem powszechnego kredytu; przeto z powołania mego, sędzę się upoważnionym, stanąć w obronie *obrażonych* przepisów prawa.

Co do rozdziału I^{go} o procentach.

W tym rozdziale, zamieścił autor wywód historyczny przepisów prawa co do procentów, jakie w kraju tutej-

szym kolejno obowiązywały; a doszedłszy do przepisów teraz obowiązujących, mianowicie: do ustawy o procentach z dnia 16 grudnia 1811 r. i ustawy z dnia 14/26 kwietnia 1818 r. twierdzi: iż ta ostatnia ustawa, nie była należycie zgłębiona i pojęta; że się z niej uformowała jurysprudencja korzystna dla ludzi, których sposobem do życia, małe sumki pożyczać na ogromne procenta; że z téj ustawy mylnie jest wyprowadzoną zasada: jakoby zwrotu już zapłaconego wyższego procentu, żądać nie było wolno; przyznaje autor, że z mylnego zapatrywania się na tę ustawę, nietylko interesowanych, ale nawet z powołania prawników, wynikło niejako *axioma tradycyjne* od jednego do drugiego przechodzące: że procent zapłacony bez względu na to jak wysoki, czyli prawem dozwolony lub nie, jest wyjęty z pod rozpoznawania sądów.

Pomimo takiego przyznania, usiłuje autor dowieść: że tłómaczenie téj ustawy jest mylném; że zwrot procentów chociaż już zapłaconych, prawnie żądany i zasądzony być może. Na poparcie swego twierdzenia, powołuje się na prawa Rzymskie, na prawa Francuzkie; przyznaje wreszcie, że gdy w ustawie krajowej z r. 1811, różnej od ustawy we Francyi obowiązującej z r. 1807, nic więcej nie postanowiono, jak że procent umówny nie może być przez sąd przysądzony wyżej jak procent prawny, zachodzi ztąd *wątpliwość* co do zwrotu zapłaconego procentu. Tę wątpliwość, chce autor rozumowaniem usunąć, i twierdzi, że ustawa z r. 1818, *implicite* przyjmuje zasadę: że niedozwolone procenta zwrotowi ulegają; że gdy prawo nie dozwala wyższego procentu nad 5 z argumentu *a contrario*, wyprowadza wniosek: że zapłacone wyższe procenta zwrotowi ulegać powinny.

Z tego wszystkiego, co autor na poparcie swojego twierdzenia przytoczył, widzimy: że nie ma przepisu obowiązującego, któryby w kraju naszym zwrotu zapłaconych, chociażby wyższych nad prawo procentów, żądać pozwalał; że ustalona praktyka sądowa, przynosi dowód przeciwny; że autor twierdzenie swoje opiera na rozumowaniu, które jakkolwiek jest pozorném, to jednak nie ma prawnej podstawy, a nawet wyraźnemu brzmieniu ustawy o procentach, i ogólnym przepisom prawa, jest przeciwném.

Prawa Rzymskie, jakkolwiek wielką mają powagę, i są źródłem wielu ustaw późniejszych; to przecież u nas nie są obowiązujące, i obok istniejącej ustawy specjalnej do przypadku, niewłaściwém jest powoływanie się do praw Rzymskich. *Ustawą cywilną* naszego kraju, jest kodex cywilny Francuzki; ale ten kodex nie objął przepisu o stopie procentu; zostawił to oddzielnej ustawie, która we Francyi na dniu 3 września 1807 r., uchwaloną została. Ta ustawa Francuzka, nigdy w kraju naszym mocy obowiązującej nie miała, a art. 1907 K. C. dopiero przez ustawę z dnia 16 grudnia 1811 r., dla kraju naszego uzupełnionym został. Prawodawca, nadający temu krajowi kodex cywilny Francuzki, wiedział zapewne o istnieniu ustawy Francuzkiej o procentach z r. 1807, mógł ją być wraz z kodexem zaprowadzić, lub przez późniejsze postanowienie za obowiązującą ogłosić; ale uważał ją za niestosowną dla kraju, kiedy jej mocy prawa nie nadał, i kiedy nową, zupełnie odmienną, na innych zasadach opartą, ustawę przepisał.

Zobaczmy główną różnicę, między prawem Francuzkiem z r. 1807, a ustawą krajową z r. 1811.

Prawo Francuzkie z r. 1807, jest téj osnowy:

Art. 1. „Procent umówny, nie może przenosić w przedmiocie cywilnym 5 od sta, a w przedmiocie handlowym 6 od sta”.

Art. 2. „Procent prawny, będzie w przedmiocie cywilnym 5 od sta, a w przedmiocie handlowym 6 od sta.”

Art. 3. „Gdy będzie dowiedzioném: że *pożyczka umówna* nastąpiła na stopę procentu, wyższą od téj, która jest postanowiona w art. 1, *wierzyciel będzie skazany na zwrot przewyżki jeśli ją otrzymał, lub na potrącenie z kapitału*; może być nawet odesłanym przed sąd poprawczy po ukaranie, stosownie do następnego artykułu.”

Art. 4. „Każdy który będzie oskarżony, że się zwykle lichwą zatrudnia; będzie oddany pod sąd poprawczy, a w razie przekonania, skazany na karę pieniężną, nieprzechodzącą połowy kapitałów, pożyczonych na lichwę. Jeżeli się pokaże: że zachodzi oszustwo ze strony pożyczającego, będzie on skazany oprócz powyższej kary pieniężnej, na karę więzienia dwóch lat nieprzenoszącego.”

Nie ma wątpliwości, że podług téj ustawy, procent *umówny* nie może być wyższy jak 5 w czynnościach cywilnych, a 6 w handlowych; że o większy procent, niewolno się ani umawiać, ani brać, ani zasądzać, pod karą zwrotu przewyżki, pod karę pieniężną, nieprzenoszącą połowy kapitału, na lichwę pożyczonego, i pod karę dwuletniego więzienia. Ta ustawa ma datę 3 września 1807 r.; istniała już i miała moc obowiązującą we Francyi, w chwili zaprowadzenia u nas kodexu Francuzkiego, z dniem 1 maja 1808 r.. Znaną była zapewne ta ustawa prawodawcy przepisującemu kodex cywilny, za prawo obowiązujące tego kraju. Dlaczegoż wraz z kodexem nie zaprowadził u nas ustawy procentowej z r. 1807; kiedy ona stanowiła dopełnienie art. 1907 K. C.? Oto

dlatego, że prawodawca uważał ją za niestosowną dla naszego kraju. Ustanowienie stopy procentu, zależy od okoliczności, czasu i miejsca; od ilości kapitałów i możliwości ich użycia. Francya ma kredyt ustalony, posiada miliardy kapitałów; bankierowie nie płacą kapitalistom więcej, jak po 2 lub 3 procentu, a sami chętnie wypożyczają na półczwarta lub na cztery. Ustanowiona więc stopa umównego procentu na 5 lub 6, jest tam bardzo dostateczną; i dlatego prawodawca Francuzki, nie wahał się obostrzyć wszelkiemi rygorami prawa, pobiéranie wyższych procentów. Ale w kraju naszym, gdzie massa kapitałów, stosunkowo była bez porównania mniejszą, gdzie kredyt nie był jeszcze ustalony; unikać należało ustaw ścieśniających kredyt i tamujących obieg kapitałów. Z tych przeto przyczyn, nasz prawodawca, miał gruntowne powody nieprzyjęcia ustawy Francuzkiéj, i dlatego w roku 1811 przepisał ustawę procentową téj osnowy:

§ 1. „W stosunku do powyższego art. 1907 K. C., wysokość procentu prawnego, ustanawia się w czynnościach cywilnych po 5 od sta, a na 6 od sta w czynnościach handlowych.

§ 2. Procenta niższe od 5 od sta, przez zapisy zapewnione na stałe fundusze, w swojej mocy zachowują się.

§ 3. Procent umówny nie może przez sąd przysądzonym być wyżej, jak procent prawny”.

Ustawa z r. 1818, nie zmienia głównych zasad ustawy z r. 1811, lecz takowe wyjaśnia.

Art. 1. tak brzmi: „Ustawa sejmu księztwa Warszawskiego, z dnia 16 grudnia 1811 r., stanowiąca wysokość procentu, w swéj mocy zostaje.

Art. 2. Przepisy jednak artykułu 3go, w związku z 4 téjże ustawy, zastosowanemi będą w ten sposób:

a) Procent pod rzezoną ustawą umówiony, podług umowy przysadzonym być ma, do dnia ogłoszenia téj ustawy, jeżeli prawa téj epoki, w której umowa zawartą była, pozwalały wyższego procentu nad 5 od sta.

b) *Od dnia zaś ogłoszenia téjże ustawy, procent dawniej umówiony, w żadnym przypadku, nie może być nad 5 od sta przysadzony; ale zwrotu już zapłaconego wyższego procentu, żądać nie wolno.*"

Oto jest dosłownie przytoczona cała ustawa z r. 1818, z której, pomimo jój wyraźnego brzmienia, że od dnia ogłoszenia ustawy z r. 1811, *zwrotu już zapłaconego wyższego procentu, żądać nie wolno*; usiłuje autor rozprawy, przez rozumowanie wyprowadzić zasadę, przeciwną literze prawa: *że zwrotu już zapłaconego wyższego procentu, żądać wolno.*

Niewielka wprawdzie zachodzi różnica, między literą prawa, a jego tłómaczeniem; prawo powiada: *żądać nie wolno*; autor mówi: *żądać wolno*; ale to jedno *nie*, stanowi tu wszystko i rozwiązuje wszelką wątpliwość. Sam autor przyznaje: że ile mu się zdarzyło czytać lub słyszeć, ustawa z r. 1818 nie była zgłębiona, i należycie pojęta; to jest: nie była tak pojęta, jak ją autor chce pojmować. Przyznaje autor, że z mylnego zapatrywania się na tę ustawę, nietylko tych, którzy są interesowani, ale nawet z powołania prawników, wynikło *axioma* tradycyjne, od jednego do drugiego przechodzące: że procent zapłacony bez względu na to jak wysoki, czyli prawem dozwolony, lub nie, jest wyjęty zpod rozpoznawania sądów. A zatem, podług twierdzenia samego autora, wszyscy, których tylko czytał, lub słyszał (a ma do tego co-

dzienną sposobność); wszyscy nietylko interesowani, ale nawet z powołania prawnicy, są w błędzie, i nie rozumieją obowiązującej ustawy. A ja dodam jeszcze, że jeżeli w literalnym tłumaczeniu tej ustawy zachodzi błąd, to ten błąd od lat trzydziestu kilku, popełniałyby sądy wszystkich instancyj; bo wszystkie wyroki w różnych sądach, i w różnych czasach zapadłe, tak rozumieją tę ustawę, jak się ona sama wyraża:

„Ale zwrotu już zapłaconego wyższego procentu, *żądać nie wolno.*”

Zobaczmy teraz, na czém autor opiera to swoje twierdzenie, że wszyscy się dotąd mylili w rozumieniu ustawy, a on ją tylko jeden w prawdziwym duchu pojął i rozumiał.

Oto powiada autor: „że takiej zasady w samym prawie być nie może, gdyż takowa niszczyłaby samo prawo, i czyniłaby je bezskuteczném.” Jabym sądził przeciwnie, że prawo to z zupełnym skutkiem wykonane być może: jeżeli wierzyciel przyjdzie do sądu z żądaniem wyższego procentu nad prawny, sąd go oddalić powinien; bo jest wyraźny przepis prawa, który stanowi: że w żadnym przypadku procent umówiony nie może być nad pięć od sta *przysądzony*; ale nawzajem, jeżeli przyjdzie do sądu dłużnik z żądaniem zwrotu już zapłaconego wyższego procentu, sąd go również oddalić powinien, bo zwrotu już zapłaconego wyższego procentu *żądać nie wolno.*

Powołuje się dalej autor rozprawy na motywa ustawy z roku 1818; ale jak osnowa ustawy nie obejmuje przepisu nakazującego zwrot zapłaconych procentów, tak też motywa obejmować tego nie mogą. Z motywów autor wyprowadza wnioski: że dodatek o zwrocie procentu, odnosił się do umów przed rokiem 1811 zawar-

tych; w której epoce, jeśli prawa pozwalały wyższego procentu, od ustanowionego w roku 1811, i ten wyższy, zawsze jednak prawny, nie podlegał zwrotowi.

Ustawa z roku 1818, objaśniając ustawę z roku 1811, stanowi: „*że od ogłoszenia téjże ustawy, procent w żadnym przypadku nie może być nad 5 od sta przysądzony, i że zwrotu już zapłaconego procentu żądać nie wolno*”; a zatem ustawa ta, nie rozciąga się na *przeszłość*, ale na *przyszłość*; nie *do ogłoszenia*, ale *od ogłoszenia* ustawy z roku 1811, zwrotu już zapłaconego wyższego procentu, żądać nie wolno.

Przypuśćmy wreszcie z autorem rozprawy: że rozporządzenie ustawy z roku 1818, ściąga się tylko wyłącznie, do umów przed r. 1811 zawartych, a nie ma żadnego zastosowania na przyszłość; zostaniemy więc co do procentów, przy ustawie z roku 1811, która to tylko stanowi:

„*Że procent umówny, nie może przez sąd być przysądzony wyższy, nad procent prawny.*”

Co do wysokości zasądzić się mającego procentu, jako na wyraźnej osnowie prawa opartej, żaden spór zachodzić nie może; idzie tylko o to, jak postąpić w przypadku żądania zwrotu zapłaconych nadprawnych procentów, jeżeli ustawa z r. 1818, ma się ściągać tylko do umów przed r. 1811 zawartych; a inna szczególna ustawa, co do tego punktu nie istnieje? Zapewnie w braku wyraźnej ustawy krajowej, nie będziemy czerpać zasad z ustawy Francuzkiej, o procentach, z r. 1807. Jak tylko na to zgodzić się musimy że ta ustawa, nakazująca zwrot nadprawnych procentów, pod karą pieniężną i więzienia, u nas nigdy mocy obowiązującej nie miała; że nasz prawodawca, znając dobrze tę ustawę, mógł ją jako stanowiącą dopełnie-

nie art. 1907 K. C. za obowiązującą ogłosić, a przecież tego nie uczynił, i inną zupełnie odmienną ustawę przepisał, w której nie zabronił zawierać umów o wyższe procenta, nie postanowił wyraźnie obowiązku zwrotu wyższych procentów, ani kar na zawieranie umów podobnych, jedynie tylko sądom *przysądzenia* wyższych procentów zabronił; to niemożemy na moment obstawać przy zastosowaniu rygorów ustawy Francuzkiej, która nietylko nigdy przyjętą, ale przez ustawę krajową, wbrew tamtej przeciwną, za niewłaściwą i niestosowną dla kraju naszego, uznaną została.

Nakazywać wyrokami zwrot procentów, byłoby to wykonywać odrzuconą u nas ustawę Francuzką. Nie można się tu powoływać na powagę komentarzy Francuzkich, które zgodzą się zapewne na to: że procenta wyższe nad prawo, chociaż dobrowolnie zapłacone, zwrotowi ulegają; bo autorowie Francuzcy polegają na wyraźnej woli swego prawa, które u nas, nietylko nigdy mocy obowiązującej nie miało, ale przeciwną zupełnie ustawą odrzucone zostało. Nie szukajmy podstawy dla wyroków naszych w prawach obcych, nigdy u nas nie obowiązujących. Jeżeli ustawie z r. 1818 mocy obowiązującej na przyszłość odmówimy, i zostaniemy bez szczególnego przepisu co do zwrotu zapłaconych procentów; to w takim razie brak szczególnych przepisów, ogólnymi przepisami zastąpić należy.

Stanowczym byłby co do tego punktu przepis art. 1235 K. C., który tak brzmi:

„Każde zapłacenie domyślać się każe długu; można się o to upominać, co było zapłacone bez obowiązku.

Nie przyjmuje się upominanie, co do obowiązków naturalnych, które wypełnione były dobrowolnie.”

Wiadomo każdemu prawnikowi, że obowiązki naturalne, są te, do których wykonania, podług praw cywilnych, nikogo przymusić nie można. Prawo cywilne nie dopuszcza sprawy zgry i zakładu, jak to art. 1965 K. C. stanowi. Jeżeli wygrywający w karty, wytoczy akcją o zapłacenie długu z kart, będzie oddalony; i przeciwnie jeżeli przegrywający należytość z kart zapłacił, nie może się upominać o zwrot zapłaconej należytości, bo dopełnił zobowiązania naturalnego, zobowiązania sumienia i honoru, a przeto zwrotu żądać nie może; tak stanowi art. 1967 i art. 1235 K. C. Ktoby zawarł umowę dla przyczyny niegodziwej, ktoby się podjął dostarczyć cudzą własność za pośrednictwem kradzieży, odbyć pojedynek, czynić posługi, prawu lub dobrym obyczajom przeciwne, ten podług art. 1131 K. C. nie mógłby się wynagrodzenia za dopełnienie takiej umowy dopominać; ale jeżeli dłużnik taką umowę wykonał, nie może już więcej zaskarżać umowy i żądać zwrotu tego, co na skutek nieważnej umowy zapłacił.

Prawo uważa za niezdatnych do zawierania umów: nieletnich, bezwłasnowolnych, mężatki; ale gdyby nieletni po dojściu do pełnoletności, bezwłasnowolni po zniesieniu bezwłasnowolności, mężatka w asystencji męża lub zostawszy wdową, umowę nieważnie zawartą potwierdzili i wykonali, jużby im więcej skarga przeciw takiej umowie nie służyła.

Jeżeli prawo, w przypadkach nawet umów nieważnych, lub wyraźnie prawem zabronionych, nie dozwala regressu przeciw tym umowom, gdy już dobrowolnie wykonane zostały; tymbardziej przepis ten, do zwrotu procentów dobrowolnie umówionych i zapłaconych, zastosowanym być winien. Prawo nasze nie zabrania uma-

wiać się i płacić wyższych procentów; zabrania tylko sądom zasądzać wyższe procenta, a nie wchodzi w stosunki umów dobrowolnie wykonanych, poza obrębem sądu. Ustawa procentowa Francuzka z roku 1807, jest prawem wyjątkowém od art. 1235 K. C.; ta ustawa zabrania umawiać się o wyższe procenta, i nakazuje zwracać pobrane. U nas ta ustawa nie ma mocy obowiązującej; nie ma także żadnego innego prawa, któreby nakazywało zwrot dobrowolnie zapłaconych procentów; a przeto art. 1235 K. C., w całej osnowie zastosowanym być powinien; podług którego niedopuszczalném jest wszelkie upominanie się, co do obowiązków naturalnych, dobrowolnie wykonanych.

Dobrowolne wykonanie umowy, pociąga za sobą, podług art. 1338 K. C., zrzeczenie się wszelkich środków i wyjątków, któreby można wnosić przeciw tej umowie.

Gdyby więc nie było żadnego specjalnego prawa, o niemożności wymagania zwrotu procentów nadprawnych, dobrowolnie zapłaconych; z powołanych ogólnych przepisów prawa, wynikałaby jasno ta prawda: że procentów dobrowolnie zapłaconych zwrotu żądać nie wolno. Ale kiedy prawodawca, przyjmując Kodex Francuzki, ustawę o procentach, jako niestosowną odrzucił, kiedy niewdając się w czynności za obrębem sądu, pomiędzy stronami dobrowolnie wykonane, tylko w razie zachodzącego sporu, zabronił sądom zasądzać więcej jak 5 i 6 procentu, kiedy wbrew ustawie Francuzkiej, jasno i wyraźnie powiedział:

„Że zwrotu już zapłaconego wyższego procentu *żądać nie wolno*”; to przy tak widocznej różnicy w tym punkcie prawodawstwa naszego, od Francuzkiego, przy tak

jasnej ustawie jak jest nasza, nie można ani na chwilę powątpiewać, że wszelka akcja, pod powagą teraz obowiązującego prawa, o zwrot zapłaconych procentów wyniesiona, jako wyraźnemu prawu przeciwna, wprost oddaloną być winna. Tak przez lat trzydzieści kilka, sądziły jednozgodnie sądy krajowe wszystkich instancyj; a zaprowadzenie nowej teoryi, byłoby prawu przeciwne, i w skutkach swoich nader niebezpieczne. Nie obawiamy się tego bynajmniej, że utrzymanie dawnej teoryi, pomnoży liczbę lichwiarzy i nada sankcją lichwie. Przez lat trzydzieści kilka, dawna teorya, żadnych złych skutków nie pociągnęła, a łatwo przewidzieć, jakie klęski ściągnęłaby nowa. Od momentu zjawienia się tej nowej teoryi, zaczynają już niekiedy powstawać nowe processa, w których nierzetelni dłużnicy, żałując, że dopełnili swoich zobowiązań, przychodzą probować, czy im się nie uda odebrać tego, co już raz zapłacili. Dążenie to nie może się udać, bo jest niesłuszne i nieprawne; bo zniszczyłoby zupełnie kredyt, który w kraju naszym, zachęcać, nie niszczyć wypada; bo wstrząsnęłoby majątki wielu rodzin, pod powagą prawa nabyte, i stworzyłoby tysiące nowych processów. Trudno zataić, że nowa teorya wywarła już skutki swoje na niektóre sądy; ale i tego zamilczeć nie można, że ta sama teorya, wstrząsnęła już i zachwiała kredyt powszechny; że kapitaliści jedni wstrzymują udzielanie pożyczek, aż do ostatecznego rozstrzygnięcia w sądach kwestyi procentowej; drudzy wymawiają swoje kapitały. Jestto tryumfem autora rozprawy, że jego opinia zwróciła uwagę wielu osób; ale obawiamy się, aby ten tryumf nie stał się ogółowi szkodliwym. Ustawa obowiązująca przepisała, że sądy więcej nad 5 lub 6 procentu zasądzać niemogą; i w tym punkcie ustawa jest

święcie wykonywaną; ale prawodawca nie chciał ścieśniać stosunków pomiędzy prywatnymi, nie zabronił im umów dobrowolnych o procenta, ani dobrowolnego onych wykonania; przeciwnie postanowił: że zwrotu zapłaconego wyższego procentu żądać nie wolno. Sędzia prawa nie stanowi, pilnuje tylko wykonania onego; i dlatego nie może być surowszym od samego prawodawcy; nie może obowiązywać do zwrotu zapłaconych procentów, bo na to nie ma żadnego szczególnego prawa, a przepisy ogólne stanowią: że to, co raz, chociaż bez obowiązku prawnego, dobrowolnie zapłaconém zostało, to jako zobowiązanie naturalnie wykonane, zwrotowi nie ulega.

Wiadomo jest każdemu, kto tylko z tokiem interesów jest obeznanym, że 5 procent najczęściej tylko na papierze istnieje, a rzeczywiście mało kto na 5 procent pożyczka. Pożyczki na pierwsze hipoteki, następują za umówionym wyższym procentem; a od pożyczek wexlowych i rewersowych, opłacają się procenta znacznie wyższe, jak od hipotekowanych. Umowy takie zawierają się i wykonywają w dobrej wierze.

Prawo nie samym tylko dłużnikom, ale i wierzycielom winno przynosić obronę. Jeżeli nazwiemy lichwiarzem tego, kto swój procent, dobrowolnie umówiony i zapłacony, odbiera, takowy na swój użytek obraca, i w dobrej wierze, swój wydatek do przychodu stosuje; to jakże nazwać dłużnika, który dla uzyskania pożyczki, umyślnie wyższy procent ofiaruje, takowy przez lat kilkanaście, regularnie i dobrowolnie płaci; corocznie przez dobrowolne wykonanie umowę zawartą stwierdza; a po upływie lat kilkunastu, występuje ze skargą przed sąd, o uznanie całego kapitału za zaspokojony przewyżkowemi procentami? Mająż się sądy przychylić,

do skargi dłużnika, który przez lat kilkanaście złą wiarą w błąd wprowadzał wierzyciela, aby go w końcu z majątku wyzuć i do upadku doprowadzić?

Gdyby podług nowój teoryi przyszło przypuścić, że wszelkie wyższe procenta, już pobrane, zwrotowi ulegają; zamknęłyby się i wyszły z obiegu wszystkie kapitały prywatne; niktby nie chciał pożyczać, a ci którzy już wypożyczyli, staraliby się jak najprędzej kapitały swoje ściągnąć, aby nie być narażonemi na zwrot pobranych procentów. Trudno obliczyć, ileby taka teorya domów handlowych i fabryk do upadku przywiodła; ileby własności nieruchomości w jednym czasie, na przymuszone wywłaszczenie, wystawionych zostało; ile majątków byłoby wruszonych, ile rodzin do ubóstwa przywiedzionych!

Unikając tak niebezpiecznej nowości, zostaniemy przy dawniej teoryi, na słuszności, na dobrej wierze, na wyraźnych przepisach prawa, i na trzydziesto-kilko-letniej praktyce opartej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O BURSZTYNIE, I Z CZEGO ON POWSTAŁ? (1)

przez

Antoniego Wąga.

Bursztyn w języku starożytnych Greków, ma owo nazwisko *ήλεκτρον* (2), pamiętne udzieleniem miana cudownej elektryczności, którą na pociieranym bursztynie najprzód spostrzeżono. Nazwisko, którym Rzymianie oznaczyli bursztyn: *succinum* od *succus* (sok), dowodzi zarazem, że go za zgęstnioną ciecz, za sok roślinny uważali (3). Frau-

(1) O bursztynie, wielu i dawniej pisało, i teraz pisze. I nasza literatura niemało, chociaż rozrzuconych wiadomości o nim podaje. Najzupełniejszą jest bez zaprzeczenia praca ś. p. Józefa Haczewskiego mag. fil. Jestto porządna rozprawa o bursztynie, pod względem historycznym, handlowym, technicznym, statystycznym i t. d., a osobliwie co do kopalń bursztynu w Polsce, nader ważna, umieszczona w szacownym z tyłu miar *Sylwaniu*, tom XIV, r. 1838, od str. 191—251 i 358—428 (8½ ark. druk.) Dawniejsza i nierównie krótsza wiadomość o bursztynie, napisana przez Jana Freyera, Kraków 1833 (44 stron. 8vo), mieści także wiele ciekawych szczegółów. Szeroką wzmiankę o bursztynie czyni Narbutt, *Dzieje starożytne narodu Litewskiego*, tom 2 od str. 204 do 211, i ku końcowi tegoż tomu obszerny, od str. 457 wyjątek z Kotzebuego o bursztynie zamieszcza.

(2) Złąd i po łacinie *electrum*. Mówią, że po Arabsku, bursztyn zowie się *elek*, co w tym języku znaczy także *żywica*.

(3) Wiadome powszechnie wyobrażenie mitologiczne (*Ovid. Met. II, 264. Plin. hist. nat. XXXVII, 11*) o początku bursztynu: że gdy siostry Faetona, płaczące zabitego piorunem brata, przemieniły się w topole, ich łzy stawszy się tych drzew sokiem (gummą topolo-

cuzi poszli za temi, którzy bursztyn najpierw jako płód morza poznać musieli, gdy podciągnęli go pod nazwisko innego płodu morskiego, ambry, dla różnicy od niej żółtą go ambłą (*ambra citrina*, *ambre jaune*) nazywając (4). Niemieckie *Bernstein* wyprowadzają od starego słowa *bernen*, *bören*, to jest *brennen*, że bursztyn jest minerałem palnym (5). Polskie nakoniec *bursztyn*, widocznie za Niemieckim poszło.

Znane są powszechnie własności powierzchniowe bursztynu. Jest on albo przezroczysty, mniej w rzemiosłach ceniiony, albo też ciemny, troskliwiej do robót poszukiwany. *Przezroczysty*, jest koloru żółtego, do świeżo z drzew wyciekającej żywicy podobny. Taki przedstawia pod naukowym względem tę korzyść; że różne, najczęściej organiczne ciała, jakoto owady, szczątki roślin i t. p. wewnątrz

wą), działaniem słońca, w bursztyn się odtąd przemieniały. Jest i drugie starożytne nazwisko Łacińskie bursztynu *Glessum*, *Glessium*, *Glesum*. Słownikarze dodają *quasi ex glacie*, lecz niestuszenie, ponieważ tak Pliniusz (l. c.) jako i Tacyt (de morib. Germ.) świadczą, iż to jest nazwisko bursztynu u Germanów. Z niego też pewnie i Niemieckie *Glas* (szkło), *Glantz* (połysk), a może nawet Słowiańskie *Glaz* (oko) i Litewskie *Stiklas* poszło, jak dosyć do przekonania wywód ten przedstawia Narbutt, *Dzieje, starożytne narodu Litewskiego*, tom II na str. 205.

(4) To *ambra* ma być początkowo Indyjskim. Nazwisko Francuzkie *le succin*, z Łacińskiego i tylko w naukowym języku używane, a inne *le karabé*, używane niekiedy i przez piszących po łacinie *carabe*, jest wyrazem Arabskim a raczej Perskim przez Maurytanów do Europy wprowadzonym. W średniej łacinie nazywano jeszcze bursztyn *sacal*, co ma być nazwiskiem jego Egipskim, którym także Fenicyanie i dawni Izraelici bursztyn oznaczali.

(5) Jest jeszcze dawne Niemieckie *Agtstein*, albo *Aitstein*, które pochodzi od słowa *aiten*, znaczącego również to samo co *brennen*. Za świadectwem Pliniusza, mieszkańcy wyspy Abalus (jeden z ludów tam mieszkających gdzie się dotąd bursztyn nad Bałtyckim morzem znajduje), używali bursztynu na opał: *incolas pro ligno ad ignem uti eo* (l. s. c.).

w nim zatopione, wyraźnie widzieć się dają. Najprzezroczystszy po wypolerowaniu bursztyn, z czasem przez wpływ powietrza, światła i ciepła, ciemnieje. Widać to, mówi Berendt (6), na kawałkach, które będąc zaświeższymi koloru najjaśniejszego wina Mozel, w przeciągu lat 60, w kolor najciemniejszego Węgierskiego przeszły; a dla zapobieżenia temu, przedmioty bursztynowe, ciemno i nie w bardzo ciepłym miejscu przechowywać radzi. Niekiedy przezroczysty bursztyn w kolor czerwony, zielonawy, brunatny i t. d. wpada. Nieprzezroczysty bursztyn, bywa najczęściej jak kość białą, i wtedy stanowi odmianę (*Bastardsorte*) najpożądanszą na wyroby; albo też przedstawia flader złożony z ciemnych białych żyłek, mieszających się z przezroczystymi żółtymi, z czego wynikły kolor bursztynu, rzemieślnicy *kapuścianym* (*Kumstfarbe*) zowią. Białą nieprzezroczystą bursztyn, zdołają czasem piękne dendrytyczne plamy czarne, a w przezroczystym, ciągną się niekiedy ciemne żyłki kierunkiem prostym i równoodległym. Bursztyn nieprzezroczysty, nader rzadko miéwa kolor głęboko czarny, i wtedy do gagatu bardzo jest podobny. Niekiedy jeden kawałek bursztynu, wszystkie te odmiany jego przedstawia: przynajmniej w połowie przezroczysty w połowie ciemny, dosyć często się zdarza. Na początku tego wieku, u nas, najpiękniejszych i najosobliwszych bursztynów próby zebrał Michał Potulicki, który usiłował żywicy twardość bursztynu nadać (7), o czém, jak świadczy Felix Potocki (8), rozprawę na publiczném posie-

(6) *Die Insekten im Bernstein*, pag. 32, 33.

(7) Ztąd Haczewski w swojej rozprawie o bursztynie (*Sylwan* tom XIV, str. 227), liczy go do utrzymujących, że bursztyn z żywicznego drzewa pochodzi.

(8) W krótkim wspomnieniu o życiu Potulickiego, umieszczonym w tomie VI *Roczników Warszaw. Tow. P. N.* na str. 91.

dzeniu Warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, dnia 10 maja 1804 roku czytał. Bursztyn znajduje się w bryłach lub bryłkach pospolicie niekształtnych, czasem w kulistych prawie, czasem w pogniecionych; rzadko w tablicach, a dosyć często, osobliwie biały, w naciekach pięknego, to gruszkowatego, to różnego naśladowniczego kształtu. Powierzchnia tych wszystkich mass, bywa już bardzo gładka i z blaskiem, jakby wypolerowana, już w różnym stopniu chropowata.

Przez dzisiejsze poszukiwania, coraz więcej okolic ziemi w obręb ojczyzny tego pięknego minerału wchodzi, a zdaje się nawet, że bursztyn do całego okręgu ziemskiego należy. Jest w Prusach, osobliwie nad morzem Bałtyckim koło Memla, Królewca, Gdańska; jest na całym Pomorzu; na Żmudzi w okolicach Połongi (9), na całym Kurlandzkim pobrzeżu Bałtyku. Znajdują go też na brzegu południowym wyspy Ezel, około Arensburga; powiadają nawet, że się natrafia i w okolicach Rygi. Polska jest krajem, który po Prusach najwięcej bursztynu dostarcza. Każdy wie o jego kopalniach Ostrołęckich i Myszenieckich (10), a prócz tego, znajdowany bywa pod Krakowem, w Galicyi, w Karpatach, na Wołyniu blisko Dąbrowicy, w Litwie niedaleko Grodna (11). Bursztyn znajduje się nawet w samym

(9) Drzewiński, *Początki Mineralogii*, str. 345.

(10) Najobszerniejszą wiadomość o nich podał Haczewski w swojej rozprawie o burszynie (*Sylvan*, tom XIV, od str. 362).

(11) O znajdowaniu się bursztynu koło Połongi na Żmudzi, tudzież na Wołyniu, na Pomorzu, w jeziorze Gople w Kujawach, w wdztwie Poznańskim, i na górach Karpackich koło Podolińca wspomina już Dunczewski w Kalendarzu na rok 1769, co do tego ostatniego miejsca przytaczając nawet Reimana *Tractatus de succino Carpatico*. Rzączyński (Hist. nat. Reg. Pol. pag. 182) świadczy, że

sercu Europejskiego lądu: w środkowych Niemczech, w górach Turyngii i Mansfeldu; we Francyi: w okolicach Soissons, Saint-Quintin i innych; jest w Anglii, Szwecyi, Norwegii; jest w Hiszpanii, nad morzem Śródziemném, we Włoszech górnych i Sycylii. Za naszych już czasów postrzeżono bursztyn w okolicach, o których dotąd nic pod tym względem wiadomego nie było. W królestwie Polskiem w Blachowni, o kilka tylko mil od granicy Szląska górnego, dosyć duże kawałki bursztynu znalezione były (12): poczem, gdy w roku 1842 żelazną kolęj w Szląsku robiono, kopiąc na 20—25 stóp głęboko, odkryto kopalnie bursztynu na południowej pochyłości wzgórzów Łosięńskich, pomiędzy Brzegiem (*Brieg*) a Lwówkiem (*Löwen*), o 7 mil od Wrocławia. Odkryto go i koło Świdnicy w Szląsku (13). Niedawno także znaleziono bursztyn w okolicy Gross-Schoenebeck niedaleko Zehdenick (14), a teraz okazało się, że jest i na pobrzeżach morza Czarnego, na brzegach rzeki Samary wpadającej do Dniepru, i nad samym Dnieprem, zwłaszcza w koloniach Niemieckich z prawej strony téj rzeki leżących, o ośm i piętnaście wiorst od miasta Borysławia (15).

Ale bursztyn i w innych znajduje się częściach świata. Jest w północnej Ameryce, w Grenlandyi (16); w Azji

trafia się zewnątrz granic Pruskich nad brzegami Wisty, że w Mazowszu nad Narwią zbierał go jezuita Knapiusz, i różne z niego rzeczy toczył i polerował. W tych dawniejszych wszakże podaniach, nie czyniono może różnicy pomiędzy *znalazł się*, albo *był znaleziony*, a *znajduje się*, czyli *jest*.

(12) *Froriep's Notizen* 1844, Nr. 627, pag. 168.

(13) *Ibid.* l. c. i 1843, Nr. 567.

(14) *Ibid.* 1842, Nr. 503.

(15) *Gazeta handlowa i przemysłowa* 1844, Nr. 36, str. 3.

(16) Berzeliusz, w Chemii.

w górach Uralskich (17), w Kamczatce i Syberyi, tudzież w Assam; a na południu, w królestwie Awy.

Z tych wszystkich ojczyzn bursztynu, najznakomitszą jednak stanowią Prusy. Powszechnie wiadomo, że brzegi Bałtyckiego morza w dzisiejszych Prusach, jeszcze Fenicyan, z powodu bursztynu ściągają do siebie. Wyspą w bursztyn obfitującą, na którą kilka okrętów należących do floty cezara Giermanika burza z Elby zapędziła, a którą barbarzyńcy *Austrania*, Rzymianie zaś z powodu bursztynu (glessum) *Glessaria* nazywali, nie może być jak Cluverius i Francheville sądzą, wyspa Strand, przeciwległa wybrzeżu Holsztyńskiemu, bo tę okolicę już wtedy Rzymianie dosyć zwiedzali, a bursztynu w niej nie znajdowali; lecz była nią raczej część wyspy Usedom, która w dawniejszych czasach nazywała się *Ostrusna*, *Ostrosna*, a u Saxo Grammatyka *Ostrozna*, i w każdym czasie wiele bursztynu wydawała (18). Pierwszą pewną wiadomość o ważnym w starożytności bursztynowym handlu z północy, podał znakomity żeglarz Pytheas, który zarazem po to był wysłany, ażeby zbadać, gdzie się bursztyn rodzi. Uprzedza on, że w jego już czasach, zatem przeszło na 320 lat przed erą naszą, o handlu szacownym płodem północy, w Marsylii wiedziano (19).

Są ślady, że i nad brzegami Dniepru, gdzie jak dopiero powiedzieliśmy, świeżo minerał ten odkryto, była starożytna osada handlowa Greków, którzy oddawna

(17) *Sylvan*, tom XIV, str. 209.

(18) Dan. Gottl. Theresius, *Beitragge zur Naturhistorie des Pommerlandes*, w Leonhard Neues *Jahrbuch* 1839, pag. 358.

(19) Voigt, *Geschichte Preussens*, tom I, pag. 80. Handel bursztynem zowie Voigt „starym wodzem historycznego badania, który w dawniejszych czasach, Rzymski świat z północą połączył” i t. d. Porówn. wyjątek z Kotzebuego o burszynie, w Narbutta *Dzieje staroz. nar. Lit.* tom II, od str. 457.

znali Dniepr pod nazwiskiem Borystenesu, przynajmniej do progów. Ale jeszcze przed nimi Fenicyanie, którzy najpierw handlowali bursztynem, zapoznali się i w stosunki weszli z północnym Czarnego morza pobrażem. Czy nie tu więc najprzód poznali i bursztyn, nim zdołali dostać się do odległej odnogi Kurońskiej, ukrytej naówczas w bajecznych Hyperborejskich pomrokach? (20)

Gieologiczne położenie bursztynu, na większą niż dotąd gieologów uwagę zasłużyć powinno. Osobliwy ten minerał znajduje się w warstwowych i napływowych skałach. W Sycylii leży w warstwach marglu, w których wykopują siarkę razem z solą kuchenną i gipsem (21). Na przestrzeniach napływowego gruntu u nas i w pogranicznych Prusach, kopalnie bursztynu rozciągają się to pod warstwami piasku rozległe wydmy, najprzyjazniejsze słońcu dzisiejszej stanowiącemi, jak w Ostrołęckim i Myszeńskim, to wykopuje się na niskich i czystych łąkach, na żyznych polach podczas ich orania, tudzież głęboko w ziemi, podczas kopania, gdzie leży w warstwach piasku z lignitem, węglem kopalnym i t. d. jak to i u nas, i w Prusach (22), uważano. W niedawno odkrytych kopalniach bursztynu w Szląsku, minerał ten koło Brzega okazał się pod warstwą gliny na 15 stóp grubą, pod którą leży warstwa szaro-niebieskiego marglu warstwowującego się z marglem białym, i cienką warstewką kopalnego drzewa, okazującego niejakię usposobienie brunatnego węgla (23). Bursztyn koło Świdnicy leży pod warstwą piasku i błękitnawo szarą gliny, w głębokości stóp 12—15 (24).

(20) Gazeta handlowa i przemysłowa l. s. c.

(21) *Froriep's Notizen*, 1843, Nr. 559.

(22) *Preussische Landes und Volkskunde*.

(23) *Froriep's Notizen* 1843, Nr. 567.

(24) *Ib.*

Pożądaną byłoby rzeczą, ażeby kto z geologów zwiedził i rozważył tak głośne kopalnie bursztynu w kraju naszym, a które z tylu szczegółami opisał Haczewski w swojej rozprawie o burszynie, lecz który niestety, opisowi swojemu naukowej cechy nie nadał. Z tego bowiem źródła dowiadujemy się jedynie, że bursztyń leży tam na kilka *sztýchów* (3 — 8) głęboko pod ziemią, w zebraniach oddzielonych od reszty gruntu, to jest albo w tak nazwanych *pasach* czyli żyłach, a raczej rowkach, w jednym końcu węższych w drugim szerszych, największą szerokością swoją, tak nazwany *kociołek* stanowiących, albo też w *chlappach*, to jest w miejscach osobnych, do których żaden pas nie doprowadza. Czemto są dla geologa te pasy od $\frac{1}{2}$ do 4 łokci długie (25), a od 4—9 łokci głęboko w ziemi leżące, których, to *zwyczajnych*, to *krzywych* (łukowatych), to *złamanych*, to *przerwanych*, to *podwójnych*, *równoległych* lub *zkrzyżowanych*, to *z wylotem*, tak prostokréślnie wizerunki (26) pan Haczewski przedstawia? P. Haczewski, idąc za zdaniem Bocka i innych, którzy o burszynie w Prusach pisali, a z których wiele do swojej rozprawy czerpał, przyjmuje, że pasy sąto drzewa, których żywica bursztynem się stała, powalone na ziemię i piaskiem zasypane. Mówi, że ten stożkowaty pas, wypełniony jest

(25) P. Haczewski sam z sobą nie jest zgodny co do oznaczenia długości tych pasów. Na str. 370 powiedziawszy, że od $\frac{1}{2}$ do 4 łokci są długie, mówi znowu na str. 375, że dochodzą długości 110 i więcej! *Pasy, kotły, chlappy*, i t. p., jestto nomenklatura naszych krajowych bursztyńiarzy, którą pan Haczewski troskliwie zebrał (*Sylwan* t. XIV od str. 408) i której się trzyma, lecz nie porównał jej, jak należało, z naukową.

(26) Wizerunki p. Haczewskiego, nie przedstawiają zapewne tych pasów tak, jak one w ziemi leżą, lecz jak są rozkopane przez kopacza, trzymającego się linii prostych.

zczerniałém (zwęgloném) wiorzyskiem (lignitem?) pochodzącém z drzewa i kory, *lecz nie z porąbana drzewa, ale ze skruszenia go siłą czasu wynikłém*; że te wiory palą się dobrze na ogniu, wydając zapach bursztynowy; że pływają po wodzie; że wymoczyiny ich dają atrament i t. d. Tłómaczy, iż bursztyn dlatego najobficiej znajduje się w grubszych końcach pasów, że póki drzewo stało, jego sok do dołu ściekał.

Lecz innego w tej mierze zdania jest Gdańszczanin Berendt. On, który się najgłębiej nad geologiczném położeniem tego minerału zastanawiał, mniema, że wszystkie bursztyn na lądach, przez morze tam naniesiony został (27). „We wschoduich i zachodnich Prusach, mówi Berendt, prawie nie ma wsi, przy którejby się bursztyn nie znajdował w kawałkach pojedynczych, ale w miejscach bez geologicznego znaczenia. Bursztyn znajduje się prócz tego w żyłach (pasach), i gniazdach (chlappach). Żyły nie czém inném są, tylko pasmem dawnego wyrzutu morza, w brunatny węgiel i bitumiczną ziemię przemienionego. Gniazda poczytuję za punkta dawnego wybrzeża, zapadłe skutkiem pożaru, zameętu i t. p., w których wiatr i bałwany bursztyn zgromadziły. Jakoż w takich gniazdach w Prusach, znajdowano niekiedy jeszcze dość wyraźne ślady porostów morskich. Ale nikt dotychczas nie znalazł pnia osadzonego w takim gniaździe kierunkiem prostym, dowodzącym, że tam rosło drzewo, które dostarczyło bursztynu. Opowiadanie o znalezioném przed 60 laty drzewie koło Stolpe, brzmi nader bajecznie. Samo oglądzenie tych kawałków bursztynu, które się w takich gniazdach znaj-

(27) Czytaj jego korespondencyą w tej mierze. w *Froriep's Notizen*, 1842, Nr. 518.

dują (autor porównywał Myszenieckie z Brandenburskimi i innymi, i znalazł je zupełnie pod tym względem jednakowemi), dowodzi, że były już poprzednio po piaszczystém dnie morza toczone." „Zdaje się, mówi autor dalej, że miejsca obfitujące w bursztyn, biorąc podług karty geograficznój, stanowią ciągi czyli linie na północ ku centralnemu zejściu się swojemu dążące. Ostrołęka, Myszeniec, Friedrichsfelde, Friedrichshof, Schwanfeld, Bartenstein, Petersorth, stanowią jedną taką linią; jezioro Gopło, Toruń, Łośna (Lessen), Hockerland i Krebswalde koło Elbląga, drugą i t. p. Gdy zaś bursztyn znajduje się także w Assam, Kamczatce, Syberyi i Ameryce północnój, przeto i tam ciągnąć się muszą inne takie linie na północ" i t. d. (28).

W rzeczy samój, i dziś jeszcze niektóre morza, nade wszystko zaś Bałtyckie, wiele nawet rzek i jezior, są niewyczerpaném bursztynu źródłem. Nad brzegami Dniepru, gdzie także, jak wyżej już powiedzieliśmy, bursztyn odkryto, nie co rok tam i nie w każdym czasie go znajdują, lecz tylko po skończonym wyléwie wiosennym, i to wód większych, pokrywających wszystkie wzgórzystości (29). Bałtyckie morze, gdy północne i zachodnie wia-

(28) Froriep's Notizen, Nr. 518, 1842.

(29) Dunczewski, w Kalendarzu na r. 1769 świadczy, że z Rodony, rzeki na Pomorzu, bursztyn wybiérając, tudzież z wielu jezior, jak z Drawsen z którego rzeka Elbląg w Prusach wypływa, z Gopła w Kujawach, z jeziora Lubień w wdztwie Poznańskiem, z jeziora wsi Wierzocin w wdztwie Inowrocławskiem, z jeziora Habo w Prusach. W tych miejscach albo go siecią, jak w morzu, poławiają, albo téż sama woda na brzeg go wyrzuca. Z jeziora Habo, u dawnych Prusaków zowiącego się *Helibo*, bryła bursztynowa wybor-nego koloru, a wielka jak bułka chleba za trzy grosze w Gdańsku przedawana, razem z rybami siecią wyciągniona, królowi Janowi III ofiarowaną została.

try wieją, wzdłuż całego pobraża Prus, na ląd wyrzuca bursztyn, który umyślnie w tym celu ustanowieni strażnicy brzegów, regularnie w pierwszych dnia godzinach zabiérają. Największą jednak część tego natury płodu, wydobywają czerpaniem z morza. Czerpanie takowe odbywa się w każdej porze roku, a to następującym sposobem. Skoro bursztyn, skutkiem nawałnicy oderwany od dna morskiego i na bursztynowém ziele (poroście morskim) niesiony, do brzegu się zbliża, czerpacze spostrzegłszy pomienione ziele nadpływające, odziani w grube wełniane sukmany, albo skórzaną zbroją okryci, niosąc w rękę siatkę, czyli kacerz do kija przymocowany, brną aż po piersi w morzu, i kacerzami dna morskiego sięgając, chwytają bursztyn razem z ziele, które, przybliżywszy się do brzegu, na ląd wyrzucają. Tu kobiety i dzieci odłączają od ziela większe sztuki natychmiast, małe aż po skończeniu czerpania. Zatrudnienia te najwięcej przynoszą na zachodnich brzegach Żmudzi, to jest właściwych bursztynowych Prus brzegach; mniej bogactwami są pobraża Gdańskie i brzeg północny Żmudzi, a jeszcze mniej odnoga Kurońska i brzeg Memelski.

Ponieważ nawet głęboko w kraju, podczas orania albo kopania studni, nieraz sztuki bursztynu wydobywano; oddawna zatem powzięto myśl szukać tego kosztownego minerału z pomocą rydla (30). Jakoż, niemało z początku udawało się go tym sposobem wydobyć; lecz kiedy z czasem pożytek stawał się coraz mniejszy, postanowił w r. 1782 rząd Pruski, koło wioski Wielkie Hubniki, porządną kopalnię bursztynu otworzyć. Wybi-

(30) Jeszcze w r. 1467, Kazimierz IV król Polski, wydał przywilej, pozwalający wszystkim zarówno dobywać bursztyn w Prusach królewskich. *Freyer, O bursztynie* str. 30.

to szyb przeszło sto stóp głęboki, i staranném ocembrowaniem ubezpieczono go przeciwko obrywaniu się ziemi. Pracę uwieńczył skutek, a dochód w pierwszych trzech latach, o 1000 talarów przewyższał wydatki. Później, kiedy kopalnia zbyt mało wydawać zaczęła, zaniechano przedsięwzięcia, a wrócono się do pojedynczego wygrzebywania bursztynu, co nawet wewnątrz kraju koło Elbląga, Brunsberga, Szczytna, Friedrichshof, dosyć przynosi. Obecnie cały plon bursztynu w Prusach, którym rząd przedtém zawiadował, wydzierżawiany zostaje (31).

Za odkryciem niedawno kopalni bursztynu pod Gross Schoenebeck, zaraz ją rząd objął i ustanowił prawidłowe szukanie minerału, którego już do 700 funtów, w sztukach po części kosztownych, 4 funty ważących, wydobyto (32). W niedawno odkrytych kopalniach koło Brzega w Szląsku, znajdowane bywają kawałki od $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ funta ważące, zwykle mlęcznobiałej lub białawej odmiany. Przezroczystymi są tylko kawałki mniejsze, a w takich zaczęto już i owady postrzegać (33). Największa sztuka dotąd znaleziona koło Świdnicy w Szląsku, waży 21 łótów, i należy do najwyższej szacowanej odmiany, *Bastardsorte* zwanój (34).

Bryła bursztynu znaleziona przed kilku laty w Rosyi, w gubernii Ekaterynosławskiej, na brzegach rzeki Samary, wpadającój do Dniepru pod Ekaterynosławiem,

(31) *Preuss. Landes und Volkskunde*. O stanie naszych kopalń bursztynu, o zwyczajach jakich się trzymają dzierżawcy przy najmowaniu robotników do kopania bursztynu, o technicznym ich języku i t. p., obszernie i ciekawe wiadomości zawiera rozprawa p. Haczewskiego, w *Sylwanii*, tom XIV, szczególnie od str. 390.

(32) *Froriep's Notiz*. 1842, Nr. 503.

(33) *Ib.* 1843, Nr. 567.

(34) *Ib.*

ważniejszą jest przez wzgląd na swoje pochodzenie, niżeli przez wielkość, bo tylko 60 zołotników ($20\frac{1}{5}$ łóta Polsk.) waży (35). Anglicy posiadają godny zastanowienia okaz bursztynu z królestwa Awy. Ma on wielkość głowy dziecięcia, a wszędzie pokryty jest cienkimi żyłkami w różnych ciągnącemi się kierunkach, minerału krystalizowanego, który po przedsięwziętej próbie, okazał się być węglanem wapna (36). Najznakomitsza ze sztuk bursztynu, które w nowszych czasach znaleziono, odkryta była w r. 1803 przez pewnego pokomornie mieszkającego wieśniaka w Szłapakach, obwodzie Gumbińskim, we wschodnich Prusach, o 20 mil od Bałtyckiego morza, na pewnej małej łączce. Sztuka ta była na 14 cali długą, 8 cali szeroką a $5\frac{1}{2}$ grubą (37), i styrczała zpod ziemi wpośród mnóstwa kamieni. Znalazca wziął ją zrazu za krzemień, i odtrącił kawałek blisko 8 łótów ważący. Miała ona najpiękniejszy kapuściany kolor, i przez tamecznego nadleśnego rządowi odesłaną została. Nadleśny ten otrzymał 1000 talarów nagrody, to jest podług prawa $\frac{1}{10}$ część wartości. Wieśniak rzekł się przedtém wszelkich do niej pretensyj za 42 talary, krowę i owcę (38). Rzadka ta sztuka znajduje się dziś w gabinecie mineralogicznym w Berlinie (39). Mamy przykład z czasów dawniejszych, że gdy

(35) *Gazeta handlowa i przemysłowa* l. s. c.

(36) Leonhard, *Neues Jahrbuch*, 1837, pag. 708.

(37) Ważyła 13 funtów $15\frac{3}{4}$ łóta. *Sylvan*, tom XIV, str. 359.

(38) Mamy i z dawniejszych czasów podobnie smutne przykłady tej obojętności wieśniaczej. Dunczewski (l. c.) podaje, że na Wołyniu, wlesie, do wsi Moszczenica Dubińska należącym, gdy potoki wód na wiosnę zpagórków pędzące, odkryły bursztyn na łokieć długi a pół łokcia szeroki (?), oracz który go znalazł, odstąpił ten skarb żydowi za pół garnca gorzałki prostej!

(39) *Preuss. Landes und Volkskunde*. Na miejscu dawano za tę sztukę 5,000 talarów, a Armeńscy kupcy zapewniali, że w Konstan-

z jeziora górnego przy wsi zwanój Wierzocin w wdztwie Inowrocławskim, bursztyn jak kamień wielki, sieciami wyciągniony i niepoznany zrazu, wedle młyna porzucony został; wieśniak kołem go przejechałszy, część odłamał, i tym sposobem naturę ciała odkrył; poczem szlachetny Chrzastowski, gruntu tego właściciel, sprowadził bryłę do Gdańska, gdzie ją za trzy tysiące Pruskie sprzedał (40). Brzegi Pomorza wydawały zawsze równie piękny jak i Pruski, bursztyn, lubo nietak obficie. W 1576 znaleziono tam sztukę 11 1/2 funta wążącą, a około Treptowa, jeszcze więcej wążącą bursztynową tablicę (41).

Powszechnie są znane miłe bursztynowe wyroby to-karskie. Wspominany jest pod tym względem z czasów dawniejszych bursztynowy fletrowers, ulubiony sprzęt Fryderyka W. Niegdyś pomiędzy strojami kobiet naszych, wiele znaczyły bursztynowe korale na szyję. Najlepsi w Prusach tokarze, dziś wyrobami z bursztynu trudniący się, mieszkają w Memlu, Królewcu i Gdańsku. Gdy moda naznaczała użycie wielu bursztynowych ozdób, ludzie ci mieli się dobrze, i oddzielne cechy składali (42).

tynopolu danoby za nią 30 do 40,000 talarów. Gabinet Berliński posiada większą jeszcze niż ta, sztukę bursztynu, bo 18 funtów wążącą, znaną tuż pod ziemią w Pruskiej Litwie (*Sylwan*, t. XIV, str. 359). I w Polsce, w Pułtuskiem we wsi Zabiele Wielkie gminie Przyszań, wykopano w r. 1818 sztukę 5 funtów Berlińskich wążącą, kształtu małej bułki chleba w środku wyniesionój, i całkowicie kapuścianego koloru. Zabielska szlachta wzięła za nią 100 dukatów: Gdańscy kupcy, z drugiej ręki nabywając, zapłacili za nią 900 talarów, a znawcy utrzymywali, że w Konstantynopolu, danoby 2,000 talarów (*Sylwan*, tamże str. 400).

(40) Dunczewski, w Kalendarzu na r. 1769.

(41) Dan. Gottl. Theresius, *Beitraege zur Naturhistorie des Pommerlandes*, l. s. c.

(42) „Tokarnie bursztynu w dzisiejszych czasach, mniej są czynne. W r. 1817 było ich w Królewcu 4, a w Gdańsku 2, z których je-

Niektóre z ich wyrobów, szły na kosztowne podarunki do obcych dworów. Przytaczają bursztynowe ramy do zwierciadła 20,000 talarów wartości, do Petersburga posłane. Gdańszczanie mogli byli zawsze chlubić się pięknym i rzadkim stron swoich natury płodem. Dunczewski (43) wspomina, że kupiwszy za znaczną summę biały bursztyn, znaleziony przy wsi Steżycy na Pomorzu, tam gdzie rzeka Rodona z jeziora wypływa, zrobioną z niego koronę, królowi Janowi III w darze złożyli. Tenże Dunczewski podaje, że wyborny jeden rzemieślnik Gdański, wyrobił Dyanę i Akteona od psów swoich rozszarpanego, ze sztuki bursztynu kapuścianego, o siedm mil od Gdańska przy kopaniu sadzawki znalezionej, na 19 cali długiej, 11 szerokiej, 9 grubiej, i to jego dzieło jako osobliwość, do Anglii posłane zostało (44). Píše Ładowski, że ku końcowi XVII wieku, niejaki Moukiert w Gdańsku, trudniący się wyrobami z samego bursztynu, tak przednie sztuki wyrabiał, iż za jedną, na której mistrzowsko wyobrazil zwycięstwo przez Leopolda I cesarza nad Turkami odniesione (!), wziął 20 tysięcy talarów (45). Ktokolwiek przejeżdżał kiedy przez Ostrołękę naszą, okrążony tam mnóstwem żydków roznoszących piękne bursztynowe wyroby, utwierdził w swojej pamięci, że i w tém miasteczku nie zbywa na zręcznych rzemieślnikach, umiejących gorliwie z krajowego płodu korzystać (46). Niegdyś dla rzadkości daleko wyżej niż

dna jest ze wszystkich najdawniejsza, gdzie niegdyś 80 majstrów i czeladników pracowało." *Haczewski, Sylwan*, t. XIV, str. 414.

(43) Kalendarz na r. 1769.

(44) *Ib.*

(45) *Historja naturalna królestwa Polskiego*, 1783, str. 19.

(46) „Wraz z okazaniem się u nas bursztynu, około r. 1800, osiadł w Warszawie niejaki Baraniecki, który za czasów króla Sta-

teraz, ceniono bursztyny, w których się cokolwiek z dawniej żyjącej natury odkryło. Dunczewski (47) wzmiankuje o małym, ale zawierającym bardzo piękną latorośl kawałku bursztynu, który dla téj osobliwości, za 50 czerwonych złotych w Gdańsku przedany, w 1727 przeszedł do królewsko-elektorskiego zbioru rzeczy ciekawych w Dreźnie. Te niemałe ceny exemplarzy rzadkich, sprawiły, że chciwi zysku, doszli wkrótce sposobu zamykania nieznacznego w bursztynie takich ciał organicznych, jakie w tym minerale nigdy trafiać się nie zwykły: i czynili to tak umiejętnie, że długo, przed znawcami nawet, ukrywał się ich podstęp. Dotąd jeszcze po niektórych zbiorach widzieć się dają sztuki bursztynu z owych czasów, mające w sobie jaszczurkę albo żabę zamkniętą (48). Dziś nie udałby się podobny rodzaj podejścia; natomiast zdarza się inny, lecz szczęściem więcej może użyteczny jak szkodliwy nauce. Trafia się, iż tu i owdzie na którejś z ulic Warszawy, usługny żydek, uraduje porządnego człowieka sprzedaniem mu tanio pięknego do fajki bursztyńka, który wkrótce potem, nie bursztynowym, lecz kopalowym się okaże. Kopał niejaki czas po wypolerowaniu, tak podobny jest do żółtego, przezroczystego bursztynu, że nieuważając na żywiczną kruchość i miękkość pierwszego, łatwo go za drugi poczytać można.

niśława Augusta, zostawał przy dworze pośła Polskiego w Stambule; ten od Turków przejął sposób wyrabiania bursztynu, i pierwszy wyrabiać go zaczął." *Haczewski* (l. s. c. pag. 405).

(47) *Kalendarz na rok 1769.*

(48) Kawałek zosadzoną żabą, był w gabinecie historii naturalnej Wileńskiego uniwersytetu. *Drzewiński, Początki mineralogii, str. 346 w przyp. Z jaszczurką, w skarbcu ksiąząt Brunświckich. Rzączyński, hist. nat. pag. 179. Przytaczają wiersz niejakiego Hermmana Prusaka De rana et lacerta succino inclusa, et apud Jascum Gedanensem Consulem visa. Ib. pag. 180.*

Nizeli spospoliciały bursztynowe wyroby i cena ich spadła, wysyłano znaczne tego minerału partye, bądź w surowym, bądź w wyrobionym stanie, do stron odległych. Nie ma dziś wprawdzie ten handel znaczenia dawnego, ztémwszystkiem, wiele jeszcze bursztynu wychodzi od nas do Konstantynopola, do Lewantu, do Europy południowej i Afryki (49). Na wschodzie, sztuki duże, na małe przynajmniej miseczki lub kubki wystarczające, są prawie bezcenne, ponieważ tam dotąd w wielu miejscach utrzymuje się wiara, która kiedyś i u nas panowała, że naczynie bursztynu, od zatrutego napoju lub jadu, dobrowolnie pęka, i tym sposobem o zdradliwości trucizny ostrzega. Mieszkańcy wschodu, lubią prócz tego kadzenie bursztynem, i wiele bursztynu potrzebują do cybuchów (50), ponieważ koran zabrania im wszelkiego użycia części nieżywych zwierząt. Handlarze niewolników w Afryce, kupują nieszczęśliwych za sznurki koralu z białego bursztynu, który w tej części świata nadzwyczajną ma cenę (51).

(49) „W roku 1835 był kupiec Turecki w Warszawie, i wchodził w układy o kupno bursztynu z kupcami Warszawskimi, z których jeden w tymże roku, zakupił od kwietnia do listopada bursztynu Polskiego za sumę przeszło 100,000 zł. p; lecz wielka część onego, pochodziła z Prus sposobem defraudacyi, o czém przekonywa sprawa defraudacyjna w b. Kommissyi wojew. Płockiego wytoczona”. *Sylwan tom XIV, str. 404, przyp.*

(50) „Szczególnie Turcy bardzo się kochają w pięknych bursztynach do cybuchów; miéwają czasem takie bursztyny z jednéj sztuki wyrobione, wartości od 100 do 200 i więcej dukatów; majątniejsi w swoich fajczarniach, do 100 takich bursztynów gotowo poobsadzanych mają.” *Ib. str. 400, przyp.* Najpiękniejszy i najobfitszy u nas zbiór bursztynów do fajek, posiada Ref. Stanu Symeon Werner; wartość tego zbioru zabezpieczona w $\frac{2}{5}$, podana jest w Dyrekcyi Ubezpieczeń na sumę 3,749 rubli sr. kop. 10, tojest 25,014 złp. z pozwoleniem ubezpieczenia reszty za granicą.

(51) Nie mamy dotąd wiadomości pewnych, czy się bursztyn w Afryce znajduje.

Tylokrotnie wspomniany już Gdańszczanin Berendt, w naszych czasach gorliwie się zajął najściślejśm naukowém zbadaniem tych ciał organicznych, które już całkowicie, już w szczątkach, tak często natrafiają się w bursztynie, a tak wyraźnie w polerowanych kawałkach jego widzieć się dają. Rozpoznał on w bursztynie szczątki kwiatu od *Ephedra*, od cyprysów, jałowcu, tui (*Thuia*), dębu, buku, a oprócz tego, mnóstwo rozmaitych owadów, mianowicie zaś pająki, komary, muchy, mrówki, mole, rozmaitego rodzaju chrząszczyki i t. d., które wszystkie, jako pozostałości przedpotopowego świata, opisywać zaczął (52). Bywają prócz tego w bursztynie zatopione ziarna piasku lub ziemi, bańki powietrza (53), krople wody, kawałki kory, mech i t. p. Berzeliusz w swojej chemii pisze, iż w gabinecie historyi naturalnej Towarzystwa umiejętności w Upsalu, jest kawałek bursztynu, w którym widać doskonale zachowaną koronę kwiatową, nieznanomój jawnopłciowój rośliny. Cokolwiek z organicznój natury przytrafiło się Berendtowi znaleźć w bursztynie, wszystko to było należące do przedpotopowego świata.

Wielu z dawniejszych, pragnąc pogodzić tę oczywistość, że bursztyn musiał kiedyś być ciekłym, gdy tyle obcych istot dostało się do niego, z inną oczywistością,

(52) *Die Insekten im Bernstein, ein Beitrag zur Thiergeschichte der Vorwelt, von Dr. George Carl Berendt. Danzig, 1830 (1es Heft)*. Teraz wydaje poszytami opisy i wizerunki samych owadów, w bursztynie znajdujących.

(53) Te błyszczą jakby metalowe, a gdy są nitkowato, jak nieraz bywa, rozwleczone, przedstawiają uderzające podobieństwo do śpilki, i przez niektórych téż za rzeczywiste śpilki poczytane zostały, jak się to wydarzyło szanownemu zkądinąd Schweiggerowi: *Beobachtungen auf naturhistorischen Reisen*, Berlin, 1819, pag. 101.

że go morze wyrzuca, przypuścili, iż ciało to jest naftą, bitumiczną cieczą ze skał podmorskich wypływającą, i dopiero w morzu twardniejącą (54). Upewniano, że czasem miękki jeszcze morze wyrzuca. Zaciętość w zdaniu, faktu tylko za podstawę niemającym, odważała się chcieć ten niedostatek zastąpić powołaniem na świadectwo sławnego imienia. Nasz Rzeczyński (55) opowiada z Walentyna, *Historia simplicium reformata*, że sławny astronom Gdański Heweliusz, znalazłszy na brzegu morskim pomiędzy Gdańskiem a Królewcem bursztyn ciekły, czyli niedość jeszcze zgęstniony, zdjętym z palca sygnetem, głęboko na nim, jak na laku, herb swój wycisnął: *et abhinc pro argumento plus quam syllogistico, ad convincendos alios adhibuit*; i dodaje, że ten kawałek bursztynu z wyciśniętym Heweliusza herbem, posłany był do Anglii, gdzie jako największa osobliwość, dla przekonania o właściwem minerału tego powstawaniu zachowuje się, i daje do oglądania ciekawym. Nie wiemy, czy jest jaki rozdziałacz, któryby powierzchnią bursztynu w naturze rozmiękczał; gdy tymczasem, umie to sprawić sztuka. Berzeliusz mówi, że bursztyn długo ogrzewany w lnianym oleju aż do jego zawrzenia, rozmiękcza się, staje się giętki i zdolny przyjmować odciski (56). Na podobnémto postępowaniu, zasadzać się musiał sposób zamykania w bursztynie różnych dla złudzenia przedmiotów, które zapuszczano w stosowne wydrążenie dwóch połówek sztuki przelamanéj, poczem połówki zestawio-

(54) I z nowszych Hermstaedt przyjmował to zdanie.

(55) *Hist. nat. Reg. Pol.* pag, 177.

(56) Freyer, w swojej wiadomości o bursztynie, na str. 44 pisze: iż naocznym był świadkiem, jak rzemieślnik w Łomży spajał kółka bursztynowe przez sam o rozgrzewanie, tak, że najmniejszy ślad spojenia nie zostawał.

ne, drogą rozmiękczenia spajano. Czy nie podobna także sztuka, żelazo w bursztyn zapuściwszy, dała początek faktom, którym się dziwimy, teraz wytłómaczyć ich niemogąc? Dunczewski (57) tak mówi o jednym: „Mąż wszelakiej chwały godny, Michał Hacki opat Oliwski, pokazywał bursztyn, w którym był zamknięty kawałek stali jednym końcem styrczący, a tym iskry ognia z kamienia krzesano”. Nie przytoczyłbym tego opowiadania, jako zdającego się podlegać brakowi ścisłości, właściwemu postrzeżeniom dawniejszym, gdyby dziś żyjący, tak ściśle badający Berendt, nie zapewnił, iż posiada w swoim zbiorze okaz podobny, który sam nad morzem znalazł i w którego środku odkrył *drót żelazny*: o drót złamała się mu piłka, gdy pomieniony bursztyn przerzynał (58). Że w pasach, oprócz bursztynu, znajdują czasem ułamki zbroi, podkowy, monetę (59), zdarzenia te, na pierwszy rzut oka dziwne, przestają być takimi, skoro się zastanowimy, że przy kopaniu bursztynu, górna warstwa ziemi, łatwo, mimo uwagę kopiących, może się usypać na dół, i że w różnych, bardzo dawnych epokach, tu i owdzie dolki pojedyncze kopać potrzebę miano, a tego rodzaju sprzęty z umysłu w nie rzucano, często niewiedząc, że bursztyn jest na spodzie.

Ale przejdźmy do mniemań autorów nowszych o pochodzeniu bursztynu. Berzeliusz (60) mówi: „niewątpliwą dzisiaj zdaje się być rzeczą, że bursztyn pochodzi z gatunku drzewa, które mu towarzyszy, i że był pierwotnie żywicą rozpuszczoną w lotnym olejku, albo naturalnym

(57) Kalend. na r. 1769.

(58) *Die Insekten im Bernstein*, pag. 31.

(59) *Sylwan*, tom XIV, str. 380.

(60) *Traité de Chimie*, tom III, przy bursztynie.

balsamie,” a powyżej: „znać to z owadów, które często-
kroć tak są rozłożone, iż nigdy nie mogłyby mieć téj swo-
body w massie, gdyby ta bardzo płynną nie była.” Do ja-
kiego tedy, jeśli nie gatunku, to przynajmniej rodzaju
rzeczone drzewo należeć mogło? Wszyscy autorowie
nowszy wnoszą, iż to było drzewo iglaste, a jego sok ży-
wiczny. Jakież na to dowód? Berendt przywodzi, że gdy
w pewnym dole we wschodnich Prusach znaleziono ka-
wałki bursztynu obok lignitów, razem z niemi odkryły
się i trzy w brunatny węgiel przemienione szyszki (61).
Ale czy te owoce z pewnością należały do drzewa, któ-
rego sok stał się bursztynem? Nieokazawszy Berendt,
że kotek (*amentum*), który postrzegł w jednym kawałku
bursztynu (62), jest rzeczywiście kotkiem sosny, owszem,
wyznawszy nawet (63) że jest podobny do kotka wierz-
by, w ten nareszcie wyraża się sposób: „Uderzającą jest
rzeczą, że przy tak stanowczo udowodnioném (?) z drze-
wa, owocu i kwiatu, owoczesném istnieniu rodzaju so-
sny, jednakże liść jój iglasty, tylko jako najwyższa rzad-
kość w bursztynie się znalazł, a nawet żadnego on po-
dobieństwa do liścia terażniejszych gatunków sosny nie
przedstawia.” Mimo to, niektórzy drzewo bursztynowe,
wraz z całym przedpotopowym światem zaginione, *Abies*
bituminosa zowiąc, uznali je stanowczo za jodły gatu-
nek (64). Oprócz tego, czy podobna wiarę dać, ażeby

(61) *Die Insekten im Bernstein*, pag. 21. Mówi, że jedną z nich
ma przed sobą, druga jest w Królewcu, trzecia miała pójść do
Warszawy.

(62) *Ib.* pag. 23.

(63) *Ib.* w przypisku.

(64) Z niedokładnej tylko i nawiasowej wzmianki (*Isis von Oken*,
1837, s. 440), dowiadujemy się, że koło Muskau, znaleziony był ka-
wałek bursztynu wyraźnie z pniem (częścią pnia?) iglastego drze-

massa, w którą tyle i tak czynnych zwierząt weszło, w której to pajak czyhający na muchę, to sprężyk podnoszący się zwykłym naprężeniem ciała, już parzące się, już jeść mające (65), wiecznie w tych usiłowaniach zostały; ażeby, mówię, ta masa była smrodliwą iglastego drzewa żywicą, od której wszystko żyjące ucieka? Czy nie prawdziwsza, że to był rodzaj soku takiego jak na topolach, na dębie, który i dziś owady leśne rojami do siebie zwabia? Nie przeczę, iż opowiadanie starożytnych, że sok topoli, łyzy sióstr Faetona, działaniem słońca w bursztyn się przeistaczały, jest mitologią, a więc zmyśleniem. Nie raz wszakże zdumiewać się potrzeba nad genialnym zgłębieniem natury pierwszych twórców, tych starożytnością i wiarą milionowych pokoleń ludu uświęconych bajek. Tylokrotnie pod rozwagę brałem skrzeplę kawałki gumowatego soku naszej prostej topoli (*Populus nigra*); znalazłem w nich i twardość bursztynowi odpowiednią, i wszelkie jemu właściwe odcienia kolorów z przezroczystością, i tę wslawioną bursztynu obłoczkość, te w nim chmurki różnych postaci, w którychto niegdyś rozżarzona łakomych nie na osobliwość ale na jej cenę wyobraźnia, ukazywała w bursztynie to obraz dziecięcia wspaniałego w objęciu człowieka leżącego, co chciano uznać

wa połączony, będący dziś zapewne w posiadaniu znakomitego badacza flory przedpotopowej Goepperta, który o tém na zebraniu się naturalistów i lekarzy Niemieckich w Jenie, 1836 r. ustnie doniósł. W peryodycznym piśmie Niemieckim *Flora* (XXVII Jahrg. I Band, p. 38), ogłosił on w roku zeszłym swoje uwagi *Ueber den Bernstein und dessen Stammpflanze*, z czego nie omieszkamy sprawy zdać w Bibl. Warsz. skoro ta praca Goepperta, rąk naszych dojdzie.

(65) Berendt (*Die Ins. im Bernst.* S. 30), mówi o widowisku w bursztynie, jak *Phalangium cancroides*, swoją kleszczą, nogę pajaka do ust ciągnie.

za wizerunek Jezusa na łonie Symeona; to grosz Polski naturalnej wielkości, to obraz śmierci z kosą, to człowieka z wyciągniętymi rękami na kolana upadającego, to postaci głosek Arabskich, Łacińskich, tudzież mappy, zamki, góry ogniem wybuchające (66), i bez trudności pojąłem, jak to wszystko przez pomięszanie kilku mass, różnego zagęszczenia, różnego zmącenia soku, w jedną potem bryłę zléwających się, powstać w nim mogło. Jeżeli to morza jest działanie, które temu ciału naturę soku odjęło, a nadało bursztynu, czy nie łatwiej pojąć ten wpływ wody na rozpuszczalną w niej gumę, niż na nierozpuszczalną żywicę (67)? Tak jest; ten gęsty roztwór gumy, tak się stał bursztynem, jak również gęsta, rozrobiona miazga potartych różnych miękliwych zwierząt morskich, stała się krzemieniem. A że sok na tych dzisiejszych nieiglastych drzewach naszych, za ledwie w maszy orzechowi wyrównywające, spływa, gdy sztuki bursztynu bywają i wielkie, to też drzewo bursztynowe należało do natury, w której wszystkiego większa obfitość, a prawie wszystko olbrzymie było.

(66) *Sylwan*, tom. XIV. str. 361.

(67) Tym mocniej utwierdzam się w mniemaniu mojem, gdy znajduję, że kopal, tak podobny do bursztynu a razem do żywicy, daje się przywieść do stanu galarety. Liebig mówi: „Suivant Berzelius, on peut humecter la poudre de copal avec de l'ammoniaque dans un vase clos, de sorte qu' elle se gonfle peu à peu en une masse gélatineuse”. Tenże Liebig tak jeszcze wyraża się o kopalu: „il est possible toutefois qu' elle soit une résine fossile analogue au succin , avec lequel elle a d'ailleurs beaucoup d' analogie”. *Traité de chimie organique, par M. Justus Liebig, 1ère partie. Ed. Bruxelles*, p. 459: dowody, że nie jest jeszcze pewną rzeczą, iżby, jak powszechnie sądzimy, kopal był żywicą.

O MACHINACH ELEKTRO-MAGNETYCZNYCH,

przez

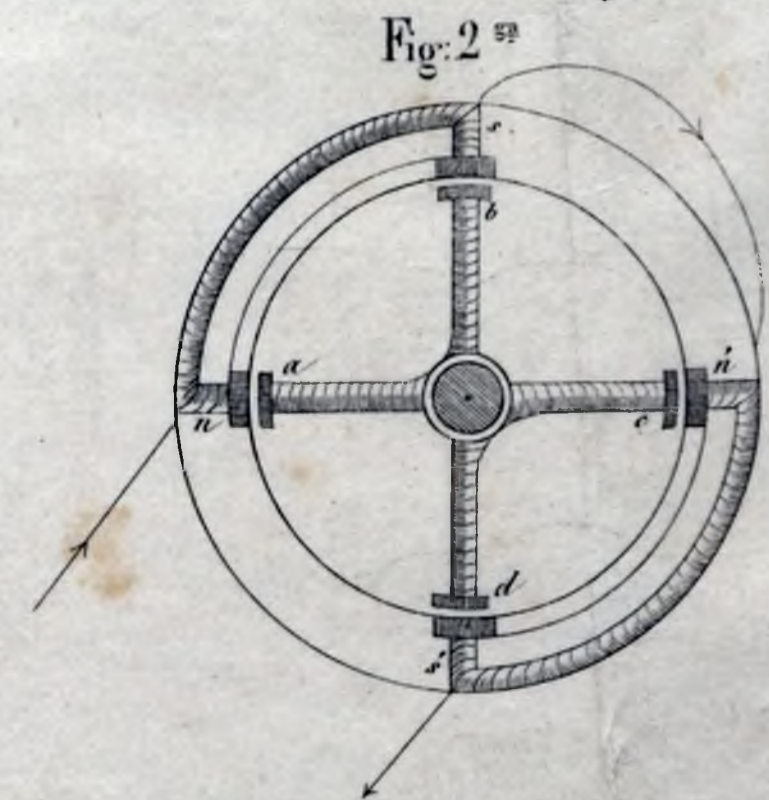
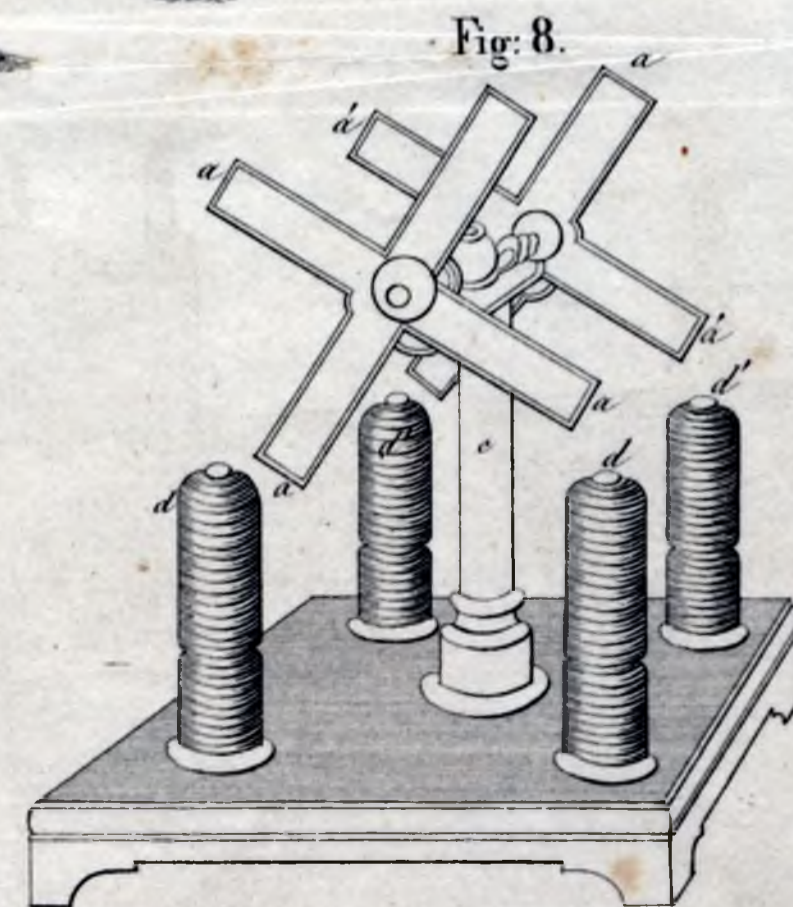
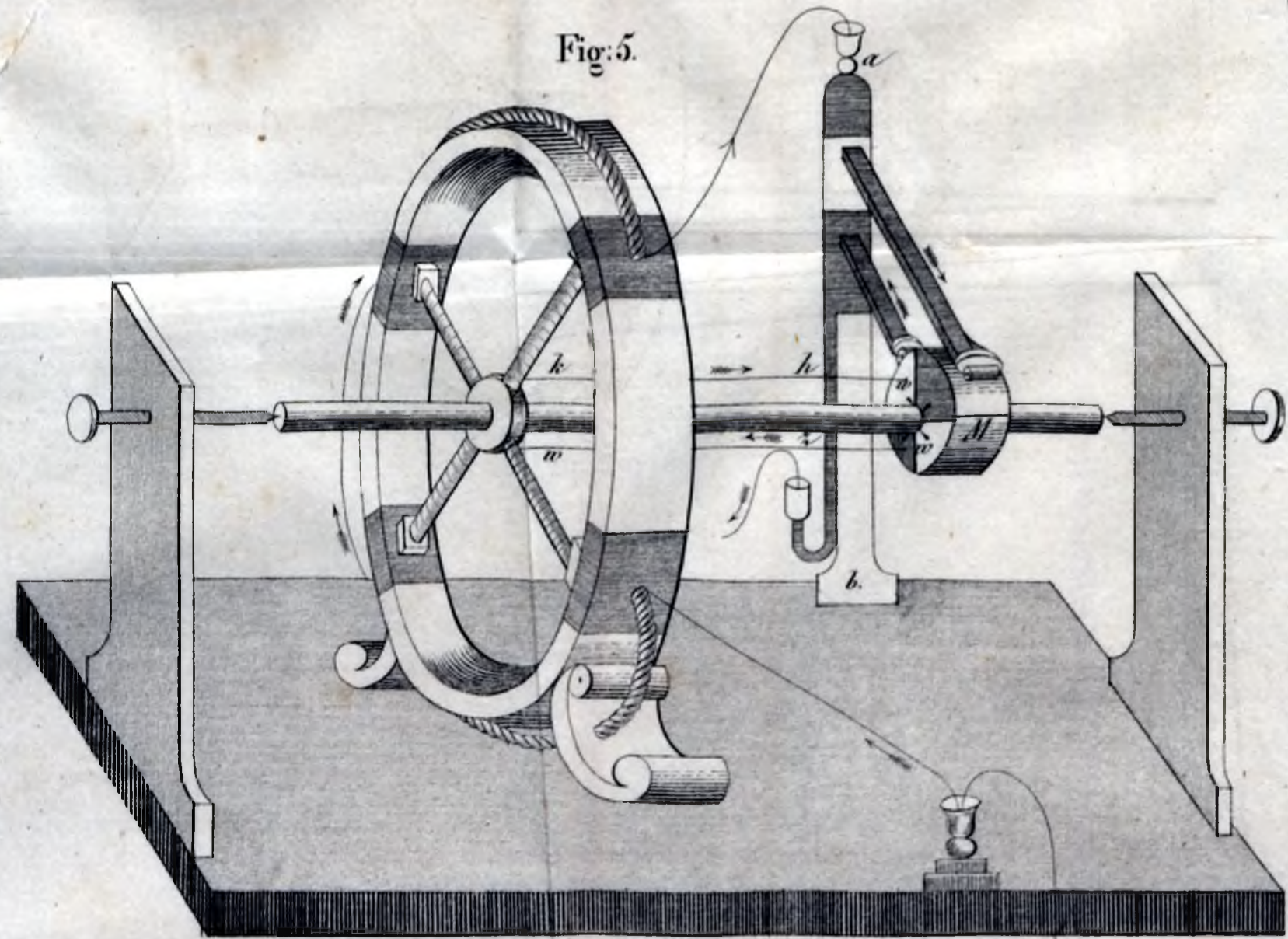
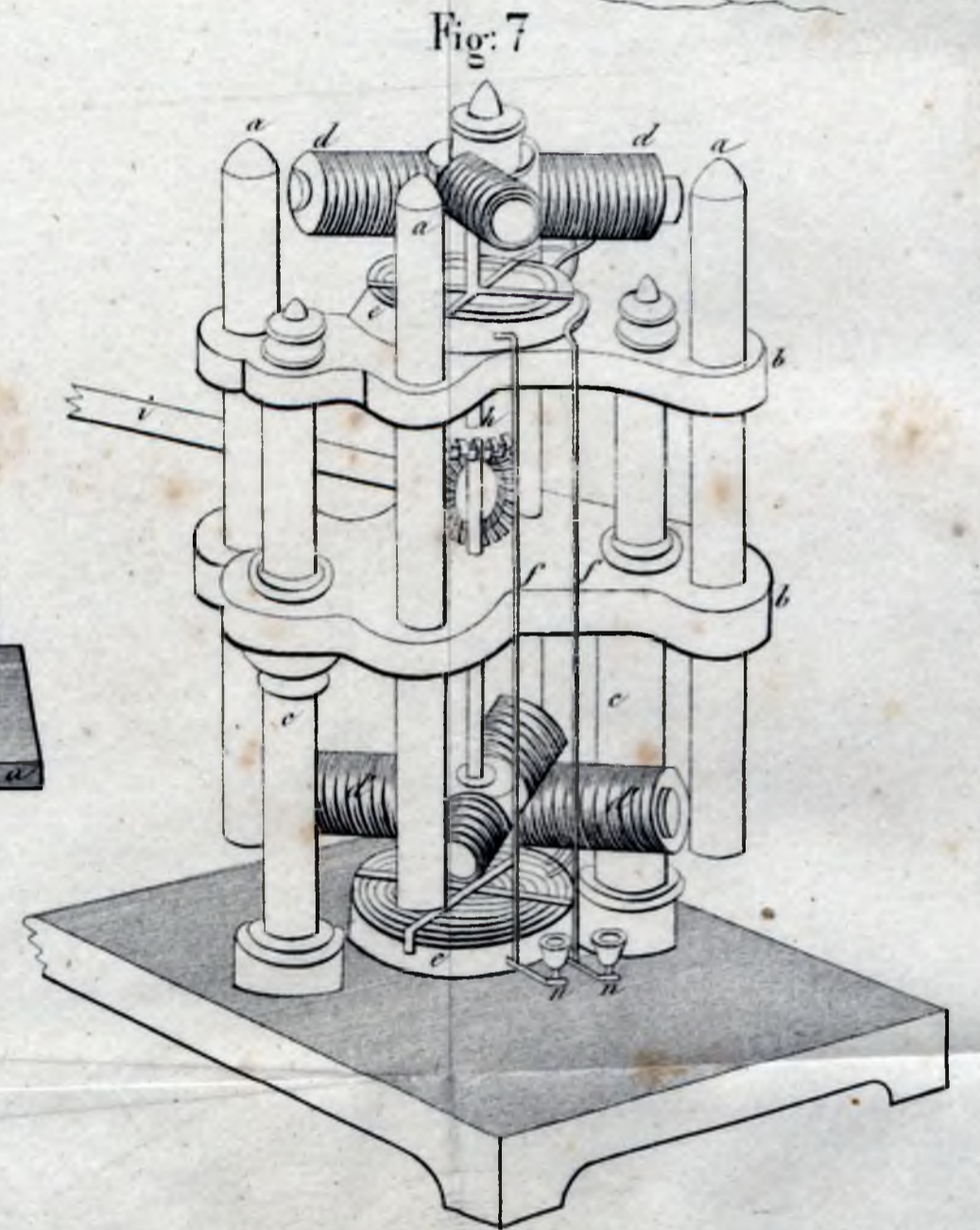
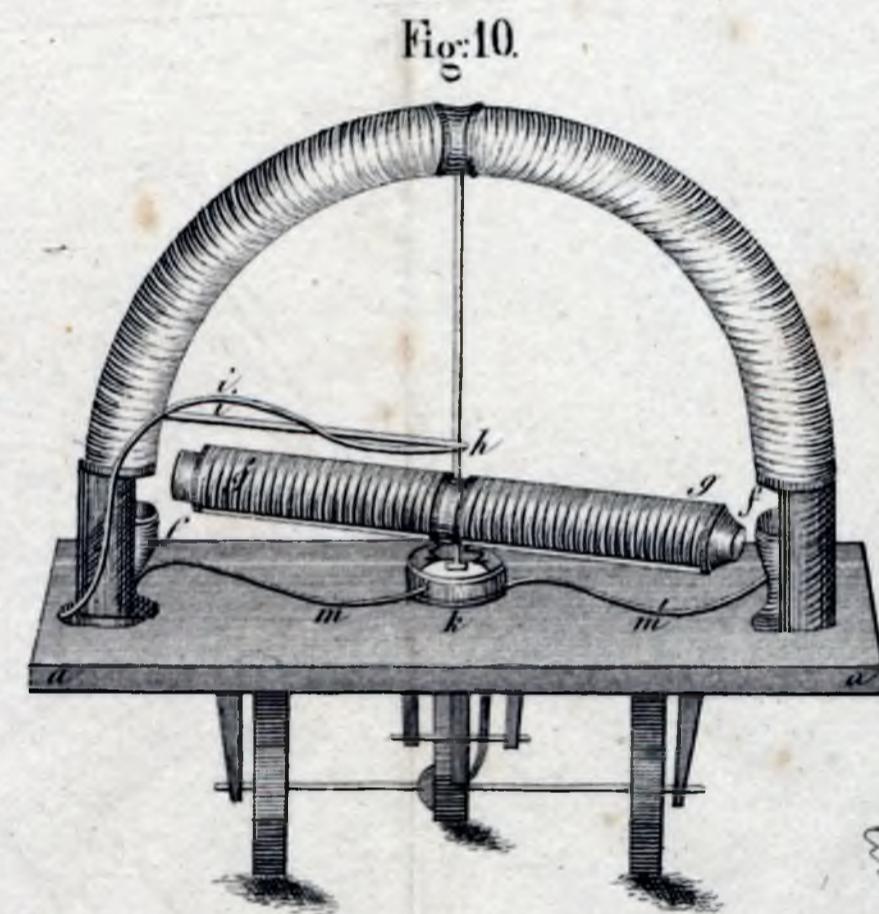
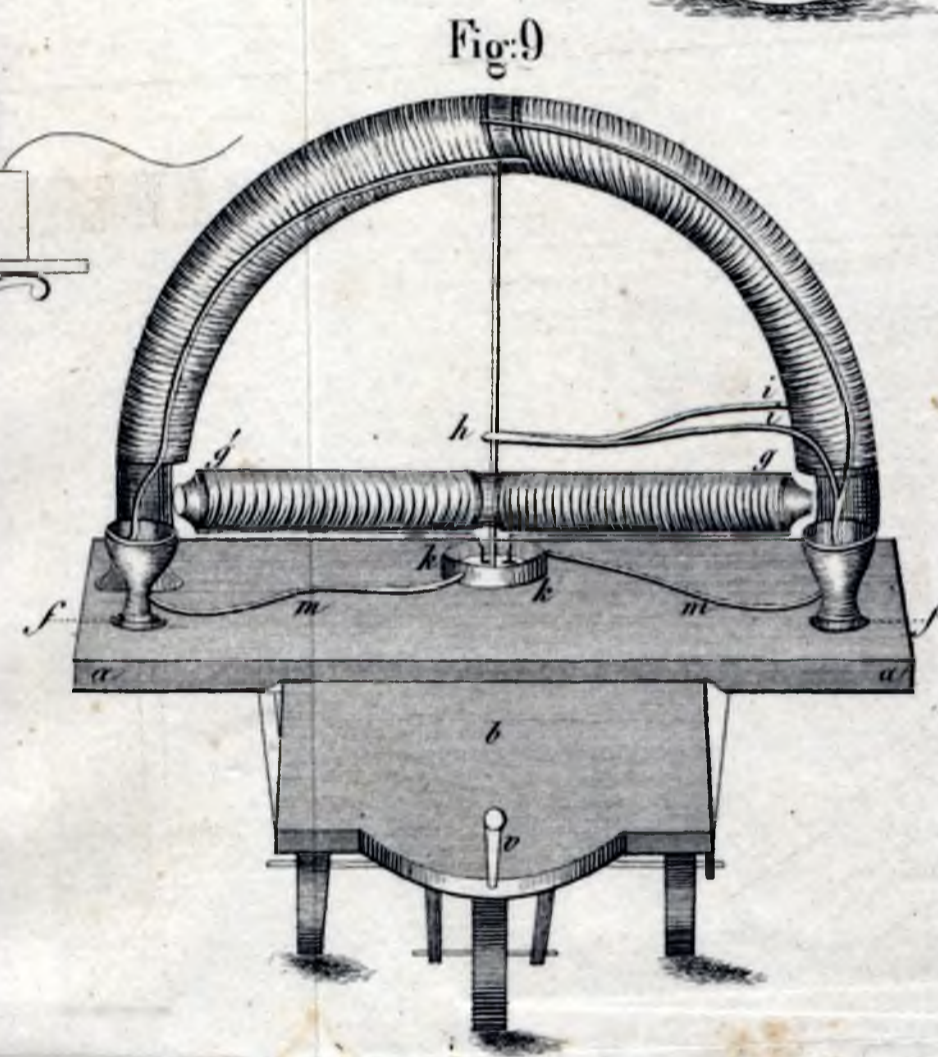
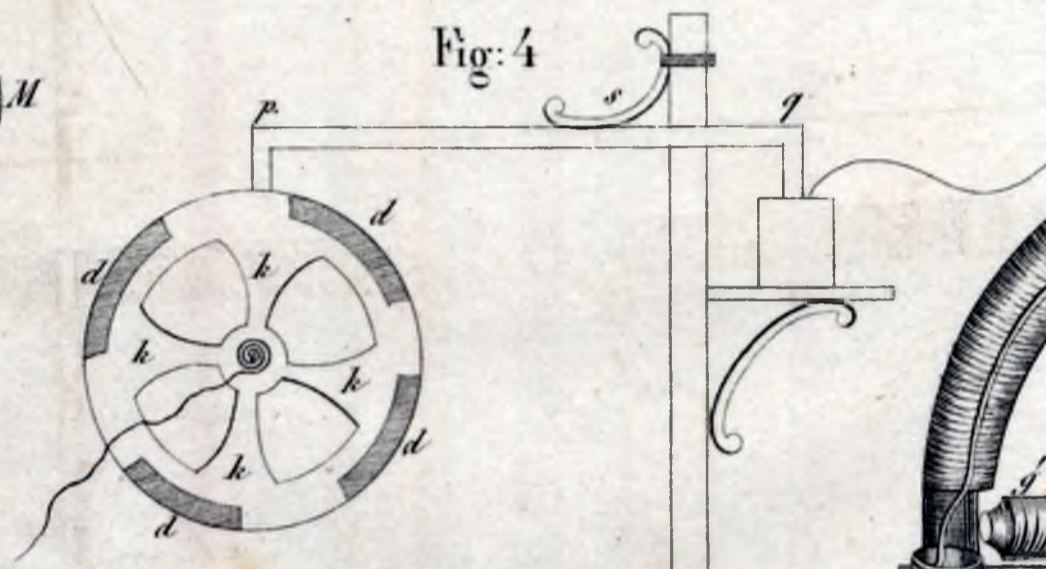
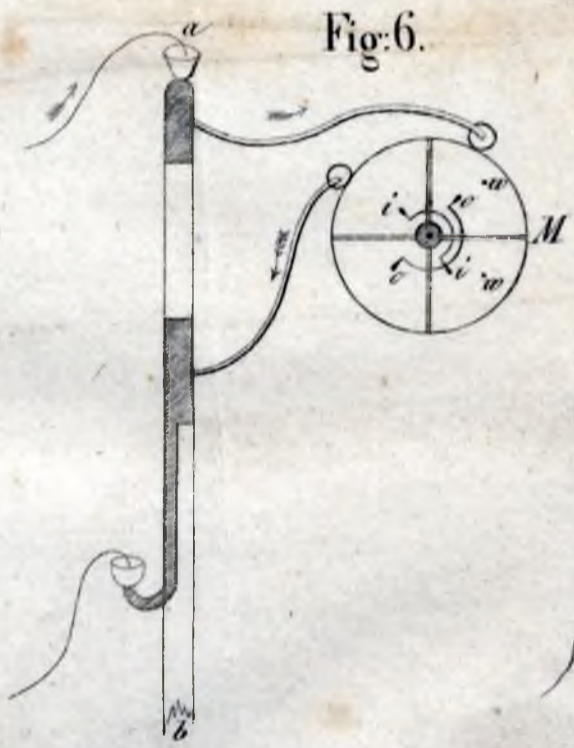
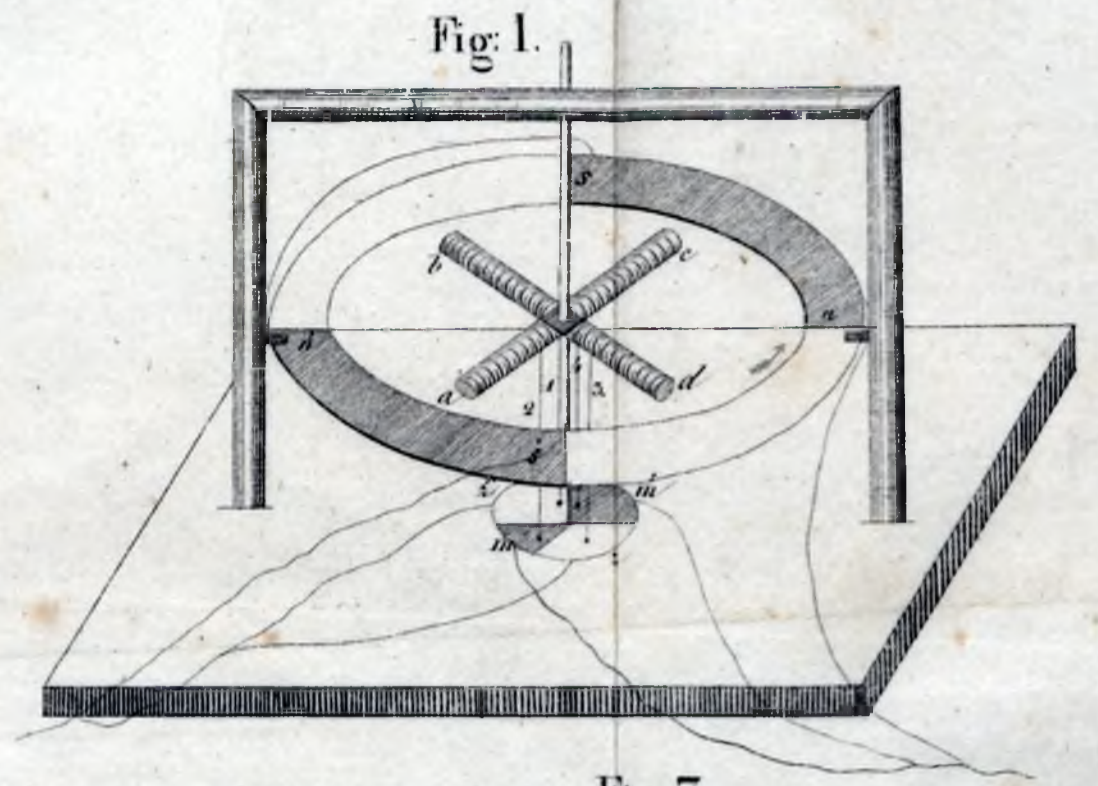
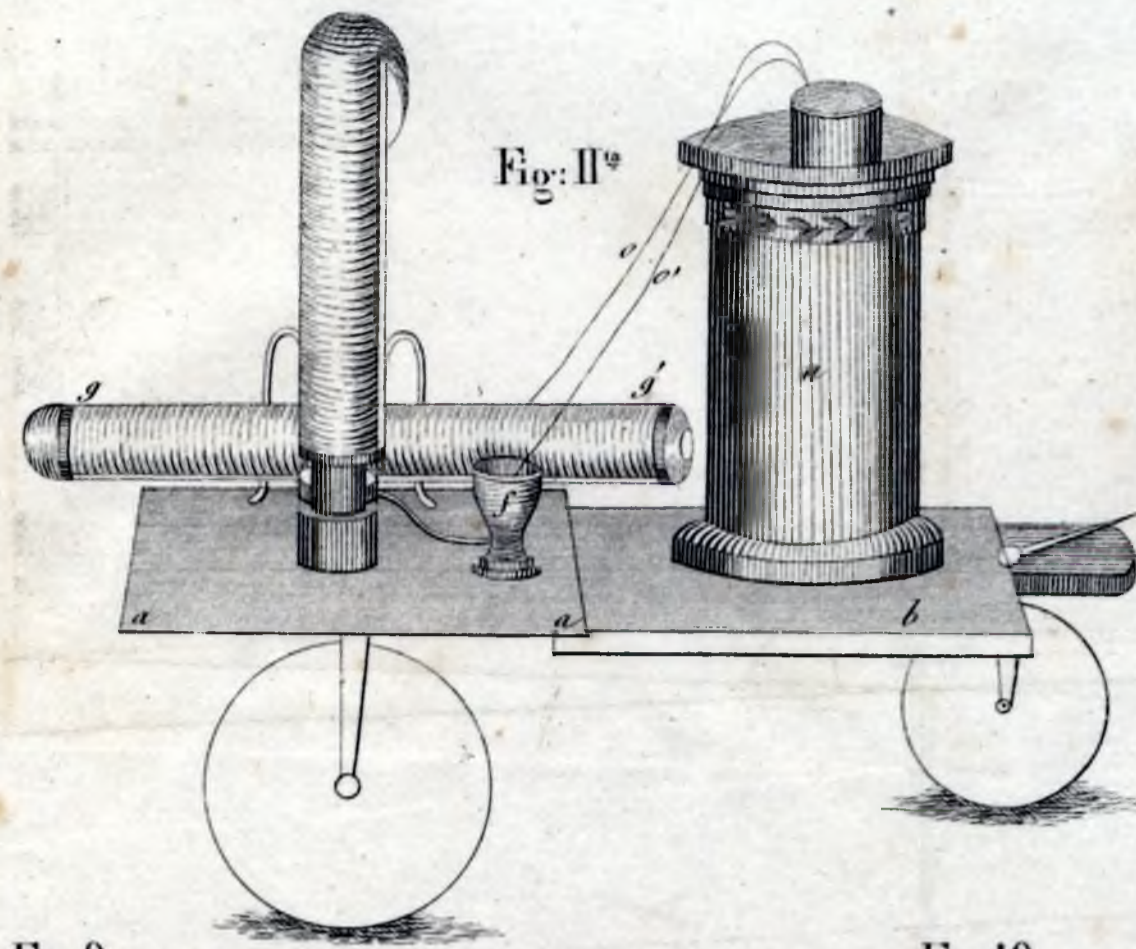
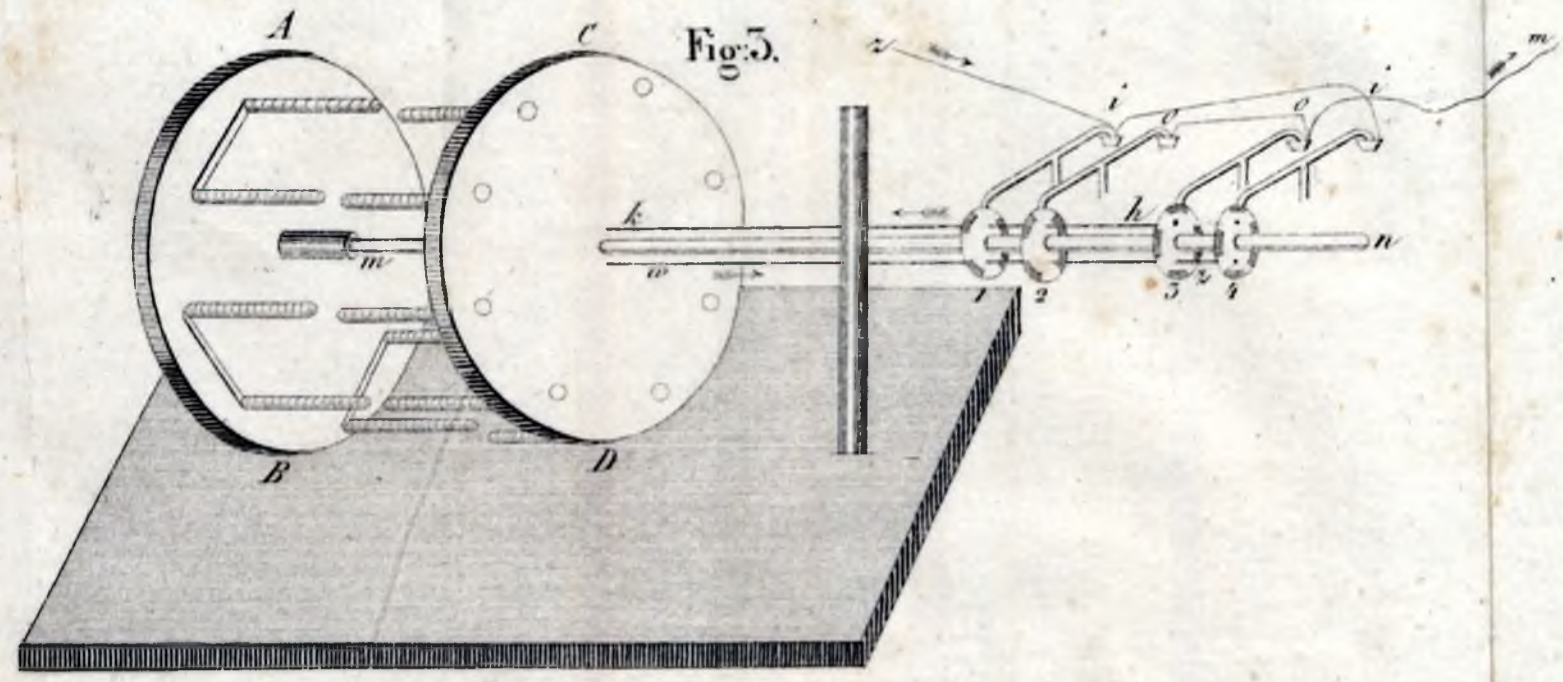
Stanisława Przystańskiego.

(Dokończenie, z figurami.)

W Ameryce także pp. Page, Callan i Davenport, zajmowali się praktycznym zastosowaniem elektro-magnetyzmu. Ostatni, który największe w tym przedmiocie poczynił udoskonalenia, otrzymał od Stanów Zjednoczonych patent, na budowę swych elektro-magnetycznych machin. Osobliwszą i zasługującą na wzmiankę jest rzeczą: że Davenport jest kowal (ze wsi Rutland w Stanie Vermont), człowiek pełen gorliwości i wytrwałości, który jednakże, jak zapewniają, wcale nie jest obeznanym z częścią teoretyczną elektro-magnetyzmu. Davenport w budowie swych machin, szczęśliwie usunął niedostatek wskazany w powyższej machinie p. Henry, a mianowicie, że do sprawienia ruchu obrotowego ciągłego, nie potrzeba używać zwrotnego ruchu wahadła.

Najprostsze urządzenie jego machin, jest następujące:

(Fig. 1.) Dwa elektro-magnesy *ac, bd*, osadzone na pionowej osi, obracają się w środku koła drewnianego, na którego obwodzie, stale utwierdzone są dwa magnesy lub elektro-magnesy *ns, n's*.



Cztery końce 1, 2, 3, 4 drótów, obwijających dwa ruchome elektro-magnesy ac, bd , spuszcza się w dół osi i mocno przyciskają się do kółka metalowego mz . To kółko przeznaczone jest do sprawiania raptownej zmiany kierunku strumienia elektrycznego, krążącego po drótkach obwijających elektro-magnesy. Aparat odbywający podobne działanie, w elektro-magnetyzmie zwany jest kommutatorem. Budowa jego w tej maszynie jest następująca: kółko metalowe $mzm'z'$, rozdzielone jest dwiema prostopadłymi, drewnianymi, lub z kości słoniowej średnicami, na cztery części. Dwie ćwiartki z, z' , wierzchołkiem przeciwległe, komunikują za pomocą drótów z jednym biegunem stosu, np. z cynkiem; dwie zaś pozostałe m, m' z miedzią.

Dróty na elektro-magnesach ruchomych, tak są nawinięte, że jeżeli strumień elektryczny do jednego z nich płynie z 1go na 2gi drót, a tym samym do drugiego z 3go na 4ty, końce przeciwległe b, d , nabywają polarność np. północną, a końce a i c południową. Jeżeli zaś w skutek obrócenia się osi, na której osadzone elektro-magnesy o czwartą część okręgu koła, dróty 1, 2, 3, 4, przejdą na następujące ćwiartki tarczy nieruchomego kommutatora, t. j. drót 1szy na ćwiartkę m , 2gi na z , 3ci na m' , 4ty na z' , wtedy zmieni się i kierunek strumienia, krążącego po elektro-magnesach. W elektro-magnesie ab , strumień płynący będzie z 2go na 1szy drót, a w drugim elektro-magnesie cd z drótu 4go na 3ci; wtedy końce elektro-magnesów, zmieniają swe bieguny, b i d staną się biegunami południowymi, a i c północnymi.

Widzimy więc, że kommutator, co czwartą część obrotu osi, przemienia bieguny w elektro-magnesach ruchomych.

Sztaby żelazne ns $n's'$ utwierdzone na obwodzie drewnianego koła, za pomocą tegoż samego strumienia, który krąży po spiralnych obwijających ruchome elektromagnesy, zmieniają się także w elektromagnesy, lecz nie przemieniające swych biegunów, tak, że zawsze n i n' są północnemi, a s i s' południowemi biegunami. Chcąc pojąć bieg tej maszyny, przypuśćmy, że ruchome elektromagnesy stoją w położeniu wskazaném na *fig. 1*, i że końce b i d są biegunami np. południowemi, a i c północnemi. Wówczas koniec d przyciąganym będzie przez północny biegun n , a odpychanym przez s' ; koniec zaś b odpychanym przez s , a przyciąganym przez n' . Toż samo rozumié się o końcach a i c . Przemiana kierunku strumienia, następuje właśnie w chwili, gdy bieguny ruchomych, nadejdą wprost biegunów stałych elektromagnesów. Po zmienieniu kierunku strumienia elektrycznego, nastąpi zmiana i w położeniu biegunów ruchomych elektromagnesów, a ztąd wyniknie przyciąganie i odpychanie każdego z tych biegunów, przez bieguny stałych elektromagnesów ns , $n's'$. Z połączenia tych pojedynczych sił, powstaje obrotowy ruch osi w kierunku strzałką wskazanym (*fig. 1*).

Fig. 2, przedstawiająca rzut poziomy koła drewnianego, stałych i ruchomych elektromagnesów, jaśniej wskazuje budowę ich i sposób nawijania spiralnych. Śledząc względne położenie biegunów ruchomych i stałych elektromagnesów, znajdujemy, że w czasie całkowitego obrotu osi, istnieją cztery takie położenia, w których motor wprawiający w ruch maszynę, zaprzestaje swego działania. Martwe te dla biegu maszyny punkta, przypadają wtedy, gdy bieguny ruchomych elektromagnesów ab i ad znajdują się na średnicach, przechodzących przez bie-

guny stałych elektro-magnesów (*fig. 2*) i przejście osi przez te bezczynne w grze maszyny położenia, odbywa się jedynie skutkiem bezwładności, czyli skutkiem nabytej prędkości.

Największa przez Davenporta zbudowana machina, miała na jednej pionowej osi 234 sztab żelaznych (każda wążąca 4 funt.), zmieniających się w elektro-magnesy, które poruszały się wzdłuż tyłu stałych elektro-magnesów, na obwodzie walca osadzonych. Siła téj maszyny, miała wynosić, według jego wyrażenia, 2 *tonnes* (*).

Zadaniem dotyczącem praktycznego zastosowania elektro-magnetyzmu, z wielką korzyścią dla nauki zajmował się i ciągle się zajmuje Jacobi (teraz w Petersburgu). Pierwsza przez niego wynaleziona machina, była takiéj budowy:

Na kole stałym *AB* (*fig. 3*) pionowo ustawioném, osadzone były prostopadle elektro-magnesy komunikujące ze stosem Volty, i w czasie ruchu maszyny niezmienniejące swych biegunów. Na drugiem pionowém kole *CD*, swobodnie wraz z swą osią obracać się mogącém, osadzonych było tyleż elektro-magnesów co i na poprzedniém *AB*, tak, że bieguny elektro-magnesów, na obu dwu kołach utkwionych w czasie obrotu osi *m n*, bardzo blisko koło siebie przechodzą. Bieguny elektro-magnesów, znajdujących się na ruchomém kole *CD*, zmieniają się ciągle w czasie obrotu koła. Ta zmiana odbywa się za pomocą kommutatora, osadzonego na téjże saméj osi, i składającego się z czterech zupełnie do siebie podobnych części. Aby dobrze pojąć działanie kommutatora w maszynie p. Jacobi, opiszemy oddzielnie jedno z takich

(1) *Tonne* = 2240 funt. Fran. Tym sposobem, działania maszyn nikt dotąd nie oznaczał, i dlatego nie wiadomo ile to wynosi.

czterech kólek (mutator), a dopiero potem skreślimy połączone ich działanie.

Na obwodzie metalowego kółka (*fig. 4*), znajdują się cztery wyłobienia d, d, d, d , każde po 45° , założone drzewem hebanowém; po kółku ślizga się jedno ramię p , drążka metalowego pq , sprężyną w miejscu s , mocno przyciskanego do obwodu koła; drugie ramię q , nurza się w naczynku z merku ryuszem, przeznaczonym na przyjęcie drótu wiodącego elektryczność z jednego bieguna stosu. Przypuściwszy, że z osią kółka łączy się drugi drót idący od innego bieguna stosu, to łatwo pojąć, iż w czasie obrotu koła k , co 45° przerywać się i wznowiać się będzie bieg strumienia elektrycznego.

W maszynie p. Jacobi, cztery takie mutatory 1, 2, 3, 4, (*fig. 3*), osadzone są na osi utrzymującej koło CD , i wyłobienia w nich w ten sposób są ustawione, że gdy na dwóch 1, 2, drążki podobne do pq (*fig. 4*), leżą na łukach drewnianych; w dwóch pozostałych mutatorach 3 i 4, drążki spoczywają na łukach metalowych, a tém samym strumień elektryczny przez siebie do kólek przepuszczają. Przystąpmy teraz do opisu całego kommutatora.

Fig. 3. Naczynka mutatorów 1go, 4go, złączone są drótem ii ; dwa te więc mutatory, mogą przez siebie przepuszczać strumień idący od bieguna stosu z ; naczynka dwóch środkowych mutatorów podobnie złączone są drótem oo , a tém samym komunikują z drugim biegunem stosu m . Dróty wiodące strumień z stosu, nurzają się w naczynkach io' . Od spiralnych obwijających sztaby żelazne na kole CD , osadzone idą dwa dróty równo odległe od osi mn . Jeden drót kh , łączy koła metalo-

we mutatorów 1 i 3, drugi zaś drót *wz*, łączy koła mutatorów 2 i 4.

Na *fig. 3*, kierunek strzałek wskazuje, że strumień płynąc od *z*, wchodzi przez mutator 1 w drót *kh*; po okręceniu elektro-magnesów na kole *CD* osadzonych, wchodzi w drót *wz*; a następnie przez mutator, 2 do bieguna *m* się dostaje. Dwa pozostałe mutatory 3, 4, w tém położeniu nie przepuszczają przez siebie strumienia, gdyż drążki ich spoczywają na łukach drewnianych.

Po obróceniu osi *nm*, a z nią i wszystkich czterech mutatorów o 45° , strumień elektryczny wpływać będzie przez mutator 4, przez drót *wz*, do elektro-magnesów zmiennych, a wyjdzie przez drót *kh*, i mutator 3. Po tychże samych spiralnych popłynie więc w przeciwnym kierunku, w skutek czego, zrodzi na końcach elektro-magnesów ruchomych, przeciwnego imienia polarności.

Zmiana taka biegunów, przyczyni się do ciągłego powstawania sił przyciągających i odpychających, między biegunami nieruchomych elektro-magnesów na kole *AB* osadzonych, i biegunami zmiennych elektro-magnesów na ruchomém kole *CD* utkwionych; a ztąd wyniknie ruch obrotowy osi utrzymującej koło *CD*.

Jacobi zrazu mniemał, że ponieważ bieg jego maszyny, jest skutkiem siły ciągle ponawiającej swe działanie, więc prędkość jój ciągle wzrastać powinna, i że maximum chyżości, powinno być bardzo znaczną wielkością, niezależną wcale od motoru poruszającego. Jednakże praktyka dowiodła, że prędkość tej maszyny, wkrótce stawała się jednostajną. Tak np. przy użyciu stosu o 4 parach, mających razem 2 stóp \square powierzchni, prędkość z początku wynosiła 120 — 130 obrotów na minutę; w pół godziny zmniejszyła się do 60 obrotów, i w tym

stanie trwała przez 20 — 24 godzin. Używając stosu o 12 parach, gdzie w każdej parze powierzchnia cynku wynosiła $\frac{1}{2}$ stopy \square a miedź podwójną miała powierzchnię, machina wykonywała 250 — 300 obrotów na minutę.

Niedostatek tego ciągłego wzrostu prędkości, Jacobi przypisuje głównie, szkodliwemu działaniu strumieni magneto-elektrycznych. Wiadomo bowiem, że każdą razą, gdy żelazo działaniem strumieni elektrycznych nabywa lub utracą polarność magnetyczną, w drótach obwijających elektro-magnesy powstają strumienie magneto-elektryczne, których kierunek, przeciwnym jest względem kierunku strumienia wzbudzającego magnetyczność.

Podczas obrotu maszyny, przy zmianie biegunów, w elektro-magnesach rodzą się więc strumienie elektryczne przeciwnych kierunków, szkodliwie działające na ruch całej maszyny.

W budowie elektro-magnetycznej maszyny p. Jacobi, napotykamy na ważną niedogodność, a mianowicie, że jeżeli bieguny zmiennych, staną wprost biegunów stałych elektro-magnesów, wtedy motor, nie tylko nie przyczynia się do sprawienia ruchu, ale nadto, szkodliwie działa na sam mechanizm aparatu. Wówczas bowiem, zamiast wzajemnego przyciągania i odpychania w kierunku obrotu koła, następuje przyciąganie w kierunku równoodległym od osi; ztąd powstaje silne tarcie w panwach, zużywające nadaremnie wiele siły.

Tą niedogodnością powodowany p. Jacobi, w większych maszynach przez siebie budowanych, elektro-magnesy układa sposobem Davenporta. Tak urządzoną maszynę, w której układ sztab, jest według Davenporta, a kommutator, wynalazku p. Jacobi, przedstawia figura 5,

łatwa z wejrzenia do pojęcia; i dlatego, opis jęj szczegó-
łowy pomijamy. Kommutator jedynie, jako różniący się
budową od poprzedzającego, przedstawiliśmy na oddziel-
nej figurze (*fig. 6*) z boku. Na drewnianym pręcie części
kręskowane, są z metalu. Kółko metalowe *M*, rozdziel-
ne jest nieprzewodnikiem, na cztery części zupełnie odo-
sobnione, i tylko dwie po dwie wierzchołkiem przeciwle-
głe komunikują się z sobą za pomocą drótów *ii, oo*. Dwa
dróty *kh* i *wz*, idące od elektro-magnesów ruchomych,
stale są utkwione w dwóch przyległych ćwiartkach,
w punktach *w, w*. Przedstawiając sobie kółko metalowe
M, w dwóch o 45° różniących się położeniach; łatwo
daje się pojąć zmianę kierunku, jaka zachodzi w strumie-
niu elektrycznym krążącym po drótach *kh, wz*, a tém
samém i spiralnych. Przystąpmy teraz do opisu machin
elektro-magnetycznych p. Franciszka Watkin's. Składowe
części jego maszyny, są następujące: Cztery stalowe ma-
gnesy *a, a, a, a*, (*fig. 7*), utwierdzone są pionowo w dwóch
drewnianych podstawkach *b, b*, utrzymywanych przez
dwa słupy także drewniane *c, c*. W środku tych ma-
gnesów, znajduje się metalowa oś, na której osadzone są
poziomo elektro-magnesy *dd, d'd'*. Funkcyę kommutatora
w téj machinie, wykonywają dwa drewniane, okrągłe
naczynia *e, e*, z których każde ma w swym środku pier-
ścieniową rynienkę. Rynienki nieprzewodnikami prze-
dzielone są na cztery części, w które naléwa się merkury-
usz. Na dnie każdego z tych przedziałów, w górnéj rynien-
ce, znajduje się krótki dróciik; wszystkie zaś te dróty, są
dobrze spojone z dwoma głównymi drótami *f, f*, jednym
wprowadzającym, a drugim wyprowadzającym elektry-
czność. Podobne krótkie dróty, znajdują się w przegród-
kach rynienki wyżłobionéj, w dolném naczyniu *e*, i kom-

munikują z dwoma kubkami z merkuryuszem *nn*. Końce spiralnych obwijających górne elektro-magnesy zlutowane w dwa platynowe dróty, dotykają się, w czasie obrotu osi, powierzchni merkuryusza w przegródkach.

Jeżeli końce platynowe, dotykają się powierzchni merkuryusza dwóch obok siebie znajdujących się przegródek, wtedy przepływający po spiralnych strumień, udziela końcom elektro-magnesów pewnej polarności, w taki sposób, że te bieguny, przez bieguny stalowych magnesów, zostają przyciągane. W chwili, gdy elektro-magnesy, znajdują się naprzeciwko stalowych magnesów, dróty platynowe przeskakują przegródki, i stykają się z merkuryuszem, do którego płynie strumień od innego bieguna. W skutek tego, zmieni się kierunek strumienia krążącego po spiralnych, za tém pójdzie przemiana biegunów na końcach elektro-magnesów, a ztąd wyniknie siła odpychająca ruchome elektro-magnesy, przez stałe magnesy.

Dolne elektro-magnesy, ustawione są pod pewnym kątem z górnym; tym sposobem gdy górny system elektro-magnesów, znajduje się w położeniu, w którym najmocniej jest przyciągany przez stalowe magnesy, wówczas dolny system przechodzi swe martwe punkta. Przez takie ustawienie, obadwa systemata elektro-magnesów wzajemnie się wspierają, a tym sposobem, przyczyniają się do sprawienia jednostajnego obrotu osi.

Osadzając na osi metalowej utrzymującej elektro-magnesy, koło zębate *h*, i zaczepiając niém za zęby koła umieszczonego na walcu *i*, można bezpośrednio wprowadzić w ruch różne maszynerye.

Watkin's uprościł swą machine, biorąc do jój składu dwa tylko elektro-magnesy *dd*, *d'd'*, (*fig. 8*), (których zagięte części zakryte są podstawą), i cztery stalowe ma-

gnesy formy podobnej do skrzydeł wiatraka, na jednej poziomej osi osadzone.

Budowa kommutatora w tej maszynie, z małą odmianną podobna jest do budowy poprzedniego.

P.P. Stratingh i Becker, należy się pierwszeństwo zastosowania elektro-magnetyzmu, do sprawienia ruchu postępowego. Model ich wózka przedstawiony jest na *figurach* 9, 10, 11, z przodu, z tyłu i z boku. Cały aparat do sprawienia ruchu służący, znajduje się na czworobocznej desce *a*, elektro-motor zaś *n* (*fig.* 11), na drugiej desce *b*, utwierdzonej z przodu poprzedniej.

Części składowe tego wózka, są następujące:

Sztaba z miękkiego żelaza kształtu podkowy, utkwioną jest stale w desce *a*; końce jej, tak są od siebie oddalone, że w tym odstępie, swobodnie obracać się może sztaba walcowata z miękkiego żelaza *gg'*.

Końce półkulistej sztaby, są płasko ścięte w tym celu, aby walec *gg'*, w czasie obrotu, o ile można, jak największą kulą punktów zbliżał się do tych końców. Sztaba pionowa okręcona jest stosownie we dwa rzędy miedzianym drótem, szerokim na $\frac{1}{2}$ linii, długim na 7 łokci. Drót do tego użyty, nie był okręcony jedwabiem jak to zwykle czynią, ale pokryty dość grubą warstwą wernixu.

Końce drótu otaczającego pionową sztabę wchodzi w kubki *f, f* z hebanowego drzewa, napełnione merkuryszem; a wstawiając w też kubki dwa dróty *o, o'* (*fig.* 11), idące od dwóch biegunów stosu Volty, pionowa sztaba natychmiast zmienia się w elektro-magnes, nabywając na swych końcach różnorodne polarność.

Drugą część aparatu ruch sprawiającego, stanowi wspomniany już wyżej, poziomy walec *gg'*, wraz z swą osią pionową swobodnie obracać się mogący. Ten walec

okręcony jest drótem blisko na $3\frac{1}{2}$ łokcia długim, w ten sposób, że działaniem strumienia elektrycznego, może się także zmienić w elektro-magnes.

Ponieważ bieguny pionowo stojącego elektromagnesu są niezmiennie, naturalną więc jest rzeczą, że dla sprawienia ruchu, bieguny poziomego elektro-magnesu, co pół-okręgu zmieniać się winny. Kommutator służący do téj przemiany biegunów w poziomym elektro-magnecie, składa się z małego hebanowego naczynka *kk*, przegródką z kości słoniowej na dwie połówki rozdzielonego. Jedna połówka naczynka *kk*, komunikuje z jednym kubkiem *f*, za pomocą drótu *m*; a druga innym drótem *m*, złączoną jest z drugim kubkiem *f*. W te przegródki wchodzi także końce spiralnej obwijającej poziomy elektro-magnes, i dotykają się powierzchni merkuryusza w nie nalanego; tak jednak są ustawione, że nigdy obadwa w jednej połowie, znajdować się nie mogą; przechodzą zaś przegródkę z kości słoniowej właśnie wtedy, gdy poziomy elektro-magnes prostopadle stanie do linii łączącej bieguny elektro-magnesu pionowego.

Ruch obrotowy sztaby poziomej za pośrednictwem osi, przesyła się do kół tylnych. Górna część osi przechodzi przez stalowe kółko *h*, mocno utrzymywane przez dwa grube dróty *i, i*, (*fig. 10*), zabite w desce *a*; następnie ta oś przechodzi wskrós przez deskę w środku kommutatora *kk*, i zakończy się na panwie pod deską utwierdzonej. Dolny koniec téj osi, ma na sobie kółko palczaste np. o 8 palcach; na osi utrzymującej dwa tylko koła wózka znajduje się koło zębate np. o 24 zębach; w czasie więc obrotu elektro-magnesu poziomego, i oś wraz z dwoma kołami obracać się musi. Przygotowawszy stos z cynku i miedzi i wody zakwaszonej w naczyniu *n* (*fig. 11*),

postawmy opisany model na wielkim okrągłym stole, a wózek (wazący około 6 funt.), przez 15—20 minut z jednostajną prędkością krążyć po nim będzie; a nawet obciążwszy go połową jego wagi, szybkość biegu nie o wiele się zmniejszy.

Tak więc pp. Stratingh i Becker dowiedli możności użycia elektro-magnetyzmu do sprawienia ruchu postępowego; pozostaje tylko poczynić różne ulepszenia w budowie tego rodzaju machin, np. przez użycie dwóch lub więcej elektro-magnesów pionowych stałych, i tyleż poziomych ruchomych, przez co siłę podwoić, potroić i t. d. można, przez najdogodniejszą jaką tylko nauka wskazuje formę elektro-magnesów i t. d.; a w każdym razie niezbędną będzie rzeczą urządzenie doświadczeń na wielką skalę.

Oprócz powyżej opisanych modeli machin elektro-magnetycznych, w kilku już miejscach pobudowano na wielką skalę, maszyny tym motorem poruszane. I tak, w 1840, Patterson urządził elektro-magnetyczną maszynę, poruszającą prasę drukarską; Taylor również jak i Stöhrer (w Lipsku), zbudowali elektro-magnetyczne tokarnie; Bauer w Norymberdze wystawił tartak elektro-magnetyczny; nakoniec, Jacobi szczęśliwie stosuje elektro-magnetyzm do poruszania statków.

Widzieliśmy łódkę przez niego urządzoną, która w górę Newy z 10 osobami zwolna płynęła; byłato próba; zniej jednak wnosić już można, że przy pracy znanych ze swych pomysłów pp. Jacobi i Lenz i szczodrej pomocy rządu, wkrótce elektro-magnetyzm ważną zrządzi zmianę w marynarce.

Nakoniec, między osobami które się zajmują praktycznym zastosowaniem elektro-magnetyzmu, wymienić należy p. Wagner (w Frankfurcie nad Menem); który swą

kilkoletnią, wyłącznie temu przedmiotowi poświęconą pracą, miał podobno do różnych i ważnych w praktyce dojsć wypadków. Niektóre osoby utrzymują, że siła jego machin elektro-magnetycznych, rośnie w stosunku kwadratów z ich wielkości, tak, że machina posiadająca np. 10 razy większe wymiary swych części, od innej nie 10, ale 100 razy większą okazuje siłę, niewymagając przytém silniejszego strumienia. Z drugiej strony, proff. Ettinghausen, w liście pisanym do p. Jacobi, zapewnia, że Wagner ani na krok nie posunął naszych wiadomości nad teorią machin elektro-magnetycznych, i że wszystkie jego próby, zupełnie się zawiodły. Mniemanie to zapewne jest prawdziwe, gdyż jak wiadomo, związek Niemiecki, wskutek wezwania Towarzystwa Frankfurtskiego, miał chęć zakupić od Wagnera za 100000 guldenów, jego wynalazki; po bliższém jednak rozpatrzeniu, podobno odmówił mu tego wynagrodzenia.

Następuje tu pytanie: czy tak niebezpieczną w zastosowaniu parę, można z korzyścią zastąpić przez ten nowy motor? Możliwość podstawienia elektro-magnetyzmu w miejsce pary, jest już dowiedziona; jednakże na to pytanie, pod najważniejszym względem, to jest pod względem kosztów, dotąd dla braku wielu jeszcze danych, odpowiedzieć nie jesteśmy w stanie.

Zastanówmy się bliżej, na czém się opiera ta kwestya. Tak do machin parowych, jako téż i elektro-magnetycznych potrzebną jest woda; w pierwszych woda w parę się zmienia, a w drugich rozkłada. Do machin parowych potrzeba ciepła, a więc drzewa, węgla, lub innych materiałów palnych; w machinach zaś elektro-magnetycznych, rozkład wody bez cynku nastąpić nie może. Powstaje więc pytanie: którą z tych dwóch dróg, najwię-

kszą otrzymać można siłę, z jak najmniejszym kosztem? Dla rozwiązania go, obliczyć należy, ile potrzeba zużyć cynku na wprowadzenie w ruch maszyny o jednym, dziesięciu, stu; i t. d. koniach, i dopóki nie zbadamy tego prawie z matematyczną ścisłością, póty wszelkie dowody *pro* i *contra* maszyn elektro-magnetycznych, będą bez gruntownej zasady. Do tego zaś, należy poznać ilość cynku, potrzebną do zamienienia pewnej wagi żelaza w magnes, w podobny sposób jakim postępowano przy oznaczeniu ilości węgla, potrzebnych do ogrzania danej ilości wody do pewnego stopnia. Głównym punktem przy tych doświadczeniach, będzie prawidło podane przez p. Faraday, że ilość cynku zużyta w pewnym czasie, jest w prostym stosunku z natężeniem strumienia, a tém samém, w odwrotnym z całkowitą długością stosu; gdyż poznawszy raz wagę cynku, potrzebną do utrzymania przez pewien czas strumienia w stosie danej długości, łatwo można będzie z powyższego prawa obliczać ilość tego metalu, konieczną do sprawienia strumienia innej mocy, i w innym stosie.

Następnie, przystąpić należy do wyśledzenia związku między siłą magnetyczną, a wzbudzającą ją siłą strumienia elektrycznego. W tym względzie, znane są wzorowe prace pp. Jacobi i Lenz; z nich wynika: że jeżeli strumień płynie przez dwie sztaby żelazne jednakowej formy, lecz okręcone różnymi spiralnemi, to wzbudzony w nich magnetyzm jest proporcjonalny tylko do liczby skrętów, lecz nie zależy wcale od grubości i średnicy tychże skrętów. Dla tegoż samego elektro-magnesu, wyrachować więc można zmiany w sile magnetycznej, wynikające ze zmiany zarazem i spiralnej i elektro-motoru.

Do praktycznego zastosowania elektro-magnetyzmu, również niezbędnym jest poznanie wpływu, jaki wywierają na zmianę siły magnetycznej, wzbudzonej przez strumień pewnej mocy, za pośrednictwem pewnej spiralnej, długość, grubość, forma, i sam gatunek żelaza, z którego zrobiony jest elektro-magnes.

Dal-Negro zapewnia, że żelazne, walcowate, kształtu podkowy elektro-magnesy, zdolne są daleko większą przyjąć siłę magnetyczną, jak pryzmatyczne. Co się dotyczy długości, zrobił on następujące doświadczenie: trzy walce jednoważne z tegoż samego żelaza, obwite spiralnemi, których długości były jak 1: 2: i 3: wystawił na działanie tegoż strumienia elektrycznego i znalazł, że ciężary, jakie zdolne były utrzymać, były w stosunku 5: 6: 4. Z tego się okazuje, że dla każdej masy żelaza, istnieje pewne maximum długości, odpowiadające maximum siły magnetycznej. Jakkolwiek w tym przedmiocie i Ritchie wiele wykonywał doświadczeń, wyznaczyć jednak należy, że wpływ długości sztab żelaznych, na siłę magnetyczną w nich wzbudzaną, nie został jeszcze dokładnie zbadanym.

Rzecz ma się inaczej z grubością elektro-magnesów. Wpływ jej na siłę magnetyczną, śledzonym był przez pp. Jacobi i Lenz, którzy z licznych doświadczeń znaleźli, że siła magnetyczna udzielana przez strumień o jednostajnej sile, za pomocą spiralnych o jednakowej liczbie skrętów, pełnym walcem żelaznym jednej długości, proporcjonalną jest do średnicy użytych walców.

Ważną także dla praktyki byłoby rzeczą, walce pełne zastąpić przez wydrążone. Parrot ostatecznie dowiódł, że wydrążając walce przeznaczone na elektro-magnesy, można téjże samej massie żelaza, nadać daleko większą siłę magnetyczną; np. tak, zmniejszając masę żelaza o połowę

tylko $\frac{1}{10}$ część siły magnetycznej ginęła, a przez zmniejszenie masy żelaza do $\frac{1}{4}$ części, tylko $\frac{1}{5}$.

Co się dotyczy gatunku żelaza przeznaczonego na elektro-magnesy, wielki wybór czynić należy. Ritchie utrzymuje, że żelazo, które w handlu uważane bywa za gorsze, to jest mające odłam krystaliczny, dziurkowany, daleko jest przydatniejsze na elektro-magnesy, aniżeli żelaza czyste, odłamu włóknistego.

Zakończmy tę rozprawę przytoczeniem pierwszeństw, jakie posiadają maszyny elektro-magnetyczne przed parowymi. Brak jeszcze pewnych obliczeń kosztów utrzymania elektro-magnetycznych maszyn; twierdzą jednak, że utrzymanie w ruchu maszyn przez Wagnera zbudowanych, mniej jest kosztownym od maszyn parowych.

W maszynach elektro-magnetycznych, wtedy dopiero ruch następuje, gdy cynk zanurzymy w użytym rozcieku; działanie zaś natychmiast przerwanym zostanie, skoro cynk wyjmemy. Jakkolwiek więc zachodzi strata cynku podczas ruchu maszyny, każda jednak cząstka zużytego metalu, natychmiast swe pożyteczne okazuje działanie. Nadto, zużyty cynk znajduje się w postaci siarczanu cynku, mogącego być jeszcze zpożytkowanym do innych chemicznych preparatów.

Maszyny elektro-magnetyczne, nie potrzebują prawie żadnego dozoru; zdolne są, jak się zdaje, do nabycia wszelkich prędkości, jak również mogą być każdego momentu wstrzymanymi.

Do najważniejszych ich zalet, należy zupełna bezpieczeńność. Wreszcie, przyznawszy nawet parze pierwszeństwo w przypadkach, w których potrzeba wielkie poruszać ciężary, trudno odmówić dogodności maszynom elektro-magnetycznym, w zastosowaniu do małych war-

sztatów. Machina parowa o sile jednego człowieka, byłaby prawie nieużytecznym narzędziem, a podwójnie nawet nieużytecznym, chcąc ją zastosować do poruszenia maszyneryj, nie ciągle, lecz w pewnych tylko przestankach działających.

W tych zaś przypadkach, cóż może być dogodniejszego nad maszynę elektro-magnetyczną o sile jednego człowieka?

Z szczęśliwych dotąd poczynionych prób, wnosić jednak można, że elektro-magnetyzm wkrótce i w wielkich maszyneryjach znajdzie swe zastosowanie; a wówczas, dla tak licznych korzyści jakie przedstawia przed parą, zda się, nastąpi zupełne zdetronizowanie, o ile silnej, o tyle niebezpiecznej pary.



PAMIĘTNIKI SEGLASA,

przez

Fryderyka hr. Scharbka.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XVII.

Wchodzę w intrygi.

Ja to zawsze mówiłem, że najciężej zacząć; dalej to się już idzie. Tak też było ze mną; wszedłem w świat Warszawski, przypatrywałem się różnym intrygom i wypadkom światowym, i to póty, pókim sam do nich nie należał.

Z opisu mojej wizyty u pierwszej protektorki mojej (którą odtąd panią baronową zwać będę), jako i z przedstawienia się mego u mojej ówczesnej pani, można było już poznać obie te damy, żyjące w największym odmiecie wielkiego świata, i jego intrygami zajęte. Z rozmowy jaką przytoczyłem, wnosić należało, że były w najściślejszej przyjaźni; ale przyjaźń zwłaszcza u kobiet, jest węzeł z bardzo słabego wątku usnuty, który albo się rwie dorazu za wyprężeniem, albo się zwolna rozwiązuje za upływem czasu, lub za dotknięciem niezgrabnej ręki. Obie te damy były w wielkiej przyjaźni z sobą, póty, póki jedna była celem, a druga środkiem prowadzenia intrygi; lecz gdy ta ostatnia, to jest pani baronowa, dostrzegła, że jej przyjaciółka, bez jej pośrednictwa, na swoją rękę intrygę prowadzić może; i gdy pani Klemencya również spostrzegła, że jej przyjaciółka wynajduje inne przedmioty intryg swoich, a co gorsza, że ją dla innych poświę-

ca;... zerwała się ścisła przyjaźń, a w miejsce jęj, wstąpiła nieubłagana nienawiść, która się w zobopólnej obmowie i potwarzaniu objawiała.

Pani Klemencya, jako wdowa bogata i przystojna, była w tém najszcześniejszym położeniu kobiety, że równie jak panna na wydaniu, wzbudzała miłość, odbierała hołdy czcicieli, przebięrała do woli między niemi, a nie potrzebowała przy tém wszystkiém, kryć się za warownią panięskiej skromności, i mogła ile razy chciała, wystąpić śmiało w otwarte szranki z czcicielami swemi. A było ich wielu tych czcicieli; widywałem ich co wieczór prawie, a przynajmniej zawsze, gdy pani Klemencya w domu pozostawała; wszyscy ubiegali się o łaskawe spojrzenie, o uśmiech, o miłe słowo, i naprzemian karmili się nadzieją, którą ta pani każdemu przewidywać, a żadnemu widzieć nie pozwalała. Długo patrzyłem na te, że tak rzekę spółkowe zabiegi wszystkich, bo do prawdy, że się zdawało, iż oni zawarli między sobą jakąś umowę, na mocy której, wszyscy ubiegać się mieli *en compagnie* o względy jednej pani, póki ona sama nie raczy oznaczyć szczęśliwszego między niemi. Z tego wszystkiego wnosilem sobie, że to jest wielką prawdą: iż kobiety Polskie, więcej mają miłości w głowie jak w sercu, i że u męczyzn ubiegających się o dobre małżeństwo, nie masz jęj ani w głowie ani w sercu; a koniec wszystkich intryg, których byłem świadkiem, dowiódł mi: że związek małżeński pod taką wróżbą zawarty, jest dziełem kaprysu z jednej, a rachuby z drugiej strony; i że do niego miłość, a raczej to przywiązanie, co się na wzajemnym szacunku gruntuje, najmniej wpływa.

Długi bardzo czas upłynął, nim się domyśliłem, kto był przedmiotem kaprysu pani Klemencyi; umiała ona

bowiem zachować tę trafną taktykę w walce z zalotnikami swemi, iż jawnie była równie grzeczną dla wszystkich; że przed światem zdawała się dawać pierwszeństwo temu któremu świat najwięcej rzeczywistej wartości i poważania przyznawał; i że potajemnie tego za przedmiot swego wyboru obrała, który bez względu co świat na to mówić będzie, jej kapryswi najbardziej odpowiadał. Ale to jej upodobanie było taką tajemnicą pokryte, że trzeba było najsilniejszej dla każdej kobiety pobudki, to jest zazdrości, aby się z nią przede mną wydała; a to przy okoliczności nader dla mnie pamiętnej.

Gdy dnia pewnego, po skończonych lekcjach, obróciłem codzienny spacer z uczniem moim ku Łazienkom, prosił mnie tenże, przechodząc koło Wiejskiej kawy, aby wstąpić na podwieczorek. Gdyśmy weszli do niskiego drewnianego domku, do którego, pomimo niepozornej powierzchowności, cała Warszawa uczęszczała, zastaliśmy w pierwszej sali liczne zebranie mężczyzn, otaczających stół wazą ponczu zastawiony. Goszczący byli wszyscy bardzo weseli; głośne rozmowy i śmiechy, zarumienione twarze wszystkich i niepewne nogi niektórych, przekonywały, że to pewnie niepiérwsza waza wyprózniona ze stołu schodziła. Zbliżając się do tej grupy, spostrzegłem między temi, którzy najsilniejsze rumieńce a najslabsze mieli nogi, twarz, która mnie uderzyła i bolesne wspomnienie we mnie wzbudziła. Było bowiem mąż owój córki starosty, której pamięć była najtkliwszym wspomnieniem szczęśliwych chwil życia mojego. Po szyderskiem wejrzeniu, jakie niemal wszyscy towarzysze na niego zwracali, po śmiechu jaki między niemi powstał gdy jeden z nich dowcipnie z niego szydził, po głupowatym uśmiechu i szklących się a zamdlonych oczach jego,

poznałem, że on odgrywał smutną rolę niedoświadczonego parafianina, który się dostał między złośliwych bywalców wielkiego świata, i jest przedmiotem nielitościwych żartów i przekąsów. Przez wzgląd na żonę jego, chciałbym był go ostrzedz i wyciągnąć z tego niebezpiecznego grona; ale liczba nielitościwych przyjaciół, którzy go trzymali w swoim kole, i wyraźne znamiona utraconej już przytomności, odwiodły mnie od zamiaru mego. Przypatrzwszy się chwilę téj przykrój dla mnie scenie, przeszedłem na lewo do ostatniego pokoju, i zająłem z Emilem miejsce przy stoliku tuż przy drzwiach w samym rogu stojącym. Wszystkie miejsca były zajęte; przy nas siedziały dwie poważne matrony, które jedynie dla kawy i babki przybyły w to miejsce, i z wielkim apetytem ten posiłek pożywały, zasłaniając całą szerokością figur swoich, na drugim rogu przy téj ścianie siedzących. Przed nami zajmowała stół większy rodzina, ile się zdawała kupiecka, z trojgiem dzieci, rozlewających kawę po stole, przy skwapliwém topieniu kawałków babki w pełnych filiżankach. Naprzeciwko w rogu, siedziało dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy zwracali pilne oko na zasłoniętą przez nasze sąsiadki grupę; po wyrazie ich twarzy, po ironicznym uśmiechu, przy udzielanych sobie spostrzeżeniach, wnosić należało, że bardzo byli zajęci osobami naprzeciwko siedzącymi. Gdy nam dano kawy, i gdy sąsiadki nasze powstały i w drugim rogu siedzących odłoniły, ostrzegł mnie Emil, że tam siedzi pan wojewodzie, ów czciciel matki jego, o którego względniejszém przyjmowaniu świat nie wiedział. Zwróciwszy oczy ku nim, spostrzegłem w samym rogu, panią baronową moją dawną protektorę, a przy niej siedziała jakaś dama, której zra-

zu dostrzedz nie mógłem, bo ją zasłaniał pan wojewodzie, ile się zdawało, bardzo nią zajęty; domyśliłem się co było przedmiotem pilnej uwagi dwóch mężczyzn naprzeciwko siedzących: pani baronowa jako pośredniczka przyjaznych stosunków dwóch osób, któreby w takie stosunki wchodzić nie powinny, to ich uwagę ściągało i tego się i ja domyślałem. Ciekawością zdjęty, nie spuszczałem oka z sąsiadów, zwłaszcza, że przy zapadającym zmroku, i oddaleniu od okna, niełatwo mógłem być poznany. Pan wojewodzie był zresztą tak mocno zajęty sąsiadką swoją, tyle jej prawil grzesności, tyle razy w rękę całował, że nie mógł nic widzieć, co się koło niego działo, i zasłaniał nas tak, iż baronowej czasem oko spostrzedz nas nie mogło. Nie wiedziałem jeszcze wówczas o stosunkach pani Klemencyi z panem wojewodzie, i poglądałem obojętnie na te jego chwilowe zaloty, uważając je za rzecz bardzo zwyczajną; i wiedziałem, że gdzie baronowa dopomagała, tam miłość najkrótszą drogą mety dobiegała, i nigdy długo trwała nie była. Lecz cóż się stało ze mną, gdy wojewodzie powstawszy z miejsca odsłonił sąsiadkę, i gdy w niej poznał żonę owego w pierwszym pokoju spojonego męża! Tak, była to śliczna, skromna i niewinna Anusia! Tak, powtarzam, skromna, i niewinna, i gotówbym przysiędz na to, lubo wówczas, gdy była w towarzystwie baronowej i wojewodzica, niktby temu nie był dał wiary.

Gdym ją spostrzegł, zadrzałem, osłupiałem, i czułem że mi rumieniec osiadł na twarzy. Po roku zameżcia już występna małżonka! taka była myśl pierwsza, która całą moją ogarnęła duszę. A czyż jest już na świecie kobiéta, którejby ufać można, jeśli ta zdradziła ufność, jaką w jej słodyczy i skromności pokładałem? Na co się

przyda najprzykładniejsze wychowanie, jeżeli przewrotne nauki zepsutego świata, tak prędko niewinną istotę poniżyć mogą? Do czegoż prowadzi małżeństwo bez skłonności i bez szacunku skojarzone? A jednak miała jeszcze w całej postaci swojej, ten wyraz uroczej skromności, który mnie dawniej zachwycił; oczy jej były spuszczone, rumieniec pokrywał lica, nie było uśmiechu na twarzy, niespokojność i smutek malowały się na niej, serce musiało bić mocno.... Nieszczęśliwa, pomyślałem sobie, ona pewno nie widzi przepaści nad którą stoi, nie zna tego, jaką baronowa jest przyjaciółką.... trzeba ją ostrzedz.... i bez dalszego namysłu zrywam się z miejsca, idę wprost do niej z niepojętą u mnie śmiałością, narazić się na gniew baronowej i wojewodzica.... i przemawiam do niej tym samym sposobem, jak dawniej, gdym był jej nauczycielem. Krzyknęła jakby przerażona; radość i wstyd malowały się razem na jej twarzy; podała mi rękę, pocałowałem ją z uniesieniem; ona moją rękę konwulsyjnie ścisnęła, a wojewodzie poglądał na mnie z wyrazem gniewu i pomieszania, bo byłem dla niego podwójnym wrogiem; tu przerywałem chwilowe zapalenie jego, tam mogłem szkodzić zamiarom stalszych związków. Baronowa była zdziwiona, z kądem ja, bakałarz, tak dobrze znajomy z tak piękną kobietą, z kądem w niej ta dla mnie przychylność!—To dawny mój nauczyciel, rzekła do niej ze słodyczą.—A prawda, odpowiedziała baronowa; przypominam sobie żeś mi pan mówił, iż byłeś w domu rodziców tej pani.... ale idźmy, bo już późno. Widoczne było pomieszanie wszystkich; damy powstały, wojewodzie podał im rękę.... ja smutno postąpiłem za nimi.... Przechodząc przez salę, rzuciła okiem na grono, w którym męża spostrzegła,

i odwróciła żywo oczy, spuściła je z wyrazem wstydu za niego i za siebie, i usiłowała ukryć się przed wszystkimi, wyjść jak najprędzej z tego miejsca, aby otaczający ją ludzie nie odgadli przykrego i ponizającego jój położenia. Ja nie spuszczałem jój z oka, cierpiałem i rumieniłem się za nią, a to tym bardziej, że ją uważano i że czyniono nad nią dostrzeżenia ubliżające. Ci dwaj mężczyźni, których zastałem w pokoju pilną na nich zwracających uwagę, szli także za nami, znać, aby ich nie spuścić z oka, póki się nie oddalą. Musiałem słyszeć następującą ich rozmowę.

— Uważałeś tego mazgaja pijanego, z którego inni szydzili?

— Uważałem.

— To mąż. Nie warto było zadawać sobie tyle z nim pracy; onby był i po trzeźwu szczęśliw z tego, że się ktoś do jego żony umizga.

— Ale ona taka młoda i już taka....

— To ofiara baronowej, towar świeży który ona na sprzedaż wystawia.

— Zdaje się, że musiała już dostać jaki zadatek na niego.

Gdybym był słuchał popędu serca mego, byłbym przerwał mówiącym, aby ich z błędu wyprowadzić względem osoby której nie znali, ale rozsądek kazał milczeć; bo wszystkie pozory były przeciw niej tak dalece, iż uwaga jakąbym był uczynił, byłaby mi ściągnęła odpowiedź urągającą lub niegrzeczną ze strony nieznanomych. Zaszedł pojazd wojewodzica, wsiadły do niego obie kobiety i właściciel na przodku; a gdy ruszył z miejsca, zdawało mi się, że mi porwał i unosi z sobą uludę szczęścia, z którą się tak długo pieściłem.

Wkrótce potem, wyszli tłumnie towarzysze jej męża, prowadząc go pod rękę; a gdy się zebrali pod wystawą, zajechał pięciokonny ekwipaż, głuszając nas potrójnym potrzaskiem stangreta; wyskoczył z płaszczem dla pana wygalonowany strzelec, wsadzono bohatera śmieśności i ponizenia do pojazdu, kilku najzaciętszych prześladowców wsiadło z nim razem, i z szydzącym krzykiem ruszyli naprzód, jakby chcieli okazywać po mieście ofiarę własnego głupstwa, i ich rozpusty.

Całą drogę z powrotem do domu mocno byłem wzruszony; śpieszyłem naprzód tak, że Emil ledwo mógł zdążyć za mną, jak gdybym gonił za nimi. Milczałem, ale myśli najdziwaczniejsze krzyżowały się po umyśle moim. To się oburzałem na wspomnienie środków jakich on użyć może aby ją uwieść, i truchlałem z powodu niebezpieczeństwa które jej groziło; to się dręczyłem obrazem niegodziwego szczęścia, którego on odstąpić może, i występnej lekkomyślności, do której ona doszła; to marzyłem o cudownym jej ocaleniu, w którym ja byłem jej duchem opiekuńczym.

Za powrotem do domu, gdym się wahał co mi czynić wypada, czy zamknąć się w pokoju i ukryć zgryzotę moją, czy też biędz na miasto szukać ją i ostrzedz o grożącym niebezpieczeństwie, napotkaliśmy matkę Emila w przedpokoju, a on na pierwszym spotkaniu, wygadał jej całą historią, ale tak prędko i tak niezrozumiale, że mi Klemencya kazała iść za sobą do pokoju, i rzucawszy się na sofę rzekła do mnie żywo, z wyrazem niespokojnej ciekawości:

„Mówże pan co to było, kogoście tam spotkali z baronową? z kąd pan znasz tę kobietę?”

Wzruszenie moje i nieład myśli które przez całą drogę po głowie mojej chodziły, nie dozwoliły mi odpowiedzieć krótko i kategorycznie na te zapytania, a pogarda, z jaką Klemencya wyrzekła ostatnie wyrazy, wskazała mi potrzebę usprawiedliwienia przedewszystkiém téj, którą ona poniżała, nazywając ją, tą kobietą. Zacząłem więc długą historią najprzód naszego spaceru, i powodu wstąpienia na Wiejską kawę, którą Klemencya przerwała z niecierpliwością.

„I co mi pan tak długo gadasz o spacerze i o kawie, powiedz krótko coto była za jedna, z kąd ją znasz?” Chcąc odpowiedzieć na to, przestałem mówić o Wiejskiej kawie, a zacząłem mówić o domu starosty, o przykładmym wychowaniu jego córek, o ich skromności i dobroci serca.

—I co mi tam gadasz o skromności i cnotach córek starosty, przerwała Klemencya, ja lepiej wiem co mam o tém sądzić; więc to była jedna z córek starosty, którą baronowa z sobą wozi? Czyto ona już nie ma matki? czy też matka jest ślepą i nierozsądną, że pannę takiej osobie powierza?

—Ale to nie panna, lecz mężatka, odrzekłem i zacząłem opowiadać szczegóły jój zamężcia; ale Klemencya nie słuchała, i po chwili milczenia zawołała:

—Mężatka, mężatka, to jeszcze gorzej... a czy ładna?

—Ach ładna, bardzo ładna, zawołałem, bo byłem jeszcze pod wpływem uroku jój zachwycającego wejrzenia; i gdym się w najlepsze rozwodził nad jój wdziękami, przerwała mi z uniesieniem pani Klemencya, mówiąc:

—I pan, jój dawny nauczyciel, możesz patrzeć obojętnie na zgubę téj młodej osoby? Czyliż to nie jest twoim obowiązkiem, ostrzedz ją o grożącym niebezpieczeństwie?

I stoisz tu tak nieczynnie, i rozprawiasz długo o niej, zamiast biędz za nią, do jój mieszkania lub gdzie ją będziesz mógł znaleźć, aby jój powiedzieć, że baronowa jest osobą, z którą się żadna młoda niedoświadczona kobieta zadawać nie powinna; że samo okazywanie się w jój towarzystwie po miejscach publicznych, rzuci już na nią podejrzenie i uczyni ją przedmiotem potwarzy i szyderstwa!... Chyba, że masz to przekonanie, iż twoja dawna uczennica jest wprawną kokietką, umiejącą pokryć zmyślonym pozorem skromności, przebiegłe intrygi swoje.

Stałem jak wryty przed Klemencyą, i nie miałem w myśli ani w mowie żadnej odpowiedzi dla niej. Uniesienie gniewu i namiętności malowało się na jój twarzy. Miałem przypisywać szlachetnemu oburzeniu i uczuciom moralnym te wyrzuty, mnie jako dawnemu nauczycielowi czynione, lub przypisać tym pięknym pobudkom, żywe zajęcie się dobrą sławą młodej kobiety? Nie znałem dotąd téj pięknej strony charakteru Klemencyi; z zadziwieniem słuchałem jój przemowy i czyniłem sobie wyrzuty o obojętność moję; gdy po chwili milczenia, w której poszła do okna, w mocném wzruszeniu i ukradkiem łzę otarła, wróciła do mnie i rzekła z większem jeszcze uniesieniem:

„I czegoż pan stoisz jeszcze? Czemuż nie idziesz dowiedzieć się dokąd pojechali? co się stało z upojonym mężem? czy pan wojewodzie jest z niemi? O ta niegodziwa baronowa. Idźcie pan do jój mieszkania, na teatr, albo gdzie chcesz, byleś mi dziś jeszcze doniósł, co oni robią, czy są z sobą?” To rzekłszy, żywo wyszła z pokoju i drzwi za sobą zatrzasnęła, a ja odurzony, wyszedłem z tém przekonaniem, że muszę wypełnić rozkaz przez Klemencyą dany; lecz niewiedząc wcale co mam uczynić, aby go wy-

konać. Brzmiały mi w uszach ostatnie jęj wyrazy i na wszystkie czyniłem sobie odpowiedzi. Co się stało z upojonym mężem?—Śpi zapewne, nie warto czynić dalszych poszukiwań względem niego.—Czy wojewodzie jest z nimi?—Nieomylnie jest, bo się tak łatwo pięknej nie odstępować zdobyć.—Idź pan do jęj mieszkania.—Tak, kiedy nie wiem gdzie mieszka.—Na teatr... na wspomnienie tęg części rozkazu, stanąłem na ulicy, na którą byłem bez myśli z pokojów Klemencyi wyszedł; tak jest, na teatr, tam ich najpewniej zastanę, bo któraż z prowincyi przybyła osoba na teatr nie jedzie? Po chwili namysłu, zacząłem nie już iść ale biędz naprzód ku teatrowi, tak, żem ludzi roztrącał po ulicy, i niejednegom za to otrzymał szturchańca; bo mi tak pilno było, jak gdybym się obawiał, aby się reprezentacya nie skończyła nim ja przybędę, lub co gorzej, aby szukane osoby, przed jęj skończeniem nie wyszły z loży.

Wchodzę przecież na parter; tłok był wielki, a wśród przedstawienia nikt się z miejsca nie rusza; raz dlatego że nie może, a drugi raz, że sztuka wyjątkowym sposobem zajmowała widzów. Przeklinam to powodzenie i czekam zapadnięcia kurtyny. Po skończonym akcie, gdy się ruszyła cała parterowa massa, zostałem zrazu zupełnie wypchnięty za drzwi, i dopięro, gdy się nieco przerzedziło przy wchodzie, zdołałem się wcisnąć i posuwałem się naprzód całą siłą ramion, pókim nie doszedł do środka, otrzymawszy niejednego kułaka, w odpowiedzi na moje *pardon, Monsieur*. Nakoniec, przecież mogę rzucić okiem po wszystkich lożach; a są! i w tym samym tercecie: baronowa z nią na piérwszym planie, wojewodzie na drugim za jęj krzesłem, oparty o ścianę i ukryty. A właśnie było kilkadziesiąt perspektywek na

tę lożę zwróconych. Gdybym był jaką czarnoksiężką obdarzony władzą, byłbym wszystkie lorynetki od téj właśnie loży odwrócił; tak mi dokuczało dostrzeżenie téj publicznej ciekawości. I cóż z tego, że ich widzę wystawionych na złośliwą wszystkich uwagę, kiedy nie wiem jak temu zaradzić? Co począć, aby ją wyrwać z tego towarzystwa, i z loży do domu wyprowadzić? Chciałbym był, żeby kto był zawołał, że się pali, aby wszyscy a za-
tém i oni uciekli z teatru; tak, ale wtenczas, któżby mu bronił z nią uciekać; a jakżebym ja się do niéj dostał? I kiedy tak najdziwaczniejsze myśli chodzą mi po głowie, widzę tam, że ona się niczego nie domyśla, że się uśmiecha, że jest zajęta czy nim, czy publicznością w lożach i na parterze. Widzę na twarzy baronowej uśmiech tryumfujący, jak gdyby chciała mówić do wszystkich: patrzcie, oto nowość w Warszawie, nie znacie jéj jeszcze, ale podziwiajcie jéj piękność i moje zręczność, że już jest pod moją władzą, kiedyście jéj jeszcze nie widzieli. A koło siebie słyszę pochwały jéj piękności i najniedorzeczniejsze, najmocniej poniżające ją domysły; chciałbym się z każdym kłócić, każdego oświecić, przed każdym ją usprawiedliwić, a tu wszystko nadaremnie; *vana sine viribus ira*. Nakoniec, powzięłem zamiar rozpaczającego; postanowiłem, jak to mówią, głową o mur uderzyć. Ruszyłem z miejsca i przepycham się do drzwi, właśnie, gdy publiczność z bufetu na parter wracała; złorzecząc mi, kułakują, wstrzymują, nakoniec zupełnie i grożą: że jeśli nie będę spokojnym, to mię za drzwi wypchną. „Ja tego tylko pragnę” zawołałem; aliści znajdują się zaraz miłosierne ręce, które ten zamiar wykonywają; rozstępują się przede mną, i w okamgnieniu, jestem wyrzucony z parteru, tak, jak pestka

z wyciskanéj cytryny. Odetchnąwszy chwilę po tym herculesowym znoju, kładę na głowę kapelusz, z dnem wypchaném i w czapkę zamieniony, i idę śmiało do łoży. Pukam, wojewodzie otwierając rzuca gniewném okiem na mnie, a spostrzegłszy człowieka, w stanie ogólnego wzburzenia całej istoty, z rozwiązaną chustką na szyi, i z pogniecionym kapeluszem na głowie, chce mi zamknąć drzwi przed nosem; walka, z której wychodziłem, dodawała mi odwagi i wytrwałości; zatrzymałem drzwi całą siłą, i mimo oporu, wcisnąłem się do łoży, tak, iż obie kobiety krzyknęły przerażone.

— Cożto jest? Jak pan wyglądasz? zawołała baronowa.

— To pan Seglas, — dodała Anusia.

— Co się panu stało?

— To nic; odrzekłem, i obracając się wprost do wojewodzica, dodałem: ja pana szukam, i za nim ledwom się wcisnął na parter, i potém wycisnął z niego, aby tu przyjść, a pan mnie jeszcze nie chcesz wpuścić!

— „Mnie? zapytał z niechęcią wojewodzie; czego pan możesz potrzebować ode mnie?

— Ja niczego, ale pani Klemencya.

Na to nazwisko, uchwycił mnie wojewodzie za rękę, i nakazując milczenie, mrugnął na baronową, i rzekł do Anusi: „Przepraszam panią, że się na moment oddalę, bo pan Seglas ma widzę pilny interes do mnie od mojej siostry”; to mówiąc, otworzył drzwi, mnie za nie wypchnął, i sam za mną wyszedł, i rzekł:

— Czego pan wpadł do łoży jak oparzony? cóż się tam stało? czego chce pani Klemencya?

— Czego chce, nie wiem, ale mnie wysłała po pana, kazała go szukać po całym mieście i oświadczyć: że jeżeli pan natychmiast do niej nie przyjdiesz, to.

— Jużto widzę, żeś musiał paplać, ty przekłety Francuzie; przerwał mi z uniesieniem wojewodzie, nacisnął na głowę kapelusz i żywym krokiem wyszedł z teatru.

Odetchnąłem, słysząc stąpanie jego po korytarzu, i gdy mi znikł z oczu, poprawiłem chustki na szyi, rozprostowałem kapelusz jak mogłem, z miną uradowanego człowieka wróciłem do łoża, i z wyrazem unizonéj skromności, zająłem miejsce na krzeselku przez niego opuszczoném.

— Cóż się tam takiego stało? zapytała z niechęcią baronowa.

— Pani Klemencya jest bardzo zagniewana.

— Na kogo?

— Na panią i na pana wojewodzica.

— Jakto, siostra tego pana? zapytała mię Anusia?
A to za co?

— Ale to nie jest jego siostra. Wyrzekłszy to, musiałem mimowolnie krzyknąć, bo mi baronowa tak mocno na nagniotek nastąpiła, że mi nie mógł bólu zataić.

— Ale co znowu? zapytała czelnie baronowa.

— Pani mi na nagniotek nastąpiła, odrzekłem sy-kając, a ona zaczerwieniwszy się od gniéwu, rzekła mi sucho: „przepraszam”; odwróciła się i patrzyła na scenę już rozpoczętą, a ja rzekłem ciszej do Anusi.

„Pani Klemencya jest matką mojego terażniejszego ucznia. Jestto wdowa o której się rękę stara pan wojewodzie, i która w ten moment spazmy cierpi z zazdrości, że się ten pan do pani zaléca.”

To się nazywało mówić po prostu i bez ogródek, a baronowa, która miała słuch bardzo delikatny, nie wiedziała co ma odpowiedzieć, na to tak niespodziane oświadczenie moje; dlatego poprzestała na tém, że mi także bez

ogródki powiedziała: „że samnie wiem co pletę, i że trzeba mieć bardzo mało sensu w głowie, żeby takie rzeczy damom mówić i nieznanome osoby między sobą różnić.”

Raz zabrnąwszy, nie chciałem się wrócić, lecz postanowiłem brnąć dalej póki nie wybrnę, i jój na brzeg niewyprowadzę; i rzekłem:

„Tak dalece wiem co mówię, iż muszę pani powtórzyć wyrazy pani Klemencyi, która dowiedziawszy się od syna swego, o bytności pań obudwóch na Wiejskiej kawie, powiedziała mi zapewne przez troskliwość o dobrą sławę młodej mężatki, iż jest moim obowiązkiem, jako dawnego nauczyciela téj pani, ostrzedz ją, że samo okazanie się jój w towarzystwie pani baronowej, może ją skompromitować, i uczynić przedmiotem potwarzy i szyderstwa całej Warszawy.”

Na te słowa, drgnęła mocno baronowa, rzuciła się na krześle tak, iż się zupełnie ku mnie obróciła;... złość iskrzyła się w jój oczach, twarz zbladła, wargi drżały, lecz przez chwilę wyrazów brakowało do wybuchu gniewu; nakoniec po gromiącém Meduzowém wejrzeniu, powstała, nachyliła się ku mnie, i rzekła na pół głośno: „Klemencya jest głupią, a ty jesteś impertynentem.”

Gdy wyszła, zwróciłem wejrzenie na Anusię.... była w osłupieniu; jak osoba uderzeniem gromu przerażona, drżała, i obłąkane oczy na mnie zwróciła, jakby chciała badać co się stało, i coby jój czynić wypadło..... a łzy zasnuły oczy; podałem jój milczący rękę, wyprowadziłem z teatru, i towarzyszyłem jój do mieszkania, nic więcéj o całym zdarzeniu nie mówiąc. Gdym ją aż do drzwi stancyi odprowadził, ścisnęła mnie milcząc za rękę, a we trzy dni potém, nie było ani jój, ani męża w Warszawie.

ROZDZIAŁ XVIII.

Plotki.

Moja wyprawa teatralna, była wielkim występkiem w oczach trzech osób, które przytém w nieubłaganych nieprzyjaciół maich zamieniłem: najprzód baronowej, tak śmiało i tak wyraźnie przeze mnie obrażonej; następnie wojewodzica, któremu przerwałem najśłodsza intrygę, w chwili blizkiego jak mu się zdawało, jój rozwiązania i w końcu pani Klemencyi, którą niechcący do tego doprowadziłem, że się zdradziła ze skrytymi skłonnościami swemi. Pomimo to, byłem kontent z siebie; raz dlatego że ocaliłem osobę, która mnie tak mocno obchodziła; drugi raz dlatego, że przecież raz w życiu doszedł do tego: iż o mnie mówiono, a przynajmniej, że awanturka, w której ja główną rolę grałem, była przez czas niejaki przedmiotem plotek Warszawy.

A ileto było rozmaitych edycyj téj plotki; którzy widzieli scenę włoży zdaleka, i między działającemi osobami tylko jedną baronową znali, mówili: że mąż extrapocztą, z prowincyi, na ostrzeżenie dobrego przyjaciela przybyły, spostrzegłszy w łóżu żonę swoją z baronową, wpadł do niój, i w uniesieniu zazdrości, amanta i pomocnicę jego zgromił, a żonę porwał i wywiózł z Warszawy. Inni dodawali: że nazajutrz był pojedynek między tym mężem, a amantem, na pierwszej stacyi pocztowej. Ci co bliżej znali osoby, utrzymywali: że ja w tém wszystkiém odegrałem tylko rolę prostego posłańca pani Klemencyi, i że gorąca przyjaźń jój z baronową, zamieniła się w nienawiść. Obie damy potwierdzały ten domysł wieściami, które nawzajem o sobie rozsięwały.

Pani Klemencya, nie niewspominając o ostatnim wypadku, rozpowiadała swoim gościom, sposobem litującym się, o różnych niepowodzeniach baronowej, o zniknięciu jej pięknej wychowawicy, ubogiej sieroty, na której wdziękach, pewną zakładała spekulacją, i o coraz większym utracaniu poważania i wziętości w towarzystwie.

Pani baronowa utrzymywała: że pani Klemencya posiada rzadki talent prowadzenia kilkunastu intryg razem, trzymania w uległości swojej kilkunastu czcicieli, jakby się wahała w wyborze między niemi, pomimo, że ten wybór dawno już uczyniła, i przybiérania przed światem powierzchowności surowej cnoty, aby pod tą zasłoną, skrytym skłonnościom swoim dogadzać. A przytém, niezapominając o mnie, raczyła mnie liczyć do rzędu tych szczęśliwych, którzy przemijających kaprysów pani Klemencyi przedmiotem byli; urągając się z tego, że człowiek, tak niegodny wszelkiej uwagi kobiety z gustem, i w podrzędnych stosunkach płatnego domownika zostający, mógł pomimo to, zajmować panią swoją.

Te zobopólne plotki, tych niegdy nierozłącznych przyjaciółek, nie szkodziły rzeczywiście ich reputacyi, bo pani Klemencya, nie wybiegała w swoim sposobie życia i myślenia z ogólnego zakresu, w którym się wszystkie ówczesne elegantki utrzymywały; i niebędąc ani lepszą ani gorszą od nich, miała równe z niemi prawo do pochwiania publiczności; baronowa zaś, osiągnęła była ten wyższy szczebel znaczenia w zawodzie intryg miłosnych, nad który się już wynieść nie można. W ogólności, nie wierzono temu co obie jedna przeciw drugiej mówiły, ale bawiono się ich plotkami, które długo były ważnym przedmiotem zajęcia całej publiczności Warszawskiej.

Jestto znamionującą cechą towarzystwa, żadnego udziału w politycznym życiu niemającego, że zapełnia nicość całego pożycia swego, drobiazgami i plotkami, które ten tylko ostatecznie mają skutek, że albo kogoś śmiesznością pokrywają, albo go czynią przedmiotem obmowy i potwarzy. Zdaje się, że tam, gdzie nie masz wyższego zajęcia dla umysłów, każdy, jakby przez szkło powiększające, na stosunki prywatnego pożycia pogląda; i tém się dzieje: że to, coby uszło uwagi przy zajęciu sprawami pospolitemi, to przy braku tego zajęcia, olbrzymią postać przybiera. Znałem w Warszawie wielu ludzi poważnemi bzdurstwami zajętych, i rozprawiających o najpospolitszych zdarzeniach, jakby o jakiej ważnej sprawie krajowej; widywałem ich przejętych zgrozą, z powodu jakiegoś drobnego uchybienia przeciw mniemaniej przyzwoitości, lub przyjętym zwyczajom, jakby szło o jaki występek albo czyn hańbiący. Pamiętam, że raz przysłuchiwałem długiej rozmowie dwóch stołecznych ludzi, z wielkim zajęciem prowadzonej, w której przytoczono całą genealogią i historią jakiejś znakomitej rodziny; opisano sposób życia jej przodków różnemi epizodami przeplatany, aby dojść do tego, z oburzeniem opisanego wypadku, iż terazniejszy potomek téj rodziny, dał kwaśne wino do obiadu.

Głównym przedmiotem rozmów i plotek towarzystwa Warszawskiego, były intrygi miłosne i kojarzone lub zrywane związki małżeńskie. Nic pospolitszego nad zamęćcie, i przejście przez trzy stopnie do tego związku prowadzące, to jest: staranie się o pannę, oświadczenie się i ślub; a jednak te codzienne wypadki pożycia, tak wszystkich zajmują w Polsce, że nie masz pary do osób zamożniejszych i lepiej wychowanych należącój, któraby

się mogła bez wiedzy publiczności i tak cichaczem pobrać, izby znajomi i nieznajomi, nie wiedzieli i nie mówili o tém: kiedy i jak się kawaler starał o pannę? kto go do niej prowadził? jakie były przeszkody lub ułatwienia? jaki był spodziewany i rzeczywisty majątek obojga narzeczonych? jak i kto oświadczał narzeczonego? co panna i rodzice odpowiedzieli? na kiedy ślub jest naznaczony i jakim sposobem wesele wyprawiać się będzie?

Są pewne tempa i epoki, na które publiczność plotkujące uwagi swoje nad zawrzeć się mającém małżeństwem, dzieli. Gdy młodzian jaki zacznie bywać w domu gdzie jest panna na wydaniu, mówią zaraz, czy tak jest lub nie jest, że myśli o pannie; a czasem, dlatego właśnie, że to mówią, on nie chce myśleć, albo rodzice nie chcą aby myślał. Gdy jest grzecznie w domu przyjęty, publiczność powtarza chórem, że się *zeni*, choć jeszcze nikomu, ani nawet pannie, podobnego zamiaru nie oświadczył. Gdy to oświadczenie nastąpiło, słychać cicho w publiczności, że został przyjęty, lub odrzucony, czasem i jedno i drugie, póki się wieść pierwsza nie ustali; co następuje, gdy kawaler jest nieodstępny od panny, i gdy rodzice, zajmują się wyprawą, której wszystkie szczegóły są powszechnie wiadome, i dokładnie przez kobiety opisywane. Potém nastaje cisza; publiczność milczy aż do ślubu; chyba, gdyby miało zajść jakie nieporozumienie między narzeczonymi, lub ich rodzinami; bo wtenczas plotkująca publiczność, ogłasza z dodatkami zaszły wypadek, i nieraz tak się zajmuje nieswoją sprawą, iż się zamierzony związek rozchwieje, z wielką dla ciekawych i rozpowiadających pociechą.

Na samym ślubie, publiczność jest tłumnie, lub przez reprezentantów swoich obecną, aby uważać, czy ubiór

panny młodej lub ekwipaż pana młodego, i zachowanie się młodej pary przy obrzędzie, nie nastręczy jakiego przedmiotu do gadania.

Po ślubie, niknie już cały interes publiczności; dni kilka mówią jeszcze o weselu, jeżeli było wystawném, i o wizytach przez nowożeńców oddanych: a w tydzień potém zapominają o nich, zwłaszcza, gdy zgodne i szczęśliwe zapowiadają małżeństwo, i tylko raz jeszcze wspomną o nich, to jest: gdy im się pierwsze dziecko urodzi.

Ale niechże po jakimś czasie, niezgoda zakradnie się do domu młodego małżeństwa, niechże nieprzyjazny świadek przemijającego nieporozumienia, wspomni komu pod sekretem, że są źle z sobą; a wkrótce publiczność plotkująca, przywodzi sobie na pamięć osoby zapomniane; wtedy nastaje odwrotne stopniowanie, w rozsięwanych wieściach, w którego końcu, jest teraz rozwód tak, jak był ślub w pierwszym. Najprzód mówią: że małżonkowie nie są *dobrze z sobą*; następnie, że *żona jest źle z mężem*; dalej, że *odjechała do rodziców*; w końcu, a czasem odrazu, że *się rozwodzi*; chociaż ledwo że był między niemi jakiś powód chwilowego nieporozumienia.

Ileżto ja widziałem w Polsce, zamierzonych małżeństw, które dlatego nie doszły, że zawczasie i za wiele o nich mówiono, a ile takich które po ślubie pod szczęśliwą wróżbą zawartym, rozłączyły się dlatego, że publiczność ich wewnętrzném życiem, niepotrzebnie się zajmowała, i skłonność ich do rozwodu przeczuwała.

Przy téj skłonności do zajmowania się drobiazgowymi stosunkami prywatnego życia, i żywienia się plotkami o intrygach miłosnych, nie zbywało ówczesnej Warszawie, na przedmiotach tak błahego zajęcia umysłów.

Między innemi, było dwóch znakomitego rodu, i bogatych kawalerów, którzy wystąpili na scenę Warszawskiego świata, jakby umyślnie na to, ażeby o nich wiele mówiono, a zawsze, tylko fałszywe czyniono wnioski o przedmiotach ich miłości i o ich zamiarach małżeńskich. Jeden był bardzo *miłościwy*, to jest: że się nieustannie, i coraz to w kim innym kochał; drugi zaś był bardzo *miłowany*, to jest: że się zawsze a najczęściej na próżno kilka kobiet w nim kochało. Tamten występował kolejno do wszystkich pięknych panien, z wyższego towarzystwa, i to nie z samemi dla każdego dostępnemi zapalami serca, lecz z kosztownemi hołdami, i surpryzami, wyprawiając dla każdej z ubóstwianych panien, tańczące podwieczorki za miastem, połączone ze świetnemi szlichtadami, na których cała Warszawa bywała; ten zaś, nie zadawał sobie téj pracy, aby miał występować z tanim sercem, lub z drogim hołdem; nie dlatego, aby nie mógł tego uczynić, lecz że ani chciał, ani potrzebował się tém zajmować, bo i tak był pewnym podbijania serc niewieścich. O pierwszym mówiono: że się kocha, że się żeni coraz to z inną panną; drugiego nikt nie posądzał o to aby się miał kochać lub żenić, lecz za to mówiono wiele o osobach, które się nim zajmowały. Nieraz się zdarzyło, że gdzie pierwszy czynił zabiegi, tam drugi zbierał ich owoce; i że gdy tamten przed światem odegrywał rolę konkurenta, ten był istotnym przedmiotem miłości osoby o którą konkurowano; a to czasem tak skrycie, że sam o tém nie wiedział. Wyliczano zwykle panny o które się pierwszy starał, i te, które drugim były zajęte; oba znudzili nakoniec plotkującą publiczność, która nie mogła doczekać się tego, aby się jeden ożenił, ani odgadnąć tego, czy był istotnie kiedy rozkochanym.

Pamiętam jedną rzadkiej piękności osobę, łączącą z nieporównanemi powabami wdzięki skromności i dobrego wychowania, dla której pierwszy z tych dwóch kawalerów, wyprawiał, jako deklarowany konkurent, świetny podwieczorek i szlichtadę w Czerniakowie; a która niedzieląc bynajmniej jego uczuć, przez jej rodziców upoważnionych, tak mocno była zajęta tajoną miłością dla drugiego, iż tę nieszczęśliwą skłonność, ciężką chorobą opłaciła, i dopiero w malignie, jej przyczynę, oplakującym ją rodzicom mimowolnie wyjawiała.

Do ciekawszych przedmiotów zajęcia dla ówczesnej Warszawy, należała także jedna znakomita, do czasu bogata, nadzwyczaj piękna, a co do swego sposobu życia i myślenia, oddzielnego rodzaju kobieta, która rozwiódłszy się kolejno z dwoma mężami, żyła wśród towarzystwa fantastycznym i jej skłonnościom dogadzającym sposobem, mało dbając na to, co o niej świat cały mówił; a sama sobą tyle zajęta, że o innych mało mówiła i obecnemi prawie nie zajmowała się sprawami. Za pierwszym okazaniem się w Warszawie, stała się jej piękność przedmiotem hołdów licznych czcicieli; a jej elegancya i zbyt kowe życie, zazdrości wszystkich kobiet. Owa wprowadziła wieczory czyli kawy tańczące, na które do wystawnego jej domu, całe wyższe towarzystwo licznie uczęszczało, póki niesłychana rozrzutność i lekkomyślność w trwonieniu dostatków, nie zmusiły jej do zamknięcia zbyt gościnnego domu. Nieznając nigdy tkliwych uczuć przywiązania małżonki ani matki, nie pojmowała ona miłości, jako uczucie, lecz raczej jako szal przemijający, który dowolnie wzbudzać i przytłumiać można. Szczęśliwe życie, wyobrażała sobie jako pasmo uciech miłemi spoczynkami przeplatane, tak, aby mogła dozna-

wać rozkoszy, lub marzyć o już doznanej i spodziewanej jeszcze. Zostawując kłopotliwą część życia ludziom płatnym za to, że się nią zajmowali, a z bogacającym się jej niedbałością, umiała tylko przyswajać sobie wszystkie wygody i przyjemności pożycia, i użyć ich bez miary i bez tego przypuszczenia, aby ich kiedy zabraknąć mogło. Bez pamięci dla ludzi, dla chwil i dla wypadków zasłoną przeszłości pokrytych, niesięgając dalej myślą naprzód, jak do blizkiego dnia, zapowiedzianą przyjemnością naznaczonego, żyła ona całą obecną chwilą, oddalając od siebie żal przeszłości i tęsknotę o przyszłość. Była to poniekąd córka wschodu, która całą poezią rozkoszy, obyczajem zachodu ozdobić usiłowała; która wśród ludzi niepokojonych zabiegami i wrażeniami towarzyskiego pożycia, chciała podobnie jak piękności haremów, używać słodczy marzącego próżnowania piękności haremów. Myśl ta, nastęrczała się każdemu kto ją odwiedził w letniem mieszkaniu, które sobie urządziła w domu przy jednym ogrodzie walejach, umyślnie na to kupionym. Wchodząc do tego mieszkania, oddychało się już atmosferą elegancyi i rozkoszy; lekko odurzająca woń po całym domu się rozchodziła; tajemnicza cichość panowała nawet w przedpokoju. Koberce Azyatyckie pokrywały posadzki pokoi, aby odgłos stąpania przybywających, słodkich marzeń bogini nie przerywał. Gabinet, w którym gości przyjmowała, był słabo oświecony we dnie, za pomocą gazowej zasłony na okno spuszczonej; wieczór światłem lamp alabastrowych. Kwiaty w wazonach i kadzielniczka na trójnogu wysokim, roznosiły woń przyjemną. Bogini czy odaliska, leżała w malowniczej postawie i ubraniu na sofie, środkiem pokoju ustawionej, a wielki pies czarny spoczywał przy niej na dywanie,

w nieprzerwanéj spokojności, jakby dzielił słodycz pańskiego próżnowania. Do tego tajemniczego przybytku, dopuszczani byli mężczyźni i kobiety; mówiono zawsze cicho i o przedmiotach mało zajmujących, bo ona musiała być głównym przedmiotem zajęcia, a cel wizyty nie mógł być inny, jak aby ją podziwiać jako wzór pięknej i szczęśliwéj kobiety. Jakby przeciwieństwo tego obrazu, zjawiała się w Warszawie inna piękność, którą także cała publiczność podziwiała; lubo nie była otoczona owym urokiem, jaki dodają dostatki, urodzenie, wychowanie i nawet kaprysy, pięknościom wielkiego świata.

Dwóch elegantów ówczesnych, przechadzając się po odległych ulicach Warszawy, czy to wzamiarze upatrywania jakich zajmujących przedmiotów, czy téż bez tego wyraźnego zamiaru, dostrzegło w jednym szynku na Solcu, młodą dziewczynę, której piękność przemagała nad wszystko to co ją otaczało, i coby powinno było odwrócić od niéj uwagę przechodniów. Nasi młodzieńcy, zachwyceni jéj wdziękami, odważyli się przestąpić próg szynkowni flisami zapełnionej, w nadziei łatwego podbięcia piękności, do której ludzie wyższego towarzystwa, zwykli przywiązywać nie wartość, lecz cenę piéniężną, i której nie mogą sobie wyobrazić jako połączoną z uczuciem godności kobiety. Lecz wkrótce zawiedzeni w nadziei swojej, zrażeni surowém przyjęciem matki pięknej dziewczicy i jéj saméj oburzeniem, okryci w końcu pośmiewiskiem licznych gości szynkowni, wrócili do właściwego sobie towarzystwa, z silném wrażeniem odkrytych powabów, i rozniesli po całym mieście wiadomość, o tém ważném dla młodzieży odkryciu. Od dnia tego, stał się Solec celem spaceru wszystkich elegantów Warszawskich, a właścicielka szynkowni wraz z śliczną cór-

ką, przedmiotem oniemal hołdu młodzieży, gdy zwykłe środki uwodzenia bezskutecznymi się okazały. Od hołdujących mężczyzn, przeszła wkrótce wieść o odkrytych na Solcu wdziękach, do ciekawych i zazdrosnych kobiet; ciekawość przemogła nad wszelkie względy, a to tym bardziej, że nieugięta cnota miała towarzyszyć niezrównanym wdziękom; zjawienie nader rzadkie, a zatem i bardzo ciekawe, zwłaszcza dla dam wielkiego świata. Jedna z najznakomitszych dam, umyślnie zajechała przed szynkownię; kazała wywołać podziwianą dziewczę i potwierdziła swoją powagą zdanie o jej piękności. Odtąd zajeżdżały codziennie karęty przed ubogi domek, i czekały przed nim, póki się nie podoba matce i córce zaspokoić ciekawość przybyłych dam, które za powrotem prowadziły rozprawy o wszystkich doskonałościach okrzyczanych wdzięków, i zawsze pewną dozę zazdrości z tej wizyty unosiły. Z drugiej strony wznagała się codziennie liczba czcicieli pięknej szynkareczki; jeden z nich, postanowił nie szczędzić żadnych ofiar, aby od innych mógł być szczęśliwszym; między innymi, najął dla matki w przyzwoitszym i domu i miejscu, lokal na szynk wyższego rzędu, gdzie już nietylko wódki i piwa, ale nawet wina i chłodników można było dostać. Bogini tego przybytku, była z jego darów elegancko przybrana, co jej nowych dodało powabów. Wszystkie te zabiegi były jednak daremne; hojny czciciel wydał wiele pieniędzy, a inny, bez czynienia podobnych wydatków, podbił serce podziwianej dziewczę i postanowił zapełnić ślubem przedział urodzenia, wychowania i majątku, między nim a ubóstwianą istniejącą. Skoro się wieść o tém w towarzystwie rozszła, zaczęły się lękać damy, zwłaszcza do pięknych należące, aby ta gwiazda pierwszej piękności na horyzon-

cie Warszawskim nie zajaśniała, i blaskiem swoim mniejsze gwiazdy przyćmić nie groziła. Ta obawa znikła, bo rozsądna matka nie chciała dać przyzwolenia na małżeństwo córki z panem; a gdy miłość téjże przemogła nad rozsądkiem matki, poszło zatém, że młody panicz wykradł śliczną dziewczę, wziął z nią ślub i spokojnie osiadł na wsi, pozbawiając damy Warszawskie sposobności rozprawiania o wdziękach swój żony. Ale nim ten związek małżeński los pięknej dziewczicy rozstrzygnął, i póki mnóstwo młodzieży i schodzących z pola starszych zalotników, o jój względy się ubiegało, była ona poniekąd pod dozorem policyjnym plotkującej publiczności, która miéwała prawie codzienne raporta o tém, kto u niéj bywał; gdzie ona bywała? co z kim mówiła? a z tych raportów układały się codzienne wnioski o stopniu cnoty i skromności panny, i o nadziejach jój czcieli.

Intrygi i nieodstępne od nich plotki, które wielki świat Warszawski zajmowały, przeniosły się od rodziców, siostr, i braci, do dzieci, i młodszego rodzeństwa, po pensjach męzkich i żeńskich, dla odbycia nauk umieszczonych. Idąc za ogólnym popędem, zdawało się, iż panny i kawalerowie po pensjach Warszawskich, gorliwiej i staranniej kształcono do zabaw i zabiegów towarzyskich, jak do naukowego usposobienia. Wychodząc zapewne z téj zasady: że panny powinny się wcześniej ukształcić do obejścia towarzyskiego, wyprawiały ochmistrzynie wszystkich pensyj, baliki pensyonarskie, bądźto podczas karnawału, bądź téż z powodu uroczystego obchodu imienin *Madame*, lub kogoś z jój rodziny. Pensye męskie poszły za tym przyjemnym przykładem, i podobnie baliki każda u siebie wyprawiały. Samo się przez się rozumie, że te biesiady odbywały się kosztem pensyonarzy

i pensyonarek, przyczém rodzice mieli sposobność czynienia wydatków, na to, co miało zniweczyć lub przynajmniej popsuć dobre skutki edukacyi, za którą przedsiębiorcom pensyj płacili. Prócz tego, był w Warszawie zawołany nauczyciel tańców, mój ziomek, który w ostatnich latach Pruskich czasów, wyprawiał publiczne kassyna pensyonarskie, wyłącznie dla uczącój się młodzieży przeznaczone, które nastaly w miejscu kassyn dla dorosłego towarzystwa, dawniej z wielkiem powodzeniem przez tegoż ziomka mojego wyprawianych.

Z mojego mentorskiego obowiązku, musiałem bywać z Emilem na tych pensyonarskich balikach, i miałem sposobność przypatrzeć się gorącym zapałom i uniesieniom zazdrości młodych współzalotników; wzgardzonym i zachęcanyim hołdom przez młode piękności; zawiściom między ubóstwianemi i ubóstwiającemi; słowem, wszystkim zjawieniom zwykłego towarzyskiego zalotom poświęconego pożycia; tylko tyle, że się przedstawiały jako kopie, jako parodye, i poniekąd miniatury owych wielkich wypadków, próżnujący świat Warszawski tak mocno zajmujących.

Po każdym takim balu, było na wszystkich pensyach kilka dni dla nauk straconych, a zajętych to wrażeniami uczuć doznanych, to intrygami i plotkami, zupełnie na wzór tego, co się na wielkim świecie działo.

Póki żyłem między temi wszystkiemi ludźmi, tak nieczynne i próżności poświęcone życie prowadzącemi, szedłem za ogólnym popędem, zajmowałem się dziennymi wieściami i plotkami, i nie dostrzegłem nicości takiego pożycia. Lecz gdy później sięgnął wspomnieniem do téj epoki, wzbudziło się we mnie przekonanie, że to jest jednak smutne i ponizające położenie takie kraju, w któ-

rzym najlepsza i najoświećsza część ludności, marnotrawi czas i zdolności swoje na samych tylko nicościach towarzyskiego pożycia, tak, iż całe pokolenia mogą przeżyć zakres czasu dla nich przeznaczony, i nie zostawić po sobie ani w ustawach i naukach, ani w kunsztach i w przemyśle, żadnego śladu pobytu swego na téj ziemi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KARZEŁ WIELKI,

przez

Antoniego Czaykowskiego.

1.

Mać Karzeł Wielki — olbrzym w sile,
Zamożne grody, dwór wspaniały,
Tylu biskupów, hrabiów tyle,
I tyle koron, tyle chwały;
A czyż mu książąt nie dostaje,
By za nim niosły gronostaje?

2.

Mać karzeł córkę jasnooką,
Co jako gwiazdka ranna wschodzi,
I jako gwiazdka łśni wysoko,
Dla serc i pragnień dziarskiej młodzi;
Toć córa władzcy półokręga! —
I któż po gwiazdę taką sięga?

3.

Nawet pysznemu braknie pychy,
I odważnego strach zamroczy; —
Lecz był na dworze młodzian cichy,
Co ją tęsknemi gonił oczy;
Z łask go cesarskich wszędzie znano,
Eginhard było jego miano.

4.

I tęskne oko cnego Franka,
Zbiegło się z okiem cnój dziewicy,
Imma odgadła myśl kochanka,
Eginhard czytał w jój źrenicy;
I przez ogniste oczu strzały
Wnet się dwa serca zrozumiały.

5.

A gdy się serca pojną z sobą,
Rozsądek pierzcha jak mamidła;
Więc raz Eginhard późną dobą,
Do niewieściego zaszedł skrzydła,
Służbę rozkazem zmylił pana,
A Immę pieścił aż do rana.

6.

Już brzask poranny, żegnać pora,
A trudno rozstać się z kochaną;
Aż tu śnieg wielki padł od wczora,
Ślady stóp na nim pozostaną;
Więc piękna Imma zapłoniona,
Lubego bierze na ramiona.

7.

A z dopuszczenia wyższej mocy,
Karzeł dnia tego nie spał wcale,
I na kruz-ganku po północy,
Dumał o Bogu i o chwale;
Gdy osłupiały, już nad rankiem,
Ujrzał swą córkę wraz z kochankiem.

8.

A gdy godziny dnia nastaną,
Zwołuje radę i wnet bada,
Jak karać zbrodnię niesłychaną.
Więc straszne męki głosi rada;
W tém ktoś z wyższego rzekł natchnienia:
„Sądź wedle Boga i sumienia!”

9.

A choć był władcą pierwszym w świecie,
To przecież władać sobą umiał,
Korzył się Bogu jako dziecie,
I głosu serca nie zatlumiał,
Bliźnim przebaczał winy skoro,
Wielki miłością i pokorą.

10.

Więc wstał, i Franka dłoń ująwszy,
Wiódł go do córy swój mieszkania,
A gdy ta różą zapłonawszy,
Cudne przed ojcem czoło skłania,
Rzekł Karzeł z twarzą rozjaśnioną:
„Byłaś piastunką, bądźże żoną.”

[GAZELE PERSKIE (*)

(TŁÓMACZENIE)

*Antoniego Czajkowskiego.***1.**

Choć cię nie widzą spragnione oczy,
 O moja piękna! twój głos niewieści,
 Ciągle me ucho harmonją pieśni,
 Jak strumyk co się wśród kwiatów toczy;
 I postać twoja w cudów krainie,
 Jak boska Peri przede mną płynie.

Rzuć na mnie cieniem, tkliwy cyprysie!
 Daj się napoić uroczą wonią,
 Jaką twe włosy dokoła ronią.

2.

O moja duszo! moja nadziejo!
 Ty masz talizman czarów tysiąca,
 Co boską siłą serca roztrąca!
 Czyż się huryski rozkoszniej śmieją?
 Czyliż ci mogą sprostać w urodzie?
 Czyż blada gwiazdka, przy swym zachodzie
 Wyrównać zdoła jasności słońca?

3.

Kielich rozkoszy, słóweczko twoje;
 Gwiazdą radości jedno spojrzenie!
 A jakże śliczne tych oczu dwoje,
 W których się iskrzą uczuć płomienie,
 I przez zadumy słodkie osłony,
 Zdradzają ogień w sercu zatłony!

4.

Piękna gołąbka! o moja duszko!
 W śpiéwném kwileniu chce ci być družką;
 Siadła nad wodą, nadstawia ucha,
 I za twym głosem słodziutko grucha;
 Chodźmy na wzgórze, co się tam kwieci,
 Ona się z tobą pieścić nadleci.

(*) Gazele Perskie, udzielone zostały Redakcyi, przez kapitana Mirzę Muharrem.

5.

Jest okolica w kwiaty bogata,
 Nad którą wonny wietrzyk ulata,
 A choć leciuchny, powiewny, cichy,
 Perłace rosą schyla kielichy.
 Tam na wspaniałym piękności tronie,
 Królewska róża wdziękami płonie,
 Spuszczając tchnącą balsamem głowę,
 Między zwilżone listki majowe ;
 A słowik śpiewak, owęj królewnie
 Kwili miłośnie, i nuci rzewnie.
 Słonko nie wyszło jeszcze z za góry,
 Lecz lśnią już palmy blaskiem purpury,
 Liść się ich długi złotem odziewa,
 Boć to najwyższe wśród gajów drzewa.
 Za chwilę niższe krzewy rozploną,
 I róża jasną błysnie koroną.

6.

Cóżto za kibić? toż cyprys młody,
 Nad brzegiem cichój rosnący wody,
 Którój się fale, równie przezroczo
 Jak łzy aniołów, wśród kwiatów toczą.

Cóżto za szyja promienna, biała?
 Toć morze uciech czyste zwierciadła,
 Na których jasna piana osiadła,
 Wznosi ku słońcu, i blaskiem pała.

Roje snów lekkich barwą świecącą,
 Kryształ jęj serca zlekka zamącą,
 Jak śliczne błonie, w blasku pogody,
 Mąci odbiciem przezczyste wody.

Piękność czarowna śnionych postaci,
 Zbudzi namiętność, pokój zatraci,
 Wzdrygnie się serce, i zamajaczy,
 Jak dziecko, kiedy stracha zobaczy.

7.

Błogo mi płakać, płakać się godzi,
 Boćto w miłości bezłzawe oko,
 Jest, jak ta muszka na dnie głęboko,
 Coto jałowa, perły nie zrodzi,

Więc mnie nie żałuj, różo stworzenia!
Choć mękę twoje wejrzenie wróży;
Ciskaj zpod długich rzęsów spojrzenia,
Bo wszakże nie ma bez kolców róży!

8.

To się powiewom odsłonić zdarzy,
Lekką zasłonę z różanej twarzy,
To mgła wilgotna perłami rosy,
Tchnące wonnością obmywa włosy.
Tam pod palmowym rozkosznym laskiem,
Trawnik rozbłyska smaragdu blaskiem,
A jasne lilje, w słońca purpurze,
Niby rubiny, obsiadły wzgórze.
Ogród ten cały, wonny, uroczy,
Rzekłbyś, jój usta! rzekłbyś, jój oczy!
A złote grona, ciemne brusznicę,
Perłą jak wielkie jój zausznice.

Lekkie wietrzyki harce tam wiodą,
A chmurki płaczą różaną wodą;
Wtém jasny ranek na niebo płynie,
Jako Padyszach w swym palankinie;
Więc, by go uczcic, gaj rozwinięty
Sypie szafiry, sypie dyamenty.

Tutaj królewska, szkarłatna róża,
Wonne swe łono światu rozmruża,
I biedne serce słowika rani,
Co nocy nieśpiąc, wciąż śpięwa dla nięj.



O BRUKACH I BRUKOWANIU

W MIASTACH WIĘKSZYCH ZA GRANICĄ,

przez

Edwarda Holopmana,

starszego inżyniera miasta Warszawy, członka Rady ogólnej budowniczey
w królestwie Polskiem.

Przeczytawszy w tomie trzecim numerze lipcowym Biblioteki Warszawskiej, artykuł o brukach i brukowaniu w ogólności, przez p. Wilhelma Kolberga, sądzę, że jeżeli artykuł ten mógł kogokolwiek zainteresować, to może również krótka wiadomość o brukach i sposobie brukowania za granicą, odczytaną zostanie.

Ze wszystkich miast znaczniejszych stałego ładu, Wiedeń niezaprzeczenie dotychczas najlepszym brukiem poszczycić się może, a to zwłaszcza na tych ulicach, gdzie od lat ośmiu zaczęto robić bruk nowy, tak zwany kostkowy. Główną zaś przyczynę téj równości i trwałości bruku Wiedeńskiego, przypisać należy dobroci materiału kamiennego, z którego jest wyrabiany; skały albowiem granitowe, znajdujące się prawie nad samym Dunajem powyżej miasta Wiednia, nastęrczają łatwość sprowadzania kamieni, dokładnie podług pewnych wymiarów ułupanych i obrobionych, oniemal foremnych zupełnie kostek, z których bruk takowy układany zostaje.

Najtwardsza z dotychczas odkrytych skał tego rodzaju, z której kamienie do bruków głównych ulic wyłącznie są dostarczane, znajduje się pod Mathausen, mniej więcej o pół milki od brzegu Dunaju, a mil 18 od Wiednia.

Zwrócić tu należy uwagę, iż do dawniejszych bruków, używane były w Wiedniu kamienie, nie tak starannie obrabiane, jak teraz, i można powiedzieć, podobne do większych kamieni polnych jakie od lat kilku widzimy w bruku z kamieni obrobionych, na Krakowskiem-Przedmieściu i na ulicy Senatorskiej w Warszawie: a lubo przy kamieniach Wiedeńskich jako ze skał łupanych, wszystkie cztery boki przedstawiały szerszą powierzchnię płaską aniżeli Warszawskie, i lubo tém samym, obok siebie sadzone, więcej jedne o drugie opierając się, pod naciśnięciem kół nie tak łatwo wykręcaniu i wyruszaniu z miejsca ulegały; to jednak gdy pomimo tego przekonano się, iż kamienie od spodu nieobrobione, a tém samym nierówne i niejednej grubości, nie mogą być na fundamencie twardym, poprzednio na ten cel przysposobionym, dokładnie osadzone; i że z tego powodu nie spoczywając jednostajnie na gruncie, nie mogą wydać bruku dobrego i trwałego; nadto zaś jeszcze, że kamienie większych powierzchni, prędzej w rogach i na krawędziach zaokrąglają się, aniżeli kamienie mniejsze; przeto od lat ośmiu zaczęto w Wiedniu na ulicach głównych, zmieniać bruk dawniejszy, na nowy tak zwany kostkowy (Würfelpflaster); a bruk takowy odpowiada niejako swojemu nazwaniu, albowiem formowany jest rzeczywiście ze sześciątów lub równoległościątów, chociaż niezupełnie gładko, to jednak, ze wszystkich sześciu stron, dość równo obrobionych.

Wielkość kamieni w Wiedniu, do bruków nowych teraz używanych, jest trojaka: to jest, 7, 8, i 9 cali w kwadrat, a wysokości zawsze cali 7. Kamienie zaś wiązarkowe, któremi zwykle od grzbietu, czyli od środka ulicy, sadzenie kamieni rozpoczynają, te mają też samą wysokość i szerokość co kamienie inne, tylko są półtora raza dłuższe.

Pierwszą tego rodzaju robotę w Wiedniu, wykonano, jak już wyżej powiedziano, przed ośmią laty, a to na przejeździe przez plac, przed kościołem śgo Szczepana, gdzie bruk rzeczony w miejscu tém tak uczęszczaném, wytrwał dotychczas w dobrym stanie, bez jakiegokolwiek naprawy; a chociaż już teraz na niektórych pojedynczych kamieniach, niejakie zaokrąglenie się krawędzi postrzegać się daje, to jednak trwałość takowego bruku, bez poprawy znacznej, w miejscu jak już powiedziano tak bardzo uczęszczaném, na lat dziesięć niewątpliwie przyjąć można.

Co do kosztu, za sążeń kubiczny, na któren liczą 1000 sztuk kostek siedmicalowych, płaci miasto Wiedeń, licząc razem wynagrodzenie za skałę, wyrób, transport do Wiednia i wylichtowanie na brzeg Dunaju, po złotych konwencyjnych 145 (złp. 580); tém samym więc, gdy 1000 sztuk podobnych kostek wystarcza na pokrycie 10 sążni kwadratowych powierzchni, materiał kamienny na jeden sążeń kwadratowy bruku, kosztuje złotych konwencyjnych 14½ (złp. 58). Że zaś na przewiezienie kamieni tych do miejsca roboty, oraz wyrabianie ich w bruk, wraz z dostawą żwiru na fundament dawany na 4 do 5 cali wysoko, oraz piasku lub gruzu, do zasypania szpar, i pokrycia bruku na czas ujeżdżenia, przedsiębiorca ogólny robót brukarskich w Wiedniu,

w skutek odbytej licytacji na lat 6, teraz obowiązującej, ma zapewnione wynagrodzenie, po złotych konw. 5 (złp. 20), za każdy sążeń kwadratowy powierzchni nowo zrobionego bruku; zatem w ogóle, koszt jednego sążnia kwadratowego, wynosi złotych konw. $19\frac{1}{2}$ (złp. 78); którato cena tak umiarkowana, w porównaniu z dobrocią, dokładnością, i trwałością tegoż bruku, przypisaną być może jedynie łatwości dostawy, jaką nastęcza co do kamieni, bliskość położenia skał granitowych nad Dunajem; a co do żwiru, znaczna jego obfitość w łożysku téjże rzeki.

Teraz co do konstrukcyi. Gdy kamienie takowe, jak wyżej już powiedziano, wszystkie jednéj są wysokości, przeto plant pod bruk, może być poprzednio porządnie uregulowany i dokładnie ubity; albowiem, nie masz już potrzeby wygrzebywania w plancie łożyska na każdy kamień z osobna, jak to zwykle u nas, przy użyciu zwyczajnych, różnej wielkości kamieni polnych praktykować się musi; po uregulowaniu zatem i ubiciu plantu, rozścielają na tymże warstwę drobnego żwiru, grubo na cali 4 do 5, i na tymże dopiero ustawiają kamienie jak najściślej obok siebie, uderzając każdy tak z wierzchu, jako téż i ze wszystkich stron odsłoniomych, prostym ciężkim młotem, ażeby dokładnie na żwirze osiadły i ile możności ze sąsiednimi stykały się; następnie, po ustawieniu w ten sposób kamieni na dość znacznej już powierzchni, i w całej szerokości pod przejazd służyć mającej, przystępują do zasypania i zapełnienia fug pomiędzy kamieniami; do czego używają drobno tłuczonego gruzu z rozbioru murów pochodzącego, albo téż w braku tego, rzeczno piasku z arfowania żwiru otrzymanego; samo zaś zapełnienie fug tych, odbywa się za pomocą płaskiego narzędzia ze-

laznego, zwanego *Ausstopfmesser*, którym po dostatecznym uformowaniu i umocowaniu oporów bocznych (tak, że bruk nowy już na bok rozejść się nie może), rozważają nieco fugi czyli szpary pomiędzy kamieniami, i takowe gruzem lub piaskiem zapychają; poczem dopiero następuje ubijanie, za pomocą bab ręcznych cienkich, na dole żelazem okutych, od 25 do 30 funtów wążących, któremi robotnik kolejno w środek każdego kamienia po kilka razy uderza, z początku wolno, a następnie coraz silniej, tak, ażeby tym sposobem wszystkie kamienie dokładnie na gruncie osadzone znalazły się; ubijanie atoli takowe, nie wynosi w ogóle nigdy więcej, nad pół cala.

Po ubiciu, powierzchnia nowego bruku pokrytą jeszcze zostaje cienką warstwą drobnego żwiru, i w czasie pierwszego ujeżdżania ciągle mocno skrapianą bywa, a to w celu, ażeby koła powozów przejeżdżających, dokonały zupełnego zarówno i zapełnienia szpar pomiędzy kamieniami; dla tej więc przyczyny, w razie nastania wielkich upałów (w którymto czasie pokrapianie ulic uważają za niedostateczne), żwirek ten zmiatają i odwożą, zachowując go do późniejszego znowu w czasie wilgotnym rozestania. W ogóle, liczą w Wiedniu, iż na podsypkę pod kostki, zapełnienie szpar i pokrycie na czas ujeżdżania, wychodzi pięć fur żwiru, na dwa sążnie kwadratowe powierzchni bruku; co zaś do dziennej płacy robotników przy robotach brukarskich tamże używanych, ta prawie nic wcale nie różni się od ceny płaconej podobnymże robotnikom tu w Warszawie.

W innych miastach, gdzie nie mają tak łatwej sposobności sprowadzania kamieni łamanych ze skał granitowych, tam widzieć można bruki z rozmaitych innych rodzajów kamieni, łupanych z gór w pobliżu znajdujących się;

i tak, w niektórych, jakoto np. w Sztutgardzie, używają kamieni koloru ciemno-siwego; podobnych bardzo łamanym u nas marmurom w guberniach Sandomirskiej i Kieleckiej; w innych zaś miastach, używają kamieni łupkowych wyrabianych z grubszych warstw; a lubo tak pierwsze jako i drugie nie są wyrabiane na foremne zupełnie kostki, to jednak starają się, ażeby ile możności równiej były wysokości; a przy następném osadzaniu ich w bruk, dobiierają jeszcze rzędami kamieni jednej szerokości.

Bruk z kamieni takowych, na fundamencie ubitym ze żwiru, szczelnie obok siebie osadzonych, dość jest trwałym i dogodnym dla jazdy; ale porównywając go z brukami Warszawskimi, nie należy nigdy zapomnieć, iż jazda w miastach tych zagranicznych, nie może w żaden sposób być porównaną z jazdą praktykującą się ciągle w mieście Warszawie.

Nakoniec: tam tylko, gdzie nie mają żadnych skał, lub gdzie sprowadzanie kamieni łamanych i obrabianych zbyt jest kosztowném, i gdzie z powodu tego użycie onych jedynie tylko na najpryncypalniejszych ulicach i przejazdach miejsce mieć może, tam używają do bruków podobnież kamieni okrągłych polnych, zwanych przez Francuzów *têtes des châts*, jak np. w Monachium, Augsburgu, Bruxelli, Kolonii, Lipsku, Dreźnie, Berlinie, Wrocławiu i w wielu innych; a lubo w niektórych z miast dopiero rzeczonych, starają się dobiierać kamieni jednakowej grubości, i lubo takowe osadzają na fundamencie ze żwiru poprzednio ile możności urównanym i ubitym, pokrywając prócz tego bruk nową warstwą żwiru na czas jego ujeżdżenia, to jednak ogólnie biorąc, we wszystkich tych miastach, bruki jedynie tylko na tych

ulicach są dobre i dogodne dla jazdy, gdzie z kamieni obrobionych i równych są zrobione; zresztą zaś, wykonane z kamieni polnych podobnych naszym, są z małą bardzo różnicą podobnieź złe, a powodem do zachodzącej téj jeszcze różnicy, jest zawsze staranniejsze, a razem i kosztowniejsze onych wykonanie, na przygotowanym poprzednio fundamencie; albo téż mniejsza jazda, jaka po takowym odbywa się, do czego w ogólności biorąc, niemało także przyczyniają się przepisy istniejące oddawna za granicą i w ścisłym wykonaniu tamże będące, co do wolnego transportowania ciężarów, i używania kół o szerokich dzwonach pod temiż.

Jednym słowem, wedle ogólnego zdania osób w wykonywaniu robót brukarskich doświadczenie mających, z materiału takiego jaki u nas dotychczas jest używany, to jest z kamieni okrągłych polnych, dobry i długo-trwały bruk wyrobić, jest rzeczą niepodobną; a twierdzenie p. Kolberga, objawione w artykule wyżej wzmiankowanym o brukach Warszawskich, w którym się wyraża: „iż z materiału tego dobre, lepsze, a nawet najdoskonalsze bruki wyrobić można”, zdaje się, iż nie jest dostatecznie usprawiedliwione; zwłaszcza, gdy nie jest poparte jakimkolwiek praktycznym dowodem.

Bruki w miastach, są przedmiotem tak ważnym, ogół mieszkańców tyle obchodzącym, iż nie ulega żadnej wątpliwości, że ten ktoby wskazał sposób, jak z materiału najpospolitszego, a tém samym najtańszego, to jest z kamieni polnych okrągłych, bruk dobry i twardy, choćby nawet nie najdoskonalszy jak p. Kolberg wyraża się, z niezbyt wielkim nakładem wyrobić można, ten niewątpliwie na powszechną wdzięczność zasłużyłby; ale potrzeba koniecznie, ażeby wskazanie sposobu tego, na-

stąpiło nietylko na papierze, lecz i praktycznie na gruncie, przez próbę, któraby znawców i nieznawców, o dogodności i trwałości z czasem przekonała.

Niedostatecznym w tej mierze jest napisanie kilku stronic, z których pierwsze podobnie jak winnych artykułach p. Kolberga, np. o kolejach żelaznych, nie obejmują nic więcej, jak prosty wyciąg z aktów urzędowych; następne zaś, mają za przedmiot zbijanie teorii dotychczas przez żadnego inżyniera nieprzypuszczanej, wedle której, obłąkowatość bruków na ulicach, jakieś sklepienie formować ma, a którą piszący sam sobie przypuścił i sam zbija; dalsze, podają opis i warunki powszechnie znane (nawet najprostszym brukarzom), jak bruk robić należy; a nareszcie na ostatniej, znajduje się jedyny w artykule tym mieszczący się nowy pomysł autora, który on podaje w wyrazach następujących:

„Nic więcej nie szkodzi brukom, jak niedostateczny odpływ wilgoci i stojące na nich kałuże; aby więc dwóm warunkom dogodzić, to jest uzyskać ściek łatwy i płaszczyznę bruku, zamiast obłąkowatości, dać należy od środka spadek jednostajny czyli po linii prostej, na obiedwie strony ulicy ku rynsztokom. Utworzą się ztąd dwie płaszczyzny nakształt dachu, ułatwi się ściek wilgoci, nie będzie nawet pozoru potrzeby klinowatych kamieni, a budowa będzie trwalszą. Spadek ten wynosić powinien $\frac{1}{2}$, czyli cal na łokciu. Grzbiet na jedną stopę należy spłaszczyć lub zaokrąglić. Dogodność jazdy nie ucierpi na takim profilu, owszem zyska, bo unikniemy wielkich spadków przy rynsztokach, gdzie czasem z niebezpieczeństwem tylko wywrotu podjechać można.”

Prawda że pomysł zupełnie nowy, bo i za granicą nawet jeszcze niepraktykowany, któren nastroczając

możność uniknięcia niedogodnej obłąkowatości ulic (jaką p. Kolberg w terażniejszych ich poprzecznych profilach spostrzegł), usuwa zarazem pozór potrzeby kamieni klinowatych, na którą dotychczas, on sam tylko uwagę swą zwrócił: a gdy jest rzeczą naturalną, że pomysł ten, usuwając dwie powyżej wytknięte niedogodności, spowoduje znowu inne, jakoto np. trudność w urządzaniu mostków przed bramami posesyj, i szerokie po powierzchni ulic rozléwanie się ścieków, terażniejszymi rynsztokami nieco zagłębionymi, łatwiej odpływających; albowiem przy zastosowaniu spadku przez p. Kolberga przepisane-go, skoroby ścieki tylko na cal grubości płynęły (co na większej liczbie ulic miasta Warszawy, jest zwyczajném minimum ścieków, z podwórz przyległych spływających), to już najmnień łokieć szerokości zajmowałyby, a za każdym, chociaż małym dészczem, woda przy obu stronnych chodnikach, przynajmnień sążniową szerokością płynący musiała: przeto porównanie cò do korzyści profilu dotychczasowego obłąkowatego, z profilem dachowym nowo projektowanym, uznaniu czytających pozostawiam.

Lecz wracając do założonego sobie przedmiotu, przystępuję do opisanja bruków we Francyi, a mianowicie w Paryżu; tam dla braku w poblizkości skał granitowych, używają do robienia bruków kamieni twardych piaskowych, zwanych *grès*, pochodzących z kamienio-łomów w okolicach Belloy, Maffliers, Marcassis, la Justice, Bellebat, Saulx-les-Chartreux, Voisins-le-Bretonneux, Palaiseau, Orsay, Lozert, Launay, Gif, Saint-Remy, Ocquerre, Ballancourt, Saint-Germain, Fontainebleau, Train, Bourron i innych. Kamienie te, są albo foremne sześciiany po 0,^m23 (centymetry) co czyni 9 cali 7 linij miary Polskiej, albo téż równoległościiany prostokątne, mające

przy téjże długości i wysokości, szerokości tylko 0,^m16 ($6\frac{2}{3}$ cala).

Kamienie wiązarkowe zaś (les houtisses), służące do utrzymania należytego wiązania, by szpary pomiędzy kamieniami niejedną i ciągłą formowały linię, te przy téjże wysokości i odpowiedniej jak wyżej szerokości, mają długości po 0,^m35 (14 cali 7 linii).

Takie są normalne wymiary kontraktem dla nowych kamieni przepisane, a za 1000 sztuk wymiaru pierwszego, płaci miasto Paryż, w miarę uznanej dobroci i twardości skał, oraz dostawy do bliższej lub dalszej części tego miasta od 400 do 480 franków (od 640 do 768 złp.); zaś za 100 sztuk wymiaru drugiego, od 310 do 380 franków (od 496 do 608 złp.); kamienie zaś wiązarkowe liczą się przy odbiorach 2 za 3.

Lecz gdy takowe ograniczenie wymiarów, byłoby za zbyt utrudzającym dostawę, przeto dozwoloném jest jeszcze dostarczać kamienie sześciennie po 0,^m20 ($8\frac{1}{3}$ cala) lub téż wysokie i długie po 0,^m20 a szerokie na 0,^m14 ($5\frac{5}{6}$ cala). Za kamienie jednak takowe, płaci się tylko cztery piąte części ceny ustanowionej, jak wyżej za kamienie 0,^m23 i 0,^m16 trzymające. W ogóle na każdy rok zakontraktowano do konserwacyi bruków existujących, dostawę 1,300,000 sztuk kamieni.

Kamienie powyżej co do wymiarów opisane, muszą być ze wszystkich stron równie i dobrze obrobione, i nie mogą chybić w wymiarach ustanowionych, jak maximum 0,^m015 ($\frac{5}{8}$ cala), i to jedynie w dwóch wymiarach; gdyż jeden przynajmniej ze trzech, musi być koniecznie dokładnie zachowany.

Co zaś do konstrukcyi bruków nowych, ta jest także następująca: nasamprzód wykopują łożysko na 0,^m40

($16\frac{2}{3}$ cali), poczem równają i ubijają plant odpowiednio do profilu, jaki powierzchni ulicy ma być nadany; następnie, na tymże plancie, sypią warstwę żwiru dość grubego, niezawierającego atoli kamyków grubszych nad $0,^m01$ ($\frac{5}{12}$ cala) i warstwę takową, której początkowie dają grubość na $0,^m10$ ($4\frac{1}{6}$ cali), polévają i ubijają tak długo, dopóki nie zostanie ściśniętą do grubości $0,^m07$ (co czyni blisko 3 cale); po ubiciu zaś w ten sposób warstwy piérwszej, sypią drugą, i tę podobnie znowu polévają i ubijają, aż z $0,^m10$ nie pozostanie grubości jój jak $0,^m07$. Taki już mając uformowany fundament żwirowy, gruby na $0,^m14$ (co czyni blisko 6 cali), na którym już samo przez się prawie jeździćby można, sypią na tymże warstwę trzecią, ale już ze żwiru drobniejszego, czyli raczej z grubego piasku, którego ziarnka największe, nie powinny być grubsze nad $0,^m005$ ($2\frac{1}{2}$ linij). Warstwę tę dają albo na $0,^m03$ ($1\frac{1}{4}$ cala), albo na $0,^m06$ ($2\frac{1}{2}$ cala), a to w miarę tego, jakie będą użyte kamienie, tojest: czy wysokość ich będzie $0,^m23$ (9 cali 7 linij), lub $0,^m20$ ($8\frac{1}{3}$ cali).

Trzecia ta warstwa, tojest piasek na którym kamienie osadzają, nie bywa ani polévany, ani téż ubijany, i tylko wprost, na takowym osadzając kamienie, uderzają w nie tak od góry, jako téż i ze wszystkich stron widocznych, młotem wazącym 17 kilogram. (42 funty), tak, ażeby tym sposobem nietylko osadzić je mocno na gruncie, ale również o ile możności, zbliżyć i zetknąć z sąsiedniami; w czém przyjęto raz nazawsze za zasadę: iż szpary pozostające pomiędzy kamieniami, nie powinny i nie mogą być szersze, jak maximum $0,^m015$ ($\frac{5}{8}$ cala); po obsadzeniu zaś w ten sposób znacznej już partyi kamieni, ubijają takowe jeszcze raz, za pomocą baby ręcznej wazaczej

35 kilogramów ($87\frac{1}{2}$ funtów), którą robotnicy obowiązani są podnosić przynajmniej na $0,^m20$ ($8\frac{1}{3}$ cali) w górę. Po ubiciu, szpary wypełniają się jak najstaranniej piaskiem, i cała powierzchnia pokrywa się tymże grubo na $0,^m01$ (5 linii); pozostawiając tenże przez dni 10 pierwszego ujeżdżania bruku, przy ciągłym i mocnym zawsze polévaniu tegoż.

W tém miejscu nadmienić wypada, że niekiedy, a mianowicie na ulicach, gdzie przejazd jest najliczniejszy, w miejsce opisanego powyżej fundamentu ze żwiru, dają pod spodem formalny bruk z kamieni starych, z dawnego bruku wydobytych, przez zużycie mniej równych, i do bruku powierzchniowego już nieprzydatnych: na tymże bruku dopiero sypią warstwę żwirku czyli piasku gruboziarnistego, a na tym osadzają kamienie bruku wierzchniego, podług wyżej już podanego opisu.

Bruk takowy dolny, czyli fundamentowy, robią najczęściej (jeżeli miejscowe w tém nie zachodzą przeszkody, jakoto: np. rury prowadzące wodę lub gaz i t. p.) nie na piasek, ale na zaprawę wapienną hydrauliczną, której również w niektórych razach, używają także do osadzenia bruku wierzchniego: a to na dwojaki nawet sposób, to jest: dając zamiast warstwy piasku na spód pod kamienie, warstwę zaprawy grubą na środku ulicy $0,^m03$ ($1\frac{1}{4}$ cala), a na bokach $0,^m02$ ($\frac{5}{6}$ cala), i wypełniając następnie szpary pomiędzy kamieniami takąż zaprawą, co nazywają *pavage à bain hydraulique*, albo téż na zwykłej warstwie piasku osadzają jak zawsze kamienie, i tylko szpary pomiędzy temiż pozostające wypełniają zaprawą, co nazywają *pavage sur forme de sable avec joints garnis en mortier hydraulique*; w ogóle jednak uważając, mało bardzo bruku na zaprawę widzieć można.

Co do trwałości, przyjętém jest w Paryżu za zasadę: iż w przecięciu biorąc, na ulicach stanowiących główne przejazdy komunikacyjne, zwane *Traverses Royales*, do których utrzymania skarb w połowie kosztów przyczynia się, piętnasta część ogólnej powierzchni corocznie przerabianą być musi; zaś na innych ulicach odróżnionych przez nazwanie *Voies municipales*, które same miasto utrzymuje, na tych, dwudziesta piąta część ogólnej powierzchni, corocznie wymaga przeróbki.

Co zaś do sposobu zarządzania reparacyj ciągłych pomniejszych, dotychczas nie przyjęto jeszcze w Paryżu żadnego systemu pewnego jednostajnego, ale przez kontrakty, zawarte obecnie na lat sześć, to jest od roku 1842 do 1848 obowiązujące, zamierzono w tym przedmiocie trzy rozmaite zrobić próby, dla przekonania się, co w praktyce rzeczywiście dogodniejszym i korzystniejszym okaże się; i tak:

1) W dwóch okręgach czyli ośmiu cyrkułach, wszelkie podobne naprawy, wykonywają się nateraz administracyjnie przez brukarzy, i robotników na każde żądanie służby inżynierskiej, w potrzebnej liczbie przez przedsiębiorcę dostarczanych, któremu wynagrodzenie za dostawę tychże, dniowo liczoném zostaje.

2) W ośmiu okręgach czyli 32 cyrkułach, wszelkie potrzebne reparacye podobne, wykonywa przedsiębiorca na wezwanie inżynierów, a wynagrodzenie odbiera w miarę wyreparowanej powierzchni, licząc za metr kwadratowy, blisko $\frac{1}{3}$ sąnia kwadratowego, od 051 do 060 centymów (od 24 do 29 groszy polskich); przyczém, kamienie dodatkowe, w miejsce zjeżdżonych potrzebne, ze składów miejskich wydawane mu zostają.

3) Nareszcie, w dwóch okręgach czyli ośmiu cyrkulach, utrzymanie bruków oddano zupełnie na ryzyko przedsiębiorców, płacąc im w miarę ogólnej powierzchni znajdującego się w tychże cyrkulach bruku, a mianowicie: licząc w przecięciu ogólném za każdy znajdujący się metr kwadratowy bruku, rocznie po 0,14 centymów ($6\frac{3}{4}$ gr. pol.).

Kiedy bruki z kamieni podobnych piaskowych, wytrwać mogą w Paryżu, gdzie jazda jest większą anizeli w Warszawie, nie masz więc wątpliwości, że i u nas wytrwałyby; a gdy skały podobne znajdują się w kraju, jakoto np. pod Rakowem, Staszowem i w innych miejscach, przeto idzie tylko o zrobienie próby, i następne obmyślenie środków, ułatwiających ile możności sprowadzenie do Warszawy; dotychczas albowiem znaczne koszta transportu, są powodem, iż przy wznoszących się w Warszawie budowlach, tak mało używane bywają kamienie piaskowe lub marmury, chociaż skały znajdujące się w guberniach Kieleckiej i Sandomirskiej, tak są obfite i bogate, nietylko pod względem mass, ale również i pod względem różnaitości gatunków; posiadamy albowiem w kraju piaskowce, od najmniejszych do najtwardszych, a marmury, oprócz białego, rozmaitych kolorów i odcieni; a pomimo tego, w budowlach naszych w Warszawie, tak rzadko użycie ich, czy to pod względem zapewnienia trwałości lub ozdoby, zastosowane widzimy; lecz jak już powiedziano, zbyt znaczne koszta transportu jedyną tego są przyczyną; a chcąc o takowych bliższe dać wyobrażenie, wspomnę tylko, iż sprowadzenie do Warszawy marmurów używanych od lat kilkunastu do wykładania chodników na głównych ulicach miasta, kosztuje półtora raza tyle, co odkrywka skały, wy-

łom téjże, i wyrób fliz lub burtnic, na miejscu w Słopcu górniczym, o dwie mile od miasta Kielc odległym.

Dla téj więc tylko przyczyny, nie można projektować próby bruku kostkowego z skał Słowieckich; bo lubo zdaje się, iż takowy na fundamencie należytym zrobiony, byłby dobry i trwały, to jednak dla zbyt wielkiego kosztu, powszechne zaprowadzenie go nie mogłoby nastąpić. Lecz w wieku terażniejszym, w którym przemysł w każdym przedmiocie, tak widoczne i nieustające czyni postępy, nie należy przypuszczać, ażeby u nas w kraju, do urządzenia bruków, nie można obmyśleć materiału dogodniejszego którenby w porównaniu z używanymi dotychczas kamieniami polnemi, niezbyt był kosztowny: a zdanie w téj mierze pana Kolberga w artykule wyżej już wzmiankowanym, nader śmiało w następujących wyrazach objawione: „nie łudźmy się nadzieją odkrycia lepszego materiału, nad zwyczajny nasz kamień polny czyli granitowy;” nie powinno bynajmniej tamować pod tym względem ciągłych starań, krajowych techników i przedsiębiorców; i na dowód, że skutek może być spodziwanym, przyłączam tu zaraz wiadomość, o już osiągniętym w tym przedmiocie rezultacie, przez Wgo Tadeusza Dowbor, dziedzica dóbr Rzuchowa, o mil parę od rzeki Wisły, w gubernii Sandomirskiej położonych. Ten posiadając w gruntach swoich glinę *bolus* biały, od roku 1838 począł robić rozmaite mieszaniny i próby wypalania, ażeby otrzymać cegłę tak twardą, by w użyciu kamień zastępować mogła. Próby te, od czasu tego kilkakrotnie mi komunikowane, w skutku ciągłych starań i ulepszeń, już teraz do tego stopnia doprowadzone zostały, że użycie téj cegły, czyli jak pan Dowbor się wyraża, tych kamieni sztucznych, na chodniki w mieście,

niewątpliwą korzyść przynieść może; nadto nawet, wedle zdania wszystkich znawców którzy wyrób ten widzieli, okaże się on i na bruk środkowy ulic dostatecznie wytrzymałym. Próbę tego rodzaju na większą skalę, pan Dowbor, w skutek otrzymanego zezwolenia, już właśnie przysposabia, i takową zaraz z wiosny do Warszawy dostawić, i na jednej z ulic najwięcej przez jazdę uczęszczanych, dla ostatecznego przekonania, w bruk ułożyć zamierza.

Teraz pozostaje mi jeszcze wspomnieć o brukach drewnianych, których próby od lat kilku w Paryżu zrobione widzieć się dają.

Pierwsza wykonana w miesiącu listopadzie 1841 r. na ulicy *Neuve des petits-champs*, od ulicy *Neuve des bons-enfans* do ulicy *Vivienne*, zrobiona z drzewa sosnowego, z kostek nachylonych, 0,^m15 centymetrów (6¹/₄ cali) podstawy i tyleż wysokości, a nachylenia pod kątem 63°26'5" to jest rzuńtych po linii dyagonalnej prostokąta, którego podstawa równa pół wysokości. Kostki takowe osadzono na fundamencie z boetonu grubości 0,^m15 (6¹/₄ cali), pokrytym następnie na parę milimetrów warstwą drobnego piasku, na którym osadzone kostki, łączone są pomiędzy sobą tyblami drewnianymi. W ten sposób wyłożony jest środek ulicy w całej szerokości chodnikami bocznymi, tak, iż burtnice tychże stanowią opory, niedozwalające brukowi drewnianemu na bok ustępować; co do obłąkowatości zaś przy szerokości bruku drewnianego na 6,^m75 (blisko sążni 4), wywyższono środek na 0,^m19 (blisko cali 8).

Próba ta dotychczas dobrze utrzymuje się; atoli, dla poprzedniego powzięcia na czasowém doświadczeniu opartego przekonania, czy bruk drewniany tego rodzaju

ze względu trwałości swój, użytecznym i korzystnym okaże się, dalsze onego zaprowadzenie, do czasu późniejszego odłożono.

Drugą i trzecią próbę, zrobiono na ulicy *Richelieu*, podobnie z drzewa sosnowego, podług tegoż samego sposobu, zmieniając jedynie tylko wymiar kostek, i osadzając takowe, w jednej na boetonie podobnie jak powyższą, a w drugiej wprost na piasku (*sur forme de sable*); z tych część na boetonie utrzymuje się równo, zaś w części na piasku wykonanej, już dość znaczne zagłębienia spostrzegać się dają.

Nareszcie, próbę czwartą zrobiono na początku ulicy *Lafitte*, zaraz przy Bulwarach; do téj użyto drzewa twardego i uformowano bruk z samych pieńków okrągłych, grubszych i cienszych, których średnica jednak nie przechodzi 4 do 5 cali. Pieńki te z drzewa twardego i suchego, ustawiono na ubitym fundamencie z gruzów i piasku, zapełniając otwory pomiędzy pieńkami grubszymi, pieńkami i klinami z drzewa cienszego, które umyślnie na ten cel dobiérano i docinano.

Tym sposobem uformowany bruk, za nadejściem pory jesiennój, przez działanie wilgoci, siłą rozpęcznienia, obustronne trotoary tak dalece zrujnował, że nietylko zupełnie przełożone być musiały, ale nawet, że kilka sztuk kamieni burtowych popękało; jak to o tém wówczas zaraz pisma publiczne doniosły; a oprócz tego, bruk ten środkiem ulicy tak mocno do góry był podniósł się, że pomimo następnego użycia silnych środków ubijania, do pierwotnej swój równości nie mógł być przywróconym: co zaś do wytrwałości użytego materiału, dotychczas najmniejsze ślady zjeżdżenia się drzewa na powierzchni bruku tego, nie okazują się jeszcze.

Nakoniec, słów jeszcze kilka o chodnikach. Najwięcej widzieć można po miastach większych za granicą, chodniki kamienne, różniące się co do rodzaju i gatunku kamieni wedle położenia miejsca, i łatwości sprowadzania tychże; lecz robią także i chodniki smołowcowe (asfaltowe), które zwykle dają na miejscach otwartych, jakoto: na bulwarach, nabrzeżach i placach publicznych, gdzie przewiew powietrza chodniki takowe prędzej oczyszczać może.

W Wiedniu znajdują się obecnie cztery kompanie wykonywające roboty asfaltowe; z tych jedna tylko sprowadza asfalt naturalny z Sejsel, inne zaś robią rozmaite mieszaniny z materyałów miejscowych, do których jednak wszystkie bez wyjątku używają smoły mineralnej. Z prób, jakie kompanie rzeczzone, ponad murami stare miasto Wiedeń otaczającemi, już od lat kilku porobiły, najlepiej, bo bez najmniejszego uszkodzenia utrzymują się dotychczas chodniki kompanii Sejsel, i kompanii Bastende.

Asfalt naturalny de Sejsel, jestto kamień wapienny, przesiąknięty smołą mineralną: znajduje się w skałach częściowo nawet nad powierzchnią ziemi wysterczających; i z téj przyczyny, gdy w znacznych znajduje się massach, a wyłom nietrudny, cena onego w miejscu bardzo jest niską, bo centnar nie kosztuje więcej nad złp. 2. Koszta transportu tylko, czynią użycie jego w miastach odległych niepodobnem, tak dalece, że w Wiedniu, już nawet kompania de Sejsel, nie może wytrzymać konkurencyi z kompaniami innemi, fabrykującemi asfalt sztuczny. I tak np. sążeń kwadratowy chodnika, na fundamencie z cegieł na sztorc i przy daniu powłoki asfaltowej, grubój na linij cztery, kosztuje przy użyciu asfaltu natural-

nego de Sejsel, złotych reń. 12 (czyli złp. 48): kiedy kompanie inne, za trzy czwarte części téjże ceny, a niekiedy nawet dla osób prywatnych w podwórzach jeszcze taniiej, roboty z asfaltu sztucznego wykonywają.

W tém miejscu wspomnieć mi należy, że i asfalt naturalny de Sejsel, nie jest jeszcze tyle smołą mineralną nasiąknięty, ażeby zaraz wprost dobry i trwały wyrób stanowił; ale chcąc takowy otrzymać, przetapiają tenże asfalt i dodają 9 do 10 części na sto, smoły mineralnej Pirenejskiej, oddzielnie na ten cel do Wiednia sprowadzanej.

Lecz bez porównania większe roboty asfaltowe, znajdują się od lat kilku wykonane w Paryżu; ale wszystkie bez wyjątku tylko na obszérnych placach i na ulicach najszerszych; gdyż uważają, że dla utrzymywania się dłuższego wilgoci na chodnikach smołowcowych, kamienne na ulicach wązkich są więcej odpowiednie.

Najpiękniejsza tego rodzaju robota, wykonaną jest na placu *de la Concorde*, inne zaś równie znaczne na Bulwarach, oraz na niektórych nabrzeżach i mostach, a w roku zeszłym dawano podobneż chodniki smołowcowe na 4 sążnie szerokie po obu stronach ulicy *Royale*, prowadzącej od placu *de la Concorde* do kościoła św. Magdaleny, niemniej w obustronnych bocznych alejach na polach Elizejskich, od tegoż placu do rogatek, wiodących do Neuilli czyli do *Arc de Triomphe*.

W ogólności, smołowiec używany do robót wykonywanych w Paryżu, jest trojakiego rodzaju:

- 1) Naturalny (bitume naturel).
- 2) Sztuczny (bitume artificiel).
- 3) Mieszany (bitume mixte).

Z tych piérwszy, tak pod względem dobroci, jako téz i kosztu, jeszcze dzielą na dwa gatunki; to jest: lepszy ale droższy, wyrabiany z kamienia wapiennego asfaltowego (*roche calcaire asphaltique*) ze Sejsel, albo z Val de Travers, przy dodaniu dziegciu czyli smoły mineralnej naturalnej z Bastenne albo z Lobsan; i tańszy ale nieco podlejszy, wyrabiany z takiegoż kamienia, sprowadzanego z Auvergne, przy dodaniu podobniejszej smoły mineralnej naturalnej jak wyżej.

Drugi rodzaj zwany sztuczny (*artificiel*), robią z paku otrzymanego przez mocne wygotowanie smoły, odchodzącej w fabrykach gazu z węgla kamiennego, domieszając miálko tłuczonej krédy i nieco glinki (*de terre à four*).

Nareszcie, przez rodzaj trzeci zwany mieszany (*mixte*), oznaczają ten tylko smołowiec, któren robią z kamienia asfaltowego, czyto ze Sejsel, z Val de Travers, lub z Auvergne, przy użyciu smoły mineralnej sztucznej; przeciwną albowiem mieszaninę, to jest: kiedy biorą smołę mineralną naturalną z Bastenne lub z Lobsan, a domieszają krédę zamiast kamienia naturalnego asfaltowego, uważają już i płacą jako smołowiec sztuczny.

Co do fundamentu pod chodniki, takowy dają rozmaicie, a grubość warstwy powłoki smołowcowej stosują do rodzaju fundamentu; i tak:

1) Jeżeli fundament z boetonu dany grubo na $0,^m10$ ($4\frac{1}{6}$ cali), lub téz z wyborowych fliz ceglanych (*des carreaux de Bourgogne*), któreto ostatnie osadzają na warstwie zaprawy hydraulicznej grubiej $0,^m03$ ($1\frac{1}{4}$ cala), w takim razie dają powłokę smołowcową grubą na $0,^m015$ ($\frac{5}{8}$ cala).

2) Jeżeli fundament uformowany przez ubicie warstwy żwiru grubiej na $0,^m05$ (2 cale), lub téz warstwy,

glinki *terre à fouir* grubój na 0,^m06 (2¹/₂ cali), w takim razie powłokę smołowcową dają na 0,^m02 (⁵/₆ cala); nareszcie:

3) Jeżeli zamiast dania formalnego fundamentu, poprzestają na ubiciu ziemi i rozestaniu na téjże piasku grubego rzeczno warstwy 0,^m 02 (⁵/₆ cala), w takim razie, powłokę smołowcową dają grubości 0,^m 025 (1 cal ¹/₂ linii); i na tento właśnie sposób, wykonać kazałem pierwszą próbę robót smołowcowych, jaką tu w Warszawie na ulicy pod gołym niebem zrobiono; lecz skutek okazał się nieodpowiednim, albowiem po kilkoletnim wytrwaniu, smołowiec, do którego uformowania użytą była smoła zwyczajna roślinna, tak dalece zwiędział, że pod nogami się pokruszył.

Z następnych prób tego rodzaju, tu w Warszawie robionych na większy wymiar przez p. Wysockiego inżyniera (o których p. Kolberg w artykule swym wspomina), początkowe takż sam, ostatnie zaś nieco lepszy okazały i okazują rezultat, a mianowicie: zastosowane przez tegoż połączone użycie smołowca z brukami drewnianymi, może na chodnik korzystnym okazać się; atoli potrzeba jeszcze czasu i doświadczenia, ażeby stanowcze w téj mierze wyrzec zdanie, i rzeczywiście korzyść, w porównaniu z chodnikami kamiennymi, liczebnie okazać.

W Paryżu metr kwadratowy (blizko 3 łokcie kwadratowe) powłoki smołowcowej na chodnikach, kosztuje jak następuje:

- a) Ze smołowcu naturalnego franków 4,97 (czyli złp. 8);
- b) Ze smołowcu mieszanego franków 4,15 (czyli złp. 6 gr. 8);
- c) Ze smołowcu sztucznego franków 2,68 (czyli złp. 4 gr. 8);

a że ostatni, to jest sztuczny, prędzej się zużywa aniżeli naturalny, i gdy tém samém nietylko więcej wymaga wydatku na ciągłą konserwacją, ale nawet prędzej zupełnego odnowienia powłoki potrzebuje; w czém, z doświadczenia już powziętego tamże przyjęto, iż powłoka z smołowcu sztucznego (dla utrzymania jój pierwotnej grubości), powinna być wzmocniana czyli pokrywaną nową warstwą smołowcu co lat pięć; powłoka zaś ze smołowca mieszanego co lat sześć, a nareszcie ze smołowca naturalnego co lat siedm; przeto z uwagi, że na czas dłuższy licząc, koszt smołowcu naturalnego mało bardzo różni się od kosztu smołowcu sztucznego, pierwszy rodzaj, to jest smołowiec naturalny, prawie wyłącznie do robót miejskich w Paryżu używanym bywa.

Teraz pozostaje tylko wspomnieć jeszcze o chodnikach kamiennych; te w Paryżu po większej części dane są z fliz i burtnic granitowych; pierwsze co do wymiarów swych mało się różnią od fliz marmurowych tu w Warszawie używanych, lecz układane bywają po ubiciu pod spodem ziemi, na zaprawę wapienną; przez co zapobiega się wypłókiwaniu ziemi spodniej przez wody deszczowe, a tém samém, i osiadaniu i wykręcaniu się samych fliz: udokładnienie takowe w układaniu chodników, również także i u nas bez nadzwyczajnego podwyższenia wydatku, zastosowanie znaleźć może: co zaś do burtnic, takowe są albo proste, jak używane dotychczas w Warszawie, albo téż przy znacznie większym wymiarze grubości, opatrzone są z boku odpowiedniém wydrążeniem, stanowiącém rynsztok, do którego ścieki z obłąkowatości środka ulicy spływając, odchodzą dalej, już wcale niewidzialne od przechodzących pod powierzchnią trotoarów. Urządzenie takowe, jakkolwiek bardzo dogodne

w Paryżu, albowiem przyczynia się wielce do ogólnego porządku i dozwala w ulicach wązkich nieco szersze urządzać chodniki, w Warszawie jednak zastosowaniem być nie może; raz dla nader wielkiego kosztu, albowiem łokieć zwyczajny podobnej burtnicy, w miarę wielkości potrzebnego wydrążenia na rynsztok, kosztuje od 110 do 120 złp.; powtore: że rynsztoki tym sposobem pod chodnikami umieszczone, wymagają nader czystego utrzymania, jeżeli nie mają stać się powodem rozszerzania się nieprzyjemnych rażących wyziewów; a to otrzymaniem tylko być może, w mieście zaopatrzonym tak obficie w wodę jak obecnie Paryż, gdzie prawie na rogu wszystkich ulic, za odkręceniem kurka, wytryskują ze tak rzekę źródła czystej wody, które codziennie przez kilka godzin wolno puszczone; przepływają rynsztoki; nareszcie też jeszcze i to głównie, dla różnicy klimatu; u nas albowiem śniegi i lody kilko-miesięczne, zapełniły i zarównałyby wydrążenia pod powierzchnią chodników w kamieniach burtowych dla odpływu wód wycięte; a wyrabianie z nich lodów, nietylko że byłoby trudnym i czasu wymagającym, ale nadto jeszcze częstokroć uszkodzenie burtnic tak kosztownych, łatwo za sobą pociągnąćby mogło.

Z tych więc uwag, jak również i z rozmaitych doświadczeń w Warszawie robionych, wypływa: że chodniki marmurowe, od lat kilkunastu w Warszawie zaprowadzone, są pod względem ozdoby miasta najodpowiedniejsze; zaś pod względem dogodności dla chodzących, nader sprawiedliwy zarzut, że są śliskie podczas mrozów, w znacznej części usuniętym zostanie, jeżeli nadal chodniki układane będą tak, jak wyżej już zaproponowano, to jest na fundamencie ubitym i trwałym, osiadaniu i wy-

kręcaniu się śliz zapobiegającym: tudzież, jeżeli bardzo małe tylko nachylenie ku rynsztokom otrzymają, albowiem to właśnie nachylenie, dane przy najpierwój urządzonych chodnikach zbyt mocne, a to w mniemaniu, że tym sposobem prędzej po każdym deszczu osuszą się; nietylko że w doświadczeniu okazało się niepotrzebne, ale nadto nawet szkodliwe, bo przechodzących na niebezpieczeństwo upadania narażające. Co zaś do trwałości tego rodzaju chodników, o której p. Kolberg jeszcze powątpiewać zdaje się, dodać tu należy, iż pierwsza próba użycia marmurów tych na trotoary głównych ulic miasta Warszawy, zrobioną została temu lat piętnaście, to jest: w r. 1829 na ulicy Miodowej przed posesją Nr. 481; a dopiero po dokładnym przekonaniu się, że chodnik ten po pięciu latach istnienia w miejscu tak licznie przez publiczność uczęszczanym, nie okazywał nawet najmniejszych śladów zużycia; przystąpiono w roku 1834 do zaprowadzenia coraz dalej po ulicach miasta, téj, dla pieszo chodzących, najnieodzowniejszój, od wszystkich mieszkańców miasta tak pożądanej i potrzebnej dogodności.

Lecz jakkolwiek piętnastoletnie doświadczenie, już teraz za chodnikami marmurowemi przemawia, to jednak bynajmniej nie jestem zdania, ażeby zaniechać prób rozmaitych pomysłów w téj mierze nastęrczyć się mogących; te albowiem naprowadzić mogą na szczęśliwy rezultat, któren przy równój a może nawet i większój dogodności, przez niższą cenę, na śpieszniejsze zaopatrzenie wszystkich ulic miasta w porządne i tak potrzebne chodniki, z czasem wpłynąć może.

Kończąc nadmieniam, iż opuściwszy obecnie zawód ten, opisałem powyżej bruki i sposób brukowania za

granicą, w mniemaniu, iż przy robieniu dalszych prób, udogodnienie naszych bruków na celu mających, przy użyciu materyałów jakie kraj nasz posiada, może któren z techników, którym wykonanie podobnychże robót jest poruczoném, zastosowanie jakie uczynić zechce; a w takim razie, gdyby ktokolwiek bliższe jeszcze szczegóły przedmiotu tego dotyczące, rozpoznać sobie życzył, to w każdym czasie, z przyjemnością udzielię do przejrzenia kosztorysy i kontrakty urzędowe, zawarte za granicą przez władze miejscowe, tak o roboty w latach ostatnich wykonane, jako téż i w wykonaniu jeszcze będące, z których wszelkie szczegóły powyżej podane, tak co do konstrukcyi, jako téż co do cen i wymaganej trwałości robót wykonanych, sam czerpałem.



BLANQUÉ'EGO EKONOMIA PRZEMYSŁOWA (*).

Kurs z roku 1837 i 1838, wykładany w konserwatorium sztuk i rzemiosł. Trzy tomy. Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. W Warszawie, z drukarni J. Dietrich 1843 i 1844 r. w dużej ósemce T. I, str. 257. T. II, str. 240. T. III, str. 240.

W ogromnym obszarze świata umysłowego, nietylko nauki i umiejętności między sobą połączone są świętym, a od przypadkowości niezawisłym węzłem ducha ludzkiego, ale w stosunku téż swoim do zewnętrznego zdarzenia, tak ściśle trzymają się przepisanego przez nie zakresu, tak nieodbycie idą torem jaki im takowe wyznaczają, że dobru rozumiana historia wypadków politycznych, będzie zarazem historią każdej po szczególe nauki, każdej sztuki i umiejętności, każdego niemal gieniuszu i talentu. Wykazanie tego ściśłego związku, dotąd wszakże do rzędu pobożnych życzeń zaliczyć możemy: żaden jeszcze autor starożytny ni nowoczesny, nie poważył się zwalić na barki swoje tego ogromu ciężących do dna gałęzi cywilizacji i postępu człowieczeństwa. Potrzeba, żeby badacz filozof, któremu Opatrzność wykonanie tego olbrzymiego żądania poruczy, myślą swą

(*) Dzieło to stanowi tomy III, V, i IV pierwszego oddziału Biblioteki Zagranicznej, pisma tomami wychodzącego, poświęconego przekładom dzieł z historii, filozofii, ekonomii politycznej, i innych nauk i umiejętności, wydawanego przez Redakcyę Biblioteki Warszawskiej, którego dotąd 6 tomów, oddział I stanowiących, wyszło na widok publiczny.

i Boskiem prawie pojęciem, obejmował wszystkie te koleje i strony zmysłowego żywota, z których jedna starczyła na całą gieneracyą, lub na najwyższą pojedynczą duchową potęgę: warunek wprawdzie nieskończenie wielki i trudny, ale którego spełnienie będzie główném przygotowaniem do postępu każdej nauki, na drodze prawdy bezwzględnej i jednej. Tymczasem zaś i póki nie nastąpi tak szczęśliwy zwrot myśli, do ogółu własnych swych wypadków, radujmy się ziarkiem, jakie nam zebrać wypadło na téj wielkiej niwie cywilizacyi Europejskiej, na której kłosy tu i owdzie porzrucane, czekają jeszcze skrzętnój i dobrze skierowanój ręki, pojętnego żniwiarza.

Ze wszystkich nauk, jedna ekonomia polityczna, choć w przybliżeniu tylko, mieści w sobie też same wypadki, jakich my po gruntownie wykonanej i pomyślanej historii społeczeństwa ludzkiego, wymagali. Ekonomia polityczna w praktycznej stronie życia i działań umysłu ludzkiego, wykazuje jednocześnie warunki wewnętrzne, które takową stronę wywołały; jedno w niej zjawisko wspiera się drugim, a mimowolnie przychodzimy do przekonania, że ze wszystkich porządków logicznych, stan rzeczy w stosunkach społeczności, czy to dzisiejszej, czy już ubiegłej, czy przyszłej, jest najbardziej i najściślej logicznym. Historia téj nauki, w krótkim przeciągu czasu od którego istnieje, rozwiązuje niejedno ważne zagadnienie natury ludzkiej, moralnej i fizycznej, i stawia nas w możności dokładnego ocenienia skutków, których przyczyny, przez nią dopiero zostały nam objawione.

Początkiem wszystkiego, jest czyn nieświadomy siebie; tak téż i ekonomia polityczna oddawna istniała, zanim powstała nauka gospodarstwa narodowego, zanim się pojawiły teorye i systemata tegoż gospodarstwa. Z natury rzeczy wypływa, że wszystkie te teorye, nie mogą być czém inném, jedno ogólnemi, z całej summy doświadczeń w ekonomii krajowej wyprowadzonymi prawidłami, do najlepszego jój umocnienia. Dokładność większa czy mniejsza, zawisła częścią od mass poczynionych doświadczeń, częścią zaś od

każdego stanowiska wszystkich w ogóle nauk: za pomocą bowiem tego stanowiska, dochodzimy sposobu, w jaki pojedyncze owe doświadczenia pojmować należy, a zarazem ogniska, w którym się takowe z doświadczenia wynikłe prawidła, z zasadami wyższej nauki stanu zbiegają. Najgłówniejszym skutkiem tego procesu umysłowego, będzie dokładna wiadomość, o ile one mają prawo do zupełnego z naszej strony uznania, lub też, o ile uledz powinny modyfikacyom i przeistoczeniu, aby lepiej do wyższej polityki krajowej przystały. Ekonomia polityczna więc, tak samo jak każda inna nauka, jest na drodze ciągłego postępu, i w niej równie jak w filozofii, nie może być mowy o układzie, na wszystkie już czasy hermetycznie zamkniętym.

Niepodobna nam tu jeszcze w zupełnym milczeniu pominąć, jakoby ekonomia polityczna, mająca na celu interes materialny człowieka, w sprzeczności była z powagą i z godnością nauki, wyższym tylko pojęciom ducha ludzkiego odpowiedzieć mającej. Zarzut takowy byłby ważnym, gdybyśmy materialny interes, w tém tylko ograniczonym brali wyobrażeniu, w którym oznacza dobry byt materialny, przyjemność fizycznego spożycia, albo zabezpieczonego istnienia, bez względu na to, że w zasadach materialnego postępu spoczywa moment wyższy, i duchowy. Ale do tego znaczenia, zaprawdę, nigdyśmy się nie przyznali, ani nikt godnie i prawo myślący, przyznawać się nie zechce. Nie samato ślepa żądza fizycznego spożywania, wywołała ów ruch nieskończony w materialnym obszarze; ale głęboko w sercu ludzkim utkwiona dążność do nieograniczonego rozwijania i doświadczenia sił swoich, do pokonywania i przywłaszczania sobie rzeczy zewnętrznych, do rozszerzania zakresu działań, interesów i stosunków z bliźnimi. Dążność ta, najnaturalniejszą i najprostszą podstawę ma w materialności, czyli w świecie fizycznym; z niego to rozprzestrzenia na wszystkie strony swe skrzydła, i ogarnia wszelkie dziedziny materialne i duchowe: z niego to, jakby ze stałego punktu Archimedesowego, porusza całą masę kwestyj naukowych, moralnych, politycznych i społecznych. Ze wszystkich tych

kierunków, żaden nie powinien być oderwanym od całości, żaden sam dla siebie nie może być wykształconym. Dążność praktyczna, bez względu na ciągły i nieskończony postęp kultury, na siebie samą tylko i na najbliższe ograniczone cele, staje się egoistyczną chciwością i żądzą spożywania; ruch wyobrażeń politycznych, odłączony od naturalnej podstawy, od interesów życia praktycznego, które organicznie w gminie, w kraju i w powszechnym ludów stosunku występują, łatwo się gubi w czczych przestrzeniach ideologii, albo też gwałtownie przerywa wszystkie istniejące stosunki, aby swój teoretyczny ideał, jakby za jednem uderzeniem laski czarodziejskiej, niestety! krótko-trwałém tylko życiem obdarzyć.

Małe zajęcie, jakie wzbudzały dotąd rozmaite téj nauki gałęzie, a więcej jeszcze obszerny jój ogół, który dopiero od początku bieżącego wieku, w sposobie systematycznym został obrabianym, od samego już czasu wychodzenia Biblioteki Warszawskiej, spowodowało tego pisma Redakcyą, do zwracania szczególnej na nią uwagi i pieczy. Kiedy wydawnictwo następnie Biblioteki Zagranicznej, ułatwiało znacznie sposobność przyswajania dzieł w tym przedmiocie dłuższego ciągu, krajowej literaturze, małe przygotowanie, na jakie w publiczności natrafiono, trudniejszym robiło wybór, aniżeli się po obfitości tego rodzaju materiałów spodziewać należało. Wszakżeto na palcach wyliczyć można tu i owdzie porozrzucane prace ekonomiczno-polityczne, już nie mówimy pierwotworne, ale z obcych nawet piśmiennictw czérpane: oprócz większej Skarbka pracy, kilka przekładów, dość liczne broszurki i rozprawki, kilka sprawozdań, dziś dopiero gdzieniegdzie głębsze widoki, jak np. *Filozofia ekonomii materyalnej*, jaki artykuł o *Przemysle*, oto, czém się w naszej literaturze gospodarstwa poszczycić możemy. Leżąca teraz przed nami *Ekonomia przemysłowa Blanqui'ego*, przy takim usposobieniu czytającej publiczności, znaczne w dopięciu zamierzonego celu, przedstawiała korzyści. Jako przeznaczona pierwotnie dla uczniów konserwatorium sztuk i rzemioł w Paryżu, napisana jest w spo-

sobie przystępnym, nie dla adeptów, lecz dla początkujących w nauce; i „jeżeli (jak powiadają wydawcy w przedmowie do tomu I), jeżeli taka przystępność jest tryumfem dla mówcy, niemalą zaiste stanowi zasługę uczonego, że nie osiąga jęj kosztem ścisłości zasad. Jeżeli sympatją dla klas niższych zjednał sobie ich przychylność, to dlatego nie zapomina ani na chwilę, iż przede wszystkim zabezpieczyć trzeba wolną grę działań ludzkich, tak w interesie indywiduów, jako też w interesie samęjże społeczności. Miał trafić do pojęcia słuchaczów, miał zaszczerpić w nich wyobrażenia zgodne z postępem nauki, zwalczyć przesady i błędy zwykłych mniemań; więc nie był to pole do paradoxów, do rzucania nowych i świetnych pomysłów, ale którymby czas i wszechstronny rozbiór, nie nadał jeszcze znamienia praktyczności. Dlatego też w Blankim nie znajdujemy ducha systemu; zdrowy rozsądek jest jego gieniuszem, a słuchacze jeśli niezawsze przenikną do tajników nauki, nigdy nie odniosą opacznych i skrzywionych, lub z postępem czasu niezgodnych pojęć.”

Co do nas, zaraz z początku przymuszeni jesteśmy uczynić zarzut przeciwko wyrazom tytułu, albowiem dzieło Blanqui'ego nie jest ekonomią tylko przemysłową, gdy w niezupełnie związkowym wprawdzie ciągu, obejmuje wszystkie kwestye dobrego bytu i bogactwa krajów dziś dotyczące; nieraz nawet raczój do nauki finansów i polityki należyć mogące. Mybyśmy woleli podług miana Niemieckiego, nazwać je ekonomią narodową, lub też nauką gospodarstwa narodowego (*Nationalökonomie, Nationalwirthschaftslehre*); przynajmniej jednak nie upatrujemy powodu, dla którego dawnym trybem ekonomią polityczną zwać je przestano. Tytuł Francuzki nie powinien tu być wpłynąć na tłómacza Polskiego.

Z kilku rzutów któreśmy tu w przelocie czytelnikowi podać usiłowali, zrazu będzie w możności ocenienia stopnia, o jaki p. Blanqui dziełem swoim ekonomikę narodową podźwignął, albo bieg jęj przyspieszył. Wszystkie kwestye żywotne dzisiejszój społeczności, banki, spółki handlowe,

pieniądze, koleje żelazne, pauperyzm, przedewszystkiem pauperyzm, przeprowadza on przed naszymi oczyma w żywych, ujmujących, a przytém i wyczerpujących obrazach. Metoda jego zarazem historyczna i filozoficzna, nie zaniedbuje najmniejszego szczegółu do uzupełnienia wszystkich odcieni, i jakkolwiek połączenie tych kwestyj między sobą częstokroć odbywa się bez naukowej ścisłości, przecież niemal każda, pojedynczo wzięta, nader szczęśliwą stanowiłaby monografią. Niektóre wszakże z nich, jak np. rozdziały o rolnictwie, mniej zadowalniające, albowiem autor nie umiał się postawić w położeniu kraju, samemu tylko rolnictwu oddanego: my z tych rozdziałów żadnej prawie korzyści odnieść nie zdołamy. Inaczéj ma się rzecz z lekcjami o pauperyzmie, które w takiem wprawdzie rozprawdzeniu, w jakim wyłożył je p. Blanqui, po wielkiej części do nauki polityki odesłaćby należało, ale które są wzorem praktycznie zastosowanej moralności chrześcijańskiej, a ta, jak wiadomo, jedna jest na dwa półsferza globu naszego. W krótkim zarysie historycznym najnowszych systematów socjalistycznych, p. Blanqui okazał się sprawiedliwym sędzią i szlachetnym nieprzyjacielem: godne jest takiego jak on uczonego, oburzenie się na nadużycia, jakich ekonomiści w imieniu nauki, po dziś dzień jeszcze się dopuszczają. Uwielbienie dla autora talentem jego obudzone, bezwątpienia niczém lepiej się nie umocni, jak wzniosłością zasad, które dla serca także jego cześć nakazują.

Pozostaje nam jeszcze słów kilka powiedzieć o przekładzie. Tłómaczem, jak nam doniosła w kilku ogłoszeniach Redakcja Biblioteki Warszawskiej, jest p. Wiktoryn Zieliński. Praca jego niemało przedstawia trudności; jakkolwiek bowiem nie zapomnieliśmy bynajmniej o wielkich pod tym względem zasługach Skarbka, przecież terminologia ekonomiczna, daleką jest jeszcze od zupełnego ustalenia. P. Zieliński, pod przewodnictwem Redakcyi, wiele szczęśliwych w téj mierze poczynił nowacyj: w ogólności przytém pióro czyste i gładkie, zupełnie celowi swemu odpowiadało. Puryści nie bez słuszności zarzucą zbytnią ilość

gallicyzmów, niezawsze zwłaszcza dobranych; i jakkolwiek my, w ogólności, niebędąc przeciwni przyswajaniu naszemu językowi sposobów mówienia cudzoziemskich, byleby tylko nie mieściły w sobie nic niezgodnego z duchem tegoż naszego języka, tak w szczególności tłumaczowi za złe mieć nie możemy, jeśli znalazłszy pod ręką zwrot wyrazów szczęśliwszy, trafniejsze wyrażenie, za takowe uchwyti i w Polskie szaty je ubierze. To co stanowiło zaletę Tacytowego stylu, były właśnie hellenizmy, tak energicznie na związłość i ścisłość jego wpływające; Horacy i Wirgili, przy Greckich obrazach, nietylko polot myśli, ale i tok mowy swojej kształcili. Czemuż my, w tysiącnych postaciach płodami Balzaków, Sue'ów i Kooków prześladowani, zamiast częściej się trzymać essencyi beżywotnych utworów, przyjąć raczej nie mielibyśmy szczytnych nieraz sposobów, w jakie duchy podobne Guizotowi, Thiersowi i tylu innym, wypadki rozmysłów swoich objawiają? Literatura nasza, zwłaszcza naukowa, nic na takim przejęciu się niedoścignionemi u nas wzorami, nie straci.

H. L.

[Faint, illegible text in the background]

KRONIKA LITERACKA.

Pieśni ludu Podhalan czyli górali Tatrowych Polskich, zebrał i wiadomość o Podhalanach skreślił Ludwik Zejszner. Warszawa w drukarni pod firmą J. Kaczanowskiego 1845. Nakładem Redakcyi Biblioteki Warszawskiej cena złp. 6 (8vo majori, str. 162).

Znany z wielu prac uczonych, nietylko w kraju naszym, geolog p. Ludwik Zejszner, zebrał ten zbiór szacowny pieśni Góralskich i rzetelną położył zasługę, wzbogacając ubogą tę część literatury naszego ludu.

„Czyniąc (mówi w przedmowie do czytelnika) fizyczne i geologiczne poszukiwania w Tatrach, rad nie rad często wiele dni słotnych przepędzałem w domach, Podhalan, i wtedy bliżej poznałem sposób życia, obyczaje zabawy, i śpiewy mieszkańców tych najwyższych gór Polskich. Obudzony w literaturze naszej powszechny interes dla pieśni ludu, spowodował mnie do zbierania śpiewanek czyli pieśni Podhalan, tak długo nieznanych w naszej literaturze. W roku 1838 zacząłem je spisywać, coraz nowe znajdowałem lat następnych, wiele zostało mi nieznanych, i dlatego nie myślę zbioru mojego za zupełny podawać.

Pieśni zebrane przeze mnie, przyczynią się do bliższego poznania Górali Alpejskich Polskich, czyli Podhalan, a nadto wprowadzą do języka naszego nieznanne wyrazy, tyczące się stosunków górskich, których wypadnie terminologią

gieograficzną układać. Pieśni te otrzymuje czytelnik, w ich rodzinnéj surowości, i jeżeli uderzać nie będą poetycznymi obrazami, dadzą jednak rzetelny obraz uczuć i sposobów myślenia Podhalańskiego ludu, a ten cel był najgłówniejszy, jaki sobie zamierzyłem osiągnąć."

Zbiór sam pieśni Góralskich, poprzedza: „*Rzut oka na Podhalan;*” rozprawa ważna i ciekawa, a odsłaniająca nam świat nieznany prawie w literaturze. Napisana wybornym językiem, pełna życia, i świeżych obrazów, okazuje w autorze niepoślednie zdolności artysty, w całym znaczeniu tego wyrazu.

Pieśni są podzielone na:

I. Pieśni miłosne, zbiór najbogatszy, do 500 pieśni dochodzący.

II. Ślubne śpiewanki.

III. Śpiewanki pasterskie.

IV. Piosnki zbójckie i żołnierskie.

Podział ten wypłynął z samej natury tych pieśni, i jeżeli pierwsze malują uczucia górala, drugie są niejako formułami do wielkiego jak u ludu obrzędu weselnego; te śpiewanki pasterskie, odkrywają wybornie cały sposób życia i zatrudnień Podhalana, jak zbójckie i żołnierskie, odsłaniają gwałtowniejsze uczucia i namiętności.

Niedostaje tym pieśniom tylko melodyi, i żałować potrzeba, że nasz uczony zbieracz, nie uzupełnił nią swego zbioru. Nie tylko bowiem pieśni Podhalan, ale wszelkie inne śpiewanki ludu, czy Mazurów, czy Krakowiaków, całość dopiero uzupełnią z melodyą składają. A zaprawdę, pieśń ludu w słowach tylko, traci zupełnie na swój artystycznej wartości: bo całość utworu pieśni w chwili tworzenia, powstawała ze snu wyobraźni śpiewaka, wraz z melodyą: i gdy myśl tworzyła w słowach śpiewankę, serce utworzyło tym urodzynom narodową melodyą: ona jest chrzestem poezji ludu, aby była prawdziwą narodu poezją. Niezawsze słowa śpiewanki, mogą mieć wartość; ale melodia zawsze: ona daje im i przystraja często ich nagość nieskładną, rubaszną w szaty godowe, i podnosi do wartości artystycznej.

Ztąd, pieśni ludu, gdy niezawsze jaśnieją słowami, królują nad innymi melodyą: a ci, którzy potrafią ten wdzięczny śpiew narodu, tę nótę serdeczną, pełną wdzięku i uroku, nażytek sztuki przechować, niemniejszą zasługę kładą, jak sami zbieracze.

Już poprzednio zajęto się zbieraniem melodyj do pieśni ludu naszego: ale nikt nie wyprzedził, żaden tyle nie dokonał w tym zawodzie, dla nas z wielu miar nader ważnym, jak młody artysta pełen zapału i talentu p. Oskar Kolberg. Zrozumiał on szlachetne powołanie tego, który ma skarbiec melodyj ludu od zatraty uchować: rozumiał, że potrzeba w tym sumiennosci, aby ją w całej rodzinnej prostocie, która jest jej piękną, zachować. Zebrał już ten artysta obfite żniwo zabiegów, i niedługo oczekiwać będziemy tej chwili, w której poznamy całe bogactwo i te tony melodyi ludu, które dorazu zrozumieć, pojmie i ukocha każde Polskie serce (*).

Nie winą p. L. Zejsznera, że duszy (iż tak powiemy), brakuje pieśniom Podhalańców przez brak melodyi: co zebrał, co nam podał, to nadaje mu prawo do naszej podziękności i wdzięczności: bo zebrał sumiennie, wiernie, i odmalował świat i Górali swoich, pędzłem artysty. Pieśni te, jak odsłaniają wszelkie rysy charakteru, zwyczajów i obyczajów Podhalańców, napiętnowane całym urokiem prawdy, tak dla języka naszego, niemałym są skarbem: w górach samotnych, dalekich od napływu cudzoziemszczyzny, odciętych swoim położeniem od reszty świata, przy mniej ciągłych stosunkach Górali z ościennymi sąsiadami, uchowały się nie tylko odwieczne wyrazy czysto Polskie, a nieznanne nam dotąd, ale nawet i formy językowe. Ztąd też zbiór p. L. Zejsznera, nie może być obojętny i dla badaczy języka.

Nie przywodzimy tu wyjątków z pięknej rozprawy o Podhalańcach, poprzedzającej zbiór pieśni: znaną już jest albo-

(*) P. Oskar Kolberg, przygotował znaczną liczbę melodyj przez siebie zbieranych, wraz z tekstem pieśni ludu. Obecnie zaś wydał: „Kujawiaki w stylu gminnym” w których szczęśliwie i z talentem naśladował pełną życia melodyę ludu.

wiem z pisma naszego (Bibl. Warsz. t. III, lipiec 1844 r.). Nie przywiedzmy samychże pieśni, bo one, pojedynczo i oderwane, tracą na swym wdzięku; ale komu miła krajo-wość, kto chce poznać ten lud dzielny, winien je przeczytać pod urokiem wstępnej rozprawy p. L. Zejsznera, a wtedy pozna całą ich wartość.

Kamoens, Fryderyka Halma dramat w I^{ej} odsłonie, przez F. Nowosielskiego 1845.

Najświetniejszy koniec 18go a początek 19go wieku, dla dramatycznej Niemieckiej literatury, zamarł nierozwinięty i niewykształcony w dążeniach swych i charakterze. Dziś Niemcy mają dramatyków, o których zaledwie sami wiedzą, i o których, troskliwa dla wszystkiego co wychodzi, Bibliografia powszechna wiedzieć koniecznie musi. Jeden właściwie *Gutchen*, wyższych zdolności, nawet talentu, poeta, i *Halm*, stoją na czele tej opuszczonej, jakby już wysiloniej niwy. Gdy Szyller i Göthe po lekkim przygotowaniu gruntu od Lessynga, rozplądiali ziarnami swego gieniuszu to pole, zdawało się, że tam bezdno plenności i obfitości się kryje; przecież czas okazał jałowość tej samej płodnej ziemi, zdaje się dlatego, że tenże czas, niegdyś płodny w wypadki dla Niemiec i świata, niegdyś taki olbrzymi ruch społeczny pod zasłoną swą utrzymujący, dziś mierzy im tylko dni i lata, a tych dni i lat wypadki nie mierzą i nie znaczą. Dramat, którego warunkiem i istotą ruch, przemiana, może się rodzić i kwitnąć tylko w czasie istotnego ruchu i przemian. Spokojne posuwanie się ludzkości do swego celu, na drodze i za pomocą rachuby, podobne sztucznym, cicho w ramach płynącym kanałom, które mogą znieść statki ładowne i parowe okręty, ale nie zniosą i nie odbiją wspaniale w swych zwierciadłach, wielkich burz natury, i straszliwych nawałnic. Toż w życiu i wzroście dramatu; rozum i spokojna nauka nie stworzą go, ale różnopromienny i pełen żywości

gieniusz; gieniuszu cisza nie wyda. Chcieliśmy pokrótce usprawiedliwić chwilę stagnacji dla dramatu Niemieckiego, któremu życie dali Szyller i Göthe, dwa meteory ogniste, i z życiem swém zakończyli.

I tak: czytamy dramacik Halma w wolnym przekładzie, p. t. *Kamoens*, w którym ani jednej sceny godnej dramatu, godnej wspomnienia Kamoensa i godnej przeszłości dramatu Niemieckiego. O przekładzie niewiele powiemy: gładki, zbyt wolny, to jest niewierny, a więc tym bardziej pozbawiony energii; jednak piękny pod względem języka i jego czystości. Wolimy jeszcze o samym dramacie parę słów rzucić. Któż z czytających, nie zna, choćby z imienia tylko wielkiego Kamoensa, i jego, zawsze zajęcie i drzenie serca obudzającego zgonu? Kamoens, wielki wieszcz Portugalii, skończył jak nędzarz w szpitalu. Czyż fakt tak przykry, tak poniżający dla narodu który wydał Kamoensa, raz powtórzony, nie utkwi nazawsze w pamięci najstabszej i najzimniejszej głowy? Halm chciał go zdramatyzować; wprowadził do tego szpitalu, gdzie Kamoens konał w nędzy, gdzie gieniusz miał ostatnie wydać technienie w rezygnacji; poufnego gieniuszu, przyjaciela młodości, bogatego kupca i spekulanta, co wraz z Kamoensem w świat weszli i po różnych rozbiegli się drogach. Ten duch czysty, dla ludzkości tylko żyjący, a ten ciężka materya, materyą wyrabiający. I oto chwila dobieżenia celu ich usiłowań i pracy; jeden w nędzy, drugi w dostatkach. Między dwiema osobami, może być związek dramatu, ale nie dramat pełny; wprowadza tedy autor trzecią osobę, syna owego bogatego kupca. Jestto młodzieniec ze wzniosłą duszą, do natchnień zdolną, która opiera się wszelkimi siłami widokom ojca, w kupiectwie życie i szczęście upatrującego. Ojcu imię *Quebedo*, synowi *Perez*. Quebedo chce wprowadzić *Pereza* do szpitala, gdzie w nędzy dogorywa wielki poeta, aby pokazać skutki poetyckich zapałów i marzeń. Dlatego poprzednio widzimy *Quebeda* w rozmowie z *Kamoensem*, jak go błaga, aby odstręczył syna jego własnym przykładem, od zgubnych dążeń poetyckiego zawodu: dlatego później wi-

dzimy tegoż Kamoensa, jak odstręcza młodego *Pereza* od drogi, na jaką marzenia go zawiodły. Walka rozumowań naciągniętych i nienaturalnych Kamoensa, dowodzącego jak czczemi i zwodnemi były wszystkie jego złudzenia i nadzieje młodości, przeciw natchnionej mowie *Pereza*, wykazującego w całej mocy świętość i wzniosłość powołania poety, jest niezręczną i przykre uczucia obudzającą. Pragnęlibyśmy w wielkim Luzyady wieszczu, widzieć w ostatniej chwili tę wyższość niespożytego przeciwnościami ducha; tę moc przekonania i wiarę w prawdę jego życia, i nakoniec, nie z ust *Pereza*, ale z ust samego Kamoensa wolelibyśmy usłyszeć cel życia i bytu poety wśród prozaicznego rozrodzenia się plemion ludzkich. Być może, iż Kamoens siłą przeciwnienia się chciał wyrwać z piersi *Pereza*, wyrazy określające prawdziwe powołanie poety, może to być, i tak w rzeczy samej jest nawet; ale ta rola podrzędna Kamoensa w tej chwili, a *Pereza* wyższość i zwycięstwo jego, zdaje nam się upokarzającym dla wielkości starego, konającego w rezygnacji wieszca. W całym dramacie, zaledwie kilkanaście wierszy z wielką względnością krytyki ocenionych, okazać się mogą godnemi znaczenia Kamoensa i warunków dramatu, w którym zresztą ani ruchu, ani interesu, ani wzniosłości, choć były potemu miejsca, nie znajdzie nawet łaskawy czytelnik. Autor zniweczył przedmiot, zmarnował go w dyalogach nudnych i bez smaku; tłumacz nieszczęśliwy zrobił wybór. Wiersz miarowy pochwalamy zupełnie; rymowy w jednym ku końcowi miejscu słabszy, nawet całkiem słaby i powszedni w budowie, ścięra zalety miarowego. Po pierwszej scenie rozmowy dozorczy więzienia z kupcem dopytującym się o *Kamoensa*, z niecierpliwością i w najwyższym uniesieniu oczekiwaliśmy pierwszych słów tego *Kamoensa*, o którym dotąd toczyła się tylko rozmowa; ozwał się wreszcie, ale w tak powszednie, tak bez ducha i charakteru i wielkości słowa, żeśmy stracili wszelką nadzieję czytania dramatu, w którymby Kamoens grał główną rolę. Gdyby nie ostatnia scena *Pereza* z Kamoensem, a szczególnie natchniona mowa tego młodzieńca, cała rzecz skończyła-

by się i odbyła bez najmniejszego wrażenia. Przytaczamy ją tu całkowicie jako lepszą i w tłumaczeniu, i w oryginalnym dramacie.

Kamoens

O młody zapaleńcze, ty wzdychasz do sławy!
 Wieńcem laurowym pragniesz ozdobić twe skronie;
 Ale wieńce wędnieją! we dnie gwiazdy gasną...
 Czémże sława nagrodzi życie bez użycia?
 Czyż wszystko jedno temu, co spoczął już w grobie,
 Gdy na tafli marmuru pozostanie napis:
 „Żył i zyskał sławę” lub: „żył i był szczęśliwym”,

Perez

Widziałem jak niegodnych laurami zdobiono,
 A wieńce zasłużonych nogami zdeptano...
 Mnie sława nie uwodzi choć jestem tak młody.
 O! do czegoś wyższego serce moje wzdycha!..

Kamoens

A więc cel twoich myśli wyższy niżli sława,
 Powiedz do czego wzdychasz?

Perez

Od dawnego czasu

To, za czém duch mój tęsknił, tailem w mej piersi;
 Lecz przed tobą, o wieszczu! śmiało wyznać mogę
 To, co świętym płomieniem serce me zagrzewa.
 Nie chcę gnuśnego szczęścia, ni laurowych wieńców:
 Lecz chciałbym mym zapalem innych zapał wzbudzić,
 Chciałbym słońca ludzkości być zorzą na ziemi.
 Pragnąłbym w każdej duszy święty płomień wzniecić...
 Płomień, co w mojej duszy blaskiem słońca świeci.
 Chciałbym jedność i zgodę przelać w wszystkie serca,
 Człowieczeństwo wyzwolić, prawdę wyswobodzić.
 Nie próżność, nie czcza sława duszę moją wznosi,
 Jój wyższe są dążenia i wznioślejsze cele...

Kamoens

O złoty śnie młodości, z wrzącym twym zapalem,
 Niestety zbyt znasz mało świat i ludzi na nim...
 Chcesz im nieba przychylić, serca rozplomienić;
 Lecz któż zdoła rozpalić twarde lodu bryły!
 Któż zdoła głuchoniemych muzyką zachwycić?

Perez

Tys już tego dokazał! wierzaj, Kamoensie,
 Nigdy takiej rozkoszy nie czuł jak w tej chwili.

O wierzaj memu słowu! przysięgam na Boga:
 Tyś rozpałił me serce miłością ludzkości.
 Pieśń twa boska, co moją duszę owtadnęła,
 Tysiące serc uśpionych natchnęła zapalem.
 Twa myśl wielka, olbrzymia, przyjęła się w sercach!
 A choć śmierć to, co ziemskie, do ziemi powoła,
 Ty, coś żył dla ludzkości, na wieki żyć będziesz.
 Bo pamięć ust twych wieszczych nigdy nie wygaśnie....

Kamoens (*do siebie*).

Jakże mu iskrzą oczy i twarz jego płonie!
 Mówi jak wieszcz natchniony... O! jakąż rozkoszą
 Zapal jego ożywia gasnące me życie.
 Czyż mi go niebo zsyła w ostatnią godzinę?..

(*po chwili ze smutkiem*)

Odległém szczęściem wieków umysł twój zagrzany
 Gardzi szczęściem obecném: lecz patrz na mą nędzę!
 Patrz, młodzieńcze, jak kończy twórca Luzyady.
 Wielki wieszcz, a dziś nędzarz, cel może szyderstwa!
 Spójrzyj na Kamoensa, co kończy w szpitalu!
 Tak świat wieszczów nagradza za ich poświęcenia,
 O, nie wchodź w moje ślady! strzeż się mego losu!

Perez

Lękać się? Nigdy!... jeśli nędza i szyderstwo
 Nagrodą ma być zasług, zaszczyt to mi sprawi.
 A korona cierniowa w świetny laur się zmieni!
 O wierzaj Kamoensie! gdybym ducha bliźnich
 Zapalił jak ty wieszczu, wiek czynem wyprzedził,
 Chciałbym w nędzy umierać, tak jak ty w szpitalu!

Kamoens

Przysięgam na śmierć moją, śmierć bliską niestety,
 Przysięgam na rozkosze i boleść poety,
 Na to, co najdroższego w mojem sercu mieszczę,
 Ty będziesz dla ludzkości żył i działał jeszcze:
 Bo nie egoizm podły twe serce przejmuje!
 Bóg przez ciebie przemawia i pośród natchnienia
 Dusza twa wyższe cele głęboko pojmuje.
 Dosięgnie też cel wzniosły swego przeznaczenia.....

Prawidła pisowni Polskiej na zasadzie wniosków Deputacyi z roku 1830 oparte, rozwinął praktycznie dla użytku młodzieży, Ludwik Koncewicz b. Dyrektor Gimnaz. Emeryt; Warszawa, 1845. 8vo 100 stronnic.

Sprawa ustalenia pisowni naszej, będąc tak pilną i tak ważną dla każdego, kogo obchodzi postęp literatury Polskiej, do wszelkiego na jaw wydawanego zdania w téj mierze, większą dziś niż kiedykolwiek ciekawość obudza. Panu Koncewiczowi nie szło o przejrzanie całego stosu aktów w téj sprawie, w tylu już instancjach sądzonéj; wybrał tylko niektóre wyroki dawniejsze, i jedne uznaje za sprawiedliwe dlatego, że *a priori* postanowił uznać je za takie; drugie przynajmniej łagodzi, ażeby nie wątpiono, że do sądzenia mógł być należeć. Wszelako p. Koncewicz potrafił sprawozdaniu swojemu nadać kształt osobny, zalecić je dążnością wyłączną, i tę rozlewającą się, że tak powiem, materią w pewne granice ująć. W swoim głosie do publiczności, słusznie powstaje przeciwko tym, którzy *bezzasadnie mniemając, jakoby w języku Polskim, każdy wyraz tak się pisał, jak go wymawiamy; którzy zatem nie już oko z zasadami języka obeznane, lecz wyłącznie ucho tylko za narzędzie do sądzenia o wymawianiu i pisaniu biorąc, łudzą się wielu zbliżonemi do siebie brzmieniami, i zadawalniając (sic!) napozór drugie dla pierwszego, tojest dla oka, dziwotwór pisowni przedstawiają.* Mówi dalej że gdy temu błędowi podlega zwłaszcza młodzież pisać poczynająca, aby więc ją od tego jak najwcześniej ochronić, obiera autor w dziełku swoim za tło prawideł: *1ód, spółgłoski słabe i mocne, które zbliżone do siebie podobieństwem brzmienia, najprędzej ucho utudzić mogą; 2re, samogłoski wszystkie, a tylko wyjąwszy, bo i te także innemi łudzącemi brzmieniami, niewłaściwie zastępowane bywają.* Główne prawidła popiera licznie zebranemi przykładami, w przekonaniu, że w nauce języka szczególnie, długa droga prawidłowa,

o wiele się skraca, i skuteczniej do celu prowadzi, jeżeli do teorii, załączają się mnogie, dobrze zastosowane przykłady.

Naczelną część swojej pracy o *głoskach w ogólności*, rozpoczyna autor wypisaniem głosek abecadła Polskiego, których w takim ułożeniu, w jakim je drukarz przedstawił, jest przeszło 50; chociaż nie byłoby rzeczywiście nad 47, po wprowadzeniu w ustawienie ich należytego ładu. Możnaż było dopuścić tego, na czele książki przeznaczanej za elementarną? W przypisku na str. 9 mówi autor że: „*różnica istotna między spółgłoską miękką a twardą, jest skutkiem odmiennego położenia języka; bo oddając np. b' miękkie, otwór ust ścieśniamy, i podnosimy język ku podniebieniu.*” Właśnie przy wymawianiu wargowych b' i p', nie dostrzegamy żadnego poruszenia języka. P. Koncewicz ciągle bacząc na główne założenie swoje, że *ucho nie może być jedynym sędzią pisowni naszej*, bierze kolejną po dwie podobne sobie brzmieniem spółgłoski lub samogłoski, i liczne wynajduje pod nie przykłady, w którychby obok siebie stawały wyrazy brzmienia jednego, a odmiennie się piszące; w skutek czego dobiierają się zdania częstokroć aż do dziwaczności niespodziane lub przymuszonym sposobem związane, o których mniema, że *naukę z natury swojej poniekąd suchą, łatwo ożywić, oraz prędzej młodzież zająć potrafią, i prawidła w jej pamięci ustalać.* Sąto powiedzenia w tym np. gatunku: „*Nasz chłop je razowy chléb; chlép robi kotek mléko pijąc.*” — „*Przekupka kubka potrzebuje.*” — „*Józio łowiąc ptaszki na lep, leb sobie skaleczył*” i t. p. Inne są zbliżeniem wyrazów, które nigdy może drugi raz nie zejda się z sobą, jak np. „*Pasiérb Serb sierp bez szczérb przyniół.*” — „*Ostrowidz z Maciejowic*” i t. d. Niektóre téż niewiadomo co znaczą, np. *Rób*, żeby *rup'* nie był w żołądku,” ale zato niektóre nader sztucznie przybliżają wyrazy, których pisownię autor chce rozróżnić, jak np. „*poty póty* płyną, póki *skóra skora* jest do ich wydawania” i wiele innych. Nie zdaje nam się, ażeby *deszcz* można było i takim sposobem *deždź* (str. 23) pisać, pomimo, że drugi przypadek miewa *dždžu*. *Rózga* było pierwotnie *rostka*, i zaraz z tego (jak *izdebka*

z *izdba*) poszło *rószczka* (jak *chwostka*, *chwoszczka*); zatem *różdzka* nie istnieje wcale w języku. Na str. 25 jest pomiędzy przykładami: „*Grad grat* wiele potłukł: gdy mówimy *gratów* (ten grat). Na str. 32 mówi autor: „Gdy w wielu wyrazach cudzoziemskich, zgłoski *ge*, *gi*, wymawiają się miękko, jak *je*, *ji*, np. *jenerał*, *jeografu*, *lojika*; gdy oraz w Polskich słowach (*) *g* samo bez *i*, jako znaku zmiękczenia, nie może poprzedzać *e*, samogłoski, np. *gięlda*, *dlugie*; **dla jednostajności** więc w pisowni, przyjęto prawidło: aby we wszystkich słowach obcych, nie tylko w nazwiskach i chrzestnych imionach, jak *Germania*, *Geneua*, *Gerwazy*, *Genowefa*, ale i w imionach pospolitych przyswojonych: np. *geografia*, *genealogia*, *algebra*, *ewangelia*, *regestr*, *logika* pisać *g* według pisowni języka, z którego pochodzą, niezmieniając ich ani w zmiękczone nasze *gie*, ani w brzmienie spółgłoskowe *je*”. Piękno zaiste **jednostajność** *gier* (gra) i *Gertruda*; *giermek* i *Germania*; *giel* (mnogość), *jagiel* i *Jagello*; *gierz*, *gierzło* i *gest*; *Gierwatowscy* i *Gerwazowie* i t. d.! Nazwież to jednostajnością leksykografia? Toż nim napiszę moim językiem *Gienus*, *giermek* i t. p., mam się wprzód dowiadywać, z którego te wyrazy pochodzą języka i jaka tam pisownia?...

Nie zdarzyło się nam widziéć, ażeby kto używał *jad*, *par*, *pas*, *wywar*, *spad*, zamiast *jadł*, *parł*, *past*, *wywarł*, *spadł* (str. 38); jeśli taki byłby kiedy, powaga jego nie zasługiwałaby pewnie na wzmiankę autora dzieła o pisowni. W paragrafie o spółgłoskach *ś*, *ź*, (str. taż); nie znaleźliśmy wzmianki o *piśmie*, *puryzmie*, *ojczyźnie* i t. p. gdzie wielu zachowuje *s*, *z*, innych przypadków, podobnie jak w *spi* (spać), *rośnie* (rosnąć) i t. d. Na str. 40 zła jest pisownia *wjeżeli*, *niżli*, *jeźli*. Może być tylko *jeżeli*, skrócone *jestżeli*, *niżli* skrócone *niźeli*, *jeśli* skrócone *jestli*. Co do wyrazu *miąsz* (str. 48), sądzimy że tegoż jest pochodzenia co i *mięso*; że zatem *miąź* w żadnym razie nie jest sprawiedliwa pisownia,

(*) P. Koncewicz idzie za Lindem, zowiąć wyrazy *słowami*, a słowa *czasownikami*.

i że zamiast *mięszność*, *mięszszy*, być powinno *mięszność*, *mięszny*. *Mięszy* albo *mięszy*, które zamienianiem błędu w zwyczaj, weszło w użycie jako stopień równy, jest właściwie stopniem wyższym od *mięski* (jak *węski*): o czym przekonywa przykład w Grammatyce Muczkowskiego na str. 193: *Co z mięszzego kamień obcinać*. Na str. 49 tak wyraża się autor. „Na początku wyrazów, przed samogłoskami pisze się *ż*, jeżeli po nich w téjże zgłosce *r* następuje.” Nam się zdaje, że od tego *r* nic tu nie zależy *ż*, i że tak w *żar*, *żerdź*, jak i w *żagiel* leży na początku *ż* dla téj samej przyczyny, dla jakiej w każdym wyrazie musi być na początku jakaś litera (*). Zpomiedzy przykładów na str. 53, zdaje się, że bliższém jest powszechnego zgodzenia się *szruba* niż *śruba*, a *skło*, *szlaz*, *szlub* nikt nie pisze, i taka pisownia byłaby bardzo błędną. Podobnie i *upiękrzył* (str. 55) za *upiększył*, jest błędne, lubo przez niektórych używane. Na str. 62 nie *Monsz* (autor *Mechaniki*), tylko *Monż* (*Monge*), a imię własne *Konti*, jest tylko w połowie po Polsku, bo powinno być *Konty*. Powinniśmy mówić, jakoż i mówimy *kontentą*, tak jak *ukontentowaną*, i *radą*, jak *chętną*, nie zaś, jak chce autor (str. 65) *kontentę*, *radę*. Tego kształtu zakończenia w przymiotnikach, niemile język nasz przyjmuje, jako trącaącego niby wadą w nosie. Osobliwszém jest wystowienie się autora na początku paragrafu o *ó* i *u* (str. 66): „Zamiana *ó* na *u*, mówi on, jest własnością naszego języka, stanowiącą niepospolitą jego zaletę, byleby tylko nie tam używana, gdzie czyste, czyli otwarte *o* nie obraża naszego ucha, i nie jest jeszcze nawyknienu przeciwne.” Nie możemy się domyślić o jakiej tu mowa zamianie, i nie znajdujemy wzmianki o takiej w całym tym paragrafie o *ó* i *u*. P. Koncewicz źle mówi *porę* od *próc* (str. 69), bo mówimy *porzę*. P. Koncewicz nie

(*) W przypisku na str. 52, mówi p. Koncewicz, że w dziełku Baltazara Opecia, *Życie Jezusa Chrystusa*, zamiast *ratusz*, jest wyraz Polski *wietnica*, mający powinowactwo z Polskiem *wicc*, które to samo co *rada* znaczy.

przyjmuje ani takiój pisowni *szyji, stoi, krajina*, ani takiój: *Azja, Kurjer, passja*. Co do pierwszego, słusznie mówi, że brzmienie *j* z *i*, w jeden się ton zlewa, który dostatecznie samo *i* wyraża. Pisać *Julia, Marya, komedia, Azya*, nie jestto pisać *zgodnie z pisownią języków, z których te wyrazy pochodzą* (lubo tak p. Koncewicz utrzymuje); lecz *zgodnie z naturą tych wyrazów, jaką one mają w językach z których pochodzą*: i prawda, że w *Azja, Kurjer, passja* zachodziłoby mylne użycie głoski *j* i złe wymawianie; rzeczą jednak zastanowienia jest godną, czy tu mniejsze złe nie znosiłoby większego?

Przeszedłszy tym sposobem spółgłoskę ze spółgłoską, i samogłoskę z samogłoską, takie zawsze, z których pierwsza za drugą lub nawzajem, przez złe piszących używaną bywa, poświęca p. Koncewicz oddzielny paragraf na uwagi o *podwajaniu głosek w wyrazach*. Na str. 86 byłby najkrócej powiedział, że w tych przymiotnikach *czynny, senny, winny*, dlatego muszą być dwa *n*, iż jedno należy do wyrazu od którego pochodzą, drugie do zakończenia *ny*. Dlatego w *pszenny* nie piszemy bynajmniej dwa *n* dla zwyczaju, lub dla *dobitości*, jak p. Koncewicz rozumie, tylko że pierwsze jego *n* jest w wyrazie *pszenica*: a *szklanny*, jak p. Koncewicz napisał, jest pisownia zupełnie bezzasadna i tylko przez takich używana, którzy nie czują, że jest złe *drewnianny, welnianny* i *bially*. Co innego jest z wyrazem *piśmienny*. Ten przymiotnik utworzony późno, winien życie któremuś z nowszych mistrzów, którzy w tworzeniu wyrazów, nie zasad lecz analogii się trzymają; ztąd przyjmując nie *pisemny* tylko *piśmienny*; w tém ostatniém dlatego jedynie kładziemy dwa *n*, że one są w *imienny*. Na str. 87 powiada p. Koncewicz, że piszemy *Opeln* i *korespondent*. Nam się nigdy nie zdarzyło tego widzieć, prócz w omyłkach drukarskich. Szczególniejsze p. Koncewicz na téjże stronnicy prawo stanowi: „W nazwach ludzi i miejsc (powiada): np. *Pyrrus, Werres, Tarra-gona, Arras* i t. p., mogą pisać dwa *r*, którzy pochodzenie tych wyrazów znają”!! Dążenie p. Koncewicza do tego, ażebyśmy znieśli podwajanie spółgłosek w wyrazach spolszczo-

nych, nie jest bez słuszności; dopóki to wszakże będzie należało *ad pia desideria*, żadną miarą nie możemy wyłamywać się z pod prawa wymawiania. Dobrze więc co do *interes, proces, Prusy, prasa*; ależ *kasa, klasa, masa!*

Mniejsza wszakże o jedną literkę, którąby trzeba opuścić, dodać, zmienić. To są rzeczy mniej pilne, które zresztą muszą się z czasem i ustalić. Rzecz nierównie ważniejsza uprzątnąć się jak najprędzej z tém, co dotychczas wątpliwe i zostawione pisarzom do ich fantazyi, ciągle przypomina albo pierwotną nieudolność języka, albo jego niesforność epoki późniejszej. Mówię tu o wlekącym się dotychczas nieładzie w pisowni wyrazów najczęściej powtarzających się w mowie: mówię o grzechach nie przeciwko uchu, nie przeciwko oku, lecz przeciwko myśli! Pisać, jak dotąd piszą i w najpoważniejszych dziełach drukują: *w krótcie, w tedy, w kolo, z po nad*, nie jestżeto czynić język niezdatnym dla autorów myślących, niezdatnym do wyrażania się w przedmiotach ważnych i ścisłych, a niepojętym dla cudzoziemca? P. Koncewicz, idąc za innemi grammatykami, wypisuje wprawdzie (str. 90, 91) szereg tak nazwanych wyrażań przysłówkowych, (sąto prawdziwe przysłówki) (*), i każe je pisać złącznie; ależ kiedy piszę *między, pomiędzy*, dlaczegoż pisać mam *z pomiędzy*? Gdy piszę *wśród*, pocóż rozprzegać mam *w pośród*? Kiedy jest *blisko, daleko, osobno dawno*, pocóż się ma plątać w oczach to *z bliska, z daleka, z osobna, z dawna*, kiedy to są *zbliska, zdaleka* i t. d. téj zupełnie natury, co łacińskie *dehinc, abhinc, perinde, protinus, exin* i t. p.? A gorsze jeszcze te składane przyimki *z nad, po nad, z po nad* wyrazy tak porozrywane, jak złego gospodarza powrozy, których p. Koncewicz (str. 91) bynajmniej

(*) Nie należy do nich *tak jest*, względem którego sam p. Koncewicz nie jest zgodny, bo na str. 90, idąc za Muczkowskim, każe pisać razem *takjest*, a znowu na 91 zosobna *tak jest*. To potwierdzające w języku naszym wyrażenie *tak jest*, czy wymówimy jako *tak jest*, czy jako *takjest*, myśl zawsze będzie ta sama i niewątpliwa: a ktoby chciał uznać je za wyraz jeden, to chyba bezwzględnie dlatego, że Francuz ma *oui*, Niemiec *ja*, i niezważając, że na to *oui, ja*, dosyć jest Polskiego *tak* (Łac. *ita*).

związywać nie myśli. Nie tu jest miejsce na rozszerzanie się z uwagami naszymi w tój mierze. Jednę tylko uczynimy, tycającą się ostatniego p. Koncewicza przykładu na str. 91, tego *ktokolwiek bądź*. Wyraz *bądź*, jest dla myśli prostém skróceniem tego *niech będzie*; jestto zatem słowo (verbum), jest wyraz oddzielny, sam w sobie znaczenie mający, i w żadnym przypadku nie łączy się z poprzednim. Ale *kto bądź* (*niech będzie kto*), znaczy tyleż co *ktokolwiek*; z kąd wynika, że te tak nierozmyślnie przez pisarzy naszych używane zbiegi *ktokolwiek bądź*, *jakikolwiek bądź* i t. p., są po większej części wyrażeniami nielogicznymi, szpetnymi pleonazmami, jak owe *jedynie tylko*, *gdzie i jedynie i tylko*, to samo znaczenie mając, tak potrzebnie padają na jedno miejsce, jak guzik z haftką. Myśl, główna i jedyna przewodniczka w umysłowych działaniach naszych, co innego znajduje w *jakikolwiek*, co innego w *jakikolwiek bądź*.

Jakikolwiek los mnie spotka, nie zapomnę o tobie. Czy potrzebne w tym przykładzie bądź?

Wszelki los zniosę, jakikolwiek bądź. Czy można w tym przykładzie odrzucić bądź?

Otoż pierwszy obowiązek grammatyka, dążyć o ile możność, do ułatwienia jezykowi ruchu za myślą, której ruch jest niezrównany. Ale wracamy do traktatu pana Koncewicza o pisowni. Ażeby w nim cechę zupełności zachować, autor mówi jeszcze w paragrafie przedostatnim o używaniu wielkich głosek na początku wyrazów, i w ostatnim o znakach piśmiennych. Wiadomo, jak oszczędność w użyciu liter wielkich, sprzyja piękności druku; z drugiej strony wiadomo, jak byliby radzi młodzi pismacy, każdy niemal wyraz w wielką literę ustroić. To więc okazuje, że potrzebna jest surowość prawa w tój mierze. Nie zgodzimy się z p. Koncewiczem, ażeby w znanym wierszu: *Gończe złotego słońca, różana jutrzeńko*, należało *słońce* i *jutrzeńkę* wielkimi czcić literami. Pana Koncewicza prawo o pisaniu liter wielkich, jest zbyt pobłażającym. Te ostatnie jego wyrazy: „i w głównych przedmiotach, o których się pisze” otwierają drogę bezprawiom, których wszakże sam nie daje z siebie przykładu, kiedy pi-

sząc głównie o pisowni, nie zaczyna tego wyrazu od P wielkiego tam, gdzie w ciągu mowy użyć mu go wypadło.

W tyłu jedynie szczegółach znaleźliśmy Prawidła p. Koncewicza niezgodnemi z naturą lub potrzebą języka naszego. Wszakże *non ego paucis offender*. Ta książeczka jest o stu stronicach, i bardzo umiejętnie oswaja ucznia z powszechniej przyjętymi prawidłami pisowni Polskiej. Jestto więc dar niemaliej ważności dla młodzieży naszej: nowa zasługa poświęconego dobru jój pedagoga.

Chirurgia weterynaryjna praktyczna, czyli wykład sposobów wykonywania pospolitszych operacyj na zwierzętach domowych, do użytku lekarzy weterynaryjnych i gospodarzy, przez Edwarda Ostrowskiego, dyrektora szkoły weterynaryi w Warszawie, profesora weterynaryi w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie i t. d. Warszawa, w druk. Stanisł. Strąbskiego, 1844, 8vo str. 217.

Miłyto widok, kiedy szacowne drzewo literatury krajowej, równie pięknie i równie bogato we wszystkich rozrasta się gałęziach. Czuł zapewne ten powab szanowny autor dopióro przytoczonego dzieła, a wypracowawszy je z taką dokładnością pod względem przedmiotu, całą siłą się starał o jego dokładność pod względem języka, a nawet pod względem wydania. Z rozkoszą przyjmujemy w grono uczonych naszych, tak sumiennego pisarza. „Przeznaczając, mówi on w przedmowie, dzieło to do użytku tak weterynarzy, jako też i gospodarzy wiejskich, starałem się ile możności dla wszystkich uczynić je przystępném, i dlatego częsta rozwlekłość, lub zbyteczne tu i owdzie rozdrobnienie rzeczy, jakie się pewno nieraz w ciągu tego dzieła napotkać może, było prawie nie do uniknienia; chęć bowiem wyrażenia się ze wszelką ścisłością, chęć wyrozumowania i objaśnienia nie-

których okoliczności, o jakich, pisząc dla samych tylko weterynarzy, wzmianki by nawet robić nie było potrzeba, tak dalece wpływały często na chropawość szczególnie opisywanych przedmiotów, że się przy największym nawet baczeniu, uchronić od tego było niepodobna." Tak skromne wyznanie nowo na literacki horyzont występującego pisarza, ożywia w nas upadającą częstokroć nadzieję, że i więcej za czasem przybywać będzie zielonych listków drzewu naszemu, które zepchną z niego te zrobaczące lub zżółkłe: te nieporządne broszury, powypieszane wprawdzie na jarmark wełniany, ale zato niewyprobowane, niewyporządkowane, nieodniemczone, zawsze przecież z wyraźnym na tytule zawarowaniem, że są dla użytku gospodarzy wiejskich. Dzieło p. Ostrowskiego nowym jest dowodem, że nie żądamy rzeczy niepodobnej, gdy chcemy, ażeby autor i przedmiotu swojego, i języka był panem. Jakoż, nic nie mamy ani przeciwko sposobowi, jakim dyrektor szkoły weterynaryjnej i profesor tego przedmiotu, wykładając w swém dziele weterynaryjną chirurgię, ani przeciwko układowi w témże dziele, które zupełną przedstawia całość w przyjętym zakresie. Po dosyć obszernym *wstępie* (str. 15), w którym uczy ogólnego przy wszystkich operacjach postępowania, same operacje dzieli na *proste*, jakoto puszczanie krwi, nacięcie ciała, dawanie zawłok, tamowanie krwotoków, szczepienie jądów zwierzęcych (*), zadawanie lekarstw i t. p., co

(*) Na str. 85 umieszcza p. Ostrowski ciekawy dodatek: *o szczepieniu ospy ludzkiej naturalnej krowom, w celu otrzymania limfy odrodzonej do szczepienia ludziom*," a w przypisku na str. 92 mówi, że „Szczepienie ospy ludzkiej krowie w Zegrzu, w r. 1838, i w Czerniakowie trzem krowom w r. 1843, wydało najpożądańszą materią do użytku lekarskiego." Na str. 75, tak mówi *o szczepieniu zarazy bydła*: „Szczepienie jadu powietrza bydłowego czyli księgosuszu, odbywać się może w następujących przypadkach: jeżeli zaraza wprowadzona do kraju stała się już powszechną, lub przynajmniej zajęła całe okręgi lub okolice, tak, iż wszystkie wokoło leżące miejsca, od niej nie są wolne, i tém samém nie ma obawy jej przeniesienia do gmin sąsiednich; jeżeli charakter choroby złośliwy i śmiertelność jest zbyt wielka; jeżeli nakoniec długie trwanie

stanowi pierwszą część jego dzieła. Część druga obejmuje *złożone* operacye, i to wykonywane na głowie, jak trepanacye i wyjmowanie zepsutych zębów; na tułowiu, jak użycie trokaru, kateteru, anglizowanie i t. d. na nogach, jak w wielu chorobach nóg i kopyt. Nie poświęcił autor osobnego rozdziału narzędziom, lecz opisuje każde przy operacyi, do jakiej ono się używa. Z tego powodu, nie ma przy jego dziele wizerunków narzędzi. Zamiast tego (jak mówi sam na końcu przedmowy), udzielił szczegółowej informacyi panu Mann, fabrykantowi narzędzi chirurgicznych w Warszawie, aby „tym sposobem pewniejszy cel, życzący korzystać z jego dzieła, łatwiej osiągnąć mogli.” Co do nazwań technicznych, pan Ostrowski wiele ma Polskich. Wiele zatrzymał cudzych, lubo dzielilibyśmy z nim przyjemność, mogąc się obywać bez tych niemiłych pożyczek. Narzędziami jego są: puszcza-dło, żegadło, szczypczyki (pensety), trójgraniec (trokar) i t. d., a nawet tyle innych, zawłoka (fontanella), przewiązka (ligatura), nacięcie (skaryfikacya), otok (absces) i t. d., Polskich przyjmuje wyrazów. Czemuż jednak przerażają nas jeszcze w języku jego *pessarye*, *bistury*, *skalple*, *syfony* (wtęchy), *trepany* i wiele innych straszliwych? Jeśli w ostatku nie możemy obejść się bez nich, to starajmyż się przynajmniej tych cudzoziemców z naszymi krajowymi prawami oswajać tak śmiało i zręcznie, jak p. Ostrowski czyni z *turnikietem* (*); a o ile możności wydzwigać się z tego niemowlęctwa żydów naszych, kierującego koniecznie język na *fischbeinu*, mający wymówić *fiszbinu*; naszych gallomanów, sądzących, że więcej im chwały przyniesie *troakar*, niżeli powszechnie przyjęty trokar. Nie należało upowszechniać i tych nie pra-

choroby, przez użycie wielkiej do bydła zgromadzonego usługi, znaczny uszczerbek w gospodarstwie przynosi. Przy wspomnianych więc okolicznościach, do szczepienia jadu powietrza bydłowego śmiało uciekać się można; aby tym sposobem wszystkie, na pozór jeszcze zdrowe, lub podejrzane sztuki w trzodzie, zarazę jednocześnie przebyły, i prędsze oddalenie nieszczęścia, z mniej lub więcej pomyslnym odbyło się skutkiem.”

(*) Lubo jest *zylócisk* w Akiurgii Nowickiego.

wego składu wyrazów: *anglezacya* (lepiej już *anglizowanie*), *kurtyzacya* (kurtyzowanie) i t. p. Wszystko dotyka, wszystko uraża w tak pięknym dziele jak p. Ostrowskiego *Chirurgia weterynaryjna*, w której nawet pisownia nasza do tego stopnia strzeżoną była, iż przeciwko jednemu tylko użyciu dwóch *n* w pewnych przymiotnikach, oświadczyć się musimy. Wszędzie bowiem czytamy *blaszanny*, *drewnianny*, *welnianny*, *lnianny*, *skórzanny*, *podeszwianny*.

ROZMAITOŚCI.

Dramata starożytne z muzyką nowożytną.

Wielkie są skarby jakie nam starożytność zostawiła, a jakkolwiek téj puścizny częśćkę obejrzyć zechcemy, prawie wszędzie mistrze i wzory. Ale czas w martwe ujął je objęcia; skamieniały wzory, i mistrze kamiennymi w nasze życie patrzą oczyma; to bowiem, którym drgał świat ówczesny, uleciało nazawsze. I już dzisiaj starożytność jest dla nas urną pełną resztek, ułomków i popiołów, z których uczony usiłuje dopatrzeć dawniej całości i dawny żywot pochwycić. Może mu się to i uda poniekąd, ale korzyść dla niego samego tylko pozostanie, bo nigdy nie zdoła tak wskrzesić ubiegłych czasów, by one dla powszechności dzisiejszej jasne być mogły, i współczucie w niej znalazły; ono bowiem nie do tego co było, ale co jest silnie przywiązać się może. Spójrzmy na jakąkolwiek historyi starożytnej kartkę, a ujrzymy oblicza czerstwym niegdyś płonące rumieńcem; dziś wybladłe widma przesuwające się dla badawczego nauki wzroku. Opowiadają one nam swoje życie i czyny, ale jak każde opowiedzenie, tak i to koniecznie mniej dobitny obraz działania przedstawia, niż działanie samo; bo nie zdoła przywrócić okoliczności, co mu były podniętą i za oprawę służyły; lubo przypomnieć je może albo domyślać się pozwala. Gdy przypadek odkrył kwitnące niegdyś miasta, popiołem wulkanu w wielkie zamienione grobowce, tłumy uczonych

szperaczy rzuciły się na pozostałe dawniej cywilizacji szczątki. Widziały z nich szeroko kiedyś rozgałęzione życie, ale serce co je budziło, oddawna zastygło, i żadna sztuka dawnych jego uderzeń obliczyć nie zdoła. Badania na domysłach oparte, nie zrodziły pewności, a przecież i połowa prawdy do błędu wliczoną być musi. A gdy wątpliwość bliższe nam czasy odkrywa, cóż się o odleglejszych z pewnością da wyrzec?

Gdyby cudem jakim odżył dla nas świat starożytny, taki jak przed dwudziestoma kilku istniał w Grecji wiekami, i naszych czasów wychowanec, znalazł się nagle między obywateli ówczesnych przeniesiony, jakimże patrzyłby okiem na ich obrzędy religijne, obyczaje, zabawy i zwyczaje towarzyskie? Zapewne nie inaczej, jak Ateńczyk z czasów Peryklesa w nowego życia odmęt wtrącony. Jeden i drugi, nazwałby snem to, co rzeczywiście istniało i istnieje, bo tamci ludzie i tamte zwyczaje, minęły dla nas niepowrotnie, a to co dzisiaj ma miejsce, pełne jest sprzeczności z dawniejszym rzeczy porządkiem. A jednak nie tak dawneto czasy, gdy uczeni wszelkiego rodzaju, a szczególnie też poeci, dawniej także koniecznie uczeni, prawie wyłącznie w starożytności zbawienia dla siebie i swój sztuki szukali, a co nie Greckie lub Rzymskie, szczytnem i poetycznym być nie mogło. Najwięcej jednak pod tym względem pisarze dramatyczni, mianowicie tragicy, zawinili. Czas, naród, miejsce, i tysiące drobnych okoliczności, składają się na życie ludzkie, którego dramat jakiegokolwiek nazwiska ma być obrazem, a obrazem łatwo pojętym, od tych, co go ogłaszać mają, by się w nim, jak w zwierciadle przejrzeć mogli. Więc czasy odległe, narody przepadłe, i życie z którego już nic nie pozostało, kłamstwem się dla życia dzisiejszego zdają; a jeśli niewiernie są przedstawiane, kłamstwem są dla siebie samych. Prawda ta, już powszechnie zdaje się być dzisiaj uznana; życie współczesne, albo do nowój należące historii, prawie wyłącznie scenę owładło, a dawniejsze nigdy już podobno na nią nie wróci. Stało się ono dębem, co przez wieki zielony, ze starości usechł nareszcie; a jeśli z dzielnego niegdyś korzenia, zielona jeszcze wybiegnie gałązka, to niepodsyciona

współczuciem trafniej myślącej dzisiaj społeczności, uwiędnąć musi; chyba że ją nieco dłużej przy życiu zatrzyma, jeden z dzisiejszego towarzystwa żywiołów, jak to z Lukrecyą Ponsarda ma miejsce.

Takie nasuwają się uwagi z powodu probowanego tu i owdzie w Europie przywrócenia na scenę starożytnych tragedyj Greckich. Nie samo zamilowanie w starożytności przywołało je na nią, ale raczej muzyka, co równym jak za czasów Orfeusza cudem, wywiodła Sofoklesa z państwa cieniów. Głośny w świecie muzycznym kompozytor Niemiecki Felix Mendelsohn Bartholdy, zastosował muzykę do Antygony; a że zapewne Eurypides i Arystofanes zazdrosnym na tryumf brata patrzyli okiem, znaleźli się inni jak Taubert i Commer, by Medeę wskrzesić i Żaby rozbudzić. Sława Mendelsohna, po większej części bezwzględna jego muzyki wartość, pierwszeństwo pomysłu, a może i ciekawość dziwactwem takiego wyboru podniecona, rozniosły Antygonę po całej niemal Europie. Niewszędzie i niezawsze jednak przedstawiano ją na scenie, ale ograniczono się do salonu, nielicznego chóru męskiego, prowadzonego za pomocą fortepianu, przez znającego się na rzeczach starożytnych muzyka, i zdolnego deklamatora. To wszystko dostatecznym jest do poznania muzyki, o którą tu najwięcej chodzi. Trudności, jakie ona w podobnym jak Antygona dramacie spotyka, podzęgły współzawodnictwo i innych znakomitości muzycznych jak Berliozą i Meyerberą, którzy, jak dzienniki muzyczne głoszą, do takiej samej pracy talenta swoje zaprzęgli. Co już na tej drodze zrobiono lub da się zrobić, pokazuje muzyka do Antygony, którą mamy przed sobą, i baczność na naturę dramatu starożytnego, mało dla muzyki punktów spojenia dającego. W takim dramacie, największą grają rolę pojęcia oparte na wypadku i przeplatane bajkami mitologicznymi; dla uczuć prawie wcale miejsca tu nie ma, bo indywidualność pojedynczych osób mało się rozpościęra. Chór, główną dramatu takiego część stanowiący i dający mu formę, zajmuje się opowiadaniem wypadków, z których się dramat wywiązał, poważnymi sentencyami

moralności i filozoficznymi spostrzeżeniami, do których skąpe działanie i położenie osób pojedynczych, powód daje. To wszystko przechodzi zdolność muzycznego języka, nawet i chórem się tłómaczącego. Chór jest jedną z form muzycznych najwięcej głębokości mających; ale choć massa tonów imponujące czyni na słuchaczach wrażenie, i podobne temu jakie wzniosłość myśli zwyczajną mową odzianych, obudza, to przecież chór, jako złożony z tonów w kilka pojedynczych szeregów uszykowanych, czyli melodyj, nie może nic innego jak jedną melodyę przedstawiać, to jest uczucia i wrażenia, ale nie myśli i pojęcia. Z uczuciem wówczas to samo się dzieje co z przedmiotem, na który badawcza myśl kilku ludzi jest skierowana. Każdy właściwy sobie obiera zapatrywania się sposób, a gdy się wspólnie porozumieją, a myśli jednego, innych myśli objaśniają, to ich massa lepiej przedmiot ogarnie i w liczniejszych kierunkach go znurtuje.

Muzyka dramatu starożytnego, dwojaki cel mieć może: albo wniknąć w jego ducha i dobitnie go powtórzyć, czyli stać się starożytną, albo téż dawne dzieje nowożytnymi oddać sposobami. W pierwszym przypadku, gdyby zamiaru swego dopiąć mogła, byłaby równie jak i dramat mało zrozumiałą, jako przedstawiająca rzecz, prawie nic z dzisiejszym rzeczy stanem niemającą wspólnego. Ale już i to dla muzyki jest niepodobieństwem; niezdolała ona bowiem starożytności plastycznie przedstawić, czyli pochwycić chwilę historyczną. Historia jest opisaniem czynów, ale przede wszystkim ich zbiorem, którego szczegóły tylko konwencyonalna muzyka określićby mogła; wtenczas jednak przestałaby być sztuką. Może wprawdzie muzyka czyny malować, ale tylko w ich obecności, jak to na teatrach naszych się dzieje, i to pozornie tylko; przedstawia ona raczej uczucia z czynów płynące, albo dające powód do nich. Dla pozyskania sobie starożytności cechy, nie może muzyka cofać się, a raczej zniżyć do dawnego swego stanu, od którego ją tyle wieków przedziela; byłoby to dzieciństwem i ubliżeniem sztuce, w której smak estetyczny z najwyższej jój doskonałości i ró-

źnie historycznie wykazanych, powstaje. Krok taki ku jej początkom niepodobieństwem jest nawet; wprawdzie niegdyś u Greków, muzyka do chórów, jeśli nie do całych dramatów używaną była. Tak mało jednak praktyka ówczesna nam jest znaną, mimo mnóstwa teoretycznych pamiątek, że nie zdołamy jej naśladować. Wreszcie, służyła ona prawie wyłącznie do odznaczenia akcentu mowy Greckiej, a środki muzyczne u starożytnych, podobno większej pomocy dla poezji przynieść nie mogły. O powtórzeniu dawną muzyką jej charakteru, zaledwie mówić można; a jeśli to ile tyle miało miejsce, to niezawodnie z daleko mniejszą dokładnością, niż z pomocą używanych dzisiaj sposobów. Nie mógł więc Mendelsohn przestać na tém, coby się na podobieństwo starożytnej muzyki zrobić dało, tym bardziej, że i sami Grecy nie byliby dzisiejszych środków zaniechali, gdyby one im znane były. Z ich użyciem, muzyka koniecznie nowożytną być musi, i w niczém starożytnego świata przypomnieć nie zdoła. Jeśli sobie taki cel założyła, chybić go musiała, co też z muzyki do Antygony jasno się pokazuje. Widać z niej tylko gonienie autora za czémś niewyznaczalnem, co ją nieraz dziwaczącą i niesmaczną czyni, mimo wielu rzeczywistych piękności. Tak tedy powiedzić można, że wyborem kompozytora takiego przedmiotu do muzyki, kierował kaprys naganny, ubieganie się za nowością, albo słuszne uwielbienie dla Sofoklesa, co przecież dostatecznym usprawiedliwieniem artysty być nie może. A jeżeli sam dramat nie jest zdolny pokazać się na scenie dzisiejszej, to i muzyka niezdolna zamkniętych w niej myśli powtórzyć; ogólnym charakterem, powagi na przykład, brak charakteru szczegółowego pokryć musi; w takim jednak przypadku, do nazwy muzyki dramatycznej, prawa rościć nie może, ani przedstawienia scenicznego wspierać.

Muzyka do Antygony, składa się najprzód z introdukcji, miejsce uwertury zastępującej. Po uroczystym acz skromnym wstępie, występuje temat łagodny i tęskny, a po nim wkrótce namiętne allegro w pośpiesznym ruchu i najwięcej

nierównym rytmie, co nadaje muzyce gwałtowność, podniesioną jeszcze częstym zmienianiem się *piano i forte* i nie-mniej częstym przyciskiem pojedynczych tonów (*sforzando*). Dalej następują chóry, niekiedy krótkim i nieraz oryginalnym *recitativo* przecinane. Najlepszy pod względem muzycznym jest Hymn do Bachusa, najpiękniejszy chór opiewający potęgę Eros (miłości), któremu wszystko, niewyłączając i bogów, ulega. Wystąpienie Antygony i Kreona, jedynych osób indywidualność mających, wybornie przedstawione jest sposobem melodramatycznym, to jest deklamacya wierszy miarowych (w Niemieckim tłumaczeniu Donnera), podniesiona jest przygrywająca jój muzyką, albo pojedyncze przegradzającą myśli. Solo raz tylko ma miejsce; zrobione jest dla basu i przeplatane chórem, który także raz tylko bez przygrywki występuje, i jest ten sam który władzę miłości rozważa. Obszerniejszy i bardziej drobiazgowy rozbiór, byłby tutaj zbyt cenny. Znaną jest powszechnie wielka Mendelsohna nauka i zdolność do kompozycyi, co się téż i z dzieła w mowie będącego pokazuje. Co pod względem muzycznym z dramatu Sofoklesa zrobić można było, zrobionem zostało. Kompozycya bez względu na przedmiot, ma wielkie zalety; niektórzy nawet filologowie Niemiec, wykonaniu jój w Cassel przytomni, dopatrzyli w niej ducha, jaki antykom jest właściwy; nam jednak natchnienie muzyczne *à l'antique*, nadzwyczaj problematyczne się zdaje. Zamiłowanie w starożytności płodach, i ślepa w zdolności kompozytora wiara, w Niemczech powszechna, mogły wyobraźnię zapalić. Wykonanie dramatu w języku Greckim, jak to w Gimnazyum Berlińskim miało miejsce, gdyby jeszcze podniesione zostało stosownym kostiumem i przyborem scenicznym na znajomości starożytności opartym, ułudę do najwyższego stopnia posunąć może; ale to tylko dla znawców, podług nas koniecznie przypuszczeniami swą znajomość rzeczy łątających. Ale takie wszystkie przyprawy, tym bardziej małą wartość muzykiby pokazały, im więcej ona ich potrzebuje i zyskuje na nich.

Czeladka (*),

powieść historyczna.

Miasto Biała, własność niegdyś Radziwiłłów rodziny, było około roku 1614, siedzibą Mikołaja Radziwiłła wojewody Wileńskiego.

Na wzgórzu, okoloném głęboką fosą, wznosił się stary zamek, zbrudzony pleśnią wieków.... Niejedno on już przetrwał lato, pod jego okiem liczne przeminęły pokolenia, on karbował mnogie wieków godziny, i szeptał przyszłości o dawnych czasach gawędę.... Stary zamek, stary pan, stare jego rodzinne miano, i starsza jeszcze duma, drzymały razem na ręku stariej przeszłości. Jednak gościńcem do Białej, zawsze jak na kiermasz sunęły liczne kolasy, na podwórzach gwaro, tłumnie, w komnatach gości hukiem, i to nie w święto, nie w niedzielę, ale jak dzień Boży zaświta, tak tam zawsze szumu i wrzawy bez miary.... Czy dzieją się jakie tajemne zmowy.... czy co?.... Ale wojewoda stary, ni do rady, ni do szabli, a ci co tam wciąż goszczą, to mało który strojny sarmackim wąsem.... wszystko fircyki.... młodzieńce.... musi jakieś oczko ich wabić.... pewnieto oczko panny Joanny córki pana wojewody. Krasna téżto dziewczeczka, młoda jak pierwiosnek, weselutka jak dziecię, a kiedy różane usta umilą się uśmiechem, kiedy zpod czarnej brwi figlarne błysną oczka, to młodzieńcze serce mało nie wydrze się z piersi, to młodzieńcze uczucia zakipią warem miłości; a ona jak leśna ptaszka, tuli się do łona ukochanego ojca; ona jego jedynaczka, pociecha, i nadzieja, nie myśli o inném szczęściu, i żyje tylko dla niego. Stary wojewoda, widno, kołysze dumne zamiary, bo ile razy do Białej nowy gość się pojawi, to wojewoda zajrzy do herbarza, pokręci głową, obojętnie go powita, i w końcu nieznacznie

(*) Czeladka naczelnik konfederatów, którzy w roku 1614 pustoszyli Polskę i Litwę. Osnowę téj powieści czerpałem z listu obywateli Nowogrodzkich do konfederatów. Oryginalny ten rękopism, pochodzący ze składów Biblioteki Rożańskiej, podpisali obywatele Nowogrodzcy: Jan Kiersnowski sędzia grodzki Słonimski, i Eustachy Litawor Chreptowicz podkomorzy Mścislowski.

poszepnie mu do ucha: „Dom mój otwarty, gościowi chleba użyczę, ale od zalotów wara!”.... Biędny młodzieniec, raz jeszcze popatrzy na czarne oczko, i ucieka z Białej jak z zapowietrzonego grodu, a spojrzenie czarnobrewki wszczepi się w jego pamięć i jak szponami sokoła rozporze jego serce.... tak głęboko, aż dręczące cierpienia ztérają młodzieńczą siłę i pozrą rozdrażnione uczucia.

Pan wojewoda bogaty, dworzan służebnych mnóstwo, ale żaden z nich nie ma takiego kredytu jak pan Jacek z Łukawicy. Bo téżto rzeński młodzieniec; kto na turnieju odniesie zwycięstwo, kto gładko rej w tańcu zawiedzie, kto jelenia w kniei wytropi, pewnie pan Jacek, a wszystko zwinnie i zręcznie.... to téż wojewoda go lubi, dworzanie słuchają, a słudzy jak ognia się boją.... On nigdy nie zna co to smutek; zawsze czepko, żwawo, wesoło, tylko kiedy panna Joanna zejdzie do bawialnej komnaty, to pan Jacek często zapomina języka i wciąż na nią patrzy i patrzy; a kiedy panna Joanna ładnymi oczkami odpowie jego spojrzeniu, to serce młotem zastuka, to krew zaszumi warem. Żli ludzie źle o tém gwarzają; ale to próżne baśnie: pan Jacek szlachcic na zagrodzie, a ona dziewczica książęcego rodu, pani rozległych imion. Pan Jacek zna wojewodę i jego dumne widoki; on wie, że nie dla poziomej trawy wysoka lilia rośnie, że śmiało zaloty mógłby okupić życiem. A jednak coraz jawniejsze są pozory, coraz głośniej szeptają ludzkie gwary: „pan Jacek kocha wojewodzanę, pan Jacek wysoko patrzy”; już i wojewoda z ukosa strzela spojrzeniem, już nie tak mile przyjmuje pana Jacka; nie musi to być bez ale....

Wiatr zachodni z parnym powiewem włókł za sobą czarne chmury, które szeroko rozłożyły się obozem; wieczór był ciemny, bo księżyc odział się w grubą szatę, gwiazdy schowały jasne oczka, tylko błyskawica cienkim sznurkiem rozdziérała łono chmury. W zamku ognie płoną, biesiada szumi, na podwórzach kolas pełno, w komnatach gości bez liku, a pana wojewody nie ma.... poszedł do swęj sypialni i kazał przywołać Jacka.... taki był gniówny, tak sier-

dzisto poglądał..... tak głośno krzyczał, jak już nie widziano oddawna..... Wszedł pan Jacek, ale coś tam straszego musiało się wydarzyć, bo szlachcic piorunem za drzwi wyskoczył..... Ręką ścisnął klingę szabli jakby ją chciał na kawałki zdruzgotać, a zpod nastrzępionój brwi, okropném strzelał spojrzeniem. Usta drgały bełkocąc pojedyncze wyrazy..... Ha!..... ja go nie zabił!..... ale on!..... ojciec Joanny!..... on!..... zemsta!..... zemsta!..... i leciał jak szalony ku bramie. Chmury coraz wyżej posuwały czarne czoła.... błyskawica wskazywała im drogę..... burza wisiała na ich ręku, a pioruny przegrywały marsz żałobny. W zamku biesiada się kończy, ognie gasną, goście śpieszą na spoczynek..... Szukają pana Jacka, ale napróżno szukają..... bo on już daleko..... w jego sercu straszniejsza ryczy burza, mocniejsze grzmia pioruny. Już on nie zobaczy czarnobrewki, a jeżeli kiedy zobaczy, to biada i jój i jemu!....

Nazajutrz znowu szukano, ale ni wieści ni słuchu.... tylko strażnik przy bramie, widział jak p. Jacek długo błądził nad rzeką, i zniknął w zasykach oczeretu. Upłynęły dnie, tygodnie, miesiące, a pana Jacka nie widać, ani postłuchu zachwycić..... Utonął jak kamień w wodzie.

W Litewskim monasterze zakonników świętego Bernarda, w zakrystyi, siedział ksiądz gwardyan, a przy nim kłęczął jakiś człowiek..... Na twarzy zakonnika widać było okropne przerażenie, usta drżały dławiając w piersi słowa. Bracie!.... bracie!.... szatan cię opętał..... upamiętaj się.... zła zamiary..... zła wola..... przyjmij moje napomnienia..... jam twój brat, kapłan!.... ty stoisz nad przepaścią..... a ja ci podaję rękę.... wybieraj?..., czyste i spokojne życie, albo wieczną zgubę i przekleństwo!— Ojczy!.... bracie!.... już inaczej nie będzie.... on mnie zhańbił, i gdyby nie to, że on ojciec Joanny!..... Ale drzyj bracie!..... ja już nie człowiek!..... tam w Białej zostawiłem człowieka, a tu jest tylko szatan!.... tu w mém sercu czuję piekło!.... Zakonnik wznosił oczy ku niebu, dwie łzy sznurkiem zciekły po jego twarzy, zciekły na głowę winowajcy, ale nie przemokły do jego serca, bo tam zamarły wszystkie uczucia oprócz zemsty. Kapłan

wstał, bolesne spojrzenie wlepił w twarz zbłąkanego człowieka, drżącą ręką zakreślił nad jego głową krzyż święty, i oddalił się powoli.

Biada!... srom!... Na Litwie od krańców sinego Dniepru, aż po kwieciste brzegi Niemna, od Bugu aż po Ukraińskie stepy, okropne mordy, pożogi... Co noc na cztery strony bożego świata czerwienieją ogniste łóny, gromady wilków zerują na spalonych zgliszczach, a wyją tak przeraźliwie, okropnie! W dzień słupią wysokie dymy, gromady drapieżnych ptaków w licznej czerni śpieszą na godowiska, a biędni ludzie uciekają w bory i lasy. Czyto horda Afrykańskiej dzicy bonuje po Litewskich obszarach?... czy Szwedzkie półki grabieżą?... Oj, to nie Tatarzy, nie Szwedy, ale zbrojne tłumy obmięrztych konfederatów, ogniem i mieczem plądrują własne dziedziny. Onito objuczeni łupieżą i przekleństwem, coraz dalej posuwają swoje zbrodnie. Przed niemi bogate grody, kłosiste łany, za niemi krew i gruzy, a na ich czele Czegladka!

Kto on był, z kąd przyszedł, nie wiadano, ale zbrojne gromady upojone szaloném jego okrucieństwem, obwołały go dowódcą... i on umiał im przewodzić; z zimną obojętnością, z wieczną głuchotą w sercu, z uśmiechem na spiekłych wargach, brodził w strumieniach krwi bratniej, a okrutną łupieżą odznaczał swoje ślady.

Czarna noc, rozwiesiła opony, ale na niebie nie czarno... łóna krwią zfarbowała sklepienie... Za rzeką palą się liczne sioła, wiatr zachodni płatami iskry ciska, płomienie słupią pod obłoki; przez drzwi, okna niedopalonych budynków, wylatują buchające pochodnie; w dali jak ogniki nocne majaczeją mnogie światełka, to ostatnie świadki pożaru; gromady psów wyją przeraźliwym jękiem, to jak najemne płaczki żałobne zawiodą tony, to zmieszany hargotem drażnią rozgłos niedoli... Nad rzeką tu i owdzie rozłożone mnogie ogniska, przy nich gromadnie snują się czarni ludzie, tylko twarze ich opłomienione łóną, czerwienieją piekielnym blaskiem; zpod strzępiastej brwi wygląda srogie spojrzenie, a na szérokiem czole siedzi zwiędła dzikość!... Hałas, wrza-

wa, pijane tłumy wrzaskliwym gwarem urągają okolnej świata żalobie, a krzyczą tak okropnie, a piją tak niezmiernie, bo obchodzą biesiadę na cześć swego dowódcy. Pod płóciennym szałasem siedzi na ziemi Czeladka; nie jé, nie pije, tylko дума, jakaś troska skarbowiała dumne czoło, ścisnęła myśli: może żałuje popełnionych okrucieństw.... może w czarném jego sumieniu, czarniejsze jawią się mary, może żał mu pięknej włości Simina (*), biędnej wdowy, krasnych buziaczków jéj córek; może one stanęły przed oczyma jego duszy, i grożą wieczną karą.... wyciągają ładne rączki, i szarpia zbrodnicze jego serce.... może.... ale nie.... Czeladka o tém nie myśli; u niego zbrodnie są codziennym pokarmem, on już przesiąkł krwią i łzami; ale w jego głowie zemsta układa nowe plany, zbroi nowe bezprawia!.. Wstał.... wyszedł przed namiot, porwał ogromny kubek, napełnił pojącym trunkiem i gromkim głosem zawołał: „Bracia, za wasze zdrowie!” Wszystkie głowy obnażyły się z czapek, wszystkie głosy zagrały jednym krzykiem.... Niech żyje nasz dowódca!.. niech żyje chwata Czeladka!.. On się nisko pokłonił, nalał drugi kubek, wypił do dna, krople zcedził na paznogieć.... Śmierć wojewodzie Wileńskiemu!.. „Bracia! idziemy do niego w gościnę, i nim wschód słońca trzy razy zajrzy nam w oczy, musimy już być w Białej!.. Rozumiécie mnie bracia?... tam na zwaliskach zamku wyprawię wam biesiadę!., tam pociekną wina strugi!.. tam poznacie zemstę Czeladki!... Bracia, idziemy do Białej!” Do Białej! krzyknęły mnogie tłumy, a ten krzyk długim rozgłosem leciał w przestrzenie powietrza... ach, czemuż nie zaleciał aż do uszu wojewody!... Młoda jutrzienka wyjrzała jasnym oczkiem i płynęła potokiem rannego światła. Na szerokiej równinie objuczone konie stały gotowe do pochodu... mnogie tłumy zbierały obozowe sprzęty. Czeladka wyjechał naprzód, wskazał ręką na zachód, spiął konia, i tęgim cwałem kopnął przez bujne trawy, a one schylały się przed nim, korzyły wysokie czoła, ale głuchym szme-

(* Simino, wioska zburzona do szczętu przez konfederatów. (Patrz list wyżej wzmiankowany).

rem szeptały wieczne przekleństwo. Zgraje konfederatów sunęły za nim bezładnie. Słońce zeszło, spojrzęło na dymiące zwaliska, na ślady okropnych mordów, i zakryło twarz jasną rąbką chmurnej żałoby; bystra rzeka zleniwiała wręczym biegu, a czarne ramiona osmalonych słupów groziły barbarzyńcom.

W Białej obchodzą imieniny wojewodzianki... stary zamek płonie rześistém światłem; w komnatach dziarska młodzież hula wesoło i ochoczo... poważne matrony siedzą rzędem patrząc na hoże tany, siwe starcy przy kielichach gwarzą o dawnych dziejach, nikt ani pomyśli o blizkiém niebezpieczeństwie. Aż tu na podwórzach zatętniły końskie kopyta, szczęk pałasy, huk wystrzałów, doleciały aż do komnat, i imię Czeladki powtórzyły wszystkie usta. Wojewoda nie stracił przytomności, porwał ze ściany klucze, a wzięwszy za rękę kochaną jedynaczkę i skinąwszy na obecnych, z pospiechem posunął w głąb zamku a za nim wszyscy; długo słyhać było przytłumione stąpania, skrzyp zardzewiałych ryglów, długo na podwórzach wrzała zacięta walka, bo poczciwi dworzanie do ostatniej kropli krwi bronili swojego pana... ale próżny opór... już ostatni ze straży skonał w objęciach morderców, już bramy wywalono, i pierwszy Czeladka zbłyszcującym mieczem wręku, z wściekłością na sromiej twarzy, wleciał wkomnaty zamku! Dziw! cud!.. stoją nakryte stoły, nietknięte wino wkielichach, na ogromnych misach, wybornym zapachem wonieją świeże potrawy, ale nigdzie ni śladu żywej duszy. Czeladka zły, gniew zapienił mu usta, białkiem wywrócił oczy, lata z komnaty do komnaty, a drapieżna drużyna połyka pyszne przybory, grabieży bogate sprzęty... aż tu strach boży!.. dokoła w okna zagładają kłębiaste dymy, łona płomieni niebiososa... trzask, wrzawa, Czeladka lata z pochodnią, podżega tlejące żarzewia... zamek gore dokoła, ale i teraz nie słyhać błagalnych głosów ani jęku boleści. Lud z miasta ucieka w czarne bory, a jaskrawa łona świeci szeroko i daleko.

Noc umykała powoli, biały dzień przecierał zaspane oczy, a na wysokim wzgórzu nie było już starego zamku, tylko

okopcone gruzy sterczały naokoło, i wiatr lecąc od wschodniej strony, pomiatał iskrzące pęki i pędził czarne dymy. Konfederaci rozłożyli się na błoniach, tylko Czeladka nie gościł razem z niemi; on jak zakłęte widmo tułał się po opalonych zgliszczach, zaglądał w osmolone otwory; czego szukał, różnie o tém gadano.

Małoruskim szlakiem ciągnęło jakieś wojsko, a tak śpiesznie; jeździec na białym koniu wiatrem leciał po przedzie. Strach porwał konfederatów; biegną do wodza, on coś zleniwiał... każe na koń siadać, a on jeszcze błądzi po gruzach... tymczasem wojsko tuż tuż za niemi, chcą uderzyć na prawo, aż tu od miasta sunie Polska konnica, i jeździec na białym koniu pierwszy na konfederatów uderza.... Biada!.. biada!... o ucieczce ani myśleć; konfederaci rzucają szable, i zdają się na łaskę zwycięzców, biały jeździec przegląda szyki, każe szukać Czeladki, a Czeladki nie ma w ich kole, on jeszcze błądzi po wzgórzu; skoczyło trzech pancernych, a za niemi i więcej, bo Czeladka bronił się z całej siły, widać chciał być zabity, ale biały jeździec nakazał, aby go żywcem przystawić, i stała się jego wola.

Wkrótce Małoruskim szlakiem,] odwrotnym pochodem ciągnęły mnogie wojska, zamek jeszcze buchał dymem, ale konfederatów już nie było. Przy schyłku dnia, ponad rzeką szli gromadą jacyś państwo, szli aż pod mury zamku, na czele poważny starzec. Wiatr rozwiéwa białe włosy i ściele je po ramionach, wiatr zapiéra oddech stłumiony ciężką boleścią. Przyszli na wzgórze, starzec klęknął na ziemi, wznioł oczy ku niebu i zanucił hymn dziękczynienia, a za nim wszyscy śpiewali jednym głosem, jedném uczuciem, i jedną wola! Koło starca klęczała czarnobrewka... jój różane lica zbladły, oczki zamgliło cierpienie, i była jak duch nieziemski modlący się za ludzi, jak biała lilia zwarzona skwaronym powiewem. Starzec powstał i uścisnął czarnobrewkę. „Ty mi zostajesz, Joasiu, tyś dla mnie wszystkiém”, i ojcowski pocałunek wycisnął na bladém czole dziewczicy.... i dwie ojcowskie łzy zsunęły się na jój lica. Przyjaciele, znajomi, pożegnali wojewodę, i śpieszyli w uściski swoich rodzin. Onito

bowiem w podziemiach zamku znaleźli ocalenie, a przez tajemne nad rzeką wyjścia, zanieśli wojskom królewskim wieść o strasliwym wypadku.

W Warszawie, na placu, gdzie teraz ulica Nałéwki, zgromadziły się tłumy ludu. Od zamkowej strony, na wozie, czarném suknem okrytym, wieziono winowajcę, a przy nim siedział ksiądz, zakonnik, smutny jak wiérzba nad mogiłą. Ojcze! bracie!... daj mi rozgrzeszenie... czas ucieka... chwila śmierci bliska!... Ach Ojcze! gdybym był ciebie usłuchał... gdybym!... ale on mnie zhańbił... a ona była taka piękna!... stało się... zgrzeszyłem, żałuję szczerze!... Bracie, pobłogosław mi... i zchylił głowę; zakonnik rzewnie płakał, wznosił rękę, i krzyż sty zakręślił nad jego głową. Przybyli na przeznaczone miejsce, winowajca stanął na rusztowaniu, błędném spojrzeniem zawiódł dokoła, i zawołał: „Stało się umieram!.. i zasłużyłem na to!... Bóg niech mi przebaczy, jak ja przebaczam Wileńskiemu wojewodzie, bo ja nie jestem Czeladka, ale Jacek z Łukawicy!”. Schylił głowę ku ziemi, czas przyszedł, miecz uderzył i Jacek z Łukawicy skończył występne życie.

W parę lat potém, Mikołaj Radziwiłł umarł, panna Joanna oddała rękę białemu jeźdźcowi, a tym jeźdźcem był Prokop Lubomirski regimentarz koronny.

Na Litwie długo pamiętano okropne spustoszenia, długo imię Czeladki powtarzały usta gminu poszeptem hańby i przekleństwa.

Maciej Baijer.

Dodatek do wiadomości o kopalni rudy miedzianej około Kielc.

W Bibliotece Warszawskiej, z marca r. b. znajdujący się ustęp o kopalniach miedzi w Królestwie, dobrze napisany, dowodzący gruntownej znajomości rzeczy, oparty na doświadczeniu, jest nader ważnym dla przyszłego rozwinięcia górnictwa krajowego, aby troskliwy rząd o tę gałąź przemysłu, nie zwrócił nań swój uwagi.

Będąc, w czasie objazdu zakładów górniczych przez księcia Lubeckiego, obecnym w Kielcach, rozprawom, które spowodowały zawieszenie robót kopalnianych w Miedzianej górze, podług układu wtedy istniejącego, arcy drogiego, a nie przynoszącego zamierzonych przez Dyrekcyą górniczą korzyści; winienem stwierdzić mniemanie p. Kossowskiego, że bynajmniej nie było zamiarem ówczesnego ministra skarbu, księcia Lubeckiego, zaniechać zupełnie te kopalnie, którym uczony ś. p. Becker, obeznany z pokładami kruszców kraju naszego, rokował świetną przyszłość; ale owszem, celem księcia Lubeckiego było, przyprowadzić kopalnie i wyrabianie miedzi na miarę wielką do stanu kwitnącego, nie prędzej jednak, aż po dokładném zbadaniu świdrami rozciągłości i kierunku itów szarych, w których powzięte od wieków doświadczenie przekonało, że rudy miedziane najbogatsze znajdują się.

Ogół wypadków, otrzymanych za działania b. Dyrekcyi górniczej w czasie kopania stolni Niewachlowskiej, pogłębienia szybu ś. Jana, założenia czwartego chodnika, oraz jakich z poszukiwań świdrowych w różnych kierunkach spodziewano się; miał dopiero stanowić zasadę, do ułożenia planu należycie rozważonego, otworzenia przyszłej wielkiej kopalni miedzianej; wykonaniu téj myśli zbawiennéj dla dobra ogółu, jak i wielu innych, zdarzenia r. 1830 przeszkodziły. W. Kossowski, przysłużył się więc rzeczy publicznej, odświeżając przedmiot tak ważny, który nastreczy przyzwolony sposób do życia kilkuset rodzinom górników krajowych, i wstrzyma wychód z kraju ubogiego znacznej gotowizny za granicę, z kąd teraz na konieczne swe potrzeby, miedź sprowadzać jest obowiązany.

K. L. Wolicki.

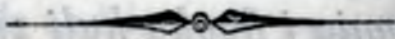
Zdanie Goeperta o pochodzeniu bursztynu.

W Niemieckim piśmie peryodyczném pod tyt. *Flora*, o postępie botaniki donoszącém, a które w Ratyzbonie już od wielu lat wychodzi, w nrze 1 na miesiąc styczeń z. r.

znajdują się na str. 38 uwagi Goepperta, o których wspominamy w przypisku 64 do naszej wiadomości o bursztynie, str. 87 i 88 tego zeszytu Biblioteki Warszawskiej. Nie jestto wszakże artykuł, jak mylnie byliśmy uwiadomieni, lecz tylko treść ustnej Goepperta rozmowy w przedmiocie bursztynu, na Zgromadzeniu naturalistów i lekarzy Niemieckich w Gracu r. 1843, gdzie d. 20 września, okazywał swój znakomity zbiór bursztynów z zawartemi w nich organicznemi i nieorganicznemi ciałami, przyczém obszernie mówił o rozmaitości kolorów, o kształcie i o pochodzeniu tego minerału. Między kolorami, wymienił zielony i niebieski: ten ostatni przytrafiający się nadewszystko w bursztynie Sycylijskim, a rzadko w Pruskim. Kształt bursztynu zawisł od wylania się z pnia; często składają go warstwy, które w małych nadewszystko kawałkach, spółośrodkowe bywają. Nader wysoko cenione są sztuki białawemi obłoczkowatościami zamglone (pewnie wśród mass przezroczystych). Powierzchnia niektórych sztuk bywa komórkowata, co może jest wyciskiem pnia roślin widłakowatych (*lycopodiaceae*); ale Goeppert dodaje uwagę, że białko odparowane, podobne temu ukształcenie przybiéra. Podczas rozmowy, pokazywał Goeppert kawałek bursztynu z zamkniętym kwiatostanem (kotkiem) podobnym do kwiatostanu terażniejszego świerka lub téż modrzewiu (ten sam o którym wspomnieliśmy na str. 87); inny z zamkniętymi listkami borówek (*Vaccinium*), inny z kwiatostanem dębu, ukształcenia wszakże jak u Amerykańskich raczej, nizeli jak u naszych gatunków. Pokazywany był prócz tego kawałek węgla (kopalnego) zupełnie bursztynem przejęty. Najważniejszymi jednak z okazywanych przedmiotami, były: niewyraźna część pnia starszego i inna młodszego, których ukształcenie tu i owdzie dąży promienisto ku gałązkom. Bursztyn różnie się wyłączał. Jeden kawałek gałęzi całkowicie napełniony jest bursztynem, co się w przerznięciu widzieć daje; na innych kora od drzewa odstała, a miejsce między nią a drzewem bursztyn wypełnił, lubo skutkiem oddzielnego rozlewu osiadł i na korze, niekiedy kroplami. Kora w zupełności

się dochowała; między nadrostami rocznymi, jest bursztyn, często wtedy na całym kawałku rozmaite kolory okazujący. Równie i na korze ukazuje się tak w kawałkach spółśrodkowych, jako i w pojedynczych warstwach, a nawet w kształcie tabliczek z wyciskami rocznych nadrostów. Z tego tedy Goeppert wnosi, iż drzewo jest iglaste, i nazywa je *Pinites succinifer*, obiecując wizerunek jego na 7 tablicy przy dziele, które wspólnie z Berendtem wydaje. Najważniejszą z tych wiadomości, których obecni na témże posiedzeniu naturaliści ustnie Goeppertowi udzielali, było zapewnienie dra Paulsen z Kopenhagi, że widział w królewskim muzeum Norweskim w Arendal, piękne szyszki w znacznych sztukach bursztynu.

A. Waga.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

Astronomia i fizyka kuli ziemskiej.

Zégarmistrz Angielski *Dent* w Londynie, przed dwoma laty wynalazł narzędzie prostego składu, służące do oznaczenia czasu i regulowania zegarów, a które nazwał *duplejdoskopem*. Zasada, na której się opiera budowa duplejdoskopu, jest prosta, a użycie jego łatwe. Głównymi częściami z których się to narzędzie składa, są: dwa zwierciadła płaskie i szkło przezroczyste, złożone w pryzmat nakształt kalejdoskopu w taki sposób, iż kąt nachylenia ścian przyległych tak zwierciadeł jako też i szkła, 60 stopni wynosi. Powierzchnie odbijające zwierciadeł, są wewnątrz obrócone. Promienie od ciała świecącego, np. od słońca, równoległe od jednego zwierciadła idące, gdy padają na powierzchnię szkła płaskiego, jedna ich część od niego się odbije, a druga przez szkło przechodząca trafiając na zwierciadło, od tego odbije się na ścianę drugiego zwierciadła, a następnie od tego znowu powtórnie, przez co utworzą się dwa obrazy słońca, których zetknięcie lub zakrycie uważać należy. Dla ocenie-

nia chwili południa, narzędzie tak się ustawia, ażeby płaszczyzna jednego zwierciadła, znajdowała się na kierunku południka astronomicznego, i żeby płaszczyzna szkła płaskiego, była równoległą do osi ziemskiej; po takim ustawieniu zwierciadeł, przed samém południem patrząc przez szkło płaskie, postrzeżemy dwa obrazy słońca odbite, które następnie zbliżać się będą coraz więcej do siebie, a w samo południe zupełnie się zakryją; chwila ta służyć będzie do porównania zegarów. Dokładniejsze ocenienie czasu osiągniemy, gdy zamiast zakrycia dwóch obrazów słońca, zetknięcia ich brzegów uważać będziemy, i środek dwóch zetknięć ocenimy: do zwyczajnego jednak użytku przy regulowaniu zegarów, dosyć jest uważać zakrycie dwóch obrazów. Zostawując narzędzie w tém położeniu, we 4 godziny później, to jest gdy słońce oddali się od południka o kąt równy 60 stopni, można drugą obserwacją wykonać, bo wtenczas promienie słońca, równoległe do drugiej ściany idące, padać będą na ścianę pierwszą. Chcąc chwilę samego południa oznaczyć, potrzeba jak już powiedziano, jedną ścianę zwierciadła w kierunku południka ustawić; można jednak w każdym innym czasie porównania czynić, co jedynie od ustawienia narzędzia zawisło. Chcąc np. o godzinie 10 z rana, lub 2 po południu słońce uważać, wypadnie jedną ścianę zwierciadła tak nachylić, ażeby ta od południka oddaloną była o dwie godziny czasu albo o 30 stopni łuku. Przy porównaniu zegarów wieżowych lub zwyczajnych, wykonanie obserwacji tym narzędziem, nie podlega trudności i nie wymaga wielkiej wprawy. Większą dokładność w ocenieniu czasu można otrzymać, gdy się przyda mała lunetka do uważania odbitych obrazów, i wtenczas narzędzie może zastąpić lunetę południkową. Enke, mając nadesłany jeden exemplarz tego narzędzia przez konsula Pruskiego z Londynu dla obserwatorium Berlińskiego, przydawszy małą lunetkę 5 razy powiększającą, robił obserwacje słońca tym narzędziem, to jest uważał czas południa prawdziwego. Wypadki otrzymane przez niego są bardzo zgodne, błąd w oznaczeniu chwili południa w średniem przecięciu, ledwo

pół sekundy wynosi. Enke przytém czyni uwagę, iż narzędzie to, przy staranném mechaniczném wykończeniu, dla amatorów jest tak prostém i dogodném, iż wszystkie inne do tego celu służące przewyższa. W Gietyndze narzędzie to, tak do zwyczajnego jako téż i ściślejszego oznaczenia czasu, wykonywa *Mayerstein*.

* W roku przeszłym w miesiącu lipcu, na posiedzeniu Akademii umiejętności w Berlinie, professor fizyki Dove, czytał rozprawę treści; „O zmianach temperatury na powierzchni ziemi, porównanych ze zmianami téjże, okazującymi się w warstwach powietrza, spoczywających bezpośrednio na niej.” Niekiedy na wiosnę lub podczas jesieni, osobliwie z rana, postrzegamy powierzchnię wód stojących pokrytą lodem, i powierzchnię ziemi zmarzniętą, a nawet niekiedy w maju, rośliny i krzewy są od zimna zwarzone, chociaż termometr utrzymuje się wyżej zera; to pokazuje, że zmiany temperatury powietrza, nie idą równo ze zmianami temperatury gruntu; lecz między niemi w ciągu roku znaczne zachodzą różnice. Okoliczność ta, dała powód uczonemu professorowi Berlińskiemu do zajęcia się tym przedmiotem. Autor w poprzednich swoich rozprawach okazał, iż lata nieurodzajne odznaczały się w ogólności znaczném niżeniem temperatury pod stan normalny, w miejscu, gdzie czyniono dostrzeżenia (*). Wegetacya i całe królestwo roślinne, tworzące niejako powłokę ziemi, wystawione na działanie bezpośrednie i na promieniowanie ziemi, podlega innym warunkom ogrzania i oziębienia, niż termometr zabezpieczony i wolny od tych wpływów; pytanie zachodzi: czy rzeczywiście temperatura powierzchni gruntu, postępuje według tych samych praw, co temperatura powietrza, w jej zmianach peryodycznych i przypadkowych? Dla rozwiązania tego pytania, użyto dostrzeżeń czynionych przez 5 lat w ogrodzie botanicznym w *Chiswick* blisko Londynu. Temperaturę powierzchni gruntu otrzymano ze

(*) Przykład uderzający nieurodzajności, przy znaczném niżeniu temperatury lata, przedstawia nam rok 1844.

wskazań termometru do maximum wystawionego na słońce, i termometru do minimum do promieniowania; temperaturę powietrza otrzymano z dwóch temperatur ostatecznych, wskazanych termometrami umieszczonemi w cieniu na otwartém miejscu. Wypadki dostrzeżeń okazały, iż zmiany peryodyczne w temperaturze gruntu i powietrza, nie idą według tego samego prawa, czyli nie postępują równolegle względem siebie, lecz w ciągu roku, raz przeważa temperatura ziemi, a drugi raz temperatura powietrza; inaczej się rzecz ma ze zmianami nieperyodycznymi. Począwszy od zimy, gdzie dwie temperatury z sobą się schodzą, temperatura gruntu wyższą jest od temperatury powietrza aż do lipca, lecz do niej się zbliża w drugiej połowie roku. Jakoż od maja aż do września, temperatura gruntu wyższą się okazała o $2^{\circ},6$ R., co pokazuje, że ciepło potrzebne do życia roślin, poprzednio za nisko było wzięte. Związki te dwóch temperatur, wielkiej są wagi przy porównaniu granic utrzymania się pewnych roślin, z liniami równych temperatur lata i zimy. Co do zmian przypadkowych dwóch temperatur, te zgadzają się prawie z sobą (*). Zmiany nieperyodyczne, odnoszące się do ciśnienia powietrza i prężenia pary wodnej, porównywane były w podobny sposób, lecz te nie okazały żadnego stałego związku z temperaturą i nie przedstawiają podobnej zgody, a to dlatego, iż ruchy barometru, postępują bardzo szybko na powierzchni ziemi, przez co średnie miesięczne wypadki, nie mogą służyć do wykrycia prawa, któremu ciśnienie powietrza ulega.

* *Zboczenie pionu od linii wierzchołkowej.* Doświadczenia Cavendisha, Reicha i Bajllego okazały, iż kulki małe zawieszane na nitkach obok kuli wielkiej, od téj ostatniej są przyciągane; również przy pomiarach ziemskich wykonywanych obok gór wielkich, uważano w narzędziach astronomicznych, odstąpienie pionu lub libelli od kierunku wierz-

(*) Dostrzeżenia od kilku lat czynione w Brukseli nad temperaturą ziemi, ważne w tym względzie okazały wypadki, które zamieszczone będą w dziele wkrótce wyjść mającém o *klimacie Belgii* przez Queteleta.

chołkowego; w ogólności, nietylko ziemia ale i ciała na jej powierzchni jedne na drugie, a następnie i na pion lub równowagę służącą do ustawienia narzędzia, działają. P. Peters, astronom przy obserwatorium w Polkowie, w roku przeszłym napisał rozprawę: „O małych odstępniach pionu i libelli, sprawionych przyciąganiem słońca, księżycą i niektórych przedmiotów ziemskich.” W niej okazał, iż w obserwacjach wykonywanych na pierwszym kole wierchołkowem w kierunku od wschodu za zachód, w celu ścisłego wyznaczenia aberracyi, kołysania się osi ziemskiej, i paralaxy rocznej gwiazd stałych; na przyciąganie boczne słońca i księżycą na libellę względ mieć należy. W tym celu podał wzory służące do ocenienia tego odstąpienia, i przystosował je do obserwacyj wnoszeń prostych gwiazdy biegunowej, wykonanych w obserwatorium Polkowskiem. Tenże obserwator podciągnął pod rachunek odstąpienie pionu, jakoby sprawiło przyciąganie masy wodnej w kanale pewnej długości, wzniesionej do pewnej wysokości. Za przykład tego dochodzenia, obrał kanał *Brytolski*, ciągnący się prawie w kierunku od wschodu na zachód, i przyjął jego długość 8 mil geograficznych, a szerokość 4 mile geogr.; nadto założył, iż przez przyływ morza, wzniesienie wody w kanale dochodzi 30 stóp Angielskich, i w tém przypuszczeniu doszedł rachunkiem, iż pion zawieszony z jednej strony kanału, przez przybór wody na 30 stóp wysoko, zboczyłby od kierunku pionowego na $\frac{1}{4}$ sekundy łuku; a w oddaleniu od kanału na 100 stóp Angielskich, odstąpienie pionu wynosiłoby tylko 0",17 to jest blisko $\frac{1}{3}$ sekundy. W końcu tenże uczone przystosował swoje wzory do przyciągań, jakie wywierać mogą na pion wielkie piramidy Egipskie, i doszedł, iż przyjmując wysokość piramidy Memphis na 73 sążnie, a długość boku jej podstawy 116 sążni, odstąpienie pionu przy samej podstawie, wynosi 0",76 sekundy; a w oddaleniu na 10 sążni od piramidy, odstąpienie to dochodzi tylko 0",53 to jest przeszło pół sekundy.

J. B.

Chemia.

P. Gobley, w skutku swoich prac analitycznych, przekonał się, że tran wątrobowy rai (Rochens) i sztokfisz (Kabeljau), zawierają w sobie fosfor, siarkę i jod; tymto przeto ciątom, przypisuje on ich skutki przy leczeniu powyższym tranem chorób skrofulicznych i choroby Angielskiej (Rhachitis). (*Journal für praktische Chemie* N. 22 z r. 1844).

* Na posiedzeniu Akademii umiejętności Paryzkiej z dnia 9 grudnia r. z., doniósł p. Dumas, że p. Henryk Rose z Berlina, wykrył w tantalicie Bawarskim dwa nowe metale, które nazwał pelop i niob (Pelopium, Niobium); wynalazca niewspominając więcej o metalu pierwszym, tak opisuje ostatni. „Niob metaliczny jest w proszku czarnym, który ogrzewany przy przystępie powietrza, rozżarza się i zmienia w kwas niobowy biały; kwas saletrowy i woda królewska wcale na powyższy metal nie działają, lecz przeciwnie się rzecz ma przy nalaniu na niego mieszaniny kwasu saletrowego z kwasem fluorowym-wodorodnym. Przypuściwszy, że kwas tantalowy i kwas niobowy mają jednakowy skład atomiczny, niob będzie cięższy od tantalu.” (*L'Institut*. N. 572 z r. 1844).

* Ważną jest praca p. A. Chevallier przedstawiona Akademii Francuzkiej, o działaniu węgla na roztwory metaliczne. Autor stara się wykazać, że węgiel roślinny, węgiel zwierzęcy nieprzemity, węgiel zwierzęcy przemity i oddzielony od węglanów i fosforanów, któreto węgle jak wiadomo, tworzą z farbnikami związki osadowe; mogą się również łączyć z niedokwasami metalicznymi, a nawet wydzielić je z ich roztworów solnych, i utworzyć związki nierozpuszczalne, uwalniając z nich zupełnie kwas. Własność ta, że węgiel wyłączać może niedokwasy metaliczne, niekiedy w chemii doprowadza do mylnych wypadków, zwłaszcza wtedy, gdy się odfarbowywa węglem płyny takie, w których szukać potrzeba soli metalicznych. (*L'Institut*. N. 572 z r. 1844).

* O wydawaniu kwasorodu z roślin pod wpływem światła, tak pisze p. Schultz w liście do p. Flourens, umieszco-

nym w piśmie *Comptes Rendus* z d. 9 września 1844 r. Od kilku lat, słowa autora, trudnię się badaniami o pokarmach roślin, a wypadkiem ich jest następne nowe odkrycie. Według Ingenhouza i Saussura, kwas węglowy miał być prawdziwym pokarmem roślin, a nawozy źródłem ten gaz tworzącym; kwasoród zaś wydzielający się z roślin w skutku działania na nie światła, miał pochodzić z rozkładu kwasu węglowego.

Doświadczenia p. S. przekonały go, że kwasu węglowego prawie nie rozkładają rośliny, że nawóz i próchnica nigdy nie zmieniają się w kwas węglowy, i że cała ilość kwasorodu wydawanego przez rośliny, nie pochodzi od kwasu węglowego, ale od innych kwasów roślinnych zawartych w sokach rozmaitych roślin, jakoto: od kwasu galasowego, jabłkowego, mlékowego, winowego, cytrynowego i t. p. W wodzie mającej rozpuszczony cukier, w miarę wciągania przez zanurzoną roślinę cukru, liście także wydają kwasoród, lecz wtedy cukier trzciniowy zmienia się nasamprzód w cukier owocowy, potem w gumę krochmalową, a naostatek w kwasy. Tymto także sposobem przetwarza się wyciąg próchnicowy, dostarczający roślinom po uskutecznionych przemianach, pewnej części wydawanego przez nie kwasorodu. Podczas zaś działania roślin na istoty pożywne, nigdy nie tworzy się kwas węglowy, ani woda nie zostaje rozłożona.

Tym przeto sposobem rośliny nie połykają gazu kwasu węglowego, ale istoty wyciągowe (ekstraktowe) gruntu, zmieniając je poprzednio, przez siłę trawiącą, jaką posiadają ich części wciągające, na gumę i na rozmaite kwasy, stosownie do gatunku roślin. W skutku tego trawienia istot pożywnych przez rośliny, liście sprawiają zsiadanie się mléka, którato okoliczność oddawna była uważana na liściach przytulii prawdziwej (*Galium verum*) i liściach figowych. P. Schultz okazuje, że własność powyższą posiadają liście żyjące wszystkich roślin, a nawet ich korzenie. Korzenie marchwi (*Daucus carota*) i pietruszki (*Apium petroselinum*) tak dobrze zakwaszały mléko jak i ich liście, lubo czynność ta

powolnie się skuteczniała. Zakwaszenie powyższe, odbywa się przez rozkład cukru młécznego w skutku działania rośliny na kwas młékowy.

W cieniu i w czasie nocnym, liście roślin wydają gaz wodorodny, zmieszany albo z kwasorodem albo z kwasem węglowym.

* W skutku rozszérania się w ostatnich czasach Towarzystw wstrzemiéżliwości, w Anglii i w Ameryce, na poparcie zdania, że pijaństwo nie było upowszechnione w starożytności, starano się okazać, że z licznych gatunków win, używanych za czasów Pliniusza, jedno tylko było mocno wyskokowe, inne zaś były słabsze od piwa zwyczajnego. Utrzymywano również, że w szczególności w ziemi Judzkiej, wina nie były fermentowane, a zatem upajania sprawać nie mogły. Dla objaśnienia tych wątpliwości, professor Hitchcock, zajął się analitycznie powyższym przedmiotem, w przekonaniu, że nie na drodze przypuszczeń lub mylnych niekiedy wniosków, prawdziwą broń do pognębia pijaństwa, wynaleźć można. Z rozbiorów win Palestyńskich, Syryjskich, Azyi mniejszej, i niektórych wysp Lewantu, sposobem Brandesa wykonanych, okazało się: że te wina zawierają w sobie wielką ilość wyskoku, np. wino Rodyjskie ma 35,90 na sto, wino zaś z góry Liban 22,03. Z tego się pokazuje, że ani ilość cukru w soku winnym, ani téż gorąco klimatu, nie utrudnia fermentacyi w winach wschodnich, i że wina Palestyńskie i Syryjskie, są ze znanych najbardziej wyskokowe. Tym więc sposobem upada przypuszczenie, jakoby wina starożytne, nie były mocno upajające, ile że i sposób wyrabiania w okolicach wschodnich trunków tego rodzaju, nie różni się w czasach dzisiejszych, od ich otrzymywania w starożytności. (*Bibl. univ. de Genève*, N. 105 z r. 1844).

* W numerze 15 pisma *Archives de l'Electricité*, znajduje się obszerne pismo P. Schoenbein, o ozonie. Wiadomo, że p. S. tak nazwał pierwiastek, z którego podług jego przypuszczenia, w połączeniu z wodorodem, składać się ma saletroród (azot). Pierwiastek ten wywiązuje się: przy bie-

gunie dodatnim stosu, w czasie rozkładu wody; w końcach konduktora maszyny elektrycznej w czynności będącej; podczas uderzenia pioruna, i t. p., posiada zaś zapach mocny, szczególny, i bardzo go odznaczający. Oprócz tego, miało się udać p. S. utworzyć tenże sam pierwiastek, drogami czysto chemicznymi. Ozon, albo raczej przestrzeń nim nasycona, ponieważ wynalazca nie mógł jeszcze otrzymać go samoistnie, posiada własności podobne do chloru, jodu i bromu; jestto istota gazowa, farbująca na błękitno mieszaninę krochmalu i jodku potassu, a czerwieniąca kolor niebieski lakmusu, i t. p. Saletroród, podług p. S., ma podobny skład jak kwas solny, czyli jestto ozonok wodorodu.

Mimo wszystkich powyższych dowodzeń, słowa są p. de la Rive, niepodobna jeszcze z pewnością utrzymywać o bytności ozonu, i składzie saletrorodu: hipoteza p. S. sprawdzić się może, lecz dotąd do rzędu pewników naukowych liczyć się nie powinna. (*Bib. univ. de G. N.* 105 z r. 1844).

* W piśmie czasowym, *Annales de Chimie et de Physique* z r. 1844, znajduje się bardzo obszerna rozprawa p. Ed. Fremy o kwasach metalicznych; pomijając szczegóły, przytaczamy wypadki, do których doszedł autor w swój, ważnej dla poświęcających się chemii, pracy:

1) Usiłowałem oznaczyć (słowa są p. Fremy) zdolność nasykania kwasu glinkowego, a to tworząc glinkan potażu krystalizowany, który należy uważać za sól obojętną. Rozbiór tej soli okazuje, że w glinkach obojętnych, kwasoród kwasu, ma się do kwasorodu zasady jak 3 do 1.

2) Dotąd zdawało się chemikom, że żelazo z kwasorodem, tylko w dwóch stosunkach łączyć się może, i tworzyć dwie zasady. Uważając na podobieństwo zbliżające żelazo do magnesu, udało mi się odkryć nowy związek żelaza z kwasorodem. Ten związek oddawna poszukiwany, jest kwasem żelazowym.

3) Wykazałem, że chlor działając na chromian potażu, w temperaturze podwyższonej, tworzyć może piękne kryształy niedokwasu chromu. Sposób ten łatwy, niezawodnie upo-

wszechni się dla otrzymywania niedokwasu chromu krystalicznego.

4) Chlorek 1 chromu, może w temperaturze czerwonej połykać chlor, i tworzyć chlorek ostatni, rozkładający się za pośrednictwem wody.

5) Niedokwas 1 cyny, i prawie wszystkie metaliczne, mogą utracić wodę w nich zawartą, przez działanie roztworów alkalicznych i solnych.

6) Niedokwas 1 cyny, w rozmaitych postaciach otrzymywany być może; jest bowiem brunatny, czarny, lub czerwony.

7) Roztwór potażu, może stosownie do swego zgęszczenia, lub odebrać wodę niedokwasowi 1 cyny, lub też rozłożyć go na cynę i kwas cynowy.

8) Drugi stopień ukwasorodnienia cyny, zachowuje się zawsze jak kwas; związek ten może, tak jak kwas fosforowy, łączyć się z rozmaitemi zasadami, i wydawać odróżniające się sole. Przy uważaniu tworzenia się powyższych soli, przypominają się znowu rozmaite odmiany kwasu fosforowego; i dlatego jeden kwas, z którego się one składają, nazwałem kwasem cynowym, a drugi meta-cynowym: nadto okazałem, że te dwie odmiany kwasu cynowego, rzeczywiście stanowią dwa oddzielne kwasy.

9) Kwas meta-cynowy łączy się z niedokwasem 1 cyny, tworząc sól żółtą, którą nazwałem meta-cynian niedokwasu 1 cyny.

10) Bismut tworzyć może kwas bizmutowy, mający za znamię (symbol) $\text{Bi}^2 \text{O}^4$.

11) Drugi stopień ukwasorodnienia ołowiu, mający za znamię PbO^2 ; nie jest, jak to dotąd sądzono, niedokwasem obojętnym, lecz stanowi rzeczywiście kwas metaliczny, ze wszystkimi zasadami łączyć się mogący. Ołowian potażu, odznacza się swą piękną krystalizacją.

12) Otrzymałem minią w postaci wodanu, drogą podwójnego rozkładu, dodając do ołowianu potażu rozpuszczonego w jakim alkali, niedokwasu 1 ołowiu.

13) Kwas 1szy antymonowy (acide antimonieux), zachowuje się pod wpływem zasad sólnych, jak antymonian 2gi niedokwasu 1 antymonu (antimoniate de protoxyde d'antimoine).

14) Kwas 2gi antymonowy (a. antimonique) może się łączyć z potażem w rozmaitych stosunkach, które wyrażają się następnymi znamionami:

$2 \text{SbO}^5, \text{KO} - \text{SbO}^5, \text{KO} - \text{SbO}^5, 2\text{KO} - \text{SbO}^5, \text{KO}, \text{HO}$. Z tych antymonian 2gi (antimoniate), na ostatku w znakach powyższych wyrażony, tworzy natychmiast w solach sodowych, osad bardzo mały rozpuszczalny, wyrażający się przez $\text{SbO}^5, \text{NaO}, \text{HO}$, po wysuszeniu go w temperaturze 180° . Sól tę uważać należy za najlepszy odczynnik na sole sodowe.

15) Miedź łącząc się z kwasorodem, daje kwas szczególny, zawierający więcej kwasorodu jak niedokwas 2gi miedzi.

16) Podałem sposób łatwy otrzymania czystego osmu i irydu, z osmku irydu.

17) Dotąd znany był jeden tylko kwas kwasorodny osmu; ja zaś wykazałem, że jeszcze jest inny kwas tego metalu, mniej od poprzedniego ukwasorodniony, i nazwałem go kwasem 1ym osmowym (acide osmieux), który oznacza się przez OsO^3 . Sole tego nowego kwasu, z łatwością otrzymywać się dają, i mogą służyć do tworzenia wszelkich związków osmu. (*Annales de Chimie et de Physique. Décembre 1844*).

* Na posiedzeniu Akademii umiejętności Paryzkiej w dniu 15 kwietnia 1844, czytał p. Eug. Peligot rozprawę o uranie, z której się wykrywa, że już w roku 1842, chemik ten okazał, iż pierwiastek uważany za uran, jest niedokwasem metalicznym, i że z tego dopiero metal uran otrzymać można. W pracy powyższej autor odpowiada na zarzuty Berzeliusa, i opisuje związki uranowe. (*Annales de Chimie et de Physique. Décembre 1844*).

* Na posiedzeniu Towarzystwa chemicznego Londyńskiego, czytał dr. John Stenhouse rozprawę, w której okazał, że

mannit, obficie niż dotąd sądzono, w naturze się znajduje; wykrył go bowiem w wielu roślinach, a w szczególności w *Laminaria digitata*, *Halydris siliquosa*, *Rhodomenia palmata*, *Fucus vesiculosus* i t. p. (*Annalen der Chemie und Pharmacie* v. Wöhler und J. Liebig. September 1844). Tenże sam chemik dowiódł, że w korzeniach pérozu (*Triticum repens*) mniemany mannit wykryty przez Pfaffa, jest podług wszelkiego prawdopodobieństwa dwu-szczawianem potażu; to jednak jest rzeczą niezawodną, że korzenie pérozu zawierają w sobie wielką ilość niekrystalicznego cukru, który z łatwością zafermentować może. (*Tenże sam dziennik str. 355*).

* Pod nazwiskiem *purree* (mówi Stenhouse), z którego to ciała tworzą piękny kolor żółty Indyjski, przychodzi do Anglii pewna szczególna istota z Chin i Indyj, w kawałkach ważących 3 do 4 uncyj, powierzchni ciemno-brunatnej, w odłamie zaś koloru ciemno-pomarańczowego, i posiadająca woń do piżma podobną. Professor O. L. Erdmann donosi, że istota ta jest połączeniem magnezyi z nowym organicznym kwasem, który nazywa kwasem euxantynowym; tenże sam kwas przez p. Stenhouse nazwany został kwasem purrowym. *Purree* w zimnej wodzie bardzo mało się rozpuszcza, gorącej zaś udziela koloru ciemno-brunatnego, i pozostawia istotę żółtawą. Kwas euxantynowy także niewiele jest rozpuszczalny w zimnej wodzie, więcej zaś we wrzącej, a bardzo wiele w gotującym się wysokoku, z którego to ostatniego roztworu, po ostudzeniu, w większych osadza się kryształach, niż z roztworu wodnego. Kwas euxantynowy nie zawiera w swym składzie saletrorodu. W powietrzu ogrzewany, płonie jasnym płomieniem; sole tego kwasu prawie wszystkie są koloru żółtego, i jedne krystalizują się, drugie zaś otrzymano niekrystaliczne. Kwas euxantynowy w rozmaitych okolicznościach przy swoim rozkładzie, wydaje istotę obojętną, którą p. Erdmann nazywa *euxanton*. Otrzymał on ją, przez ogrzewanie kwasu euxantynowego lub jego soli, w postaci żółtych igiełek. Powyższe ciało Stenhouse nazywa *purrenon*.

O pochodzeniu istoty zwanéj purree, oprócz powyższych wiadomości, czytamy jeszcze i następne udzielone przez p. Batkę z Pragi, profesorowi Erdmann. Purree pochodzi z uryiny wielbłąda żywionego w Indyach owocem rośliny *Mangostana mangifera* L. Osadza się zaś z téj uryiny w postaci żółtych mętów, które po wysuszeniu sprzedają się za farbę; co się tyczy magnezyi w niém zawartéj, ta zdaniem p. Batki, znajduje się w farbie, w skutku jéj zafałszowania w Madras. Wytłómaczyć zaś sobie można kolor żółty uryiny wielbłąda powyższym owocem żywionego, pomnąc na tę okoliczność, że farbnik wielu gatunków rodzaju *Mangostana*, jest podobny do gumiguty.

Purree, w handlu Francuzkim nazywa się farbą żółtą Indyjską (*Jaune Indien*). (Z rozprawy p. Erdmann umieszczonej w *Journal für praktische Chemie* v. Erdmann und Marchand, Nr 19 i 20 z r. 1844 str. 190 i następne, oraz z wiadomości zawartéj w tymże samym numerze powyższego pisma, str. 248).

* W Bibliotece Warszawskiej z lutego 1845, str. 496, podano wiadomość o istocie roślinnej podobnej do kości słoniowej, pochodzącej z orzecha *Tagua* albo *Cabeza de Negre* (głowa murzyńska), rosnącego na drzewie *Phytelephas macrocarpa*; kilka uwag pod względem chemicznym nad tym zadziwiającym płodem roślinnym, będą tu na swoim miejscu.

Pan Artur Connell tak opisuje powyższy orzech: „Widziałem orzechy tak wielkie jak jaja gołębie i kurze; są one powleczone brunatną skórką i następnie grubą skórą okryte. Część orzecha wewnętrzna jest twarda, zbita i prawie jednostajna; ciężar gatunkowy ma 1,376.”

Podług dra Balfour profesora botaniki z Glasgowa, orzech ten ma stanowić białko tak stwardniałe, jak kość słoniowa. Cooper zaś uważał pod mikroskopem, że jakkolwiek on okazuje się w postaci masy jednorodnej, zawiera jednak w sobie równoległe rurczki napełnione płynem oleistym. Podług rozbioru p. Douglas Maclagan, orzech powyższy zawiera w sobie:

Twardego włókna drzewnego	76,5
Białka roślinnego	1,5
Pierwiastku gorzkiego rozpuszczalnego w wodzie i wysoku.	2,5
Gumy z fosforanem wapna.	5,5
Popiołu.	0,5
Wilgoci	13,5
	<hr/>
	100,0

P. Connell w rozbiórce przez siebie wykonanej, znalazł prawie też same części składowe z niejaką różnicą w liczbach, i oprócz tego, pewną ilość istot usaletrorodzonych, podobnych do leguminu, oraz olej zsiadły koloru żółtego. W popiele zaś wykrył fosforan wapna, siarkan potażu, chlorek potasu, węglan wapna, i cokolwiek krzemionki. (*Journal für praktische Chemie* z r. 1844, N. 15).

* Na posiedzeniu Akademii umiejętności Paryzkiej z dnia 18 listopada r. z., doniósł p. Dumas, iż otrzymał z Berlina wiadomość od p. Gaultier de Claubry, o zmienieniu w płyn, niedokwasu pierwszego saletrorodu przez p. Natterer młodego chemika Wiedeńskiego, za pośrednictwem małej pompki żelaznej. Skroplenie gazu powyższego, uskutecznione zostało pod ciśnieniem 50 atmosfer, w temperaturze $+15^{\circ}$. Płyn otrzymany ma być bardzo słodki, bardzo rzadki, zabierający tylko $\frac{1}{400}$ objętości gazu, z którego powstał. Temperatura jego jest *nadzwyczajnie niska*; p. Natterer oznaczył ją na -115° . Ciecz niniejsza w ciśnieniu powietrza zwyczajném, przez kilka godzin przechować się daje, gdyż mała ilość ulatniającej się, drugą część zachowuje. Zanurzony w powyższy płyn dróczyk metaliczny, powstaje syczenie, podobne sprawionemu przez rozpalone żelazo zamoczone w wodzie. Najmniejsza ilość w mowie będącej cieczy, wpuszczona na skórę, niszczy ją wśród mocnych boleści. Dopiero po czterotysięczném pociągnięciu tłoka, otrzymał p. Natterer w swoim aparacie, kwaterkę płynu z gazu skroplonego. Nateraz powyższy chemik pracuje nad skropleniem innych gazów. (*L'Institut*. N. 569, z r. 1844).

* *O eterze krzemionkowym, przez p. Ebelman.* Przez działanie bezwodnego wyskoku na chlorek krzemionku (silicium), otrzymał powyższy autor dwa szczególne związki. Nalévając bezwodnego wyskoku na chlorek krzemionku, wydobywa się wśród mocnego działania gaz kwas solny, i zniża się znacznie temperatura. Jeżeli doleje się nieco więcej wyskoku jak wynosi waga chlorku krzemionku, ustaje wydobywanie się gazu, i płyn widocznie się ogrzewa. Przepędzając w retortce mieszaninę, przechodzi nasamprzód eter solny, a następnie znaczna część pozostałego w retortce płynu, pomiędzy 160° i 170° ulatnia się. Odlawszy na bok płyn nasamprzód przechodzący, ogrzewa się dalej retortkę, i ukończa się przepędzanie w około 300° ; wtedy w retortce pozostanie jedynie mała ilość krzemionki,

Ciecz w temperaturze od 160° do 170° otrzymaną, należy dotąd przepędzać, aż jej punkt wrzenia przypadnie stale między 162° i 163° ; i takito wtedy płyn jest bezbarwnym, zapachu przenikającego eterycznego, smaku pieprzowego, mający ciężar gatunkowy 0,932. Nie rozpuszcza się on w wodzie, i wolno się rozkłada przy wyłączeniu z siebie krzemionki; nie czerwieni koloru lakmusowego, wyskok zaś i eter rozpuszczają go we wszelkich stosunkach. Roztwory alkaliów wyskokowe szybko go rozkładają, i można również przez kwasy, krzemionkę w postaci galarety z niego wyłączyć. Wpuściwszy nieco powyższego eteru krzemionkowego w rozpalony do czerwoności tygielek platynowy, eter płonąc będzie w kolorze białym, a pozostanie proszkowata krzemionka.

Zastanawiając się nad istotą między 170° i 300° się ulatniającą, spostrzedz można, że w miarę zwiększającej się temperatury, ilość krzemionki w niej się pomnaża. Płyn otrzymany w temperaturze wyższej nad 300° jest bezbarwny, słabego zapachu i smaku, różniącego się od eteru poprzednio opisanego; ciężar gatunkowy ma 1,035; woda zaś i alkalia działają na niego w ten sposób, jak na eter pierwszy.

Ztąd się pokazuje, że kwas krzemionkowy czyli zwyczajna krzemionka, tworzy najmniej dwa etery. (*Journal de Pharmacie et de Chimie* Oct. 1844).

* Na posiedzeniu Akademii umiejętności Paryzkiej dnia 23 paźdz. r. z., czytana była wiadomość udzielona przez p. Fremy, o dojrzewaniu owoców. Wypadki jego pracy są następujące:

1) Pociągnąwszy owoc wernixem, przez co utrudnia się wychodzenie z niego wyziewów i przystęp powietrza atmosferycznego, rozrastanie się owocu ustaje.

2) Przemiana kwasorodu powietrza w gaz kwas węglowy podczas dojrzewania, zdaje się, że zależy od organizacyi; dowód zaś tego jest, że czynność niniejsza uskutecznić się nie może, skoro nasiennik (pericarpium) zgnieciony zostanie.

3) Owoce zawierają w sobie saletroród i gaz kwas węglowy; tylko zaś w owocach zielonych spostrzega się kwasoród.

4) Kwas winowy (acide tartrique), znajduje się w winogronach, lecz jest także i w ziarnkach tego owocu; nie powstaje on przeto w skutku przemiany innego kwasu.

5) Owoce rosnące przy działaniu płynu alkalicznego, nie zawierają w sobie widocznych części cukru; morele i śliwki poléwane słabym roztworem potażu, z pozoru i zapachu podobne są do zupełnie dojrzałych, mają jednak smak nieprzyjemny i nie są słodkie.

6) W czasie dojrzewania, kwasy owoców zostają w części nasycone, i tworzą sole wapienne i potażowe.

7) Zmiany w owocu zerwanym, pochodzą od rozkładu, na który powietrze wielki wpływ wywiera; w niektórych przypadkach, ściany komórek nasiennika (pericarpium) rozrywają się.

8) Wreszcie niektóre istoty usaletrodnione, tak zwierzęce jak roślinne, mogą zmieniać sole organiczne na węglany. Ta ciekawa własność, tłómaczy nam bytność węglanu wapna w tkance liści. (*L'Institut*. N. 565 z r. 1844).

* W piśmie *Annales de Chimie et de Physique*, Janvier 1845, znajduje się zamieszczony list p. Faraday do p. Dumas, o skraplaniu się gazów; z powodu ciekawości niniejszego przedmiotu, prawie całkowicie powyższy list, słowami piszącego przytaczamy:

„Wiadomo, że p. Aimé wystawiał rozmaite gazy na wielkie ciśnienie, przez spuszczenie ich na dno morskie; wypadki jednak tych doświadczeń przy powyższem ciśnieniu, nie mogły być uważane; nadto, otrzymane one zostały w temperaturze zwyczajnej. Wiadomo również z doświadczeń p. Cagniard Latour, dotyczących się eteru, że w pewnej temperaturze, płyny przechodzą w parę bez zmienienia objętości.

Jeżeli przeto gazy będąc najlotniejszymi i najlżejszemi, skraplają się w jak najniższej temperaturze, nie ma więc prawie nadziei zmienienia w cieczy takich istot, jak wodoród, kwasoród i saletroród, w żadnem ciśnieniu, gdy będą trzymane w temperaturach zwyczajnych; bo prawdopodobnie, ich punkt skroplenia przypada lub w niższej temperaturze od pospolitej, lub też dopiero w wielkiem zimnie.

Powyższe rozumowanie służyło za zasadę do następnych doświadczeń:

Szukałem najprzód (mówi p. F.) sposobu utworzenia wielkiego zimna, i do tego celu użyłem kąpieli p. Thilorier, z kwasu węglowego zsiadłego i eteru, co ustawiłem pod dzwonem maszyny pneumatycznej. Wyciągając ciągle powietrze, zniżyłem tak temperaturę, że kwas węglowy z powyższej kąpieli, nie był lotniejszy od wody ogrzanej na 30°C, gdyż barometr maszyny pneumatycznej, okazywał 28,2 cala, barometr zaś zewnętrzny 29,4.

Następnie pospajałem korkami i kruczkami małe rurczki szklane i miedziane, a to w ten sposób, że za pośrednictwem dwóch pomp mogłem zgęścić rozmaite gazy, wywierając na nie ciśnienie 40 atmosfer, a jednocześnie mocno je oziębiając pod dzwonem maszyny pneumatycznej; przy czem uważałem skutki podobnego doświadczenia. Podług mego spodziewania, przez zimno otrzymałem takie wypadki,

do jakich nigdy nie mogłem przyjść przez samo ciśnienie; w szczególności przy zamienianiu ciał gazowych w zsiadłe.

Wiadomo które gazy już dawniej zostały zgęszczone, z dodatkiem wodorodu arsenikowego; oprócz tego zdaje się, że p. Aimé skroplił gaz oleisty i kwas fluo-krzemionkowy. Prace więc moje ostatnie są:

Gaz oleisty (gaz do oświetlania) zgęścił się, a płyn jego był zupełnie pięknie przezroczysty, nie mógł jednak skrzepnąć; rozpuszczał w sobie ciała żywiczne, bituminowe, i oleiste.

Kwas jodowy-wodorodny, może być otrzymany albo w postaci płynnej albo w zsiadłej. Zsiadły był przezroczysty, bezbarwny, z małemi szparami w swęj massie; bardzo jest podobny do lodu.

Kwas bromowy-wodorodny, również może być otrzymany w postaci płynu bezbarwnego, lub jako ciało zsiadłe, także przezroczyste.

Dwa powyższe kwasy wymagają bardzo starannego przeprowadzenia w naczyniach zamkniętych i pod mocnym ciśnieniem; inaczej nie otrzymają się czyste i bezbarwne.

Kwas fluo-krzemionkowy, zamieniony został w ciecz; potrzeba jednak robić doświadczenie w bardzo niskiej temperaturze. Był przezroczysty i bezbarwny, oraz nadzwyczajnie płynny i tak ruchliwy, jak eter gorący. Jest on wtedy pod ciśnieniem 9 atmosfer, i nie okazuje żadnej dążności do zamienienia się w ciało zsiadłe.

Kwas fluo-borowy i wodoród fosforowy, okazały mi ślady zgęszczania się.

Kwas chlorowy-wodorodny (sólny), łatwo skroplić i to pod ciśnieniem 1 atmosfery, ale się on nie zsiada.

Gaz kwas 2 siarkowy (acide sulfureux), natychmiast krzepnie, jak to można było przewidzieć.

Gaz siarkowy-wodorodny (kwas wodoród siarkowy), zamienia się także w zsiadły, i tworzy wtedy masę białą przezroczystą i krystaliczną, podobniejszą do skrzepłego saletranu amonii lub do kamfory, niż do wody zmarzniętej.

Kwas węglowy, skoro przechodzi z płynu na ciało zsiadłe bez podobnego spulchnienia jak widzimy w śniegu, jest bardzo piękny, przezroczysty jak kryształ, i to do tego stopnia, że zaczynałem powątpiewać, czy rurka go zawierająca była próżna lub napełniona; dla przekonania się przeto o bytności ciała zsiadłego, byłem zmuszony część jego roztopić. Kwas węglowy zsiadły, wywiera ciśnienie 6 atmosfer, co mnie przekonało, z jaką łatwością ten kwas płynny na zsiadły może się zamienić, skoro będzie wypuszczany na wolne powietrze.

Niedokwas chloru, jest ciałem pięknym krystalicznym, czerwono-pomarańczowym, bardzo kruchym.

Niedokwas 1 saletrorodu. Już dawniej przeze mnie został zgęszczony. P. Natterer otrzymał także z niego płyn, ja zaś zmieniłem go w ciało zsiadłe w skutku oziębienia. Zsiadły krystalizuje się, jest przezroczysty i bezkolorowy, lecz wtedy para jego nie wyrównywa ciśnieniu 1 atmosfery, zimno zaś powstałe przez to parowanie, jest bardzo mocne, i z powodu tego, radzę zastosować je do doświadczeń nad wodorodem, kwasorodem i saletrorodem.

Sinnik (cyanogenium), jak to okazał Bussy, krzepnie. *Amونيا*, zupełnie czysta i sucha, może być otrzymana w postaci istoty zsiadłej, białej, krystalicznej i przezroczystej; jest wtedy cięższa od skroplonej, ma cokolwiek zapachu, z powodu słabej rozprężliwości jej pary w tej temperaturze.

Wodoród arsenikowy i chlor, nie przechodzą z płynu na ciała zsiadłe.

Wyskok tak gęstnieje jak zimny olej, lecz nie krystalizuje się; toż mówić i o olejku terpentynowym.

Niedokwas 2 saletrorodu i niedokwas węgla, nie okazały ani śladu skroplenia, nawet w najniższych temperaturach i w ciśnieniu 30 do 35 atmosfer.

Oprócz niniejszych spostrzeżeń, uważałem także na punkta topienia się powyższych ciał z gazów, na ich rozprężliwość w różnych temperaturach i t. p. Będzie to przedmiotem innej rozprawy, w której spodziewam się udzielić jakich nowych spostrzeżeń o kwasorodzie, wodorodzie i sale-

trorodzie, przy ich zmienianiu w ciała płynne. Może otrzyma się wodoród w postaci metalu; a saletroród czy zachowa swoje miejsce wśród ciał niemetalicznych?— to wszystko zależeć będzie od wypadku przyszłych doświadczeń.”

J. B...a.

Historia naturalna.

Lekarz, który z poselstwem Francuzkiem pierwszy raz do Chin przybył, tak maluje jedną z przechadzek swoich w tym kraju: „Ledwieśmy wstali od stołu, gdy dr. Gomer podał mi myśl wstąpienia na wierzchołek góry Corcovado, wznoszący się nad głowami naszymi. Próżne usiłowania, ażeby podziwienie moje słowami wyrazić. Droga, wzdłuż boku góry idąca, wydała mi się niezmiernym trepauzem, przepelniona najwspanialszemi krzewami, najwonnejszemi ziołami, i najpyszniejszymi drzewami. Ja, który dzieci Amerykańskiego słońca, dotąd w szklarniach tylko botanicznych ogrodów naszych więzione widziałem, jak one z oporem jedynie skaleczały gałęzie w sztucznym klimacie, którego im użyczamy, rozpościerają, tonąłem w zachwyceniu na widok silnego wybijania tej potężnej wegietyacji. Uczułem się szczęśliwym i nanowo ożywionym w tej ciepłej, tysiącami zapachów obciążonej atmosferze, którą się w tém miejscu oddycha, i w której kołyszą się motyle jak ptaki wielkie, a ptaki jak motyle błyszczące. Pierwsze kolibry (*), które na tym kwiatowym dachu lasu kołyszące się ujrzałem, wymogły na mnie okrzyk radości. Pogoniłem się za chrząszczem, pośpieszyłem ku roślinie kwiatami okrytej, schwytałem wielkiego z lazurowemi skrzydłami motyla, którego śmiały lot zdaje się być niezwyciężoną do ujęcia

(*) Właściwe kolibry znajdują się tylko w Ameryce. Tu więc wzmiankowane są ich imieniem inne, ale podobne im ptaszki, z rodzaju *Cinnyris*, zastępującego miejsce kolibrów w starym świecie.

go przeszkodą, a to wszystko wykonałem z żywością i zwinnością młodzieńczą. Doktor zaczął moje zapędy miarkować, lecz nadto długo żyłem, ażebym nie wiedział, jak rzadkiemi są w życiu godziny tak błogięj uciechy: a idąc za porywczą gwałtownością uczuć, zamiast je przytłumiać, raczėj zupełnie swobodny bieg im nadałem. Jestem już stary, a jednak czuję w obec tėj olbrzymiej natury, niewypowiedziane natchnienie, niezwyćezony pociąg ku temu czego nie znam, lepiej niż kiedykolwiek poznać mi dający znaczenie wielkiej podróży, którą się zajmujemy obecnie. Zchodzących z Corcovado, otoczyła nas cieniami swojemi noc, i ujrzelismy znagła, jak tysiącami z zielonych ziół kobierców wznosiły się świetliki, które fosforyczném światełkiem drogę nam rozwidniały. Uprzedzony byłem o tęp zjawisku, a jednak wspaniałość jego wprawiła mnie w zdumienie, i ledwie z największą trudnością udało się doktorowi Gomer, odwieść mnie tego wieczora od łowów na te rzadkie owady. Postępowalismy dalej; przybywszy na skalistą ścieszkę, która nad doliną Arangueca panuje, ujrzelismy świetliki w taki sposób urozlicznione, iż zdawało się, jakoby wielkie miasto oświetlone leżało pod nami, i t. d.

Z O O L O G I A.

* Oglądane były w Tow. zool. Londyńskim dwa okazy nowego gatunku łuskowca (*Manis multiscutata*, Gray), które Graser na wyspie Fernando Po otrzymał. Wnosząc z kóści, nie byłyto jeszcze dorosłe zwierzęta; największego długość wynosiła cali 30, z których 18 wypadały na ogon. W mieszkaniu Frazera na Fernando Po, żyły blisko tydzień; biegały po izbie, gdzie mnóstwo czarnych drobnych mrówek, za pożywienie im służyło. W chwili, w której je schwytano, były już bardzo łaskawe, pięły się po ścianach izby, nic niezważając na obecność ludzi. Po niegładko ociesanych narożnych odrzwiach w izbie, bardzo zręcznie do góry wlażyły, i zstępowały napowrót, głową do dołu.

Czasem także, w kłębek się zwinąwszy, na ziemię spadały, i nie było znać, ażeby im ten upadek co szkodził, ponieważ w pół podniesione łuski, znacznie pęd spadania łamały. Podczas wspinania się, osadzony od spodu kończatami łuskami ogon, dopomagał nogom, a nim i tylnymi nogami, tak silnie zwierzę ujmowało się ściany, że mogło do poziomego kierunku ciało w tył wygiąć, i na różne strony przeginać się w tém położeniu; przy czém zdawało się, że z upodobaniem to czyni. Sypiało ze zwiniętém w kłębek ciałem, tak wtedy do kąta izby przywierając, że nie dawało się Frazerowi, bez swojej woli wyciągnąć ztamtąd, ponieważ końce łusek zachodziły w każde zagłębienie okolicznych przedmiotów. Oczy u tych zwierząt są czarne i nader wyraczyste. Osadnicy zowią gatunek ten *attadillo*, a krajowcy nazywają go *gahlah*. (*Annals and Magaz. of Nat. Hist. Nr. LXXXIII, March, 1844*).

* Samica żerafy, która do Tuluzy przywieziona, niedługo potem zdechła, stała się przedmiotem badań anatomicznych pp. Joly profesora wydziału um. w Tuluzie, i Lavocat prosektora szkoły weterynaryi tamże, którzy postrzeżenia swoje w téj mierze, Paryzkiej Akad. um. przedstawili. Zapewniają one niektóre szczerby w anatomii tego osobliwego zwierzęcia. Niezmiernie długi kanał pokarmowy rzeczzonego okazu (exemplarza), wynosił 64 metry 65 centym. (około 55 łokci), wszakże w porównaniu z pokarmowym kanałem tych zwierząt które najbliższemi są żerafy, był bardzo wązki. Budowa żołądka nie zgadzała się we wszystkich szczegółach z opisaniem go, przez sir Everard Home podaném. Jeżeli, jak mniemają, żerafa nie wydaje żadnego sobie właściwego głosu, objaśnia to stan prawie rudymen-tarny jój krtani. Muskułów skóry wcale nie ma; miejsce ich zastępuje znaczna warstwa aponeurotyczna, która całe ciało odziéwa, i w wielu okolicach pokładem żółtój tkanki włókien jest wyścielona. Charakter całego układu lokomocyjnego, zapowiada u żerafy wielką siłę połączoną ze znakomitą szybkością i zwinnością. Mózg, który jest większy niżeli u wołu i konia, odznacza się wielką liczbą i głębokością

swoich zakrętów. Ważył on łącznie z mózgiem, 710 grammów. Kościoskład nie był jeszcze całkowicie badany; wszakże anatomowie Tuluzcy przekonali się o tém, że trzeci róg, powszechnie przypisywany żerafie, nie czém inném jest, tylko wyskokiem na pośrodkowej linii kości czołowej, który tym dalej wybiega, im zwierzę jest starsze. To samo zdaje się ściągać i do rogów bocznych, chociaż Cuvier innego wtęj mierze jest zdania. W ogólności żerafa, co do wielu szczegółów wewnętrznej organizacyi swojej, bardzo jest podobną do naszych wielkich domowych zwierząt przeżuających: innemi zbliża się do jednokopytnych, a mianowicie do konia; innemi nakoniec utrzymuje zupełną rodzajową właściwość swoją.

* Z okrętem Glasgowskim *Royal Archer*, wiozącym guano z Ichaboe (*) do Anglii, wydarzył się niedawno przypadek, którego nie pierwszy już mieliśmy przykład. Dno tego okrętu przebite zostało mieczem włócznika (*Xyphias*); a przy naprawianiu go w porcie Glasgowskim, dnia 5 lipca (r. z.) wyciągnięto z rozczepanej szpary ułomek miecza 19 cali długi, który na 16 cali głęboko wpadł w drzewo.

(*) Afrykańska wyspa guanowa *Ichaboe*, leży na małą godzinę drogi od południowo-zachodniego brzegu Afryki. Jestto niezręczna skała, około pół godziny obwodu mająca; nie ma nic czarnoziemiu i ani śladu wegietacyi. Guano tworzy warstwę około 20 stóp grubą, i nie przedstawia żadnych różnic w stopniu swojej dobroci. Łąd nader jest piaszczysty, i podczas wichru może być okręt, nawet w odległości stu mil Angielskich, piaskiem zasypany. Krajowemi ptakami jest gatunek bezłotków (*Aptenodytes*), które nie mogą latać, a przynajmniej daleko, ponieważ skrzydło ich jest raczej gatunkiem pletwy. Utrzymują że kapitan Parr (okrętu Brystolskiego *Anna*), który Afrykańskie guano przywiózł, pierwszy nogą stąpił na tę wyspę, do której z trudnością tylko zbliżyć się można, bo nie ma żadnego portu, i brzeg otoczony jest straszliwemi odboiskami (*Brandungen*). Obchodząc on wyspę, nie mógł prawie nogą stąpić, ażeby nie nadeptać na ptaki, które przez to tyle się jedynie usuwały, że mogły go dziobem po nogach szczypać; a gdy z rusznicy strzelono, bardzo leniwie wzniósły się, zaraz spadły, i wielki zrzędziły hałas. Więcej niż na sto mil wokół brzegu, nie ma słodkiej wody ni deszczu. *Froriep's Notiz.* 1844 nr. 652.

Przebił on obiedwie miedziane blachy i dębową 3½ calową deskę, następnie trafił na 8calową dębową wręgę, w którą na dwa cale wszedłszy, zgiął się, poczem zagrązł w dwucalową deskę stanowiącą spód okrętu. Można ztąd wyobrazić sobie siłę, z jaką ryba na nadpływający rzuciła się okręt. Świadcowie rzecz znający, wyznali, że armatnia kula nie większe zrzuciłaby działanie. Częste napady okrętów przez włóczniki, mianowicie w Śródziemnym morzu bardzo pospolite, téj należy okoliczności przypisać, że ryba poczytuje okręt za jedno z tych wielkich zwierząt morskich, z którymi w nieprzyjazni żyje.

* Na posiedzeniu geologicznego Tow. Londyńskiego, p. Filip Grey Egerton czytał 26 czerwca, opisanie kopalnej płaszczki (Raia) z góry Libanu. Tę, nader godną uwagi rybę skamieniałą, przywiózł z Syrii kapitan Graves. Należy ona do właściwych płaszczek, i jest podobna dzisiejszym ale całkowicie otoczona szeroką, giętką, skórzastochrzęstkową płetwą. Zdaje się, że skóra była gładką, i żaden na niej ślad nie pozostał kolców, węzłów lub innego oręza. P. Egerton wnosi z téj bezbronności, że musiała być, jak drętwik, elektrycznym przyrządem opatrzona. Autor opisu dał jęj nazwisko *Cyclobatis oligodactylus*.

* Rüppell, w swojej podróży do Sycylii, odkrył nowy gatunek zwierzęcia z gromady sepij (Cephalopoda), który *Verania margaritifera* nazwał.

* Żywy gatunek pątnika (Gecarcinus), rodzaju raka zgłębi Peru, okazywał Tow. Berlińskiemu badaczów natury p. Tschudy, który zwierzę to już od dwóch lat chowa.

* W *Voyages of the Nemesis*, natrafiamy na ciekawy dla entomologów szczegół, ale szkoda że nie ściślej ze stanowiska nauki opisany. Jestto wzmianka o *chrząszczu trąbiącym z Penang*: osobliwy ten owad nie jest nawet wielki; ma długi, trąbkowaty ryjek, gatunek różków, a z ryjka tego (?) tak donośny i miły ton wydaje, iż za ledwie uwierzyć można, że to jest głos owadu: zdaje się być raczej śpiewem ptaszka.

* Co do niszczenia drzew przez ogłódki (*Scolytus*), p. Robert udzielił Ak. Par. um. niektórych postrzeżeń, a między innymi, że „drzewa te zdają się najlepiej rosnać; liście z nich nie opadają ani wcześniej ani później jak z drzew sąsiedzkich, mniej przez owady dotkniętych; a jednakże za troskliwém przejrzeniem kory okazuje się, że nietylko w odległości około 3 stóp od ziemi, pierścień kory na 6 do 9 stóp szeroki, w skutek zniszczeń przez ogłódki zupełnie obumarł, ale nawet że warstwy drzewa najbliższe kory, są témże zniszczeniem dotknięte.

* Chirurg John Ashton Bostock donosi w liście do swego ojca, że między Cawnpore a Agra w przednich Indyach, dokładnie uważał przeciąg szarańczy lecącój ku wschodowi, i z prędkością czterech mil Angielskich na godzinę. Wózek listowój poczty, którym pędził w kierunku przeciwnym, był mimo tego, przez trzy godziny wśród roju szarańczy, tak ćmiącego i powietrze i widokrąg cały, że nawet blisko leżące przedmioty, ledwie można było rozpoznać. Za spojrzaniem do góry, zdawało się, jakoby nader tłumny i ciężki śnieg padał, a ziemia tak była pokryta owadami, jak podczas jesieni spadłemi liśćmi. Wiele nawpadało do lektyk podróжных: były na 2½ cala długie, koloru cielistego, z ciemno-brunatnemi zmianami; krajowcy wszelkiój dokładali usilności, ażeby je z pól pospędzać. (*Annals and Magaz. of natural history. June 1844, Supplementary Number*).

* Schomburgk, w sprawozdaniu ze swojej podróży do źródeł Takutu, namienia, że błędząc po sawannach, natrafiał często na gniazda pszczół dzikich. „Należały one do gatunku, który Indyanie Makuzowie, nazywają *wampang* (*Wapisiana camuiba*). Gniazda ich czyli pnie, uczepione są zwykle u gałęzi drzewa, i 2 do 3 stóp są długie. Materiałem, z którego te pszczoły budują, są kawałki drzewa polepione pewnym klejem; pszczoły dopóty masę tę przedeptują, dopóki nie nabędzie ścisłości papieru, i nie zamieni się w stałą tkaninę. Komórki ich są sześcioboczne, i jak zwykle zawierają czerw i miód: ten ostatni nadzwyczajnie słodki. Rzeczą jest szczególną, że w żadnym z tych gniazd (a Schom-

burgk wiele ich otwierał) ani śladu wosku nie było. Pszczoła jest małą, nie dłuższą nad $\frac{2}{10}$ do $\frac{1}{2}$ cala. Ciało ma ciemnobrunatne i włosiste, z wejrzenia jak axamit; skrzydła od odwłoka (tylne) czarne, obwiedzione rdzawym, prawie żółtym paskiem; skrzydła górne przezroczyste z końcami brunatnemi, i ośmiu do dziewięciu komórkami odznaczone. Kole bardzo boleśnie, a Indyanie, żeby się do gniazd dostać, rozniecają ogień pod niemi, poczem owady całą masą opuszczają mieszkanie swoje. Raz jednakże widział Schomburgk Indyanina, który był zaklinaczem czyli *piaimanem* swego pokolenia, jak przystąpiwszy do gniazda, trącił w nie palcami i tym sposobem całe pszczoły wypędził, przez żadną nietknięty; widział wszakże, jak ten Indyanin piérwój palce pod pachą pottrzymał.

* *Jaja much jadalne.* W dziele pod tyt. *Mexico as it was and as it is*, przez p. Mayer, sekretarza poselstwa Zjed. Stanów, w Nowym Yorku r. z. wydaném, czytamy co następuje: „Za przybyciem do jeziora (Tezcoco w Meksyku), najpiękniejszy widok się nam przedstawił. Woda tworzyła czystą i wspaniałą płaszczyznę, która w swoim spokojném łonie, każdy pagórek i górę doliny, jak w zwierciadle odbijała; gdy tymczasem ku północy, gdzie się z San Christoval połączy, jezioro i horyzont, nawzajem w siebie przechodziły. Ale szczególną jest rzeczą, że przy zgruntowaniu na samym środku jeziora, woda tamże okazała się nie głębszą nad $2\frac{1}{2}$ stopy. Flisowie całą przestrzeń 12 mil Angielskich zagarniali *żerdziami*, i widzieliśmy na wszystkie strony rybaków po jeziorze brodzących i popychających czółenka które ładowali to rybami, to *jajami much* zebranemi na roślinach, w długie rzędy, jako gniazda dla owadów, rozsadzonych. Jaja te (zwane *agayacatl*), ulubioną były Indyan potrawą, na długi czas przed Hiszpańskim podbiciem; a przypieczone nieco, podobne są z wejrzenia i zapachu do rybiej ikry. Po *żabkach* u Francuzów, i *jaskółczych gniazdach* u Chińczyków, mogą się one uważać jako prawdziwy przysmaczek; i mniemam, że nawet na wykwinnych stołach w stolicy, nie będą wzgardzone. Ojciec Gage

mówi na 111 str. swoich podróży, że „w pewnej porze roku Indyanie mieli siatki, i zamiatali niemi jakiś *proch*, który się tworzy na wodzie Meksykańskich jezior, i (*like oas of the sea*) pozlepiany bywa. Wiele go oni zbierali, składali razem; robili z niego placki jak cegły. I nietylko sprzedawali ten przedmiot na rynku, ale nawet rozsyłali go daleko na inne targi, a z takim smakiem go zajadali, jak sэр; mniemają nawet, iż ta *piana tłustości wodnej*, jest przyczyną, że przybywa na jezioro taka ilość ptaków, niewyrachowana pod zimę.” To pisane było w XVII wieku, a jeszcze teraz nieskończona jest liczba ptaków, dzikich kaczek i t. p., które pokrywają w zimie te jeziora i przyległe im bagna. Wyrachowano, że ich corocznie 120,000 do 200,000 na Meksykańskie targi idzie, i są najtańszą dla ludu żywnością.”

* P. Peters z Mozambiku, przysłał Tow. badaczów natury Berlińskiemu ślimaka wód słodkich, który, jak u rodzaju *Ampullaria*, dwoiste ma organa do oddychania, razem płuca i skrzela. Zwierzę podobne jest do *Ampullaria carinata* ztąd, że ma skorupę na lewo skreconą. Tym sposobem, utworzony przez Montforta z tego rodzaju *Ampullaria* inny *Laniste*, ustala się teraz i obejmuje dwa tylko gatunki: *Laniste carinata*, i *Laniste rosea* (*Bulimus roseus*, Gay).

* P. Schomburg postrzegł pasorzytnego robaka w pijawkach, i opisywał to swoje odkrycie na posiedz. Tow. bad. nat. Berlińskiego. Nowy gatunek (*Heptostomum hirudinum* przez aut. nazwany), należy do rzędu *Trematoda* i do osobnego rodzaju.

* Dwaj podróżujący natury badacze, Delgorgie Francuz, Wilberg Szwed, w kraju Matzakas, w południowej Afryce, przez mieszkańców tamecznych zabici zostali.

* D. 22 grudnia r. z. umarł w Baireuth powszechnie szacowany gieognosta i paleontolog, hrabia Münster. Zostawił jeden z pierwszych w Europie zbiorów skamieniałości.

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844.

WARSZAWA.

243. *Pisma Świętego* (po hebrajsku) Tom. 8. Warszawa. Druk Schriftgiessera. 1844. 8ka. Okładka drukowana.

244. *Hagode szel pesach*. (Opowiadanie na Święta Wielkanocne.) Warszawa. Druk Schriftgiessera. 1844. 12ka. Str. nieliczbowanych 48.

245. *Pojkajach iurim*. (Nauka moralna.) Warszawa. Druk Bomberga. 1844. 12ka. Str. nieliczbowanych 20.

246. *Sefer gorules*. (Księga losów.) Warszawa. Druk Bomberga. 1844. 18ka. Str. nieliczbowanych 24.

247. *Chyduszym upilpulim*, czyli nowe rozprawy dotyczące się przepisów względem zakazu używania potraw mięsnych z mlecznymi, przez rabina Lejb Cynts. Warszawa. Druk Lebenssohna. 1844. 4ka. Str. nieliczbowanych 136.

248. *Tykom lel szewnes*. (Porządek nocy wigilii święta palmowego.) Warszawa. Druk Lebenssohna. 1844. 8ka. Str. nieliczbowanych 260.

249. *Sydor meiras enajim aszknaz*. (Zbiór zwyczajnych modlitw.) Warszawa. Druk Lebenssohna. 1844. 8ka. Str. nieliczbowanych 160.

250. *Cawoes rabi nastoli*. (Książka ta obejmuje testament sławnego rabina Nestati w Ostrowie i Poznaniu.) Warszawa. Druk Lebenssohna. 1844. 8ka. Str. nieliczbowanych 48.

251. *Poel cedek*. (Książka ta zawiera w sobie przykazy i zakazy religijne w liczbie 613.) Warszawa. Druk Lebenssohna. 1844. 8ka. Str. nieliczbowaeych 40.

252. *Bas jftach.* (Powieść z zastosowaniem Pisma Święgo.) Warszawa. Druk Lebenssohna. 1844. 12ka. Str. nieliczbowanych 24.

253. *Mesylas jeszorem.* (Przypowieści moralne.) Warszawa. Druk Lebenssohna. 1844. 8ka. Str. nieliczbowanych 56.

254. *Tykon szlama aszknaz.* (Porządek nabożeństwa całorocznego.) Warszawa. Druk Lebenssohna. 1844. 12ka. Str. nieliczbowanych 282.

W I L N O.

255. Stary mąż komedyja we czterech aktach przez J6-Korzeniowskiego. Wydanie Adama Zawadzkiego. Wilno. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. 1844. 12ka. Str. 138. Okładka drukowana. Cena zł. p. 6.

CZĘSTOCHOWA.

256. Historia zjawienia cudownego obrazu Najświętszej Maryi Panny na kamieniu wyrzeżonego przez pasterzów r. 1683, na drzewie gruszkowém w Leśny. Przez ks. Kazimiérza Dobrowolskiego profesora ś. teologii w seminarjum dyecezalnym Janowskiém. Częstochowa. 1844. 12ka Str. 98. Karta napisowa 1. Przy karcie napisowej nowy odciśk starego miedziorytu, z następującym napisem: „*Decus Podlachiae B. V. Maria Lesnanensis per regnum Poloniae et m. d. Lithvaniae miraculis clarissima, sub fidei cura r. r. p. p. ord. S. Pauli, primi eremitae. Ab anno Domini 1727. constituta.*”

1845.

WARSZAWA.

63. Snopek nadwiślański z płodów piśmiennictwa krajowego zebrali Marcin Ossorya i Karól B. z Jarosławca. Warszawa. Nakład wydawców. Druk Strąbskiego. 1845. 8ka. Str. 369. Kart napisowych, przypisania i spisu przedmiotów str. 4. Okładka drukowana.

64. Przewodnik dla maszynistów kierujących parowozami wydany przez Karola Button Gregory. Przełożony z języka angielskiego przez A. Łapińskiego. Warszawa. Druk Nowakowskiego przy ulicy Daniłowiczowskiej, nr. 617. 1845. 16ka. Str. 68 i tabella porównawcza prędkości biegu parowozów. Okładka drukowana.

65. Bajki powieści i poezye ulotne Hieronima Kalińskiego, własne i z obcych tłumaczone języków. Warszawa. Druk Strąbskiego. 1845. 12ka. Str. 409. Kart napisowych 2. Przypisania karta 1. Listy prenumeratorów kart 6. Listy dodatkowej prenumeratorów karta 1. Erraty karta 1. Okładka drukowana.

66. Dusza kobiety. Zgodłem:

Cnota, pokora, są powinności kobiety: a biada tej kobiecie która się pyszni w wykonywaniu swoich powinności!

Warszawa. Druk Ungra. 1845. 16ka. Str. 42. Okładka drukowana.

67. Próby literackie Ludwika Rocha Jomiołkowskiego. Tomików dwa. Nakład autora. Druk Dietrichowój. 1845. 12ka. Tom I. Str. 153. Listy prenumeratorów str. VI. Spisu rzeczy str. nieliczbowanych 3. Tom II. Str. 205. Karta napisowa I. Spisu rzeczy 1 Oba tomy w drukowanych okładkach.

68. Podarunek Wielkanocny dla dzieci przez Schmidta autora Małego Henrysia. Warszawa. Druk Jaworskiego. Nakład Breslauera. 1845. 12ka. Okładka drukowana. Cena złp. 2.

69. Pojedynek bez świadków przez Bibliofila Jacob, przekład Wandy Maleckiej. Tomików dwa. Warszawa. Kaczanowskiego druk. 1845. 16ka. Tom I. Str. 171. Tom II. Str. 160 Okładki drukowane.

70. Pisma Świętego (po hebrajsku) tom 9. Warszawa. Druk Bomberga. 1845. 8ka. Okładka drukowana.

71. *Hagode szel pesach im hatoka aksznaz.* (Wykład modłów podczas Świąt Wielkanocnych). Warszawa. Druk Szriftgisera. 1845. 12. Str. nieliczbowanych 66.

72. *Iszke lew* (Książka osób szczerzego serca.) Warszawa. Druk Bomberga. 1845. 12ka. Str. nieliczbowanych. 60.

73. *Tykon lel szewnos wchoszana raba* (Porządek nocy wigilii święta palmowego). Warszawa. Druk Szriftgisera. 1845. 8ka. Str. nieliczbowanych 258.

74. *Hagode szel pesach*. (Opowiadanie na Święta Wielkanocne.) Warszawa. Druk Bomberga. 1845. 4ka. Str. nieliczbowanych 32.

75. *Hagada szel pesach*. (Opowiadanie za Święta Wielkanocne). Warszawa. Druk Lebensona. 1845. 12ka. Str. nieliczbowanych 36.

76. *Cawne*. (Ostatnia wola.) Warszawa. Druk Bomberga. 1845. 8ka. Str. nieliczbowanych 17.

77. *Sydor ryna utfila*. (Zwyczajne modlitwy Izraelitów.) Warszawa. Druk Szriftgisera. 1845. 32ka. Str. nieliczbowanych 400.

78. *Hagada szel pesach*. Opowiadanie na Święta Wielkanocne.) Warszawa. Druk Lebensona. 1845. 12ka. Str. nieliczbowanych 36.

79. Choroba skrofuliczna, jej przyczyny, sposoby uniknięcia, oraz środki leczenia przez Juliana] Wejnberg, lekarza klasy pierwszej. Warszawa. Nakład autora. Druk Orgielbranda. 1845. 8ka. Kart napisowych 3. Przepisania 3. Przedślowia str. V. Samego dzieła str. 228. Spisu rzeczy karta. Okładka drukowana.

80. *Recueil de poesies Italiennes et Françaises, par D. A. J.* Warszawa. Druk Banku. 1845. 8ka. Str. 17.

81. *Jadźwingowie* powieść historyczna napisał J. A. Miniszewski. Z godłem:

Patrzcie giaury, jam siny, blady,
Zgadnijcie czyim ja postem?... *Alpuchara*.

Tomów dwa. Warszawa. Nakład Emanuela Glücksberga. Druk Wyszomiérskiego. 1845. 12ka. Tom I. str. 267. Tom II str. 185. Okładki drukowane. Cena zł. p. 13. gr. 10.

RADOM.

82. *Głoskownia* czyli grammatyka polska co do składni szyku, zgody i rzędu, o zdaniach, przecinkowaniu, i przenośniach, przez Konstantego Leona Rewolińskiego, magi-

stra praw obojga, nauczyciela literatury, i języka polskiego przy gimnazyum gubernialném w Radomiu. Radom. 1845. 8ka. Str. 129. Spisu rzeczy str. 1. Listy prenumeratorów str. nieliczbowanych 8.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Kazimiérz Wójcicki wkrótce drukiem ogłosi ciekawy rękopism, obejmujący od r. 1608 panowanie Zygmunta III Władysława IV całkowite, i większą część Jana Kazimierza.

PETERSBURG.

P. Romuald Podberezki wydawca Rocznika Literackiego ogłosił tu iż się zajmuje zbieraniem prenumeraty, na zbiór rycin „Ukrainy malowniczej” wykonania i pomysłu p. Taras Sewczenko, znanego na Ukrainie pod imieniem *Kobzara* czyli narodowego poety: autora poematu *Hajdamaki Tryzna* i pieśni historycznej o rycerzu Hamalija. — P. Sewczenko Ukrainiec rodem, znający dokładnie i dzieje i kraj przedewszystkiem chce przedstawić malowniczy obraz Ukrainy. Strona ta, zajmująca tak ważną kartę w historii Polskiej, nie może być obojętną dla publiczności naszej. Zajęcie to podwaja się w obecnej chwili gdy p. Michał Grabowski zajmuje się ułożeniem ważnego dzieła pod napisem: „*Ukraina dawna i terażniejsza.*” Połączone usiłowania p. Grabowskiego i p. Sewczenko, wyjaśnią wiele ciekawych szczegółów dla dziejów naszych. — *Ukraina malownicza* będzie się dzielić na 3 oddziały. 1). *Widoki Malorossyi* w ogólności, a *wszczególności Ukrainy.* 2). *Współczesny byt narodu:* obrzędy, obyczaje, treść narodowych podań, skazek, i pieśni narodowych w obrazach. 3), *Ważniejsze wypadki wszcze-*

gólności *Ukraińskie*, zaczynając od założenia Kijowa, i czasów w. ks. Litewskiego Gedymina, aż do ostatecznego zniszczenia hetmaństwa. — Wychodzić będzie poszytami i pierwszy poszyt już wyszedł. Cztery poszyty czyli rycin 12 składające kolekcycją roczną, kosztują z przesyłką złp. 40.

L W Ó W.

W dniu 27 lutego r. b. zakończył życie na Pokuciu w Galicyi Dominik Magnuszewski, jeden ze znakomitszych pisarzy naszych: umarł zbyt wcześnie, bo zaledwie lat 30 przeszedł. Pisma jego zebrane w jedno dzieło wyjdą w Warszawie: a dochód zebrany służyć będzie na wystawienie mu nagrobka.

L I P S K.

Księgarnia Zagraniczna wydaje tu wspaniałe drzeworytami ozdobne wydanie poematu Gustawa Zielińskiego, pod napisem Kirgiz, który autorowi zjednał ustaloną wziętość rzeczywistego poety. Nakład wydania tego ofiarował p. Ksawery Branicki, a do drzeworytów rysunki wykonał p. Aleksander Rzyszczewski. Księgarnia Zagraniczna prócz komisu niechce innego zysku, i chętnie obróci na wyłączną korzyść autora, te obywatelskie ofiary i nakładzcy i rysownika.

Do niniejszego zeszytu Biblioteki Warszawskiej dołącza się tekst rycin Paleontologii Polskiej Ludwika Zejsznera, zamieszczonych w końcu ostatniego tomu zeszłorocznej Biblioteki.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

July 1845.

Wydrukowano w Warszawie w drukarni...

Wszystkie dane w tym tabeli są w jednostkach...

TERMO-METRY w milimetrach sprężelności				BAROMETR w milimetrach sprężelności				Dzień
10	0	10	0	10	0	10	0	
100	90	80	70	760	750	740	730	1
90	80	70	60	750	740	730	720	2
80	70	60	50	740	730	720	710	3
70	60	50	40	730	720	710	700	4
60	50	40	30	720	710	700	690	5
50	40	30	20	710	700	690	680	6
40	30	20	10	700	690	680	670	7
30	20	10	0	690	680	670	660	8
20	10	0	-10	680	670	660	650	9
10	0	-10	-20	670	660	650	640	10
0	-10	-20	-30	660	650	640	630	11
-10	-20	-30	-40	650	640	630	620	12
-20	-30	-40	-50	640	630	620	610	13
-30	-40	-50	-60	630	620	610	600	14
-40	-50	-60	-70	620	610	600	590	15
-50	-60	-70	-80	610	600	590	580	16
-60	-70	-80	-90	600	590	580	570	17
-70	-80	-90	-100	590	580	570	560	18
-80	-90	-100	-110	580	570	560	550	19
-90	-100	-110	-120	570	560	550	540	20
-100	-110	-120	-130	560	550	540	530	21
-110	-120	-130	-140	550	540	530	520	22
-120	-130	-140	-150	540	530	520	510	23
-130	-140	-150	-160	530	520	510	500	24
-140	-150	-160	-170	520	510	500	490	25
-150	-160	-170	-180	510	500	490	480	26
-160	-170	-180	-190	500	490	480	470	27
-170	-180	-190	-200	490	480	470	460	28
-180	-190	-200	-210	480	470	460	450	29
-190	-200	-210	-220	470	460	450	440	30
-200	-210	-220	-230	460	450	440	430	31
-210	-220	-230	-240	450	440	430	420	32
-220	-230	-240	-250	440	430	420	410	33
-230	-240	-250	-260	430	420	410	400	34
-240	-250	-260	-270	420	410	400	390	35
-250	-260	-270	-280	410	400	390	380	36
-260	-270	-280	-290	400	390	380	370	37
-270	-280	-290	-300	390	380	370	360	38
-280	-290	-300	-310	380	370	360	350	39
-290	-300	-310	-320	370	360	350	340	40
-300	-310	-320	-330	360	350	340	330	41
-310	-320	-330	-340	350	340	330	320	42
-320	-330	-340	-350	340	330	320	310	43
-330	-340	-350	-360	330	320	310	300	44
-340	-350	-360	-370	320	310	300	290	45
-350	-360	-370	-380	310	300	290	280	46
-360	-370	-380	-390	300	290	280	270	47
-370	-380	-390	-400	290	280	270	260	48
-380	-390	-400	-410	280	270	260	250	49
-390	-400	-410	-420	270	260	250	240	50
-400	-410	-420	-430	260	250	240	230	51
-410	-420	-430	-440	250	240	230	220	52
-420	-430	-440	-450	240	230	220	210	53
-430	-440	-450	-460	230	220	210	200	54
-440	-450	-460	-470	220	210	200	190	55
-450	-460	-470	-480	210	200	190	180	56
-460	-470	-480	-490	200	190	180	170	57
-470	-480	-490	-500	190	180	170	160	58
-480	-490	-500	-510	180	170	160	150	59
-490	-500	-510	-520	170	160	150	140	60
-500	-510	-520	-530	160	150	140	130	61
-510	-520	-530	-540	150	140	130	120	62
-520	-530	-540	-550	140	130	120	110	63
-530	-540	-550	-560	130	120	110	100	64
-540	-550	-560	-570	120	110	100	90	65
-550	-560	-570	-580	110	100	90	80	66
-560	-570	-580	-590	100	90	80	70	67
-570	-580	-590	-600	90	80	70	60	68
-580	-590	-600	-610	80	70	60	50	69
-590	-600	-610	-620	70	60	50	40	70
-600	-610	-620	-630	60	50	40	30	71
-610	-620	-630	-640	50	40	30	20	72
-620	-630	-640	-650	40	30	20	10	73
-630	-640	-650	-660	30	20	10	0	74
-640	-650	-660	-670	20	10	0	-10	75
-650	-660	-670	-680	10	0	-10	-20	76
-660	-670	-680	-690	0	-10	-20	-30	77
-670	-680	-690	-700	-10	-20	-30	-40	78
-680	-690	-700	-710	-20	-30	-40	-50	79
-690	-700	-710	-720	-30	-40	-50	-60	80
-700	-710	-720	-730	-40	-50	-60	-70	81
-710	-720	-730	-740	-50	-60	-70	-80	82
-720	-730	-740	-750	-60	-70	-80	-90	83
-730	-740	-750	-760	-70	-80	-90	-100	84
-740	-750	-760	-770	-80	-90	-100	-110	85
-750	-760	-770	-780	-90	-100	-110	-120	86
-760	-770	-780	-790	-100	-110	-120	-130	87
-770	-780	-790	-800	-110	-120	-130	-140	88
-780	-790	-800	-810	-120	-130	-140	-150	89
-790	-800	-810	-820	-130	-140	-150	-160	90
-800	-810	-820	-830	-140	-150	-160	-170	91
-810	-820	-830	-840	-150	-160	-170	-180	92
-820	-830	-840	-850	-160	-170	-180	-190	93
-830	-840	-850	-860	-170	-180	-190	-200	94
-840	-850	-860	-870	-180	-190	-200	-210	95
-850	-860	-870	-880	-190	-200	-210	-220	96
-860	-870	-880	-890	-200	-210	-220	-230	97
-870	-880	-890	-900	-210	-220	-230	-240	98
-880	-890	-900	-910	-220	-230	-240	-250	99
-890	-900	-910	-920	-230	-240	-250	-260	100

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Luty 1845.

Średnia wysokość barometru miesięczna	^m 746.268	^{c. 1} 27 6.818
Najwyżej barometr dochodził d. 13 o 10 g. r.	758.24	28 0.125
Najniżej „ „ d. 6 o 6 g. r.	731.23	27 0.151
Średnia zmiana dzienna wysokości barometru	4.26	1.89
Największa zmiana dzienna d. 8—9 o 6 g. r.	11.56	5.12
Średnia wysokość barometru jest niższa o	4.971	2.203
od stanu normalnego z 19 lat poprzed.	751.239	27 9.021

Średnia temperatura lutego wynosi — 10^o.34 C. — 8^o.27 R
i ta jest niższą o 7.07 „ 5.65 „
od stanu normalnego z 19 lat popr. — 3.271 „ — 2.617 „

Największe ciepło dochodziło d. 24 o 10 w. + 1.0 „ + 0.8 „
Największe zimno d. 20 o 6 g. r. — 28.0 „ — 22.4 „

(Termometograf wskazał: max. + 1^o.0 R.
d. 24 w.; min. — 22^o.6 R. d. 20 r.).

Średnia zmiana dzienna temperatury 4.31 „ 3.45 „
Największa zm. dzien. d. 17—18 o 10 w. 16.5 „ 13.2 „

Średnia wilgotność powietrza wynosi 97.5. biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, czyli 2.79 grammów na jednym metrze sześciennym objętości.

Średnia temperatura miesięczna źródła:
za pałacem Kaźmirowskim + 6^o.15 R.

Dni pogodnych było 4 na pół pogodnych 11; pochmurnych 13.

— deszczu 1 (d. 1).

— śniegu 16 (d. 4, 5, 6, 7, 8, 12, 16, 17, 18, 20, 22, 23 24, 26, 27, 28),

— mgły 5 (d. 3, 7, 11, 13, 14, 17).

Wody z deszczu spadło wysoko 29.8 mil., czyli 13.2 lin. paryż. to jest więcej o 6.43 mil. niż zwykle w lutym wody spada.

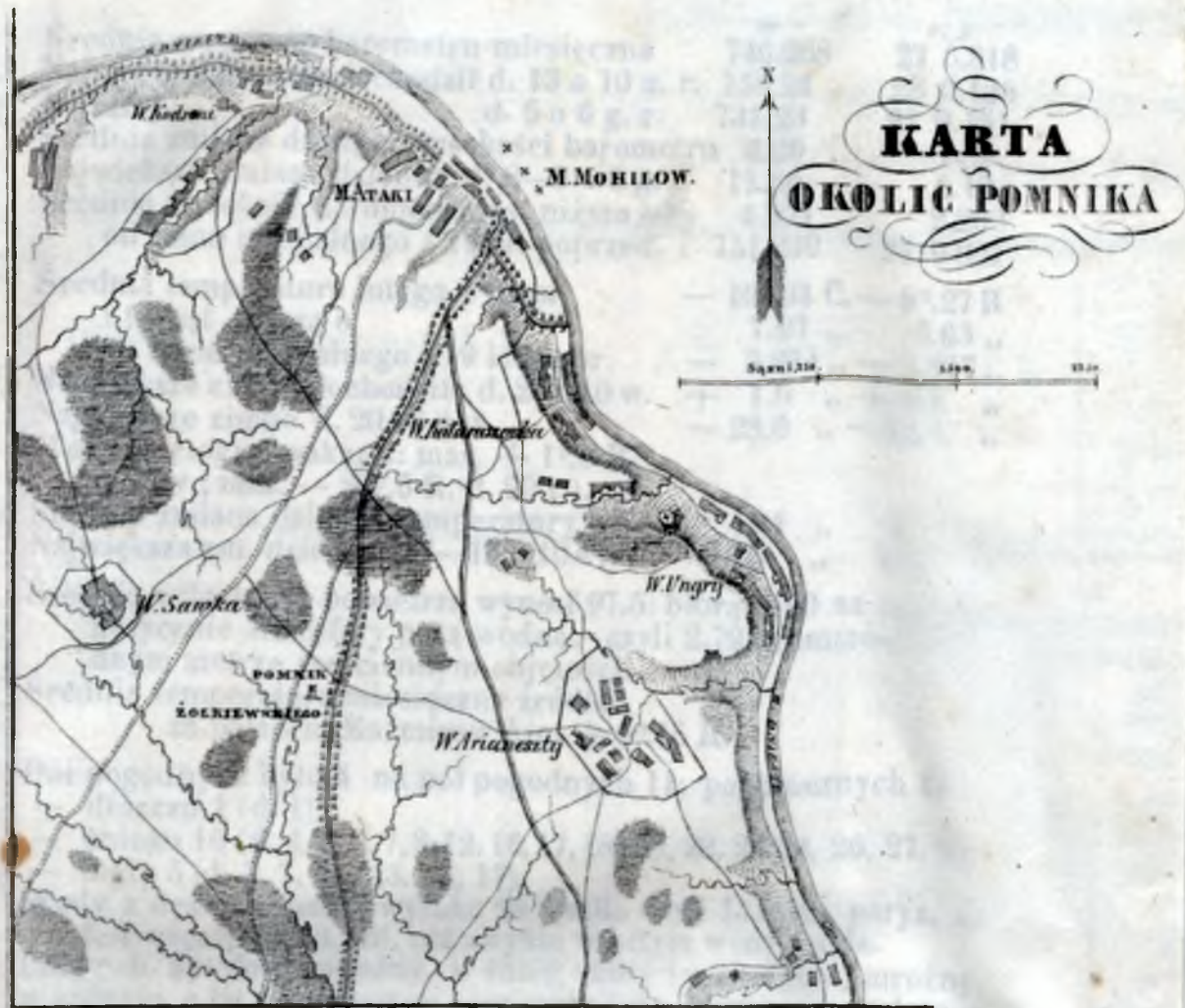
Luty r. b. był dość pogodny, w śnieg obfity i nadzwyczaj mroźny. w żadnym z lat upłynionych począwszy od r. 1779 nie było lutego równie mroźnego jak w r. b.; przez cały bowiem miesiąc znaczne mrozy trwały, największe były od d. 8 do 22. Średnia temperatura lutego była niższa o 5^o.65 R. od stanu normalnego; o 6^o.5 R. od stycznia r. b.; o 11^o R. od lutego w r. 1843. Dnia 24 gdy z rana mróz dochodził 10^o.4 R. wieczorem przy ciepłe 1^o R. deszcz przez kilka minut padał. Lata w których luty był mroźny są: r. 1782, 1808, 1814, 1816, 1821, 1827, 1829, 1830, 1837 i 1841; najzimniejszy był w roku 1814 i 1841 gdzie średnia jego temperatura wynosiła — 7^o.63 r.

Wiatr panujący był zachodni.

Wichrow i wiatrów mocnych było 4; to jest PnW. 1; Z. 2; PnZ. 1.

Koło białe otaczało słońce d. 9 i 19.

Obwód białą naokoło księżycy d. 18, 19, 21.



POMNIK HETMANA ŻÓŁKIEWSKIEGO.

KARTA
POMNIK



POMNIK ZOLKIEWSKIEGO w BESSARABII .
wprowadził na miejscu 13. Maja 1843 J.W.

POMNIK ZOLKIEWSKIEGO

**ZGON ŻÓŁKIEWSKIEGO
W CECORSKIEJ WYPRAWIE,
I POMNIK JEGO W BESSARABII.**

OPOWIADANIE HISTORYCZNE,

na zbiorze świadectw i dokumentów społecznych oparte,

przez

Michała Balińskiego.

Powodem do ułożenia niniejszego pisma, było przysłanie do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej od gien. hr. Kr. rysunku pomnika stojącego dotąd w dzisiejszej Bessarabii, który wzniesiono w tém samym miejscu, gdzie poległ hetman i kanclerz w. koronny Żółkiewski, oraz planu topograficznego całej okolicy, zdjętego r. 1830. Jednocześnie prawie nadesłany został przez ks. Jeremiasza Woronieckiego widok tegoż samego pomnika, zrobiony na miejscu w r. 1843. Opis i objaśnienie tej pamiątki smutnej, ale razem wielce nauczającej, wymagał głębszych i ściślejszych badań o samym wypadku, nad te, które dotąd znajome w druku były. W pilnym poszukiwaniu źródeł, znalazło się w różnych bibliotekach kilka rękopismów, kilka rzadkich relacyj tej pamiętnej wyprawy. Utworzona ztąd całość, może da nieco dokładniejsze o niej wyobrażenie.

I.

Schylało się już do zachodu niedołęzne panowanie w Polsce Zygmunta IIIgo; rozdrażnione nietrafnym i nie-

Janina Grabowska

wczesném jego działaniem namiętności na polu religii i praw politycznych, wrzały we wszystkich stanach, i gwałtownym nieraz wybuchem, objawiały nieszczęsną przyszłość dla kraju. Nie stało narodowi mądrego i walecznego Stefana, który potęgą umysłu i oręża, umiał wzbudzić dla siebie cześć i posłuszeństwo równie w dumnych możnowładzcach, jak w skłonném do samowolności żołnierstwie. Wprawdzie panowie zawsze gotowi do ofiar i obrony ojczyzny, rycerstwo zawsze dzielne i skore do walki, a roje ludzi zdolnych, a nawet wielkimi przymiotami obdarzonych i o sobie dla ziemi rodzinnój umiejających zapominać, uświetniły zachmurzającą się pomyślność Polski. Ale nie było stérnika, coby się potrafił wzniesć nad groźne okoliczności, które ją zewsząd otaczały; nie było męża, coby umiał tchnąć ducha harmonii w tę burzliwą społeczność, porywaną od rozlicznych, a najczęściej wbrew sobie przeciwnych zasad. Zygmunt III niezdolny w mierności umysłu do ogarnięcia całej wielkości przeznaczenia swego na tronie Jagiellów, których był po kądzieli potomkiem, zachował wszystkie niedostatki pierwiastkowego wychowania. Dobrotliwość tylko przyrodzona, wzbudzając współluczucie w łagodnym także z natury narodzie, miękczyła niechętnych. Zresztą, uparty wraz powziętém zdaniu, a najnietrafniejszy w widokach politycznych, ileż razy wciągnął kraj w kosztowne i niepotrzebne wojny, które mu wprawdzie sławę niezmiennie, a korzyści prawie nigdy nie przynosiły! Do takich należy słynna owa ze smutnego rozwiązania swego, wyprawa, Cecorską nazwana. Dawno już przygotowane były wypadki, których najtragiczniejszą chwilę opowiedzieć mamy; swawola przemożnej szlachty, tak dzielnie w karbach posłuszeństwa prawom przez Batorego

utrzymana, objawiła się zgubnie dla kraju pod słabém berłem Zygmunta, w zuchwałej najprzód wyprawie (r. 1612) Stefana Potockiego na Wołoszczyznę, a potem w podobnychże walkach na téj niefortunnej dla Polaków ziemi, Samuela Koreckiego i Michała Wiśniowieckiego. Wszyscy trzej mężni i szlachetni, lecz dla pokrewieństwa z ukrzywdzonym przez Turków Mohiłą hospodarem, na dobro i bezpieczeństwo całego narodu zapominający, ośmielili szanujących dotąd granice Polskie Ottomanów, do jój napastowania. Nie miał dosyć siły Zygmunt III, ani dosyć powagi, do powściągnięcia lekkomyślnych przedsięwzięć niesfornego możnowładztwa. Sprawiedliwa i wszechmocniejsza Opatrzność, surowo ich ukarała: płochość bowiem swą jedni utratą wolności, drudzy życiem przypłacili, wystawiając z siebie krajowi żałośnie widowisko tylu dowodów męztwa, tylu znakomitych i najprzezacniejszych czynów, tylu nakoniec rycerskich mężów marnie zgubionych, i jakby umyślnie, żeby nowego na barki udręczonej ojczyzny ściągnąć nieprzyjaciela. Od téj fatalnej epoki, rosnącą z każdym rokiem niechęć Turków względem Polski, pomnażały zuchwałe najazdy kozaków Zaporoskich, aż pod mury Carogrodu błyskające pożarem wsi i okrętów Muzułmańskich. Wojenny lud ten, rozumnie urządzony od króla Stefana, nieczując już nad sobą hamulca, w który go tylko tak rycerski władca jak on, i tak dzielny rząd w kraju, jakim był za niego, ująłby potrafił; rozpasał się bardzo prędko na ponętne dla bogatych zdobyczy wyprawy, do ziemi mahometanów. Nawzajem Turcy nierozpoczynając jeszcze osobiście walki z Polską, rozpuszczali na nią przez zemstę ómy Tatarów, które grasując po Ukrainie i Podolu, straszliwie kraj pustoszyły, i najsilniejszą ludność jassyrem

wypleniały. Niewiele pomogły kommissye na powściągnięcie samowolności kozackich posyłane; na nic się nie zdały demonstracye wojenne siedmiesięcioletniego hetmana Żółkiewskiego i trwożliwe układy jego z Turkami pod Buszą (1) r. 1617. Sędziwy jego wiek, niemożący już wydołać trudnym i nagłym okolicznościom, a nadewszystko niewłaściwe polecenia królewskie tajnie mu dawane, i zawistne postęпки Zbarażskich, Sieniawskich i innych panów, sławie rycerskiej i doświadczeniu hetmana ubliżające, psuły i niweczyły najpiękniejszą porę, do odparcia zamachów bisurmańskich na Rzeczpospolitą. Wśród tak ważnych i groźnych wypadków, zastał rok 1620 Polskę, trapiącą ustawicznymi wojnami zewnątrz, a rozterkami domowymi wewnątrz. Ale na domiar niebezpieczeństwa wiszącego nad nią, zjawił się wówczas na horyzoncie politycznym człowiek; który zdaje się, jakoby odebrał z góry posłannictwo do ostatecznego rozerwania odwiecznie trwających dotąd sojuszków, między państwem Jagiellów, a potęgą Ottomanów. Był to niejaki Graziani (2), rodem Grek, przebiegły i dumny, a bogactw i prędkiego wyniesienia się pożądlivy. Własnymi zabiegami i za wstawieniem się Polski, na mocy traktatów z Turcyą, mianowany od sułtana Achmeta hospodarem Wołoskim, nieufając trwałości losu pod zwierzchnictwem wyznawców islamizmu, a ciągle trwożony od różnych mataczów wieścią, że kto inny dostojność jego posiadzie, postanowił wyrwać kraj podległy sobie zpod

(1) Wieś *Bazudza* (podług *Sękowskiego: Collectanea z dziejopisów Tureckich, rzeczy do Historji Polskiej służących*. Warszawa T. I, str. 128); była wówczas stanowiskiem Żółkiewskiego, a Turcy pod Iskienderem paszą, zajmowali miasteczko *Budzile* nad brzegami *Turly*, tojest Dniestru.

(2) Polscy dziejopisowie zowią go Gracyanem, Tureccy Gaszpar.

władzy Tureckiej, i poddać go pod chrześcijańską, zdawna przyjaznym sobie Polakom. Knuły się tedy zaraz od początku gospodarstwa jego na Wołoszczyźnie, stosowne do tych zamiarów, zmowy i przygotowania. Wiedział o nich Żółkiewski, lecz ostrożny w postępowaniu, przestawał tylko na donoszeniu o tém, co się zanosilo, królowi. W stolicy jednak i państwie Gracyana, zamiary te coraz jawniejszemi się stając, doszły nakoniec do tronu młodego Osmana, który po Achmecie berłem Muzułmańskim zawładnął. Jeden ze znakomitych wodzów Iskiender pasza (Skinder pasza) bejlerbój Uzyjski, to jest rządca Bessarabii, zalecony już z powodzenia swego w walkach z Potockim, Koreckim i Wiśniowieckim, odebrał rozkaz czuwania nad postępami Gracyana i Polaków, dla których już wreszcie zaprzestano w Carogrodzie okazywać takich nawet względów, do jakich każda potęga udzielna ma prawo. Rok wszakże 1619 przeszedł jakieśmy już wspomnieli, na wzajemnych zabiegach między Gracyanem a Turkami, na umowach Żółkiewskiego z Iskiender paszą, na zbieraniu sił wojennych i na usiłowaniach poskromienia kozaków (1). Tymczasem zbieg innych ubocznych okoliczności nieprzyjaznych Polsce, niedołęztwem Zygmunta zrodzonych, przyśpieszył postęp gotującej się nawałnicy. Uporczywe, a nierozważne przywiązanie jego do domu Rakuskiego, zawsze ze szkodą kraju w czynach objawiające się, pozbawiło Betlem Gabora księcia Siedmiogrodzkiego przez wysłanie na pomoc cesarzowi Lisowczyków, panowania nad Węgra-

(1) Do świadectw spółczesnych, wyjaśniających te ważne okoliczności, przybył list Żółkiewskiego pisany do króla 15 lipca r. 1619 z Żółkwi, umieszczony w szacownym zbiorze, *Źródła do Dziejów Polskich* T. 1, 102.

mi. Z drugiej strony Tomza za staraniem Polaków, wyrzucony został z gospodarstwa Wołoskiego. Oba ci ludzie przysięgłszy zemstę Zygmuntowi i Polakom, żadnych nieszczędzili usiłowań w Konstantynopolu, do podsycenia wzrastającej nienawiści Osmana. Wtém Gracyan bojąznią kary pobudzony, nagłém oświadczeniem się hetmanowi Żółkiewskiemu, że siebie i kraj swój pod hołd i zwierzchność Polski poddaje, rozerwał ostatnie już ogniwa, zaledwie jeszcze trzymającego się pokoju. Za dojściem wiadomości o takim postępku Gracyana, poseł Zygmunta Otfinowski gwałtownie oddalony ze stolicy Ottomańskiej, i wszystkie stosunki sąsiedzkiej spokoju zerwane; wojna z całym brzemieniem klęsk swoich zbliżyła się groźnie do granic Polskich. Wnet nawalał bursurmanów na skinienie sultana z Carogrodu, wysypała się z Azji i Europy pod wodzą Iskiender paszy, poprzedzona hordami Tatarów Krymskich, na zupełne zagrabienie zpod wpływu chrześcian żyznej Wołoszczyzny, i zemszczenie się za męzne w niej dokazowania Polaków (1).

Żółkiewski siedmdziesięciu lat czynnego i chwalebego żywota dopełniający, chociaż czérstwy jeszcze, i dawnéj bystrości umysłu niepozbawiony, doświadczał jednak, przepędzając w dziedziectwie swém Żółkwi, porę wiosenną r. 1620, delegliwości towarzyszących podeszłemu wiekowi (2). Ztamąd on czuwał z niezmordowaną bacnością na postęпки Gracyana, tam odbierał od niego

(1) Iskiender pasza, dopiero w sierpniu r. 1620 uwiadomiony został o otwartym buncie Gracyana. Ob. *Collectanea Sękowskiego* T. I, 131.

(2) Wspomina o tém list Reginy z Herburtów Żółkiewskiej, żony hetmana, pisany 11 maja r. 1620 z Żółkwi do Tomasza Zamojskiego wojewody Kijowskiego, który z autentyku między dokumentami przy końcu tego pisma umieszczamy pod Nr. I.

ustawiczne poselstwa, tam się dowiadywał o obrotach sił Tureckich, i zamiarach dowódcy Iskiender paszy. Wszakże, skoro tylko sprawy Wołoskie zaczęły się coraz w groźniejszej postaci objawiać, mury wspaniałego zamku Żółkwi, zagrzmiały odgłosem wojennych przygotowań. Wiedli tu swoje dzielne hufce, krewni i przyjaciele, a sędziwy hetman stawając na czele ochoczego do walki rycerstwa, ostatni raz na ojczystej ziemi przypasywał szablę, tylu zwycięstwami słynną; ostatni raz odebrał dowody pieczołowitości czulej i zacnej małżonki, przy wyprawie do walki z nieprzyjaciółmi imienia chrześcijańskiego. Regina Herburtowna Żółkiewska, w jednym z najznakomitszych i najoświeceńszych domów Polskich wychowana, należała do owych czcigodnych matron swojego wieku, które silne przywiązanie do wiary przodków, łącząc z wrodzoną miłością kraju, umiały bez wahania się poświęcać dla obowiązków, jakie ztąd wynikły, wszystkie, nawet najdroższe uczucia serca swego; męskość jej umysłu i pogoda pięknej duszy, w wielkich zdarzeniach, wydatniej się jeszcze ukazywały. Znajdziemy to naprzykład w jej liście, pisanym do siostrzana swego, Tomasza Zamojskiego wojewody Kijowskiego. „Aczem zabawna wyprawą Jego Miłości pana małżonka swego na wojnę; jednak chciałam kilka słów Waszmości, spólnie zdrowie nawiedzić, zwłaszcza słysząc o jakiejś niesposobności Jejmości saméj; czego mi bardzo żal, jeśli tak jako ludzie udają. Trzeba to Waszej Miłości wiedzieć, ze szklenicami a z białemi głowami, trzeba po mału jeździć i szanować, dla spólnych pociech i błogosławieństwa Bożego, którego ja Waszmości z serca życzę. Jego Miłość daje znać Waszmości o niebezpieczeństwach, które zachodzą kościół Boży i Ojczyznę. Pewnam

tego, że Waszmość nie zaniechasz zwykle dopomagać, zastawiać się za to przykładem zacnego domu swego, i przodków swych. My Pana Boga prosić będziemy, aby raczył pofortunić. Zalecam się przytém powinnej łasce Waszmości, mego miłościwego Pana, także i Jejmości mej miłościwej Pani. Dan w Żółkwi 5 dnia lipca roku 1620, Waszój Miłości mego miłościwego Pana, życzliwa ciotka i służyc gotowa, Regina z Żółkwi Żółkiewska ręką swą (1).”

Na początku sierpnia, już hetman wielki koronny, znajdował się w obozie, ściągając wojska na obronę granic kraju; tymczasem Gracyan nie przestawał częstemi poselstwami, i pisaniem do Żółkiewskiego, coraz usilniej błagać Polaków, ażeby śmiałym pochodem na Wołoszczyznę, uprzedzili napaść Iskiender paszy, i wniesli wojnę do ziemi nieprzyjacielskiej, obiecując razem liczne posiłki z Wołochów i osobistą gotowość (2). Żółkiewski długim doświadczeniem nauczony ostrożności, a żywością młodemu wiekowi właściwą, do porywczych działań już niezapalający się, nie był skwapliwym w przychyleniu się do rad i żądań porywczego Gracyana. Chociaż więc na czele wojska już stojący, jednak całą tę sprawę, przy wierném wystawieniu jój prawdziwego położenia, królowi do ostatecznej woli i rozkazania odesłał. Zygmunt za odebraniem listów hetmana w Warszawie, złożył natychmiast radę, na której zdania pokazały się zupełnie rozdzwojnemi. Jedni ostrożniejsi, i tych większa liczba była, wi-

(1) Ob. między dokumentami list ów podług dawniej pisowni, z oryginału przytoczony, pod Nr. 2.

(2) *Kobierzycki, Historia Vladislai, Poloniae et Sueciae principis*, Dantisci 1655. Lib. IX, pag. 666.

dząc szczupłość sił naszych, a razem niedowierzając stałości w oświadczeniach Wołoszyna, przekładali usilnie, żeby nieprzyjmując ofiar jego, ani narażając kwiatu rycerstwa w bojach wyćwiczonego, jedynę prawie nadziei kraju, przestać na strzeżeniu granic. Lecz naprzeciw takim radom, powstał z natarczywością Andrzej Lipski, biskup Łucki i podkanclerzy koronny, człowiek charakteru cierpkiego i obyczajów surowych, który wbrew powołaniu swemu, burze nad pokój przenosząc i niezgłębiając rzeczy, domagał się bezzwłocznego opanowania Wołoszczyzny. „Pocóż utrzymywać żołnierza, nierozwaznie rozprawiał, jeżeli t en zamiast walki z nieprzyjacielem, gnuśnić tylko ma w obozowém próżniactwie (1)?” Zygmunt niestety chwycił się, jak najczęściej bywało, niedojrzałej rady, i natychmiast posłał rozkazy hetmanowi wkroczenia na Wołoszczyznę, i następnie, działania według umysłu i woli swojej. W trudném położeniu znalazł się wówczas Żółkiewski. Wiedział on dobrze, ilu miał zawistnych sobie na dworze królewskim, a nawet w obozie własnym; jakizby okrzyk powstał zewsząd na niego, gdyby poddających się Wołochów, zostawił losowi własnemu; lecz obok tego obejrzawszy się na szczupłość zaledwie pięcioletniego wojska, któremu dowodził, bacząc na niepewność chępliwych obietnic Gracyana, a nadewszystko bolejąc nad niepojętém lekceważeniem potęgi i wojny Tureckiej przez króla, doradców jego a nawet kraj cały, z wątpliwością i jakby przecuciem smutnej przyszłości, przystępował do ostatecznych kroków. W chwili takich namysłów, w Barze gdzie się wojska ściągnęły

(1) Id. ibid. p. 668, *Łubieński Stanisła: Opera posthuma, Antwerp. 1647. Censura Julii Belli p. 233.*

zaszedł rozkaz Zygmunta, wtenczas właśnie, kiedy głośne nalegania szlachty Ukrainnej, i całego rycerstwa boju niecierpliwego, oskarżając go o zwłokę w działaniu, wzywały do śpiesznego wkroczenia na ziemię Wołoską. Sędziwy hetman gotowością i duchem rycerskim wojska ożywiony, woli królewskiej posłuszny, dał znak 15 sierpnia 1620 r. do wyruszenia wszystkim półkom, ku blizkim granicom Wołoszczyzny. Sam zaś czując, że się w stanowczej chwili żywota swego znajdował, jakby dla objawienia całemu narodowi i potomności, jakie były myśli i postęпки jego w téj walnej sprawie Rzeczypospolitej, ten pamiętny list w rodzinnym języku, do króla Zygmunta napisał (1):

„Najjaśniejszy Miłościwy królu Panie mój Miłościwy.

Służby swe powolne pokornie zaleciwszy do Miłościwej łaski W. K. M.

Klejnotu mnie od W. K. M. powierzonego, nie chciałem dać w nieprzezpieczeństwo, na które sam się *non invitus* biorę: wpisałem wliście przyczyny, dla których opuściwszy *tutiora*, *fortiora consilia* przedsięwziąłem. W téj Rzeczypospolitej, nierządnej, krnąbrnej, trudno inaczej téż. I prywata mię necessityowała, obmowiskami, detrakcyami (do znoszenia choć i wielkim umysłem zawždy przykre) *passim* mię i niewinnie urągano. A to

(1) Autor dziejów panowania Zygmunta III, tak wielkiego talentu pisarskiego, samém opowiadaniem powieści historycznej dowódzyszy, nietyle okazał ścisłości pod względem krytyki. ile od każdego dziejopisa, a mianowicie, ważnej owéj epoki jaka jest Zygmunta III, wymagać mamyprawo. Tenże sam list umieszczony przez niego w księdze VIII tom III str. 251, nietylko bezwzględniém wygładzeniem stylu, pozbawiony został charakteru swego, właściwego wiekowi w którym był pisany, ale nadto, przemieniony dodatkami, stracił zupełnie wszelką cechę autentyczności. My

i teraz, gdyby Wołochom proszącym nie dało się ratunku, wielka do obmowiska materya, i pewnieby mię to nie chybiło. Jużż teraz do tego przychodzi, że albo (co P. Boże daj) zwyciężymy nieprzyjaciela, albo nas zwycięży nieprzyjaciel (czego nas P. Boże broń). Padnieli co uchowaj Boże przeciwnego z nieszczęściem Rptěj, nie chcę być *superstes duarum*, tegom szukał nie nad wolą swoje; rad żywot położę dla wiary św., dla służby W. K. M., dla Rzeczypospolitéj, choć to od niej za wiele prac, za trudy odwagi, miasto wdzięczności, wielkiem ponosił *opprobria*, żale. Nie mogę jednak, jeno najlepiej życzyć ojczyźnie swój, com dobrym umysłem uczynił. W niebie będzie za to da P. Bóg zapłata. Jeśli téż, jako mam nadzieję, Pan Bóg raczy przeciwko nieprzyjacielowi pobłogosławić, wždy zazdrościwe Petuliuszów języki ucichną. To tedy jest do inszych niemała przyczyna, żem na tę rezolucyą przypadł, toż za zgodném wojska wszystkiego zdaniem. U Pana Boga w tajemnicy, jako rzeczy padną, Masz Najjaśniejszy królu panie mój, wielką przed sobą sprawę. Wojna z Turki nie igrzysko; albo Turków trzeba zrazić z ich przedsięwzięcia, którzy chcą téj Rzeczypospolitéj i wszystkiemu światu panować, albo tobie królestwo stracić. Zginie, czego strzeż Boże Rzeczpospolita, tu potrzeba królu panie mój, żebyś *intendas vires animi ingeniique*. Jest z łaski Bożej tak spo-

otrzymawszy ze zbiorów p. Leona hr. Rzysszczewskiego wiarogodną i spółczesną kopią (kopia listu nieboszczyka, pana Żółkiewskiego kanclerza i hetmana koronnego) w rękopiśmie XVII wieku, i porównawszy ją z ułomaczeniem tego listu na język łaciński, wybornie wykonaném, przez Stanisł. Łubieńskiego biskupa Płockiego, (ob. *Opera posthuma historica* &. Antverpiae 1643 p. 185), nanowo go ogłaszamy, jako prawdziwy i wiernie myśli i uczucia Żółkiewskiego malujący.

sobów wiele w téj zacnej koronie, by jedno sami chcieli, że się może temu nieprzezwycięstwu rada dać; jest tyle dostatków których wojna potrzebuje. Mamy tego świeży dokument, co kilkanaście milionów znaleźliśmy na zniesienie oppressyi od żołnierza skonfederowanego, a co jeszcze stacyami, extorsyami żołniierz sam brał, przecie jednak u nas w Rusi ani tego było znać, gdyby nie od Tatar szkody. Pogotowiu w takim razie, gdzie idzie o wyniszczenie chwały Bożej, na co się poganie zaszdzili, o całość Rptej, o zniewolenie, o wszystko zgoła, trzeba dostatków nie żałować. *De modo et ratione* prowadzenia wojny, iż *jure meo* rzekę, i mam cokolwiek experyencyi: czytałem siła przykładów, pełną ich mam głowę, mógłbym około tego nieco zdania dać, ale nielistowna rzecz silić się z tém. A téż, iż już nieprzyjaciel *conspectu*, zabawny tak wielką sprawą, i siła nie mogę pisać, nie odpowiadam. Będzieli Rpta, ojczyzna moja miła, *defensivo bello* wziemi swój (jeśli jeszcze pospolitém ruszeniem, jako na elekcyi króla Henryka pisano), chcąc wojnę z Turki odprawować: *actum est*, zginęliśmy. Jeśli z nieprzyjacielem w ziemi jego czynić i najeżdzać go będziemy, *non est desperandum* że *Victoria!* I co wiedzieć? nie tenli to sposób przez który P. Bóg, ten brzydki, plugawy, pogański naród pokonać, a narody chrześcijańskie z niewoli wybawić raczył? Wspominał Jmć pan wojewoda Poznański w skrypcie który w druk podał: zem za króla Stefana, był *consciis* rady tajemnej z strony wojny, którą K. J. M. gotował przeciwko Turkowi. Czynił K. J. M. Stefan tajemne praktyki o téj wojnie *cum Sixto Quinto Pontifice*, z królem Hiszpańskim Filipem Wtórym; praktykował był Moskwę przez Iwanowicza Piotrowicza Szujskiego; skrycie, tajemnie się te rzeczy toczyły. Pola-

ków nie było nas, jeno co wiem ja, tylko czteryj cośmy o tém wiedzieli. Jeszcze były rzeczy *non maturuerant*, żeby je stanom proponować. Śmierć króla J. M. Stefana rozerwała to wszystko. Ten jednak duch tych rzeczy miał być, że K. J. M., *cum terrestribus*, a *Princeps Parmensis, cum navalibus copiis*, mieli się zjechać w Grecyi *ad Archipelagum*, i tak mieli oraz morzem i lądem oppugnować tego nieprzyjaciela. Przez Wołochy nie myślił K. J. M., strzegł się zatrudnienia na przeprawie przez Dunaj; czego my teraz mając tak wielką liczbę kozaków, mogliśmy się nie bać. Natenczas nie było kozaków setnej części. *In summa*, ten sam *belli gerendi modus, unica via salutis*. Zawierając ten list, żegnam Waszą Królewską Miłość; jeślim wczém, jako człowiek nie dogodził W. K. M., racz miłościwie odpuścić, a synowi memu, jeżeli go *servabit fortuna belli*, racz być miłościwym panem. Niech P. Bóg W. K. M. chowa w długi wiek, dla rozmnożenia chwały swój i dobra Rzeczypospolitój, a po tym żywocie przyjmie do chwały swój; gdzie sam żyje i króluje z Synem i z Duchem Ś. Bóg wiecznej prawdy. Dat z wojska, z Baru wyjeżdżając. D. 25 sierpnia 1620 r,

W. K. M. wierna rada i życzliwy sługa

*Stanisław Żółkiewski kanclerz
i hetman koronny mp. (1).*

Widać z tego, jak trafnie Żółkiewski, doświadczonym swym umysłem na wojnie i w polityce, pojmował tę

(1) Szacowny ten list, jako pomnik i bardzo ważny dokument nietylko do wyprawy Cecorskiej, ale nawet do całej historii kraju za panowania Zygmunta III, umieściliśmy tu w ciągu samego opowiadania, z odmianą dawniej pisowni i punktuacyi, na terazniejszą, dla łatwiejszego zrozumienia rzeczy; między dokumentami zaś, kładziemy go pod Nr. 3, w najwierniejszym odpisie.

sprawę Polski z Turkami. Bolejąc szczerze nad słabością rządu krajowego, i znając aż nadto małe zdolności Zygmunta; dosyć oczywiście wyjawiał, że dzielność Batorego tylko, zaradzićby zdołała tak walnemu przedsięwzięciu. Wyznawał wreszcie, że z tak małemi siłami na niebezpieczną rzeź się odważał, jedynie dlatego, żeby królowi i woli powszechnej być posłusznym, a od siebie pociski i obmowę zawistnych odwrócić. Czuł bowiem i nie taił się ztém, że Polacy i Zygmunt nie chcieli należycie ocenić wzrastającej potęgi Ottomanów, i mając wszystkie źródła i zasoby we własnym kraju do utworzenia wielkiej i porządnej siły zbrojnej, na ukorzenie tak niebezpiecznych sąsiadów, lekceważyli ich moc, narażając niebacznie i rzeczpospolitą i tę garstkę walecznych jej obrońców, na niepewne losy wojny (1).

Taki list wyprawiwszy do króla Żółkiewski, poświęcił jeszcze kilka chwil na przejrzenie testamentu, w roku 1618 również w Barze, kiedy szedł z liczniejszém wojskiem przeciw temuż samemu Iskiender paszy, napisanego, i dodanie do niego krótkiego kodycyllu, w których sprawy domowe i fundacye pobożne polecał małżonce, a synowi swemu jednemu prócz dziedzictwa dóbr, przekazywał dziedzictwo cnót i męztwa swego, jako najdroższą puściznę po sobie (2). Poczém poleci-

(1) *Naruszewicz* w życiu Chodkiewicza, t. II, ks. IV, od str. 275 do 313, wydanie Warszaw. r. 1781, szeroce i uczenie rozwiódł się nad wyprawą Cecorską.

(2) Żółkiewski kilka testamentów, które doszły wiadomości publicznej, po sobie zostawił; zwykle zaś, jak sam powiada w tym który napisał r. 1618, odnawiał je niemal każdego roku. Nie mamy potrzeby ogłaszać tego ostatniego, bo już z kodycylliem w Barze 22 sierpnia r. 1620 przydanym, został wydrukowany (jak się zdaje z rękopismów Biblioteki Edwarda hr. Raczyńskiego) w archiwum teologiczném ks. Jabczyńskiego, w Poznaniu r. 1836 wyszlém: rok

wszy się po staroświecku opiece Wszechmocnego, w dniu 25 sierpnia, razem z wojskiem opuścił Bar, kierując pochód jego do ziemi nieraz już obficie krwią Polaków skropionej, o której położeniu pokrótce namienić wypada.

II.

Między dwiema rzekami Dniestrem i Prutem, z gór Karpackich wypływającemi, ciągnie się dosyć wązki pas ziemi, który przy ujściu jednego w morze Czarne, drugiego do Dunaju znacznie się rozszerzając, ograniczony jest od południa korytem téj wielkiej rzeki i morzem Czarném. Gałąź jedna Karpat, między źródłami Dniestru i Prutu ścieśniona, porzucając główny łańcuch gór

1 str. 388-93. Zamiast tego, osądziliśmy za rzecz godną ciekawości publicznej, umieścić w dodatkach do pisma naszego, poprzedzający Żółkiewskiego testament w r. 1606 d. 12 stycznia w Braclawiu zrobiony (ob. w dodat. Nr. 4.) W rozporządzeniach swoich domowych i naukach jakie daje synowi i córce, widać najwydatniej zacny i wielki charakter tego wiekopomnego męża. Przy ujmującej prostocie serca, jaka szlachetność duszy, jaka mądrość w sposobie widzenia rzeczy prywatnych i publicznych! Testament ten bezwątpienia należy do najchlubniejszych zabytków historii naszej XVII wieku, a razem jednym jest z najpiękniejszych pomników przesławnego zawodu Żółkiewskiego. Będzie on kiedyś walnym materiałem do życia tego bohatera, bo w nim maluje się cała wielkość rozumu i serca jego, cała moc charakteru. Dotąd nikt się nie zajął u nas skreśleniem biografii Żółkiewskiego; jestto pole, na którym zdolny pisarz, wielkąby mógł przysługę dziejom naszym i literaturze wyświadczyć, a sobie niemałą sławę pozyskać. Pierwszym jest u nas Święcki, który na kilku kartach w swoim opisie starożytnéj Polski (wydanie 2gie t. II, str. 375), umieścił w Polskim języku, choć nader słabą wzmiankę o życiu tego wielkiego wodza. Dziś coraz więcej odkrywa się materiałów w różnych rękopisach i aktach do téj pracy, którą życzymy żeby się ktoś zajął jak najrychlej.

macierzystych, wchodzi na tę ziemię, i przedłuża się wciąż ku morzu i Dunajowi, rozlewając z obu stron wielką liczbę mniejszych rzek i strumieni, które nad brzegami Dunaju, tworzą wiele znacznych jezior otoczonych górami. Step rozległy zrzadka osiadły i gdzie nigdzie mniejszymi rzekami najczęściej wysychającymi w lecie, przerznięty, lub najeżony skalistymi górami, zajmował wówczas całą tę przestrzeń, na której wałęsały się hordy Tatarów Budziaku, i którą już wtenczas nazywano Bessarabią. Prut odgraniczał od niego dzisiejsze Multany, które w wieku XVII jeszcze wspólnie z dalszą ziemią Wołochami nazywano.

Do takiej krainy jeden z najznakomitszych wojowników swojego wieku, stary hetman Żółkiewski, prowadził szczupłe zastępy Polaków; zbyt ufne w doświadczone swém męztwie, i przywykłe mierzyć się z daleko liczniejszym nieprzyjacielem. Tysiąc dwieście Lisowczyków otwierało pochód, mając na czele swoim pólkownika Walentego Rogaskiego, znanego oddawna z dzielności w bojach. Dalsza jazda liczyła usarzów koni 1500, rajtarów pod Hermanem Denhofem pólkownikiem, dziwnej waleczności młodzieńcem 200. Stefan Chmielecki, bicz na Tatarów (1), prowadził konnych Ukraińców 800, Jan Tyszkiewicz 400; jazdy Barskiej było 300, a kozaków piénieżnych 1600. Piechota wszystka, licząc w to prócz kwarcianej, Niemiecką dowodzoną przez Wolmara Farensbacha, męznego choć płochego umysłu człowieka, wynosiła 2000 ludu. Do tego przyłączył Aleksander Kalinowski starosta Kamieniecki 400 swojej kon-

(1) Kobierzycki, *Hist. Vladisl.* p. 673, powiada: „Stephanus Chmielecius horrendum Tartaris nomen”; a Koreckiego nazywa „Turcarum terror.”

nicy (1). Całe to wojsko pod naczelném dowództwem Żółkiewskiego, sprawował zięć (2) jego Stanisław Koniecpolski hetman polny koronny, mając pod rozkazami swemi prócz wyżej wyliczonych: Samuela księcia Koreckiego, zaledwie z niewoli Tureckiej oswobodzonego, Michała Strusia starostę Halickiego doświadczonego rycerza, Aleksandra Bałabana starostę Winnickiego siostrzeńca Żółkiewskiego, Marcina i Walentego Kazanowskich, Jana Odrzywolskiego, Potockiego wojewodzica Braclawskiego, Jana i Łukasza Żółkiewskich, z których pierwszy, starosta Hrubieszowski, był synem, a drugi synowcem hetmana, i innych kilku doświadczonych na wojnie pólkowników i rotmistrzów (3). Bogumił Szemberk dowodził artyleryą, czyli jak ją zwano naówczas armatą. W ogóle więc, całe to wojsko zaledwo 8,400 zbrojnych wynosiło, nielicząc w to mnogiej obozowej czeladzi. Niedługo po przybyciu hetmana z Baru (4), ruszono się 2 września do przeprawy przez Dniestr u wsi Podbitego, i 3 nazajutrz przeprawa dokonana została. Na samém wyjściu z miasta, straszna nawałnica napadła wojsko, łoskotem nieustannych gromów, błyskawicą i ulewą zapelniając powietrze i ziemię. Wśród niej, piorun w kawałki potrzaskał znak hetmański, a konie ciągnące wóz Żółkiewskiego przełęcznione hukiem burzy, splątały się i nie chciały dalej ruszać, aż się niebo rozjaśnić nie zaczę-

(1) Ob. Wołoskie dzieje w starożyt. Bibliot. *Wójcickiego* ogłoszone T. IV, str. 207.

(2) Autor dziejów panow. Zygmunta III. T. III, str. 255, mylnie go szwagrem Żółkiewskiego mieni.

(3) Wylicza ich Kobierzycki ib. p. 672.

(4) Po wyjeździe z Baru, hetmani urządzili ostatecznie wojsko 1 września na uroczysku zwaném Gruszka, i pólkowników postanowili; skąd wyruszywszy przed świtem, 2 września stanęli o południu nad Dniestrem, niżej wsi Podbitego.

ło (1). Niejeden żołnierz brał to zwykłe zjawisko przyrodzenia, za jakąś złowieszczą przepowiednię, lecz znaleźli się między półkownikami tacy, którzy przez zawiść i niechęć dla wodza, usiłowali zabobonnych w mniemaniu ich utwierdzać (2). Hetman zrazu po złożeniu rady wojennej, przedsięwziął iść prosto mijając Jassy, ku Tehini i Białogrodowi, gdzie Iskiender pasza stał z wojskiem, dla przeniesienia wojny w koczowiska Tatarów, który nawet na odgłos przebycia Dniestru przez Polaków, o siłę naszych niewiedząc a swoim jeszcze nieufając, cofnął się w stronę Kilii. Ale czekano jeszcze na wiadomości od hospodara; tymczasem rozłożono obóz nad rzeką Kajnary, trzy mile za Dniestrem. Jak tylko Wołosi postrzegli hufce Polskie na prawym brzegu Dniestru, wnet po wszystkiej ziemi swojej rozgłaszać zaczęli, że ogromne zastępy chrześcian całą ich krainę zajmują. Lecz Gracyan hospodar widząc, z jakimi w istocie siłami Polacy odważają się na oswobodzenie go od Turków, chociaż publicznie głos swój z powszechnym okrzykiem łączył, w duchu jednak wątpiąc o powodzeniu wyprawy, a tym bardziej o przybyciu jej w porę na obronę jego, wahał się w dalszém przedsięwzięciu. Tymczasem lud i szlachta Wołoska omamiona fałszywym odgłosem o wielkości wojsk Polskich, a tajemnie podburzani od hospodara, napadają 4 września na przybyłych w małej liczbie Turków do Jass, z wezwaniem żeby się Gracyan u Porty stawił; i srogą rzeź między nimi sprawują. Chytry Gracyan, przerażony nagłością wypadków, zabrawszy w tém zamieszaniu skarby swoje, ze stolicy zaraz ujeżdża, i już nie do obozu Polskiego, ale ku Chocimowi, żeby się potem przez Pokucie

(1) Rękopism z r. 1659.

(2) Kobierzycki Lib. IX, p. 673.

do Niemiec przedrzeć, udaje się. Opuszczeni Wołosi od księcia swojego, widząc Polaków bardzo jeszcze od Jass oddalonych, a Turków zemstą zagranych i z wielką siłą ku nim dążących, zmienili umysł i chęć swoją ku przyszłym oswobodzicielom; rozbiegłszy się po domach i lasach, oczekiwali w ukryciu co im los zgotuje. W obozie Polskim inaczej się działo. Na pierwszy odgłos pobicia Turków w Jassach, wojsko tym bardziej upewnione o przychylności i posiłkach Wołoszy, tym zbyteczniej zaufane w wyższości swojej nad bisurmańską tłuszcą, chciwie zapragnęło zmierzyć się czémprędzej z nieprzyjacielem; a tymczasem podjazdy rozbiegając się dla szukania żywności po kraju, niejednę dopuszczały się swawoli. Zaraz jednak hetman inne odebrał wiadomości: doniesiono mu, że gospodar, zamiast do obozu jego dążyć i obiecane posiłki prowadzić, winną stronę ku Chocimowi się zwrócił. Żółkiewski najmocniej ukrywając przed wojskiem taki zamysł Wołoszyna, ażeby nie ostudzić w niem raz powziętych nadziei, natychmiast ostry napisał list do Gracyana wyrzucając mu jego niewierność i zawód w przystawieniu posiłków; a dodawszy, iż zamysły jego pojmuje, i że zniweczyć je potrafi, groźnie upominał żeby bez dalszej zwłoki łączył się z Polakami. Zaleknioty gospodar surowém wezwaniem Żółkiewskiego, poznając że zamysł jego odgadniony już mu się udać nie może, przybył czémprędzej 7 września (1) w sześćset koni do obozu Polskiego, który o trzy mile od Dniestru na prawym jego brzegu od kilku dni stał rozłożony. Gracyan puściwszy się na los szczęścia, udał wesołą twarz witając hetmana i dalsze rycerstwo, a nieszczędząc przy

(1) Niektóre rękopisma wskazują 6 września, jako dzień przybycia Gracyana, Kobierzycki zaś 7 naznacza.

tém słodkich wyrazów na oświadczenie im wdzięczności. Ze swojej strony Żółkiewski, chociaż dowodnie przekonany o nieszczerości hospodara, przyjął go jednak uprzejmie, cześć mu winną jako panującemu księżęciu okazawszy, jedynie żeby nie wzniecić najmniejszego w obozie podejrzenia o zawiedzionej na Wołochach nadziei. Za jego przykładem dalsi przywódcy radośnie go przyjmowali, biesiady dlań wyprawiając, lecz przy kielichach starali się wywiedzieć o prawdziwej sile Turków, o ich zamiarach i poruszeniach. Chytry z natury, a baczny z potrzeby Wołoszyn, z uporczywą fałszywością ukrywając prawdę, nad ośm tysięcy wojska Tureckiego nie podawał. Mieszając się jednak w dwójznych odpowiedziach, w przeczniejszych słuchaczach wzniecał podejrzenie, łatwowierniejszych a zapalczywych do zuchwalstwa unosił tak, że wielu wołało, ażeby pierwszego zamysłu nieporzucając, do Tehiny i Białogrodu na Iskiender paszę, tam stojącego, w same siedliska Tatarów uderzyć (1). Przewrotne namowy Gracyana, przy zupełnej niewiadomości o potędze nieprzyjacielskiej, a razem przekonanie o szczupłości sił naszych do prawdziwej zaczepnej wojny w odległej okolicy, zaludnionej samemi Tatarami, i nakoniec wiadomości o zbliżających się Turkach w kierunku Jass: zniewoliły hetmana i dalszych wodzów iść za Prutku Cecorze, dawnemu stanowisku Jana Zamojskiego, który jeszcze w r. 1650 tam się okopawszy, najpomyślniej potem działał i wyprawę swą szczęśliwie ukończył. Ztamtąd Żółkiewski postanowił, aby zaczepnie działając, jeśliby siły nieprzyjacielskie nie były zbyt przemagającymi, zetrzeć się z Turkami, i Jassy opanować: albo jeśliby dla

(1) „Quo prima consultantium antea inclinabant vota.” *Kobierzycki* ib. p. 676.

przemagającą Iskiender paszy potęgi, przyszło zachować się obronnie, tu bezpieczne mieć obozy i ztąd łatwiej umowy prowadzić. Stosownie więc do takich zamysłów hetmana, ruszyło się całe wojsko dnia 9 września, nazajutrz po odbytej uroczystości Narodzenia Panny Maryi, powiększone tylko poczem Gracyana z sześciuset Wołochów złożonym, a w ogóle 9,000 ludzi zaledwo liczące. Równy ze świtem, przeprowiono się przez rzekę Kajnary, a przeszedłszy rzekę Kobyłtę o milę od pierwszej odległą, po ujściu jednej jeszcze mili tylko, stanęło po południu nad rzeką Reut, niewięcej tego pierwszego dnia nad dwie mile całego pochodu odbywszy. Podobnie przez dwa dni następne, dla oszczędzenia wojska i zebrania żywności, marsze jego były nader powolne; dnia 10 września uszło także dwie mile przez góry, i zaraz na dolinie Czuluki na noc stanęło; dnia 11 postępowało równiną i po przejściu dwóch mil stanęło na drugiej dolinie, równie Czuluki zwaną, gdzie nad samym wieczorem, trzyście chorągwi Lisowczyków popis odbywało. Nareszcie 12 września, gdy wojsko trzecią milę od świtu pochodu kończyło, skalistą doliną zowiącą się Deli dolina, pierwsze półki przeprawiwszy się przez Prut, stanęły o południu na Cecedorze, w dawnych okopach Polskich (1).

(1) Ob. *Relacya prawdziwa o weszcju woyskã Polskiego do Wołoch y o potrzebie iego zpogaństwem w r. p. 1620 we wrześniu y w październiku, przez Theophila Szemberka, sekretarza króla Jęgo M., który w potrzebie tej obecznie był y odwagą zdrowia oyczyźnie służył, spisana. W pierwszym wydaniu siła drukarz ábo nie-dbalstwem ábo złym czytaniem exemplarzã poopuszczał y poodmieniał, co się teraz poprawiło. W Krakowie u dziedziców Jakubá Sybeneycherá. Pisemko, jak się zdaje zaraz na początku r. 1621 wydane in 4to gockim drukiem kart. 11, sig. A. A 3, B. B 2, B 3, C. C 2, C 3 razem z tytułem i odezwą do czytelnika. Na ostatniej stronicy „Przestrogi.” Wierne to opowiadanie owęj ciężkiej i smu-*

Nim wojsko Polskie osiągnęło zamierzonej mety, sułtan uwiadomiony o zbliżeniu się jego, powierzając najwyższe dowództwo sił swoich Iskiender paszy, którego wyniósł na wezyra i bejlerbeja Sylistryi, kazał zebrać się pod jego znaki Jussuf-paszy bejlerbejowi Rumilskiemu, Czerkies-Husejn-paszy, Sarymsak-Teriaki-Muhammed-paszy, rządcy (mutesarryfowi) sandzaku Nikopolskiego, i Chyzyr-paszy Michaloghli (to jest synowi Michała dawnego hospodara) rządcy sandzaku Widyńskiego, z wojskami ich w pogotowiu będącemi (1). Widząc zatem Iskiender-pasza zbliżających się do Jass Polaków, ścigał zewsząd pilnie wszystkie swoje siły, i pomnożywszy je hordami Tatarów pod wodzą Kałgaj sultana czyli namiestnika hańskiego w Krymie zwanego *Dewlet Giraj*, oraz wodza Nogajskich Tatarów, imieniem *Mirza Kantemir*, doświadczonego wojownika (2), szedł już śmiało na spotkanie Żół-

tniej wyprawy i odwrotu, przez naocznego świadka i jednego z najczynniejszych aktorów dramatu, wzięliśmy za skazówkę naszej powieści o działaniach Żółkiewskiego od Cecory aż do Dniestru, porównywając je zinnemi relacyami w rękopismach zostającemi, i pomnażając dodatkami gdzie wypadła potrzeba. Dziwna rzecz że autor dziejów panowania Zygmunta III, niechcąc lepiej zgłębić relacyi tej Szemberka, zaufał zupełnie Petrycemu, którego kronika mowami przepelniona, na wzór Rzymskich dziejopisów, w wielu rzeczach rozmija się z krytyką. Pismo to Szemberka przedrukowane zostało w roku 1842 w piśmie czasowém P. L. w Lesznie wychodzącém; ob. t. I i II roku ósmego.

(1) Ob. *Geschichte des osmanischen Reiches durch Joseph von Hammer*. Pest 1829 IV Band. 44 Buch. p. 511, i *Sękowski, Collectanea* t. I str. 134. Oba utrzymują, że nawet i sam han Krymski *Dżanibeg-Giraj*, na wezwanie sułtana przybył ze swemi Tatarami; ale w ciągu tej wyprawy, tak Polscy jak Tureccy dziejopisowie, nigdy nie wspominają o nim, żeby miał czynny udział w walkach. Wszędzie tylko namiestnik jego, Kałgaj sultan i Kantemir Mirza występują.

(2) Dziejopisowie nasi, przekręcając nazwiska te, pierwszego nazywają Dzialet Gereiem, Gałgą sultanem, nicodróżniając wyra-

kiewskiego (1). W obozie jednak Polskim nic niewiedziano o jego obrotach; Gracyan tylko, na którym hetman dosyć polegał, nie wiedzieć z jakiego umysłu, doradzał usilnie 13 września, żeby znaczny podjazd wysłano pod Tehinię ku Budziakowi dla ubieżenia paszy, który podług niego więcej nad 300 ludzi nie miał przy sobie, i stojąc bezpiecznie czekał na Kałgaj sultana, za Dniestrem jeszcze bawiącego. Nie ufali jednak zupełnie powieściom Gracyana hetmani, oczekując wszakże z niecierpliwością onych posiłków Wołoskich obiecanych przez niego. Lecz niedługo łudziła ich nadzieja; nazajutrz 14 września, przyszli do hetmana Wołosi, Oryowskiego powiatu mieszkańcy, a Techiny i Budziaku sąsiedzi, oświadczając, że chętnieby się połączyli z wojskiem królewskim, gdyby im nie szło o bezpieczeństwo ich domów, żon i dzieci; co jedno znaczyło jak gdyby mówili, pobijcie Turków, a my wam pomagać będziemy. Wyznanie to przekonało hetmanów, że już na nic niepuszczając się, na własnych

źnie tytułu *Kałgaj sultan* (*Galga*), od nazwiska właściwego Diwlet Giraj.

(1) Kiatib Czelebi, dziejopis Turecki w t. I, na str. 328 (ap. Sękowski, *Collectanea* I. 131) w opisie bitwy Czoczorskiej (Cecorskiej) utrzymuje, że Iskiender pasza nie miał więcej nad tysiąc zbrojnych, kiedy się dowiedział w sierpniu o buncie Gracyana. Dopiero wtenczas ścierać zaczął Akkermanskich Tatarów i wojsko pięciu okolicznych sandżaków, a do tego wezwał ku pomocy *Kałgaj sultana*, czyli hańskiego namiestnika w Krymie *Diwlet Giraj* ze szczupłemi posiłkami. Tenże sam pisarz Turecki, dziesięć tysięcy wojska daje tylko Iskiender paszy, a siły Żółkiewskiego do 53,000 ludzi podnosi, co jest wierutnym bałamuctwem i zwykłą Turkom chętnością, bo liczba rycerstwa Polskiego na tej wyprawie znajdującego się, w piśmie niniejszém podana, jest ściśle obrachowaną i ze źródeł autentycznych wziętą. Wreszcie, gdyby Turcy równe siły tylko mieli z Polakami, aniby się odważyli mierzyć z doświadczoném i podług prawideł ówczesnej taktyki działającym wojskiem, pod tak wielkim wodzem jakim był Żółkiewski.

tylko siłach polegać należało. Zaraz więc 14 września z rozkazu hetmana, zebrało się całe żołnierstwo, z wyjątkiem Lisowczyków i ochotników Chmieleckiego, do naprawy i podwyższenia dawnych okopów Zamojskiego, podług rozmiaru na trzy ćwierci łokcia na każdego człowieka przypadającego, który uczynił Teofil Szemberk dowódca artylerji (1). Z niechęcią i wielkiem szemraniem wziął się żołnierz do téj roboty, bo już niekarność podżegana niepewnym postępowaniem wodzów i wzajemną ich między sobą zawiścią, zagnieździła się w wojsku. Przez trzy dni trwała ta robota, leniwo i ladajako odbywana, gdy nagle 17 września o świcie, wpadł sam gospodar do namiotu Żółkiewskiego, oznajmując, że wysyłanie czat do rozpoznania nieprzyjaciela nie jest już potrzebne, bo się sam ukazał; zawsze jednak upewniając, że go więcej nad 10,000 być nie może. Jakoż kilkaset Tatarów ująwszy rozpiezchłych za żywnością po okolicy jeźdzców Polskich, po dostaniu od nich języka o obozie naszym, przyłeciało żeby weń bliżej zajrzeć. Uderzono zaraz z dział, dając hasło podjazdom żywność zbierającym (których dziś furazerami, a wówczas picownikami zwano), żeby się zakupiali do obozu; ale już dla wielu z nich za późno było wracać, bo większą część Tatarzy pochwyłali. Zginęło takiej czeladzi rozesłanej po kraju, około tysiąca. Rzucili się zatem wszyscy do kończenia okopów, a Odrzywolski rotmistrz, wyjechawszy za góry na rozpoznanie nieprzyjaciela, powrócił wieczorem z Tatarami na karku, z którymi zwiódł szarmycał ubiwszy im nieco ludzi, niemogąc jednak nikogo żywcem dostać. Niepodobna więc było dotąd nic wiedzieć o siłach nieprzyjaciela, ale nazajutrz 18 września, skoro słońce pierwszym promieniem zabłysło,

(1) Szemberk, Relacya.

ukazali się Turcy w liczbie, jak mniemali Polacy, 7 do 8,000 od strony wschodnio-północnej obozu; od samej zaś północy na górach nad Delidoliną wznoszących się, stanęły tłumnie hordy Tatarów około 25,000 ludzi wynoszące. Chyzyr-pasza dowodził przednią strażą wojsk Ottomańskich, na czele prawego skrzydła stanął Jussuf bejlerbég Rumilii, a Devlet-Giraj osłaniał je swemi Tatarami, we środku sam Iskiender-pasza szedł z pancernymi hufami, lewem zaś skrzydłem kierował Muhammed-pasza, rządca Nikopolski, mając z flanku ordy Nogajskie Kantemira-Mirzy. Mnóstwo ochotnika wyruszyło natychmiast z obozu, gdzie oddawna wszyscy niecierpliwością do walki tchnęli jednostajnie, i ze wszech stron harce zwodzić zaczęto. Około południa przyszło nawet chorągwiami do starcia się, gdzie Polacy górę wzięwszy nad Chyzyr-paszą, już samego nawet w niewolę zabrali; gdy postrzegłszy to Sarymsak-Muhammed-pasza, nieczekając rozkazu wezyra, wpadł z 500 ludźmi na Polaków i odparłszy ich, odbił jeńców (1). Tatarzy widząc szwank swoich, w rozsypce napastować i z pola na góry uchodzić zaczęli: ale z drugiej strony od Prutu, zebrawszy się w zbyt przemagającej sile, tak gwałtownie natarli Lisowczyków, z prawej strony obozu w osobnym szanцу stojących, że ich pomimo mężnej obrony, aż pod same okopy zapędzili. Wszakże przybył im wcześniej na pomoc waleczny Denhoff na czele swoich rajtarów i dwóch rot kozackich, i tak dosadnie wsparł pohanców, że im dużo ludu ubiwszy, aż za góry odegnał. Dostał się wtenczas w ręce

(1) Tak pisze *Naima*, dziejopis Turecki str. 331 (ap. *Hammer*, IV 512), którego dzieło pod tytuł *Tarichi Naima* (Historja przez Naime), zajmujące dzieje Osmanów aż do r. 1640, wyszło w Konstantynopolu w r. 1734.

zwycięzców, pierwszy jeszcze żywy Turczyn sandżak Tehiński, który wszakże we trzy godziny zran umarł (1), wyznawszy, że siła ich wszystkich na sto tysięcy wynosiła. Nikt jednak nie chciał dawać temu wiary, wnosząc że gdyby nieprzyjaciel był silniejszy, nigdyby się nie chciał narazić na skończenie takim sposobem utarczki dnia pierwszego. Wszyscy więc zostali w przekonaniu, że liczba Turków z Tatarami, 40,000 głów przenosić nie mogła. W takim stanie rzeczy, można było dzielnemu i doświadczonemu rycerstwu mierzyć się bezpiecznie z niesfornym, acz zawziętym w boju i pięć kroć przeważniejszym nieprzyjacielem. Życzenie téż powszechnie całego wojska wyzywało wodzów do rychłej walki z nieprzyjacielem, do czego i sam hetman z potrzeby i przekonania przychyłając się zaraz, z wieczora po ściągnięciu hufców do obozu wydał rozkazy, i uczynił ostateczne rozporządzenia do jutrzejszej bitwy. Nim do jój opisu przystąpimy, wypada nam poznać bliżej miejsce na którym się odbyła.

Cecora podług naszych dziejopisów, a u Turków *Czoczora* (2), dawniej płaszczyna *Jassom* przyległa, znajoma tylko na starych kartach geograficznych, ale uważana za uroczysko, dziś mała osada, leży na rozległych błoniach polami *Cecorskiemi* zwanych, na prawym brze-

(1) List rotmistrza S. T. do Zamojskiego wojewod. Kijows. w rękopiśmie (ob. w dodat. pod Nr. 5) i *Wołoskie dzieje* w Bibliot. Staroż. Wójcic. IV 209. Dziejopisowie nasi źle, zamiast sandżak, co znaczy chorąży, to jest chorążtwa Tehińskiego zarządca, nazywają sędziak, niewymieniając nazwiska jego. Obacz. co o tym wyrażenie pisze Sękowski, *Collectanea* t. I, 119.

(2) *Szemberk* w *Relacyi* swojej, nie nazywa *Cecorą* ale *Czeczorą*, co już jest właściwszém i zupełnie zbliżoném brzmieniem, do wymówienia tego wyrazu przez krajowców lub Turków.

gu rzeki Pruta, o 30 wiorst poniżej miasta Skulan (1), a o dwie mile od Jass. Rzeka zwana Żyzyja, płynąc równoodlegle o wiorst 4 od Pruta i tuż przy Cecorze przybiérając do siebie z prawej strony rzekę Bahtuj, zapełnia całą tę okolicę po większej części błotami porośniętymi trzciną, i czyni ją niezdrową (2). Pasma gór od północy, zachodu i południa okrąża pola Cecorskie, od wschodu Prut je ogranicza. Na wschód na górze wznosi się wielka od niepamiętnych czasów mogiła, a od północy sterczy skalista góra pod którą rozściela się dolina zwana Deli. W takiémtó miejscu, gdzie przedtém Zamojski obozem stanąwszy, Gazi Giraj-chana (3) w 7,000 Turków i Tatarów drogę mu zastępującego, zaszczytnie pokonał, stanęli do nowéj walki Polacy, niestety mniej szczęśliwéj! Rano więc dnia 19 września, hetman wielki Żółkiewski wspólnie z hetmanem polnym Koniecpolskim, naznaczywszy każdemu z pólkowników i rotmistrzów właściwe miejsce w szyku bojowym, wywiódł całe swoje wojsko do walki. Dawniejszój taktyki obyczajem, szły najprzód czterema rzędami 2 tabory wozów po 50 lub 60 w każdym, między któremi szykowała się piechota kolumnami na czele, a w tyle między przedziałami po 4 działa, z boków zaś każdego taboru wozy ze śmigownicami. Skoro się dwa tabory z obozu wychodząc, rozdzieliły dla zaję-

(1) Gdzie dziś komora celna Rossyjska od księztwa Multańskiego.

(2) Wiadomość bliższa o téj miejscowości, udzieloną nam została razem z rysunkiem pomnika i mapą jego okolicy przez gien. hr. Krejc, który i sam dowodząc w r. 1828 przeciw Turkom, szczęśliwie ubiegł ich oddział nagłym pochodem w Jassach, i razem z hospodarem zabrał w niewolę. Gienerał zatém miał wszelką zrzeczność rozpoznać z dokładnością położenie Cecory.

(3) Nasi pisarze mylnie go Kadzi Gierejem nazywają.

cia prawego i lewego skrzydła, ruszyła się jazda same czoło linii bojowej stanowiąca, i uszykowała się w przedziale między dwoma taborami. Te miały rozkaz ciągle równo od obozu z czołem wojska postępować, raz dlatego, żeby gdy nieprzyjaciel gwałtownie na czoło, to jest jazdę Polską uderzy, mogły działami swemi, strychując na krzyż pole bitwy, zrazić nacierających od gwałtownej napaści: drugi raz, żeby w przypadku uderzenia na którykolwiek z taborów z boku, działa ich krzyżowym ogniem wraz z armatą na okopach zostawioną, zdołały ująć i odeprzec napadających (1). W linii bojowej stanęły po prawej stronie półki ussarskie hetmanów wielkiego i polnego, gdzie byli waleczni rotmistrze Wrzeszcz i Denhoff, z lewej roty księcia Samuela Koreckiego, Stefana Chmieleckiego, który miał przy sobie synów swych Adama i Łukasza i innych Ukraińców, a nakoniec konnica Kalinowskiego starosty Kamienieckiego. Lisowczyki jak zawsze, naprzód się i po bokach rozsypały, a innych kozaków roty na tyle czworogran osłaniały (2). W okopach też dowództwo i porządek obozu ułożone, a niektóre działa pozostawione do obrony i rażenia napastujących tabory nieprzyjaciół. W takiej tedy postawie i szyku postępowały wojska pod sprawą obu hetmanów, naprzeciw zastępom pogańskim. Szyk wojsk Ottomańskich był ten sam co i dnia poprzedzającego, jakieśmy go wyżej opisali (3). Zrazu sami Turcy, których nad dwa tysiące

(1) *Szemberk*, Relacya.

(2) List rotmistrza do Zamojskiego M. 55.

(3) Dla większego objaśnienia czytelników, a razem dla porównania z opowiadaniem Sękowskiego (*Collectanea* I. od str. 133 do 144), kładziemy w dodatkach pod Nr. 6, wyciąg z historyi Turreckiej *Hammera*, dający krótkie wyobrażenie wojny z Turkami roku 1620, którą u nas zwykle wyprawą *Cecorską* nazywają.

nie było, ale Wołochami garnącemi się do nich w liczbie 10,000, pomnożeni wystąpili, i tu rozumiano że na czole z niemi przyjdzie do rozprawy. Ale wkrótce nieprzejrzane chmury Tatarów, wysypujące się z za gór, okryły całą przestrzeń pola na prawém skrzydle szyku Polskiego. Tymczasem tabor lewy, który miał równą linią z jazdą utrzymywać, wyszedłszy z obozu, zatrzymał się niedaleko od okopów, czekając póki wszystko wojsko w szyku nie stanie. Chorągwie zatem idące w pole, niemając dostatecznej przestronności do umieszczenia się, zaczęły w pośpiechu dalej wypierać prawy tabor, tak, że nakoniec aż pod górami stanawszy, nie czołem jak być miało, lecz bokiem oparł się o nie. Tym sposobem oddaliwszy się nazbyt od okopów, całe prawe skrzydło wojska swego szeroko nieprzyjacielowi odstłonił. Zobaczywszy to zaraz Tatarzy, których nowe hordy w nocy z Iskienderpaszą się złączyły, z całym tłumem wpadli na prawy tabor osłabiony samém odstłonieniem i zmianą pozycyi, i wszystkich sił do przełamania go dobywać zaczęli. Dostrzegł to natychmiast Koniempolski i kazał się cofać taborowi, ale zostawieni na jego czele dowódcy nie potrafili zrećcznie wykonać rozkazu. Bitwa się jednocześnie zawzięła od czoła z usarzami prawego skrzydła, gdzie półki hetmanów najdzielniej stawały, zagrzewane osobście głosem i przykładem Żółkiewskiego, którego zbytnia śmiałość, w zuchwałość się niemal żołnierską zamieniła (1). Walczono sześć godzin z największą odwagą ze strony Polskiej, a zaciętością z Ottomańskiej, której nie-

(1) Szemberk pisze o Żółkiewskim w swojej Relacyi: „O starszym (hetmanie), na którego zbytnią śmiałość y gorącość z dawnych czasów, którychem y ja zastał oyczyna się skarżyła: nic nie potrzeba mówić: nie pokona go w tym nikt.”

przeliczone tłumy waliły się nieustannie na tę garstkę męźnych wojowników. Tatarzy zachodzący w tył wojsku, chociaż dzielnie ztamtąd odparci przez kozaków, przełamali nakoniec przeważnością sił swoich prawy tabor, pobiwszy lub rozproszywszy ciurów od wozów i strzelby. Chcieli im usarze dać pomoc, ale niemogąc kopii złożyć na nieprzyjaciela dla jego ogromnej liczby, i najwięcej strzelbą go odpiérając, sami się cofać byli zmuszeni, pomimo całej waleczności Denhoffa i Koniecpolskiego. Sławny ten wódz, po cztery razy przebiegając bijące się w taborze chorągwie, i utrzymując rząd i serce między niemi, przypadł wreszcie na czoło swego półku gwałtownie napartego, i mężnie potykając się sam, własną szablą dwóch pogańców rozsiekał. Usarze cudów męztwa dokazywali, ale téż oni najwięcej ucierpieli. Rotmistrze ich, Wrzeszcz, Goślicki i Kowalkowski, polegli na placu; Jan i Łukasz Żółkiewscy, Bałaban starosta Winnicki i Farensbach, rany odnieśli; Denhoff zaś ze swojemi rajtarami, dopóty walcząc i nieustępując, aż póki mu ze 200 żołnierzy ledwo szesnastu zostało, ciężko dwa razy postrzelony został. W rozerwany taborze zabrali Tatarzy cztery działa, posiekłszy nieco piechoty, która się jednak mężnie broniła, a więcej jeszcze popłoszonej czeladzi pojmawszy. Almady, kapitan Węgierskiej piechoty walcząc do ostatka, dwa razy ranny, z dwudziestu kilku ludźmi przebił się do obozu; Szemberk zaś nad armatą w tym samym taborze przełożony, po zniesieniu jego, sam nikogo już przy sobie niemając, uszedł do okopów. Lepiej się naszym powodziło na lewém skrzydle, które nie z taką nawałą napadnięte było; i to usuwając się porządnie ku obozowi, dało czas znękanym towarzyszom powrócenia do oko-

pów. Noc przerwała dalszą bitwę, pozwalając hetmanom obejrzeć się w obozie, obrachować straty i do dalszej sposobie się obrony. Pomimo niepomysłnej walki, nie więcej jednak padło naszych jak 350, oprócz rannych i wziętej w niewolę czeladzi (1). Stracono okrom dział, kilkanaście chorągwi; skarbne zaś wozy i kolasy tabor składające, które się nieprzyjacielowi dostały i na które tak był chciwy, niewiele mu pożytku przyniosły, bo zamiast sprzętów, gnojem naładowane były. Turków z Tatarami, podług zeznania ich samych, przez te dwa dni do 3,500 zginęło, i kilka buńczuków dostało się Polakom. Tak się skończył dzień ten, który odkrył wodzom Polskim i całemu wojsku trudne jego położenie, wpośród okolicy pozbawionej żywności, i wpośród ogromnej liczby nieprzyjaciół chciwych zemsty nad ludem chrześcijańskim i pewnych zguby jego. Nazajutrz po bitwie dnia 20 września, obaj hetmani złożyli radę, gdy niespodziwując się żadnych posiłków, widzieli, że wojsko uszczuplone do reszty i zapasów wszelkich pozbawione, nie mogło stawić czoła nieskończenie przemagającym siłom nieprzyjaciela: postanowili rozpocząć odwrót, żeby je do granic rodzinnych za Dniestr ku Mohilewu uprowadzić, i tam okopawszy się, czekać bezpiecznie posiłków. Wydane więc natychmiast stosowne rozkazy w obozie, polecały rycerstwu opatrzenie się ryszunkiem i potrze-

(1) Niektóre spótczesne opowiadania, jak np. w liście, wyżej w notach przytoczonym, rotmistrza S. T. do Zamojskiego wojewody Kijowskiego, podnoszą liczbę zabitych do 800. Pismo pod tytułem *Wołoskie dzieje* w Bibliotece *Starożytnej* Wójcickiego umieszczone, utrzymuje, że legło w tej bitwie Polaków na 2600, czego jednakże przypuścić niepodobna, mając wzgląd na wszystkie inne współczesne relacje i podania historyków, chyba że w tej liczbie, prócz wojska i czeladź obozowa się mieści, albo że i ranni są policzeni.

bami swojemi, a potém gotowość do wyjścia taborem ku Dniestrowi. Tymczasem zaś dla zyskania spokojności potrzebnej dla spoczynku wojska, i przysposobienia się do pochodu, hetmani ułożyli zająć nieprzyjaciela umowami o zgodę. Doszedłszy Gracyan zamiaru wodzów, a trwożąc się niepomału, żeby go nie poświęcono dla traktatów i nie wydano Turkom: zaczął zaraz rozsięwać buntowniczego ducha w obozie między dowódcami i żołniérstwem, twierdząc, że nie było poco siedzieć długo wokopach, i że nie za Dniestr ale przez Prut ku Bukowinie bliżej, wypadalo uchodzić. Takimi namowami poburzone żołniérstwo, z karności zwolnione, zaczęło szemrzć niesfornie; jedni zarzucali hetmanom, że całe rycerstwo chcą bez uwagi na rzeź oddać; drudzy powiadali, że sami zamyślają uchodzić, a wojsko losowi zostawić; inni nakoniec, a między niemi i przedniejszych rotmistrzów liczono, utrzymywali, że hetmani głowy potracili i radzić w tak niebezpiecznym razie nie umieją. Poco do Dniestru tak długim szlakiem wojsko uprowadzać? sarkano zewsząd w obozie; albożto można ująć pogoni Tatarskiej w otwartém polu? lepiejby było po Zapruciu, konno porzuciwszy tabory, dostać się na Bukowinę! Takie odgłosy szerząc się po całym obozie, i rosnąc z każdą godziną, zamieniły się nakoniec w otwarty bunt i swawolę. Samym zmiérzchem powstało takie zamieszanie w obozie Polskim, i taki strach paniczny większą część żołniérstwa ogarnął, że wszystko co żyje, rzuciło się nagle z okopów do rzeki. Prózno rozkaz przez wodzów wydany, zwoływał wojska do szanćów; nikt nie chciał słuchać, każdy konno lub pieszo dążył do Prutu. Pierwszy gospodar ze swojemi Wołochami, niecnym przykładem opuszcza obóz; za nim poszli, smutno

powiedzieć, Chmielecki i Odrzywolski, owi rycerze niezwalczeni, a dziś podstępna radą obłąkani! Nakoniec Kalinowski starosta Kamieniecki, uparty przeciwnik staro-
go hetmana, wychodzi, uprowadzając około półtora tysiąca jezdnych z sobą. Tymczasem widząc tak zgubny popłoch wojska Żółkiewski, i ostatnie już prawie roz-
prężenie porządku, wspólnie z Konięcpolskim dopadają koni, i lecą w odmęt cisnącego się nawałą z okopów
żołnierstwa. Jednych słowami usiłują do powinności nawrócić, drugich szablą i grozą chcą zapędzać do obo-
zu, ale próżne zabiegi i usiłowania! Tumult i krzyk wielki głuszy rozkazy wodzów, wszyscy naoslep biegną
do zguby, gdy w tej chwili służebna hałastra rozbiegłszy się na rabunek po obozie, zapala tu i owdzie tabory,
plądruje namioty i wozy. Straszna była chwila, kiedy wśród czarnej nocy, sam tylko zgiełk rozbestwionej rze-
szy przerywał jej ponurą ciszę, a kłęby buchającego pożaru po całym obozie, odsłaniały złowieszczym świa-
tłem to okropne widowisko zamieszania i rozpacz. Ciężką zdjęty boleścią na dokonanie tak dobrowolnej kłęski,
wrócił do namiotu sędziwy Żółkiewski, i ze zgrozą zna-
lazł go ze wszystkich sprzętów złupionym; Konięcpolski zaś udał się na okopy z pozostałą piechotą i małą garstką
niewciągnionej do popłochu jazdy, bronić obozu od niespodzianej napaści nieprzyjaciela. Chciała jeszcze Opa-
trność, żeby Muzułmanie zmordowani onegdajszą walką, i nieczujni na to co się działo między Polakami, zacho-
wali się tej straszliwej nocy spokojnie. Uderzenie ich na obóz w tej chwili, przyspieszyłoby niechybnie ostatnią
zgubę rycerstwa Polskiego. Kiedy to się działo wśród obozu, równie smutna i zgubna dla naszych scena od-
bywała się zewnątrz szanów. Wypadające z nich hufce

w gwałtownym natłoku, bez porządku, bez wodzów i komendy, rzucały się wpośród ciemności nocnych do Prutu. Jedni napróżno usiłując zgłębić rzekę, ginęli w jej nurtach, drudzy wydobywszy się na brzeg przeciwny, napadnięci od tłumu Tatarów, niemogąc się rozpoznać i stanąć do szyku, podali głowę pod miecz bisurmański. Nieszczęśni! szukali ocalenia w haniebném opuszczeniu wodzów, towarzyszków niedoli, rannych i chorych, a znaleźli rychlejszą śmierć, lub co gorsza, srogą niewolę, w pętach dziczy Tatarskiej. Kalinowski przepływając Prut, na głębinię utonął. Gospodar ocalony zrazu od swoich Wołochów, wkrótce od nich samych, złakomionych na skarby jakie miał z sobą, zamordowany nikczemnie. Tymczasem Żółkiewski mając sobie doniesioném co się dzieje w polu, i dostrzegłszy, że niektórzy przyszli do siebie i wracają do obozu, a wszyscy przerażeniem zdjęci i jakimś fatalném przekonaniem, że ich wodzowie opuścili, pytają się skwapliwie gdzie są hetmani?, Żółkiewski, mówię, rozkazuje natychmiast wynieść znak swój hetmański, i pochodniami objaśniony ukazać po całym stanowisku. Skoro go ujrziała pierzchliwa i obłąkana rzesza, wnet wszystko się wstrzymało od ucieczki, i cisnąc się napowrót do namiotu hetmana, kołem go okręzało, chciwie w obliczu jego upatrując ratunku. Napróżno strapiony wódz wołał, żeby z koni zsiadłszy biegli na okopy, pod rozkazy Koniecpolskiego; napróżno w rozżaleniu swém, sam ze służbą nieposłusznych obuszkim i szablą przymuszał do wykonania rozkazu; nikt pojąć jego woli, nikt go opuścić nie chciał; a każdy wołał: że choćby go zabito, woli umrzeć przy swym wodzu, aniżeli gdzieindziej. Wtenczasto po-

wiadają (1), że pomiędzy innemi, i książę Samuel Korecki, ów rycerz niezrównany, ale natenczas uniesiony powszechném zamieszaniami, rzucił się w nurty Prutu; lecz zaraz przyszedłszy do rozwagi, wrócił z nich pierwszy. Stanąwszy potém cały zmoczony przed hetmanem, gdy mu zaczął wyrzucać niesłusznie, nieostrożność i popłoch w wojsku sprawiony, spojrzawszy nań spokojnym okiem sędziwy Żółkiewski, i te tylko rzekł słowa: „Ja tu stoję, i woda ze mnie nie ciecze!” Zamilkł Korecki czując swój błąd, i odtąd nieodstępnie walcząc przy hetmanie, dzielił do ostatka losy towarzyszków broni. Zaledwie na świtanie, nieszczęsny ten rozruch uspokojony został w obozie. Nazajutrz 21 września, wodzowie zajęli się gorliwie przywróceniem porządku i obrachowaniem sił i zapasów pozostałych po tym wypadku, który zachwiało do gruntu siłą moralną żołnierza. Karność i prawa wojskowe, nakazywały koniecznie ukarać natychmiast głównych sprawców rokoszu. Ale hetman wielki zwoławszy na radę starszyznę, bacząc, że więcej może było winnych niż obłąkanych, a przytém mało zapewne ufając odzyskaną chwilowo powadze swojej między swawolnym i przepłoszonym żołnierstwem, postanowił, wymierzenie sprawiedliwości za powrotem do kraju odłożyć, tymczasem łagodnością utrzymywać je w korbach posłuszeństwa (2). Nie możemy bezwątpienia, w tak odległych czasach rzecz tę opisując, wyrokować ostatecznie o trafności takiego środka: wszakże zdaje się podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, i podług tego co wnieść mo-

(1) Rękopism księcia Jabłonowskiego r. 1715 w Königsteinie pisany. *Kobierzycki* p. 687, a za nim *Niem.* w dziejach panów. Zygmunta III, Tom III, str. 272, inaczej nieco to zdarzenie opowiadają.

(2) *Szemberk, Kobierzycki.*

zna, ze słów dziejopisów ówczesnych na wpeł tylko wyjawiających prawdę; że gdyby hetmani energiczniej działając, natychmiast ukarali większych przestępców, wyprawa ta, uniknęłaby zapewne powtórnego takiego wypadku, który jak wkrótce zobaczymy, zguby jej ostatecznej stał się przyczyną!. Już i tak poznawszy niespodziewane pobłażanie wodzów, wzbili się w dumę swawolnicy; lecz gdy przez zgubną lekkomyślność, niektórzy półkownicy roznieśli między żołnierstwem, co im powiedziano w tajemnicy na radzie: że kara na winnych, za Dniestrem dopiero wykonaną będzie, wiadomość ta trwożąc ich sumienie, przygotowała klęskę następną (1). Żółkiewski przekonawszy się o okropnym zniszczeniu obozu przez rozpustę własnego żołnierza, i widząc niedostatek żywności, a zatem niepodobieństwo dalszego w tém stanowisku pobytu, postanowił jak najrychlejszym sposobem się do odwrotu, podług dawnego zamysłu, a tymczasem ludzi nieprzyjaciela, udaną chęcią traktowania. Ale żeby z zupełną pewnością dokonać zamiaru, trzeba było wprzód odzyskać wpływ na umysły wojska, ciągle jeszcze wzburzonego. Długo obaj wodzowie z największą usilnością wszelkimi sposobami nad tém pracowali, i do tego przyszło, że sam Żółkiewski, żeby sprostować błędne przekonanie uwiedzionego rycerstwa, przysiągł publicznie wszystkim na Ewangelię, że nigdy nie myślał opuszczać wojska w niebezpieczeństwie (2). Korzystając wówczas z wrażenia, jakie to w całym obozie zrobiło, objawił, że wyjść taborem chce, i uważa to za pe-

(1) *Szemberk* powiada w swojej *Relacyi*: „Co Tatarowie zrazu trwożący troszeczkę strzegąc się obaczywszy, *eam tanti sceleris impunitatem*, tym bardziej wzięli na kiel, aż prawie do samego zginienia.”

(2) *Szemberk*, *Relacya*.

wny i jedyny sposób wyprowadzenia wszystkich w całości do kraju. Dało się nakoniec wojsko temi środkami uspokoić, i przywieść do posłuszeństwa. Ośm dni gotowano się do pochodu, i ośm dni bawiono Turków umowami, to oświadczając im powolność w układach, to znowu domagając się od nich znakomitych zakładników w osobie Hussein paszy, i samego nawet Mirzy-Kantemira, to nakoniec, ofiarując znaczny podarek pieniężny Iskienderowi (1). Z drugiej strony Turcy, złudzeni gotowością naszych do traktatu, podjeżdżali pod obóz, raz wywołując Kalinowskiego, który już zginął, drugi raz wyzywając do pomówienia Koreckiego; to naprzemian znowu strzelali do okopu, i podsuwając kosze sianem napchane, grozili przypuszczeniem szturm (2). Ale 27 września, dumny Kantemir, samemu nawet Iskienderowi straszny, zerwał dalsze umowy i groźbami swojemi to sprawił, że natychmiast wysłańca Polskiego uwięziono (3), a Boczuka namiestnika Gracyana, schwytanego w bitwie, na pal wbito, i Turcy ostatecznie obóz napaść postanowili. Nie było więc czasu do stracenia, i potrzeba niezwłocznego odwrotu stawała się co chwila nagląszą.

III.

Dnia 29 września, w sam dzień święta Michała, hetmani uszykowawszy tabor, za sprawą dzielnego rycerza Marci-

(1) Przytaczamy to na wiarę autora *Kollektaneów*, który szczegóły wyprawy Cecorskiej pisał podług jednej kroniki Osmańskiej. Ob. T. I, str. 140.

(2) *Wołoskie dzieje niektóre* w *Biblio. Staroży.* IV, p. 212.

(3) Zwyczajto był powszechnie u Turków przyjęty, więzić posła lub parlamentarza, skoro się miały rozpocząć kroki nieprzyjacielskie. Ob. powody tego w dziele: *Tableau général de l'Empire Ottoman*, par M. *Muradjea d'Ohsson*. Paris 1824. T. VII, p. 387.

na Kazanowskiego, w siedm rzędów, o nieszpornéj godzinie przed wieczorem, wywiedli z okopów całe wojsko za ledwo już 5,000 zbrojnych liczące. Ranni i zawady obozowe postępowały we środku, otoczone w czworogran wozami; żołnierz konny w znacznej części po stracie koni na piechotę obrócony, między przerwami szedł, każdy pod swoim znakiem, strzegąc dział z czoła i boków prowadzonych. Piérwszym hufcom Korecki i Farensbach dowodzili, środek rozkazom Kazanowskiego powierzył Żółkiewski, rząd zaś nad armatą i tylną strażą Szemberkowi oddano. Jak tylko nieprzyjaciel dostrzegł niespodziane dla siebie poruszenie wojska Polskiego, w okamgnieniu Tatarowie z okropnym wrzaskiem oskoczyli tłumnie opuszczających obozy, i obces ze wszech stron uderzyli na tabor, usiłując go rozerwać. Ale wojsko dzielnie utrzymując szyki, szło bez przerwy wprost na ich kosze, broniąc się z dział i muszkietów, tak, że się ze swojemi namiotami i kotarami usuwać musieli. Całą tę noc krzykliwe ich harcowania mordowały nieustannie pochód taboru; najtrudniejsza jednak była dla Polaków przeprawa przez błotnistą rzeczkę w Delidolinie, o saméj północy, na której nie mała liczba wozów, koni i ludzi uronioną została. Lecz trudniej jeszcze było przebyć Prut, nad brzegiem którego, po całonocnym pochodzie polami przez wielkie dwie mile Wołoskie, stanął dnia następnego o świtaniu Żółkiewski. Nieprzyjaciel wzmoconiony posiłkami, uderzył natychmiast z całą wściekłością na znużone, ale na wszystko przygotowane wojsko. Wytrwałość i niezachwiane posłuszeństwo na rozkazy wodzów, przemogły i w tym ciężkim razie gwałtowność i przewagę napadających. A chociaż janczarowie, osadziwszy pobliską mogiłę działami, z boku na Polaków

uderzyli, tak silnie jednak od naszych rażeni zostali, że wkrótce i mogiły i działa swych odbiegli, trupem pole usławszy. Nie było czasu jednak myśleć o ich zabraniu; wojsko szło jeszcze nieco dalej i niebawem obrawszy dogodne stanowisko, po swobodnym przez Prut przeprawieniu się, cały dzień spokojnie odpoczywało, a zmięrzchem znowu w drogę się puściło (1). Noc następna pomimo nieustannych harców Tatarskich, łatwiejsza była do przebycia; lecz skoro zaświtał dzień 1 października i zaledwie tabor Polski zatrzymał się w Derli-dolinie nad stawem, dla zwykłego odpoczynku, sam Kałgaj sułtan ze swojemi Tatarami i Turcy ze swojej strony, wszystką siłą na Polaków uderzyli; gdy jednocześnie działa ich na przeciwny brzeg stawu zatoczone, ciągle w tabor strzelały. Zimna krew ufniejszego w swoją siłę żołnierza i poświęcenie się wodzów, odparły stanowczo wszelkie natarcia nieprzyjaciół, tak dalece, że piechota nasza wypadłszy z obozu, dwa działa im w pogoni ujęła. Widząc to Kałgaj sułtan, przekonany, że do zwalczenia w tym odwrocie Żółkiewskiego, trzeba wszystkich sił użyć, postanowił zająć Polaków pozorami ugody, a tymczasem ściągnąć pozostałe w tyle wojska Tureckie. Wstrzymawszy zatem bitwę, napisał do hetmana z wezwaniem, żeby drugi raz przysłał Krzysztofa Druźbica, umiającego po Turecku, dla traktowania o pokój, do którego chętnie się przychyłał, żalując próżnego rycerskiej krwi przelewu z obojjej strony. Zrozumieli hetmani, o co mu idzie, ale więcej polegając na siłach pokrzepionego wojska, jak trwożąc się o powiększenie liczby nacierających, skłonili się do traktowania, i Druźbica do nieprzy-

(1) List rotmistrza S. T. do Zamojskiego w Mss.

jaciół wysłali (2), a sami dla dania wojsku lepszego wytechnienia, w tém samym stanowisku noc przepędzić postanowili. Nie była ona wprawdzie zupełnie spokojną; żołnierz jednak nowych sił i nowój rześwości nabrał do następnych bojów. Nie powracał Drużbicz, bo go pasza uwięził, i nikt nie wątpił o blizkiej napaści. Wschód słońca w dniu drugim października, nie obiecany pokój, lecz walkę, jak się spodziewano, zwiastował Polakom. Jakoż zaraz o świcie natarł nieprzyjaciel wielkimi hufcami pod osobistém dowództwem Kałgaj sultana, i aż do południa ciągle do taboru szturmował. Z wielką jednak szkodą odparty, musiał zaprzestać napaści; czém ośmieleni nasi wpadłszy na konie, długo za taborem upędzali Turków, którzy w téj potrzebie działało jedno i dwie chorągwie postradali. Nieprzyjaciel napół mili odstąpiwszy, stanął na drodze, kędy wojsko dalszy odwrót czynić miało. Po krótkim spoczynku, ruszył się znowu przed samym wieczorem na całą noc oboz Polski, a Turcy i Tatarzy ustępowali ciągle, paląc wsie i stodoły okoliczne, żeby naszych pozbawić wszelkiej żywności. W godzinę już po wschodzie słońca, w dniu 3 października, zastanowił swe wojsko po trzy milowym pochodzie Żółkiewski, w głębokim, a wązkim padole, przy wsi od Tatarów zapalanej. Tu już, gdy nie mogli Tatarowie dla braku pola napastować Polaków, sam Iskiender pasza rozłożywszy Turków swoich na górach otaczających dolinę, zaczął gęstemi z dział strzałami dobijać się taboru, na który janczarowie oddziałami wypadając, strzelaniem z ręcznej broni ciągle naszych niespokoiłi. Nie powiodła się jednak napaść owa Turkom; dzielnie wstrzymani do-

(2) *Szemberk*, Relacya. Dzieye Wołoskie.

brze skierowaną armatą, a potem szablą wsparci, przez ciurów nawet ośmielonych powodzeniem, zmuszeni zostali do opuszczenia jednej góry, straciwszy w tém spotkaniu chorągiew i siła przedniejszych dowódców. Pochód zatem wojska Polskiego przez noc następną był bezpieczny, pomimo zwykłych harców Tatarskich. Tabor cały uszedłszy mil dużych trzy, o południu dopiero nazajutrz stanął opodal rzeki Reut, niemogąc jęj dosiędz dla zbytecznego znużenia i natarczywości nieprzyjaciół. Dzieńto był 4 października, dzień złowrogi dla Polaków, w którym omal co nie przyszło do ostatniej klęski. Spiekle od gorąca pola otaczały zewsząd Żółkiewskiego obóz, zewsząd pożary osad i pól, zarażające gęstym dymem skwarne powietrze, dusiły oddech żołnierza, brak wody udęczał go doreszty. Godzinę zaledwo dał im wypocząć na tém stanowisku nieprzyjacieli, i otoczywszy ze wszęch stron Polaków, zaraz w tył taboru z nadzwyczajnym zapędem uderzył. Ale chciał jeszcze Bóg tym razem zachować utrapionych, ale posłusznych wodzom swym chrześcian. Pomimo nieznośnej kurzawy i dymu, od których nietylko nieprzyjaciół zdaleka nie było widać, ale słońce nawet zaledwie słabym promieniem przebić powietrze zdołało, całe wojsko baczne na każdy ruch bisurmanów, z zimną krwią czekało śmierci lub zwycięztwa. Pierwszy zaraz wystrzał prawego skrzydła ze śmigownic i jednego działa, tak silnie pomieślał dwie zielone chorągwie Turków, że cały swój impet spólnie z Tatarami obrócili na półk Lisowczyków. Mężny ich odpór, zasilany odważném natarciem piechoty Niemieckiej, zraził Turków tak dalece, że po krótkiej walce pierzchnęli w nieładzie, zaledwo już nierozzerwawszy taboru zachwianego. Wtenczasto gęste strzały z dział

puszczone umiejętnie za uciekającymi, wielkie zamieszanie i straty w ich szeregach zrzuciły. Zmrok zapadający uspokoił jeszcze bardziej nieprzyjaciela, a tymczasem całym taborem ruszyło się wojsko w dalszą drogę przez środek koczowiska Tatarów. Ci jednak usuwali się łatwo na stronę, zrażeni niepomyślnością całodziennej bitwy. O wschodzie słońca 5 października przeprowił się Żółkiewski przez rzekę Kobelę, a chociaż znużenie coraz większe dawało się czuć w całym wojsku, jednak hetmani widząc jedyny ratunek w najprędzszym doścignieniu granic ojczystych, wiedli je dalej przez trzy mile ciągle brzegiem rzeki, a Muzułmanie, bez ustanku na drugim brzegu przelatując, strzelaniem z janczarek, silnie Polakom szkodzili. O południu dopiero stanęli na odpoczynek tuż nad nią, i rozumiejąc że Turczyn na obozujących uderzy, sposobili się do odporu i walki. Zeszedł jednak dzień ten spokojnie, bo nieprzyjaciel na tamtej stronie usadowiony, przestał tylko na drażnieniu naszych i bronieniu im przystępu do wody. Straszliwszy jednak wróg od Turków i Tatarów, zawitał do obozu Polskiego; głód na ludzi i konie, a co większa, zupełny upadek na siłach wielkiej części żołnierza, dręczonego siedmiodniowym pochodem i bojem, a więcej jeszcze bezsennością. Wielką też stratę poniosło wojsko Polskie w postępowaniu swoim tej nocy; lud zemdlony brał się do wozów dla snu, i przerwy otwierał w szykach, lub z osłabienia iść niemogąc; zostawał po drodze na łup Tatarów, a byli tacy, którzy od rozumu odszedłszy, zupełnie jakby martwi padali, i ocuconemi być nie mogli żadną siłą. Pomimo takiej klęski, nie widział Żółkiewski innego ratunku jak najśpieszniejszy pochód do Dniestru, od którego dwie już tylko mile, wojsko oddalone było: bo ani żywności, ani

prochów, nie zostało. Stanać jeszcze tego wieczora pod Mohilewem, gdzie i spoczynek i opatrzenie wszelkie żołnierz znalazłszy, mógłby łatwo dać odpór nieprzyjacielowi, nimby nadeszły posiłki, było jedynym sposobem ocalenia rycerstwa w tym ostatnim dniu jego odwrotu, to jest 6 października. Z takiego postanowienia hetmanów wypadło, że się niezatrzymując nawet przy wodzie rano, postępowano ciągle dalej, a głosy wodzów wskazując blizki już kres wszystkich klęsk, ożywiały upadającą wytrwałość wojowników. Wtém o godzinie dziesiątej na półzégarzu, kiedy obóz zbliżał się do wsi zapalanej *Serwirni*, natarli nań Turcy z Tatarami gwałtownie: ale ze zwykłym mężstwem odegnani, zaniechali już zupełnie dalszej napaści, widząc Polaków tak do swego kraju zbliżonych. Jeden tylko Kantemir odebrał rozkaz z podjazdami Tatarów swoich, czuwać nad uchodzącemi. Jak tylko żołnierz ujrzał się swobodnym od nieprzyjaciół, pragnieniem i bezsennością udręczony, a do burzliwości pochopny, natychmiast jął się domagać ze wszęch stron, żeby mu dano spoczynek, i pochód obozu zastanowiono. Bacząc to Żółkiewski, hamował usilnie powstające szemrania, a zawsze posuwał się chociaż krok za krokiem dalej, zwłaszcza że ani wody, ani miejsca dogodnego do stanowiska nigdzie na drodze nie było. Jeszcze tym razem głos sędziwego wodza, choć na chwilę zdołał poskromić zuchwałych; wszakże ciężki smutek na wznowienie zatrwających znaków buntu, ogarnął duszę hetmana. Wiedział on, że najmniejsza zwłoka w odwrocie, pomimo blizkości ziemi ojczyściej, gotowała wszystkim najpewniejszą zgubę; widok zatem powtórnie grożącej swawoli, nabawiał go wielką trwogą o los prawie już wyrwanego z niedoli wojska. Jeszcze tego sa-

mego dnia ozywiony starzec nadzieją wybawienia wszystkich, odebrał na świtaniu właśnie przed bitwą, list od żony swojej, który balsamem niezrównanej pociechy ułagodził ciężkie strapienie hetmana. Lecz w chwili kiedy się zabrał do odpowiedzi, mniej pogodne myśli zajmowały dzielny ten i wyższy nad nieszczęścia umysł. Żółkiewski, jakby przecuciem gotującego się dlań losu, wiedziony, odpisując małżonce, takie wyrazy pożegnania i woli swojej skreślił.

„Mościwa Jejmość Pani, a Pani małżonko ma sercem ukochana i wieczyście miła. Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła; Pan Bóg Wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnach hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec, i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciołom tamę w bitwiech stawiać rada była. Jakoż kiedyśmy się zabiierać radzi do utarczki z poganem, tego świtania odebrałem pisanie Waszej Miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej małżonki, toż pociechą słówek kilka, a kto wie może być że i ostatnie pożegnanie. Jam pewien że Waszmość ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić starca i sił mych, a chociażby i życia dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcian. Toż ta pociecha będzie sercu memu. Tu w obozie mym jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło by na własną zgubę, i chcąc koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem. Skinder basza i Gałga nie chcą już wiedzieć o układach i gotują się dać stanowczą bitew. Przetoż nie turbuj się Waszmość najukochańsza małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami, a choćbym i poległ, toż ja sta-

ry i na usługi Rptéj już nie zdatny, a Pan Bóg Wszehmocny da, że i syn nasz miecz po ojcu wzięwszy, na karkach pogan zaprawi, i chociażby tak było jak rzekłem, pomści się krwie ojca swego. Na wypadek jako bądź załączam WMości najukochańszéj małżonce miłość dla dziatki, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rptéj. Co Pan Bóg chce z swéj łaski dać, niech się stanie, a wola jego święta, będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tém mnie modlitwom i łasce Waszmości najukochańszéj Jejmości polecam, i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam. W obozie pod Cecorą d. 6 października 1620 r. Jejmości do zgonu kochający małżonek i ojciec, Stanisław Żółkiewski hetman w. k. (1).

Stało się tak niestety jak przepowiedział zacny wojownik; list ten był już ostatniem pożegnaniem rodzinnéj ziemi, ostatnią pamiątką jego myśli. Jeszcze słońce nie skryło za widnokrąg najgorętszych promieni swoich, kiedy postęp leniwie ciągnącego się żołnierstwa, przerwany znowu został nowém zaburzeniem. Rozhukana hałastra, jeła ze wszech stron domagać się zastanowienia i spoczynku, a gdy po niejakiem zatrzymaniu się z powodu tego zamieszania, hetmani dali rozkaz na nowo tabor zataczać i posuwać się naprzód, wielka część żołnierzy i ciurowie rzucili się do rabunku wozów skarbnych, ocalonych od tumultu pod Cecorą. Widząc to starszyzna wojskowa, a powściągając siłą i mową rozpustnych, znowu niebacznie poczęła się odzywać z groźbą, że za

(1) Ob. tenże sam list podług jego autentycznój pisowni z oryginału przepisany i udzielony nam przez uczonego profesora Wacława Aleksandra Maciejowskiego, umieszczony pod Nr. 7 między dokumentami.

Dniestrem rabusie i buntownicy niechybną karę za tę swawolę odbiorą. W tém zamieszaniu mrok zapadł, a tymczasem zbieg jakiś z obozu uwiadomił Kantemira Mirzę o tém co się dzieje w wojsku Żółkiewskiego. Przypadłszy natychmiast wódz Tatarski do Iskiender paszy i Kałgaj sultana, którzy już zwątpili zupełnie o przełamaniu Polaków, doniósł im że teraz właśnie była najspodobniejsza pora, do rozerwania uchodzących, i ręczył za skutek pomyślny, byleby mu posiłków nie odmówili. Zradością chwycił się téj rady Kałgaj sultan, i kilkanaście tysięcy Tatarów oddał zaraz pod dowództwo Kantemira. Z tak przeważną siłą uderzył on niebawnie na tylną straż taboru, gdzie jednak dzielny odpór piechoty Lisowczyków i niektórego ochotnika, długo wstrzymywać potrafił natarczywość nieprzyjaciela. Ale Tatarzy wieszając się nieustannie na zmordowanych Polakach, czyhali na chwilę ostatniego ich rozprężenia. Tymczasem coraz większy nieład i wrzawa powstawały we środku i na czele taboru, szarpano się wzajemnie i do gwałtowności się posuwano otwarcie. Nakoniec o saméj północy, gdy mrok usunął już ostatek wstydu z pomiędzy rozhukanéj rzeszy, porwali się ciurowie i żołnierze do spychania z koni swoich panów i starszych, do znieważania ich, a nawet zabijania (1). W téj chwili srogiego zamieszania, gdy powaga wodzów zupełnie już wzgardzoną została, niektórzy z rotmistrzów zaczęli im radzić, żeby zmniejszywszy tabor, w ścieśnionym szyku coprędzej uchodzić; i już Marcin Kazanowski, którego niezmordowanėj czynności winien był obóz w ostatnim dniu swoje ocalenie, zaczął się krzątać około tego. Ale większa część

(1) Rękopism z r. 1663 p. t. *Historia nieszczęśliwéj porażki pod Cecorą*, i t. d.; ob. między dokumentami pod Nr. 8.

domagała się, żeby sprzągłszy konie (co zbatożeniem nazywano), iść za nimi odstrzeliwając się, na los szczęścia aż do Dniestru (1). Ten ostatni środek wiódł niewątpliwie wszystkich, do pewnej zguby i śmierci. Znali to hetmani, ale niemogąc się już oprzeć swawoli powszechnej, i niemając żadnej władzy nad wojskiem, postanowili w samym nawet obłąkaniu jego nie odstępować miejsca i powinności swojej. Zaledwo Żółkiewski w czole taboru jadący zsiadł z konia, i dla pokazania wszystkim że chce z nimi razem umierać, przebił go szablą (2), usłyszano nagle z tyłu wielki tentent przypadających koni. Było istotnie oddział Lisowczyków i różnego ochotnika z tylnej straży, który odpierając szczęśliwie natarczywość Tatarską, znalazł w odwrocie swym stodoły napelnione sianem i zbożem, a korzystając z kilku chwil wolniejszych, zastanowił się dla zabrania na konie tego, co się w pośpiechu unieść potrafiło: dokazawszy zaś swego i party znów od nieprzyjaciół, dopędzał śpieszniej oddalający się tabor. Ale wśród powszechnego zgiełku i zamieszania, nie poznano swoich, mniemając, że już Tatarzy tabor rozerwali (3). Wtenczasto popłoch powszechny dosięgł ostatniego kresu; zamiast batożenia koni, ciurowie ujęwszy je panów swoich mieniem porwali się do ucieczki, drudzy poszli na wszystkie strony w rozsypkę, inni znowu rozumiejąc że wozy swe do Dniestru doprowadzą, trzymali się przy nich pojedynczo. W takim rozprężeniu obozu i szyku, wpadają całymi siłami w tabor bisurmanie i rozerwane hufce chrześcian mordują, lub do nie-

(1) *Szemberk, Relacya.*

(2) Mss. List Abrahama Zlotopolskiego do Wojciecha Miaskowskiego 25 oktobra r. 1620 pisany. Ob. w dodatkach pod Nr. 9.

(3) Dzieje panowania Zygm. III p. Niem. T. 3, str. 289.

woli zabierają. Tymczasem wstrasznej owęj chwili, kiedy rozjadły Muzułmanin nasycił się krwią chrześcian, których nie swoim męstwem, ale własną ich swawolą pokonał: Żółkiewski ciężkim smutkiem pochylony szedł pieszo na przodzie taboru, wsparty z jednej strony na poruczniku Złotopolskim, a z drugiej na domowniku swym Kurzawskim, mając przed sobą hetmana polnego Koniecpolskiego. Jeszcze ze trzysta jeźdźców im towarzyszyło; lecz zaledwo ćwierć mili uszli, około 2,000 Tatarów oskoczyło tę garstkę, nietrzymającą już szyku, ani słuchającą rozkazów. Po krótkiej walce pierzchnęli wszyscy, sam tylko Żółkiewski na śmierć przygotowany, a z nim Koniecpolski i jedenaście jeszcze osób z rycerstwa, co pozostało przy wodzach, postępowali pieszo. Widząc blizką zgubę wodza, rzucili się wszyscy zaklinać go, żeby siadł na konia którego mu syn z taboru podesłał i uchodził pospołu ze wszystkimi; lecz sędziwy hetman do zwycięstw od młodu przywykły, wzdrygając się na samo wspomnienie ucieczki: „nie, rzekł, nie wsiądę na konia, miło mi przy was umierać; niechaj Pan Bóg nade mną wyrok swój który uczynił, kończy!” Mało co postąpiwszy, znowu zaczęli go nalegać, ale już konia nie było. Wtém Abraham Złotopolski zsadziwszy z konia jakiegoś towarzysza niemogącego się już na nim utrzymać dla trudu, gwałtem prawie wsadził nań Żółkiewskiego za pomocą hetmana polnego (1). Kiedy to się dzieje, ostatni oddział jazdy Polskiej ustępującej nawale Tatarskiej przylatuje w to miejsce, i koń unoszący Żółkiewskiego łączy się z tą garstką walecznych (2). W krwawym boju, jaki

(1) List Abrahama Złotopolskiego Mss.

(2) Kobierzycki (Lib. IX p. 703) pisze, że hetman Żółkiewski widząc zgubione rzeczy, przywołał do siebie Szymona Wybiercyusza

ten ostatni hufiec Polaków wieść był przymuszony z nieprzyjacielem, jeden Turczyn zadaje ranę, mężnie broniącemu się Żółkiewskiemu, ale i sam od szabli hetmańskiej ginie natychmiast; wtém drugi przypadłszy na zmęczonego wodza, ucina mu najprzód rękę, a drugim zamachem śmiertelny cios zadaje, i głowę bohatera na długiej spisie utkwioną, z natrząsaniem się do Iskender paszy unosi, a ten ją z dziką radością, przed namiotem swoim przez cały dzień wystawia, potem zaś na tryumf padyszachowi odsyła (1). Taki był nieszczęsny wprawdzie ale rycerski i przezacny koniec chwalebnego żywota Stanisława Żółkiewskiego, kanclerza i hetmana w. koronnego, który dla przeważnych i niezliczonych dzieł wojennych, a szczególnie dla słynnego pod Kluzynem zwycięstwa, do najpiérwszych wojowników wieku siedmnastego niewątpliwie należy. Po rozdzieleniu się z Żółkiewskim, hetman polny Konięcpolski, we dwanaście osób, między któremi był ów waleczny Denhoff, udali się w bok pieszo, szukając jakiegokol-

Jezuicie, teologa swego, który gona śmierć przygotował. Autor dziejów panów. Zymg. III powiada: „że wziął rozgrzeszenie od księdza Szymona karmelity (T. 3, str. 291). Listy jednak spótczesne nie wzmiankują o tém. Wszakże między jedenastą osobami, które go otaczały, gdy szedł pieszo, mógł się i kapelan obozowy znajdować.

(1) *Kiatib Czelebi* dziejopis Turecki (podług *Sękowskiego Collectanea* T. 1, str. 133) pisze: „że *Żylkusz* t. j. Żółkiewski poległ okryty ranami, a głowa jego zawieszona została pod sklepieniem pałacu padyszacha”; i przywodzi wiérse z tej okoliczności od jednego z ówczesnych poetów Tureckich ułożone. O Konięcpolskim zaś powiada: „że drugi serdar *Kunycpulsz* żywcem wzięty, w kajdanach do Carogrodu odesłany został. W tym jednak nader kusym obrazie wyprawy Cecorskiej, ale jak się zdaje autentycznym, wszędzie liczba wojska Polskiego przesadzona, a Tureckiego przeciwnie do dziesięciu tysięcy zredukowana, daje wyobrażenie o wiarogodności świadectw takiego historyka.

wiek ratunku, i z pośród rozgromionego taboru wychodząc, ujrzeni się otoczonemi chmarą Tatarów. Gęstemi strzały natychmiast zewsząd rażeni, nim dosięgli lasu stracili z pomiędzy siebie siedmiu zabitych, a w téj liczbie Denhoffa; pozostali pięciu wszyscy mniej lub więcej ranni, a najbardziej Koniecpolski w bok i głowę postrzelony, schroniwszy się do lasu, ze wszystkiego od Wołochów odarci byli. Hetman zaś polny przez nich w niewolę uprowadzony i oddany Iskiender paszy. Inni położywszy się między trupami na pobojuwisku, uszli potem za Dniestr szczęśliwie przed jassyrem Tatarskim. W rozbitym taborze wzięci naprzód: Jan Żółkiewski starosta Rubieszowski, syn hetmański, i Łukasz synowiec jego, którzy od bitwy pod Cecorą zran niewyleczeni, jechali w kolébce i Kałgaj sultanowi oddani; Samuel książę Korecki, ranny i pojmany, do Carogrodu zawieziony; Bałaban i Struś, także ranni, dostali się do niewoli, razem z Potockim wojewodziecem Braclawskim, Farenzbachem, Malińskim, Strzyżowskim, i kilkunastu innemi rotmistrzami i półkownikami. Marcin Kazanowski, jeden z najdzielniejszych ludzi, który w tym nieszczęsnym odwrocie nieocenione zasługi położył, chociaż równie z innemi pojmany, ale tak zręcznie umiał się udać za prostego żołnierza, że za mały okup wolność potrafił odzyskać. Jeden tylko Szemberk dowódzca artyleryi, prostą drogą dążąc do Dniestru, z przedniejszych rotmistrzów ocalony został. I ci tylko z wojska co jój się pilnowali, nieuchylając się nigdzie na bok, żywo dostali się do Mohilowa; innych mniej cierpliwych lub przezornych, albo nurty Dniestru pochłoneły, albo sama Wołosza zasadzona po lasach wzdłuż rzeki, chwyciła i zabijała. Wogóle uszło z pamiętnego po-

gromu ze 200 piechoty kwarcianej i niemal połowa Lisowczyków, oprócz małej liczby hussarów i Ukraińskiej jazdy (1).

Za dojściem wiadomości o zgubie wojska i hetmanów, powszechną żałobą okryła się Polska, a wkrótce kiedyśmy Tatarów aż pod Lwów rozbiegły się po kraju, przerażenie i trwoga zajęły wszystkich umysły. Mnogie opisy bitwy Cecorskiej, mężnego odwrotu, niesforności wojska, ostatniej jego swawoli i pogromu, tak w listach jak i w druku ogłoszone, odkryły narodowi, nagą prawdę, jak dalece burzliwość i niekarność a niepowściągniona chęć do rozumowania, wtenczas, kiedy słuchać doświadczonych, i z prawa przełożonych należy, zdolna jest w niwecz obrócić najmężniejsze czyny rycerskie i największe ofiary obywatelskie. Ale najżałośniejszy był widok upadającej pod ciężarem smutku, owój nieugiętej dotąd żadnemi przeciwnościami kobiety, Reginy z Herburtów Żółkiewskiej, co za jednym razem osierocona zgonem małżonka, pozbawiona została syna, wystawionego na niebezpieczne losy Muzułmańskiej niewoli. Całym sercem przywiązana do męża, a ostatnim słowom jego i poleceniom wierna, zacna ta matrona wysłała za Dniestr do wyszukania zwłok drogiego sobie małżonka, a narodowi bohatera. Opatrzność chciała, żeby nazajutrz po klęsce poznane i dochowane ciało hetmana, dostało się wkrótce tam przybyłym domownikom jego wdowy. Wszakże chciwi krwi, i dobra chrześcijańskiego Muzułmanie, kazali sobie znaczne summy złożyć, za wydanie zwłok Żółkiewskiego, a okup z niewoli syna jego, dale-

(1) Podług dziejopisów Tureckich, Żółkiewski cofał się ku brodowi Turty czyli Dniestru zwanemu *Su-baszy*, i blisko niego właśnie ostatnia klęska wojska Polskiego miała nastąpić.

ko był ogromniejszy. Głowa Żółkiewskiego, którą sułtan pod sklepieniem seraju zawiesić kazał (1), później nieco za osobną opłatą zacnej żony jego, z Carogrodu odzyskaną została, i razem z ciałem w grobie spoczęła (2). Gdy zaś podług wiarogodnych świadectw społecznych (3), koszta tego wszystkiego do 200,000 czerwonych złotych wyniosły, rzeczpospolita dozwoliła wdowie hetmana na zaspokojenie tak wielkiego ciężaru, bić monetę w Żółkwi.

Za ubezpieczeniem granic Polskich od Turków po wyprawie Chocimskiej w następnym roku 1621, Żółkiewska wspólnie z synem chcąc uczcić żalosalną pamięć zgonu wielkiego męża, rozkazała wzniesić na tém samym miejscu, gdzie poległ, pomnik z kamienia ciosowego, który dotrwał aż do naszych czasów. Napisy na marmurze (4), chciwość barbarzyńska zniszczyła, czas mu na-

(1) *Sękowski, Collectanea* I. 133, przytacza więrsze, jakie jeden z ówczesnych poetów Tureckich na to barbarzyńskie widowisko zatkniętej głowy Żółkiewskiego napisał, które tak brzmią po Turecku: „Asyldı serî dergiehi Szah-tè; O debuldù rif èt bu dergiah-tè.” Po Polsku zaś podług Sękowskiego znaczą: „Głowa jego zawieszoną została w złoconym szacha pałacu: tego tylko rodzaju wysokie miejsce godzien on jest zajmować na dworze Osmanów.” Hammer w swojej historyi państwa Tureckiego, te same więrsze podług dziejopisa Tureckiego *Naima* (str. 318) przytacza w Niemieckim tłumaczeniu. Ob. *Geschichte des Osmanischen Reiches*, Pest 1829 IV, Band. p. 514.

(2) *Starowolski*, który w dziele swém *Sarmatiae Bellatores*, zasłużoną pochwałę Żółkiewskiemu napisał i nagrobkiem go uczcił, świadczy o tém następnemi słowy: „*Truncus occisi domum relatum, amici et affines cum uxore sepelierunt, cui deinceps et caput auro redemptum addiderunt.*”

(3) *Zaluski, Epistolar. familiar.* T. III, p. 861, przytacza o tém świadectwo króla Jana III prawnuka Żółkiewskiego. Wszakże summa ta zdaje się być za nadto przesadzoną, zwłaszcza na tamte czasy.

(4) Mieszkańcy wsi w okolicy pomnika znajdujących się, powiadają: „że wielka tablica marmurowa z napisem, złotemi literami

wet zagroził ruiną, ale tradycja ludu miejscowego do dziś dnia niezaprzeczone świadectwo przekazała potomności o téj szacownej pamiątce, po wielkim wojowniku, który padł ofiarą, niedołącznych widoków Zygmunta, i niecnój zawiści lekkomyślnych towarzyszków broni. Inne zarzuty, jeżeliby jakie historia mogła uczynić Żółkiewskiemu co do obrotów wojennych w téj wyprawie, są prostym skutkiem tanitych błędów i nie mogą zmniejszyć świetności tyłu przesławnych czynów bohatera, i wiekopomnych zasług jego dla kraju!

Zakończemy powieść naszą słowami Tomasza Zamojskiego wojewody Kijowskiego, który składając Zygmuntowi III na sejmie Warszawskim r. 1621, pieczęć i buławę koronną po rycerskim zgonie szwagra swego hetmana Żółkiewskiego, tak ostatnie jego czyny pamięci potomnych przekazywał (1). „Nie przegrała ta buława

wyrytemi, była umieszczona w wydrążeniu słupa pomnikowego do-
tąd widoczném, ale około r. 1830 jacyś szkodnicy ją wyłupali.” Pomnik ten o którym pierwsza wzmianka znajduje się w Dzienniku Wileńskim z r. 1830, stał niegdyś przy drodze z Multan do granic Polskich wiodącej; a dziś oddalony na wiorstę od głównego traktu z Kiszeniewa do Mohilewa nad Dniestrem prowadzącego, jest w okolicy należącej do powiatu Sorockiego w obwodzie Bessarabskim. *Starowski* w dziele swoim: „*Monumenta Sarmatorum*” zachował nam cały napis jaki się znajdował na pomniku Żółkiewskiego. Ob. w dodatkach pod Nr. 10.

(1) Mowa ta Zamojskiego ważna i ciekawa, w której zgon Żółkiewskiego porównywa zręcznie ze zgonem Pawła Emiliusza wodza Rzymskiego, przywołując właśnie spólny obu tym dzielnym mężom wypadek, nieprzyjęcia podanego sobie konia do ucieczki: mowa ta w której Zamojski zbawienne daje przestrogi zagrożonemu najazdem Tureckim narodowi, ma tytuł: „Oddawanie J. K. Mci pieczęci y buławy wielkiej koronney, po śmierci p. Stanisława Żółkiewskiego, kanclerza y hetmana koronnego, przez J. M. P. Thomasza Zamoyskiego woiewodę Kiiowskiego, na sejmie w Warszawie anno 1621.” Znalazłem ją w rękopiśmie 17 wieku, in folio, zaczynającym się od Dyaryusza sejmowego r. 1620, który jest w bibliot. Leona hr. Rzyszczewskiego.

wpołu, owszem siła trupem pogańskich gor okryła; a gdy iey dla niestateczności naszych, dla nawałności nieprzyjaciela, do odwrotu przyszło, tak ustępowała, że iey wzajemnie ustępować musiał sposobem niesłychanym y niezwyčajnym nieprzyjaciel, owszem siła razy z desperacją uchodzić. Torowała sobie drogę nie pokątnemi iakiemi ścieżkami, ale przez pośrodek nieprzyjacielskich hufow, ktore kędykolwiek ruszyła się, pierzchać y ustępować się musiały. Zwyciężył ją tam głod, niedostatek snu y napoiu, naygłówniejsze natury ludzkiey nieprzyjacioły. A że licencyi swych wyuzdaney y szczęścia, albo raczey wyroku Bożego, od wieku przeyrzanego złamać nie mogła, to nie oney przyczyna!"

IV.

D O D A T K I

*i świadectwa społecznych, w rękopismach dotąd
nieznanych pozostałe, i do opisu wyprawy Cecorskiej
posługujące.*

1.

Iasnie wielmożni mczwi panie woiewodo
kiioski moi mczwi panie y bratanku

Serdecznie mi te° zal ze nie mozemi służicz mzi me^u msi^u
panu. Złe zdrowie nass oboiga te° niedopusci — pana boga
prosicz będę abi sam racił tam mziw błogostawienstwa
swe° swięte° uzicacz — dali w cim sie zeidziemi służicz go-
towosc mzi zawdi wnas znaidziess . zaliczaiącz sie iako nai-
pilni powinni łascze mczwi me° mcz° pana. dan w Zołkwi 11
maia roku 1620.

na ie° czy pana przemiskie° brata me° prose bącz msc łaskaw
bo mie otho prosił abim go zaliczala w łaskę mczwi me° mzoego

pana zicliwa ciotka

y sługa

Regina s. Zulkiewska

ręką swą.

2.

Iasnie wielmożni mczwi panie woiewodo
kiioski moi mczwi panie y bratanku

aczem zabawna wiprawie ie° czy pana małzonka swe° na
woine — iednak hciałam tą kilką słuw mzi spolnie zdrowie
nawidzicz — złasca słusoncz o iakiss niesposobnoscici iczi sa-
mei cze° mi barzo zal iesli tak iako ludzie udaia trzeba tho
mzi wiedzicz ze sklienicami a białemi głowami trzeba po-
mału iездzicz y sanowacz dla spolnich pocieh y błogostawien-

stwa boze° ktore° ia mzi serca zicze — . ie° cz daię znac
 mzi o nieprzespiesenstwach ktore zahodzą koscil bozi y oi-
 czizne . pewnam te° ze mzi niezaniehass zwiklie dopomagacz
 zastawiacz sie zatho. przikladem zacne° domu swe° y przod-
 kuw sweh. mi pana boga prosicz bedziemi aby racil pofortu-
 nicz . zalicam sie przitim powinni łascze mzi me° msce° pana
 takze y mosci mei mswe pani dan w zołkwi 5 dnia lipca 1620

mze me° msce° pana
 zicliwa ciotka

y służicz gotowa
Regina szuł. Zołkiewska
 ręką swą.

dziękuie mzi me^u mze^u panu za ie° czy xsiędza dziekana ktori
 bil nam sam barzo potrzebnim do skonczenia y postawienia
 fundussu kosciola nase° — iemu wielkie podziekowanie za
 prace. —

Zapis na wierzchu listu:

Iasnie Wielmoznemu Memu Mcywemu Panu y Bratankowi
 Ie° Mcy Panu Woiewodzie Kiiowskiemu a Knijszinskiemu
 Staroscie &c. (1).

3.

*Kopia listu Nieboszika Pana Zołkiewskiego
 Kanclerza y hetmana Koronne°.*

(Z Rękopismu 17 wieku, w zbiorze Leona hr. Rzyszczewskiego).

Naiasniejszy Mwy Krolu
 Panie nas mwy.

Słuzby swe powolne pokornie zaleciwszy do Mwey łasky
 W. K. M.

Kleynotu mnie od W. K. Mⁱ powierzonego niechciałem dac
 w nieprzespiesenstwo, na ktore sam się *non invitus* biore:

(1) Oba te listy znajdujają się w oryginałach w zbiorze Rękopi-
 smów P. K. Bayer w Warszawie.

wpisałem w liscie przyczyny dla ktorych opusczywszy *tutiora, fortiora consilia* przed się wzięłem. W tey Rptej, nierządney, knądrey (sic), trudno ynaczyey tesz, y privata mie necessitowała, obmowiskami, detractiami (do znoszenia choc y wielkiem umysłem, zawždy przykre mi) *passim* mię y niewinnie urągano. A to y teras gdyby Wołochom proszącym nie dało się ratunku, wielka do obmowiska Materia, y pewnieby mię to niechybiło: Juzes teras do tego przychodzi że albo (co P. Boże dai) zwyciężymy nieprziiaciela, albo nas zwycięży nieprziiaciel; (cze^o nas P. Boże obron) padnieli co uchoway Boże przeciwnego z nieszczęściem Rptej, nie chce bydz *superstes duarum*, tegom szukał nie nad wolą swoię, rad zywoť położę dla Wiary Ś., dla służby W. K. M., dla Rptej, choc to od niey za wiele prac, za trudy, odwagi, miasto wdzięczności, wielkiem ponosyl *opprobria*, żalie. Nie mogę iednak ieno naylepiey zyczyc Oyczyźnie swey, com dobrem umysłem uczynił. W niebie będzie za to da P. Bog zapłata. Jesli tesz iako mam nadzieię Pan Bog raczy przeczywko Nieplwi pobłogostawic, wzdy zazdrosciwe Petuliuszow ięzyki uciczną. To tedy iest do ynszych niemala przyczyna zem na tę resolućią przypadł, tosz za zgodnem Woyska wszystkiego zdaniem U P. Boga w tajemnicy iako rzeczy padną. Masz Naiasniejszy Krolu Panie moi wielką przed sobą sprawę: Woyna s Turky nieigrzysko: albo Turka trzeba zrazyc z ych przedsięwzięcia, ktorzy chcą tey Rptej y wszytkiemu swiatu panowac, albo tobie Krolestwo stracic. Zginie czego strzes Boże Rpta, tu potrzeba Krolu Panie moi żebys *intendas vires animi ingeniique*. Iest z łasky Bożey tak sposobow wiele w tey zacney Coronie by iedno sami chcieli, że się może temu nieprzespieczestwu rada dac: Iest tile dostatkow ktorych woyna potrzebuie. Mamy tego swiezy document, co kilkanascie millionow znalezlismy na zniesienie oppressiy od żołnierza Sconfederowanego, a co ieszcze statiami, extorsiami żołnierz sam brał, przecię iednak u nas w Rusi, ani tego było znac, gdyby nie od Tatar szkody. Pogotowiu w takim razie gdzie idzie o wyniszczenie chwały Bożey, na co się Poganie zasadzili, o całość, o zdrowie Rptej, o zniewolenie,

o wszystko zgola, trzeba dostatkow niezałowac. *De modo et ratione* prowadzenia Woyny iz *iure meo* rzekę: Mam cokolwiek experientij; czytałem siła przykładow, pełną ich mam głowę, mogłbym około tego nieco zdania dac ale nie lystowna rzecz, silic się s tem, a tesz iz iusz niedaleky Nieprel *conspectu*, zabawny tak wielką sprawą, y siła niemogę pisac, niedopowiadam. Będzieli Rpta Oycyzna moja miła *defensivo bello* w ziemi swey (iesli ieszcze pospolitem ruszeniem iako na Ellektij K. Henrica opisano) chciec woynę s Turky odprawowac, *actum est* zginęliśmy. Iesli z nieprziiacielem w ziemi iego czynic y naiezdac go będziem, *non est desperandum*, że *Victoria*, y co wiedziec, nie tenli to sposob przes ktory P. Bog, ten brzytky, plugawy, Pogansky Narod pokarać; a Narody Chrzescianskie z niewoli wybawic raczy. Wspomniał J. M. P. Woiewoda Poznansky w scripcie ktory w druk podał. Zem za Krola Stephana był *consciis* rady tajemney strony woyny, którą K. J. M. gotował przeczywko Turkowi. Czynił K. J. M. Stephan tajemne praktyki o tey woynie *cum Sixto quinto Pontifice*, s Krolem Hiszpanskim Philipem wtorem, popraktikował był Moskwę przes Iwanowicza Piotrowicza Suyskiego, skrzycie, tajemnie się te rzeczy toczyły. Polakow niebyło nas ieno co wiem ia tylko czterey cosmy o tem wiedzieli, ieszcze były rzeczy *non maturuerant*, zeby ie stanom proponowac. Smierc K. J. M. Stephana rozerwała to wszystko. Ten iednak Duch tych rzeczy miał bydz że K. J. M. *cum terrestribus*, a *Princeps Parmensis, cum Navalibus copüs*, mieli się zziechac w Graecii *ad Archypelagum*, y tak mieli oras morzem y lądem oppu-
gnowac tego Niepla. Przes Wołochy nie myślił K. J. M., strzegł się zatrudnienia na przeprawie przez Dunay. Czego my teras mając tak wielką liczbę Kozakow, moglibysmy się niebac, natenczas niebyło Kozakow setney części. *In summa* ten sam *belli gerendi modus, unica via salutis*. Zawieriając ten lyst zegnam W. K. M., ieslim w czym, iako człowiek niedogodzył, W. K. M. racz Mwie odpuszczyc, a Synowi Memu iezeli go *servabit fortuna belli*, racz bydz Mwem Panem. Niech P Bog W. K. M. chowa w długi wiek, dla rozmoze-

nia chwały swey y dobre Rptej, a po tem żywocie przymie do chwały swey, gdzie sam zije y Kroluie z Synem y z Duchem S. Bog wieczney prawdy. Datt z Woiska z Baru wyiezdaiąc, d. 25 Aug. 1620.

W. K. M. wierna rada y zyczliwy sługa

Stanisław Żółkiewsky Canclerz
y Hetman Coronny Mp.

4.

*Testament Stanisława Żółkiewskiego, Hetmana i Kanclerza
W. Koronnego.*

W Imię Przenayświętsze Troyce Świętey Boga Oyca,
Syna y Ducha Świętego.

Zawždy każdemu człowiekowi ma być przed oczyma niepewność zywota tego doczesnego, gdyż niezliczoney liczbie przygod iest podległy. Zatem y ia pamiętaiąc na śmiertelność, a tem więcey będąc na terażnieyszey Rzeczypospolitey posłudze gdzie sobie tego życzę, abym mógł zdrowiem swym zastąpić nieprzezpieczeństwo Oyczyzny, a położyć żywot z Pogany dla wiary Świętey Chrześciańskiej, przeto tedy w obyczay oświadczenia intencji y woley swey ostateczney *in vim* testamentu, umarzaiąc insze ieśliby się ktory z pierwszych znalazł, to co iest nizey napisałem.

Naprzod wyznawam, iż Wiarę Świętą Chrześciańską podług wyznania Apostolskiego, Synodu Niceńskiego i Sgo Atanazyusza wierzyłem y wierzę wedle confessii Kościoła Katolickiego, w tey to wierze do ostatniego skonania żyć mocną intencją mam, dla niey co day Panie Boże umrzeć sobie za naywiększą pociechę pokładam y życzę, *Eiusdemque fidei merito*, przez zasługę męki Pana y zbawiciela naszego odpuszczenia grzechow y wiecznego zywota oczekawam, A Pana Boga proszę żeby mię w tey wierze Świętey do ostatniego punktu zywota potwierdzać y umacniać raczył.

Rzeczypospolitey Oyczyźnie swey y Krolom Panom swoim, ktorych panowania zasięgly dostalsze lata moie, tak Krolowi Jego Mci Stefanowi, iako y teraz panującemu Krolowi Jego Mci Zygmontowi zachowałem całą y stateczną wiare. Do praktyk żadnych ktoreby były przeciwko dostoięństwu y zwierzchności J. K. Mości nigdym się nie przymieszal, ani wiem o nich. A iako tak się czuję zem cnotliwie, wiernie służył J. K. Mci Panu swemu, krwie y zdrowia swego dla służby J. K. Mci y Rptey nie żalując, tak mam nadzieię że u J. K. Mci będą w wdzięczney pamiętce iakiekolwiek atoli chętlive pracowite zasługi moie. A iakom przez pisanie swe ieszcze od syna swego oddal pod Mciwą opiekę J. K. Mci tak nie wątpię, że pod nią przyięty, będzie znał łaskę J. K. Mci, ktorą ia sobie zasługował. Pokazuie się w niem iakakolwiek indoles; •acz ci Pan Bog da, że w dostalszych leciech zeydzie się do służby J. K. Mci y Rptey.

Podług opisania Prawa Pospolitego zapisałem był w Ziemstwie Lwowskim a potym w Grodzie Kamienieckim tutorią na pewne osoby, lat iuż temu kilka; niektorzy pomarli. Niezdało mi się potym u Ksiąg odnowić. Cobych u Ksiąg, kiedybych miał sposob, mianuiąc Ich Mci Pany Opiekuny, zeznał, to teraz przychodzi w testamencie spomnieć. A iż tu dał Pan Bog w ten Kray Jego Mci Księdza Arcy Biskupa Lwowskiego, z ktorym żyjąc z młodszych lat znałem zawdy stateczną Jego Mci przeciw sobie łaskę: oddaie y teraz łasce y opiece Jego Mci syna swego. Tymże sposobem J. Mci Księdza Biskupa Kuiawskiego, J. Mci Pana Woiewodę Krakowskiego, J. Mci Pana Poznańskiego, J. Mci Pana Krayczego, prosząc Ich Mci, żeby Ich Mci raczyli być łaskawi na dom moy, osobliwie na syna mego, żeby go Ich Mci raczyli dirigować do uczciwych spraw. W tutoriey dotknąłem tego patrząc na śliski młody wiek, żeby do dwudziestu pięci lat wieku swego był sub potestate Ich Mci Panów Opiekunów; toż y teraz powtarzam y to po niem mieć chęć.

Ciebie moia nymilsza małżonko poruczam Panu Bogu. Iegoż y twoiey opiece poruczam dziatki spolne, pamiętając

na to w iakiey zgodzie y w iakiey miłości żyliśmy z sobą; niech nie gaśnie y nie umiera w tobie pamiątka moia. Pewniem o baczeniu twoiem, iż iako za mego żywota chwalebne były postęпки twoie, tak y po ześciu moiem nie poniżysz uczciwych Spraw swoich. W baczeniu twem, ktoregom wiadom, nie mam wątpliwości że dziatkom spolnym, poki cię Pan Bog chować będzie, dasz takie wychowanie y taką pieczę mieć o nich będziesz, iako matka prawa, wiodąc ich do boiaźni Bożey wszelkiey uczciwości. Syna, ponieważ z łaski Bożey chęć ma przed się do nauki, y ma już początki nie złe, nie odryway go od tego y słodź mu to co napilniey. W Zamościu się zaczęła nauka godna dzieci Szlacheckich, y wolę że go tu w Polsce niżli gdzie indziej do cudzey ziemie uczyć dasz, bo to iest iawna że nie równo większa liczba iest tych, którzy do cudzych ziem dla cwiczenia iezdzą, co więcey złych niżli dobrych obyczajow przynoszą; a zgoła rzadki z czem dobrem przyiedzie. Niech iako się poczeło uczy się z Panem Tomaszem. Ieśliby za radą Ich Mci Panów Opiekunów do tego przyszło, żebyś go miała gdzie do cudzey ziemie posłać, wielka część wychowania a wszystko niemal na Inspektorze należy. Iakiego kto chce mieć syna, takiego ma mu dać Inspektora. Potrzeba Człowieka cnotliwego, Bogoboinego, dobrego rozsądku; do tego życzyłbym żeby był rycerski człowiek; starai się za iaką taką kondycją żeby taki był przy synu naszym. Doma przy sobie nie chowai go, do buty y do powagi nie każ go mieć; masz y sama domowy przykład iako to rzecz szkodliwa. A gdy przyidzie do lat dostalszych, albo Krolowi Iego Mci na Dworze niech służy, albo Żołnierską służbę ieśli będzie w dobrem porządku. Lat młodszych koniecznie doma nie dai mu trawić, byś go zanadrzu chowała, przygody, ieśli Bog iaką przeźrzał, nie uchronisz. Za domowem mieszkaniem proźnowanie, za proźnowaniem wszystko złe w człowieku się rodzi. Gdy będziesz miała co stanowić o sprawach dotykaiących się syna naszego, ba y we wszystkich inych, mimo Ich Mci wyszey wspomnionych, dokładai się Ich Mci Pana Sędziogo y Pana Pisarza Lwowskich, którzy iż

bliżsi, w każdym przypadku pewniem że y ciebie y syna mego zdrową radą będą wspierać; na których łasce y dobrej przyjaźni iako ia tak y ty sięnie oszukasz.

Do Ich Mci wyszey wspomnianych ieszcze proszę Jego Mci Pana Iana Żółkiewskiego brata, y Pana Adama Synowca swego, ktorego dowcip iest dobrego da Pan Bog oczekawania, żeć pomogą radzić iako w uczciwém przystoynem wychowaniu syna naszego, tak y inych wszelakich przypadkach.

Starsza corka nasza iuż ma opiekuna ktorego iey Pan Bog z woley swey przeźrał. Tę też drugą mnieyszą Pana Boga opatrności, y opiece Iego Świętej poruczam. Ich Mości Panow Opiekunow wyszey wspomnianych y twoiey też osobliwie, iakom wyszey wspomniał, gdy przyidzie stanować bądź o wychowaniu syna albo też o postanowieniu Corki. Mam nadzieję o łasce Ich Mci ze cię życzliwą y zdrową radą będą podpomagać. Y o to cię pilnie proszę iż wiem o nieprzezpiecznym zdrowiu Jey Mci Paniey Podkomorzyney bratowey moiey, ieśliby Pan Bog wziął ią z tego świata, żebyś corki iey, synowice moie, miała przy sobie y chowała pospołu z corką naszą.

Ianie synu moy namilszy, do ciebie teraz mowa moia. Z tego świata mi nie żal z inszey miary, ciebie bym był rad wprawował do Bogoboyności y wszelakich uczciwych spraw. A iakom cię miał za żywota ćwiczyć, zostawuję na piśmie krotką tę instytucyą swoyę. Teraz prze młodość nie poymiesz albo mało co słow y napominania mego; do lat przychodząc często ie czytay y ustawicznie miey na umyśle. Przedewszystkiemi rzeczami napierwey wiarę S. Chrześciańską powszechną mocnie y statecznie trzymay; dla niey krwie rozlać, żywota położyć, nie żałuy. Boiaźń Bożą ustawicznie miey przed oczyma, zatym wszystkiego dobrego y pocieszne-go na tym y na onym Świecie będziesz pewien. Nie zostawiam ci Włości y maiętności wielkich, choć z krwawey wysługi miałem dochod nie mały: wszystkim obracał na służbę Rptey y część maiętności po Oycu mem zostawionej uprzedałem, ale mi tego nie żal; nie na żadne marnotraw-

stwom tego obrocil y mnie y tobie to nie zginie, odpłata pewna niepochybna u Pana Boga za to co kto dobrą intencją dobrem affektem czyni dla Rptey. Zostawuieć uczciwą sławę, obraz y przykład uczciwych spraw swoich: kiedy się tak będziesz sprawował iako cię uczę, iakom ia czynił, kiedy się będziesz Pana Boga bał, wiele dobrego będziesz miał, pewien bądź błogosławieństwa Bożego. Krolowi Polskiemu Panu swemu, wiernie służ y Rptey Oyczyźnie swey; dla dostoięstwa dla sławy Krola Pana swego, dla dobrego Rptey krwie y zdrowia Swego nie żałuy. Młodsze lata swe naukami poleruy, nie day się nikomu w młodości twoiey od tego odwodzić. Mnie wierz, z nauki wielką podporę y wielki ratunek do godności do służby Rptey do wszelakiego uczciwego życia mieć będziesz. Nie mow iako wiele ich niemam chęci do nauki; wtwoiey mocy ta chęć, każdy kto chce może ią mieć. Historyki koniecznie czytay. Miałem y sam nie małą wiadomość Historyi y wbiegu spraw siłam się tem ratował, zem przeszłych wiekow sprawy wiedział. Gdy do męskiego wieku będziesz przychodził, Rycerskie ćwiczenie iest Szlachcicowi naprzystoynieysze; tem się paray, próżnowania iako powietrza się strzeż. Mistrzem zaraz nie chciey być, byś nie pobłądził; przy Hetmanie się pierwey baw, rzeczom się przypatrzywszy, dopiero też rotę możesz wieść. A iesliby się potrzeba iaka Rptey podała, niezostawałem sam nazad: nie dla chluby to wspominam ale żebym z mego przykładu, w tobie tem więtszą chęć pobudził do naśladowania cnoty Oycowskiey. Z przedniemi się bierz, miew się do pokazania cnoty szlacheckiey, do uczciwey sławy; w kupie nie będzie cię znać, liczbą będziesz. Pomniey na to, że włos z głowy człowiekowi nie spadnie bez woley Bożey. A kiedy to dobrą intencją dla służby dla dobrego Rptey czynić będziesz, poydzie za tem uczciwa sława, będziec Pan Bog błogosławił. A byś też y umarł przytem, nic osobliwszego potkać cię nie może. Y Pogani tak rozumieli że śmierć dla Oyczyzny słodka: nuż ieszcze dla wiary S^{tey} ieslić się trafi okazya czynienia przeciwko Turkom, Tatarom, mowię do ciebie słowa Psalmu 26 : *Viriliter age, confortetur cor tuum;*

takiem umysłem położyć żywot, y u ludzi sławno y u Pana Boga (co iest naiwiejsza) odpłatno. Iakom ia za naprzednieyszą część dziedzictwa wziął ten umysł z Oyca swego y ty chciey być dziedzicem iako w czem inem tak osobliwie umysłu mego. Niech przez cię nie będzie polżona ale owszem pomnożona uczciwa sława moia. *Quis patrem laudet nisi foelices modo nati*; co rzekł cny Aeneas synowi swemu, mówię y ia tobie: *Disce puer ex me virtutem verumque laborem*. O to osobliwie chciałem cię napomnieć. Pana Boga między inszemi rzeczami prosź, żeby do odmian w Rptej nie przychodziło za wieku twego, iako za mego żywota wiele tego Pan Bog dopuszczał. Day Boże żeby to nie było. Ale skazony wiek, siła złych niebaczných ludzi. Z temi się nigdy nie łącz, ieśliby kto chciał do odmian rzeczy przywodzić y owszem przy Krolu Panu swym wedle możności się zastawiać. Takowe odmiany Panow, daleko nie chodząc, Węgierską ziemię y Wołoską do zniszczenia y do upadku przywiodły; y u nas naciężey by to raz począc, nie byłoby temu końca ieno upadkiem Rptej. Pomniąc na to, że wszelka Zwierchność od Pana Boga, choćby też y niedostatki iakie w Panu, lepiej iest iedności niżli na odmianę ktora iest szkodliwa y barzo nieprzespieczna rzeczy przywodzić. Y Krolowie mają nad sobą wietszego Krola, ktory ich będzie sądził, ieśli co od nich *perperam* ku krzywdzie ludzi iem od Pana Boga powierzonych dzieie. Ieśliby zaś poszło z dopuszczenia Bożego, bo y Krolowie teyże śmiertelnosci podlegli iako y insi ludzie, napominam cię, nie day się żadnem skazam ani żadnem wymysłem perswazyam uwodzić od tego co bedziesz rozumiał być z dobrem Rptej, z sławnem pożytecznym iey. Pożytkow żadnych swoich nie szukay z tey miary, ani o nich myśl; za wieku mego dom Rakuski osobliwie zażywał tych przekupieństw: naydziesz y w szkatule moiey Listy ich z obietnicami. Alem ia tego do umysłu swego nie przypuszczał, widząc y rozumiejąc, co y teraz tak rozumiem y z tém umieram, że Panowanie domu tego byłoby *exiciosum* Koronie Polskiey, zgubą y zniszczeniem wolności Szlacheckiey.

Towarzystwo złe, młodemu zwłaszcza wiekowi nieprze-
 spieczne iest y barzo szkodliwe; strzeż się proszę cię towa-
 rzystwa ludzi płochych, rozpustnych, marnotrawcow, piia-
 nie zbytecznie wszetecznie żywiących; baczných statecznych
 ludzi towarzystwa się też imay, a osobliwie Ich Mei Panow
 Przyjacioł moich ktorych łasce y opiece poruczyłem cię ra-
 dy używay, teyże się dierz, tak czyniąc nie zblądzisz. A za
 takimi postępkami y sprawami da Pan Bog twemi daić oycow-
 wskie błogosławieństwo; niechay ci błogosławi Pan Bog
 Wszechmogący, Bog Abrahamow, Bog Izakow, Bog Iako-
 bow; niechay prostuie drogi twoie ku czci y chwale imienia
 swego Świętego, dla dobrego Rptey a ku uczciwemu y do-
 bremu także twemu dusznemu y cielesnemu.

Ciebie też Kasieńku moja coreczko, Panu Bogu poruczam
 y Opiece Jego. Cwicz się y ty w boiaźni Bożey, wstydu po-
 kory y inych cnot stanowi swemu przynależących; niechay
 Pan Bog błogosławieństwo y łaskę swą rozmnaża nad tobą.
 Naśladuy przykładu białychgłow Świętych, żebyś y sama by-
 ła wzorem y przykładem wszelkier ucziwości białogłow-
 skier.

Wiesz moja namilsza małżonko zamysł moi o budowaniu
 Kościoła na miejscu naznaczonym gdzie iuż poczęła się ma-
 teria gotowac, modelusz też iuż iest gotowy na moim po-
 koiu. Wie o niem Paweł nasz budownik. Staray się żebyś
 zbudowała ten Kościół. Nie może być bez kosztu, ale za-
 den koszt lepiej się nie obraca, iako ten ktory na odprawo-
 wanie chwały Bożey. Tę maiętnostkę ktorąm kupiłem tak rok
 u Pana Rzeczyckiego, legowałem do Kościoła, y dałem iuż
 w dzierżenie Kapłanowi, nie zeznałem zapisu, myślełem ie-
 szcze co więcey przyczynic, ale to przynamniey niech nie bę-
 dzie przywodzono do wątpliwości.

Szpital też wedle Ordynacyey ktorąm ieszcze do Inflant
 iadąc podpisał, żeby był opatrowany teraz y napotym; ubo-
 dzy niech za nas Pana Boga proszą za żywe y potym za
 zmarłe. Budowanie ktorem nie małem kosztem zbudował
 przegładaiąc nieprzespieczneństwa ktore za nierządem Rptey
 naszey a to y teraz nad nami wiszą, każ opatrować żeby się

nie psowało; wszak nie trzeba nic daley ieno żeby nie ciekło; a jeśli się gdzie dachowka zepsuie o inszą nie trudno. Napis wedle tego iako iest na osobney karteczce napisany, kaź dać wylać na mosiądzowey tablicy wielkimi literami, żeby go nad broną postawiwszy, mógł dobrze wyczytać. Szembeka we Lwowie się poradź. Iest y we Lwowie pu-skarz ktory się podeymuie, ale niewiem jeśli uczyni dosyć. Pewnikiem we Gdańsku albo w Norymberku to wyleią.

Iest w sklepie Nagrobek ktorym dał wyrzezać niebo-szczykowi Panu Oycu swemu, żeby wedle tego był wylany na mosiądzu, y tak stojąc postawiony przy Ołtarzu ktorym dał postawić we Lwowskiem Kościele przy grobie iego. Proszę żeby dać wylać nagrobek ten wedle tego wizerunku. Napis pod nogami także na mosiądzu wylany taki niech będzie iakom na osobney karcie napisał.

Co się tycze pogrzebu ciała mego, przydaie się to y wiel-kiem Krolom że ciała ich bez pogrzebu zostaią. Sławniey-szy żywot y chwalebnie isza śmierć Władysława Krola co u Warny zginął, niżli wielu inych co na ich nagrobki pa-trzymy. Ale to idzie wedle woley y obiecania Bożego. Ży-czę pewnie sobie śmierci tak słodkiey dla wiary Świętey dla Oyczyzny. Ale niewiem jeśliim tey łaski od Pana Boga godzien. Iakożkolwiek Pan Bog przeźrzał, jeśli będzie sposob niech będę pochowany w grobie Oycowskiem, a bez pompy, bez owych Koni, Kirysow. Iednak, jeśli bym w potrzebie umarł, miasto axamitu czarnego ktory znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szarłatem, na znak wylania krwi dla Rptey. A to nie dla chluby żadney lecz dla pamiątki y dla pobudki drugich do cnoty y nie szanowania się dla Oy-czynny.

Nagrobek też bez chlubnych słow; radzić się Pana Symo-nidesa.

Na Kamionkę, moia namilsza małżonko, mawa, spolne dożywotne prawo; obowięzuję cię miłością małżeńską y pro-szę żebyś się starała o Konsens Synowi naszemu na spu-szczenie iey, gdyż iako wiesz bez mała mu nie zręczniejsza niżli Rubieszow, ktore za konsensem J. K. Mci ustąpiłem

mu zprawa swego y iuż przeszła kwarta oddana iest iego imieniem. Naydą się przywileie y ine sprawy w wielkieu Szkatule, każdemu Starostwu służące w osobney szufladzie; tamże y Rohacińskie, Kałuskie przywileie y sprawy; także też y sprawy należące frymarkowi Turzińskiemu ktorym dobrze opłacił. Ali te podno nie wszystkie, bom niektorych pożyczyl do spraw Jey Mci Paniey Sanockiey; czegoby niedostawało pros Jego Mci Pana Pisarza że odiszcze od niey albo z Akt powyymuie.

Domowe insze rzeczy, o sprzętach, o dochodach tobie lepiej niżli mnie są wiadome, bom swe myśli w sprawach Rptey utopił, swoich zaniedbawszy. Atoli com komu wienien, y co mnie też kto, spisałem na osobney karcie ręką swą także y z strony sług odprawy.

Stado proszę cię niech będzie w dobrej opatrności, barzo rzecz iest potrzebna.

Iałmużny Zakonnikom Bernardynom day na Wielkanoc Złoty Pięćset na Rzemieśniki, a potym na każdy rok daway co mozesz. Y Sokalskich także ratuy; więc do Szpitalow niech za nas Pana Boga proszą. (*Data i podpis własnoręczne*).

Stan. Zolkiewski (L. S.) W Bracławiu
Cast. j Het. K. 12 Januarij 1606.

5.

*List do Jmgo Pana Zamoyskiego, Woiewody
Kiowskiego od J. P. S. T. Rotmistrza Jego Kr. Mci.
o zniesieniu woyska na Cektorze.*

Z kopii społecznej w zbiorze moim znajdującj się.)

Chciałbym y sam żywym głosem WMci Panu o tey nie-
szczęsney wyprawie rozprawić, nie przez martwy ten cha-
rakter: by mi zdrowie, ktore bardzo, częścią z ran, częścią
z niezmiernych prac bardzo mam nadwątlone, dopuściło, ale
wspominaiąc y oznaymuiąc to nasze powodzenie, żal się

serdeczny mnoży, gdy patrzymy, a ono sprawców wojskowych nie mamy, tak wiele przedniego rycerstwa nie dostaie oyczyna nasza miłą szablą y ogniem pustoszyć. Tak wiele więźniow Braci naszych bezecny pohaniec w plon bierze. Iednak uiawszy się iakokolwiek y żal pohamowawszy, krociuchno, dotchnę rzeczy przedniejszych co się z nami działo, choć rozumiem ze to WMć od kogo inszego iuż dostateczniej wiesz.— Ale na uprawdzenie świadkow wiele potrzeba, coby poruszyło Jchm. Panow Hetmanow naszych, że tak skoro y nad mniemanie prawie wszystkich ludzi weszli do Wołoch, zkąd inąd iuż WMe to wie, ale naybardziej był powodem do tego Hospodar Gracyan, ktory upewniał iżbyśmy tylko stanęli za Dniestrem, tak wiele im miało woyska przybyć, upewniał y to że Tatarowie mając swoje zabawy z Sehen Gereiem doma, nie mieli przybyć do Skinder Baszy, ktory bez nich słaby (iakoż tak było) w prędkości woienney: było iednak 3^o Sept. woysko nasze przeprawiło się u Podbitego przez Dniestr. Hospodar 4^o Sept. Turki pobił, ktorzy przyiechali wziąć go do Porty. 6^o Sept. Hospodar Wołoski do woyska naszego nad Kaynary przyiechał, zkąd die 9^o ruszywszy się, stanęliśmy die 12^o na Cekorze, w starym okopie. Umysł był naszych na koczowiska Tatarskie prędko iść ku Tehinij y Białogrodu, ale Pan Kanclerz z pewnych respektow obrocił ku Cekorze, aby y Hospodara na stolicy utwierdził y Wołochow cokolwiek do siebie przyciągnął. 17^o Sept. kilkaset Tatarow przypadło pod oboz z ktoremi harce nasi zwiedli, y mało co Pogaństwo wskorawszy nazad odwrocili. Nazaiutrz skoro świt, przedni ludzie ich przyszli, z ktorymi nasi zaraz Szymizel zwiedli. Te gdy woyska pogańskie prawie przez wszystkiek dzień szły, Skinder Basza stanął na tym mieyscu gdzie Car stał pierwszą razą, niedaleko niego Sołtan Gałga, harce nasi prowadzili cały dzień, na ktorych się naszym bardzo dobrze zdarzyło, y wieczorem prawi, nasi spędzili z placu pogaństwo. Wiele u siebie y znacznych lunakow utracili, między ktorymi y Sendziaka Tehińskiego. 19^o Sept. Jmé Pan Kanclerz woysko o 18 godzinie do potrzeby wywiódł.

Miały tabory zakryć wszystko woysko nasze. Ale przez nieumiejętność tych którym to zlecono, ledwie czoło zakryło; insze woysko odkryte stanęło. Po prawey stronie polki dwa Kanclerza y Hetmana Polnego, po lewey Xiążę Samuel Korcecki, Pan Alexander Kalinowski, Starosta Kamieniecki, y P. Stefan Chmielecki, który miał synow dwoch Adama y Łukasza, rozumieli że pogaństwo na czoło da bitwę, a oni w tył naszym uderzyli. Roty iednak Kozackie dobrze się starły z nimi y trzy razy stos im wytrzymały. Naostatek ku Hussarskim Chorągwiom udali się, ktore wszystkie kołem iuż stanęły były na czoło, y niecoć ich byli zamięszali, aleć że kopiy nie mogli złożyć, aż ie porzuciwszy, rzucili się do strzelby y broni y wsparli poganow. Na czoło też naporli wielkim pędem, gdzie Pan Dynof y Pan Hetman Polny dosyć mężnie im stanęli, a coż potym gdy od samey wielkości tylko, z miejsca ruszeni, y taboru y piechoty odbieżeć musieli. Długo się piechota bronila, chcieli ich nasi ratować, ale to była rzecz niepodobna, dla mnostwa pogaństwa. Na drugiem skrzydle lepiej się naszym powiodło, bo nie taka tam nawałność była, a tabor cały y armata uwiedziona, owo y ci tych y ci owych wspierali aż do samey czarney nocy, ktora wątpliwą bitwę rozięła, choć bardzo pogaństwo usiłowało naszych do Prutu zagnać. Szkoda nie mała była w Pogaństwie iako samo powiadało, iż w Piątek y w Sobotę 3500 ich zginęło, naszych nie kładę więcey nad 800 y to Ciurów nie mało, ktorzy taborowe wozy prowadzili. Tym tylko pohaniec miał gore, że nam strzelby kilku sztuk odebrał, y chorągwi kilkanaście, acz y nasi coś byli ogonow Tatarskich wzięli. Die 21^o Sept. iż trudno odeprzeć pogaństwa, a zwłaszcza że koni siła potracili y piechoty nadbito. Na tym stali, a zwłaszcza P. P. Hetmani, aby taborem ku Dniestru odchodzić, ale ktorzyby się chcieli iako nayprędzey w domu widzieć, z tem się deklarowali iż nie chcą Taborem, ale po zapruciu konno uchodzić, nie mając respektu ani na chorych, ani na piechotę, ani na tak wiele synow szlacheckich, ktorych przyszło odbieżeć, zaraz na rzeź albo na łup nieprzyjacielowi. Y tak ieno się poczęło w noc

zmierzchać, krzykniono do wałów, a oni y z Hospodarem do Prutu. Tamże 3000 dobrych ludzi nam ubyło, z których setny oglądnał się w Polszcze, do ktorey się tak chętnie kwapił, bo naywięcey ich potoneło, drugich Tatarowie y Wołosza pożarła, trzeci w łyka poszli. Ktoby był początkiem tak sromotnego wyjazdu, wolę że WPan od kogo innego będziesz wiedział. Probował y traktatow Pan Kanclerz z Gałgą za usiłowaniem żołnierstwa, ale iakośmy mogli baczyć próżne to nadzieie y zawody były: na to tylko były dobre, że się żołnierstwo ktore po odbiezeniu braci od siebie strapione było, rekoligowało.— W dzień S. Michała nad wieczorem, wyszliśmy z okopu; tam zaraz pogaństwo krzyczeń zaczęło, harcować, krzyczeń; prosto ku nim szliśmy— musieli ustawać z namiotami y kotarami swemi, całą noc nas prześladowali. Na świtaniu co było ultima Sept. zaszedli nam drogę z strzelbą y Ianczarami osadzili pewną mogiłę— sami w bok nam stanęli: z okrzykiem wielkim puścili się ku nam, których gdy wsparto, Ianczarowie y działek y mobily odbiegli, których nasi nie brali.— Ztamtąd niedaleko stanęliśmy y dniowali, skoro wieczorem w drogę ku Mohylowu od Prutu puściliśmy się.— Rowno ze dniem 1^o Oktobra (a zdaie mi się że dopiero na ten czas Gałga insze swoje woyska skupił, bo ich nie było tak wiele dnia przeszłego), doszło nas pogaństwo iednośmy się trochę nad stawem zastanowili.— Z wielkim okrzykiem przytarli na tabor, macając gdzieby się snadniey werwać, ale z łaski Boskiej wszędzie gonili, gdzie y dwoie działek odeszli; na tymże mieyscu nocowaliśmy, co nam raz tylko trafiło się w tym uchodzeniu, bo Gałga udawał to, iakby chciał one traktaty co na Cektorze zaczęte kończyć, ale niewadziło się w tym razie dać oszukać, ponieważ y myśmy odpoczynku potrzebowali.— Iedno świt, także na tabor wszystką potęgą natarł, czego było aż z południa: nic nie wskorawszy, z szkodą odszedł y stanął od nas w pół mili na drodze. Iedno wieczor, myśmy się ruszyli ku ich obozu—musieli ustępować. Die 3^o Oct. zaraz z godzinę na dzień, stanęliśmy, a oni tuż za nami. W ten dzień ieno Turcy sami harce zwodzili ale nie z po-

żytkiem.— Siła Turkow iezdnych y Ianczarow zginęło Z godzina do wieczora, ruszyliśmy się. Sam Skinder Basza y Gałga swym dworem: wtenczas napierał na nas, ale krwią swych skropiwszy się, gdyż nie mało wtenczas w przednieyszych legło, tak Turkow iako y Tatarow odwrot uczynili. Przez całą noc szliśmy y nie stanęliśmy aż o południu popasłszy godzin 2 y tabor sprawiwszy, ruszyliśmy się w drogę co było w dzień Ś. Franciszka 4^o Oct. gdzie ienośmy postąpili, aż pogaństwo ze wszystkich stron na nas. Turkow z półtora tysiąca pod ośmią chorągwi rezelwowawszy się uderzyli w tył naszym, chcąc tabor rozerwać, ale szpetnie wsparci, w tył pierzchnęli; było tego dzieła y zabawy z pół trzeci godziny— zatym noc, y my w drogę; pogaństwo za nami. Nazaiutr mało co się o nas kusili, my też pokarmowali z kilka godzin y puściliśmy się w drogę skoro noc. Dnia 5^o Oct. głód nie mały między nami zawział się bo choć y konie iedlibyśmy byli, ale nie było gdzie piec, ba y przyczem, więc y niespanie naybardziej nas psowało, bo drudzy iak martwi padali, drudzy od rozumu odchodzili, drudzy chcąc się przespać do wozow się brali, a w tym mieysca około taboru puste zostawały. Doszliśmy byli rano 6^o Oct. wody, ale nie wiem czemu przy niey nie stanęliśmy. Ia tak rozumiem, że nas nic inszego ieno to zgubiło, bo koniecznie z tydzień tam było woysku tak spracowanemu głodem, to bitwą, co większa niespaniem, odpocząć. Ale niewiem za czyią radą ku Dniestru nic nie odpoczywaiąc ruszyli się; iścia tego naszego bez odpoczynku dwie nocy y półtora dnia było, a im daley, tym bardziej woysko zwątlone. Przyczyniło się do pierwszych niedostatkow nowe, to iest pragnienie niezwycajne, a w tym noc nastepowała, w którą wszystkośmy stracili, bo iakom rzekł, niespanie rozumu pozbawiło ludzi, y odpoczynku potrzebowало, a pragnienie zaś do Dniestru iako nayprędzey naciągało. Y tak w konfuzyi ponieważ y noc wstyd odeymowała, y władza też Hetmanow nie mogła się rozpostrzeć, więc y Ukraińcy ktorzy rzeczy naszych nie mało nałapali byli, radziby byli nocą z pośrodka nas uszli; bez sprawy do Dniestru porwały się

wozy y armatę zostawiwszy, a w tym pogaństwo nastąpiło, wozy rozszarpało, czeladź brało, y tych ktorzy tam zostali.— Wielka część woyska do Dniestru przyszła z ktorych niektorzy uszli; większa ich część potonęła, drugich zdraycy Wołosza za Dniestrem pohańcom podali.— Panow Hetmanow nie mamy. P. Kanclerz Żółkiewski zginął. P. Hetman Polny od Wołochow Skinder Baszy wydany. Pan Struś, Pan Ian Żółkiewski Starosta Kałuzki iuż byli za Dniestrem, P. Bałaban Starosta Winnicki nie wiem czy zginął czy w poymaniu. Owo z rotmistrzow rożnych, z ktorych naostatek tylko 10 nas było, ieno dwoch kozackich uszło. Pan Dynof kilka postrzałow odniosłszy zginął. Towarzystwa kwarcianego ze 200 wyszło bez koni, broni y rynsztunkow. Lisowczykow mało nie połowica, ale się to prędko wypełni. Kwarciani ku Dolinie y Drohobyczy zmierzają Lisowczykowie Ukrainy się dzierżą, Litynii y Łatyczewa. Tamte kraie bytności WPana dziwnie oczekiwają, gdyż zgoła przy kimby się oprzeć nie mają. Jest kilka tysięcy kozakow około Winnicy y Krasnego, więc y Ukraina zbierze się, by ieno do kogo mieli, a nie potrzeba nimi do takiej sprawki pogardzać. Pieniędzy gdzie dostać ad fidem publicam, żołnierza zaciągnąć, a temu nieprzyjacielowi to szczęście y wesele ktorego nie męztwem (bom ia słabszego nieprzyjaciela nie widział iako wtenczas) nabył, odiać do Wołoch się brać. Ale się ia hamuję. Nie moia rzecz radzić tylko się miłościwey łasce polecieć należy.

NB. Woyska nieprzyjacielskiego, iako oni sami kładli było 115000. Nas gdyśmy przyszli do Cekore y z Lisowczykami y z Ukrainą nie wiem iesli wynosiło na 8000. Y teraz gdyśmy na ostatek uchodzili, było z 5000.—

6.

Opis wyprawy Cecorskiéj, wyjęty z Historyi państwa Turckiego, przez Józefa *Hammer'a* wydanej (*Geschichte des osmanischen Reiches, grossentheils aus bisher unbenützten Handschriften und Archiven, durch Joseph von Hammer. Pest, 1829*), z tomu IV, księgi 44, rozdział tyt. *Gratian's Ende*, str. 511 do 514.

(Przekład z Niemieckiego).

„*Koniec Gracyana*. Zdrada Gracyana wojewody Mołdawskiego, stała się piérwszym powodem do wojny z Polakami; on bowiem przejmując listy Gabora Betlen (książęcia Siedmiogrodzkiego), pisane do Carogrodu ze skargami na Polskę i kozaków, objawiał je Polakom. Betlen przysięgłszy za to zemstę i śmierć Gracyanowi, najpotężniéj się przyczynił do strącenia go z gospodarstwa i mianowania na miejscu jego książęcia Aleksandra wojewody Wołoskiego. Iskiender-pasza rządca Oczakowa a dawniejszy dobroczyńca Gracyana, wyniesiony na rządzcę Sylistryi i serdara Mołdawii, został wysłany przeciw niemu i ciągnącym mu na pomoc Polakom. Jussuf-pasza, bejlerbej Rumilii, Muhammed przezwany *Teriaki* to jest opiumzérca, i *sarimsak* czyli zjadacz czosnku, sandżak Nikopolski, stary Chyzyr-pasza z rodu Michalogli rządca sandżaku Widyńskiego, i han Tatarski Dżanibeg z ordą Nogajców, odebrali rozkaz wyjść w pole. Towarzyszyli mu, prócz rodzonego brata Kałga Dewlet-Giraj sultana, syn córki Mohammed-Giraja, Nebrie-Giraj, piérwszy książę plemienia Mansurogli i dowódzca Nogajów, nakoniec Kantemir (co znaczy *krwawe żelazo*), z całym rodem Mansuroglów (1). Z takimi siłami przeszedł Iskiender-pasza rzekę Prut w bliskości Jass, gdzie był obóz Polski, udając się ku Dniestrowi. Chyzyr-pasza dowodził przednią strażą, a Iskiender-pasza przy odgłosie trąb i kotłów szy-

(1) *Naima* str. 330, wylicza innych jeszcze wodzów Nogajskich, to jest: Urak-Mirza, Selman-szach, Ynaiet-szach, Weli-szach. Ob. także *Peczewi*.

kował wojska swoje do boju. Na prawém skrzydle stał Jussuf bejlerbej Rumilski, a przed nim Dewlet-Giraj sultan z Tatarami, z lewego skrzydła sandżak Nikopolski i Kante-mir Mirza z Nogajami, i nareszcie Iskiender-pasza z pancernemi we środku. Michalogli posunąwszy się za nadto odważnie naprzód, wpadł w wielkie niebezpieczeństwo: Muhammed zatém co go zwano *sarimsak*, nieczekając rozkazu serdara, porwał buławę i poprowadził pięćset śmiałków dla odbicia Michaloglego, co mu się téż udało. Za powrotem wyrzucał mu serdar, że bez rozkazu posunął się naprzód, ale odpowiedzi Czoszkożércy tak były gryzące jak przezwisko jego (1); serdar więc łagodził go pochlebnemi słowy. Nazajutrz w sobotę (20 września r. 1620) przyszło do walnej bitwy. Kior-Hussejn pasza przednią straż prowadził, za nim postępował Michalogli. Iskiender-pasza wmawiał księżęciu Dewlet-Giraj żeby jako jedyny potomek szczepu Dżyngiz-hana, nienarządzając się na niebezpieczeństwo, przestał na dowództwie tylniej straży. Odpowiedział na to Dewlet-Giraj, że owszem wielki wezyr jako najwyższy dowódzca i tak wysoki dostojnik, spokojnie stać musi. To wzajemne ubieganie się o czynne należenie do boju, skończyło się na tém, że książe zaklął się, iż skoro mu wezyr nie pozwoli na nieprzyjaciela uderzyć, natychmiast z Tatarami obóz opuści (2). Wtenczas paszowie Michalogli, Hussejn i Sarymsak, rzucili się na nieprzyjaciół, ale otoczeni przez nich, jedynie mężtwu Nogajskich Tatarów winni byli swoje ocalenie. Dziesięć tysięcy (!) tychże nieprzyjaciół zostało na placu, reszta cofnęła się do obozu. Gracyan uciekł a kija (namiestnik) jego, Boczuk, dostał się w niewolę; jeńcom Polskim natychmiast przed namiotem serdara głowy poćcinano. Poczém wódz Polski przysłał z oświadczeniem: „że niewiedząc bynajmniej u uczestnictwie wielkiego wezyra w walce, myślał, że ma tylko do czynienia z Tatarami, dawnemi Polaków nieprzyjaciołmi; że zatem gotów jest synowca królewskiego i kilka innych znakomitych osób

(1) *Naima*, str. 331.

(2) *Id. ibid.*

dać w zakład, ażeby mu nawzajem Kantemira-Mirzę, i Hussejn-paszę przysłano, których zamiana mogłaby nastąpić za Dniestrem, a tak obie strony bezpiecznie mogłyby powrócić do swoich." Jednocześnie ofiarowano serdarowi 100,000 dukatów, i roczny haracz dla sultana. Iskiender-pasza zwołał radę wojenną. Wszedł do niej Kantemir-Mirza cały uzbrojony, z połamanym hełmem na głowie, podobny do wściekłego słonia, a dowiedziawszy się o treści poselstwa, zmierzył wezyra krwią zabiegłemi oczyma (1), i wrzasnął: „Cóżto? giaurem zostałeś wezyrze! od Giraja na stronę niewiernych przechodzisz? Trzydzieści już lat, jak szabla moja broczy we krwi ich ojców i synów, a teraz mamże się w ich ręce podać, żeby mię żywego na rożen wsadzilli i piekli? (2). To są niewierni, z niemi niema innej umowy tylko ostrze szabli!" To rzekłszy wyszedł rozjuszony z namiotu; gdy zaś Hussejn-pasza wzbraniał się iść na zakładnika, wtrącono go do więzienia, a ministra Gracyana, Boczuka, na pal wbito. Polacy zatem cofać się zaczęli, ustawicznie niepokojeni i napastowani od Tatarów. Siedmnaście dni trwały ciągle walki, w których Tatarzy dawnym obyczajem swoim, na uździenicach wlekli za sobą jeńców. Kiedy nakoniec do Dniestru dostali się Polacy, powstał między niemi nieład, bądź z tej przyczyny że go wszczęli ci co się obawiali kary za rabunki, czyli też dlatego, jak utrzymują dziejopisowie Tureccy, że wódz Polski chciał, zostawiwszy piechotę na zgubę, sam z jazdą za Dniestr uchodzić. Korzystając z zamieszania, natarli na Polski obóz Tatarzy; klęska Polaków była powszechna i stanowcza, rabunek i zdobycz bardzo znaczna. Kalinowski w Prucie utonął, głowa Żółkiewskiego na spisie zatknięta, obnoszoną była po całym obozie Tureckim, a potem u bramy seraju zatknięta (3). Koniecpolski

(1) Id. *ibid.*

(2) *Naima*, str. 332.

(3) Tu *Hammer* podług tegoż dziejopisa, str. 328, przywodzi ułomaczone z Tureckiego na Niemieckie owe dwa wiersze poety społecznego Osmańskiego, któreśmy już wyżej po Polsku przytoczyli.

wzięty w niewolę i do wieży nad Bosforem wrzucony. Grecyan zaś w ucieczce przez chłopą zabity, a głowa jego następcy na gospodarstwo Aleksandrowi odesłana. Nakoniec całe wojsko Polskie zupełnie zniesione” (1).

Taki jest opis wyprawy Cecorskiej skręślony przez Hammera, historyka używającego wszech wziętości, na świadectwie jednostronném chełpliwych pisarzy Osmańskich zasadzony. Gdzie tu jest talent narracyjny? i jak go postawić pod tym względem obok Sękowskiego, który także podług dziejopisów Tureckich opowiada! A co większa, gdzie krytyka? bez której historia zamienia się w obronę adwokacką! Trudnożto było Hammerowi przedsiębiorząc zdać sprawę z walki chrześcian z bisurmanami, zagładzicielami oświaty Greckiej i najeźdźcami Europy, zajrzeć do dziejopisów Polskich, i posłuchać przecie, jak oni klęskę własną wystawili w obliczu zasmuconego narodu? Wszak Piasecki, Kobierzycki, Wasseberg i Łubieński po łacinie pisali. Wszak ich piękne dzieła, któremi każda literatura mogłaby się poszczycić, należą do liczby ksiąg biblioteki Wiedeńskiej. Sumienny dziejopis mógłby nawet znaleźć sposób powzięcia wiadomości i o pismach po Polsku ogłoszonych w tej materji, i o rękopisach. Mamy świeże tego przykłady na cudzoziemcach, którzy w niedawnych latach, rzetelniej od Hammera chcieli się zająć historją Polską. Alboż wypadło autorowi tak ważnego dzieła, jakim jest historia państwa Osmanów, autorowi rodu Niemieckiego, który wiedzieć musi, z jaką siłą Jan III ocalił stolicę Rakuską od zgubnej napaści Muzułmanów, przypuszczać, co mówię twierdzić z pewno-

(1) *Naima* str. 328, podaje siłę wojska Polskiego na 53,000, Tureckiego zaś na 10,000. Tenże sam historyk podług innego twierdzenia, str. 332, liczbę pierwszych podnosi do 60,000 ludzi zbrojnych, z których zaledwo 400 miało pozostać. Podług *Tytlewskiego* (*De praeliis gestis inter Polonum et Turcam, annis 1620 et 1621, Matriti 1623, p. 13*), wojsko Tureckie składało się z 70,000 Tatarów, 12,000 Wołochów, 10,000 Mołdawian, 7,000 Węgrów, i 4,000 Turków; Polskie zaś liczyło tylko 7,000 głów!! Sir Tomasz *Roe*, najpodobniej do prawdy (tak mniema Hammer) twierdzi, że Polaków było 40,000, a Tatarów 30,000.

ścią! na wiarę panegirycznego Naimy, że 40,000 Polaków pokonanych zostało przez horde 30,000 Tatarów? I to jest dziejopis uczony, i zawołany orientalista, na którego rachunek wszyscy inni następnii opowiadacze wojen Tureckich w Europie, bajać będą szeregiem, zabezpieczeni tarczą sławy Hammera, że samą prawdę przekazują pamięci potomnych! Dodamy do tego, że Hammer się pomylił, naznaczając sobotę 20 września, za dzień bitwy pod Cecorą; zaszła ona bowiem 19 t. m. w piątek; pomylił się, kładąc 10,000 Polaków zabitych, bo ich wszystkich więcej wtenczas w obozie nie było; pomylił się każąc dawać Żółkiewskiemu synowca królewskiego w zakład Turkom, bo Zygmunt III nie miał nawet żadnego synowca. Wreszcie autor nie miał jasnego wyobrażenia o kraju i miejscu, na którym te niepomysłne dla Polaków walki się odbyły, a suchy w opowiadaniu, nie chciał dostatecznie korzystać z tylu dramatycznych scen w obozach Tureckim i Polskim, dla ożywienia swojej powieści.

7.

List Stanisława Żółkiewskiego, Hetmana W^o Koronnego, z obozu pod Cecorą dnia 6 października r. 1620 pisany w wigilią śmierci jego, do Reginy z Herburtów Żółkiewskiej żony Hetmana.

(Z oryginału znajdującego się w bibliotece księży Dominikanów we Lwowie).

Mczywa Jmc. Panij a Panij Malzonko ma sercem ukochna ij wyeczyszcze miła.

Thak bilo ij thak będzie, aby prawoszcz ij sława Narodu naszego nie zagineła, Pan Bog Wszechmogący, dopuszcza utrapienia, by czalo w woyniech hartowacz, ij umyszl zaprawiacz do dzieł rycerskich. Tegosz utrapienia nie koniecz, ij nije konijecz łaski Pana Boga, Swientheij, kthora nas wszendy utrzymowała ij nieprzyczajzolom thame w bitwiech stawiacz rada bijła. Iakoż kiedychmy sie zabieracz radzi do utarczkij z pohanem thego switania, odebralem pisanie W. M. C. moij sercem ukochnanej ij wijeczyszcze milij mal-

ki, toż poczechą słówek kilka, a ktho wie może bycz ze ij wosztatne pozegnanie. Iam pewien ze W.M.C. ukochana ij mijła malzonka czytaioncz tho moje pisanie, niebędzie zalic sztarcza ij sija mijch, a choczaby ij życzia dla obronij Rplt. ij chreszczijan. Toż tha poczecha będzije sercu memu. Thu w obozie mijm, iakby iakowij rokosz powstał, thak się rycerstwo spiknelo, by na własną zgubę, ij chczą koniecznie odchodzicz od sprawy ze onych ledwo uhamować moglem. Skinder Basza ij Gałga niechczą iuż wiedziecz o układach, ij gotuią się dac stanowczą bitew. Przetoż niethurbui się W.M.C. nayukochansza malzonko, Bog czuwacz będzie nad nami, a choczabym ij poległ toż ia stary ij na usługi Rplt. iusz niezdatny, a Pan Bog wszechmocny da ze ij syn nasz, miecz po oyczu wziowszy na karkach pohan zaprawi, ij hoczaby thak bijlo ijak rzeklem, pomszczij się krwią, oijcza swego. Na wypadek iakij bądź załączam W.M.C. najukochanszej malżącece miłość dla dzieatek, pamięcz na me zwłoki, bo ije stijałem ku usłudze Rplt. czo Pan Bog chce z sweij łaski dacz niech się stanie a wola Iego S. będzie nam miłoszcziwa do ostatka zycze naszego, stem mnie modlitwom ij łaszcze W.M.C. najukochańszej JMC. poleczam, ij dziatki nasze na Pana Boga pamiętacz upominam. W obozie pod Cecorą die 6 Octobr. 1620. JMC. do zgonu kochaionczy małzonek ij ocziec Stan. Zołkiewski Het. W.K.

8.

HISTORYIA.

Nieszczęśliwey porażki nad Cecorą Hetmanow naszych y woyska Koronnego, przez niesforność samey chałustry Kozakow y Ciurow, ktorzy znieważywszy postuszeństwo y rząd Hetmański, rzucili się do łupow, a w tym sami poginęli y woysko z Hetmanami.

(Z Rekopismu r. 1663, w moim zbiorze znajdującego się).

W roku 1620, Pan Stanisław Zołkiewski Hetman Koronny Wki, s Panem Koniecpolskim Het. Polnym, mając szpie-

gi y pewną wiadomość y przestrogi o pewnym Tureckim woysku ktore do Koroni idzie, chcąc wstręt uczynić, iako nayprędzey zebrawszy 8,000 woyska różnego ciągnął do Wołoch na cezorrę do tego obozu, gdzie Hetman Koronny sławney pamięci Pan Zamoyski leżał. tamże gdy stanęli przyjechał do nich Hospodar Wołoski Gracyan ubezpieczając ich że nie wielkie woyska Tureckie mając s sobą swe woyska pod trzy-tysiąca; tamże ledwo się oni w obozie stanowili przyszło Turków 30,000 z Skinder Bassą y Galga Tatarski z siedmiodziesiąt tysięcy Tatarow, którzy się położyli w dobrym poćmilu od obozu naszych, tamże 18 7bra ze wszystkim woyskiem Skinder Bassą z Galgą wyiechali w polie ku obozowi wyzywając do bitwy naszy też choć nad nadzieję swą y omylną wiadomość gdyż o małym woysku powiedziano, obaczywszy lud okiem nieprzeyrzany uczyniwszy trzy tabory wyruszyli w pole — Prawy Tabor sprawował Pan Konięcpolski Hetman, lewy kniaz Korecki w szrednim Sam Pan Hetman z Hdarem Wołoskim, tamże naprzod Harcownikom naszym dobrze się poszancowało, ze szkodą wielką Pogan te harcuy odprawowały się — A w tym przyszło do walney bitwy gdzie wielką dziurę w pogaństwie uczynili. Z niebardzo z szkodą z wielką swoją bo od wielkości będąc przemożeni a zwłaszcza Tabor którym rządził Pan Hetman Polny będąc przelomiony, od nawalności Ianczarów ustąpić naszym musieli, od okopu gdzie zginęło naszych w tey potrzebie do trzechset a poganstwa pewnie do półczwarta tysięcy, tamże postrzelono Pana Starostę Rubieszewskiego, Pana Bołobana y Starostę Winnickiego, P. Dinofa Połkownika, Pana Wołodzimierza Ferenbercha y niemało naszych rannych y postrzelonych. Teyże nocy wielka trwoga uczyniła się w obozie mieszani-
na niemała, bo zarazem Kalinowski Starosta Kamieniecki uciekł z półtora tysięcy, ktory iako powiadaiaż że w Prucie utonął, a ludzie ktorzy z nim uciekli Tatarowie postrzegłszy szli za nim w pogonią, iednych dobili, drudzy potonęli, rzadko ktory uszedł Hdr Wołoski Cented z swoiemi ludzmi uciekł ktory iako słyhać że gdzieś zaskoczony y na pal

wbity, w obozie ledwo 6,000 zostało człowieka, y to w takim hałasie y trwodze że Hetmani żadną miarą uhamować nie mogli, ledwo perswaziami Rotmistrzow, a Rotmistrze zaś Towarzyszow uspokoić mogli że wszyscy zaraz Hetmanow nieodbieżeli. Nazaiutrz 19 7bra znowu woyska Pogańskie w pole wyszły, nasi też temże sposobem przed oboz wyiachali y tam Pan Bog pomagał naszym, że przed się z większą szkodą Poganow aniżeli naszych do obozu ustąpić musieli. Obaczywszy to tedy nasi że ich ubywa a bardzo mało zostacie, posiłku się niskąd nie spodziewaią, prochu, ołowiu, y żywności wszystkiego omal, obaczywszy tedy Panowie Hetmani nad upewnienie Hospodarskie o małym woysku Tureckim, a tu się ukazały woyska nad nadzieie wielkie, gdyż samego woyska Pogańskiego było 120,000. A naszych nie było 6,000 spełna wzięli przed się dwoy sposob abo traktatami (iako też był uczynił y nieboszczyk Pan Zamoyski Hetman, tamże na Cecorze) znieść nieprzyjaciela, abo Taborem woysko uwodzić bacząc że ani posiłku, ani żywności niskąd przybyć nie miało, tamże zarazem w niesfornych y niezgodnych animuszach suspicye urosły, zaczęym w woysku wielki się rozruch wszczął gdzie straszna rzecz y dziwnie patrzyć było, na kilka tysięcy dusz zamieszanych strach taki, że ieden drugiego ani odpowiedzieć, ani radzić, ani słyszeć, co się dzieie niemógł, tylko ieden Pan Hetman W. Kor. s Panem Hetmanem polnym z garścią ludzi w namiociech znaleźli się, strzegąc przed się nieprzyjacielskiego najazdu, acz bardziey sam Pan Bog strzegł, ledwo ku dniowi ten tumult uspokoił się, gdzie zaraz rachowali się Ichmość Panowie Hetmani, ktorzy y wiele ich poodbiegało, przez ktore odbiezenie y potęgi y serca bardzo ubyło, y animusze onych dzielnych Rycerzow ustać musieli, a Poganom bardzo pociechy y serca przybyło a co nawiętsza tym tumultem otworzyli Kozakom y innym lekkomyślnym ludziom a zwłaszcza Czurom wrota do swey woli ktorzy prawie tak Hetmańskich iako y Żołnierzow wozy y skarby wszystkie ktorekolwiek byli pozakowali. Żalosi tedy było tak zacnym Wodzom patrzyć na taką zgubę y zamieszanie

y nieposłuszeństwo tak zacnych ludzi, ktorzy od ludzi swowolnych y od swoich czurow byli oprzymowani, sami tylko Ichmość Panowie Hetmani stałemi animuszami w tym przedsięwzięciu swym statecznie trwali; y te swowolniki iako mogąc upominali, y do skutku rad swoich namawiali, y z nieprzyacielem do kondycyi y traktatow zażywania przystępowali, upominki Gałdzie aby stąd zarazem niedochodząc y granic koronnych do Ordy się wrocil dawali, ale Tatarowie o takim rozruchu w woysku koronnym wiedząc tusząc sobie dobrze że y to co im Panowie Hetmani obiecują y woysko wszystkie z ostatkiem skarbow, w ich rękę będzie nie myśli o pokoju—tylko na rzeczy trzymali z strony traktatow a zwłaszcza wiedząc że y żywności nie wiele mieli y prochow wkrótce im dostawać nie miało, za czym postrzegłszy się Ichmość Panowie Hetmani y namowiwszy się woyskiem taborem uchodzić mieli, z Cecory tamże 29 7bra z Cecory godzina w noc, sprawiwszy tabor ruszyli się z okopu gdzie teyże godziny w koło woysko Poganie ostąpili, 30 7bra rowno ze dniem natarli na woysko wszystką mocą tak iż musiało woysko stanąć więcey niż przez dwie godzinie bitwa była z dział a Ianczarowie naybardziej szkodzili woysku iednak za łaską Bożą dali im odpor taki że odstąpić musieli z wielką szkodą swoją, za czym też y woysku odpoczynąć troche się dostało, wieczorem ruszyło się woysko na całą noc a nieprzyaciel tuż na oku około wszędy, 1 8bra stanęło woysko Polskie na dolinie dalisz nad stawem tuż zarazem odpoczynku ani naszemu woysku ani sobie nie dając. Skinder Bassa z Carem Tatarskim Gałgą wszystką siłą szturmowali Ze wszech stron na woysko Polskie y tu 6kroć szturmy ich odbite były. Był Pan Bog sam Ochroną bo tak małym ludem a bardzo spracowanym zewsząd do nich szturmującym nie wiele Polakom szkodzili, ale samych bardzo wiele zginęło, y aż od poranku do południa szturmując przestać musiał y widząc że mu nad nadzieię iego y wielkich woysk iego mężnie się opierała, iuż zwątpiwszy aby co uczynić miał zażywaiąc fortelu swego, posłał Gałgę do Panow Hetmanow żalując tego że się tak

mężnie woyska niepotrzebne tracą y tego niemniej że się ugodawo dawno zobustron nie zawarła. Ale wskazał aby do Gałgi był posłany Krzysztof Druźbie, przez ktorego dostatecznie oznaymić chciał do Panow Hetmanow o wszystkich traktatach co wszystko czynili na zdradzie, byle woysko Polskie zabawiali, bo Druźbica przy sobie zatrzymali — 2 8bris ze wszystkimi woyskami tak tymi którzy dawno przy nich byli Pogańskie iako y świezo przybyłemi począwszy od świtania zewsząd szturmować do taboru naszego poczęli y szturmowali aż do południa y tu Pan Bog wielki Cud y Błogosławieństwo swe nad Polaki uczynił; bo z okrutną szkoda poganie a niezmnieszą hańbą są sromotnie odbici, a woysko też tak bardzo spracowane y niespaniem y głodem y nieznośnemi pracami kaseczek sobie wytchnąwszy w wieczor ruszyło się na całą noc a Poganie zarazem ze wszystkich stron potyczkami trapić nieprzestawali, 3 8bra stanęło woysko w dolinie Polskie przy wsi zapaloney: y tu Poganie zarazem wytchnąć nie dali bo z gory wysokiey działa zaprowadziwszy szkodzili woysku ale sam Pan Bog był woysko Polskie pokrzepił, że Czurowie z taboru wypadłszy z niektórymi lekkimi Ludzmi wdarli się na tę gore, ktorych wszystkich była garść mała a mężnie sobie poczynaly, że wszystko woysko Pogańskie z gory ustąpić musiało, tu każdy rozsądny snadnie uważć może, że nie ta garstka tych Czurow, ale sama wszechmocność Pana Boga wszechmogącego, to Pogaństwo odpierała a woysko Polskie bronila, gdyż Pan Bog sam sercem y zwycięstwem władnie: Potym rozgromiwszy te Pogany z tey gory wieczor ruszyło się woysko Polskie w drogę a Poganie tuż w tropy około zaniem. 4 8bra. Od poranku począwszy szkodzili bardzo nacierając na woysko Polskie ale przed się taborem szli. W południe prawie szliśmy do Wolta rzeki, ktorey iednak nie mogliśmy doycć dla wielkich naiazdow Poganskich musiało woysko stanąć w polu gołym (leżerawnym) szarańcze pełnym, w gorącu, w dymach pożarowych ktorym woysko Poganie kurzyli, ktorych w koło woysko Polskie obstąpili, że ziemie przed woyskiem Pogańskim widać nie było y to

w tak wielkiej kurzawie że nieba widać niebyło, że wsząd potężnie szturmy Turcy na woysko Polskie puścili, a tak nacierali że im rusznice w boki wtykali, Pobłogosławił y tu dziwnie P. Bog że ich odpędzili z wielką szkodą woyska ich, tylko sześć Niemcow z woyska Polskiego zgubiwszy. Działa woyska Polskiego tak szczęśliwie posłużyli, że gdy w Poganie strzelano wielkie ulice w woyskach Pogańskich oddział widać było, wieczorem samym prawie nic nie wytchnąwszy sobie ruszyło się woysko Polskie, a Turcy z Tatarami zaraz w koło ich. 5 8bra w poniedziałek w południe ruszyło się woysko Polskie y przyszło nad rzekę kobelkę, całą noc idąc, y ten poranek był woysku Polskiemu ciężki bardzo strzelbą; iednak wytchnęli ze dwie godzinie; wieczorem ruszyło się woysko, Poganie w koło za woyskiem Polskim, szkodzili tey nocy bardzo woysku Polskiemu, bo iedni od prac y niespania szaleli, drudzy padali na ziemię śpiąc y tak w ręce pogańskie przychodzili, 6 8bra o 10 godzinie na poł zegarzu natarli woyska Pogańskie na Tabor Polski że aż stanąć musieli, y dać bitwe, gdzie uczynili szturm potężny Tatarowie ale ich sam P. Bog prawie ręką swą odpędził, że dali woysku Polskiemu pokoy, tylko co idąc za woyskiem z dział z ianczarek y strzałami szkodzili, a iuż też było tylko 2 mile woysku Polskiemu uchodzić do Dniestru, zaczem widząc Skindyr Basza, y z Gałą że tak małej garstki ludzi przemoc nie mogli, tu zostali z woyskiem swym tylko część Tatarow poszli z woyskami świeżemi kturę się dziś dopiero były ukazały, a bardzo wielkie. Woysko też Koronne widząc się uwolnionych od Nieprzyiaciela ruszywszy się w drogę uszli poł mile w onym nowo naprawionem posłuszeństwem gardzić poczęli, w którym Poganin żadną miarą przełomić nie mógł, w którym P. Bog z niewymowney łaski swey wielce błogosławił. Ięli szmerzyć przeciwko Panom Hetmanom że ich trapią głodem bez wody onym zmorzone woysko niemoże długo trwać. A ten bunt czynili ku zgubie swey y woyska wszystkiego bo w tym porządku pierwey szli y nieprzyaciel ich przełomić nie mógł, y prowadzić ich chcieli Panowie Hetmani

tymże porządkiem y taborem ku Dniestru y tam się nad Dniestrem okopać, iednak ta chałastra y kozactwo, zbuntowawszy się ięli zarazem mądre rady y consilia ich M. P. Panow Hetmanow swymi fantazyami y radami płochemi zwać, a Panowie Hetmani radzili aby tabor znowa był sprawiony drudzy radzili żeby do połnocy na tym mieyscu zostali dla odpoczynku, drudzy do iutra a wtym wszyscy kozacy y chałastra widząc czas swoy na konie powsiadali y tym bardziey woyskiem y taborem mięszać poczęli, okrzyki na rycerstwo y udawaiąc że ich chcą odbieżeć, że ich chcą głodem wymorzyć a wtym czasie drudzy Pacholikowie do Panow swych skarbnych wozow w ktorych gdzie co wiedzieli znaleźć rzucili się do łupu, a wtym tumult okrutny powstał, gdzie ani Rządu żadnego przed takim hałasem starsi uczynić nie mogli, co usłyszawszy Tatarowie ktorych iuż było nie wiele co z woyskiem Polskiem szli napadli na tył taboru y strzelali się z Lisowczykami y s piechotą y s tymi chorągwiemi co tyłu bronili y z drugimi ochotnikami, ktorzy tam byli, gdzie iednak gwałtu nasi nie widzieli nadzwyczaj innych dni, a wtym czasie druga Chałastra w obozie miasto obrony rzucili się rabować do rzeczy Pańskich gdzie zwada y drapiestwo wielkie powstało, potym ięli rzucać Panow swych s koni ięli ich tak znieważać że y nie mało pobili, zaczym widząc Panowie Hetmani nasi że iuż w takim nierządzie niepodobna tabor zatoczyć y porządkiem uchodzić gdyż iuż wielu obaczyli ktorzy z woyska puciekali. Ięli o tém radzić aby porzuciwszy woysko uwieść mogli, Zaczym padł taki strach na woysko y confuzia że rady sobie dać nie mogli wtym hałasie ktory od tych swowolników w obozie się stał, trudno co począć mogli, bo niedosyć maiąo że wozy Panow swych ze wszystkich majątności złupili, ale y na Pany się swe rzucali. Iednak choć w takiej confuzii, woysko puściło się ku Dniestrowi gdzie iuż wielkie woyska Gryzkow y Wołochow Staborzone nad Dniestrem czekali naszych, gdzie iuż woysko Polskie musiało iść iak na rzeź albo iako w matnię ryby; zewsząd Poganie ogarnęli; bo tak Turcy iako y Tatarzy choć iuż byli

zwątpili o zwycięstwie Polaków usłyszawszy hałasy y niezgody w woysku Polskim wszyscy znowu napadli y gdzie przez tak długi czas tak wielkie woyska Pogańskie tak małe garstki Polaków w rządzie y męstwie przełomić nie mogli, to nierząd za godzinę czego się Panie Boże pożał wszystko sprawił, gdzie przyszło do tego że już Panowie Hetmani tylko w kilkuset koni uchodzić musieli, bo drudzy każdy w swą gdzie kto mógł uchodzić musieli, tamże iednych poganie pomordowali, drugich do więzienia pobrali. Panowie Hetmani obadwa iakom wyżej powiedział od wielkości Pogańskiej gdy uchodzili w tych kilkuset koni tam mężnie broniących się rozerwali od których ręku choć w tak małej gromadzie, nie ieden Poganin śmiercią zapieczętował, iednak Hetmana W. Pana Żółkiewskiego ieden Turczyn ranił, który y sam od niego na placu został. A w tym drugi przypadłszy, onego zabił gdzie y głowę z uciętą ręką do Skinder Baszy przyniósł, który Basza wielce żałował że go żywcem nie dostano ktorego y ciało Pani Hetmanowa z wielką przewagą w Wołoszech kazawszy się dopytać O Nim nie małą Summą odkupiwszy u Wołochow do Żółkowie przyprowadzić kazała tamże iest y pochowany.

Leżysz tu już w tym grobie o szlachetne ciało!

Wiem że przez cnotę duszy dobrze się dostało.

Był to człowiek urody wielkiej, serca śmiałego, sprawy dobrej, w Rycerskim dziele rostopny.— Tu już dopiero skończywszy wiadomość o Panu Hetmanie Wielkim, wracam się znowu do Pana Hetmana Polnego y do drugich, którzy straciwszy głównego wodza sami iednak iak mogąc uchodzili. A iż wiele ich było między niemi rannych iednak żadnego z nich gołą ręką nie wzięto bo wiele ich s Pogan którzy chcieli lub żywcem pobrać lub zabić, tych dzielnych mężow przedzey śmiercią swą uprzedzili, bo chociaż im w tym rozproszeniu y od wielkości pogaństwa przewodzeniu sił już nie stawało. Ale serce nieodmienne aż do końca trwało, tamże Pan Koniecpolski Hetman polny iest wzięty y Pan Żółkiewski Syn Pana Hetmana Wielkiego. P. Starosta Rubieszewski też ranny wzięty, P. Bałuban Starosta

Winnicki też ranny poymany, P. Potocki Woiewodzie Bra-
 cławski poymany, P. Sienicki Woiewodzie Podolski poymany,
 y ci wszyscy P. Kaznowski Rotmistrz, P. Maliński Rotmistrz,
 P. Makowiczki Rotmistrz, P. Daniecki Rotmistrz, P. Rybiń-
 ski Rotmistrz, P. Kozicki Rotmistrz, P. Strus Starosta Hali-
 cki, P. Ferenberk postrzelony w nogę Rotmistrz, Pan Ale-
 xander Cetner Pana Podczaszego Lwowskiego brat rodzony,
 P. Ian Malecki, P. Piwo z Belskiej ziemi, P. Brzowski, P. Bro-
 niewski, P. Radziemiewski, P. Dynof Polkownik, P. Szwiski,
 P. Chmielewski Rotmistrz, P. Iabłonowski, P. Fredro Mo-
 rawski, P. Wozniemski, P. Sieciszewski, P. Zlewiński, P.
 Myszłowski Porucznik, P. Braw, P. Praszczyński, P. Wa-
 dolski sługa Pana Stanisława Kamienieckiego, P. Wiele-
 bowski Rotmistrz, P. Zabolkliski młodszy, P. Dęmbiński
 Porucznik, P. Puławski Przemysław, P. Borowski Poru-
 cznik, P. Bogusławski Rotmistrz. P. Garnisz Porucznik, P.
 Turowski Porucznik, P. Korupatwicki, P. Iankowski, P.
 Pawłowicz, P. Clemestycz, P. Wielowieski, P. Studziwski,
 P. Marcin Złowski.— To to zacne Rycerstwo wtenczas
 w tey nieszczęśliwey potrzebie iest przemożone, ale iednak
 y z wielką sławą w męstwie Narodu Polskiego y z nieucie-
 chą nieprzyjacielską bo wszystkiego koronnego woyska nad
 8000 niebyło, a pogan pewnie 120 tysięcy. Iednak zginęło
 Pogan od tey małej gromady ludzi trzydzieści dwa tysiąca
 a naszych ledwo półtora tysiąca, bo to naywięcey zawadzi-
 ło woysku koronnemu że po pierwszey potrzebie z Turka-
 mi uciekło woyska z Kalinowskim więcey półtora tysiąca
 a z Hospodarem Wołoskim z Gracianem Wołochow tak-
 że z półtora tysiąca uciekło.— Za czym chociaz woysku
 Polskiemu ubyciem tak wielkiej gromady Ludzi y serce
 strwożone było ale przedsie ieśliby byli z woyskiem Pano-
 wie Hetmani, kiedyby im ci niezbożni Czurowie s pacholika-
 mi y Kozactwem do takiego nierządu przyczyny nie dali.
 Owa gdy P. Bog chce skarać, trudno przed gniewem iego
 uycić kto może bez pochyby że nie poganie, ale grzechy na-
 sze, nierząd y wielkie rozumienie o sobie to wszystko poka-
 zowało. O Kniaziu Koreckim mężu dzielnym y sprawnym,

ktory iako w inszych bitwach tak z Moskwą iako y przedtym w Wołoszech s Turki y w tey bitwie na Cedorze ostatniey iako człowiek rycerski mężnie y sprawnie poczynął, gdyż sprawował Taborem lewym na samym czele y tam iako mężny y sprawny człowiek mężnie stanął, ale iuż w tey ostateczney bitwie nie wiedzą o nim iesli poymany iesli też w potrzebie poległ. Jedni udawali że ranny uszedł do Kozakow y tam z ran umrzeć miał, drudzy że gdzieś między Wołoszą się utaił, trzeci iakoby zabity miał być, czwarci powiadaia iakoby do Oycyzny swey w dobrym zdrowiu przyiechać miał, co u mnie niepodobna bo gdyby wyszedł zdrow z tey bitwy Cecorskiej byłby na Seymie, gdyż Seym zaraz po tey porażce był w Warszawie Roku 1620.

9.

List Abrahama Złotopolskiego do Woyciecha Miaskowskiego Podkomorzego Lwowskiego, donoszący o klęsce Hetmana y Kanclerza Kor. pod Cedorą.

(Ze spółczesnej kopii zbioru mojego rękopismów).

Pisać też WMć raczysz do P. Trzebuchowskiego o wiadomość z strony Imć P. Kanclerza, tedy żadney wiadomości on niema iednak że ia iakom się z nim y z P. Hetmanem roziachał wszystko wypisuię. Po rozproszeniu się naszych kiedy w Tabor Turcy wpadli nie zostało się ieno P. Kanclerz y z P. Hetmanem Polnym w przodzie taboru, kiedy widział że źle, począł mówić co czynić dla Boga? było ieszcze przy nim koni ze trzysta; krzyknęliśmy wszyscy, z koni, a konie pobatować y tak od koni się będziemy odstrzeliwać, cośmy y uczynili. P. Kanclerz zsiadłszy z konia swego przebił go szablą, przykład drugim daiąc że nie myśli uciekać, y szedł piechotą cwierć mili z iedney strony mnie się podparłszy a z drugiej strony P. Kurzawskiego z P. Hetmanem Polnym y z P. Tarnowskim, którzy przed nim szli. Skoczyło do nas ze 2000 Tatarow; zaraz wszyscy a wszyscy co konie mieli, wpadłszy na konie zaczęli uciekać

między ktoremi y brat WMci był. Nie zostało się nas tylko jedenastu, a P. Hetman Polny dwunasty z P. Kanclerzem. Szliśmy z nim pieszo na kilkoro strzelenie z łuku, prosząc go aby na konia wsiadł, y równo z drugimi uchodził. Nie chciał tego uczynić, mówiąc te słowa: nie wsięde, miło mi przy was umierać — niechay P. Bog nademną wyrok swoy który uczynił kończy.—Mało co postąpiwszy, poczęliśmy go prosić aby znowu wsiadł, ale y konia już nie było. Iam w tym towarzysza iakiegoś od rozumu dla niewczasow obozowych odeszłego z konia zbił, y z P. Hetmanem Polnym wsadziłem go nań, zatym z boku kilkaset konnych naszych przypadło, między ktorych on wpadł y od tego czasu jużem go nie widział. A P. Hetman Polny, P. Kurzański, Pan Dynof, P. Silnicki, ia y niemcow kilka piechotą udaliśmy się w inszą stronę. Owo, było nas tam dwanaście, z ktorych 7 w tym uchodzeniu zabito, między ktoremi y P. Dynof; P. Hetman y P. Kurzański ieszcze są, P. Silnicki y niemiec ieden—szliśmy—a około nas tłum niezmierny Tatarow wiie się. Wprowadził nas w iakiś las nad Dniestrem mil 2 od Mohyłowa; wszyscy ci cośmy się żywo zostali, postrzeleni są. P. Hetman Polny postrzelony w bok y w wierzch głowy. W tym lesie napadło na nas kilkaset Wołoszy, ktorzy P. Hetmana y nas obnażywszy, wzięli P. Hetmana od nas, za ktorym y ia szedłem nie chcąc go odchodzić. Wołoszyn kazał mi klęknąć, chcąc mnie ściąć. Iam w tym w las skoczył, y takem P. Hetmana stracił. Nalazłszy potym P. Kurzańskiego, P. Silnickiego, y Niemca, przez noc y dzień przetrwawszy, nadedniem szliśmy ku Dniestrowi; tam napadliśmy na polk Tatarow, y że było nad Dniestrem trupow siła, nadzy będąc y pokrwawieni, przypadliśmy na ziemię, między trupy pobite. Tatarowie idąc mimo nas, siekli one trupy, y niemca który z nami przypadł, zabili.—Masz tedy WMć tę nieszczęsną peregrynacją naszą. O P. Kanclerzu to wszyscy zgodnie więźniowie nasi twierdzą, ktorzy z niewoli wychodzą, że głowę iego na drzewku przed Skinder Baszą noszą, u ktorego P. Hetman Polny iest w więzieniu. P. Struś, P. Maliński y insi, P. Ian Żółkiewski syn Kanclerski Staro-

sta Rubinowski, P. Łukasz Żółkiewski z inną naszą starszyzną, są u Sultana Gałgi. Nic na ten czas więcej nie mając, ale y tego dosyć, proszę racz WMć zostawać mnie zwykłym przyjacielem. Dan. w Trembowli 25 Oct. 1620 roku.

10.

Starowolski, w dziele *Monumenta Sarmatarum*, powiada, że pomnik wzniesiony na wysokim wzgórku dla poległego za kraj i wiarę Żółkiewskiego, za Dniestrem w Wołoszech, taki ma napis:

DEO TRINO ET UNI

HOSPES.

SI CHRISTIANUS HUC ACCEDIS

PRO CHRISTI FIDE INTERREMPTO VOTA NE DENEGA

SI PAGANUS VENIS, LAPIDI NE INVIDEAS LOCUM.

QUISQUIS ades

QUAM DULCE ET DECORUM PRO PATRIA

MORI EX ME DISCE

STANISLAUS a ZOLKIEW

ŻÓLKIEWSKI,

REGNI POLONIAE CANCELLARIUS ET EXERCITUUM

DUX SUPREMUS,

BARENSIS, CAMIONOCENSIS, JAVOROVIENSIS CAPITANEUS,

POST REPORTATAS DE COSACIS REBELLIBUS, AC DE TARTARIS VICTORIAS, POST ACTOS SUBJUGATA MOSCHOVIA TRIUMPHOS, REPUBLICA POLONA, QUA PACE, QUA BELLO, PRAECLARE GUBERNATA, TUM FORTITER CUM TATARIS DIMICANDO, HIC OCCUBUI. VOS MEO SANGUINE CONSPEBSI, CAMPI CECORIENSES, DEBITAE MEAE IN DEUM ET PATRIAM PIETATIS, FIDELES PERENNIS MEMORIAE ESTOTE TESTES.

Anno Domini MDCXX. Octob. 6.

KRÓTKI RYS

powstania i rozwijania się królewsko-Pruskiej kompanii
morskiej w Berlinie,

przez

Adama Bagniewskiego.

Założyciel pierwszej instytucji kredytowej ziemskiej (r. 1770 w Szlązku) Fryderyk W., jest także założycielem (1772) kompanii morskiej w Prusach (Königliche See-Handlungs Institut.).

Czas, a nawet powody założenia tej instytucji, mają ścisły związek z pierwszym podziałem Polski, jaki rzeczywiście już w r. 1772 nastąpił.

Dołączona tym podziałem do Prus prowincya Polska, dość uboga, nie zapewniała jeszcze Fryderykowi W. znacznych korzyści handlu zagranicznego, mianowicie z pozostałą częścią Polski. Wówczas, nietylko nie wszedł on jeszcze w posiadanie miasta Gdańska, zdawna zyskowny z Polską prowadzącego handel, i które z położenia swego, i w ówczesowym stanie środków komunikacyjnych, było głównym kluczem handlu z Polską; ale nawet kupcy Elblągscy i Królewieccy, którzy dawniej prowadzili także zyskowny handel mianowicie morską solą, nie mogli już więcej sprzedawać jej w przyległych, do Rossyi

dołączonych prowincjach, dokąd wywóz artykułu tego, zaraz po nastąpionym podziale, został zupełnie wzbroniony, i z kądem zarazem wywóz towarów został wysoko oclony. W pozostałych zaś częściach Polski, gdzie według traktatu podziałowego, wolność handlu solnego każdemu zawarowaną została, kupcy Elbląjscy i Królewieccy, spotykać się musieli w handlu solnym z Austryą, która posiadając już Wieliczkę, musiała tém samém, mieć pierwszeństwo nad Prusami.

Łatwo pojąć, że w takiém położeniu rzeczy, zależeć musiało wiele Fryderykowi W. na utrzymaniu i ożywieniu handlu z pozostałemi, a jeszcze obszernemi prowincjami Polskimi, tudzież na opanowaniu pozostałego dotąd w ręku Gdańszczan handlu Polskiego.

Założenie kompanii morskiej miało posłużyć za środek do dopięcia tego celu. Stosownie do patentu nadawczego z d. 14 października 1772 r., kompania morska założoną została w celu ożywienia ogólnego handlu zagranicznego; skierowanie atoli ku Prusom handlu z Polską, tudzież rozszerzenie stosunków handlowych z Hiszpanią i koloniami Amerykańskimi, położono za główne tego instytutu zadanie; a przytém chodziło Fryderykowi W. i o to, aby w korzyściach z takiego handlu, wycieńczony wojnami skarb Pruski, znalazł *bezpośredni* udział.

Jakoż, uposażywszy kompanią morską kapitałem zakładowym 1,200,000 talarów, przez 2,400 akcyj po 500 talarów wyobrażanym, Fryderyk W. zatrzymał dla siebie 2,100 akcyj, a tylko do ósmej części ogólnej ich ilości, to jest do 300 akcyj czyli 150,000 talarów, publiczność handlującą dopuścił; nieudzielając jój przytém najmniejszego udziału w zarządzie i mianowaniu wyższych urzędników kompanii.

Tak uposażonej i uorganizowanej instytucji, Fryderyk W. powyższym patentem zakreślił czas trwania na lat 20, i nadał przywileje prowadzenia handlu solą morską i woskiem.

Na zasadzie pierwszego, handel hurtowy solą w portach i nadbrzeżach Pruskich wzbroniony został wszystkim okrętom, bądź krajowym, bądź zagranicznym, jakiejkąć bądź flagi, i czyją bądź własnością będącym, jeżeli te nie należały do kompanii morskiej, lub przez nią wynajęte nie były.

Sprzedaż cząstkowa soli pozostawioną była drugiej kompanii, Pruską zwaną, która, dowiezioną do portów Pruskich, Hiszpańską, Francuzką lub Angielską sól, zakupowała od kompanii morskiej po cenie stałej i takową w głąb kraju spławiwszy, ze swoich nadgranicznych magazynów, do Polski i Litwy sprzedawała.

Drugi przywilej polegał na tém: że wszystek wosk Wiślą spławiony, a nawet i krajowy z okolic téj rzeki, sprzedawany być musiał kompanii morskiej w składzie na ten cel ustanowionym.

Obok tego, kompania morska, miała sobie nadane prawo prowadzenia handlu nadbrzeżnego, tudzież handlu bezpośredniego, z portów Pruskich, do portów Hiszpańskich i innych, a w ogólności (jak patent się wyraża), miała prawo prowadzenia każdego handlu przywozowego, lub wywozowego, który tylko podawał rozsądne i pewne widoki znacznego zysku.

Tak uorganizowana i monopolami uzbrojona instytucja, zaraz z chwilą swego powstania, znalazła przeciwników i wywołała zarzuty, które mianowicie po śmierci Fryderyka W. głośnie mi być zaczęły.

Utrzymywano, że handel morski w portach Pruskich, był już wówczas na stopniu mogącym się obejść bez silnej ze strony rządu opieki; że Anglicy i Holendrzy, zakupioną własnymi kapitałami sól, kupcom Pruskim przywozili i na kredyt sprzedawali, przez co Prusy małego tylko kapitału do prowadzenia tego handlu potrzebowały, a tym samym kapitału swego w innych gałęziach krajowego przemysłu, używać mogły; że zakupowanie soli Francuzkiej i Angielskiej kapitałami kompanii morskiej odrywało je od innych przedsięwzięć przemysłowych i wpłynęło szkodliwie na kwitnący podówczas z prowincjami Polskimi handel Królewca i Elbląga, który się przeniósł do Rygi i Libawy; że konsumentom wewnętrznym kupno soli drogo przychodziło i t. p.

Niewszystkie te zarzuty, nawet w ówczasowym stopniu ogólnego przemysłu Pruskiego, niesprawiedliwemi nazwać się mogły; była w nich i część prawdy, a smutne wypadki w wewnętrznym zarządzie kompanii w pierwszych 10 latach pod przewodnictwem ministrów stanu Horsta i Görnego doświadczone, nadały tym zarzutom większą jeszcze wagę. Skutkiem tego złego zarządu, kompania, nietylko nic nie przyniosła zysku, ale nawet doznała dotkliwych strat pieniężnych, przeszło milion talarów wynoszących.

Nie przeto straciła ona zaufanie rządu. Od r. 1782 zarząd kompanii powierzony został hr. Schulenburg Kenert. Przybrał on do pomocy znanego w naukowym świecie Karola Augusta Struense (1), który zachwianą in-

(1) K. A. Struense, autor dzieł: *Abhandlung über wichtige Gegenstände der Staatswirtschaft*. Berlin 1800; i *Sammlung von Aufsätzen die grössentheils wichtige Punkte der Staatswirtschaft betreffen*. Był on przeciwnikiem systematów kredytowych ziem-

stytucją na nowo wznieść, i do właściwego jój przeznaczenia skierować potrafił.

Według patentu z r. 1772, ustawa kompanii upływała z d. 1 stycznia 1793 r.; patentem z d. 9 lutego 1776, przedłużono ją o lat 3 do 1 stycznia 1796 r., i potwierdzono wszystkie jój prawa i przywileje. Pierwsze w tej mierze modyfikacye, obejmuje dopiero patent z d. 4 marca 1794 r. wydany za czasu zarządu Struensego. Patent ten przedłużając ustawę do 1 stycznia 1808 r., podwyższa kapitał zakładowy do 1,500,000 talarów, wyobrażany przez 3,000 akcyj po tal. 500; pozostawia możność większego jeszcze pomnożenia tego kapitału, dodaje akcyom gwarancyą państwa, a za to zniża przypadającą od nich stosownie do patentu z r. 1772 stopę procentu 10⁰/₀, na 5⁰/₀, i wyłącza wyraźnie akcyonaryuszów, tak od wszelkiego dalszego udziału w zyskach kompanii, jak i od udziału w zarządzie.

Patent ten znosi przytém w zupełności służący dotąd kompanii przywilój do zakupu wosku, i dozwala jój prowadzić handel hurtowy wszystkimi krajowemi lub zagranicznymi towarami, robić interesa wexlowe, zakładać kantory w kraju lub za granicą, budować okręty, zgoła dozwala jój przedsiębrać wszelkie *bez wyjątku* interesa kupieckie, z obowiązkiem wszakże ponoszenia równych z kupcami ciężarów i obowiązków, prócz obowiązku użycia papieru stęplowego i płacenia kosztów sądowych, od których uwolnioną została. Patentem z r. 1795 objaśniono bliżej prawa kompanii, i uznano: że prócz przywileju handlu solą który przy niej pozostał, ma ona we

skich, którym między innymi zarzucał, iż sprzyjać będą skupowaniu małych własności przez wielkich właścicieli ziemskich. Doświadczenie nie stwierdziło jego przewidywań.

wszelkiego rodzaju handlu także same prawa, jakie służy każdemu krajowemu lub zagranicznemu komissantowi.

Widzimy więc, że przesilenie z r. 1782 i poniesione wówczas znakomite straty liczebne, nietylko nie spowodowały rządu do zwinięcia kompanii morskiej w oznaczonym dla niej pierwotnymi patentami czasie, ale owszem rząd Pruski mimo tych strat i mimo czynionych ciągle kompanii zarzutów, znalazł owszem powody do powiększenia kapitału zakładowego, rozszerzenia operacji tego instytutu i nadania mu cechy więcej jeszcze rządowej, który też odtąd za instytut czysto rządowy uważanym być musi. Jakie zaś w tym charakterze przyniósł Prusom korzyści, o tém poniżej będzie mowa.

Drugi, a mianowicie trzeci podział Polski z r. 1795. wpłynęły także stanowczo na zmianę położenia handlowego kompanii morskiej.

Po przejściu Gdańska pod panowanie Pruskie, i rozebraniu reszty prowincyj Polskich, których część z Warszawą przypadła Prusom, ustał tém samym cel przeciągnięcia do Prus wykonywanego przez Gdańsk handlu z Polską, jaki był pierwotnie przez Fryderyka W. dla kompanii położony; a ustać musiał i dlatego, że w dołączonych do Rosyi i Austrii prowincjach, zaprowadzono systemat celny, państwowym tym właściwy.

Poszło za tém, że handel solą zagraniczną który najczęściej kompanii zarzucano, stracił na znaczeniu, a korzyści z niego, zaczęły przechodzić pod zawiadywanie władz czysto skarbowych.

Ale i ówczasowe polityczne zawikłania w Europie, przyłożyły się także do zmiany położenia kompanii morskiej. Podniesiony na nowo kredyt jój, posłużył Struensemu do stopniowej regulacji długów rządowych, jakie

i Prusacy zasiągnąć wówczas musieli. Pożyczonemi przez nią za półrocznym wypowiedzeniem, a w r. 1806 znakomitą summę 17,800,000 tal. wynoszącemi kapitałami, Struense spłacił, nawet przed terminem, zaciągnięte za granicą długi rządowe, i tym sposobem dług zagraniczny, na dług wewnętrzny zamienił.

Najszkodliwiej jednak działała na kompanię morską wojna z Francją z r. 1806. Rząd nie był w stanie zwrócić funduszków jakie mu kompania zaliczyła, a w następstwie tego, kompania niemogąc także uczynić zadość swoim zobowiązaniom, zniewoloną została aktywa swoje, ile okoliczności dozwalały, zrealizować. Później, to jest edyktem z d. 27 października 1810 r., skarb przejął na siebie zobowiązanie kompanii, zamieniając je na obligacye długu rządowego (Staatsschuldscheine).

Od téj epoki, kompania morska zaczęła przybierać względem władz rządowych więcej podrzędne znaczenie, a nawet reskryptem gabinetowym z d. 3 listopada 1817, poddaną została pod zarząd ministeryum skarbu. Skarb używał jéj odtąd, za stosownym wynagrodzeniem i zwrotem kosztów, jedynie jako komissanta i bankiera w ówczasowych rozległych a kosztownych operacyach piéniężnych, które się tak wiele do uregulowania finansowego stanu Prus przyłożyły, jakoto: do ściągnięcia kontrybucyj Francuzkich, antycypowania różnych podatków i wpływów ze sprzedaży dóbr oczekiwanych, zaciągnięcia Angielskiéj z r. 1818 pożyczki, i t. p.

Zacząło to wprawdzie dźwigać upadły kredyt kompanii, którój w r. 1819 rząd przyszedł znowu w pomoc z kapitałem tal. 1,035,110 wynoszącym, a z różnych dawnych aktywów zebranych; lecz właściwie dopiero skutkiem nowéj reorganizacyi zasad, na których sama in-

stytucya polegała, a które zbliżyły się znowu do pierwotnych zasad przez Fryderyka Wielkiego nakreślonych, i pod pewnym względem większej jeszcze nabrały rozciągłości, kredyt ten wrócił do dawnego świetnego stanu, a nawet go i przeszedł.

Reskryptem gabinetowym z d. 17 stycznia 1820 r., kompania wraz ze wszystkimi już istniejącymi lub później założyc się mogącymi kantorami swemi, uznana została za samoistną, i od władz administracyjnych bynajmniej niezależną instytucją rządową pieniężną i handlową.

Przyznano jój tym reskryptem *wyłączne prawo*:

a) Spłacania za granicą długów rządowych w kapitale i procentach.

b) Ściągania z zagranicy funduszów z jakiego bądź tytułu władzom rządowym przypadających, i

c) Kupno potrzebnych dla państwa zagranicznych produktów; a przytém nadano jój prawo *piérwszeństwa* do zakupu zagranicznej soli z Anglii, Francyi i Portugalii, do robienia na rzecz władz rządowych i instytucyj wypłat w kraju, do których kupieckie współdziałanie jest potrzebne; zresztą, kompania w interesach kupieckich ponosić ma także same ciężary jak i wszyscy inni kupcy, a zatém już i stęple, porto i t. p.

Za przedsięwzięte przez kompanią interesa pieniężne, i wypływające ztąd zobowiązania, rząd dał poręczenie, a zarazem postawił ją pod nadzorem oddzielnój kuratoryi z trzech urzędników stanu złożonej, i rewizyą rocznych rachunków głównemu prezydentowi najwyższej izby obrachunkowój powierzył.

Oddzielnym reskryptem gabinetowym z d. 3 maja 1821 r. postanowiono:

Że zyski kompanii morskiej nie będą do kass skarbowych przelwane, lecz powiększać mają kapitał kompanii, a to tym celem, iżby nietylko miała w pogotowiu fundusze na zwyczajne potrzeby, ale nawet, aby zbierać mogła fundusz zapaśny, któryby w nadzwyczajnych zdarzeniach i nad zakres budżetem państwa oznaczony, mógł służyć do dyspozycyi najwyższej władzy.

Zarząd tak zreorganizowanej w zasadach swoich instytucyi, powierzony został p. Rother, a to (słowa reskryptu z d. 17 stycznia 1820), z władzą nieograniczoną i osobistą odpowiedzialnością, którą tenże, nieprzerwanie od lat 25, z zupełnym zaufaniem swego monarchy, i na wskazanych dopiero zasadach dotąd wykonywa.

W pierwszych latach tego zarządu, kompania morska wykonała kilka rozległych operacyj, spowodowanych ówczasową epoką porządkowania całego stanu finansowego państwa (1), jakoto: zaciągnięcie w r. 1812 na swój rachunek w Londynie pożyczki $3\frac{1}{2}$ miliona funtów szterlingów, za złożeniem w zastaw odpowiedniej summy w obligacyach długów państwa; odzyskanie znacznych należności jakie kompanii od skarbu przypadają; tudzież

(1) W r. 1820, dochody Prus około 46 milionów talarów wynoszące, nie wystarczały jeszcze na bieżące wydatki państwa. Dług publiczny wynosił 217 milionów talarów, a w nim dług ufundowany procentowy 180 milionów, włącznie już z obligacyami długu państwa (Staatsschuldscheine) jakie w roku 1811 i 1815 wystawiono w summie $119\frac{1}{2}$ milionów talarów, w zamian za dawne papiery publiczne.

W roku 1820 uznano dług procentowy za zamknięty, oddzielono go od długu nieprocentowego i od długów prowincjonalnych, i postanowiono, że dotąd budżet dochodów i wydatków państwa, ma być do publicznej podawany wiadomości. Deficyt w dochodach pokryto w części oszczędnością na wydatkach wojska, a w części odstąpieniem na rzecz skarbu dóbr koronnych, nadewszystko zaś zreorganizowano system podatkowania, co na podniesienie dochodów państwa stanowczo wpłynęło.

zakupowanie znajdujących się w obiegu świadectw różnych od skarbu należności (Kompensations Anerkenntnisse) i zamiana ich na obligacye długu państwa, co nie tylko uwolniło skarb od oblikwidowywania takowych należności, ale i kompanii znaczny zysk przyniosło.

Od wypłaty procentów i kapitału długu za granicą zaciągniętego, i od innych wypłat z rozporządzenia władz publicznych pochodzących, kompania pobiera $\frac{1}{3}$ 0/0 tytułem komissu, co jednak obecnie już tylko małą rubrykę stanowić może. Oprócz tego, odbywane przez kompanią morską, już to na swój własny, już na rachunek osób trzecich interesa wexlowe, w papierach publicznych, tudzież handel srebrem i złotem, stanowią zawsze dla kompanii znaczne źródło dochodów, i za pośrednictwem tych operacyj, stoi ona w ciągłych stosunkach z najznaczniejszymi placami handlowymi w Europie i innych częściach świata.

Wkrótce także po objęciu zarządu kompanii przez p. Rother, instytucya ta zaczęła wdawać się w handel towarami krajowemi do odległych części świata. Dla zaradzenia upadającemu przemysłowi tkaczy z górnego Szląska, któremu bezpośredniem udzielaniem zasiłków nie było można skuteczniej przynieść pomocy, kompania morską w r. 1822 zawiązała stosunki z dawnymi koloniami Hiszpańskimi Ameryki południowej, których porty, po wyswobodzeniu od kraju macierzystego, wolnej dla wszystkich krajów konkurencyi otworzone zostały, i do których już dawniej płótna Szląskie przez Kadyx przesyłane bywały.

Toż samo po zamknięciu granicy Rossyjskiej dla sukna Pruskiego, które dawniej lądową drogą przez Kiahnę do Chin wysyłane bywało, zaczęła się starać o od-

zyskanie drogą morską utraconego odbytu, a zarazem o przyswojenie sobie części tych zysków, które Anglia i Stany Zjednoczone, już zdawna z handlu Chińskiego ciągnęły. I tymto sposobem powstał do odległych części świata znakomity handel kompanii towarami, po większej części krajowemi, jakoto: Szląskiem i Westfalskiem płótnem, sukniem, wyrobami bawełnianemi i żelaznemi, szkłem, mąką, wódką i innemi, w zamian których, przywozi towary i produkta na targach Europejskich korzystny odbyt znajdujące. Wartość towarów i wyrobów Pruskich, jakie tak na własny rachunek kompanii, jak i sposobem konsygnacyi, do portów zaatlantycznych, i po większej części na okrętach do samójże kompanii morskiej należących, splawione zostały, wynosi talarów 7,305,043, z których same wyroby płócienne talarów 4,728,720.

Kompania przedsięwzięła także ulepszenia w budowie okrętów i statków morskich, które dotąd tylko do splawu drzewa i zboża zastosowane, były ciężkie, kosztowne i niewygodne. Tym celem zakupiła okręty w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, sprowadziła z tamtąd i z Anglii budowniczych okrętowych, i poczęła budować okręty na wzór dla handlu Pruskiego służyć mające. Tymto sposobem okręty kompanii morskiej mogły już odbywać najodleglejsze podróże zamorskie, i kulę ziemską opływać, czego dawniej, ani okręty Pruskie, najdalej do Lisbony żeglujące, ani żadnego innego Niemieckiego państwa, uczynić nie śmiały. Obecnie kompania posiada cztery własne wielkie kupieckie okręty i pięć mniejszych. Nie wszystkie ekspedycje morskie zapewniły korzyści. Były takie, które zamiast zysku przyniosły straty, ale straty te, co do cyfry nie tak znaczące,

były sownie nagrodzone korzyściami pośrednimi, które kraj odnosił z utrzymania lub wynalezienia odbytu na produkta i wyroby krajowego przemysłu, z ulepszenia budowy okrętów, z wykształcenia majtków, i z ustalenia kredytu saméjże instytucyi ekspedycye te wykonywającéj.

Cózkolwiek bądź, dziś już po uzyskaniu takich ogólnych celów, kompania morska zaczyna ograniczać się coraz więcej w tego rodzaju operacyach, a nawet reskryptem królewskim z d. 12 stycznia 1843 r., wydanym na skutek przedstawienia p. Rother, upoważnioną została, operacye tego rodzaju, w zakresie zmniejszonym, odbywać tylko przez trzy następne lata, po czém ma być królowi złożoną dalsza co do nich opinia.

Również kompania morska, i to dopiero w roku bieżącym (1), uwolnioną została od wszelkiego współdziałania w zakupywaniu sposobem komissu soli zagranicznej, co już samymże władzom skarbowym nadal wyłącznie jest pozostawione. Obecnie z tytułu obowiązku zakupowania potrzebnych dla rządu zagranicznych produktów, kompania trudni się kupnem zachodnio Indyjskiej saletry, do fabrykacyi prochu potrzebnej.

W wielkich robotach publicznych i różnych przedsięwzięciach przemysłowych, rozwinęła ona wielką działalność mianowicie w ostatnich dwudziestu latach, to jest wtenczas, kiedy z chwilą większego uporządkowania finansów państwa, nie była już w konieczności robienia skarbowi zaliczeń na 5 % jak to dawniej miało miejsce; ani téż przedsiębrania tym celem wielkich operacyj wexlowych, i ciągłego jak dawniej trzymania w kassie swojej, ze stratą procentów, znakomitego funduszu w gotowiznie, na zaspokojenie nadzwyczajnych potrzeb.

(1) Reskrypt królewski z d. 14 lutego 1845.

I tak w roku 1824, kompania zawarła z rządem kontrakt o budowę 125 mil bitéj drogi (chaussée) w różnych kierunkach kraju prowadzonéj. O budowę tych dróg w mniejszym zakresie, ministeryum handlu, wprzód jeszcze weszło było w układy z prywatnemi przedsiębiorcami; atoli kompania biorąc na siebie obowiązek wybudowania ich w większój rozciągłości, i po tańszéj cenie, zapewniła skarbowi i znaczną oszczędność, i pewność trwałąj budowy.

W r. 1834 utworzono w Berlinie dom pożyczkowy, któremu kompania zaliczyła na 4 0/0 przeszło 500,000 talarów.

Za pośrednictwem awansów i własnego współdziałania, przysłała w pomoc przedsięwziętym w latach 1838 i 1839 konwersjom listów zastawnych Wschodnich i Zachodnich Prus i Pomeranii, Kur-Marchii, tudzież obligacyj miejskich Elbląskich.

W tymże samym roku 1839, przez wzięcie udziału 1,400,000 talarów w budowie kolei żelaznéj Berlińsko-Anhaltzkiéj, załatwiła i rozwiązała trudności, jakie były powstały ze zmiany pierwiastkowo zatwierdzonego kierunku drogi, a jakie groziły rozchwianiem się tego przedsięwzięcia.

Nie można także pominąć i tego, że kompania morska, znalazła się w potrzebie zakupienia znacznych posiadłości ziemskich, na które poprzednio udzieliła pożyczki, lub które jéj z najwyższéj woli kupić rozkazano. Są nawet i takie posiadłości ziemskie, które nabyła jedynie w widoku korzystnego umieszczenia kapitałów.

Zpomiędzy przedsięwzięć przemysłowych, bezpośrednio przez kompanią, lub w rozmaitem z prywatnemi

połączeniu wykonywanych, wspomnieć tu wypada następujące:

1) Walcownia cynku w Thiergarten pod Ohlau.

Pomimo bogatych kopalni cynkowych w Szląsku, walcownie tameczne dostarczały tylko złych fabrykatów, do handlu zagranicznego wcale nieprzydatnych, a w kraju mało używanych; a jednak konsumpcya cynku musiałaby się podnieść, gdyby Szląsk mógł dostarczać blachy wyrównywającej téj, jaka jest wyrabianą na walcowniach Francuzkich, Angielskich i Polskich.

To téż kompania morska w r. 1839 założyła walcownią w Thiergarten pod Ohlau, a to według planów jednego z terażniejszych jój uczestników, zalecającego się dokładną znajomością téj fabrykacyi (1), i wpołączeniu z nim (2) tudzież z jednym kupcem Wrocławskim, pod równemi dla wszystkich prawami i obowiązkami.

2) Zakłady do mléwa mąki.

Skutkiem udzielonych kupcom Gdańskim w czasie przesilenia z r. 1821 zaliczeń, kompania znalazła się zniewoloną kupić i przyjąć w miejscu wypłat znaczne partye pszenicy, której spięniężenie było wówczas bardzo trudne. To spowodowało ją, że zboże to mléc, a mąkę do Anglii i do zaatlantyckich portów wyprowadzać zaczęła. Przy téj sposobności nabrała doświadczenia, że krajowe mléwo, stojąc wiele niżéj od mléwa zagranicznego, mianowicie północno Amerykańskiego, nie mogło wyrobom swoim na targach zamorskich przyzwoitego zapewnić odbytu. Szło więc o przyswojenie sobie

(1) Uczestnikiem tym jest p. Piotr Steinkeller. (*Przyp. Red.*).

(2) Szczegóły te o pojedynczych zakładach przemysłowych kompanii m., czerpane są z raportu jój prezydenta, o którym niżej będzie mowa.

poczynionych w tej mierze przez Amerykanów ulepszeń, i w tym celu kompania wystawiła w Ohlau młyn wielki o 8 gankach, później jeszcze powiększony, który posłużył za wzór powstałym następnie w Szląsku młynom prywatnym.

Młyny w Bydgoszczy, składające się z 3 młynów mącznych o 22 gankach, z tartaku i olearni, kompania morska zakupiła w r. 1842 za 104,000 talarów; a to na żądanie administracyi dóbr i lasów, której wiele zależało na usunięciu przeszkód, jakie posiadacze młynów tych czynili zamierzanym zakładom irygacyjnym. Młyny te nie są w najlepszym stanie, i kompania zamierza je przerobić, z ostatnimi ulepszeniami za granicą w mléwie poczynionemi, a w Niemczech jeszcze w użyciu niebędącemi. Postępy w tej mierze są tak znaczne, że najlepsze terażniejsze młyny Pruskie są o tyle za młynami Francuzkiemi, Belgijskiemi, i Angielskiemi, o ile niemi były dawniejsze młyny w porównaniu z mléwem Amerykańskiém.

Młyn parowy w Potsdamie, jest przez kompanią w r. 1841 i 1842, na skutek wyraźnego polecenia królewskiego wystawiony. Młyn ten przerabia na mąkę rocznie około 8,000 wisplów zboża, czyli 200,000 szefli, i dostarcza jój nietylko na konsumcyą miejscową, ale i na handel, mianowicie zagraniczny, który w tej mierze kompania położyła sobie za główne zadanie. Jakoż, większa część mąki w młynie tym wyrobionój, idzie do Saxonii, Bawaryi, i Hamburga.

3) Machiny do przedzalni i tkania lnu w Ermannsdorf i Landshut.

Z uwagi na niedostateczność wszystkich środków pomocy, jakiej nie szczędzono prądkom i tkaczom górne-

go Szląska; na konieczność szybszego postępu w fabrykacji lnianej, który jej jedynie przyzwoity targ zapewnić może; na potrzebę wielkich w tym przemyśle funduszy, których kapitaliści krajowi niemogący iść w porównanie z zamożnością kapitalistów Angielskich lub Belgijskich, dostarczyć nie są w stanie; jak niemniej z uwagi, że dotychczasowe przedsiębiorstwa prywatne, ulepszeniom w Anglii zaprowadzonym sprostać niemogące, tylko przy protekcyi ceł, i przy pomocy wielkich zasiłków pieniężnych utrzymać się mogą; kompania morska ujrzała się spowodowaną w r. 1838 prosić o upoważnienie do założenia w Szląsku zakładu machin do przędzenia lnu. Wybudowana w skutek tego przedsiębiorstwa w Ermansdorf, została w r. 1843 puszczoną w bieg, i dziś lubo nie w całym jeszcze zakresie jest czynną, zatrudnia już 227 robotników. Budowa wzorowej blicharni i appretury jest już tak dalece posunięta, że zakłady te, jeszcze w roku bieżącym mają być w bieg puszczone.

Od roku 1843 kompania posiada drugą przedsiębiornię lnu w Landshut, którą prowadzi wspólnie z trzema kupcami miejscowemi i z jednym kupcem Wroclawskim. W związku z temi zakładami, zamierza także założyć zakład przyrządzania lnu, tudzież usiłuje wpływać na ulepszenie uprawy tej rośliny.

4) Żegluga parowa na rzekach Sprze, Haweli, i Elbie.

Przedsięwzięcie to, które już poprzednio przez dwa towarzystwa akcyjne z utratą całego kapitału, zaniechane być musiało, i które trudno, aby przez prywatnych prowadzone być mogło, ma do walczenia z wielu trudnościami lokalnemi, i tylko dlatego prowadzone jest dalej przez kompanią morską, aby przynajmniej z najbliższych wód uzyskać korzyści, jakie innym krajom żegluga paro-

wa zapewnia. Zyski pieniężne mogą być spodziewane tylko w przyszłości. Kompania posiada obecnie 7 statków parowych, i 10 statków pod wodę ciągnących. W roku 1844, dochód po strąceniu wydatków uczynił 14,561 talarów, co jednak nie pokrywa jeszcze zużycia statków i procentów od kapitału w przedsięwzięcie włożonego.

5) Zakłady budowy machin w Moabit i we Wrocławiu.

Aby się postawić w niezależności tak od zagranicznych zakładów, jak i od mechaników krajowych dostatecznych wiadomości nieposiadających, kompania w r. 1837 założyła na własnym gruncie zakład machin w Moabit; a ponieważ budowa własnych jej statków nie może zatrudnić w sposób ciągły wszystkich pracowników, fabryka przyjmuje także i obstalunki prywatne.

Drugi zakład budowy machin we Wrocławiu, założony jest w r. 1833 łącznie z dwoma domami handlowymi prywatnymi, i jest w stanie bardzo kwitnącym. Jeden ze wspólników trudni się częścią handlową i rachunkową, drugi częścią techniczną, a kompania przez swego dysponenta czuwa nad interesami zakładu.

6) Fabryka płodów chemicznych w Oranienburgu.

Założona w r. 1815 uzyskała z kompanii zaliczenia najprzód w r. 1823 i powtórnie w r. 1832, gdy się zachwiała. Dopuszczono wtenczas kompanię do zarządu. Dawny właściciel zatrzymał techniczny kierunek, i pewien stały roczny dochód; przewyżka szła na zaspokojenie wierzycieli. Po śmierci właściciela, kompania usiłowała wypośredniczyć sprzedaż fabryki prywatnym lub Towarzystwu przez akcye, ale bez skutku. Proces zagrażał bytowi zakładu przez lat 8 z wielkim trudem i ofiarami przez kompanią utrzymywanemu. W r. więc 1841

kupiła fabrykę od sukcesorów. Wierzyciele ułożyli się, a sukcesorowie otrzymali dożywotni dochód. Odtąd zakład ten pod bezpośrednim zarządem kompanii, wzrosł i zakwitnął nanowo, a dziś już nietylko przynosi procent od znacznego nakładowego i obiegowego kapitału, ale jeszcze i znaczne zyski zapewnia. Fabryka zatrudnia 157 osób pobierających 30,000 talarów płacy. Do przywozu materyałów i rozsyłania fabrykatów, zatrudnia 212 czólen i 224 wozów prywatnych. W r. 1843 zakupiła między innemi, przedmiotów, dotąd żadnego prawie użytku niemających za 30,000 talarów, jakoto: krwi zwierzęcej, szczątków rogów, starych skór, trzewików, bótów i t. p.

7) Fabryki papieru w Berlinie, i w Hohenofen.

Patentowa fabryka papieru w Berlinie założona w roku 1819 przez prywatne towarzystwo na akcyach, zagrożoną została upadkiem zaraz w r. 1821, i nim jeszcze zupełnie wykończoną była. Kapitał akcyjny wynosił 135,000 tal. akcja po tal. 1,000. Dołączono 125 takich akcyj, na które kompania dała 125,000 tal. Od tej chwili fabryka obowiązana jest z trzech przez prezydenta kompanii morskiej przedstawianych osób, wybierać jednego członka dyrekcji. Zresztą kompania morska uważana jest jak każdy pojedynczy akcyonaryusz, a chociaż dziś zpomędzy 260 akcyj, należy do niej 132, ma głosy 4, to jest tyle tylko, ile każdy 20 akcyj posiadający; obecnie akcye prócz procentu przynoszą znaczne dywidendy. Wyrabianie papieru na bilety kassowe, papiery publiczne, obligi kompanii morskiej i t. p., do czego fabryka ma obowiązek, odbywa się w przytomności dwóch urzędników; kompania ma przytém drugą, własną i przez siebie założoną fabrykę w Hohenofen pod Wusterhau-

sen. Wielki ten i wzorowy zakład wydzierzawiony jest patentowej fabryce od r. 1838 do końca roku 1846, rocznie za 9,500 talarów.

8) Składy wełny i sortownie.

Z zakładami temi połączone jest udzielanie zaliczeń na wełnę do połowy lub $\frac{3}{4}$ wartości, branie jęj w komis do sprzedaży tudzież kupno i sprzedaż na własny kompanii rachunek, a co ma miejsce nietylko dla podania sposobności ciągłego zatrudnienia sortowniów założonych na skalę 8, do 10,000 cent., ale i dla zapobieżenia wielkim zmianom w cenach wełny. W ostatnich 18 latach, kompania zakupiła 115,571 cent. wełny za 8,410,740 tal., a zatem w przecięciu rocznie cent. 6,420 za tal. 467,263.

9) Przędzalnia wełny w Wrocławiu.

W r. 1841 kompania w połączeniu z niektórymi kupcami Wrocławskimi wystawiła przędzalnię, która od r. 1842 jest już w biegu pod kierunkiem technika krajowego, kosztem kompanii w Anglii wykształconego. Zarządem trudnią się dwaj wspólnicy, a kompania zachowała sobie prawo przekonywania się przez specjalnego kommissarza, o stanie rachunków i interesów.

10) Machiny do tkania wełny w Wüste-Giersdorf.

Fabryka prowadzona w połączeniu z prywatnemi właścicielami od roku 1842 czynna, nie przyniosła dotąd piędziężnych korzyści. Jest ona jedyną nietylko w Szląsku, ale w całych Prusach, a przeznaczeniem jęj jest współubiegać się z fabrykatami wełnianemi Anglii, Francyi i Saxonii.

11) Fabryka do przędzenia i tkania bawełny w Eisersdorf pod Glatzem.

Założona w r. 1830 na akcyach nakładem 350,000 tal. bez współuczestnictwa kompanii. W r. 1841 kom-

pania morska pożyczyła jej 225,000 tal. co jeszcze nie było wystarczającym. W niemożności uzyskania dostatecznego hipotecznego bezpieczeństwa, kompania wzięła fabrykę w zastawne posiadanie, i w nieograniczony na rachunek akcyonaryuszów zarząd, kontentując się jedynie procentem od udzielonych fabryce zaliczeń, dziś już 466,000 tal. wynoszących; akcyonariuszom zaś pozostawiając nadzieję, że akcje ich już żadnej niemające wartości, odzyskają ją stopniowo. Zresztą wolno jest akcyonariuszom za zapłaceniem kompanii w każdym czasie odebrać zarząd fabryki.

12) Fabryka odlówów wyrobów żelaznych i stalowych w Bürgthal.

Założona w r. 1843 w zamiarze wyrabiania fabrykatów dotąd przez Anglią w wielkiej ilości całym Niemcom dostarczanych, zarządzana jest w połączeniu z prywatnymi przedsiębiorcami, którym wolno za zwrotem kapitału nakładowego z procentem, przejąć wyłącznie fabrykę na siebie.

Większa część z wymienionych tu operacyj, tak handlowych jak przemysłowych, ściągnęły przeciw kompanii różne zarzuty ze strony prywatnych kupców, fabrykantów i przedsiębiorców.

W ostatnich czasach wzrosły one więcej jak kiedykolwiek. Zaczęto występować przeciw kompanii na zgromadzeniach stanów, w pismach publicznych, a nawet w pismach wyłącznie temu przedmiotowi poświęconych, jakim między innymi jest dziełko pana O. Th. Risch (1) wyszłe w Berlinie w roku 1844 pod tytułem: „*Das Königliche Preussische Seehandlungs Institut, und*

(1) Jest on także autorem wyszłej świeżo broszury, z powyższem dziełkiem związek mającej, pod tytułem: „*Zünfte, Gewerbefreiheit, gewerbliche Vereine.*”

dessen Eingriffe in die bürgerliche Gewerbe.” Doszło do tego, że prezes kompanii morskiej, Rother, ujrzał się spowodowanym złożyć królowi raport z d. 30 listopada 1844, ułożony w sposób mogący służyć za odparcie czynionych kompanii zarzutów, i w którym obok wykładu ogólnych stosunków kompanii, zastanawia się nad jej czynnościami z czasu swojego zarządu (od roku 1820), a w szczególności nad jej przedsięwzięciami przemysłowymi, jako będącemi głównym zarzutów przedmiotem.

Dla umysłów naukowo praktycznych, nic nie ma ciekawszego, jak słyszeć znakomitego męża stanu, zdającego sprawę ze sposobu, w jakim pojmuje zasady bogactwa i przemysłu towarzyskiego, i w jakim je wykonywa; i czynami odpiérającego zarzuty niekiedy zupełnie niesprawiedliwe, a najczęściej tylko unośne i bezwzględne. Tegoto rodzaju rozumowania i działania, przemawiają szczególnie do przekonania ludzi bezstronnych i szczerze prawdy szukających, boć ostatecznie czyny, skutki, są najlepszym wszelkich teoryj utwierdzeniem.

Wyznawana powszechnie w nauce ekonomii politycznej, a tak różnie i niewłaściwie częstokroć pojmowana zasada swobody handlu, stała się już pewnikiem naukowym od chwili, jak zaczęła być wyznawaną przez ludzi takich, jakim był Huskisson, i jakim jest dziś Robert Peel. Ależ właśnie, tacy dopiéro ludzie wpłynęli i wpływają na sprostowanie samych pojęć naukowych, i odzielenie z nich przesady i urojania, które samą zasadę w wątpliwość podawały. Smith i inni przepowiadali swobodę handlu, ale Huskisson i Peel wprowadzili ją w części, i wprowadzają w życie praktyczne, a wprowadzają z taką energią, a zarazem z takim umiarkowaniem i uwzględnieniem miejscowych stosunków, że już odtąd o samą

zasadzie wątpić nie można, i że kwestya redukuje się do sposobu jój wykonywania.

Jako wpływ owój swobody handlu, wielu pisarzy ekonomii politycznej głosili i głoszą zasadę niemieszania się przez rząd do przemysłu, którego wykonywanie samemu prywatnemu interesowi ma być pozostawione. I ta zasada jak inne prowadziła i prowadzi jeszcze do bezwzględnych i wyłącznych, a tém samym do fałszywych pojęć, chociaż mógłbym przytoczyć niejednego pisarza, który zasadzie téj inne nadaje już znaczenie, i inne dla niej zakreśla granice.

Raport p. Rother, ułożony z widocznym zamiarem podania go do publicznej wiadomości, a do czego téż przez króla upoważnionym został; okazuje sposób w jakim on zasadę tę pojmuje; pod tym więc względem, pismo to jest dokumentem nawet naukowo arcyciekawym i ważnym. A przytém jest ono ciekawém i dlatego, że w braku jawności działań kompanii morskiej, uważane być może niejako za zdanie z nich sprawy. Żałować jedynie należy, że dokument ten zawsze tylko okolicznościowy, jest jeszcze za nadto ogólny, i że wypadki działań kompanii, nie są w nim liczebnie przedstawione; sam więc w sobie nie może jeszcze wystarczyć do skreślenia zupełnej historii téj instytucyi. Znać, że wiele szczegółów, o których p. Rother chciał, aby publiczność nie wiedziała, jest tam pominiętych. Być może, że gdzie nie widzi właściwém ustąpić przed rozdrażnioną już opinią, tam jako praktyczny mąż stanu, przedewszystkiém skutku pragnący, nie chce nadaremnie jątrzyć jój więcej; ale dlatego właśnie raport jego uważanym być musi tylko za częściowy materiał do historii działań kompanii morskiej, i terażniejszego jój położenia.

Cokolwiek bądź, w braku bliższych wiadomości o instytucji tak ważnej i przez swoje działania tak mało podobnych mającej, raport pana Rother zasługuje na szczególną uwagę.

Ale wprzód jeszcze należy nam pomówić o owym dziełku pana Risch, które pan Rother imiennie powołuje, które jak widać uważa za najważniejsze z wszystkich pism przeciw kompanii morskiej oddawna wymierzanych, i które jak sam wyznaje; „wywołało stan zamieszania i wzburzenia, jaki na interesa kompanii wpłynął już szkodliwie, i szkodliwszego wpływu każe się jeszcze obawiać; a jakiemu należałoby wreszcie kres położyć.”

Sam układ raportu okazuje, iż jest niejaką odpowiedzią na powołane dziełko pana Risch, kładącego sobie do rozwiązania dwa pytania; *jedno*: czy wykonywanie przez kompanią morską czynności bezpośredniego handlu i przemysłu, może być na zasadzie dotychczasowego prawodawstwa uważane za prawne lub nie? *drugie*: czy z zasad ekonomii politycznej jest do życzenia, iżby czynności tego rodzaju przez kompanią morską wykonywane, zostały w interesie publiczności ograniczonymi?

W pierwszym z tych pytań idzie o to panu Risch, że reskrypt gabinetowy z dnia 17 stycznia 1820 r., którego treść już wyżej podaliśmy, oznaczając zakres dla działań kompanii morskiej, i niewymieniając poszczególnie prawa prowadzenia handlu wewnętrznego, tudzież wykonywania przedsięwzięć przemysłowych, nie nada je jęj tém samém takiego prawa.

Przeciwnie p. Rother dowodzi: że kompania mając z dawniejszych jeszcze nadań przyznane sobie powyższe prawo, nie potrzebowała mieć je powtarzane w reskry-

pcie z d. 17 stycznia 1820., dawniejszych nadań nieznośnym, lecz i owszem uznającym kompanią z wszystkimi już istniejącymi i przyszłemi kantorami, za samoistną, pieniężną i handlową instytucją państwa; że zatwierdzenie *istniejących* kantorów i uznanie kompanii morskiej za instytucją *handlową*, byłoby sprzecznością, gdyby kompania tego rodzaju, czynności handlowych wykonywać nie mogła; że sam reskrypt z dnia 17 stycznia 1820, uważany w związku z wielu innemi w tymże samym dniu wydanemi, potrzebował to tylko wyszczególnić, co determinowało położenie kompanii morskiej do innych władz, i co odtąd zaczęło stanowić wyłączne dla niej prawo; a czego z dotychczasowych czynności nie zakazał, to równie jak dawniej kompania ma prawo wykonywać.

Kwestya ta wytoczona na zgromadzeniu stanów marchii Brandeburskiej, została już większością głosów rozwiązana w sposób zgodny ze sposobem uważania p. Rother; nawet sam p. Risch przyznaje: że wprawdzie nie z reskryptu z r. 1820, ale z późniejszych najwyższych rozporządzeń, służy kompanii prawo prowadzenia handlu wewnętrznego, i bezpośredniego wykonywania przemysłu. I my więc uważając tę kwestyą za stanowczo rozwiązana, przejdźmy do kwestyi drugiej, już nietylko miejscowej, ale i ogólne zastosowanie mieć mogącej.

W tej drugiej kwestyi pan Risch powtarza wszystko, co przeciw bezpośredniemu przez rząd wykonywaniu handlu i przemysłu jest oddawna przywodzi, i co tylko w tej mierze przywieść można.

Zaczyna razem z Monteskiuszem od wyrzeczenia prawdy jak ją zwie, dla wszystkich ludów służącej, to jest: „że wykonywanie przemysłu przez rząd, odbiera pod-

danym możność zarobkowania” Pośrednie tylko pomaganie przemysłowi, uważa za właściwe, i takim mieni: ułatwianie komunikacyi, zaprowadzenie poczt, ustalenie kredytu, ułatwianie cyrkulacyi, udzielanie zaliczeń, pośredniczenie w ustaleniu stosunków własności ziemskich, zachęcanie, oświecanie i t. p.; samo zaś wykonywanie przez rząd przemysłu, uważa za najgorszy środek jego zachęty (1), i w ogólności nie uważa go nigdy za usprawiedliwiony.

Czynności przemysłowe, przynoszą w ogólności korzyść, ale mogą sprowadzić i straty. Niechcąc się na te straty narazić, odpowiedzialny urzędnik przełoży nie rozpocząć czynności bez szczególnego upoważnienia i instrukcyi, i da przeminąć daremnie najstosowniejszój potemu porze. Administracya rządowa mająca w oddaleniu swoje zakłady i swoich urzędników, jest zawsze skomplikowana, nadzór jój i kontrolla zawsze trudne, a od tego właśnie zależy pomyślny wypadek spekulacyi przemysłowej. Łączy się do tego obojętność urzędników, i chęć własnego zysku, co wszystko sprawia (słowa p. Risch), „że rządowa administracya, losu swojego uniknąć nie może”.

Wydatki takiej administracyi są zawsze większe, jak kiedy przemysł jest przez prywatnego prowadzony. W szczególności co do kompanii morskiej, użytkowanie znakomitych kapitałów za umiarkowanym procentem, stawia ją w możności sprzedawania wyrobionych przez siebie produktów taniej, lub równie drogo jak prywatni, a to mimo większych właściwych kosztów produkcyjnych. Na takiej sprzedaży cierpi przemysł prywatny; kompa-

(*) Str. 29, 30, 31, 86, i następne.

nia albowiem nie mogłaby produkować, gdyby kapitały drożej ją kosztowały; jeżeli zaś mimo droższej produkcji, utrzymuje ceny w równi z prywatnemi, wówczas albo produkuje bez zysku, którego prywatny zrzec się jak ona nie może, albo też robi dokłady i nie zaprzestaje fabrykacyi, do czego prywatny w podobnych okolicznościach, widziałby się zmuszonym.

Prywatni cierpią także i na prowadzonym przez kompanią morską handlu towarowym. Swoboda w żądaniu i ofiarowaniu ustanawia cenę przyzwoitą; ograniczenie jednego lub drugiego, tworzy ceny sztuczne, zawsze dla producenta lub dla konsumenta szkodliwe. I tak zakupowanie przez kompanią morską wełny w znacznych partyach sprawia, że inni kupcy muszą ją drożej płacić, niżby ją płacili, gdyby téj konkurencyi nie znajdowali. Kompania morska nie potrzebuje być równie ścisłą przy oznaczaniu cen jak prywatni, ci zaś, jeżeli nie chcą próżno z targu odchodzić, muszą płacić ceny przez nią dawane. Dlatego też opuszczają targi Pruskie, i zaczynają więcej uczęszczać na targi południowych Niemiec. Ale i producenci wełny nie zyskują tak dalece na tém; być albowiem może, że wypierani tym sposobem z targów Pruskich kupcy na wełnę, zakupiliby jęj tyle lub więcej, i utrzymali cenę na równi z dzisiejszą, bez wpływu kompanii morskiej. Rzetelna korzyść producentów, zgadza się z korzyścią konsumentów; konsumentami wełny jest prawie cała ludność krajowa; wyższe zatem jęj ceny przez producentów uzyskiwane, jakie kompania morska sztucznym sposobem sprowadza, ponoszone są przez wszystkich mieszkańców kraju, a pomiędzy niemi i przez samychże producentów wełny, którzy tym sposobem drożej za sukno płacą. Takie sztuczne podniesienie cen

welny, sprawia, że krajowi fabrykanci sukna, produkując drożej, nie mogą tém samém wytrzymać konkurencji z innemi krajami do związku celnego należącemi, gdzie jest zupełna swoboda handlu wełną; a jeżeliby ta droższa produkcya, przeniosła jeszcze koszta dowozu do targów Pruskich, tańsze sukna zagraniczne, musiałyby tém samém zaszkodzić fabrykantom krajowym, przez co dobrodziejstwo związku celnego, usunięteby było dla Prus w gałęzi wyrobów wełnianych, do których kompania wpłynęła (1). Toż samo ściąga się i do handlu innemi towarami, tudzież do wyrobów przez samą kompanią produkowanych. Władza rządowa nie może nigdy utrafić na właściwy stosunek między produkcją, a konsumcją. Często produkuje choć nie ma żądania, albo nad żądanie i potrzebę. Tego rodzaju wypadki zmniejszają zyski z przedsięwzięcia, i nie przyczyniają się wcale do powiększenia bogactwa krajowego. Ale wpływ kompanii do przemysłu byłby jeszcze szkodliwszym, gdyby wykonywane przez siebie szczegółowe przemysły uważać chciała za źródło dochodu publicznego. Opodatkowanie albowiem tych, którzyby wykonywanemi przez kompanią przemysłami trudnili się z większą od niej korzyścią i właściwością, przyniosłoby skarbowi przy tychże samych okolicznościach, dochód również wysoki. Gdyby zamiarem kompanii było, wpływać przez wzorowe zakłady na ulepszenie budowy machin, fabrykacyi mąki, papieru i t. p., nie potrzebowałaby tak ogromnych, i z tak wielkimi kapitałami zakładów fabrycznych, a w każdym razie dosyćby dla niej było mieć jeden zakład budowy machin, jeden młyn parowy, i jedną piarnię. Ale zakłady fabryczne własnością kompanii bę-

(1) Str. 35 do 43.

dące, nie mają nawet warunków, jakich się po wzorowych zakładach wymaga. Fabrykacya mąki nie jest ulepszo-
na. Udoskonalenie budowy machin należy się przemysło-
wi prywatnemu. Przędzalnia w Szląsku i fabryka w Orani-
enburgu, weszła w spółzawodnictwo z fabrykami pry-
watnymi o wiele wprzód w biegu będącemi. Fabryka-
cya papieru nie jest tego rodzaju, iżby wyłącznej pomocy
kompanii potrzebować musiała. Nie było tu nigdzie po-
trzeby zakładów wzorowych, i do dopięcia tego celu
dosyć było stanowić nagrody, szerzyć wynalazki i t. p.
Znana jest pod tym względem użyteczność wystaw publi-
cznych płodów krajowych, a jednak dane na teź wysta-
wy przez kompanią morską tylko niektóre próby lnu,
płótna i tkanin bawełnianych, nietylko nie zyskały pier-
wszeństwa przed wyrobami z zakładów prywatnych, ale
nawet pod wielu względami, okazały się od nich pośle-
dniejzemi.

Nie ma téż w Niemczech braku kapitałów. Zniżona
stopa procentu okazuje, że ofiarowanie ich przenosi żąda-
nie. Dziś zatem za ledwie w niektórych rzadkich wy-
padkach zachodzić może potrzeba pośrednictwa kom-
panii, w zaradzeniu brakowi kapitałów; ale nigdy nie
ma potrzeby, ażeby sama na swój własny rachunek wy-
konywała jaką gałąź przemysłu. Niech więc kompania
idąc za odgłosem opinii publicznej, wyrzecz się nadal
tego rodzaju interesów, i zakłady swoje stopniowo,
w miarę żądania, na własność prywatną odstąpi. Będzie
to powrotem do zasad po rok 1820 wykonywanych,
a które w ostatnich czasach przekroczone zostały tylko
przez zbyt wielką gorliwość, i przez zbyt wielką pieczę nad
postępem przemysłowych przedsięwzięć. Takie są rozu-
mowania i zarzuty zamieszczone w dziełku p. Risch

przeciw kompanii wręcz wymierzonym, a czynione i przez pewną część publiczności, mianowicie handlowej i przemysłowej.

Pan Rother tak na nie odpowiada:

„Zarzucono najprzód kompanii handel zamorski towarami. Pod tym względem usiłowania jej, w nadaniu wywozowemu handlowi Pruskiemu większej rozciągłości, są zupełnie usprawiedliwione. Miało to nastąpić nie tylko bez straty, ale nawet z mniejszą lub większą dla kompanii korzyścią. Kiedy jednakże miasto zysków okazały się straty, obwiniano mnie z jednej strony, że się ubiegam za chimerycznymi planami, i marnotrawię fundusze instytucyi; a z drugiej, że niedosyć jeszcze przedsiębiorę; że wypada mi iść za przykładem powstałej jednocześnie prawie z pierwszemi przedsięwzięciami kompanii morskiej, Reńsko-Indyjsko-zachodnio-handlowej spółki w Elberfeld, która z większą siłą i energią wystąpiła, i dlatego lepszych skutków spodziewać się może.

„Wypadki usprawiedliwiły mnie pod obu temi względami. Powyższa spółka upadła, a akcyonaryusze, równie jak państwo, które przedsięwzięciu temu ze znacznemi kapitałami w pomoc przyszło, tylko małą część swoich funduszy odzyskali; podczas, gdy straty kompanii na handlu zamorskim, po ściśłym obliczeniu, ograniczyły się w przecięciu na samych procentach, i z ła-twością zyskami innych jej czynności wynagrodzone być mogły.

„Ale we wszystkich tych zarzutach nie zwrócono uwagi na właściwą przyczynę, dla której przedsięwzięcia tego rodzaju w największej części nie udały się, i tylko w małym zakresie prowadzone dalej być mogły. Leży

ona w tém, że przemysł Niemiecki, jakkolwiek w ostatnich czasach wielkie ku postępowi zrobił usiłowania, jest jednak z małemi wyjątkami wyrobów na wywóz przeznaczonych, na niższym stopniu od przemysłu Angielskiego, Francuzkiego i Belgijskiego, i że przy wolném współubieganiu, dostarczone handlowi zagranicznemu wyroby przemysłu Niemieckiego, nie mogą jeszcze sprostać wyrobom Angielskim i Francuzkim, które przy pomocy działania machin są lepsze, tańsze, i większej trwałości. Nawet w przerobieniu krajowego i Polskiego zboża na mąkę, kompania morska musiała nabrać smutnego doświadczenia, że choć przy pomyślnych konjunkturach handlowych, i nieurodzaju zboża w Stanach zjednoczonych, młyny Niemieckie nie były jednak w możności dostarczenia mąki trwałej, któraby w stanie niezepsutym w portach Indyj zachodnich, po przyzwoitych cenach spięnięzoną być mogła. Takie to doświadczenia okazują właśnie, jak wielką jest potrzeba pomocy, któraby mogła zapewnić przemysłowi zyski już przez inne kraje, skutkiem udoskonalonej fabrykacyi i techniki uzyskane.

„Zapewnić mu tę pomoc i w sposób rozmaity, było usiłowaniem kompanii; atoli kierunek jaki w téj mierze przyjęła, sprawił, że wielu przedsiębiorców przemysłowych sądzi się w prywatnych swoich interesach ukrzywdzonymi.

„Przeciwnicy kompanii morskiej, wychodzą ze stanowiska, iż nie zachodzi w ogólności potrzeba wspierania przemysłu, i że do podniesienia jakiegokolwiek jego gałęzi i wystąpieniu z nią w zapasy z wyrobami zagranicznymi, nie brakuje ani ducha przedsiębiorczego, ani usposobienia, ani kapitałów. Powołują się w téj mierze już

to na pojedyncze przykłady wydoskonalonej fabrykacyi, już na przepelnienie kapitałów, które się w ogólnym znizeniu stopy procentowej objawia, i które nawet podało możność znizenia jej przy papierach publicznych.

„Nie dostrzegają atoli, że pojedyncze przykłady, nie stanowią reguły, i że lubo w ogólności nie zachodzi brak kapitałów, to jednak, nie ma ich właśnie w zakładach fabrycznych i przedsięwzięciach przemysłowych na większą skalę prowadzonych, a jakich właśnie nowsze wymagają postępy. Podczas kiedy w bogatej, i już ze swe go położenia, powszechnemu handlowi oddanej Anglii, duch przedsiębiorstwa przemysłowego, nawet przy najrozleglejszych planach, jest w każdym czasie pewnym znalezienia dostatniego wsparcia, znajduje on się w Niemczech i Prusach opuszczonym od kapitalistów, którzy w ogólności przekładają fundusze swoje umieszczać na dobrach ziemskich, lub w papierach publicznych wprawdzie z mniejszym procentem, lecz z większą pewnością i z możliwością łatwiejszego ich wycofania. Zaprzeczyć temu nie może, kto zna choć cokolwiek przemysłowy stan kraju, a mianowicie wschodnich jego prowincyj.

„Zarzucają się władze niezliczonymi prośbami ludzi przemysłowych o udzielenie im zaliczeń, i można przywieść niejedną wielką zakład fabryczny, przez prywatnych założony, a przy dobrym obrocie pewny zysk obiecujący, który albo upadł jedynie z braku obrotowego kapitału, albo też jedynie przy pomocy publicznych zasiłków pieniężnych, mógł być dla dobra powszechnego utrzymanym. I to jest właśnie co sprawiło, że i kompania morska przyszła do posiadania i administracyi większej części zakładów, o których, idąc za własnym pędem, aniby pomyślała.

„Jeżeli więc nie można zaprzeczyć braku dostatecznych kapitałów, do wielkich celów przemysłowych, położenie kompanii morskiej powołało ją właśnie na pośrednika między ludźmi przemysłowemi kapitałów potrzebującemi a małemi kapitalistami, którzy ufni w kredyt kompanii i gwarancyą państwa, powierzają jęj swoje fundusze na małe procenta.” W celu takiego pośredniczenia i wspierania krajowego przemysłu, kompania morska używała rozmaitych środków, które p. Rother pod trzema następującemi mieści kategorjami:

1) Pożyczki za dostatecznym zabezpieczeniem, z procentem najwyżej na 4⁰/₀ i bez mieszania się do przemysłu. Użyteczność takich pożyczek uważa p. Rother za niezaprzeczoną a zarzut zrywania jakoby tym sposobem równowagi w przemysłowych zatrudnieniach, za niezasługujący na żadną uwagę.

2) Zaliczenia z również umiarkowanym procentem, ale z zapewnieniem kompanii większego lub mniejszego udziału w zatrudnieniu przemysłowém, i w wypływających z niego zyskach lub stratach; tudzież z zastrzeżeniem dla większego bezpieczeństwa własności gruntu i machin.

W tychto czynnościach, zarzucają bardzo kompanii morskiej wdzieranie się w przemysł prywatny. A jednak mówi pan Rother: „Sprawiedliwy dostrzegacz nie weźmie jęj za złe, że jak to pomiędzy prywatnemi przedsiębiorcami ma miejsce, kompania zastrzega sobie przynajmniej częśćkę otrzymywanych jęj piędzmi korzyści, lub że dla zyskania bezpieczeństwa, i dla zapewnienia się względem administrowania przedsięwzięciem na zasadach pewnych i w widoku wspólnych korzyści, wykonywa mniejszy lub większy wpływ w samémże przemysłowém zatrudnieniu. A zresztą przy wielu tego ro-

dzaju spółkach przemysłowych, oznaczone są z góry warunki, pod jakimi w razie wystąpienia kompanii morskiej, przedsięwzięcie przejść ma w wyłączne prywatne posiadanie spółek handlowych."

3) Własne na rachunek kompanii zakłady, i przedsięwzięcia przemysłowe, które albo musiała wziąć na siebie, aby ich upadku nie dopuścić, albo które wzniosła dla zaradzenia dającemu się czuć brakowi w fabrykacyi. „Zarzuty przeciw tego rodzaju czynnościom (mówi p. Rother), zdają się być już lepiej ugruntowanemi; ale i tutaj szczegółowy rozbiór wykazać może, że wypływające ztąd korzyści dla dobra publicznego, przeważają straty, jakie na nich niektóre prywatne interesa ponieść mogą. Jeżeli ogólna produkcya i fabrykacya zależy ostatecznie od konsumcyi, a ta ostatnia stoi wyżej od produkcji, niesprawiedliwością jest chcieć ze szkodą krajowego konsumenta i handlu wywozowego, brać w opiekę obecny a mało udoskonalony stan przemysłu, i usuwać od niego postęp. Zresztą oddawna już uważałem tego rodzaju przedsięwzięcia, jako tylko przechodnie dla kompanii morskiej, i po wielekroć oświadczałem, iż gotów jestem takowe, po ich zupełném rozwinięciu, za zwrotem kosztów, zamożnym prywatnym, lub towarzystwom akcyjnym odstąpić.

„Jeżeli przeciwnicy kompanii morskiej (mówi dalej p. Rother), chcą zarzuty swoje gruntować na tém ogólném zdaniu, że państwo lub zależąca od niego instytucya, nie powinna się dlatego wdawać we własne handlowe lub przemysłowe zatrudnienia, że tym sposobem przynosi się uszczerbek przemysłowi prywatnemu, to zdanie to jest samo w sobie prawdziwe; jest niém atoli tylko warunkowo, z wyjątkami, i nie znajduje zastosowania do

prowadzonych przez kompanią morską, na zasadach prywatnej własności przedsięwzięć przemysłowych. Wszakże dopuszczają się tu wyjątki, ilekroć idzie o zapewnienie państwu, w każdym czasie, i na własną jego potrzebę niezbędnych fabrykatów, jakoto: broni, prochu; albo jeżeli idzie o wywołanie wielkich powszechnego użytku przedsięwzięć, a niemogących być założonemi przez pojedyncze osoby lub wspólki, albo dla braku środków pieniężnych, albo z braku woli lub dostatecznej wytrwałości."

„W ogólności, mniej tu się dają usprawiedliwić wyjątki jakich się dopuszczają rządy, bądź w zamiarze opodatkowania, bądź w zamiarze zapobieżenia oszustwom np. w fabrykacyi tytoniu, kart, wódki i t. p.; a jednak przedsięwzięcia takie dla szczególnych względów okazują się właściwe i użyteczne, a zatem i dopuszczalne."

„Dlatego téż należy uznać: że owo za dowód przytaczane zdanie, ma tylko wtenczas swoje zupełne znaczenie, kiedy przemysł prywatny jest na uszczerbek narażony przez monopola, przywileje, lub inne tego rodzaju prerogatywy, jakie państwo lub zależące od niego instytucye wykonywać mogą."

„Ten atoli wypadek nie ma miejsca z kompanią morską; prawo albowiem pierwszeństwa dowozu zamorskiej soli, jakie do narzekaiń słuszny dało powód, już dawno ustało; a obecnie, i we wszystkich interesach z prywatnemi, kompania ponosi również z niemi ciężary, opłaty, porta, podatki i t. p."

O prawdach tych p. Rother jest tak dalece przekonany, że mówiąc o fabrykach lnianych, oświadcza mimo tak przeciwnej sobie opinii publicznej, że kompania morska już na raz obranej drodze w wspieraniu tego przemysłu, dalej postępować, i teraz właśnie z energią

występować winna”; i uznaje, że mając oddawna zamiar założenia nowój maszyny do przędzenia lnu w bliskości Wisły, obrał już dla niej miejsce w Bygdoszczy. Roboty przygotowawcze są już przedsięwzięte. Kosztować będzie najmniej 320,000 talarów, i potrzebować przytém kapitału obrotowego tal. 150,000.

Wchodząc bliżej w zarzuty, jakie mimo tego są kompanii morskiej czynione, p. Rother zbiera je na trzy główne:

1) Niedostateczność administrowania rządowego w porównaniu z prywatnym prowadzeniem przemysłu, a ztąd gorsza i droższa produkcya.

2) Ubieganie przemysłu prywatnego sposobnością użycia wielkich i tanio kompanii morskiej przychodzących kapitałów, co jój podaje większą łatwość przetrwania niepomyślnych wypadków handlowych, i przestawania na małym zysku; i

3) Sprowadzanie nienaturalnych konjunktur i sztucznych cen, przez co przemysł prywatny jest na uszczerbek narażany.

Na zarzuty te tak odpowiada:

Ad 1. „Ze wzrostem zatrudnienia przemysłowego, rośnie oczywiście i trudność nadzoru i kierunku; są atoli środki prowadzące do zmniejszania tego złego, a temi są: wybór i stosowne zatrudnienie zdolnych urzędników; urządzenie stosownej, jasnej, a nie za uciążliwej rachunkowości, i ściągnięcie zdolnych techników i administratorów, na których spuścić się można; współuczestnictwo prywatnych i zainteresowanie ich osobiste; przyznanie tantiemów, i inne tego rodzaju urządzenia, administracyą rządową do porządnój administracyi prywatnej zbliżające, bez poświęcenia korzyści, jakie z surowszych form rzado-

wych wpływają. Wszystkie te środki okazały się dotąd tyle skutecznymi, że przedsięwzięcia przemysłowe kompanii, po doprowadzeniu ich rozwinięcia do zamierzonego stopnia, przynosiły zawsze zyski, z wyjątkiem jedynie handlu towarowego zamorskiego i żeglugi parowej, gdzie inne zachodziły względy. Mimo tego wyznaje, że prywatny, zatrudnienie swoje znający, a przytém porządny, czynny, oszczędny, posiadający dostateczne środki pieniężne i umiejący sobie przyswoić nowe wynalazki, ma zawsze wyższość przed kompanią morską, i konkurencyi jej nie potrzebuje się obawiać. Ale niestety, warunki te nawet w prywatnych gospodarstwach znajdują się rzadko w połączeniu."

„Z owego ogólnego axyomu, że państwo winno się jedynie ograniczać na oddaleniu ile można przeszkód, naturalny postęp przemysłu i handlu tamujących, a nie mieszać się do niego, szczególnie zaś nie wykonywać bezpośrednio przemysłowych zatrudnień, wynikło mało dobrego, a wiele nadużyć."

„Jeżeli są już dane wszystkie warunki rozwinięcia przemysłowego, jeżeli nie brak ani znajomości rzeczy, ani kapitałów, ani ducha przedsiębiorczego, ani zaufania, dość będzie, gdy rząd ograniczy się na samych zachętach, i nie będzie potrzebował przodkować dla przykładu, i ponosić ofiary, jakich przy zaprowadzeniu nowego przemysłu i przy pierwszych w tej mierze próbach, niepodobna uniknąć."

„Jeżeli jednak, jak to w Prusach pod wielu względami ma miejsce, zachodzi brak środków pieniężnych i zaufania do wielkich przedsięwzięć, któremi kraje zagraniczne nam szkodzą, rząd nie powinien się ociążać w przekonywaniu poddanych własnymi zakładami, że przy połą-

czonych przynajmniej środków, można się oprzeć obcej konkurencyi.”

„Gdybym był powierzony mi w r. 1820 kapitał obiegowy tal. 1,035,110 starał się tylko utrzymać, niewdając się w przemysły których pomyslny wypadki są dziś przed oczyma, nie byłbym był potrzebował wycierpieć tyle zarzutów, a jeszcze byłbym nie przez jednego wystawiany jako dzielny administrator. Ale ja dowiodłem, że dawne przysłowie: urzędnik państwa nie może prowadzić przemysłowego przedsięwzięcia z takim skutkiem jak prywatny, nie jest prawdziwe.”

„Ad 2. Nie można zaprzeczyć, że z posiadania kapitałów wielkich, kompania ma korzyść równoważącą w części niedogodności ad 1 wymienione; ale jednak korzyść ta nie jest rzeczywiście tak wielka, za jaką jest poczytywana.”

„Kompania morska tylko małą część swych kapitałów otrzymuje na $2\frac{1}{2}$ od sta; od nierównie większej części płaci $3\frac{1}{3}$ 0/0, a jeżeli i ta stopa niską się okazuje, baczyć należy, że dla uczynienia zadość z siłą wszystkim swoim zobowiązaniom, trzymać musi w pogotowiu znaczne summy i zapasy pieniężne, które jej w części jak np. w Hamburgu przynoszą niższy procent 20/0, a w części nie przynoszą go wcale, jak to ma miejsce ze znacznymi funduszami głównymi w kassach kompanii znajdującymi się.”

„Jeżeli zatem kompania chce bezszkodnie wychodzić, musi od kapitału swego obrotowego liczyć 40/0 procentu; i ta jest najniższa stopa na jaką obrachowywa wszystkie swoje handlowo-przemysłowe przedsięwzięcia, nim o jakimkolwiek zysku mowa być może. Ale i prywatni jeżeli są czynni, punktualni, nie bez środków, i nie nad

siły przedsiębiorcy, mogą na stopę tę uzyskać także kapitały obrotowe, z wyjątkiem może obecnej chwili, w której z powodu przedsięwzięć budowy kolei żelaznych, stopa procentowa podniosła się.”

„Ad 3. Zarzut ten musi być jak najwyraźniej oddalonym; dotychczasowe albowiem korzystne skutki administracyi kompanii morskiej, należy w tém właśnie upatrywać, że kompania stara się w każdym razie zbadać stosunki cen targowych, że się im umie poddać, i że się nie chwyta operacyj odległych same straty przynoszących.”

„Wychodząc ze stanowiska czysto-handlowego, i dążąc także do zysku, kompania morska umie uniknąć zarówno nagromadzenia towarów niżej ich rzetelnej wartości, jak i zbytniego podniesienia cen, które się utrzymać nie mogą; i w tém leży najlepsza gwarancya dla wykonywających obok niej handlowe i przemysłowe przedsięwzięcia.”

Oddaliwszy w ten sposób czynione kompanii morskiej zarzuty, p. Rother wspomina, choć przelotnie tylko, o rzeczywistych trudnościach, z jakimi przemysł ma dziś do walczenia, a które rzadko tylko i z właściwego stanowiska są dotąd pojmowane.

„Pomijam (mówi on), że niejedyn dlatego tylko w tyle się zostaje, że zatrudnienia swojego, albo nie zna dostatecznie, albo je zaniedbuje, albo żądaniom publiczności odpowiedzieć nie może, lub nie chce, albo się ubiega za przemijającym zyskiem, z nierzetelnej fabrykacji, albo więcej wydaje, jak zarobić może. Ale na to zwrócić muszę uwagę, że przy szybkim wzroście przemysłowego rozwinięcia i ulepszonej technice, dawniejszy rękodzielny przemysł dłużej utrzymać się nie może; że praca rę-

czna coraz więcej machinom ustępować musi, i że z upadkiem małych warsztatów, większe zakłady fabryczne, stały się już koniecznością której uniknąć nie można, jeżeli zechcemy taniej i lepiej fabrykować, i dłużej nie pozostać wtyle za zagranicznymi."

„Czy socyalne stosunki naprzeciw którym idziemy, ulepszą się przez to? czy jak to ma teraz miejsce w Anglii, nie przyłączą się do tego niektóre niepomysłne a godne uwagi fenomena? jakiej przezorności i środków zaradczych wymagają? to są pytania które tu nierozwiązane pozostać muszą, i które rozpoczętego dzieła przestoczenia wstrzymać nie mogą. To pewna, że na tém cierpią niektóre prywatne interesa.

„Jakoż kompania idąc jakkolwiek ostrożnie za nowymi postęпами, niezawsze mogła tego złego uniknąć; ale jednak nie należy kłaść na karb instytucji rządowej tego, co jest nieodzownym skutkiem zmiany stosunków ogólnych."

„Napróżno stawiać zapory postępowi czasu, przyzywać dawne cechy, lub chcieć się w terażniejszym stanie rzeczy utrzymać. Kto nie postępuje, ten się cofa; wskazaną zaś jest już droga którą iść należy, aby ściągnąć korzyści przez zagranicznych otrzymywane, i uniknąć niebezpieczeństw, jakie ztamtąd ojczystemu zagrażają przemysłowi."

Żałować należy, że raport p. Rother tak obfity w wielkie rządowe myśli, nie jest dostatecznie poparty cyframi, któreby wyrzeczonym przez niego zdaniom, większej jeszcze dodały wagi, a zarazem posłużyć mogły do uzupełnienia historyi tej ciekawej instytucji.

Tego rodzaju szczegółowe i cyframi poparte raporty, składane są co rok królowi.

W nich, jak mówi p. Rother, wykazany jest coroczny wzrost majątku kompanii morskiej, i stan jego obecny; w raporcie zaś który mamy przed oczyma, namienia tylko: że ogół jej obrotów z czasu od r. 1820 do włącznie r. 1843, wynosi 2,076,000,00 talarów, a zatem w przecięciu po 86,500,000 tal. na rok; że udzielony kompanii w r. 1820 kapitał zakładowy w summie tal. 1,035,110 s. g. 11, jeszcze w r. 1829 zwrócony został skarbowi z procentami tal. 338,979 s. g. 19 wynoszącemi; że kompania morska nabrała już prawie nieograniczonego kredytu, który jej dozwala rozrządzać w razie potrzeby milionami, i w zachodzących finansowych trudnościach i innych politycznych wypadkach być rządowi skuteczną pomocą; że już dziś wolną jest od wszelkich z dawniej epoki pochodzących zobowiązań względem administracyi państwa; że z własnych funduszków zaspokaja pensye urzędników, tudzież wszystkie inne koszta wykonywaniem rozległych interesów przemysłowych spowodowane, jak niemniej ponosi także same jak i prywatny przemysł ciężary i podatki; że obecna przewyżka stanu czynnego kompanii i bez jakiegokolwiek ze strony poddanych ofiary, tworzy już dziś, dla dobra publicznego, samodzielny znaczny majątek, do którego kassy rządowe żadnego udziału nie mają; że niektóre nadzwyczajne wydatki, odsyłane bywają do zaspokojenia przez kompanią i bez obowiązku zwrotu; że również są jej powierzone regulacye różnych bardzo powikłanych majątkowych interesów, różne z małym procentem zaliczenia i różne wsparcia użytecznych przedsięwzięć, zakładów publicznych a nawet prywatnych, w którychto wszystkich czynnościach, największy zysk leży w oddaleniu groźących strat, a jakich nawet i w czynnościach samodzielnie przez kompanią rozpoczy-

nanych, jako w czynnościach handlowych, nie zawrze, mimo największej oględności, uniknąć podobna.

Ciekawym jest także i ważnym reskrypt króla Pruskiego z d. 14 lutego r. b., będący odpowiedzią na powyższy raport swego ministra, a w którym tenże odwołuje się także do składanych co rok królowi raportów, wypadki liczebne obejmujących.

W reskrypcie tym król Pruski oświadcza: „że czynione przeciw kompanii, a najczęściej na nieznamomości jej stosunków polegające zarzuty, nie mogą go spowodować do hamowania dobroczynnych skutków instytucji, która pod jego stérem, tyle dla przemysłu Pruskiego przyniosła korzyści, i ciągle nowe do jego wzrostu otwiera pole; jak niemniej, że podanie do wiadomości publicznej powołanego raportu i reskryptu swego, uważa za najlepszy środek do sprostowania mylnego w części publiczności panującego mniemania o przedsięwzięciach kompanii morskiej, i do wzbudzenia powszechnego uznania dobroczynnego jej wpływu.”

Wszakże w reskrypcie tym, znać dla jakiegoś zadość uczynienia opinii publicznej, zamieszczono także:

„Że z wyjątkiem przedzalni lnu w Bydgoszczy, do której już roboty przygotowawcze zarządzone zostały, tudzież żeglugi parowej na Odrze, żadne już nowe fabryki przez kompanią morską zakładane być nie mają; w nadzwyczajnych tylko wypadkach i z przeważnych dla dobra publicznego pobudek, zastrzega sobie król robienie w tej mierze wyjątków.”

Ależ i p. Rother w raporcie swoim uprzedził, że wymienione dopiero przedsięwzięcia żeglugi parowej na Odrze, i przedzalni lnu w Bydgoszczy, połączone z innymi już istniejącymi przedsięwzięciami kompanii morskiej,

tudzież z udzielanemi przez nią zaliczeniami i innemi jej operacyami, wyczerpną już fundusze, jakie na tego rodzaju przedsięwzięcia obracane być mogą; i że ograniczenie się w tej mierze do przedsięwzięć już istniejących, leży w samychże stosunkach kompanii morskiej.

Według tego, obecne stanowisko tej instytucji, jest już bardzo odmienne od stanowiska pierwotnie przez Fryderyka W. zakreślonego. Handel zamorski, który tam był głównym przeznaczeniem kompanii i dla którego też *morską* nazwana została, już dziś niewiele ją zajmuje, i to bez jakichkolwiek w porównaniu z prywatnemi przywilejów, jakie dawniej posiadała; a stosownie do powołanego wyżej reskryptu królewskiego z d. 12 stycznia 1843 i po upływie 3 lat, złożoną ma być królowi dalsza co do tego rodzaju interesów opinia. Nawzajem przedsięwzięcia przemysłowe bezpośrednio lub w połączeniu z prywatnemi przez kompanią wykonywane, zyskały bardzo na swój rozciągłości, a mianowicie w ostatnich kilku latach, w których jak to okazuje podany tu krótki rys powstania tych przedsięwzięć założoną została najznaczniejsza ich liczba. Większej pod tym względem rozciągłości kompania zapewne nie będzie już przybiierać, skoro jej nawet fundusze tego nie pozwalają. Aby jednak ścieśniać lub zwijać musiała którekolwiek ze swoich przemysłowych przedsięwzięć, tego jej bynajmniej nie nakazano. Owszem, panujący uznał ich użyteczność, zatwierdził nawet nowo zamierzone przez kompanią rozległe przedsięwzięcia żeglugi parowej na Odrze i przędzalni lnu w Bydgoszczy, i tylko nie dozwolił zakładać nowych fabryk, do czego kompania nie miałaby i tak dostatecznych już środków; a nawet i tu zastrzegł sobie prawo robienia dla dobra publicznego wyjątków.

Powiedzmy jednak: że kompania sama z siebie, i to na skutek przeciwnej sobie opinii, ujrzała się spowodowaną zaniechać już niektóre przedsięwzięcia, np. wzięcie w komis sprzedazy ałunu z wszystkich krajowych fabryk, względem której układ został już w r. z. rozwiązany. Wprawdzie p. Rother usiłuje i tutaj oddalić czynione kompanii zarzuty w istocie przesadzone, ale jednak, gdyby przedsięwzięcie to uważał za korzystne dla kraju, nie byłby był powinien, i zapewne nie byłby go zaniechał. Opinia więc publiczna, o ile sprawiedliwa, wywierała już i wywierać będzie swój wpływ. Ale nie wątpię téż: że taż sama opinia, oświeconą zostanie raportem p. Rother, i że raport ten, wskazujący pobudki działań kompanii morskiej, i choć ogólne podający o niej rezultata (które tu dla wiadomości naszych czytelników podać pośpieszyłem), przyczyni się do sprostowania mylnych w tej mierze pojęć i uprzedzeń.

Postępy przemysłu są dziś tak wielkie, tak szybkie, i tak rozległych wymiarów, że kraj będący pod tym względem w tyle za innemi (a takim są, a jeszcze więcej były Prusy), nie może i nie powinien pozostawiać troski o rozwinięcie przemysłu samym tylko prywatnym, tak, jakby to mieć mogło miejsce wtenczas, kiedy przedział pomiędzy przemysłem jednego kraju a drugiego, nie jest znaczny, lub kiedy postępy przemysłu w ogólności nie są tak jak dzisiaj szybkie i olbrzymie.

W powołaném dziełku p. Risch, przechodząc pojedyncze zakłady i przedsięwzięcia kompanii morskiej, tak się np. co do żeglugi parowej wyraża: „Jako środek komunikacyi, żegluga parowa ma tak przeważne pierwszeństwo, że *przedzój* czy *później*, i bez współdziałania kompanii morskiej, musiałyby powstać.”

Cóż na to odpowiedział p. Rother?

Oto: że przedsięwzięcie tej żeglugi na rzekach Sprze, Havel, i Elba, było poprzednio przez dwa towarzystwa akcyjne prowadzone; że oba te towarzystwa upadły; że straciły całe w przedsięwzięcie to włożone kapitały, i że nawet samo przedsięwzięcie zaniechane być musiało.

A cóż uczynił?

Oto: nawet nieoglądając się na zyski pieniężne, których prywatny przedsiębiorca pomijać nie może, stworzył tę żeglugę na powyższych trzech rzekach, i dziś, mimo przeciwnej sobie opinii, ma odwagę cywilną, zapowiadać zaprowadzenie przez kompanią takiéjże żeglugi i na rzecę Odrze.

Gdyby jeszcze p. Risch z upadku dwóch towarzystw prywatnych, i z nakładów kompanii morskiej, dotąd jeszcze, i może długo lub wcale niepowrotnych, wyprowadzał wniosek, że żegluga parowa na rzekach Sprze, Haweli, i Elbie, nie jest ostatecznie dla kraju korzystna, lub że nie nadeszła jeszcze na nią w Prusach pora; i gdyby te wnioski swoje potrafił dostatecznie poprzeć porównawczém wykazaniem kosztów wszelkich środków komunikacyi krajowej, i innemi okolicznościami związek z tym przedmiotem mającemi, możeby się znalazł taki, coby zdanie to, choć w części podzielał. Ale kiedy sam przyznaje: że żegluga parowa ma przeważne pierwszeństwo, nie mógł i nie powinien był poprzestać na tém obojętném i bierném oświadczeniu, że żegluga ta prędzej czy później, i bez udziału kompanii, musiałaby powstać; a przynajmniej winien był uszanować widoki męża stanu, który dla sprostania zagranicznym, dla dania przykładu i zachęty, wziął się do czynu, i nie ograniczył się na samém oczekiwaniu, może bardzo długim, póki

nie znajdzie się trzecie, lub dalsze jeszcze towarzystwo, które wreszcie zacznie na swoje wychodzić.

Na téj praktycznej drodze można téż pobłądzić. Potrzeba tu oględności wszechstronnej, rachuby bardzo zawiłej w której cyframi są ludzie, tudzież rozliczne, a ciągle ruchome i postępujące stosunki towarzyskie. Zaiste, najzawilsze obrachowania matematyków, nie są trudniejszymi. Wszystko to zważyć, przedsięwziąć we właściwej porze, a nakoniec wykonać i wykonania dopilnować, oto jest niełatwe zadanie męża stanu. Bez téj oględności, bez téj rachuby, opieka władzy w przemyśle, może istotnie przeobrazić się w zbyteczne, a niekiedy szkodliwe mieszania się w zatrudnienia prywatnych. Ale bo téż niełatwą jest sztuka rządzenia, a kwestya czynnego współdziałania władzy w przemyśle, której p. Rother o tyle tylko dotknął, o ile tego do odparcia czynionych sobie zarzutów potrzebował, wnika w najważniejsze kwestye terażniejszego i przyszłego socyalnego porządku, i potrzebowałaby być jeszcze przedmiotem szczególnego rozbioru.

PAMIĘTNIKI SEGLASA,

przez

Fryderyka hr. Skarbka.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIX.

Zmiana.

Gdyśmy żyli w Warszawie w bezkorzystnym zajęciu drobiazgami towarzyskiego pożycia, i w zupełnej niemal obojętności na to, co się w reszcie świata działo, rozwijało się na zachodzie Europy pasmo nadzwyczajnych wypadków, które obok wpływu swego na zmianę losu narodów, miało także spowodować zmianę w sposobie życia i myślenia ludzi, nieodzownie, jak się zdawało, na nieczynność i zniewieściałość skazanych. Przy naszych balach, kassynach, teatrach, intrygach miłosnych i plotkach, ledwośmy wiedzieli o tém, zwłaszcza w wielkim świecie pod rządem kobiet zostającym, że cesarz z konsula wyrodzony, zajął we Francji tron dawnych jej królów, że podbił pół Europy i potężnym mocarstwom prawa śmiało przepisywać; bo te wiadomości zajmowały tylko starszych obywateli kraju, którzy więcej żyli pamięcią przeszłości i nadzieją przyszłości, jak odurzeniem i nicością obecnej chwili; i tych polityków na małą stopę, którzy przy od-

głosie kul bilarowych rozprawiają w kawiarniach o huku dział, losy ludów rozstrzygających, i którzy po żwirze ogrodów spacernych, oznaczają laskami granice państw wojnę toczących.

Między innemi, było na Krakowskiém przedmieściu naprzeciw poczty, miejsce schadzki takiego rodzaju polityków, na bilardzie znanym wówczas pod nazwiskiem u Augusta, gdzie uczęszczali Prusacy i Niemcy z Warszawy rodem, tudzież inni namiętni czytelnicy gazet. Tam się odbywały rozprawy bardzo żwawe za i przeciw Napoleonowi; tam była kuźnia nowin i kombinacyj politycznych dla towarzystwa drugiego rzędu przeznaczonych; ztamtąd rozchodziły się po mieście różne mniej więcej niedorzeczne wieści, a często także prawdziwe wiadomości, nie urzędową drogą, lecz że tak powiem plotkową pocztą do kraju wnoszane. Ale pomimo różności zdań goszczących, mimo stykania się codziennego Prusaków z Polakami, spokojność i dobra harmonia nigdy u Augusta przerwane nie zostały; a między ludźmi do téj koterji należącemi, miało to już znaczenie i pewną powagę, gdy mówiono: iż ta lub owa nowina od Augusta pochodzi.

Wojny przez Napoleona toczone, zajmowały polityków Augustowskich, i jednały stronników między mieszkańcami Warszawy, a zawziętych i ponizających go przeciwników między Prusakami. Trzeba było słyszeć urągania tych ostatnich nad Austryakami wtedy, gdy z niemi Francuzi bój toczyli, i ich odkazywanie się i groźby na przypadek, gdyby z państwem Pruskim do wojny przyjsć miało; nie wątpili oni o tém na chwilę, że potężne wówczas i poniekąd z olbrzymów złożone wojsko Pruskie, samą przemocą wejrzenia swego, podobnie jak głowa

meduzy, na Francuzów działać będzie, i że zwycięzcy zpod Marengo i Austerlitz, padną dorazu pod pierwszym uderzeniem żołnierzy w tradycyjnej sławie bohaterów siedmioletniej wojny wychowanych.

Wyznaję, że ja sam byłem nieraz obawą przejęty, aby się te odgróзки i przepowiednie nie sprawdziły. Bo lubo zasady moje jako emigranta, kazały mi żywić w sercu nienawiść ku ówczesnemu rządowi Francyi, i poczytywać Napoleona za niegodziwego przywłasczyciela, nie mogłem jednakże jako Francuz, oprzeć się żywemu współuczuciu w świetnych tryumfach wojsk Francuzkich, ani podziwieniu wyśzości człowieka który im na polach bitew przewodniczył, i silną ręką wodze rządu rozhukanego ludu prowadził. Żyjąc wśród ludzi, którzy nie podzielali bynajmniej emigranckich uprzedzeń naszych, oswajałem się mimowolnie z innemi wyobrażeniami, i najprzód przestałem prowadzić z niemi dysputy w przedmiotach dotyczących się rewolucyi Francuzkiej i samego Napoleona, następnie potakiwałem ich zdaniu o cesarzu Francyi, i w końcu doszedłem do tego, iż tylko w obec zagorzałych emigrantów byłem stronnikiem Burbonów, a w skrytości serca wielbiłem cesarza Francuzów.

Przy takich uczuciach, obawiałem się mówić o Francuzach, gdyby miało przyjść do wojny z Prusakami, bo jako człowiek pokoju, nieumiejący ocenić co siłę i przewagę wojsk stanowi, sądziłem, że gdzie się ludzie biją, tam większy i silniejszy pobić powinien mniejszego i słabszego; że zaś całe wojsko Pruskie składało się z samych wysokich i silnych ludzi, obawiałem się przeto, aby ci ogromni ludzie drobnych Francuzów nie pobili. Wypadki wojenne roku 1806, nie sprawdziły mojej obawy, i przeistoczyły zupełnie moje wyznanie polityczne.

Od czasu powziętej wiadomości o nieuchronnej wojnie między Francją a Prusami, zbierali się co dzień liczni czytelnicy gazet u Augusta, i coraz żywsze między nimi toczyły się rozprawy o wypadku tej wojny. Dnia 16 października 1806 roku, przybyłem tam w popołudniowej godzinie, przysłuchiwać się tyle dla mnie ciekawym dyssertacyom; i gdy właśnie kilku Prusaków rozprawiało nad manifestem króla Pruskiego, wypowiadającym wojnę Napoleonowi, i zarozumiale upadek tego ostatniego zapowiadało, wpadł do izby jeden z najzagorzalszych przeciwników jego z wyrazem przerażenia na twarzy, stanął przed rozprawiającemi ziomkami swemi i rozłożywszy ręce zwołał: „wszystko jest stracone!” Wszyscy umilkli i stali jak wryci w tej postawie jaką właśnie mieli; jeden z gazetą w ręku z przerwany peryodem w ustach, drugi z lulką mimowolnie z ust wypuszczoną, mówca zgromadzenia z podniesioną jeszcze ręką, którą dopiero co upadkiem Napoleonowi groził. Inni goście co się zdala rozprawiającym przypatrywali, powstali z miejsc swoich i otoczyli tę główną grupę. Nastąpiła długa chwila milczenia, której zapytaniem przerwać nie śmiano. Nakoniec wieszcz złowrózby który smutną niósł nowinę, przerwał sam milczenie i zwołał rozpaczającym głosem: „Czernastego była batalia pod Jeną, wszystko stracone, kupcy odebrali sztafetę, oto list z Berlina.” I wszystkie oczy otaczających spuściły się na papier w drżących rękach mówiącego drgający: jedne z wyrazem smutku i odurzenia, drugie zaiskrzone nadzieją i radością. „To być nie może” zwołał mówca partyi Pruskiej, wyrwał list z rąk przybyłego kolegi, otworzył go drżącą ręką, rzucił nań okiem i spuścił ręce nieogłosiwszy co przeczytane pismo zawierało. Ani słowa więcej nie wyrzeczono-

no; wszyscy jakby na komendę, ruszyli się z miejsca, po kapelusze i laski, i w jednej chwili opróżnioną została izba bilardowa, a goście rozbiegli się po mieście do swoich, aby z niemi żal lub uciechę dzielić.

Dwa dni później, nie była już dla nikogo tajemnicą ta ważna nowina, kupiecką drogą najprzód do Warszawy przyniesiona. Czytano bowiem w gazecie, pod datą 18go następujące doniesienie: „Według poprzednio nadeszłych wiadomości, wojsko królewskie dnia 14 tego miesiąca przegrało pod Auerstaedt batalią. Szczegóły tego wypadku nie są jeszcze znajome, to tylko wiemy, że Najjaśniejszy Pan, i bracia jego żyją i nie są rannemi.”

To ogłoszenie uczyniło wprawdzie mocne wrażenie zwłaszcza na Prusakach, lecz nie rozbudziło jeszcze nadziei, ani wielkiego wzruszenia między krajowcami. Dopiero, gdy w pierwszych dniach listopada, zaczęto mówić po mieście, że Francuzi już są w Poznaniu, gdy kasy skarbowe zaczęto uwozić do Królewca, i gdy czytano na rogach ulic obwieszczenie zapewniające obywateli, że gdyby garnizon miał wyjść z Warszawy, a miasto nieprzyjacielowi miało być oddane, spokojność i bezpieczeństwo ich zachowane będą; gdy mówię, wszystkie te okoliczności zapowiadały wkroczenie Francuzów do Warszawy, ocuciły się umysły z kilkoletniego letargu, i podobnie jak przy każdej nagłej a nadzwyczajnej zmianie, były w pewnym stanie odurzenia, w którym nie można ani zdać sobie sprawy z uczuć doznawanych, ani postanowić co czynić wypada.

Gdy zajęcie i ciekawość publiczności raz są obudzone, można być pewnym, że się znajdą nowiny, któreby ją utrzymać i żywić mogły. Jakoż, co dzień i niemal co godzina rozchodziły się po mieście mniej więcej prawdziwe

wieści, o nadciągających Francuzach, i o niepojętym popłochu ich przeciwników, które przemogły nad panującymi dotąd rozprawami, o stosunkach domowych i towarzyskich, tak dalece, iż się nawet przedmiotem rozmów w salonach eleganckich kobiet stały. I nie mogło być inaczej, bo Blacha, vere palladium dobrego tonu, dała pierwsza przykład zajęcia się politycznymi sprawami, i książę Józef wystąpił nagle i niespodzianie z ukrycia domowego, w zawód publicznego życia. Po urzędowym zapowiedzeniu nastąpić mogącego zajęcia Warszawy przez nieprzyjaciół, ogłoszono obywatelom w ratuszu zgromadzonym, że rząd oddał księciu Poniatowskiemu zwiérzchność w mieście i dowództwo wewnętrznej straży bezpieczeństwa czyli milicyi z mieszkańców Warszawy utworzonej i podzielonej na oddziały, dowodzone przez tysięczników, setników, i dziesiętników, z pomiędzy znakomitszych obywateli wybranych. Książę wydał jednocześnie odezwę do mieszkańców miasta, w której im dziękował za zaufanie w nim położone, zaręczał im bezpieczeństwo i spokojność i używał ich do odbywania straży, dla zachowania onychże. Ta odezwa była hasłem rozpoczęcia nowego życia, a dzień jej wydania, pierwszym dniem chlubnego zawodu usłudze krajowej poświęconego.

Od téj chwili byli wszyscy w gorączkowym oczekiwaniu przybycia Francuzów, ale nie było żadnych odkazywań, ani oznak niechęci i nienawiści ku ustępującym Prusakom. Owszem, przyjęto z pewnym współluczuciem pożalowania, publiczne pożegnanie ogłoszone w gazetach przez gubernatora miasta Warszawy Köhlera, powszechnie poważanego męża; miał on tę pociechę, nagrodą prawych i sprawiedliwych będącą, że uchodził z błogosła-

wieństwem tych, którzy jego ziomkom nigdy przychylnego nie poświęcali uczucia, i że zostawiał między niemi wdzięczną pamięć na dobro które świadczył, na złe które od nich odwracał.

Spokojność i na jedną chwilę przerwana nie została; zdawało się, że wszyscy tak byli zajęci przyszłością, iż obecną chwilą wcale się zajmować nie mogli. Wojna była o kilkanaście mil od miasta, a jeszcze się jój poniekąd nie domyślano; bo mieszkańcy znajdowali się w tém szczególném położeniu, że ani wojsk ustępujących, ani wojsk wkraczać mających, za nieprzyjaciół swoich nie poczytywali. Lecz gdy widziano wozy przewożące rannych żołnierzy przez miasto, i liczne stráže w niezwykłych miejscach po ulicach miasta rozstawione, gdy mieszkańcy Warszawy do straży bezpieczeństwa powołani, zajęli warty w głównych odwachach miasta, wtenczas dopiero zaczęto przeczuwać blizkie nastąpienie stanowczej chwili, i powzięto wyobrazenie o zbliżającej się wojnie, ale bez żadnej ani trwogi ani obawy.

Dnia tego, całe eleganckie towarzystwo Warszawskie, było jeszcze zgromadzone na teatrze Francuzkim, w pałacu Radziwiłłowskim, gdzie nie już amatorowie, lecz przybyli od roku artyści Francuzcy przedstawienia dawali. Pamiętam, że wychodząc z tego teatru, spotkałem mocne oddziały piechoty maszerujące w zwartych kolumnach ku mostowi, i potem późno w noc słyszałem z mieszkania mego, głuchy i jednostajny odgłos stąpania żołnierzy, w zupełnej cichości Warszawę opuszczających. Nigdy nie wyjdzie z mojej pamięci poranek, który po téj nocy nastąpił. Pomimo ciemności w późnej jesieni z rana panującej, słyszałem bardzo wczesnie niezwykły ruch na ulicach. Skoro się tylko rozwidniło

wybiegłem na miasto; było to w niém podobnie jak w ulu, z którego wypłoszone pszczoły rojami wyległy, i głuchém brzęczeniem niespokojność swoją wydają. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy przed zwykłą godziną się pobudzili, powstali, i tęsknotą jakąś dręczeni na ulice wyszli. Mnóstwo wszędzie było ludzi, ale nikt żadnego nie wydawał okrzyku, a wszyscy mówili, i byli mocno zajęci. Ludzie, którzy wczoraj wieczorem widzieli się z sobą, witali się dziś z rana na ulicy, jakby nawzajem z dalekich stron przybywali; ściskali się z sobą serdecznie, jak gdyby się dawno nie byli widzieli. Nie mówiono o wiadomościach z dalszych okolic przyniesionych, bo największa i najbardziej zajmująca nowina była w samym mieście; i lubo była wszystkim wiadoma i dla każdego oczywista, wszyscy zdawali się jeszcze o niej powątpiewać, tak dalece była nadzwyczajną. Latami ustalone przekonanie o trwałości panowania Prusaków, było wstrząśnione wypadkiem jednej chwili; a przejście od tego przekonania, do téj myśli, że ich już nie masz w Warszawie, było tak nagłe i tak nadzwyczajne, iż tę nowinę przyjmowano, podobnie jak człowiek który się jeszcze zupełnie nie przebudził, i rozumie że marzy o tém na co się patrzy. I chciano koniecznie przekonać się naocznie że nie było już Prusaków w Warszawie, i tłumnie zbiegano się nad brzegami Wisły, aby poglądać na tlejące się słupy mostu po wyjściu wojsk spalonego. I ja pobiegłem na taras patrzeć na ten smutno zajmujący widok.

Poranek był mroźny i mglisty. Na całej powierzchni Wisły rozciągała się mgła, ciemnym dymem z dopalającego się mostu zgęszczona. Z tamtego brzegu dochodziły odgłosy wojenne do miasta z wojska ogołoczonego; nie było widać przed mgłą co się działo na Pradze, ale

odgłos bębnow i trąb wojennych, szcęk broni i zgiełk ogólny, oznajmiały siedlisko wojska, sposobiącego się do walki; a gdy jaśniejszy promień zabłysnął, gdy wiatr rozpedził na chwilę tumany dymu, można było widzieć paszcze licznych dział, wymierzonych na Warszawę, w której nie było ani jednego żołnierza, lecz byli tylko opuszczeni mieszkańcy, sami sobie zostawieni, sami siebie strzegący i nieśmiejący się gromadzić nad brzegiem Wisły, aby ich za nieprzyjaciół nie poczytano. A między temi dwoma tak odmiennie zaludnionemi brzegami, długie pasmo ognia na powierzchni wody, bystre nurty Wisły ognistym pasmem na poprzek przecięte; i walka ognia z wodą, bo jeden pal gasł za drugim, gdy się do powierzchni wody dopalał; robiły się przerwy w tym ognistym pasie, zwolna wylewały ogień, póki nurty ostatnich niedopałek, mokrą powłoką swoją nie pokryły. Żywy obraz znikomości światowych gasnącej świetności, znikającej potęgi, a obok tego przemocy téj odwiecznej siły, która według swoich wyroków, zamiary i dążenia ludzi równoważy!

Dzień ten cały spędzony został na ulicy przez całą niemal ludność Warszawy, która była w ciągłym ruchu między rogatekami Wolskimi, a Wisłą; tam wyglądając czy kto nie nadchodzi, a tutaj czy kto nie wraca. Zgiełk i ruch w tych dwóch punktach, wzmagał się za każdym okazaniem się u rogatek konnego lub nawet pieszego podróżnego, i za każdym odbiciem czołna od tamtego brzegu Wisły. Tam się pytano o nowiny od spodziwanych, a tutaj o zamiarach tych którzy miasto opuścili. Wczesny zmrok położył dopiero koniec spokojnemu snuć się ludzi po ulicach; większa ich część wróciła do mieszkań oczekiwać z porankiem nowych wiadomości

i nowych wypadków, i udzielić sobie nawzajem w familijném kole silnych wrażeń w ciągu dnia doznanych; bo nikt się nie spodziewał, aby przed rankiem coś ważnego w mieście zająć mogło.

Wieczór był bardzo ciemny, cichość już była nastąpiła po dziennym zgiełku, kiedy usłyszano mocny tentent koni począwszy od Wolskich rogatek na ulicy Elekto-ralnej, Senatorskiej, Krakowskiém-przedmieściu, i Be-dnarskiej, aż do mostu, tak, że w miarę zbliżania się tego hałasu i szczęku broni, wszyscy mieszkańcy wspomnianych ulic do okien skoczyli; widzieli mocny oddział jazdy kłosem ulice przebiegający, i w pierwszej chwili rozumieli, że to była jaka komenda do tylnej straży Pruskiego wojska należąca, która opóźniwszy się, śpieszyła ku Wiśle, aby się do korpusu swego przeprowadzić. Ale ten oddział przybywszy nad sam brzeg Wisły, zatrzymał się chwilę, aby się przekonać że most jest spalony, i zamiast żądać statków przewozowych, zwrócił konie, stępem poszedł ku miastu, i stanął na Krakowskiém-przedmieściu, naprzeciw kościoła Bernardynów, bez zsiadania z koni.

Wtém nagle usłyszano krzyk, przez obecnych na téj ulicy wydany, którzy jednogłośnie zawołali ten tylko wyraz: *Francuzi*; a w oka mgnieniu, wszystkie okna, na wszystkich piętrach, wszystkich domów téj ulicy, zajaśniały mocném światłem. Co było ludzi w domach, to wyległo na ulicę, tłum się zrobił, i oddział jazdy został w mgnieniu oka otoczony tak, iż z miejsca ruszyć nie mógł. Ponowiły się krzyki, ale na teraz wiwaty, które dówódzca Francuzki prósbami stłumić usiłował, z obawy, aby ich odgłos doszedłszy na drugą stronę Wisły, nie wzbudził w wojsku tam stojącym, chęci dokonania napadu na garstkę ludzi, którzy się odważyli wkroczyć

do nieznanego miasta, i między nieznanomych ludzi. Powściągniono ten głośny sposób okazania radości, i chwyciono się właściwego Polakom sposobu witania miłych gości, to jest, że wyniesiono z przyległych sklepów tyle wina, i tak niemi hojnie przybyły oddział częstowano, iż dowódcy jego, zaczęli się bardziej obawiać skutków gościnności mieszkańców Warszawy, jak nieprzyjaznych zamiarów Prusaków za Wisłą obozujących.

Przybyli żołnierze, składali szwadron z trzynastego półku strzelców konnych Francuzkich, do przedniej straży generała Milhaud należący. Zaufali oni do tego stopnia mieszkańcom Warszawy, że swoje wozy amunicyjne zostawili na Krakowskim-przedmieściu pod strażą milicyi miejskiej, zajmującej odwach przy Bernardynach. Tęże samej nocy, zajęła kawalerya Francuzka przedmieście Wolskie, i dzień następny tam pozostała póki głównie dowodzący tym korpusem nie nadciągnął, aby odbyć wjazd uroczysty do Warszawy. Co do mnie, dzień ten pamiętny zupełnie mnie zelektryzował i wprowadził w pewien stan exaltacyi, z którego długo wyjść nie mogłem. Najprzód dzieliłem szczerze uczucia krajowców, którym największą poświęcałem przychylność, a potem widziałem ziomek z rodzinnego mego kraju przybyłych, mówiłem z niemi, płakałem mimowolnie, ściskając ręce Francuzów, i marzyłem przytém, że jestem między swojemi, że wróciłem do kraju od tylu lat opuszczonego. A przytém wszystkiém, nie było żadnego przykrego wrażenia, żadnego postętku swawolą pospółstwa, ani tym mniej zawziętością powodowanego, któryby piękny obraz tego dnia przeobrażenia Warszawy oszpecał. Była to wielka i zupełna zmiana, bez wstrząśnienia, bez starcia a tém samym bez wyrzutów i żalu dokonana, przy któ-

rój radość powitania przybywających nowych władców, nie była zatruta oznakami nienawiści ku tym, którzy kraj opuszczali.

Gdym po całodziennym zgiełku powrócił do cichości mieszkania mego, nie mogłem długo zebrać myśli, ani objąć pamięcią wszystkich wrażeń w dniu tym odebranych; i tak mi trudno było pomieścić je w krótkim okresie kilkunastu godzin, iż mi się koniecznie zdawało, że od poranka dni kilka upłynęło. Nazajutrz nastąpiło uroczyste wkroczenie wojsk Francuzkich do miasta; byłoto pięknym i ciekawym widokiem, ale nie czyniło tak mocnego wrażenia, jak opuszczenie Warszawy przez jednych, i wejście do niej drugich panów w dwóch zmrokach wieczornych, jednym tylko dniem samoistnego życia przedzielonych.

Przy niespodzianém przybyciu pierwszego hufca, po dniu pełnym najpiękniejszej otuchy, mogłeś marzyć o zjawieniu się tajemniczych zwiastunów pomyslnej przyszłości; przy wkroczeniu zbrojnych szeregów wśród światła dziennego, w którym broń i zbroje połyskały, widziałeś tylko wojowników, zapowiadających krwawe walki i nowych panów dla podbitej krainy.

Od rana wyległa cała ludność Warszawy na ulice Wolskim rogiem przyległe. Około południa, uszykowały się wszystkie cechy z rozpuszczonemi chorągwiemi, po dwóch stronach ulicy przy tychże rogatkach. Widziano najprzód świetny hufiec, jakby czarnoksiężką siłą zpod ziemi wywołany, w wojennym stroju, śpieszący do stanowisk przez Francuzów zajmowanych; byłoto książę Józef z wierną drużyną swoją, na dzielnych koniach, w mundurach dawniej jazdy Polskiej. Następnie przybył poważny orszak znakomitszych i starszych obywateli,

który stanął przy rogatkach; byłato deputacya wybrana dla powitania wojsk wchodzących, imieniem miasta i współobywateli.

Okolo trzeciej z południa, usłyszano odgłos tręb wojennych; cała massa ludu zaczęła się cisnąć naprzód i szykować po dwóch stronach ulicy; wszystkie oczy były ku rogatom zwrócone, po ciągłym zgiełku nastala chwilo-wa cisza, a następnie okrzyk powszechny przez wszystkie usta wydany, krzyk ciągły nieprzerwany, w którym żadnego głosu, żadnego wyrazu rozeznacć nie można było. Ujrzano bowiem w samych rogatkach świetny orszak wojenny, na chwilę przez deputacyą zatrzymany, który zwolna wszedł do miasta. Byłto Murat podówczas wielki książę Bergu i Kliwii, szwagier Napoleona jako dowódzca korpusu zajmującego Warszawę, otoczony licznym i świetnym sztabem, w towarzystwie księcia Józefa wprowadzającego go do miasta. Strój jego odznaczał się dziwacznie od wojennej postawy otaczających go dowódców, i miał coś teatralnego, co się kobietom, dzieciom i pospólstwu podobać mogło, ale co się nie zgadzało z prostą surowością postawy wojennej, ze znamionami trudów i znoju wojownikom z pól bitew przychodzącym właściwemi. Jechał on na białym koniu przybrany w axamitną zieloną suknię futrem obłożoną i na złote pętlice na przodzie spiętą; na głowie miał axamitny czarny beret z białemi strusiem piórami, który pokrywał długie czarne włosy w pierścieniach na ramiona spadające. Ubiór ten był poniekąd anachronizmem, między haftowanemi mundurami i rogatemi kapeluszami otaczających go oficerów wyższych stopni, i wśród niedźwiedzich czapek i łyszczących hełmów jazdy Francuzkiej.

Pomijam urzędowe czynności Murata i dekreta przez niego w kilka dni po wejściu do Warszawy ogłoszone, w których przybiórał tytuł namiestnika cesarza Francuzów, i któremi zniósł rząd Pruski, i towary Angielskie zabierać i palić kazał; bo to są przedmioty należące do historyi, a wracam do towarzystwa Warszawskiego, aby opisać pierwsze jego zetknięcie się i zapoznanie z przybyłymi gośćmi.

Sądząc po opisach okropności rewolucyi Francuzkiej, i krwawych wojen przez ziomków moich staczanych, jako i po surowej wojennej ich postawie, rozumiałem, że się oni zmienić musieli, i że już nie było między niemi owęj starodawnęj uprzejmości w obejściu ani lekkomyślności i próżności w postępkach, znamionami naszego charakteru będących. Lecz wkrótce przekonałem się, że pod tym względem kochani ziomkowie nic nie stracili, gdym dosłyszał, iż w chwili grożących niebezpieczeństw wojennych i w obec nieprzyjaciela tylko nurtami Wisły przedzielonego, Murat miał zamiar dać bal dla towarzystwa Warszawskiego, i istotnie rozesłał liczne zaproszenia na takową zabawę w pokojach zamkowych.

Zaproszenie to ocuciło całą próżność towarzystwa, od ostatnich wypadków ważnemi sprawami politycznemi zajętego. Wzbudzało to ciekawość, jakimi téż są w salonach ci prochem okopciali Francuzi, którzy pod niedźwiedziami kołpakami, tak marsowate postawy mieli. Gdyby nie szła uwielbienia jaki wszystkich dla nich opowiadał, rozumiem, iż niejedna dama byłaby się wahała przyjąć zaproszenie, z obawy narażenia się na zbyt obozowe obejście tych gróźnych wojowników. Prócz tego uwielbienia, które przemogło nad samą obawą, była podwójna ciekawość silną pobudką do licznego zebrania się

na bal zapowiedziany; raz poznania bliżej Francuzów, a drugi raz odbycia wesołej zabawy w pokojach zamkowych od tylu lat opuszczonych, a tyłoma wspomnieniami napełnionych.

Bal ten był szczególniejszą improwizacją, do której ani miejsce ani goszczące w niem osoby stosownie usposobione nie były. Wielkie pokoje zamkowe od tylu lat niezamieszkałe, nie dały się należycie ogrzać, tak dalece, że trzeba było tak przemożnej pobudki, jaką jest ciekawość zwłaszcza u kobiet, aby się narażać na wystąpienie w balowym stroju w temperaturze rzeczywiście tylko przy zimowém odzieniu znośnej. Litować się należało, patrząc na nasze ówczesne piękności drżące od zimna, gdy występowały do tańca, i gromadzące się następnie około kominów na których się wielkie ognie paliły, aby zapobiedz zdrętwieniu. Byłato wielka próba przemocy ich wdzięków, że ludzie z południa wytrwali przy nich, i że zdołali powściągnąć mimowolne szczekanie zębów, gdy rozmowę z niemi prowadzili.

Żywy i skoczny taniec byłby może zaradził zimnu, ale Francuzi nie znali Polskiego mazura, a Polki nie znały kontredansów Francuzkich, a nie można było tańcować z ziomkami, i przybyłych gości w widzów zamienić. Chcieli oni koniecznie tańcować, i dlatego woleli dać Polkom lekcję tańca, jak pozbawić się przyjemności dzielenia z niemi zajmującej zabawy. W całym gronie ówczesnych piękności, była tylko jedna dama, która długo bawiła w Paryżu, obeznana z tamecznym narodowym tańcem; trzy inne, poświęciły się dla dobra pospolitego, i zawiązał się przecież kontredans, przez dwóch szwagrów Napoleona, tojest: książąt Bergu i Borgheze, i dwóch

wyższych dowódców tańczony, który nie mógł ani bawić, ani rozgrzać tanecznic.

Bal ten jakkolwiek mało ożywiony i wcale nieświetny, był jednak bardzo ciekawy dla osobliwego zetknięcia się ludzi, ubiorów i obyczajów tak odmiennych, i dlatego, że się odbywał poniekąd pod armatami wojsk nieprzyjacielskich, które z okien zamkowych, przy obozowych ogniach, na drugim brzegu Wisły, widzieć można było.



Mylność opinii Kommentatorów Toullier, Delvincourt, Duranton, Dalloz i innych, jako też wyroku sądu kassacyjnego Francuzkiego z d. 11 grudnia 1844 r., w punkcie tłumaczenia artykułu 1154 kodexu cywilnego, pozwalającego pobierania procentu od procentu.

Pismo pod tytułem: *Gazette des Tribunaux* z d. 4 stycznia r. b., ogłosiło wyrok sądu kassacyjnego państwa Francuzkiego, który uznał iż wolno umawiać się w sposób następujący:

że procenta od długu, po upływie każdego roku przypadające, w kapitał zamienić się mają, a od narosłego tym sposobem długu dalszy procent przynosić aż do kresu dla całkowitej wypłaty oznaczonego:

twierdząc jakoby podobna umowa nie obrażała ani artykułu 1154 k. c., podług którego od procentów już przypadłych a najmniej za rok jeden należących procent jest dozwolony, ani też artykułu 2220 k. c., który wzbrania zrzekać się przedwcześnie przedawniania.

Motywa takowego uznania są następujące:

że podług brzmienia art. 1154, procenta przypadłe od kapitałów mogą przynosić procent, byleby w umowie chodziło o procenta najmniej za rok jeden należące;

że chociaż w *zaskarżonej* umowie szło o procenta przyszłe jeszcze nienależące, jednakże skoro kres od któ-

rego procenta te miały przynosić procent był oznaczonym, a z kresem tym takowe powinny były przypadać za rok cały, strony przez takową umowę ani od brzmienia, ani od szczególnych warunków artykułu powoływanego nie zboczyły;

że zaskarżona umowa nie obraża ani art. 2220 wzbraniającego zrzekać się przedwcześnie przedawnienia, ani artykułu 2277 podług którego procenta od summ pożyczonych pięć laty przedawniają się: jużto dlatego że strony poprzestając na ułożeniu się względem rzeczy przysłych w miarę art. 1130, przez to rzeczywiście nie zrzekły się przedawnienia; już téż dlatego że, skoro art. 2277 jedynie do procentów nieposzukiwanych się odnosi, i strony umawiały się o zamienienie w kapitał procentów rok rocznie przypadających z oznaczeniem kresu wypłaty całkowitej, zobowiązanie się wierzyciela o nieposzukiwanie procentów przez przeciąg lat 5 może być przedmiotem umowy:

Z tych powodów sąd kassacyjny uznaje i t. d.

Przytém uczyniono w gazecie wzmiankę, że doktryna ta zgadza się z opinią autorów (Toullier VI L. 271; Delvincourt II p. 536; Duraton X Nro 499; Dalloz Dykc. X p. 495 Nro 3).

Gdy w kraju naszym też same artykuły kodexu cywilnego obowiązują, powyższy zaś wykład nie zgadza się ani z ich literą ani z ich duchem i mógłby u nas do mylnej poprowadzić praktyki sądowej, ile że prawnicy nasi zwykli powoływać się bądź na opinie komentarzy, bądź na jurysprudencją sądu kassacyjnego Francuzkiego; gdy nadto u nas właśnie teraz dotychczasowa praktyka sądowa w materji procentowej stała się przedmiotem polemiki tak literackiej jak sądowniczej; gdy prócz tego

Gazette des Tribunaux w późniejszym numerze z dnia 8 stycznia r. b., powołany wyrok sądu kassacyjnego za wielkiej wagi będący uznała, co i w rzeczy samej tak jest: ztąd więc za rzecz użyteczną uważam przedsięwziąć rozbiór art. 1154 k. c. i wykryć jego rzeczywiste znaczenie.

W żadnym prawodawstwie a tym mniej w kodexie cywilnym Fracuzkim, nie masz artykułu samoistnego, tak wyosobnionego ażeby jego sens nie zależał od innych artykułów i nawzajem na nie nie wpływał. Taka jest łączność pomiędzy niemi, że każdy z nich tylko z ogólniejszego wyższego związku właściwego, znaczenia swojego nabiera. Całość prawodawstwa lub kodexu uważać należy za zwierciadło, w którym każdy pojedynczy przepis prawa ma swe odbicie.

W takim stosunku znajduje się i artykuł 1154 k. c., który z treści swój jako pozwalający procentu od procentu pod *pewnemi warunkami*, odnosi się do ogólnej teorii kodexowej o pobieraniu procentów, i w niej istotną swą myśl, właściwą swą interpretacją otrzymuje.

Mniejsza o artykuły 2220 i 2277 k. c., gdyż stanowczych motywów nie z nich, ale z pomienionej ogólnej teorii a raczej z wcielonej do kodexu ustawy z dnia 3 września 1807 r., która we Francyi nową epokę w materii procentowej rozpoczęła, czerpać należało.

Do téjże ustawy a nawet do jój przeszłości historycznej i jój bezpośrednich powodów odwoływać się potrzeba, chcąc szczegóły, myśl i cel artykułu 1154 wyjaśnić i wytłómaczyć.

W średnich wiekach, pobieranie procentu od prostych pożyczek pieniężnych uważano za *grzech*: ztąd prawo kanoniczne wzięło pochop do wzbronienia wszelkiego procentu. Zasada ta obowiązywała i we Francyi zwa-

szcza w kraju *du droit coutumier*, ale i w kraju *de la raison écrite*, wyjąwszy w niektórych, a podobno w trzech, okręgach parlamentowych.

W czasie pośrednim, między dawnym stanem prawa a redakcją kodexu cywilnego, wprawdzie upowszechniło się przekonanie o możności prawnej pobierania procentu od pożyczek, lecz wkrótce dwie opinie ścierać się zaczęły, z których jedna była za ograniczeniem procentu do pewnej stopy, druga za dozwoleństwem zupełnej dowolności procentowej. Takowe opinie wchodziły na przemian do przemijającej legislacji, tak że obok niestałości zasad w chwili redakcji kodexu cywilnego, podobno właśnie zupełna dowolność procentu panowała.

I redaktorowie kodexu cywilnego nie mogli się zgodzić na jedność systematu. Ztąd powstały artykuły 1907 o prawnym i umównym procencie, 1154 o procencie od procentu, 1906, 1155, które dwie sprzeczne opinie połączyć usiłowały, ale w których opinia za dowolnością procentową okazuje się być przeważającą, i tylko *peu-ne-mi formami* ograniczoną.

Redakcja zwłaszcza artykułu 1907, zdawała się przepowiadać nowe prawo o pobieraniu procentów. Jakoż w lat dwa ustawa z dnia 3 września 1807 obok udaremnienia nieużytecznych dyspozycji artykułu dopiero powołanego, zamierzywszy zadać skuteczniejszy cios teorii dowolnego procentu, postanowiła: że procent od prostych pożyczek pieniężnych bądź prawny bądź umówny, w żadnym przypadku i pod żadnym pozorem nie może być wyższym nad 5 od sta w cywilnych, a nad 6 od sta w handlowych interesach; że procent wyższy acz dobrowolnie zapłacony zwrotowi ulega, i że wierzyciel w mia-

rę okoliczności nawet do sądu poprawczego po ukaranie odesłanym być może.

Cóż z takowego biegu i postępu legislacyi procentowej za pożytek dla interpretacyi? Oto, że ustawa z dnia 3 września 1807 r. jest ostatnim momentem, głównym argumentem, z którego zawsze wychodzić, do którego zawsze wszelkie artykuły procentowe kodexu cywilnego stosować należy.

A że główny ten argument chciał ochromić teorią dowolnego procentu czyli lichwę, i dłużnikowi względem wierzyciela, uboższym względem bogatszych skutecznej użyczać ulgi ekonomicznej: przeto z tego stanowiska i w tym duchu wszelkie pozostałe obok ustawy z dnia 3 września 1807 r. artykuły kodexu cywilnego pojętemi i wykładanemi być powinny tym więcej, kiedy przepisują warunki lub formy zmierzające do przyniesienia dłużnikowi ulgi, do przeszkodzenia pobieraniu wyższego procentu nad legalny, i kiedy nawet pierwiastkowa ich redakcyja widocznie barwą takowego zamiaru jest nacechowaną.

Prawda, że ustawa z d. 3 września 1807 r., pomimo skrzętnej swój surowości, nieułatwiwszy dłużnikowi możności prawnej użytkowania z zaciągniętego długu za umiarkowanym legalnym procentem przez czas dłuższy, dała przystęp artykułowi 1154, z mocy którego całe wielkie dobrodziejstwo z powyższej ustawy wypływające, tylko do roku jednego, zwykle na poprawienie losu dłużnika niewystarczającego, jest zredukowane; prawda, że przez to powoływana ustawa, zapewne bez wiedzy i mimowolnie, w dążności swojej sama się zawiodła: lecz ten niedostatek mocy prawa nie upoważniałby sędziego do nadawania artykułom kodexowym interpretacyi takiej, któraby dążność i skutek ustawy z dnia 3 września

1807 r. jeszcze więcej osłabiała i wykrzywiała, i która-
by dłużnika nawet pozbawiała korzyści tych form, jakie
same już artykuły kodexu z wyraźnego brzmienia swoje-
go, ku zabezpieczeniu go ile możności od uciążliwego
procentu przysposobiły.

Teto właśnie formy, w art. 1154 objęte, przeoczył
sąd kassacyjny, *tak jak gdyby nie były wytknięte*,
i w tém właśnie leży główna obraza tegoż artykułu przez
wyrocznię sądu kassacyjnego, bez względu nawet na
obrazę z ducha ustaw procentowych związkowo uważa-
nych wywiedzioną.

Jedyném wszakże zadaniem sądu kassacyjnego było, tę
kwestyą prawną rozwiązać, czy bez obrazy art. 1154 i in-
nych przepisów odnośnych, wolno stronom umawiać się
o procent od procentów *wprzód*, nim takowe procenta
w kapitał zamienionemi być mogły.

W ten punkt jako stanowczy uderzać należało: za-
miast tego, motywa wyroczni kassacyjnej raczej go okrąža-
ją, zbaczając ciągle do momentów niespornych, albo téż
do argumentów kwestyj nierozstrzygających.

Powiedziało się wyżej, że w samym kodexie, opinia
dowolności procentowej przeważała, i że redakcja poje-
dynczych artykułów, głównie do ścieśnienia takowej do-
wolności zmierzała; że następnie ustawa z d. 3 września
1807 r. cel pojedynczych artykułów utwierdziła.

Kiedy przy redakcyi kodexu traktowano materią
o wynagrodzeniu szkód za zwłokę w dopełnianiu zobo-
wiązań, uważano że dłużnik prostej pożyczki pienię-
żnej który po upływie roku należnego procentu nie pła-
ci, naraża wierzyciela na szkodę, że więc byłby obowią-
zany tytułem wynagrodzenia szkód, płacić procent od pro-
centu.

Lecz płacenie procentu od procentów mogłoby ułatwić najuciążliwszą lichwę, u Rzymian i Greków anatocyzmem zwaną. Dla zapobieżenia temu, potrzeba przy dozwolaniu możności pobierania procentu od procentów możność tę poddać pewnym formom, któreby z jednej strony wykonywanie bezpośredniej lichwy utrudzały, z drugiej dłużnika acz zwłoki dopuszczającego się, od nadzbyt nagłego nastawania wierzyciela ochraniały.

Z tychto uwag powstała redakcja artykułu 1154, która możność pobierania procentu od procentów, zawiśłą uczyniła od trzech niezbędnych i łącznych warunków następujących, a w szczególności:

- a) ażeby to były procenta już przypadłe;
- b) ażeby to były procenta za rok cały należące;
- c) ażeby procent od takowych procentów za rok cały przypadłych, był skutkiem bądź żądania sądowego *demande judiciaire*, bądź ugody szczególnej *convention spéciale*.

W każdym z tych trzech warunków leży i wyrażona jest niemożność umówienia się o procent od procentów *wprzód*, nim takowe rzeczywiście istnieją. Albowiem procenta przypadłe, nie sąto procenta przypadać mające, *intérêts échus* a nie *à échoir*; procenta za rok cały należące, nie sąto procenta należąc mające, *intérêts dus pour une année* a nie *intérêts qui seront dus pour* i t. d.

Co do trzeciego warunku, ten do możności pobierania procentu od procentów wymaga naprzemian, bądź żądania sądowego, to jest wydania pozwu, bądź ugody szczególnej. Każda alternatywa z natury swojej powinna się dać zastosować do wypadku przez nią przypuszczonego: z kąd wynika, że jeśliby się nie dała zastoso-

wać, inny zachodziłby wypadek, a nie ten, jaki jest przypuszczony.

Artykuł więc nasz przypuszcza taki wypadek, do którego bądź pozew, bądź ugoda szczególna powinny się dać zarówno zastosować.

Niechże teraz wierzyciel wyda pozew o przysądzenie mu procentu od procentów które jeszcze nie przypadły, jeszcze nie należą się, słowem jeszcze nie istnieją. Cóż mu trybunał odpowie? Oto, że z zasady artykułu 1154 *zawczasie* przychodzi, że powinien roku wyczekać, póki dłużnik nie będzie *in mora*, póki nie powstanie *obligatio ex mora*. Przyznaje to Toullier (T. III. L. 272.) przywołując: „mais ce n'est qu'aux intérêts des intérêts échus qu'il (le juge) peut condamner le débiteur; il ne peut le condamner de payer les intérêts des intérêts *non encore échus*, faute de payement à leur échéance”.

Toż samo więc motywum, w miarę powyższego rozumowania i wynikających z niego konsekwencyj, zastosować należy do ugody szczególnej. Ugoda szczególna o procent od procentów, zawierana być nie może *wprzód*, póki dłużnik nie jest *in mora* względem przypadłych procentów: inaczej potrzebaby przyjąć, że artykuł 1154 pomiészawszy przeszłość z przyszłością, w stosunku do żądania sądowego, czyli pozwu, mówi o roku upłynionym, w stosunku zaś do ugody szczególnej o roku dopiero zacząć się mającym. Prócz tego samo wyrażenie ugoda szczególna czyli *specyalna*, wyłącza możność umówienia się o procent od procentów w głównej umowie względem pożyczki i procentu od niej. Wyraz *spéciale* dowodzi, że prawo co do procentu od procentów chciało ugody osobnej, odrębnej od głównej umowy; że chciało

ugody specjalnej wtenczas, gdy dłużnik będzie *in mora* to jest po upływie roku.

Możnaby tu zarzucić, że konsekwencyjnie wierzyciel chcąc uzyskać procent od procentu, byłby zobowiązany, po każdym upłynionym roku zapewnić się o procent od procentów bądź przez pozew bądź przez ugody specjalną. Tak jest, taki właśnie obowiązek artykułem 1154 jest włożony na wierzyciela, a to według powyższych wyjaśnień, dla zapobieżenia bezpośredniemu anatocyzmowi, dla zasłonięcia ile możności ogółu dłużników od swych wierzycieli, z których większa część, dla rozmaitych przyczyn, zapewne z taką nie postąpi natarczywością i regularnością w poszukiwaniu procentu od procentu, ażeby go rok rocznie bez wszelkiej chyby, z dłużnika ścigać mieli; ile że w razie corocznego nagabania wierzyciela, i dłużnik upamięta się i środków ratunku użyje.

Pierwsze dwa warunki stanowią substancją, trzeci zaś formę możności pobierania procentu od procentu, i krótki sens artykułu 1154 jest ten: że procent roczny przypadły może przynosić procent, byleby wprzód przez właściwą formę w kapitał był zamienionym.

Ztąd więc pierwsze i zasadnicze motywum wyroku kassacyjnego, niezgadza się ani z literą ani z duchem artykułu 1154, a to przez pominięcie właściwej formy, do zamienienia procentu w kapitał przepisanej.

Drugie motywum będąc skutkiem mylnego założenia, już tém samém upada a nawet sprzeczne jest z pierwszym co do litery, gdyż to mówi o procencie już przypadłym, drugie zaś o procencie przyszłym, i ma nadto tę wadę, iż pomięszanie przeszłości z przyszłością, usiłuje usprawiedliwić oznaczeniem przez strony kresu czyli terminu, w którym cały kapitał z procentem narosłym

miał być zwróconym: co wszakże ani w artykule 1154, ani w żadnym innym nie jest przewidziane.

Co się tyczy trzeciego acz zwięzłego jednak bardzo zawilego motywu, tedy powoływanie się na art. 1130 pozwalający ułożenia się o rzeczy przyszłe, wyroczni kassacyjnej nie usprawiedliwia, gdyż artykuł 1154 właśnie przeciwną wyjątkową dyspozycją obejmuje, stanowiąc: że nie procenta przyszłe, ale przypadłe czyli za czas przeszły należące, nie *interêts à échoir* ale *échus* mogą być przedmiotem zobowiązania, mogą przynosić procent, a to li skutkiem żądania sądowego lub ugody szczególnej.

Najpozorniejszym argumentem zdaje się być ten: że zobowiązanie się wierzyciela o nieposzukiwanie procentu przez lat 5, może być przedmiotem zobowiązania: lecz cóż, kiedy z niego nie wypływa, iż wolno umawiać się o procent ad procentów wprzód, nim te się należą. Co większa, sam ten argument z tak wielką trudnością z artykułów 2220, 1130, 2277 wyprowadzony, nader jest problematycznym: bo gdyby wolno było zobowiązać się o nieposzukiwanie procentu przez lat 5 lub 10 lub 20, tém samém wolnoby było zrzec się przedawnienia wprzód nim takowe nastąpiło, ponieważ zobowiązanie się pierwsze bez drugiego, pociągałoby za sobą utratę procentu za lat 5, a przecież wierzyciel chce procentu, skoro go sobie zastrzegł. Tymczasem nie wolno zrzekać się przedawnienia jeszcze niedoszłego, ani wyraźnie ani *tacite*, ani *directe* ani *indirecte*; prawo to nie ulega dowolności prywatnej, jest *d'ordre public*, stanowi już *publicum quod privatorum pactis mutari nequit*. Ztąd owszem wynika, że zobowiązanie się wierzyciela o nieposzukiwanie procentu od pożyczki zaprocentowanej, miejsca mieć nie

może; a gdyby zaszło, za nic nieznaczące musiałyby być poczytaném, jako zmierzające do wyzucia dłużnika z dobrodziejstwa umarzania procentu przedawnieniem: wszystko to w duchu kodexu i prawa z d. 3 września 1807 roku.

Gdyby zarzucono, iż obok takich zasad prawnych, pożyczki na procent składany, zwłaszcza po 5 lub 6 od sta, nie byłyby dopuszczalnemi, odpowiedziałyby się, iż tego rodzaju pożyczki w rzeczy samej tylko pod warunkami i formami artykułem 1154 przewidzianemi miejsce mają, i że taki jest stan prawa kodexowego, który wszakże w miarę postępu stosunków i potrzeb społecznych, zmienianym być może, ale tylko w drodze prawodawstwa. Jeżeliby z jednej strony okazała się potrzeba ustawy względem procentu składanego, z drugiej udoskonalenie ustaw procentowych i innych związkowych, mogłoby się przyczynić do pewnej w społeczeństwie równowagi, i do ulżenia losu proletaryuszów szczerze pracować chcących.

Prawo cywilne Pruskie (*Landrecht*), wcześniejsze od kodexu Francuzkiego, w części I tytule XI w §§ od 818 do 821, wzbrania procentu od procentu, dozwalając wszelako zamienienia w kapitał procentowy procentów zaległych dwuletnich lub dawniejszych mocą *nowej ugody sądownej zawierac się* mającój, pod nieważnością, a nadto stanowiąc, że od przysądzonych wyrokiem procentów zaległych, wierzyciel może żądać procentu z opóźnienia od daty prawomocności wyroku.

Prawo cywilne Austryackie z r. 1811 a zatém późniejsze od kodexu Francuzkiego, w § 998, podobnie jak prawo Pruskie procentu od procentu wzbrania, dozwalając zamieniania w kapitał procentowy procentów zale-

głych dwuletnich lub jeszcze dawniejszych, a to mocą wzajemnej ugody.

Łatwo ztąd poznać, w jakich pryncypiach prawodawstwa te z artykułem 1154 kodexu Francuzkiego się zgadzają, i o ile wyroczenia sądu kassacyjnego Francuzkiego od wspólnego celu wszystkich trzech prawodawstw odbiega.

Natomiast zupełna zachodzi zgodność wyroku kassacyjnego z powoływanemi na początku komentarzami *Toullier, Delvincourt, Duranton* i dykcyonarzem *Dalloza*, do których jeszcze przydać można komentarz piąty w trzech osobach chronologicznie po sobie idących, *Boileux-Poncelet-Bastiné* (II ad 1154). Wszyscy się zgadzają między sobą a wszyscy się myślą dlatego szczególnie, że w swych tłumaczeniach przeskakują wyrazy *demande judiciaire* i *convention spéciale*, niemogąc pojąć ich potrzeby i prawnego znaczenia; że nadto w czasie przeszłym dokonany przez wyrazy *échus, dus* wytkniętym, upatrują czas przyszły; że nakoniec mniemają, jakoby cała siła ciężąca artykułu 1154, na wyrazie *pourvu que* spoczywała.

Lubo w ogólności wszyscy ci komentatorowie przygotowywali mylną interpretacją przez wyrok sądu kassacyjnego przyjętą, jednakże z nich *Delvincourt* (II p. 536 na końcu), czując zachodzące trudności powiada tylko, iż *mu się zdaje* że prosta z góry umowa o procent od procentu rocznego, odpowiadałaby w zupełności szczegółom artykułu 1154, atoli niedowierzając sobie pyta się: czegoż w istocie chciał prawodawca? i znajduje wolę prawodawcy w tym jednym punkcie, aby nie większe tylko roczne procenta, procent przynosić mogły.

Duranton, który obszerniej od innych i duchem samodzielny zachodzące trudności rozbióra, był już na drodze do odkrycia tego czego prawodawca chciał, przywołując (VI N^o 497): że do możności pobierania procentu od procentów, potrzeba z wyjęciem wszakże artykułu 1155, procentów rocznych i umowy szczególnej lub żądania sądowego; potem zaś zwłaszcza pod N^o 499, nie mogąc się oderwać od przejętych z innych komentarzy pojęć lub założeń mylnych, chce się z nich wycofać lub z nimi pogodzić nazbyt śmiałym twierdzeniem, jakoby wyrazy *échus*, *dus*, mogły być brane tak dobrze *dans le sens futur composé*, jak *dans le sens d'un parfait*.

Co to jest *futur composé*, grammatyka Francuzka rozwiąże.

Ciekawe jest rozumowanie *Bastinego* i jego poprzedników, w miejscu już powyżej cytowanym. Na pytanie czyby ważną była umowa taka jaka jest przedmiotem naszego rozbioru, w ten sposób odpowiada: „La raison de douter se tire de l'article 1154 qui contient ces mots: les intérêts *échus* etc. mais la raison de décider se tire de l'article (1130) suivant lequel les choses futures peuvent être la matière des conventions” i t. d.


Wszystkie te mylne interpretacje komentatorów, pochodzą z błędu dalej sięgającego, to jest z przyjętego przez nich mylnego założenia, jakoby kodex cywilny artykułem 1145 wprost i bezwarunkowo dozwolił anatocyzmu rocznego, *anatocismus anniversarius*. Z téj przyczyny ciż komentatorowie także nie wiedzą, co robić z artykułem następnym 1155, utrzymując jeden po drugim, iż artykuł ten stanowi excepcją od reguły, odnoszącą się li do ostatniego szczegółu artykułu 1154.

Tymczasem przy interpretacji naszej powyżej wyłożonej: że dla pobierania procentu od procentu w pożyczkach pieniężnych, potrzeba nietylko procentu za rok cały należącego ale zamienienia go w kapitał przez pozew i wyrok lub przez umowę specjalną po każdym upłynionym roku, artykuł 1155 stanowi excepcją konsekwencyjną od wszystkich dyspozycji artykułu 1155 a nietylko od ostatniej: albowiem dla pobierania procentu od *przychodów przypadłych*, nie potrzeba koniecznie przychodów rocznych, ale mniejszych np. kwartalnych, miesięcznych; nie potrzeba wydania pozwu, ale tylko wezwania (*sommation*); nie potrzeba umowy specjalnej, ale wolno umawiać się o procent od przychodów po pierwszym uchybionym terminie za rok cały, jeśliby szło o przychody miesięcznie, kwartalnie lub półrocznie przypadające.

Tylko co do ostatniego punktu i nasza interpretacja nieco chromi: ale to jest winą tych, którzy redakcyą obudwóch artykułów powoływanych ułożyli. Okoliczność wszakże ta nie osłabia w niczem głównych zasad naszej interpretacji, i owszem otwiera przystęp jurysprudence, której jest powołaniem, w duchu legislacji prawo interpretować.

Nie ma potrzeby w dalsze wchodzić szczegóły opinii komentatorów, gdy wszyscy z jednych i tychże samych twierdzeń wychodzą, i jednych i tychże samych inkonsekwencyj się dopuszczają. Dosyć na wyłożeniu zasad historycznych i stanowczych, ducha artykułu 1154 kod. cywiln. wyjaśniających.

Heylman.



Monety dawniej Polski, jako też prowincyj i miast do niej niegdyś należących, z trzech ostatnich wieków, przez Ignacego Zagórskiego, z 60 na kamieniu rytymi tablicami wydał E. baron Rastawiecki. Warszawa 1845.

Miło mi sprawę zdać z tego znakomitego dzieła; miło oddać sprawiedliwość szanownemu wydawcy jego, że niczego nie szczędził, ażeby je przekazać literaturze naszej w odpowiednim ważności jego kształcie. Ale czemuż szanowny autor jego, nad którego nikt zapewne dokładniej numizmatyki krajowej nie zna, z swoją i nauki krzywdą, w tak szczerpłym ograniczył się zakresie, trzech tylko ostatnich istnienia dawniej Polski wieków!

Jasno on każdy przedmiot opisuje, menniczną wartość każdej sztuki wiernie podaje, a kończąc dzieło dokładnym zbiorem ustaw sejmowych, każdą zmianę, co do stopy i rodzaju mennicznego w kraju zapadłą, na właściwych źródłach opiera.

Wszakże pod względem praktycznym, następczą się następujące uwagi:

Najprzód. Kiedy żaden ważny powód nie zagnał autora do pośpieszenia z wydaniem dzieła, kiedy o rok a najdalej o dwa później, mógłby być daleko obszerniejszym, zupełniejszym i użyteczniejszym, a z mało co większym kosztem je wydać, musimy ubolewać nad tém że wydania nie wstrzymał. Tym jedynym sposobem, byłby zdołał rozpocząć dzieło swoje zgromadzeniem treści rozpraw na które świat naukowy z niecierpliwością oczekuje, a które też niebawem wy-

dane zostaną: *O brakteatach i młotami bitych monetach* znanych dawniej i powynajdowanych nowo, a prawie do bajecznych historii Polskiej czasów należących, rozpraw, nad którymi tak pracują dziś pp. Stronczyński i Strzelecki; a następnie porównać je z dawniejszemi rozprawami o monetach Piastowskich, i monetach z czasów królów pochodzących ze krwi panującej familii w Węgrzech.

Powtórę. Szanownato jest każdego rodzaju publikacyi w dzisiejszym wieku cecha, ciągły postęp, ciągłe doskonalenie się i wszechstronne wyjaśnienie każdego naukowego przedmiotu, przez co każde dzieło nowe, nie ścieśniania zakresu, ale owszem rozszerzenia go wymaga, o tyle przynajmniej, ażeby obejmowało wszystko to, co dotąd w jego przedmiocie znanem było. Łatwo nawet uczuć w tym warunku większą korzyść dla wydawców, bo nie może znaleźć się wielu kupujących dzieło, które tylko cząstkowo ogarnęło przedmiot. P. Zagórskiego dzieło opisuje z trzech tylko wieków monety. Podaje wprawdzie około stu numerów z tej epoki więcej niż p. Kazimierz Władysław Steżyński Bandtkie w swojej Numizmatyce krajowej: pominęło jednak kilkadziesiąt numerów w wyżej wymienionem dziele umieszczonych, a nie pomnożyło się nawet trzydziestu takimi z tej krótkiej epoki monetami, któreby później znalezione i jeszcze publiczności nieznanne były.

Potrzecie. W tak znakomitým dziele, należało było na wzór Mioneta, którego dzieło o Rzymskich monetach za normę na zawsze służyć będzie, poodróżnić umówionemi znakami exemplarze bardzo rzadkie, rzadkie, i pospolite, niemniej cenę ich amatorską w przybliżeniu podać.

Poczwarte. Należało także w podobnym dziele, koniecznie umieścić monety krajów, które Polszcze hołdowały, za epoki tego hołdowania wybite, z krótkim opisaniem przyczyn i sposobów których użyto, aby takowy hołd przestał być składanym.

Naturalnym celem wszelkiego zbierania monet, jest wystawienie chronologiczno-historycznego obrazu każdego w szczególności kraju. Dlatego wypada nawet dodać opi-

sanie i wizerunki monet bitych przez nieprzyjaciela w różnych miastach, podczas chwilowego ich w ówczesowych wojnach zajęcia, jakoto np. Gustawa Adolfa i Karóla XII podczas zajęcia Żmudzi, Litwy i ziemi Pruskiej; albo kopijek Władysława Zygmunta ze srebra i złota w Moskwie bitych, jako uwieczniających zwycięstw i klęsk narodową pamiątkę.

Popiąte. Żałujemy, że niema przy dziele p. Zagórskiego tabelli chronologicznej, któraby dokładnie wystawiała panowania monarchów Polskich, poczynając od Mieczysława I. w 965 roku, i wymieniała wszystkich do téj korony pretendentów, którzy się o nią dobijali podczas każdego bezkrólewia. Byłby wprawdzie daleko właściwszy podobny obraz przy dziele o medalach niż o monetach: gdy jednak przy pierwszych, ile ich dotąd mamy, nie uczyniono tego, korzystną byłoby rzeczą tu go dołączyć.

Poszóste. Niezbędnie potrzebną była przy dziele p. Zagórskiego tabella wszystkich w Koronie i Litwie podskarbach, staranniej ryta nad tę, którą p. Bandtkie przy swoim, wyżej wymienioném dziele zamieścił.

Jakożkolwiek bądź, dzieło p. Zagórskiego, miłém jest i szacowném dla nas. Obejmuje ono daleko więcej monet, niż wszystkie dotychczasowe o tymże przedmiocie dzieła; a znając głębokie wiadomości numizmatyczne i niezmordowaną pracowitość autora, spodziewać się należy, że wyda za lat kilka dzieło pod wszelkimi [względami] wydoskonalone, dzieło ściśle zupełne, niepotrzebujące już ani dodatków, poprawek, ani szczegółowych rozpraw; słowem, mogące służyć za normę, a równie dla pamięci uczonych wygodne jak dla nauki młodzieży korzystne, dla całej czytającej publiczności radość przynoszące.



KRONIKA LITERACKA.

Powieści nieboszczyka Pantofla, wybrane i ogłoszone przez Eleonorę Szyrmer; 2 tomy w Wilnie, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego r. 1844.

Pod tym tytułem, wyszedł na świat z końcem zeszłego roku zbiór powieści, z których większa część już po różnych pismach peryodycznych ogłoszona, zjednała pani Szyrmer niezaprzeczoną, bo cechą oryginalnego talentu napiętnowaną sławę. Jedna z tych powieści osobno pod tytułem *Frenofagiusz i Frenolesty* wydana, oceniana już była w Bibliotece Warszawskiej (na grudzień 1844 roku). Nieraz już zastanawiano się nad *psychologiczną* i nad *patologiczną* stroną talentu pani Szyrmer. Cechą pierwszszą są te *suchoty duszy* które autor (bo nikt zapewne pani Szyrmer tego miana nie zaprzeczy), z takim talentem w jednej z powieści swoich rozwinął. Cechą drugą jest *ironia*, ale *ironia sarkastyczna*, bez żadnego podobieństwa z lekką ironią dobrodusznego *Sterna*, ani z ironią pełną energii entuzjasty Jana Pawła *Rychtera*. Autor nasz zdaje się jak ten ojciec jednej z jego bohatererek, (w *Pamiętnikach oryginalnie wychowanej kobiety*), który utrzymywał, że *lepiej jest obserwować miłość i przyjaźń, jak ich doświadczać*. Napróżno chce w sercach święty ogień miłości zapalić, gdy w pismach jego ani iskiereki nie ma: *ironia* jak fosfor pali i żre bez płomienia. Ale przy tém fosforyczném świetle, w tych fantastycznych, pełnych humoru zawsze, mistycyzmu czasem, obrazach, ile prawdy i życia! Jak nie litować się nad zimnym *suchotnikiem*, tyle przynajmniej, ile nad nieznośnym *Pantoflem*, pod maską którego

pani Szyrmer występuje niekiedy, nim go pod nogi suchotnika rzuci.

Przedmowa pod tytułem: *Pantofel, historia mojego kuzyna*, doskonale daje wyobrażenie o całości: znajdziemy w następującym wyjątku wszystkie główne cechy talentu pani Szyrmer:

„Familia, czyli zbiór wszystkich naszych krewnych, podobna jest do biblioteki. Rodząc się na świat, człowiek znajduje już przygotowaną dla siebie tego rodzaju bibliotekę, i stopniowo się z nią znajomi. Na pierwszej półce, stoją dwie święte dla niego księgi, stary i nowy testament; to ojciec i matka. Dalej z porządku dzieła zbawienne, moralne i pożyteczne; to dziadek, babka, stryj i stryjenka, wuj i wujenka. Dalej w mniejszym formacie, dzienniki serca; bracia i siostry. Nareszcie w odleglejszych półkach, rozmaitości, książki różnego formatu i wydania: nowe i stare, dobre i złe, przyjemne i nudne, filozofia i mazurki; to obszerny oddział kuzynów i kuzynek. Katalog téj biblioteki ciągle się przemienia, dlatego, że *czas*, obojętny jój bibliotekarz, mało zważając na gusta dziedzica, nieustannie jedne dzieła wyrzuca za okno a drugie jakieś stawia na półkach. Jestto najniegrzeczniejszy pedant ze wszystkich bibliotekarzy których miałam honor poznać, i dotego, taki tajemniczy w swych działaniach, że mając znaczną bibliotekę, prawie nigdy nie można doprosić się własnych swoich książek, nie można nawet wiedzieć dokładnie wiele ich posiada. Szczególniej trudno poznać *rozmaitości*. Ot, ja naprzykład, dotąd nie mogę poznać się z tą półką, na której, jeśli się nie mylę, znajduje się więcej stu tomów różnego kształtu, wydanych w kilku Polskich prowincjach. Udało mi się przypadkiem poznać tylko jedno dzieło, lecz exemplarz miał tak niepozorną powierchowność, że bez pomocy bibliotekarza, nigdybym nie poznała prawdziwej jego wartości.

Każdy ma swoje dziwactwa; ja kiedy co opowiadam, lubię zwyczajnie zacząć od końca. Takowa forma opowiadania ma w sobie coś tajemniczego, poetycznego, i może daleko więcej zająć, jak wszelkie inne systema. Zresztą, dziś

nie godzi się inaczej ani mówić, ani pisać. Od czasu wynalezienia romantyczności w Europie, wszystkie powieści, dramy, i poemata, zaczynają się od końca, a przynajmniej ze środka; dlaczegożby ja miała was, kochani moi czytelnicy, pozbawić téj przyjemności, do której zapewne jesteście przyzwyczajeni? Nie myślę być nowatorką, niech mnie Bóg od tego zachowa! Zacznę swoją powieść od końca. Słuchajcie, jeżeli łaska.”

Autobiografia Pantofla, rozwija ten charakter bez energii fizycznej i moralnej, który każdemu i wszystkiemu ulega, nie z potrzeby ani z przekonania, ale prosto z lenistwa; który służy za igraszkę rodzeństwu najprzód, potem towarzystwu, kochance, a nakoniec i żonie.

Trupia główka rozpoczyna obraz suchot duszy. Poczciwym wieśniakom podrzucają dziecko pod chatę. Oni je wychowują, lecz jakby na przekór zdaniu autora że nie rodzimy się z charakterem, ale wyrabiamy go w sobie; przybrany syn bogobojnych rodziców, wśród najlepszych przykładów, rozwija się najgorzej; bawi go krew z zabitych zwierząt wytryskująca, tyle, ile potem nauki w szkołach. Niedziw że Jerzy lekarzem został. Coraz bardziej przesiąka materjalizmem, im głębiej zastanawia się nad anatomią, której się na trupięj główce z cmentarza Powązkowskiego wyproszonęj, uczy. Przybrana matka jego, przybywa do niego do Warszawy, wyjawiać mu tajemnicę, którą sama dopiero odkryła, że ojciec jego jest majątnym człowiekiem, któremu dziecko przez zemstę wykradziono, a że matka straty téj nie przeżyła. Ale gdy stara nazwiska tego ojca nie wie, zimno przyjmuje ją Jerzy; a wtém widokiem trupięj główki przerażona, staruszka pada na ziemię bez zmysłów, i kona. Odtąd już zaczyna się cały szereg zabójstw, mniej więcej pośrednio popełnionych. Jako lekarz zabija majątnego obywatela (który jak się pokazało później, był jego ojcem), potem kochankę. Wtedy już w rozpacz, chce rzucić zawód lekarski, i trupią główkę o podłogę druzgocze: a wtém we śnie okazuje mu się dusza jego matki do której czaszka ta

należała za życia. Jerzy chorował dwa lata, potem do klasztoru wstąpił.

Mało jest obrazów w tej powieści, mało scen towarzyskich; ale obraz duszy suchotnika doskonale rozwinięty; przeniknął ją od razu proboszcz, który mu nie odmawia trupiej główki z cmentarza, ale nie może się od ubolewań nad młodzieńcem powstrzymać. Fantastyczność i cały orszak jej snów sympatycznych, wielką tu rolę odgrywa, podobnie jak w następującej powieści, której tytuł: *Czarne oczy*. Charakter bohatera tej nowej powieści, zupełnie excentryczny; p. Chryzantemu, przepowiedziała przy urodzeniu niania Ukrainka, że z *umarłą ślub weźmie*. Rodzice ze zgryzoty umarli; syn był jak pomieszany. Na licytacji w miasteczku zobaczył portret kobiety z *pięknemi czarnemi oczyma*; chciał go nabyć, a gdy starzec jakiś we dwójnasób za obraz chciał płacić, podniósł go Chryzanty do tak wysokiej summy, iż starzec z rozpaczą w sercu ustąpił. Odtąd prześladowały go ciągle *czarne oczy* migając przed nim bezustannie, tak, że o *Rózi* nawet zapomniał, w sercu której obudził był miłość prawdziwą. Pewnej nocy, podczas burzy okropnej, gdy miotła nim szalona wyobraźnia, przymusił księdza jakiegoś do dania mu ślubu z *czarnemi oczyma*; fantastyczne oczy, odpowiadały na sakramentalne zapytania. Prawda, że to wszystko we śnie się działo, ale gdy się obudził Chryzanty, już był spokojniejszym; opuściło go widziadło.

Drugi sen sympatyczny miała tymczasem młoda dziewczyna, córka starca który chciał portret z *czarnemi oczyma* na licytacji kupić. Śniło jej się, że nieboszczka siostra, którejto właśnie był portret, ślub bierze z przystojnym młodzieńcem w postaci Chryzantego, którego nie znała; a że sama podobna była do zmarłej siostry, niedziw że spotkanie tych młodych ludzi, gdy nastąpiło w Bielanach na spacerze, musiało serce obojga wstrząsnąć. Wkrótce też i ślub ich nastąpił rzeczywisty, a biedna *Rózia*, przyjaciółka panny młodej, towarzyszyła jej do ołtarza, i wkrótce z rozpaczki umarła.

Jakkolwiek każdej scenie tej powieści, talent autora swoje piętno nadaje, fantastyczność, która tu główną rolę odgrywa, charakterom niedość rozwijać się pozwala.

Tę samą wadę nierozwiniętych charakterów, możemy zarzucić także ostatniej tomu pierwszego powieści: *Błogosławieństwa matki*. Z dwóch siostr jedna jest piękna, ale sucha i zimna; druga cicha, skromna, bogobojna. Młody człowiek zakochany w pierwszej, porównywa ją z drugą, i rozsądek, a wkrótce i serce, jej każą mu dać pierwszeństwo. Matka która starszą córkę tylko kocha, nie zezwala na ślub z młodszą; nakoniec nie broni, ale błogosławieństwa swego nie daje. Po ślubie odmieniają się wszystkie role; rozsądny mąż pokazuje się człowiekiem słabym i małej wiary; żona na tym cierpi i widzi się opuszczoną; a starsza siostra z którą się przyjaciel szwagra ożenił, staje się wcale dobrą żoną. Matka przed śmiercią chce młodszą córkę pobłogosławić; ta przyjmuje błogosławieństwo już konająca, i za matką do grobu wstępuje.

Myśl główna tej powieści, że nie ma szczęścia bez błogosławieństwa matki, lubo rozwiązaniem dowiedziona, nie zaspokaja czytelnika; zanadto łatwo zaprzeczyć jej dowolną zmianą wszystkich charakterów, i opacznym wytlómaczeniem wszystkich okoliczności na początku powieści poznanych.

Ale nigdzie lepiej nie maluje się talent obserwacyjny autora, jak w *Urywkach z pamiętników oryginalnie wychowanej kobiety*. Młoda osoba wychowana przez ojca prawie po mężku, nie kocha nikogo, bo nadto przeziera na wskrós doświadczeniem, bo szatanek ciągle jej do ucha szeptce.

Słuchajmy co sama o sobie mówi: „Jest coś we mnie, co mi przeszkadza być szczęśliwą. Niekiedy serce moje napełnia się rozkosznym uczuciem; kocham wszystkich, uśmiecham się światu, wszystko mi się podoba, i chciałabym zostać w tym stanie; ale nagle, sama nie wiem z kąd, nalatują czarne myśli na mój umysł, krążą po nim, jak zgraja kruków, i wyjadają mi z mózgu najpiękniejsze moje marzenia. W podobnych chwilach zdaje mi się, że jakiś zły duch,

że jakiś *szatanek* stoi przy mnie i szeptem mi do ucha zdania, od których potokiem chłód strzela mi w serce. Zdarzało się to ze mną i dawniej, na wsi, ale wtedy byłam dzieckiem, nie znałam świata, i wszystko się kończyło na mimowolnym płaczu, którego przyczyny nie pojmowałam ani ja, ani drudzy. Dziś zupełnie co innego. Świat rozkłada przede mną swoje mamidła. Wyciągam dłoń, żeby schwycić to, co los do mnie zbliża, i cofam ją z rozpaczą, bo głos mego tajemniczego ducha szeptem mi, że to wszystko fałszywe, że te kwiaty, co mnie nęcą, zrobione z jedwabiu! Kiedy się zachwycam, on szydzi; kiedy cenię, on uniza; kiedy ufam, on nie wierzy; kiedy się do łez rozczulam, on znajduje zawsze coś śmiesznego lub płaskiego, i w każdym razie odrzuca mnie w stronę przeciwną tej, gdzie szukałam nadziei lub szczęścia. Zimny, ironiczny, podejrzliwy, nieubłagany, pastwi się nad moim sercem, jak nad bezbronną ofiarą, i truje w niem każdą rozkosz w samym zarodku."

„Z tym szatankiem wypadnie mi walczyć całe życie. Stoi przy mnie jakby na sztyldwachu, i kiedy chcę go odprawić, odpowiada, że już zapóźno!

„O ileż słodkich marzeń i nadziei musiałam z jego woli rzucić marnie na drodze życia! ileż nocy bezsennych spędziłam, płacząc i słuchając z rozpaczą sarkastycznych jego rozumowań! a co najgorsza, napłakawszy się, nagniewawszy się na niego, widzę najczęściej, że próżno się z nim sprzeczać, bo prawie zawsze ma rację!..."

Dlatego też rozwinęła się w bohaterce *Pamiętników* jak w talencie autora, *ujemna strona, ironia*. „Nazywacie mnie kokietką, kobietą bez serca, żyjącą tylko umysłem i wyobraźnią, a to wszystko dlatego, że nie kocham nikogo. Dobrzy ludzie, moją to winą, że każdy z was przynosi mi swój liczman, i chce go wydać za dukata?" Ale pomimo tego przebija się ciągła tęsknota za sercem: „Mówcie sobie co chcecie o dzisiejszej cywilizacji, nigdy ja się nie zgodzę z wami, żebyśmy na tym wiele wygrali. Mnie się zdaje, że ognisko życia znajduje się nie w głowie, lecz w sercu,

a zatem nie ten więcej żyje, kto wiele rozprawia, ale ten czyje serce wzrusza się częściej uczuciem silnym, wysokim, szlachetnym." Za tym sercem więc goni nieszczęśliwa, wydziéra się szatankowi, a szatanek jej w tym oporze właśnie, przyczynę jej cierpień wskazuje. W miejscu Hoffmanowskiej fantastyczności, pełno tu głębokich spostrzeżeń, delikatnych odcieni, w nową niespodzianą formę odzianych. Przymiś jakas smętna rzewność osładza gorycz ironii, i mimowolnie spólcucie czytelnika podbija:

„Lubię bywać w Bielanach i przesiaduję tam niekiedy większą część dnia. Patrę na Wisłę, chodzę po lesie, zbieram dzikie kwiatki, i słucham szumu drzew, który z dziecięcych lat miał dla mnie zawsze niepojęty wdzięk. Serce moje bije swobodniej, układa się do harmonicznej nóty z głosem natury, i wtedy chciałabym nazawsze zostać w tym stanie cichego, samotnego szczęścia!”

„A kiedy mnie Warszawa zbyt mocno znudzi, albo oburzy, albo napelni boleścią, wyjeżdżam często za rogatki do *miasta umarłych*; błądę po Powązkach, i dość mi, że wieczór pogodny, oświecony księżycem, że wietrzyk szeleści w topolach nad grobami. Serce moje uspokaja się powoli; smętne, słodkie dumy o lepszym życiu rozwijają się w mej duszy, jak nocne kwiatki na cmentarzu; łzy mimowolnie sączą mi się z oczu; klękam na pierwszej lepszej kobiéciej mogile i modlę się za duszę nieznanomój; modlę się, bo ślad kobiety na ziemi zaciéra się prędzej, niż droga łódki na wodzie, bo, oprócz mnie, może nikt już po niej nie mówi paciorka!.....” Na tym kończy się urywek *Pamiętników*.

Dusza w suchotach jako całość, zupełniejsza jest od poprzedzającej powieści; ale mniej przyjemne, a raczej przykre po sobie wrażenie zostawia. Tu już ironia z żółcią pomieszana, wszelką rzewność zabija. Typ nieszczęśliwych istot z lodowatym, nieograniczoną miłością sercem, życie sobie i drugim trujących, doskonale oddany jest w Karolu, którego w ostatniej chorobie odwiedza doktor, brat jego przyrodni, ale z którym Karól wszelkie stosunki zerwał, i którego jako doktora tylko, wezwał i widuje. Chorobą Karola

są *suchoty*, nietylko, ciała ale i duszy, a przytém i nie miała szczypta téj excentryczności, którąśmy w panu Chryzantym, z *czarnych oczu* poznali. Karól rad nie rad spowiada się przed bratem lekarzem z choroby duszy i ciała. W fantastycznych porównaniach, maluje mu stan duszy niepokojem dręczonój.

—Słuchaj, doktorze! opowiem ci jedno z moich doświadczeń nad pajakami.

Wiész że pająki nie chodzą po wodzie. Otoż raz nalałem wody w miednicę, zrobiłem krążek drewniany z pręcikiem przymocowanym prostopadle do jego płaszczyzny, i puściłem na środek wody jak czółenko z masztem; na wiérzech tego masztu, posadziłem pająka, i zacząłem obserwować, co téż zrobi w tym przypadku? Pająk zszedł najprzód na dół po pręciku; lecz zobaczywszy wodę, wrócił nazad, kręcił się długo we wszystkie strony na szczycie masztu, jak gdyby wypatrywał drogę ratunku, nareszcie zaczął snuć z siebie pajęczynę, uformował z niéj małeńki kłębek, rzucił go łapkami na brzeg miednicy, i po téj nitce co tchu uciekł. Czy wierzysz temu?

—Zupełnie wierzę. Wszak często można widziéć pająki w sitowiu nad wodą. Musi być tym samym sposobem przechodzą z jednéj rószczi na drugą.

—Oto widzisz, doktorze ten pająk był mędrszy ode mnie, bo on potrafił uniknąć zimnéj wody i wyratował się własnemi siłami, a ja przy całym moim rozumie, nie umiałem wysnuć sobie z serca nitki pokoju i zbawienia." Dlatego téż żal mu i ludzi, którzy się do niego zbliżali. „Ja byłem jak żelazny piecyk, co chwilę grzeje mocno, a potém mrozi rękę która się do niego dotknie."

Pojmujemy więc, że Karól, młody jeszcze i ubogi chłopiec, obudził miłość w biednéj prostéj dziewczynie, a potém gdy z zapału chwilowego ochłonął, skruszył bez litości serce które mu się zupełnie oddało. Późniéj zato sam kochał się prawdziwie i był kochanym wzajemnie; ale wola rodziców panny, oddała jéj rękę innemu. Karól odjechał i zapomniał wkrótce o téj która całe życie o nim pamiętała.

Ożenił się, i wkrótce nieczułość jego żonę i dziecko zabiła. Nakoniec wygrał na loteryi, zyskał sławę autorską i na wielkim świecie Warszawskim zabłysnął. Przywabiła go królowa salonów, kokietka, z którą romans na zimno prowadził, dopóki jój serce nie zapaliło się prawdziwą miłością; wtedy opuścił ją Karól, i na tém się powieść urywa.

Frenofagiusz i Frenolesty; taki jest dziwnobrzmiący tytuł ostatniej tego zbioru powieści, w której otwiera się przed nami *dom obłąkanych*; odwiedza go dobry nasz znajomy p. Wincenty Pantofel, aby ochłonąć z upojenia sławy autorskiej.

„O rannój godzinie piłem kawę, kiedy mi przyniesiono bilecik od mego księgarza i ostatnią część umówionój upłaty. Tak więc pomyślałem sobie, podczesując czuprynę, dzieło moje nareszcie wydane, rozkupione prawie w mgnieniu oka, i ocenione przez światłych recenzentów; moje długie badania, moja mozolna praca, przyniosły mi więcej wziętości i pieniędzy, niż się można było spodziéwać w naszych czasach. Żeby to powieść albo jaki poemat, albo drama, albo wreszcie wojaż!.. ale księga *in quarto* tchnąca, jak mowią, lampowym olejem, pełna cytacyj z autorów, których dzieła w bibliotekach oddawna już oddane na pastwę myszom; o! to niepojęta zagadka! Rozwinałem rulonik odebranych dukatów, postawiłem z nich kolumnę na stoliku, i zatrzymałem na niój wzrok zadowolenia. Nie posądzajcie mnie o chciwość albo skąpstwo; o, nie! wierzcie mi, że ten metal, za który wszystko w świecie można kupić, nigdy mnie nie zajmował, póki byłem syty i odziany; i w owój chwili patrząc na złoto, nie myślałem bynajmniej o jego cenie, ale o czém inném, co w mojem pojęciu było zawsze wyższém nad bogactwo. Mnie się zdało (bo cóż się człowiekowi nie zdaje, kiedy kontent z siebie), że ów słupek, stojący na stoliku, byłto pomnik, który wdzięczni ziomkowie postawili mi na najpiękniejszym placu w Warszawie! bagatela! Wyobraźcie sobie szczęście człowieka, któremu postawiono kolumnę ze szczerego Holenderskiego złota *ad legem imperii!*.. W zachwyceniu zdało mi się widziéć lud

z całej Warszawy stojący pod owym posągiem i wielbiący moje nieśmiertelne imię. Wskoczyłem na krzesło, ażeby z tej trybuny wyciąć mowę do narodu; ale w zbyt gwałtowném uniesieniu wdzięczności, zawadziwszy piętą, przewróciłem się z krzesłem, obaliłem stolik a z nim i złotą kolumnę, z której dukaty poleciały na podłogę!...

Sądzicie zapewne, że jako filozof, powiedziałem sobie: „*sic transit gloria mundi*” i przestałem się dziwaczyć, ale na ten raz nie zgadliście. Byłbym niezawodnie tak postąpił i nie zawiódł waszego oczekiwania, gdyby tylko złoto było upadło bez brzęku, na jaki miękki przedmiot, na przykład na pierzynę mojej babki, albowiem wtedy całe drama byłoby skończone. Ale ponieważ blisko stolika nie było pierzyny, więc dukaty upadły na twarde deski podłogi, na których każdy, prędzej lub później, wydał czysty dźwięczny, harmonijny głos: większa część ich zawołała chórem: chwała tobie Wicusiu! inne członkowo, coraz w większej odległości od stolika, powtórzyły to samo, a nareszcie ostatni dukacik, skończywszy bieg swój pod łóżkiem, i tam jeszcze krzyknął chwała tobie Wicusiu! a potem położył się na bok.

Upojony sławą, nieposiadając się z radości, schwyciłem kapelusz i laskę, i wybiegłem na ulicę, niepomyślawszy wcale gdzieby iść; czułem tylko niezwykłą potrzebę odstąpić komukolwiek części swego szczęścia. Przyspieszyłem kroku, jak gdybym biegł po księdza do umierającej matki. Ludzie ustępowali mi się z drogi, jedni obojętnie, a drudzy uśmiechając się, za co im odpłacałem grzecznym ukłonem, bo mi kiedyś mówiono, że uśmiech jest znakiem dobrego życzenia. Takim sposobem przebiegłem kilka ulic, póki nareszcie, ochłonawszy z zapału i straciwszy siły, jak gończy pies na polowaniu, nie stanąłem na bruku, pytając sam siebie: gdzie idę? Przeliczyłem w myśli wszystkich moich znajomych, i nie miałem ochoty żadnego z nich widzieć; bo ci ludzie byli zbyt mocno uprzedzeni o swoim własnym rozumie, ażeby wierzyć w cudzy rozum; nie chwalili nic w świecie, oprócz samych siebie, i drwiliby zapewne ze mnie, gdyby mnie zobaczyli tak mocno zajętym sławą. Stałem więc

na ulicy pogrążony w dumach i trzymając się jedną ręką za ucho.

— O czém WPan zamyśliłeś się? spytał nawiasem jakiś jegomość, przechodząc koło mnie.

— Myślę, gdzieby mi też iść? odpowiedziałem machinalnie.

— Cha, cha, cha!, idź WPan do Bonifratrów, rzekł nieznajomy, pokazując na dom waryatów. Życzę WPanu wygodnej celi.

Masz słuszość! rzekłem sam w sobie, pójdę do Bonifratrów. Nieźleby każdemu uczonemu odwiedzić ten dom, ażeby cokolwiek mniej wierzył w potęgę swego rozumu. A zresztą, tam przynajmniej nie będą drwić ze mnie, nie wciągną mnie do dysputy, nie znudzą samochwalstwem. I poszedłem do domu waryatów.

Oprowadzał po nim gości biędny pseudoliterat, który zwaryował dlatego, że nie potrafił dobrej powieści napisać, i tym sposobem rękę panny Pauliny pozyskać. Onto tłumaczy nam potęgę wielkiego *Frenofagiusza*, który ma swoje pałace w *Bedlam*, w *Bicetre*, i u *Bonifratrów*, a u którego sam jest marszałkiem dworu. Pan jego karmi się rozumami ludzkimi i wszelkimi sposobami na nie poluje: „Czyż Wpan nie wiesz (powiada marszałek), że rozum składa się z dwóch połówek, z których jedna znajduje się w głowie, a druga w sercu; że one są z sobą złączone nitką! A ta nitka może się zerwać jednakowo, od wstrząśnienia w jednym albo w drugim końcu. Chodzi tylko o to, żeby targnąć za jeden koniec, albo za oba”. To już jest rzemiosłem *Frenolestów*, istot powstałych z wrywanych włosów *Frenofagiusza*, z miejsc głowy odpowiednich rozmaitym namiętnościom wedle organologii Galla. Każdemu z mieszkańców tego domu obłąkanych, *Frenolest* jaki nitkę od strony rozumu lub serca przerwał. *Maciej* zwaryował, ostatni szeląg na loteryi tracąc; *Jakób Kozero* dlatego, że porzucił jedną namiętność grę, dla drugiej, dla miłości; *Karolina* dlatego, że łamała sobie głowę nad filozofią; *Artur* dlatego, że uwiedziona przez niego dziewczyna, utopiła się z rozpacz; *Jacek* dla-

tego, że zwątpił o wszystkiem, i *ujemną* tylko stronę życia rozważał; *Różia* dlatego, że zakochała się w niegodnym, w podłym człowieku; *Alma* nakoniec dlatego, że na obrazie, który jakby *fatalizmem* uwiedziona kupiła, odmalowane było jakieś męczeństwo, a męczennikiem było dziecko, nadzwyczaj do jój syna podobne. Ile razy wpatrywała się w ten obraz nieszczęsna matka, tyle razy dreszcz ją przejmował; nakoniec zabiła własne dziecko, dla zbawienia go od męki urojonój. Cóż więc było przyczyną jój szaleństwa? Miłość macierzyńska. Powstaliśmy już przeciw temu w dawniejszym rozbiorze tój powieści pojedynczo uważanój. Tak nie jest na świecie, tak nie powinno być w powieści. Nie uczucie i nie rozum doprowadzają nas do szaleństwa, ale zbytnia przewaga jednego nad drugim; ten *Frenolestes* co nitkę przecina, którego naturę psychologiczną radziłyśmy byli dokładniej poznać.

Tak więc *ironia* prawie zawsze *sarkastyczna*, rzadko *rzewna*; *humorystyczność* dowcipna, lekka, niekiedy jednak w trywialność wpadająca (że wspomnimy o tych *spiżarniach rozumów*, o tém nadużyciu *pantoflostwa*, o wprowadzaniu zbyt częstém łacińskich wyrażen, lub zwrotów mowy zanadto pospolitéj) *fantastyczność*, pełna oryginalności, czasem z *mistycznością* połączona; *malowniczość w obrazach psychologicznych*, bardziej jeszcze niż *w obrazach towarzyskich*, lubo i tój niejednen przykład przytoczyćby można (np. obrazy salonowe w *Pamiętnikach oryginalnie wychowanój kobiety*; scena podrzucenia dziecka w chacie włościańskiej, w *Trupiej głowce*, wprowadzenie *Pantofla* do domu jego kuzynów przez żydówkę faktorkę w Witebsku i t. p.). Oto są zalety powieści pani Szyrmer.

O wierszach przy końcu tomu 2^{go} dołączonych, a które wszystkie prawie do śpiewu są przeznaczone, niewiele jest do powiedzenia. Za to nie możemy nie zwrócić uwagi autora na niektóre wyrażenia, jak: „Poznała mnie wcale nielekkomyślnym człowiekiem, T. I p. 373”; albo: „Słynę dobroczynnym;” dlatego jedynie, aby w usterkach znakomitych pisarzy, tłum naśladowców wzorów nie szukał.

ROZMAITOŚCI.

Wyjątek z trzeciego tomu powieści pod tytułem: Bigos hultajski, przez Izasława Blepońskiego.

W pokoju na piętrze, z balkonem, z którego widać obszerny ogród, pełen gajów, trawników i wód błyszczących, przy drzwiach otwartych, w krześle rzeźby pięknej, siedziała pani młoda, lat 24 lub pięć licząca. Włos ciemny i gęsty spadał w kędziorach obfitych, na płeć białą; twarz była ulaną podobną wzorów starożytnych, a oczy czarne pełne zapału i przenikliwości, dziwnie odbijały się ze swobodą jej rysów niejako marmurowych, bo bardzo lekki tylko rumieniec, mógł świadczyć, iż te rysy nie były dziełem dłota, ale dziełem natury. Lecz po głębokiem zacięciu ust, po kształcie nosa, po zbyt małym zmarszczku, prawie niewidomym, w miejscu co przedzielało brwi od siebie, znać było, iż w chwilach natchnienia, twarz cała mogła ożywić się tym samym ogniem, co jak nieśmiertelny, zawsze gorzał w spojrzeniu tej kobiety, i którego zbyteczny może blask, objawiać ona umiała łagodnością i słodyczą. Przez te dwa uczucia, oblicie w niej wyrażone, pojmowano, iż to jest ziemską niewiastą, do ludzkiego towarzystwa należąca, bo bez tego, możnaby ją brać za sybillę, obcą tym stronom, i wiodącą tajemne rozmowy z duchami, co gdzieś w niebiosach przebywają.

Wrannym ubiorze, stosownym do letniej ówczesnej pory, bo okrytą była tylko lekkim i fałdzistym muślinem, wpatrywała się ona pilnie w igraszki, co słońce promieniami swojemi sprawiało, rzucając je na rozmaite przedmioty, napelniające rozległy ogród, rozciągający się przed oknami pałacu. Spokój w powietrzu był wielki, liść prawie żaden nie ruszał się, i jedynie widoczny ruch, był to w migocących falach wody, to w oświetlaniu lub zacienianiu drzew, kwiatów i trawników, wedle tego, jak jaka chmurka błędząca po błękiecie, nieznacznie pokrywała słońce względnie jednych przedmiotów, a odsłaniała je co do drugich.

Cóżto za swoboda! myślała sobie Helena Milska (bo do domu tej pani, o której w poprzedniczym tomie wspomniałem, wprosililiśmy się); coto za nieznaczne płynienie chwil w porównaniu burzy, co w tych miejscach tak groźnie wczorajszej nocy miotła! Kilka godzin przerwy, a zmiana zupełna następuje, i znowu świat cały jasno i wesoło śmieje się, niepomny nawałnic, co nim tak srogo wicherzyły. O gdyby i życie ludzkie, z podobną niepamięcią, mogło z godzin nieszczęścia, w godziny szczęścia prześlizgać się, możebym dała jaki ratunek i uszczęśliwiłabym tę kobietę, którą wczoraj podczas burzy wśród boru opuszczoną podniosłam, bo Bóg mnie postawił w możności rozrządzania ziemskimi dobrami. Ale jeśli to są nieszczęścia serca lub umysłu, cóż jej pomogę? Ach nic! bo sama sędzę według siebie! Zniosłabym z największą obojętnością wszelki niedostatek; z tego pałacu przeniosłabym się wesoło do nizkiej lepianki, pracowałabym śpiewając dla utrzymania życia, gdyby tylko serce i umysł mój, nie były dotknięte. Ale gdyby (tu jej twarz żywszy przybrała wyraz) nieszczęście, ku uczuciom, ku sercu mojemu kierunek swój wzięło, o, wówczas żadna pogoda pamięci tej burzy załagodziłaby nie mogła, bobym może sama wśród tej burzy poległa! Alfredzie, mężu mój! kochanku wśród licznych sercem mojem wybrany! gdybyś mnie zdradził, lub nawet, gdybyś nie umiał ocenić miłości tej co tobie poświęcona, o rzeknij, cóżbym natenczas poczęła!

Na to wspomnienie, zatłumiły blask jój oczów łzy, co mimowolnie wycisnęły się. Nie byłato już, ta wspaniała kobieta, mimo swój młodości powagą odznaczona, ale raczej mimo jój lat, byłoto tylko dziecko pokorne i biędne.

Lecz wkrótce, Helena odegnała od siebie, to niespodzianie wmiecione w jój myśl wrażenie, i znowu spoczynek natury, wraz z blaskiem obrazu co miała przed sobą, wrócił jój dawną swobodę. Nic mocniej i pomyślniej na nerwy osoby czulej nie działa, jak widok przyrodzenia i jego cudów. Zatopiła się znowu Helena w tych wszystkich pięknościach przed nią rozpostartych, i z uczuciem roskoszy lubej, patrzyła na rozmaitą zieloność drzew błyszczących gdzie niegdzie kroplami wczorajszego dészczu, na wodę w sadzawkach będącą, co ogół swobodny przedstawiała, a jednak powolnie w drobne fale ruszając się, wyrzucała z onych tysiące gwiazdek chwilowych. Niżej obficie tryskająca kaskada, z igraszką i szumem po omszonych skałach rozrzucała swe strumienie, a pomimo całej cichości w przestrzeni rozlanej, to z ruchu wody, to z ruchu liści, to z rozwijania się pod gorącym słońcem kwiatów, powstał tajemny i nieznaczny dźwięk, co jednak ogół przenikał, i który Helena pojmować zdawała się. Byłto według niej, śpiew wszystkich tych stworzonych istot i rzeczy, co życiem sobie właściwém oddychając, wyjawiają przez niego swoje uczucia, i razem stanowią głos tego powszechnego ducha, co cały wszechświat ożywił. Z nim złączyła Helena głos serca swojego, i wtorując przyrodzeniu, zaczęła hymn wewnętrzny tworzyć, przez który oddzielając się pomału, i od ziemi i od przedmiotów co początkowie to natchnienie wzbudziły, wleciała dalej poza światy widome, i okiem myśli swojej widziała to, czego oko ludzkie nie dojrzy. Usta téż żadne tego wyrazić nie zdolają, a gdyby się nawet na to siłą geniuszu zdobyły, to ludzkie uszy zrozumiećby ich nie mogły. Dlatego te rozmowy z istotami i duchami zza krańca ziemskiego, acz rzeczywiste i pojęte przez tych, co hojniej od innych są obdarzeni częstką iskry twórczej, która świat cały na swych posadach wyniosła, nigdy opowiedzieć się nie

dadzą, a nawet w usiłowaniach ku temu wydadzą się śmieszne. Ztąd uczestnicy tych niebieskich pogadanek, powinni oni ściśle utajać, i nie wystawiać ich na powiew ludzki, bo znikną jak niktą bańki mydlane, które tém tylko są dla innych; ale są barwą, blaskiem i tęczą dla tego, co się w barwach, blasku i tęczy kocha.

Myśl więc Heleny, spinając się ku tym cudom i urokom, była zupełnie niezawisłą od jęj ciała, gdy ją raptownie przymusił do powrotu brzęk drzwi mocno otwartych. Pardwa, sa tu! Hektor tu! towarzyszyły temu odemknięciu, i było głos Alfreda Milskiego, męża Heleny, który dwa psy legawe do tęg ustronnęj świątyni żony swojej zapraszał. Młodzieniec pięknej i hożęj postaci, był on rokiem lub dwoma starszy od Heleny, z jasnym włosem, kwitnącym rumieńcem i z wysmukłym wzrostem, któremu wdzięku dodawał strój myśliwski co go miał na sobie. Przystąpił do Heleny i ucałował ją w czoło.

Ona w swych dumaniach obudzona, zebrała najświetniejsze ich resztki, i wcieliła je wnet w męża swojego; nie widziała już nieba, nie widziała już światów drugich, ale tylko Alfreda.

— I cóżto, moja droga Heluniu, znowu poetyzujesz sobie? rzekł do nięj. Wolałabyś pojęć dziś rano za mną ponad łąkę za ogrodem, i wielkąbyś miała uciechę, bo burza wczorajsza napędziła bekasów, dubeltów oblaných, a ja je wszystkie wystrzelałem. A Hektor i Pardwa, jak stawały, to wartoby je odmalować. Jak na zimę pojedziemy do Paryża, wezmę te psy z sobą i każę dobremu malarzowi ich portrety zrobić. Ale jak się ty miéwasz? Czy wczorajsza burza w tym powrocie z przejażdżki nic ci nie zaszkodziła, i co porabia ta którą tam znalazłaś? Na honor, to Pan Bóg tobie dogadza. Lubisz exaltacye, mamidła romansowe, a on tu ci zesłał nieznaną jakąś heroinę, błakającą się w burzy i po lasach. Tylko że to rycerz błędny powinien był ją odszukać, a nie ty moja Pani. Lecz powiedz mi, czy wiesz kto ona jest?

— Wiész Alfredzie, w jakiej biędzie chorą ją przywiozłam, tak, że nie była w stanie ani słowa powiedzieć. Położyłam ją w łóżko, o nic niepytając, i tam dotąd spoczywa.

— Czy młoda i przystojna?

— Zdaje się że młoda, a piękności w jej strapieniu, dotąd dojrzyć nie mogłam. Ale jest biedną i dlatego ofiarowałam jej wsparcie.

— Bardzo jestem ciekawy ujrzeć ją, i wiedzieć co za dama.

— Jak tylko dadzą mi znać że obudziła się, pójdę ją odwiedzić. Nie troszcz się bynajmniej, mój Alfredzie, i bądź pewnym, że wszelkich starań koło niej dołożę. Jakżeś piękny, mój Alfredzie, rzekła dalej, rozkładając mu rękoma włosy; jak ci ten ubiór do twarzy; wolę cię w tym stroju niż w tych frakach. Muszę cię jeszcze ozdobić, mówiła zrywając kwiaty z wazonów; przypnę ci ten kwiatek na pamiątkę twój pani.

— Bardzo ci uniżenie za kwiatek dziękuję, moja królowo, ale każ mi dać śniadanie, to będę wdzięczniejszym, bo głodny jestem. Wtém postawił strzelbę, zadzwonił, i przybyłemu służącemu kazał dawać śniadanie, które wnet wniesiono, i które zapalczywie zmiatał, dzieląc się niem najskrupulatniej z Pardwą i Hektorem co go obsiadły. Tak był wtém zajęty, że ledwie pojmował zapytania co mu robiła żona, i ledwie na nie odpowiadał. Gdy się nasycił, dobył z kieszeni sygara, i zaczął palić, rozciągnąwszy się poprzecznie na sofie.

— Wiész co, moja droga Helenko, powiedział jej poziwając, radbym bardzo, aby już jesień i zima nadeszły.

— Jakto! zawołała żona, czy cię lato już znudziło? Ach, nie wzywaj zimy, aż nadto prędko ona sama przyjdzie!

— Ja zimy, dla zimy nie wzywam, bo jej sam nie lubię, ale dlatego, że pojedziemy do miasta. Praw sobie co chcesz, jak z książki, bo tobie wszelkiej licencji poetycznej pozwalam o urokach natury, o słowikach, o trawie, wodzie, burzanie, liściach i t. d., i t. d. ale ja wolę bruczek miejski; tam dopiero żyję. Jaśniejsza dla mnie illuminacya w operze, niż blask

tego słońca. Ja bez miasta żyć nie mogę, a tu, proszę cię, gdyby nie polowanie, cobym robił?

— Alboż ja z tobą nie jestem? ozwała się z nieukontentowaniem Helena.

— Ale nie o tobie mówię, moja droga, i z tobą wszędzie miło mi będzie choćby w piekle, ale utrzymuję, iż milój mi z tobą w mieście, niż w tém wiejskiem ustroniu.

— Czemu dla rozrywki nie uczęszczasz do sąsiedztwa, i nie zapraszasz go tutaj?

— Sąsiedztwo! zawołał z podziwieniem Alfred, i ty to mówisz, i czy nie znasz jaki z niego pożytek? Że zjadą się, jeśli tego zechcę cokolwiek, jestem pewien, bo jestem bogaty, bo mam kucharza lepszego od innych, bo nakoniec w téj okolicy, uchodzimy tak z rodu jako téż z majątku naszego za panów. Ale pocóż te zjazdy, i jaka z nich zabawa i korzyść? Może mniemasz, iż z dumy nie chcę żyć z sąsiadami? Bynajmniej; i arystokracja wszelka, jeślim ją miał, wywietrzała mi z głowy, od kiedym podróżował wiele, widział adwokatów i professorów ministrami, i dostrzegł, że w Paryżu więcej ma wpływu bankier bogaty, niż margrabia z przedmieścia St. Germain, którego naddziad z swą chorągwią uwijał się za czasów krucyat pod murami Jerozolimy. Ani téż bogactwa moje w pychę wzbijać mnie nie mogą, bo cóż one są przy tych dostatkach lordów i kupców Angielskich? Kroplą wody w porównaniu z tym stawem co w parku płynie. Ale po prostu nie żyję z sąsiedztwem dlatego, iż przyjemność z tego pożycia, nie wynagrodzi nieprzyjemności. Otwórz dom, a zjadą się opijać cię i objadać tylko, i cisnąć się będą nawałnie, jako niegdyś plebs Rzymska za swoją sportulą. Wyrzeknij się dla nich czasu i wolności, bądź od rana do późnej nocy na zawołanie gościa i baw go, a w łóżku cię napadną, i nie dadzą ci czasu zając się, czytać, nie dozwolą nawet umyć się porządnie, i jeśli na chwilę odejdziesz, wezmą to za ambicyą i dumę. Daj dziś kieliszek wina starego gościowi, ten wnet tém chwalić się będzie, a tém samém obrazi tego co był wczoraj i tego co będzie jutro, a których tém winem nie utra-

ktowałem. Gdybym o urząd marszałka starał się, niezawodnie miałbym na wyborach niejedną negatywkę, dlatego jedynie, że mam stare wino, które raz podoba się mi pić z gośćmi, a drugi raz nie. Oprócz tego, jeśli otworzysz dom zupełnie, napelnią ci go hałasem, dymem, po nocach będą w karty się tłuc, wywrócą wszelki porządek, na obiad w porę nie przyjadą, służba nie wyspana na siłach opadnie, kucharze jak w ukropie kręcić się będą robiąc jednego dnia obiad po obiedzie, a wszyscy zjadłszy go, przy trawieniu będą cichaczem między sobą rozprawiać, że nadto suto żyje, że się rujnuje, i popsują mi na kontrakty kredyt dlatego, że ich obficie i smacznie nakarmiłem. Zamykając zaś hojność przed sąsiadami, przynajmniej zyskuje się uszanowanie winne bogactwu, i o które teraz tylko dobijać się wolno. Ale jeszcze z mężczyznami pół biedy; dałbym jakoś sobie radę; pobratałbym się z niemi, kochaliby mnie póki-bym ich dobrze żywił, i przyjąłbym dwóch albo trzech pieczeniary, którzyby ich zabawiali, gdybym się z niemi unudził. Ale wproś sąsiedzkie damy, a zobaczysz coto za babilonia powstanie: Najprzód pociągnie to ruinę okolicy, boś ty bogata i stroić się możesz. Jejmoście zaś bywające u ciebie, zechcą zaraz z tobą, a co gorzej między sobą o toaletę emulować, i jestem pewien, że otwarcie domu naszego, o kilkadziesiąt tysięcy na rok zuboży ten powiat. Żadna nie przyjedzie przyzwoicie ubraną, w stroju stosownym do swojego mienia, w powozie zgodnym z finansami mężowskiemi; ale jedna będzie wspinać się nad drugą i ztąd zakwaszą się i stosunki między niemi, i ich pożycie domowe z małżonkami, którzy na to zwiększenie wydatków krzywić się będą. Każda z początku uradowaną będzie z zaprosin twoich, bo wyobrazą sobie iż wybór w sąsiedztwie robisz; ale jak tylko ujrzy, że ty drugą, którą ona niżej od siebie ceni, równie grzecznie przyjmujesz, wnet to ją obrazi, wnet cała twa zasługa, że z nią żyć chciałaś, zniknie. Niech którejś pierwszej podam rękę do stołu, w dziesięciu zółć zakipi, i kupisz dwadzieścia skrytych nieprzyjaciółek, za widoczniejszą grzeczność wypłaconą jednej. Napelnią ci one dom plot-

kami, narobią ci kłótni, i tu między sobą waśnieć się będą; jako matki pszczelne, wywiodą z tego pałacu rój komerazów, obdarzą cię kochankami; Bóg wie co spleta, i to wszystko rozleci się po świecie z żadnym dla nikogo pożytkiem, owszem z przykrością. I tak, choć z nami dziś nie żyją, już dziwne rzeczy o nas gadają, a cóż dopiero będzie, gdy na jakiejś rzeczywistości swe kłamstwo oprą?

— Alfredzie, żywy obraz pożycia wiejskiego skreśliłeś, ale cóż ci szkodzi spróbować, wszak tu nie wiekujemy, ale na zimę za granicę wyjeżdżamy, więc za powrotem, téj próby nie powtórzymy, jeśli się nie powiedzie. Ja zaś, choć dawniej unikałam stosunków z wiejskimi współziomkami, i jeździłam w cudze kraje za każdą możliwością otrzymania paszportu, jednak dziś tę rzecz z innego stanowiska oceniam. Wyrzekasz się, Alfredzie, arystokracji tak rodowej jako téż pieniężnej, ale czy nie czynisz tego przez samolubstwo, aby nieprzyjmując jej ciężarów, swobodnie używać rozkoszy, co ci twe mienie i twe wychowanie daje? Może ta nasza arystokracja, w porównaniu do wysokich położeń w świecie istniejących jest niczem, ale ona jest rzetelną względem kraju, względem okolicy, względem sąsiadów naszych; i gdy kogo Bóg, bądź dostatkami, bądź za pomocą uprzedzeń ludzkich o rodzie, wyżej postawił, ten powinien do tego stosować się, i w sferze mu przeznaczonej pożyteczne obowiązki swego powołania wypełniać.

— Tra la la, przerwał Alfred, już Heleniu wpadasz w rozprawy filozoficzne, hieroglificzne i inne. Powiedz mi, gdzieś to wyczytała? Czy u téj pani z Przodu, lub du Deyant, lub Sand, bo ona jest podobno i jedno i drugie i trzecie? czy u innego babsztyra bazgrzącego? czy może z korespondencyj twych Niemców filozofów, co wylęgając się w betach, popijając piwo i smaląc knaster, światy konstruują?

— Nie, Alfredzie, nie wyczerpnęłam tego ani od Niemców, ani od Francuzów, bo to co ci powiem, nie mogło wylądzić się w głowie obcego temu krajowi, bo to jest tylko

wyływem naszych miejscowych okoliczności, tak jak ten dąb starożytny co na murawie rośnie, jest dzieckiem téj niwy, tak jak ty sam jesteś panem Polskim, a nie lordem Angielskim, lub grandem Hiszpańskim. W tym tylko stosunku z twym krajem, z twemi współziomkami, możesz być panem i arystokratą; ale jak tylko wyrzekniesz się państwa rodzimego, a zostaniesz arystokratą zagranicznym, udawającym jako inni, markiza Francuzkiego lub frejhera Niemieckiego, nie będziesz ani jednym ani drugim, ale śmiesznym tylko Baladynem obcym, niemiłym i niepożytecznym krajowi w którym urodziłeś się.

— Ale cóż chcesz bym dla kraju teraz zrobił?... wszak pokój, swoboda! Daj wojnę a zobaczysz (tu porwał za strzelbę), jeśli jako bekasy nie wystrzelam tych....

— Alfredzie! nie wątpię iż w boju byłbyś dzielny, godnym téj krwi rycerskiej co w żyłach twoich krąży, bo inaczej nie mogłabym ciebie kochać, i odtrąciłabym cię od siebie, choć cię dziś z uniesieniem do serca mego przyciskam; ale nie o usługi wojenne tu idzie, tylko o usługi i powinności w pokoju. Kto ma dostatek, ten bez pisanego przywileju, już urząd przodkowania współ braciom posiada, i ten wypełniać winien jako prawy obywatel; a wyłamywać się od tego, jestto mojem zdaniem niesumiennie, jest nawet haniebnie. Sam wiiesz, jakato istnieje skłonność ku tym co są bogatemi, choć ją nieraz zamydlają wrzaskami zawiści i urągania. Skorzystaj więc z niej wprasząc współziomków do swojego domu, a w tym domie daj im wzory życia dla kraju pożytecznego, i wszczepiaj myśli płodne, co kiedyś owoce wydadzą. Broń cię Boże, abyś nakształt innych miał dom otwarty, to jest, aby był tylko poświęcony kartom, polowaniu, fajkom i wypasieniu ciała. Ale gdy ten ostatni ziemski bodziec, jest magnesem ciągnącym przyjaciół, gdy dym dobrze rozżarzonej kuchni jest wśród towarzystwa, jak ów słup dymu, wiodący za sobą tłumy Żydów wśród puszczy, użyj go pierwiastkowie, by współziomkami otoczyć siebie, przez gościnne przyjęcie nabyć wpływu między niemi, i dom twój uczynić placem rozmów nie o nie-

wiedzieć czém, lub zajęć próżnych, ale rozmów ciekawych i zajęć korzystnych. Niech rzecz najlepsza, którą gości twych utraktować możesz, będzie pokarm umysłowy; niech dom twój nie będzie podobnym do tych gościnnych dworów, gdzie smacznie jedzą i piją, ale gdzie przez czas kilkodniowego zbiegowiska kilkudziesięciu osób, nie usłyszysz ani słowa, coby mogło pójść komu na naukę, i gdzie na uczonego tak spoglądają, jako na dziwne zwierzę, jak na zapowietrzoną osobę, roznoszącą nudy; lub z jego usposobień o tyle korzystać pragną, o ile on tylko zabawić a nie ukształcić może. Mówisz mi, że jeśli dom odkryjesz, zmienią go w końcu w dom gry. Będzie wprawdzie usilność licznych znajomych skierowaną ku temu, ale jak tylko sam grać nie będziesz i wymyślisz zabawy i zajęcia odwodzące od gry, ile razy u twych gości ochota ku temu objawi się; gdy z większym szacunkiem i uprzejmością powitasz tego co kart nie tyka, to bądź pewny, że gra nie zagnieździ się u ciebie; tak jak i owady obrzydliwe unikają miejsc, gdzie wiele rzeczy wonnych znajduje się. Utrzymujesz dalej że cię objedzą, opiją, a potem rozgłoszą, że się rujnujesz wystawném twém życiem. Zapewne, będą tak gadać, jeśli całkowicie, jakiegoś idealnego a nie prawdziwego pana udając, powierzysz zarząd twych dóbr, twych interesów, twojego domu, rządcom, plenipotentom i sługom, zostając w zupełnej niewiadomości tego, co się w twych interesach dzieje, i na jaką skalę prowadzisz swe wydatki. Ale gdy ujrzą ciebie możnego położeniem, a niewstydzącego się trudnić ani gospodarstwem, ani zarządem domu; i gdy twoje zajęcie objawi się pomyślnym stanem twych interesów, że ani wiosek przedawać, ani długów zaciągać nie będziesz; to nikt ciebie bankrutem nie ogłosi, ale owszem ty zostaniesz przykładem, jak nie uszczuplając zostawionych po ojcach dostatków, należy z dostojnością szafować dochody z onych. Dom twój, jeśli mnie dobrze Alfredzie pojmujesz, za pomocą bogactw co ci los udzielił, może zostać szkołą okolicy, miejscem, gdzie się gromadzić i rozwiązywać będą zajęcia społeczeństwa tutejszego, i ogniwem łączącym cywilizacją tych stron, z cywilizacją

zagraniczną, do której, dla majątku naszego, większy mamy przystęp od innych. Tu ojciec z ochotą przyśle syna swojego, aby nabył łożenia, aby książek, których w znacznej ilości sam nie jest w stanie kupić, dostał, oraz pozawierał znajomości na dalsze jego życie mu potrzebne. Tu matka, dla tychże samych pobudek, przywiezie córkę swoją, i dlatego także, że w twój dom uczęszcza młodzież, z której ona dozgonnego przyjaciela obrać może. Jeśli ze dwa lub trzy wesela tu ułożą się, jeśli z parę kompromissów rozsądzisz, jeśli wadzących się sąsiadów do zgody skłonisz, lub podupadłego szlachcica w interesach wesprzesz, nabędziesz wpływu niezmiernego, i osądzą cię współobywatele panem swoim, kością z kości swoich; bo cóż jest ten, co chce uchodzić za arystokratę, za pana, a nie umie uczynić za- dość warunkom towarzystwa, z którego początek i położenie swe bierze? ten co jest niby panem, a oddziela się od swego społeczeństwa, i nie usiłuje, zyskując jego miłość, przywozić mu? Jest tylko takim panem jak każdy żyd bogaty, lub podobny do tych generałów adjutantów byłego króla naszego, co ani jednym żołnierzem nie dowodzili; albo do tych świeższych rycerzy Maltańskich, co Malty nigdy nie widzieli. Sąto blichtry panów, a nie panowie rzeczywiści, i na nieszczęście prawie cała nasza arystokracja, głosząc się szumniej niż kiedykolwiek arystokracją, inaczej postępować nie umie!

— Heleno, odpowiedział jej mąż, ty zawsze bardzo pięknie mówisz, ale wszystko w świeższych niż istotne barwy widzisz. Skręśliłaś sobie utopią o panach, tak jak inni tworzą utopie o rządach. Ale ponieważ ty temu wierzysz, a mnie to może zabawić, więc rób jak zechcesz, i ułóż sobie to otwarcie domu, tę nową komedią, gdzie szlachta okoliczna, dla uciechy naszej będzie dawać reprezentacyą. Wyjdzie cokolwiek więcej cukru, wina, herbaty, zabrudzą mi pałac, ale kiedy nie mamy czém lepszym bawić się, bawmy się i tém, bo jak mówi stara piosnka:

W niedostatku jegomości,

Dobry i

— Alfredzie! przerwała żywo p. Milska, jak ty nie możesz odzwyczaić się, od twych nie wiedzieć gdzie zbieranych piosnek i przysłów! Dziwno mi, że człowiek dobrze wychowany, i z światem od dzieciństwa otarty, ma tak szczególne przyzwyczajenie.

— Czego chcesz Heleniu, wszak sama nieraz mi mówiłaś, iż piosnki i przysłowia, jestto natchnienie i mądrość ludu.

— Zapewne, ale tu idzie o wybór tego natchnienia i tej mądrości, a ty często, Alfredzie, wcale niedobrze wybierasz. Lepiej, nim umówimy się jak przystąpić do wproszenia sąsiedztwa i urzędzenia ku temu domu naszego, zakończmy ten ranek czytaniem. Dawnośmy się widzieli z naszym wielkim wieszczem. Czy chcesz abym ci coś z niego przeczytała?

— Dobrze, Heleniu, bo ty bardzo pięknie czytasz. Wzięła Helena książkę, i zaczęła czytać ze znajomego poematu początek:

Sto lat mijają, jak zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził,

i czytała dalej, z coraz więcej rozwijającym się uczuciem, co dźwięk szczególniejszy jej głosowi dodawał, i zdawało się, że te cudowne wiersze, jeszcze cudowniejszego uroku w wyrażeniu nabywały, przechodząc przez jej pojęcie i usta. A nakoniec, gdy przyszła do miejsc, gdzie Wajdelota śpiewem swym budzi Konrada, obróciła się do męża, ale Alfred chrapał, a Hektor i Pardwa śpiąc także, wtórowały mu.

NB. Jeśli się komu dziwno wyda, że dama tak rozprawia, i zwątpi o rzeczywistości takiej pani, zapraszam go w nasze strony, a pokażę mu jejmoście, co nietylko tną rozprawy *ex professo*, ale nawet mogłyby i po łacinie dysputę prowadzić.

Nowości literatury Rossyjskiej.

W pismach Rossyjskich dosyć często zawierają się wiadomości o literaturze Polskiej, nawet przekłady znaczniejszych utworów dzisiejszych Polskich pisarzy; rozumiem więc, że udzielając czytelnikom Biblioteki Warszawskiej nowości z literatury Rossyjskiej, zrobię im przyjemność. Cóż może przeszkadzać narodom do udzielania sobie nawzajem swoich umysłowych płodów; wszak dziedzina nauk i literatury, jest spólną dziedziną ludów, a na téj drodze poznają się z sobą z najpiękniejszej strony, zrzuciwszy wszelkie narzucone im przesady.

Nasamprzód będę mówił o piśmie peryodycznym: *Moskwicianin*, wydawaném przez profesora Pogodyna w Moskwie. Poszyt 1szy z tego roku zawiera nader zajmujące artykuły. Oto są niektóre: *Życie Itesensa*, jednego z znakomitych uprawiaczy nauk w Niemczech, literata, filozofa i przyjaciela Schellinga. *Porównanie historyi Rossyjskiej z historyą zachodnich Europejskich państw, co do pierwiastku* (przez M. Pogodyna). *Domysł o pochodzeniu nazwy miasta Kijowa* (przez ks. M. Oboleńskiego). *Przegląd współczesnego stanu literatury Europejskiej* (przez J. Kirejewskiego). *O prelekcjach publicznych* (z historyi literat. Rossyjskiej profesora Szewyrewa). *Ustęp z pamiętników podróży o Czarnogórze* (Montenegro), przez A. Popowa.

Na szczególniejszą uwagę zasługują artykuły p. Pogodyna i Kirejewskiego. P. Pogodyn w swoim porównaniu historyi Ro. z historyą Euro. zacho. państw, na samym wstępie powiada, że te ostatnie winny swe pochodzenie *zawojowaniu*, i przytacza następujące słowa znakomitego *Thierry* (1):

„Na założenie nowych wielkich państw, głównie działała siła; towarzystwa nowe urządzone zostały z odłomków towarzystw dawnych, gwałtem obalonych, i w tym procesie odnowienia, liczne plemiona straciły nie bez cierpień, swoją wolność, a nawet imię, zastąpione imieniem obcém.

(1) *Ob. Histoire de la conquête de l'Angleterre par les Normands. Paris. 1830, str. XV i CIX.*

Klasy wyższe i niższe, które teraz uważają siebie z nieufnością lub walczą za sposób myślenia i rządu, są nieczem innym w wielu krajach, tylko plemionami zawojowanymi i podbitymi z czasów dawnych. Takim sposobem miecz zawojowania odnowił oblicze Europy, i rozmieściwszy jej mieszkańców, pozostawił swoje dawne piętno na każdym narodzie, który złożył się z mieszaniny rozmaitych plemion. Plemię wojowniczych przychodniów, pozostało klasą uprzywilejowaną, przestając być plemieniem oddzielnym. Od niego ma swój początek stan rycerski (szlachta), który przyjmując do swego łona wszystko, co się odznaczało w niższych klasach ambitnością, burzliwością, i włóczęgostwem, dlatego, aby nie być zatraconym, wziął przewagę nad ludnością pracowitą i spokojną w ciągu wojskowego rządu, który pochodził od zawojowania. Plemię zwyciężone, pozbawione ziemskiej własności, władzy i swobody, utrzymując się nie z oręża, lecz z pracy, mieszkając nie w obwarowanych zamkach, lecz w miastach, utworzyło towarzystwo, niby oddzielne od wojennego związku zwycięzców. Klasa ta podnosiła się w miarę tego, jak podupadała feudalna organizacja szlachty, pochodzącej od dawnych zwycięzców, naturalnie lub politycznie; być może dlatego podnosiła się, że zachowała w swoich murach resztki cywilizacji Rzymskiej, i przy tej słabej pomocy zaczęła cywilizacją nową.

Tak Francuzi i Anglicy zapatrują się na historią swoich krajów, i to jest bardzo trafnie, dodaje p. Pogodyn. Potem pokrótce wyklada rys historii zachodnich państw, w sposób następujący:

„Do jednego plemienia, przychodzi drugie (do Gallów Frankowie, do Bryttów Normanowie, do Hiszpanów Westgotowie, do Włochów Longobardowie i t. d.). Przychodnie podbijają krajowców i osiadają między nimi. Dowódzca dzieli kraj między swoich współzawodników, którzy (feudalni), w mocnych zamkach stają się panami, i mieszkają kosztem plemienia zwyciężonego. Między temi plemionami, powstaje zacięta nienawiść, która tym więcej się wzma-

enia, im dłużej zostaje przymuszoną tać się. Tylko w miastach kryje się mała liczba mieszkańców, którzy w przeciągu wieków, po wielu próżnych usiłowaniach i ofiarach, zwolna, z największą trudnością, wyzwalają się z pod ich wpływu i potrafią odzyskać swoją niepodległość, przy pomocy królów, dla których feudalni także byli ciężarem. W miastach formuje się klasa średnia, przy dworze zaś arystokracja, pochodząca od feudalnych, którzy przechodzą tam z zamków, przyswajają sobie wszystkie przywileje i zaczynają uciemniać lud pod inną formą. Klasa średnia, po wojnie obronnej przedsięwzięła wojnę zaczepną, dążąc do zrównania się z uprzywilejowaną arystokracją. Ta ostatnia nie ustępuje, walka zaś dwóch tych klas, kończy się rewolucją, której historią Napoleon wyraził w czterech słowach: „Gallowie zrzucili jarzmo Franków”.

„Za naszych czasów klasy niższe, zaraz po klasie średniej, ukazują się na scenie, i jak w rewolucji, klasa średnia walczyła z wyższą, tak teraz klasa niższa zabiera się na zachodzie do walki z klasą średnią i wyższą razem. Już widzimy prolog do tej walki: Saint-Simoniści, socjaliści, komuniści, odpowiadają encyklopedystom, którzy przedstawili prolog do rewolucji Francuskiej. Biada jeżeli tam klasy średnie nie upamiętają się zawczasu, i nie ustąpią. Mają one teraz do rozwiązania zadanie takiegoż rodzaju, jakie mieli *Notables* 1789 r.. Ci nie zrozumieli swego położenia i ściągnęli na swój kraj mnogie klęski. Nie rozumieją zdaje się, i nasi znakomici współczesni, sądząc na przykład, podług prośb Manszesterskich fabrykantów i mów Grahama i Pila, którzy z taką zawziętością nie chcą odstąpić jednej godziny z dwunastu, dla ulżenia nieszczęśliwym robotnikom, i obojętnie ważą na aptekarskich wagach krople ich potu i krwi, z dumnym zaufaniem, że rozwiążą węzeł Gordyjski, który tylko mocniej zaciąga się na zachodzie.

„Wszystkie te wypadki, przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, mają ścisły związek z sobą, stanowią jeden łańcuch, i wyprowadzają ród swój zupełnie genealogicznie od zawojowania, t. j. od pierwiastku państw zachodnich.

„Zawojowanie, rozdzielenie, feudalizm, miasta z klasą średnią, nienawiść, walka, wyswobodzenie miast, to jest pierwsza tragiedya trylogii Europejskiej.

Jednowładztwo, arystokracya, walka klasy średniej, rewolucya, jestto druga tragiedya.

Układy, walka klas niższych przyszłość w ręku Bożym!

Historya państw zachodnich, powtórzę, przedstawia jedne i też same zjawiska, tylko z małemi odróżnieniami co do ilości, własności, stosunkowości i innych względów w ingrediencyach pierwiastku”.

W tém miejscu p. Pogodyn dodaje następujący przypisek:

„Starożytna polityczna historia Europy, to jest Grecka i Rzymska, przedstawia zupełne podobieństwo do nowój w tym względzie. Cała historia Rzymska od Romulusa do Cezara, nie jest czém inném tylko walką patrycyuszów z plebejuszami, którzy urównowazyli się, niestety! dopiero pod wojskowém dyktatorstwem Cezara. U Greków te same stosunki objawily się w spółzawodnictwie Aten i Sparty, w wojnie Peloponezkiej, aż nakoniec Filip i Aleksander ostatecznie ich dokonali. Cezar i Aleksander zupełnie odpowiadają Napoleonowi, historia zaś rewolucyi Francuzkiej, jest krwawa miniatura wszystkich Europejskich historyj.”

Rozpatrzywszy się takim sposobem w dziejach Europy zachodniej, p. Pogodyn przystępuje do historyi Słowian Ruskich, i w pierwiastku historyi Ruskiej nie widzi nic podobnego. Odmienny skutek i pierwiastek odmienny, mówi autor. Na zachodzie wszystko powstało od *zawojowania*, na Rusi od *przyzwania* (*). Tu autor obszernie bierze pod rozwagę polityczne zjawiska, towarzyszące pierwiastkowi Rusi, w porównaniu z zachodem; mówi oddzielnie o każdym żywiole państwa, w pierwszym okresie jego pochodzenia, nakoniec cechy fizyczne i moralne ludu, znajduje zupełnie podobnemi do cech historycznych na Rusi.

(*) Wiadomo, że Nowogrodczanie przyzwali, zaprosili do siebie Waragów, aby panowali u nich.

„Lud Słowiański, mówi p. Pogodyn, był bardzo *liczny* i jedyny ze swego pochodzenia, czego nie przedstawia żaden kraj owego czasu. Gallia, Brytania, Włochy, wcześniej zaludnione, przyjęły wiele różnorodnych mieszkańców. Jedność pierwiastku nadała ludowi Słowiańskiemu moc i wpływ, któremu mimowolnie ulegli liczni przychodnie. Normanowie rozpuścili się w ludności Słowiańskiej, podobnie do kropli wina w wodzie, tak że zupełnie znikli. Na zachodzie przeciwnie: tak wzięli przewagę przychodnie, tak nacechowali swém piętnem krajowców. Tam Gallowie, w pewnym względzie stali się Frankami, na Rusi zaś Waragowie Słowianami.”

Wypadałoby przytoczyć tu cały artykuł p. Pogodyna, aby powziąć o nim dokładne wyobrażenie; lecz zarazem musiałbym uczynić niektóre uwagi przeciw niemu, co zostawiam sobie na inny wolniejszy i dogodniejszy czas, zwłaszcza, że wkrótce zamierzam pisać obszerną rozprawę o kwestyi Słowiańskiej, gdzie objęty będzie i ten przedmiot. Powiem tylko, że artykuł p. Pogodyna zawsze ma ważne znaczenie; można z nim się nie zgadzać, jednakowoż ma swoją wartość, jako przekonanie człowieka uczonego i myślącego. Wyznam także, że p. Pogodyn, zbyt wielką przepaścią oddziela wschód od zachodu. Tak być nie może! Ludzkość żyje wspólnie, jest na świecie jedna wieczna prawda, jeden wieczny postęp, jeden duch życia. Jedna oświata powinna ogarnąć całą ludzkość, a przytém narody, te wcielone myśli Boga, jak powiedział jeden z pisarzy Polskich, jeszcze więcej rozwiną swego własnego ducha! Napróżno więc p. Pogodyn kończy swój artykuł następnemi słowy: „Zachód nie może być na wschodzie, i słońce nie może zachodzić tam, gdzie ono wschodzi!” Więcej zgadzamy się z p. Kirejewskim, jak zaraz zobaczymy z jego artykułu. Przynajmniej on przypuszcza, że *nowy żywioł* ma spoić się z żywiołami cywilizacyi Europejskiej.

Artykuł p. Kirejewskiego o literaturze Europejskiej, pełen jest nowych, silnych myśli, i odznacza się głęboką znajo-

mością obranego przedmiotu. Przytaczam tu wnioski z téj rozprawy:

„Oddzielne rodzaje literatury zmieszają się w jedną, nieoznaczoną formę.

„Oddzielne nauki nie utrzymują się więcej w swoich dawnych granicach, lecz dążą do spotkania się z naukami ich blizkiemi, i w tém szerzeniu swoich granic, przymykają do swego ogólnego środka, filozofii.

„Filozofia, w ostatecznym swoim rozwinięciu, szuka takiego pierwiastku, w przyznaniu którego mogłaby się spoić z wiarą w umysłową jedność.

„Oddzielne zachodnie narodowości, doszedłszy pełności swego rozwinięcia, dążą do zniesienia rozdzielających je odróżnień, i do połączenia się w jedną wspólną Europejską cywilizacją. Skutki te pochodzą z przyczyny dążeń każdego narodu do zgłębienia, odnowienia i zachowania swéj narodowości. Im więcej dążenia te dochodziły do pierwiastkowych zasad oddzielnych narodowości, tym widoczniej napotkały w nich pierwiastki nie osobne, lecz wspólnie-Europejskie.

„Tymczasem ten panujący pierwiastek życia Europejskiego, oddzielając się od narodowości, przez to samo już okazuje się nam jako odżyły, jako przeszły co do swego znaczenia, chociaż jeszcze trwający co do faktu.

„Uznawając niezupełność oświaty Europejskiej, ogólne uczucie przez to samo odróżnia ją od innych pierwiastków spólnego rozwinięcia się ludzkości, a odznaczając to rozwinięcie, jako szczególne, wykrywa nam *istotny charakter zachodniej oświaty*, w jéj częściach i całości, jako główne dążenie do osobistego i samoistnego rozumowania w myślach, w życiu, w towarzystwie, i we wszystkich sprężynach i formach ludzkiego bytu.

„Z tego wszystkiego, cośmy powiedzieli, wynika jeszcze, że współczesny charakter Europejskiej oświaty, co do swego historycznego, filologicznego i żywotnego znaczenia, zupełnie odpowiada charakterowi téj epoki Rzymsko-Greckiej cywilizacji, kiedy, będąc rozwiniętą do za-

przeczenia samęj siebie, w skutek naturalnej konieczności, powinna była *przyjąć w siebie inny nowy pierwiastek, który zachowywał się u innych plemion, niemających do tego czasu powszechno-historycznego znaczenia*".

Z tegoż poszytu *Moskwicianina*, dowiadujemy się z listu Żukowskiego do jednego z literatów, że ten znakomity poeta w literaturze Rossyjskiej, nawet wielki obok świetnej chwały nieśmiertelnego Puszkina, przetłómaczył jedenaście pieśni z *Odyssei* Homera. Dowiadujemy się także, że przekład ten celuje prostotą przed wszystkimi innemi dotąd istniejącemi; jest dokładny jak proza, a zarazem poetyczny na wzór Homera; język nienacechowany Grecyzną jak u Niemców, i o wiele lepszy jak we wszystkich przekładach Francuzkich, albo jak Popa. Przekład ten Żukowskiego, będzie drogim nabytkiem dla literatury Rossyjskiej.

Przekład Homera powinien być w zupełnie nowym rodzaju. W każdym innym poecie, nie pierwotnym lecz już w poecie-mistrzu, ciągle daje się napotykać przy jego wrodzonym natchnieniu, zarazem i dzieło sztuki. Jakie naprzykład, wypracowanie w *Wirgiliuszu*! W *Homerze* sztuki tej niema; jestto dziecię, które pojęło wszystko co jest niebieskiem i ziemskim, i opowiada o tém na łonie swojej piastunki, natury. Poeta naszych czasów nie może pisać językiem Homera; byłybyto grymasy stariej kobiety, która chce naśladować piętnastoletnią piękną dziewicę.

Żukowski chce zrobić dwa wydania *Odyssei*: jedno dla wszystkich czytelników, drugie dla młodzieży, której trzeba dać w ręce nie suche wypisy w prozie z *Odyssei*, lecz żywego opowiadacza Homera. W tej ostatniej edycyi, zrobione będą opuszczenia i poprawki, co jest łatwem, a liczba ich będzie bardzo mała. Nadto, Żukowski ma zamiar dodać rodzaj prologu do tego, że tak powiem, oczyszczonego Homera; wystawić w jednym obrazie wszystko, co było przed

początkiem wędrowki Odysseusza. Obraz ten obejmuje cały, pierwotny, mitologiczny i bohaterski świat Greków. Opowiadanie ma być w prozie, lecz wszystko, co bezpośrednio stanowi całość z Odysseą, jakoto wojna Trojańska, gniew Achillesa, upadek Troi, los Achillesa i Pryama, wszystko ma składać jedną zwięzłą powieść hexametrem ułożoną z różnych urywków Iliady, tragików i Enejdy. Takim sposobem *Odyssea* dla dzieci, będzie zarazem żywą historią dawniej Grecyi i zupełnym obrazem jej mitologii, stanowiąc wielce nauczającą książkę dla dzieci.

Zpomiędzy dzieł osobno wydanych w ostatnim czasie, mają niepospolitą wartość następujące:

Faust, tragiedya Göthego. Przekład części pierwszej i wykład drugiej, przez *M. Wronczenko*. Petersb. 1844. Do obydwóch części jest dodany ogólny przegląd. P. Wronczenko nie zmienił treści i myśli oryginału przez fałszywe naśladowanie, lecz z zaufaniem w siłę wewnętrzną ducha i poświęceniem się autora godnym szacunku, oddał ten wielki utwór w swoim przekładzie, zbliżając się ile możności do oryginału. Jest w języku Rossyjskim inny przekład *Fausta*, przez Edwarda Hubera, lecz ten nie tak dokładny, chociaż więcej odznacza się pięknnością wiersza, jak przekład p. Wronczenko.

Zarysy Francyi południowej i Nizy, z pamiętników podróży 1840 i 1842 r., przez panią *M. Żukow*. Dzieło to pełne jest pięknych obrazów i obyczajowych opisów kraju.

Dla idących spać, wyjątki z powszedniego życia, przez hrabiego *W. A. Sollohuba*. Wydanie 2^{gie} cz. I. Petersb. 1844. Jestto zbiór zajmujących powieści, napisanych z niemałą sztuką i znajomością serca ludzkiego.

Gammy, poezye *J. P. Połońskiego*, Moskwa 1844. P. Połoński niedawno wystąpił w zawodzie literackim. Poeta z silnym talentem, odznaczający się nowością pomysłów, a nadewszystko głębokiem uczuciem.

Do liczby ważniejszych dzieł treści uczonej, należą następujące:

Pomniki Ruskie, wydawane przez cesarskie Towarzystwo historyi i starożytności Rosyjskich (Russkija Dostopamjantnosti, izdawajemyja imperatorskim obszczestwem istorii i drewnostej rossijskich.). Tom III. Moskwa 1844., str. LN. i 316. Zawiera *Słowo o pólku Igora*, objaśnione podług dawnych piśmiennych pomników, przez magistra D. Dubeńskiego.

Formy grammatyczne objaśnione są i porównane z dawniejszemi, począwszy od Ewanielii Ostromira. W końcu p. Dubeński dodał bardzo dokładny zbiór wyrazów. Podania *Słowa o pólku Igora*, porównane są z opowiadaniem kronik. Bez wątpienia, że pomimo całej uczoneści i sumiennosci wydania, można nie zgadzać się z p. Dubeńskim względem wielu objaśnień, lecz pracowity zbiór wszystkich poprzedzających badań, jego własne poszukiwania, niekiedy bardzo trafne, szczególnież zaś ścisły etymologiczny rozbiór form *Słowa o pólku Igora*, mieszczą wydanie p. Dubeńskiego w rzędzie dzieł bardzo ciekawych dla każdego filologa.

W następnym artykule doniesiemy czytelnikom Biblioteki Warszawskiej o literaturze Czeskiej i Serbo-Illiryjskiej. Są tam nowiny bardzo pocieszające, w odrodzeniu się pokoleń Słowiańskich.

Dubrowski.

Słócko o badaniach historycznych P. Stanisława Kaczkowskiego.

Miłością do Słowiańszczyzny przejęty autor *rozprawy o mniemanym trybucie i holdownictwie Polski cesarstwu Niemieckiemu*, pracowicie napisanej, zbudował mniemanie swoje na tym domysle, że Dytmar, główne Mieczysławowych i Bolesławowych dziejów źródło, żadnej rękojmi na poparcie rzeczy tyle ważnej nie daje. „Pojrzawszy (mówi

on) porównawczo Dytmara Merseburskiego, trzeba przyjąć za pisarza źródłowego; ale zarazem ostrzedz, że kronika jego nieraz źle przepisana, a gorzej jeszcze rozbiérana, dała powód do baśni o Polsce. Że autograf kroniki jego zagiął, a odpisy które mamy, służyć za świadectwo wiary godne nie mogą." Żałować należy, że autor tak pracowity, i o wydobyćie prawdy tak troskliwy, jakim się być p. Stanisław Kaczkowski okazuje, pozbawiony jest pomocy niezbędnie potrzebnej do tak ważnego przedmiotu, jakim jest wyświecenie dziejów. Gdyby był miał pod ręką najnowsze wydanie Dytmarowej kroniki, mógłby sobie być ująć móżółu podjętego w wyjaśnieniu rzeczy, dostatecznie już zdaniem naszym wyjaśnionej. Perc, zabiérając się do nowego wydaniarzeczonej kroniki, obejrzał się po archiwach, i znalazł jéj autograf w Dreźnie. Autograf ten był już wprawdzie znany Wagnerowi, którego wydanie pod ręką miał p. Kaczkowski, lecz, jak mówi Perc: *codice Dresdensi negligenter tantum usus est editor, immo nonnunquam lectiones ejus falso refert*: w czém nietylko się odwołuje do wydania które w poczet zebranych i drukiem przez siebie ogłoszonych kronik przyjął, lecz nadto do rozprawy o tém umyślnie napisanej czytelnika odsyła (1). Zdanie to dzisiejszego Arystarcha średniowiekowych kronik, tudzież dowody na autentyczność Dytmarowego dzieła przezeń stawione, dostatecznie wykazują, że przed rozpoczęciem dowodu, potrzeba uczynić dokładny wywód świadectw, ażeby było czém usprawiedliwić zarzut czyniony. Niechaj się autor rozprawy *O mniemanym trybucie* w tych dowodach rozpatrzy, niech rozważy sześć foliałów Percowych kronik, niech w pomoc weźmie akta urzędowe Słowian Nadłabańskich w rozlicznych a ważnych zbiorach najnowszych drukiem ogłoszone (2), niech się zagłębi w wszelakich pomnikach dziejów Sło-

(1) *Monimenta Germaniae historica ab anno Christi 500 usque ad annum 1500, edita Hanoverae 1838, tomus Vtus. p. 720, 732.*

(2) Przez pp. Stenzel, Lappenberg, Lisch, Riedel, Rosegarten, Medem, Fabricius, i t. d. i t. d.

wian tychże, a znajdzie tam czego żąda. Bierzemy go za słowo które dał, mówiąc o rzeczy przez siebie pod rozwagę wziętej: „Każdemu pisarzowi obcemu czy Polskiemu, utrzymującemu że Polska płaciła trybut i hołdowała Niemcom, zaprzeczam, i wtenczas dopiero do niewiadomości się przyznam, gdy mi dowiodą, że kraje nad i za Elbą aż do wyspy Rugii, były Polską; a Obotrycy, Wilcy, Hawelanie, i reszta pokoleń Wendeńskimi zwanych, byli takimi Polakami w X i XI wieku, jak Łęczycanie i Sieradzanie.” Takci zaiste było *mutatis mutandis*, o czémby wiele rozprawić przyszło, ale nie jest tu pora i miejsce potemu. Wszakże przyjdzie czas i godzina, a wtedy może uczyni się zadosyć życzeniom autora, które objawił przy końcu swego wywodu: „Skoroby zaś kto, przy wierze w trybut i hołdownictwo Polski, mając ochotę konieczną pozostania, posiadał do tego gruntowne, na pewnych świadectwach dowody, niech je ogłosi; niech mnie połaje, ja nie odpowiem tylko się będę uczył, czegom się dotąd z dziejów nauczyć nie mógł. W ich zaś niedostatku, niech Polski hołdowniczką nie robi, bo mógłby być o złą wolę posądzony.” Zapewnić go możemy, że zły woli nie miał ani Joachim, ani ja, ani p. Moraczewski, zgola nikt, ktokolwiek po Naruszewiczu zdanie o hołdownictwie i trybucie Polski za Mieczysława i pierwszych lat panowania Bolesława Chrobrego, podzielał. Ubolewał tylko nad tém wespół z autorem każdy, że tak zwane Lechickie plemiona ziemczały i niemczeją (słowa są autora), a ubolewał tym bardziej, gdy Niemców słowa odpowiadające na nasze skargi „i wasza w tém wina” niemało w sobie mają prawdy. Właśnie historyi jest dziełem wyjaśniać tego powody. Jej zadaniem jest, wyświecać prawdę, wystawić położenie, w jakim niegdyś zostawał monarcha i naród Polski, zmierzyć tenże naród zasługami dla ludzkości, stosunkowo do czasu wyświadczonemi, nie mijać się z pojęciem praw człowieczeństwu wytkniętych. Kto pod tym względem historią rozważać usiłuje, musi zawadzić o niejedno, co czytelnika, mającego takie o historyi wyobrażenie, jakie p. Stanisław Kaczkowski posiada, wprowadzić może

w zły humor. Dał go nam uczuć nietyle tu, ile w artykule *O początku Polaków i Polski* (w numerze październikowym Biblioteki Warszawskiej z roku zeszłego ogłoszonym). Ile nam w swój rozprawie niby usterek wytknął, tyle ich sam, a nawet tyle grubych popełnił błędów, które prostować byłoby długą a na teraz niepotrzebną rzeczą, zwłaszcza, gdy właśnie ukończone dzieło nasze (*Piérwotne dzieje Polski*), które zaraz po odebraniu go z cenzury do druku podane będzie, nad szczegółami przez niego wytkniętymi rozwodzi się szeroco. Dla pamięci przypominam je, a z sprostowaniem ich do czasu o cierpliwość proszę. Podług twierdzenia p. Kaczkowskiego (Bibl. Warsz. roku 1844 październ.), miał rozprawiać Kadłubek o Jawanie i Wandalu (str. 41), Ptolomeusz miał z Tacyta wypisać wiadomość o Sarmackim morzu (str. 45), u Czechów nie miało być Łęczanów, Estyowie i Lutycy nie mieli czić dzika za świętość (str. 44), nie ma być wiadomo z której strony Elby mieszkali Swewowie (str. 40), mappa Naruszewicza miała mi być o Ligiach źródłem (tamże), nad Elbą nie mieli nigdy mieszkać Polanie (str. 50), Licicavici poczytani przeze mnie za Ligiów czyli Łęczan, mają być *absurdum* (*) historycznym (tamże). Nie dziwujemy się, przeczytawszy to, że nie może, jak oświadcza (str. 49), zdążyć p. Kaczkowski za pomysłami i kombinacyami memi; bo wiemy, że trudno jest puszczać się w drogę bez należytych do podróży zapasów; ale nas mocno zastanawia, jak można było pisać *Cokolwiek o początku Polski i Polaków*, nieobznajmiwszy się należyście z źródłami historyi.

(*) Jestto dowcip, podobnusięńki owemu, z którym się popisał, mówiąc (Bibl. Warsz. r. 1845, luty str. 313), że ów wielbłąd którego podarował Ottonowi cesarzowi Mieczysław I, był może, jako przy Wielkiójnocy, dla malutkiego cesarza wielbłąd z ciasta lub piernika.

*Testament Reginy z Fulsztyna Herburcianki Żółkiewskiej,
kopiowany z oryginału własną jej ręką pisanego.*

1610, dnia maia 13.



1617, dnia sierpnia 21 przepisany.

Opisującym zwyczaje przodków naszych nie będzie bezużyteczną niniejsza kopia testamentu, który, jakby dopełniający całości z powyżej przez historyka przywiedzionym (str. 303), przedstawi porównanie miłe dla szanujących wszelkie zabytki przeszłości.

„W imie Pana Boga Wszechmogącego, w Troycy świętej iedynego, Amen. Regina z Fulsztyna Żółkiewska wiedząc iż na świecie nie masz nic wiecznego, ale wszystkie rzeczy skazitelnosci y odmianie podległy, y każdy kto się rodzi umrzeć musi, a co większa, że czasu y godziny żaden nie wie to naprzod wyznawam że w wierze świętego kościoła katolickiego Rzymskiego schodzę z miłością y nadzieią ku Panu Bogu, mając w nim pewną y niemylną że mię przyimie do chwały swojej Świętej przez mękę y śmierć Syna Swego najmilszego Jezusa Chrystusa . . . Tegom sobie zawdy życzyła aby pan Bog pierwey wiek moy skrocił niż namilszego małżonka mego, gdyż nie małych frasunkow użyłam w niebytności iego, kiedy na mieyscã woienne y niebezpieczne częstokroć odieżdżał, y po dwie lecie bez małego czasum go niewidziała. Ufałam zawdy Panu Bogu że mię sieroctwem iuż nie miał karać, iednak y tom iako y inne rzeczy pod wolą iego świętą oddawała. To com była powinna le^o Mci Panu małżonkowi swemu, wiarę miłość y posłuszeństwo, iakom mogła, za pomocą Bożą oddawałam; po nim doznawałam też wiary y miłości, za co niech mu Pan Bog będzie zapłatą y nagrodą wieczną. O wychowanie dziatek uczciwe starałam się z wielką pilno-

ścią, naprzod żeby się Pana Boga bały, w cnotach świętych się ćwiczyły, także y o wszytek dom swoy y to żebym Ie^o. Mci Panu małżonkowi swemu usłużyła iako naypilniey, tak w duchownych posługach, gdyż siła mam świadkow w kościele Bożym kapłanow y ubogich ktorzy mi pomagali zań Pana Boga prosić; także w domowych posługach, iakom mogła starałam się abym go żalowała y w gospodarstwie, iednak za pomocą Bożą nie z uciskiem poddanych; ieslim też w czem nie dogodziła, proszę aby mi to W.M.c dla Pana Boga odpuścił... Zatym pewnam tego że y duszę moiey nie zechcesz W.M.c przepomnieć a to co się tu naznacza oddać miłościwie każe o co pilnie proszę do kościołow y szpitalow. Naprzod Kościół Żółkiewski iest iuż dobrze opatrzony we wszytko, co niech będzie na chwałę Bożą; pewnam tego że za dusze nasze będą się w nim modlić, iednak kapłanom dać zło. 50.; na kościół Rubieszowski farski zło. 100, kapłanom zło. 30.; do szpitala zło. 10.; dominikanom tamże zło. 100 na kościół, a iałmużny im zło. 30.; do Skabina na kościół zło. 100, kapłanom zło. 30, szpitalowi zło. 10; do Grodka na kościół zło. 100, kapłanom iałmużny zło. 30, szpitalowi 10; do Kamionki na kościół zło. 100, księży zło. 30, szpitalowi 10; do Kałusza na kościół zło. 100, księży zło. 30, szpitalowi 10; do Baru, na kościół farski zło. 50. dominikanom tamże zło. 50, księży 30^{tu} unitom zło. 30., tamże na szpital zło. 10; do Bernardynow we Lwowie, zło. 100; do Dominikan zło. 100; a na księży zło. 30; obum do szpitala S^o Ducha zło. 30; do szpitala S^o Stanisława zło. 30; do oycow Iezuitow zło. 100; do Pani Ksieni zło. 100; do Bernadynek zło. 100, Panom do S. Bridi (sic) zło. 50; karmelitanam zło. 50; drugim zło. 50; z skrzynki moiey to oddać proszę dla Pana Boga — Sługam wedle postanowienia płaciło się wszytkim, iednak kontentować czym łaska Ie^o Mci proszę — O długach starałam się aby ich nie było, iednak iesli z niepamięci znalazłoby się co, proszę aby zapłacić. Także krzywdę iaką iesli by kto do mnie sobie znaydował nagrodzić; y szkodę przez mię.....

(Dopisek.)

1624, marca 10.

Że mę już Pan Bog z woli swey a za grzechy moje nawiedził, że mi wziął opiekuna y dobrodzieia, wziął y dziedzica syna iedynego, do ciebie moja namilsza corko rzecz swą obracam, ktorey miłości zawdy y posłuszeństwa doznawałam. Niechże cię Pan Bog błogostławi y chowa długo y z Iego Miłością Panem małzonkiem twym, y z namilszym potomstwem, osobliwie syna a namilszego wnuka mego, a da Bog dziedzica tey krwie pracy dobrodzieia mego y mey pracowitey. Pewnam tego, że za uczciwym wychowaniem o ktore się staracie, będzie się umiał rządzić; proszę tedy moja namilsza corko abyś temu com w pierwszym testamencie namieniła, uczyniła dosyć. Wszak y po mnie zostanie wam cokolwiek czym wolno szafować, ale z miłości to czynię, pewna tego będąc że duszę mey nieprzepomicie. Za co wam Pan Bog będzie błogostławił.”

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

Astronomia.

O wpływie plam słonecznych na temperaturę ziemską. Obserwacje plam słonecznych, od lat 18 czynione w *Dessau* przez astronoma *Schwabe*, i ogłaszane w piśmie pod tytułem: *Astronomische Nachrichten*, dały powód w roku zeszłym p. *Gautier* profesorowi astronomii w *Gienewie*, do porównania lat pod względem temperatury, w których na słońcu wiele plam widziano, z latami gdzie ich mniej było, a to w celu rozwiązania ważnego pytania, czy jawienie się plam słonecznych ma jaki wpływ na temperaturę ziemską lub nie. *Wiliam Herszel* (ojciec) był zdania, że im większa liczba plam na słońcu się pokazuje, tym więcej wypływa ciepła słonecznego, a następnie iż temperatura atmosfery ziemskiej się powiększa; późniejsze jednak postrzeżenia wprost przeciwny wypadek okazały, to jest, że tworzenie się plam, zmniejsza temperaturę. *Schwabe* w średniem przecięciu liczy 252 dni w roku, w których plamy są widzialne; największa liczba dni w których plamy się pokazywały, wyno-

siła 324 w roku 1834; najmniejsza 168 dni, w roku 1837. W pokazywaniu się plam słonecznych uważał Schwabe pewien rodzaj peryodyczności, to jest: iż po pewnej liczbie lat w których plamy były liczne, następują lata, gdzie ich mniej było; potem był okres lat obfitszych w plamy, i tak następnie. W numerze 102 pisma peryodycznego *Bibliothèque Universelle*, Gautier podał spis plam słonecznych, liczbę dni z plamami i bez plam każdego roku uważanych w ciągu 18^{tu} lat od r. 1826 — 1844 a obok tych średnią temperaturę roczną tychże lat oznaczoną w Paryżu, Gienewie i na górze śgo Bernarda.

Z tego spisu okazuje się, iż rok 1826 w którym Schwabe rozpoczął obserwacje plam słonecznych, nie przedstawiał wielkiej ich liczby; gdyż na 277 dniach obserwacji, było tylko 22 dni z plamami. W pięciu następnych latach od r. 1827—1832, które tworzą dział pierwszy (*a*), nie było prawie żadnego dnia bez plamy, a liczba grup ciemnych widzianych na tarczy słońca, wynosiła średnio 185 na rok. W czterech latach od r. 1832—1836 stanowiących dział drugi (*b*), średnio w roku było widzialnych 85 grup. Cztery lata od r. 1836—1840 nie okazały żadnego dnia bez plamy. W roku 1840 trzy tylko były dni w których plam nie widziano. W tych ostatnich pięciu latach, tworzących dział trzeci (*c*), średnia liczba dni z plamami, wynosiła 240. Nakoniec trzy lata od r. 1841—1844, okazały średnio 76 dni bez plam, a 68 grup ciemnych rocznie; trzy te ostatnie lata połączone z rokiem 1826, który przedstawiał podobne okoliczności, stanowią dział czwarty (*d*), w którym na rok wypada liczba dni bez plam 62, a liczba plam 81. Gautier porównywał lata różnych tych działów pod względem temperatury, do czego użył obserwacji czynionych w Paryżu, Gienewie i na górze śgo Bernarda, nadto w Berlinie i w innych miejscach Europy i w Stanach zjednoczonych Ameryki. Środek każdego z czterech działów lat, stanowi niejako rok charakterystyczny dla tego działu, do którego rok ten należy. Do pierwszego i trzeciego działu należą lata bardzo zimne t. j. rok 1829 i 1838; do drugiego należy rok 1834

bardzo gorący w Europie, do trzeciego rok 1843 również gorący we Francji.

Biorąc średnią temperaturę z 10ciu lat w Paryżu, należących do działów (*a*) i (*c*), w których zawsze prawie plamy na słońcu widziano, i w których średnio na rok przypada 212 plam, ta wynosi + 10°.51 C; gdy tymczasem dla ośmiu lat, działów (*b*) i (*d*), w których liczba grup ciemnych była mniejsza i wynosiła rocznie tylko 83, taż temperatura jest. + 11°.15 C; różnica wynosi 0°.64. C, to jest nieco więcej nad pół stopnia, w przeciwnym kierunku według opinii Herszla.

W niektórych przypadkach postrzegać się daje pewny stosunek odwrotny, między liczbą plam widzialnych, a temperaturą; i tak lata składające dział trzeci (*c*), w których było więcej plam, aniżeli w latach działu pierwszego (*a*), były też zimniejsze.

W Gienewie temperatura średnia roczna, dla działu (*a*) i (*c*), gdzie wiele plam się pokazywało, wynosiła + 9°.33 C; dla działu (*b*) i (*d*), gdzie mniej plam było widać, taż temperatura wynosiła + 9°.66 C; różnica 0°.33 C. w tym samym kierunku co i w Paryżu.

Na górze śgo Bernarda średnia temperatura dla lat w których więcej było plam, wynosi . . . — 1°.30 C; dla lat w których mniej było plam — 1°.12 C; różnica wynosi 0°.18 C. w tym samym kierunku co wyżej.

W Warszawie średnia temperatura roczna w pierwszym przypadku, to jest gdy plam było więcej, jest. + 7°.06 C; w drugim przypadku + 7°.26 C; różnica 0°.2 C. w tymże samym co powyżej kierunku.

Oprócz tego, Gautier porównywał temperatury lat wielu i innych miejsc, w których najmniej było plam, z latami, gdzie ich była wielka liczba; wypadki tych porównań ułożył w tablice, z których się okazuje: że na 33 miejsc Europy,

średnia temperatura lat bez plam, jest wyższa o $0^{\circ}.56$ C. od temperatury lat z plamami; czyli że większa liczba plam, zmniejsza temperaturę atmosfery ziemskiej. Drugie porównanie dla 29 miejsc Ameryki północnej, okazało różnicę bardzo małą, bo tylko $0^{\circ}.06$ C. wynoszącą, w tym samym kierunku co powyższe; z czego możnaby wyprowadzić ten wniosek, iż w Europie wpływ plam słonecznych na temperaturę, jest wyraźniejszy niż w Ameryce.

Ogólny wypadek dochodzeń Gautiego jest ten: iż lata, w których najwięcej plam było widzialnych, były zimniejsze od lat, w których plam mniej było widać. Nim jednak pytanie to stanowczo rozwiązaniem będzie, potrzeba jeszcze większej liczby miejsc i lat obserwacyj, aby można z pewnością wykazać, czy zachodzi jaki stały związek między zjawiskami plam a temperaturą, i czy ten jest tylko przypadkowym. Peryodyczność jaką Schwabe uważa w pokazywaniu się plam, jest wypadkiem bardzo ciekawym; przyszłość okaże, czy ten peryod jest statecznym, i czy siła słońca tworząca plamy, trwa jeden lub dwa lata, i czy ta siła z następstwem lat, powiększa się lub zmniejsza.

J. B.

Fizyka.

Zachowywanie się wody w temperaturach niższych od 0° . Przed kilku laty Despretz ogłosił wypadki swych doświadczeń nad rozszerzalnością wody i roztworów solnych, przy temperaturach niższych od 0° . Z nich się okazuje, że idąc ku $+ 4^{\circ}$ objętość wody ciągle się zmniejsza, od tego zaś punktu posuwając się do 0° i niższych od 0° temperatur, objętość stopniowo wzrasta, tak, że przy temp. $+ 4,007$ Cel., przypada minimum objętości wody. Gęstość zaś przeciwnemu podlega prawu; w temp. $4,007$ C. woda posiada największą gęstość. Łącząc te dwa prawa, wypada że na zimno woda przybiera większą objętość, i jednocześnie zmniejsza swą gęstość.

Powyższe wypadki stosują się do wody zostającej w stanie płynnym, nawet przy -9° i zamkniętej w próżni. W tém więc miejscu, wypada nadmienić następujące doświadczenie p. August. Wspomniony fizyk, w rurkę na 6 cali długą nalał wody, przez jęj zagotowanie wypędził z rurki powietrze, którą natychmiast szybko zalutował. Tak urządzony aparacik, zimą wystawił na temp. -12° i spostrzegł, że woda nie przestała być płynną. Nachylając zwolna rurkę, można ją było przelęwać, wstrząsając zaś mocno wodę natychmiast się ścinała. Zdaje się, że woda w stanie płynnym, tylko w temperaturach wyższych od -13° utrzymywać się może; gdyż pewnej nocy, w której mróz doszedł -15° , rurka pękła i woda zamarzała. Lód jednak był zupełnie bez blaszek. Powyższe doświadczenie, łatwo można powtórzyć, wlutowując w rurkę poprzednim sposobem zbudowaną, mały termometr, i cały ten przyrząd wstawiając w mieszaninę sztuczną oziębiającą. Woda w téjże temperaturze -10° pozostaje płynną, lecz wstrząsając rurką, termometr raptem podnosi się do 0° , a woda się ścina.

* *Tworzenie się tonów.* Ch. Fermond, przy śledzeniu ruchu powietrza w piszczałkach, dla większej jawności wypadków, używał doświadczeń dymu tytoniowego, jako łatwo w powietrzu dającego się rozpoznać. Główny rezultat tych doświadczeń do tego się sprowadza: że przy wydawaniu głosu, zawsze rozpoznać można mniej więcej regularny spiralny ruch powietrza. O tém łatwo przekonać się można, dmąc w szklaną piszczałkę napełnioną dymem tytoniowym. Że ruch spiralny dymu nie zależy od kształtu walcowatego rurki, ani od formy munsztuczka, przekonywa urządzona umyślnie do tego czworokątna piszczałka organu. O istnieniu podobnego ruchu powietrza przy wydobywaniu głosu, świadczy znane doświadczenie Savart'a, z proszkiem Lycopodium na drgających tafelkach. Podobnież cząstki wody z płaskiego dna naczynia otworem płynącej i głos wydającej, opisują linie spiralne. Naciągnięty na warsztacie powroźniczym sznurek, i za pomocą koła okręcany, bardzo charakterystyczny ton okazuje. Najlepiej jednak o biegu powietrza

po liniach spiralnych w czasie tworzenia się tonów, przekonywa aparacik, nazwany przez p. Fermond helikofonem, składający się z rurki szklanej, której długość przewyższa od 3—4 razy jej średnicę. Jeden jej koniec jest otwarty, a drugi zatkany korkiem, mającym na obwodzie wyżłobionych kilka skrętów śrubowych. Zadawszy w taki helikofon przez te otwory, powstaje natychmiast głos tym silniejszy, im mocniej dmiemy. Zamieniając w helikofonie powyżej opisany korek przez inny, mający na sobie mnóstwo wyciętych podłużnych i poprzecznych otworów, jakimkolwiek dąć będziemy sposobem, nigdy nie usłyszymy najmniejszego głosu.

Dmuchaając w flet szklany dymem napęczniony, tak aby flet wydał swój fundamentalny ton, spostrzegamy dym tytu niowy z pewną chyżością pędzący; zadawszy mocniej tak, ażeby ton o oktawę był wyższy, szybkość biegu daleko jest większa. I w ogóle, im wyższe tony flet wydaje, tym prędkość biegu jest większą.

Fermond badał następnie okoliczności towarzyszące wydawaniu tonów; wypadki tych doświadczeń są następujące:

Uderzając w szklaną tafelkę mającą porozrzućcane kawałki korka, spostrzegamy, że jedne kawałki pozostają w miejscu, stale oznaczyć się dającym, inne opisują linie krzywe, inne nakoniec, posuwając się w kierunku podłużnym i poprzecznym, obracają się przycém około siebie. Kawałki więc korka podwójnemu podległe są ruchowi, przekonywającemu o podwójnym ruchu cząstek otaczającego go powietrza. Doświadczeniem przekonał się Fermond, że ton w piszczałkach, jest skutkiem podwójnego ciągu powietrza spiralnego i obrotowego. I ten podwójny ruch sprawia rozprzestrzenianie się głosu we wszystkich kierunkach. Psując ruch spiralny przez dodanie do powyżej opisanego korka helikofonu różnych części, żadną miarą tonu z tego instrumentu wydobyć nie można. I tak w helikofonie ton ciągle słabiej, w miarę jak w kierunku równoodległym od osi instrumentu mocniejszy wiatr wzbudzamy, przez wyżłobiony w środku korka otwór.

W czasie wydobywania się głosu w rurkach, objawia się pewna siła wciągająca, zdolna kawałki korka a nawet słupy płynów do pewnej wznosić wysokości. Następujące doświadczenia przeświadczają o istnieniu i wielkości tej siły. W środek helikofonu, wsuwając napelnioną dymem szklaną rurkę z tą ostrożnością, aby w chwili, gdy rurka już blisko korka się znajduje, utworzyć w rurce małą dziurkę służącą dla wyjścia dymu; że za mocnym zadęciem nie usłyszymy żadnego głosu, lecz natomiast dym z rurki znika, będąc pociągnięty w przeciwnym kierunku. Robiąc podobne doświadczenie z rurką pełną kulek korkowych, spostrzegamy kulki w oka mgnieniu porwane w przeciwnym kierunku. Nurzając rurkę w wodzie, po zadęciu, woda w nią wznosi się do pewnej wysokości. Że w tym ostatniem doświadczeniu, podnoszenie się wody, nie jest skutkiem ciśnienia przez zadęcie sprawionego, przekonać się można otaczając rurkę na wodzie się nurzającą, dużym krążkiem tektury odprawdzającym wiatr na bok.

Wychodząc z podobieństwa tworzenia się tonów w czasie silnych wiatrów, z tonami powstającymi w helikofonie skutkiem spiralnego ruchu powietrza, łatwo do pewnego punktu objaśnić można niektóre meteorologiczne zjawiska towarzyszące trąbom morskim. Jeżeli wspomniany ruch powietrza, przytrafi się nad powierzchnią jezior, mórz, siła wciągająca tak może być wielką, że wodę do bardzo znacznych wzniesie wysokości. Jeżeli podobne starcie wiatrów nastąpi nad materykami, to bez porywania w górę lekkich ciał a często i wrywania drzew, rzadko się obejdzie. O słuszności zaś powyższego tłumaczenia, przekonywa uragan w 1829 w okolicach Trewiru przytrafiony, a przez profes. Grossman opisany.

S. P.

Chemia.

Srebro zastępujące amalgamat przy podlewaniu zwierciadeł. Professor Böttcher z Frankfortu, udzielił zgromadzonym naturalistom w Bremie następną wiadomość. Rozpuściwszy 5 granów saletranu srebra w roztworze amonii gryzającej, i dodawszy do tego cieczy zrobionej z 1 kropli olejku kassyowego (cynamonu kassyi), 2 kropel olejku goździkowego, i 1 do 1 1/2 drachmy bardzo mocnego wysokoku; wlawszy to wszystko w odbiéralnią szklaną, mieszanina po pewnym przeciągu czasu mąci się, osad zaś w niej powstały przez zlanie zwierzchu lub precedzenie, powinien być wydzielony. Tak przygotowaną ciecz wlewa się w flaszki, które w przeciągu kilku godzin powleczone zostają mocno przylgniętą do szkła warstewką srebra. Dr. Fr. Meurer, który z własnego doświadczenia podał stosunki wyżej wspomnianej mieszaniny, nadmienia, iż przy próbach, zamieniał na zwierciadła tylko szkielełka zégarkowe; nie mógł bowiem natrafić na dobry sposób robienia obwódki na taflach szklanych, aby się ciecz z nich nie wylęwała; gips i wosk nie okazały się do powyższego celu stosownemi; może twarde drzewo lub paski szkła przyklejone kauczukiem, lepszymi będą od ciał poprzednich.

Sposób niniejszy będzie tańszym od podlewania zwierciadeł amalgamatem, a co ważniejsza, nie wyrze on szkodliwego działania na zdrowie robotników, jak to przy użyciu merkuryusza ma miejsce; zwierciadła zaś z posrębrzaniem, wydają przedmioty naturalniej, lubo cokolwiek żółtawo, lecz i z amalgamatem, jak wiadomo, obraz przedstawia się sinawy. Wyżej podanym stosunkiem mieszaniny, można 16 cali □ posrębrzyć. (*Archiv der Pharmacie v. H. Wackenroder. Januar 1845*).

* P. Siret uważając na niedogodności przy użyciu prochu strzelniczego, głównie powstające ze zgrużlania się ziarn tegoż, i ztąd niejednoczesnego zapalania; zawiadomił Akademią umiejętności Paryzką, iż zapobiegł temu, przez wynalezienie mieszaniny złożonej z 7 1/2 kilogramów prochu

i 32 gramów sandaraki; ostatnie to ciało ma być utarte na proszek i z prochem zmieszane. (*L'Inst. z stycznia 1845*).

* Znakomity chemik p. Wöhler udzielił Tow. um. w Gie-tyndze wiadomość o nowym pierwiastku organicznym, zwanym *idryl*, odkrytym przez p. Bödeker.

Wiadomo, że przed niedawnym czasem, starano się w Idryi (w Illiryi), zastosować nowy sposób do otrzymania merkuryszu, i że przy tym znaleziono istotę miękką, czarną którą nazywano w języku gminnym *stupp*. Ponieważ ruda merkuryalna, zawierała w sobie idryalin (pierwiastek odkryty przez p. Dumas), sądzono że *stupp* także go w sobie mieć będzie. P Bödeker okazał jednak, że w skutku przepędzania, otrzymuje się zupełnie nowe ciało, będące węglikiem wodorodu, który uważać można za zasadę idryalinu; ciało to nazwano *idrylem*. Idryl krystalizuje się, kolor ma bardzo blady zielonawo-żółty; jest prawie bez smaku i zapachu; roztopia się w 80° C. a mocniej ogrzewany ulatnia się; słabo rozpuszcza się w wysokoku, eterze i oleju terpentynowym; kwas 4 siarkowy stężony, farbuje go na kolor złoto-żółty i to w temperaturze zwyczajnej; ta zaś własność głównie odróżnia go od idryalinu, który z kwasem 4 siarkowym przybiera kolor mocny błękitny. Idryl składa się C³ H² węgla. 94,75

wodorodu 5,25. (*L'Inst. z stycznia 1845 r.*).

* P. Ad. Chatin udzielił Akad. um. Paryzkiej swych spostrzeżeń, o działaniu kwasu 1 arsenikowego (arszeniku białego), na rośliny:

Namaczywszy przez 24 godzin ziarna w nasyconym roztworze kwasu 1 arsenikowego, i zasiawszy je z zachowaniem wszystkich warunków sprzyjających wzrastaniu, mała z nich liczba tylko zaczęła kiełkować, u większej zaś życie całkiem jest zniszczone. Ziarna roślin niższej organizacyi, mniej są czułe na skutki trucizny. Rośliny dojrzałe, giną od znacznej ilości kwasu 1 arsenikowego, od mniejszej tylko słabieją. U roślin ginących, liście żółkną, czernieją i więdną, kwiaty więdną, a dalej i kielich. Okoliczności te zależą jednak od rozmaitych wpływów zewnętrznych.

Przy rozbiornym chemicznym roślin podlewanych roztworem arsenikalnym, okazuje się, że trucizna we wszystkie części rośliny wciągnięta została, lubo nie w jednakowej ilości; poczem następuje wydzielanie się jej z rośliny, która nawet całkowicie pozbyć się jej może, ale dopiero po znacznym przeciągu czasu, rozmaitym dla różnych roślin. Łubin (*Lupinus*) np. i fasola (*Phaseolus*) potrzebują na to 6 tygodni, inne rośliny 3 do 5 miesięcy, a mchy jeszcze dłużej.

Kwas 1 arsenikowy, w roślinie łączy się z zasadami alkalicznymi, a sól nowo rozpuszczalna wyrzucana jest przez korzenie. W gruncie kwas 1 arsenikowy po wydzieleniu go przez rośliny, znajduje się jako istota rozpuszczalna, później łącząc się z zasadą soli wapiennych, traci tę rozpuszczalność.

W zastosowaniu praktycznym, warto zwrócić uwagę, że arsenikowanie zboża, nie odpowiada w wielu względach celowi, gdyż kwas 1 arsenikowy nie działa w ogólności na rośliny krytopłciowe, a w szczególności na śnieć (*Uredo carbo*). (*L'Inst. styczeń 1845 r.*)

* P. Dumas zawiadomił Akademią Francuską o doświadczeniach przez siebie uskuteczionych nad chlorem skroplonym i oziębionym do 90° w mieszaninie kwasu węglowego zsiadłego i eteru. Fosfor dodany do chloru ciekłego, zapala się z mocnym wybuchem, co nawet i wtedy następuje, gdy będzie poprzednio w powyższej mieszaninie oziębiony. Arsenik wrzucany do ciekłego chloru, w temperaturze zwyczajnej zapala się; przeciwnie zaś antymon, może być w niego zanurzony, a połączenie nie następuje. Przy przepędzaniu nawet chloru przez antymon, nie widać żadnego działania. Wykonywanie powyższych doświadczeń z niebezpieczeństwem jest połączone. (*L'Inst. luty 1845*).

* P. Plantamour okazał, że pierwiastek gorzki żółty ze skórek pomarańcz słodkich a zapewne nawet i z gorzkich, za nalaniem na niego kwasu saletrowego stężonego, tworzy przy przepędzaniu pewną ilość kwasu pruskiego. Być prze-

to może że i inne pierwiastki gorzkie podobną własność posiadać będą (*). (*Bibl. Univ. de Genève, Novembre 1844*).

J. B...a

BOTANIKA.

* *Wpływ żółtych promieni światła na zieloność roślin, i niebieskich na zwroty roślin ku światłu.* P. Gardner dr. med. w rozprawie z tego założenia, zamierzył wykazać, że każdy z kolorów widma słonecznego, odmiennie posiada własności w działaniu na rośliny; w szczególności zaś, że promienie farbujące rośliny na zielono i sprawujące zwroty ich ku światłu, są różne. Zielony albowiem kolor roślin, pochodzi od wpływu żółtych promieni, zwroty zaś spostrzegane zależą od promieni błękitnych.

P. Gardner przytoczywszy to, co Dekandol, Humboldt i inni utrzymywali: że do wydobycia się zieloności roślin potrzeba światła koniecznie; obznajmia następnie czytelników z sposobem, jakiego się trzymał w swoich doświadczeniach.

Oto kierował najprzód heliostat tak, iżby promienie słońca wchodziły wewnątrz czworobocznego przeziernika umieszczonego w okiennicy; otwór przeziernika w wewnątrz izby wchodzący, zamknięty, miał przystosowane pryzma równoboczne z szkła flint zwanego, umieszczone prostopadle. Odbite heliostatem światło, wpuszczał do mieszkania otworem wyrobionym w ścianie bocznej użytego przeziernika. Aby zaś promienie omijające pryzma, nie weszły do ciemnej izby, zapobiegał temu użyciem zasłony. Doświadczenia te, odbywały się w Wirginii, prowincyi północnej Stanów zjednoczonych, w czasie najpiękniejszej pogody od 6 lipca do końca września.

(*) W przeszłym zeszycie *Bibl. Warsz.*

str.	wiersz	zamiast	ma być:
216	27	glinkach	glinkanach.
216	32	magnesu	manganazu
217	6	wszystkie metaliczne, wszystkie niedokwasy metaliczne.	

P. R.

Do tych doświadczeń użył roślinek młodych, z krzyżowych kapusty i gorzycy, z motylkowatych zaś grochu i innych; niemniej starszych exemplarzy *Solanum nigrum virginianum*, *Plantago major*, *minor* i t. p. Ale następnie znowu p. Gardner ograniczył się na roślinkach kapusty; z temi bowiem najlepsze otrzymywał wypadki. Nasiona tych roślin zagrzebywał w skrzyniach z przegrodami ziemią napelnionemi, lub też glinianych wazonach, i te w ciemnym miejscu zostawiał, dopóki roślinki nie wyrosły na 1 do $\frac{1}{2}$ cala; dalej poddawał je w odległości 15 stóp Angielskich działaniu promieni przechodzących przez pryzma. Na oddzielne przegrody skrzyni, zawierające około 100 sztuk roślinek, padały promienie odmiennego koloru.

Po tych przygotowaniach post rzekał ciągle p. Gardner, że rośliny będące w przegrodzie oświetlonej promieniami żółtymi, najwięcej nabięrały koloru zielonego. Trzy tablice wykazujących natężenie zafarbowania roślinek, udowodniają ściślej przytoczone twierdzenie.

Zieloność roślin objawiała się w przyjaznych okolicznościach, dopiero po dłuższym działaniu światła. Najkrótszy czas potrzebny do zafarbowania zielono roślinek kapusty, wynosił dwie godzin, niekiedy nawet i 6. Zielony ów kolor tym sposobem przez wpływ światła nabyty, jest dość trwały i po 72 godzinach pobytu roślinek kapusty w ciemności, słabo tylko pełźnie. Gruntowe rośliny, zieloność swą w ciemności niekiedy 3 tygodnie zatrzymują, następnie wszakże żółknieją.

Dla porównania wpływu różnych promieni światła, spozstrzegał p. Gardner ile roślinki w różnych przegrodach będące, potrzebowaly czasu, aby pewnego stopnia zieloności nabyły. Uważał to, że w przegrodzie na którą żółte padały promienie, potrzeba było $3\frac{1}{2}$ godziny; pomarańczowe promienie zieleniły w $4\frac{1}{2}$, zielone w 6 godzinach.

Po $17\frac{1}{2}$ godzinie, wystawione roślinki na niebieskie promienie, nabięrały zieloności w stopniu na połowę tylko zwykłego natężenia ocenionym. W tém miejscu zachodzi pytanie, czy własność ta zielenienia zależy od chemicznego ogrze-

wającego, czy też oświecającego wpływu promieni, rozłożonych w widmie słonecznym. Nie można tego przypisać wpływowi chemicznemu (*Froriep. T. XXV. N. 1 i 2*), gdyż jeśli wystawim na światło, w ciemności wybladłe rośliny, i zlane roztworem dwuchromianu potażu skoncentrowanym dostatecznie aby wszystkie chemicznej własności promienie wciągnął, to roślinki w krótkim bardzo czasie zieloności nabiorą. Ani nawet ciepło promieni nie farbuje roślinki: najwyższy bowiem stopień ciepła promieni wyszłych przez pryzmat szkła flintowego, nie jest odpowiednim stosunkowi najwyższego stopnia działalności na wybladłe rośliny. Wpływowi przeto oświecającemu promieni, w ścisłym rozumieniu, objawianie się zieloności przyznać należy. Wystawiwszy roślinki kapusty w skrzyni bez przegród, na promienie z widma słonecznego wychodzące, postrzegamy, że rośliny wszystkie pochylają się w jednym kierunku: wystawione na czerwone, pomarańczowe, żółte i zielone światło, zwracają się ku niebieskiemu, fioletowemu zaś promieniami oświecone roślinki, ku tymże się pochylają. Jeśli przedłużym doświadczenie, rośliny ułożą się na ziemi w podobieństwie zboża, które z przyczyny dwóch przeciwnych wiatrów wyległo. Wspólna oś do której pochylają się rośliny, jest linia, po której niebieski promień od pryzmatu ku grządce ziemi jest skierowany; niebiesko oświecone, pochylają się wprost do punktu pryzmatu przez który ku nim dochodzi światło; w świetle zaś czerwonym, pomarańczowym i t. d. będące roślinki, nie zdążają w kierunku ku pryzmatowi, ale ukośnie ku roślinom oświeconym niebiesko. To zbaczanie umniejsza się tym więcej, im bliżej roślinki zostają tej osi: w świetle zaś niebieskim i fioletowym będące, mało tylko odchodzą od linii, po której nachylają się ku oświecającym je promieniom. Z tych i podobnych doświadczeń p. Gardner wnosi, że siła kierująca rośliny, mieści się w niebieskim promieniu. Dla spostrzeżenia zwrotów roślin, dosyć jest bardzo nieznacznej ilości światła; zdaje się nawet, że zjawisko tak mało od natężenia światła zależy, iż na skoncentrowaniu jego promieni do pewnego

zakresu, bardzo mało się zyskuje. Wszystkie promienie obdarzone są dostateczną siłą do kierowania roślin. Doświadczenia te we względzie dążenia roślin do światła, łatwiej udają się na indywiduach rozwiniętych w ciemności, jako daleko czulszych, niżeli na zielonych. W wystawionych przez kilka dni na światło, zwroty te mniej są widoczne; a w częściach drzewnych zupełnie się nie okazują. Zwroty te zależą od pewnego działania na łodygę, i objawiają się w każdym zdarzeniu przez nachylenie liści. Dziwniejsza nadto jest okoliczność, że rośliny wyległe na ziemi podnoszą się, po umieszczeniu ich w ciemności. Zjawisko to najlepiej postrzegać się daje na roślinkach, które poprzednio na działanie wprost słońca wystawiane nie były. Wpływ światła sprawujący zwrot roślin, zdaje się, że jest przemijający, i nie towarzyszy mu trwała zmiana w budowie roślin.

Tu znowu następuje się pytanie, czy siła sprawująca zwroty roślin, zawiera się w promieniach chemicznej, ogrzewającej, czy też oświecającej własności. Przymiot dwuchromianu potażu, objawiający się pochłanianiem promieni światła własności chemicznej, i tu dowodzi, że promienie te nie działają na zwroty roślin. P. Gardner i to także wyjaśnił doświadczeniem, w którym siarko-cyanek żelaza w rynience szklanej będący, pochłaniał chemicznej własności promienie. Ani ogrzewającym promieniom przyznać można własność działania na zwroty roślin; to bowiem objawia się najbardziej w okolicy widma słonecznego, najmniejszy stopień ciepła okazującej.

Co większa, promienie światła od księżyca idące, bez zgęszczenia nawet, w przeciągu 1 do 2 godzin, widoczne zwroty spowodować mogą. A ten dowód zdaje się być stanowczy: w promieniach bowiem z księżyca idących, nie zdołano jeszcze odkryć najmniejszego ciepła. Skoro więc byłby ciepłika termoskopem, a własności chemiczne promieni związkami srebra wykryć można, przeto zwroty roślin ku światłu, działaniu oświecającemu promieni w ścisłym rozumieniu przyznać wypada.

Pomiędzy promieniami zieleniącemi rośliny, a promieniami rozkładającemi kwas węglowy, zachodzi pewne podobieństwo. Poznaliśmy to już, że zieloność roślin zależy od wpływu światła żółtego, któremu przyznaje dr. Draper własność rozkładania kwasu węglowego w najwyższym stopniu. Temu także sir W. Herszel i Fraunhofer maximum własności oświecania przypisują. Maximum téj troistój działalności, nie znajduje się w tych samych punktach widma, ale natężenie jego zmienia się w tymże samym stosunku w rozmaitych kolorowych przestrzeniach. Ztąd wypływa, iż zieloność roślin i rozkładanie kwasu węglowego, z jednéj i téjże przyczyny wypływa, ułatwiającej także zarazem widzenie przedmiotów. Zjawiska te nie są wpływem działania sprawiającego zmiany na blasze Dagiera, zależącego na chemicznym, właściwie wziętym, wpływie promieni.

Jeśli wypadki zebrane przez p. Gardnera, stwierdzone zostaną, to w nauce fizjologii roślin, nabędą wielkiej wagi. Nie można ich pogodzić z podaną przez Dekandola teorią, o kierowaniu się roślin ku światłu, kiedy promienie niebieskie. działanie to wywierające, zdaje się, iż nie posiadają własności rozkładania kwasu węglowego i wyrabiania ligninu. Następnie p. Gardner z doświadczeń swych wyprowadza wnioski: iż skoro zwroty roślin od błękitnego światła zależą, co przy najslabszém jego natężeniu nawet objawia się, to błękit niebios bardzo wysokie mający natężenie w porównaniu z światłem słońca, zdaje się, iż jest przyczyną prostopadłego kierunku w wzroście roślin. (*Froriep. N. 64 XXX. N. 11, 1844*).

* Familia roślin iglastych (Coniferae. J. Rich.), należy do osobliwszych w państwie roślinném. W niejto ze znajomszych nam, mieści się sławiony cedr Libański, sosna, świerk, jodła, modrzew, jałowiec, tuja, cyprys, cis i sawina, dostarczające terpentyny, kolofonii, smoły, sadzy, sandaraki, drzewa na opał, budowle i sprzęty. Tak ważna ze względu na użyteczność, niemniej ważną jest i ze stanowiska naukowego. Poznanie bowiem budowy tych roślin, a mianowicie

pnia, liścia i osobliwszego w swym składzie nasienia, wpłynęło wiele na wyjaśnienie ogólnej anatomii roślinnej. P. J. G. Zuccarini, przysługując się nauce geografii roślinnej w swój świeżo ogłoszonej pracy (*Flora*, kar. 440, t. 2, r. 1844), wykazał: jaki nastąpił podział między różne części świata, gatunków tej familii, a których liczba 208 dochodzi. W poniżej zamieszczonym wyciągu z tablicy przez Zuccariniego ułożonej, wymienione są tylko rodzaje, których gatunki u nas powszechniej są znajome; i tak z rodzaju:

	Europ.	Azya,	Afryka,	Amer.	Austr.	Półkule półn. połud.		
Sosna (<i>Pinus</i> . Rich.) gat.	8. — 17.	— 4.	—	32.	— 0.	— 55.	(*) — 0.	
Jodła (<i>Abies</i> . Rich.) „	5. — 20.	— 0.	—	21.	— 0.	— 46.	— 0.	
Cyprys (<i>Cupressus</i> . Tourn.) „	1. — 4.	— 1.	— (?)	1.	— 0.	— 5.	— 0.	
Cis (<i>Taxus</i> . L.) „	1. — 2.	— 0.	—	1.	— 0.	— 4.	— 0.	
	Razem na półkuli północnej						110.	połud. 0.

Z oddziału jodłowego, z dwóch znanych powszechniej rodzajów, t. j. sosny o 55, i jodły o 46, razem 101 gatunkach, wszystkie przypadają na przestrzeń ziemi od bieguna północnego, do zwrotnika raka.

Granice sosny naszej (*Pinus sylvestris*), rozciągają się od Persyi północnej (36° szer. północ), aż na północ Laponii (70° szer. północ.); zajmuje przeto niemniej jak 34° szer. półn. długości zaś 74°. Wytrzymuje równie dobrze klimat Syberyi, gdzie bardzo gorące, suche lato, po tęgiej następuje zimie, jak i wilgotne, umiarkowańszej temperatury okolice Irlandyi i Norwegii. Sosny i jodły zajmują te same prawie klimata; sosna nieco jednak więcej posuwa się ku północy. Na Alpach tylko niższe, a tém samém cieplejsze od jodły zajmuje okolice; czego przyczynę upatrywać należy nie w temperaturze, ale w gatunku ziemi.

* P. Durieu wynalazł cedry na małym Atlasie przy Bli-dah. Niższą okolicę tych gór, stanowią żyzne, dobrze uprawne równiny, okryte winoroślą i owocowemi drzewami. W środku jakoby całej wysokości góry, między 7—800 metr., na pochyłościach, znajdują się laski z dębów, winorośli, migdałów i moreli. Wyżej nieco, p. Durieu napotkał

(*) Odmienny wypadek liczbowy w summie gatunków, zależy od tego, że niektóre z nich są wspólne kilku częściom świata.

piérwszy cedr, 7 metrów obwodu pnia, a 40 wysokości mający. Śnieg głęboki od strony północnej, utrudzał posunięcie się ku wierzchołkowi. Podróżny więc zwrócił się ku stronie południowej. Tam w wyższych okolicach, pojedynczo już tylko rosły dęby; ale znowu liczniejsze stały cedry; które na równinie, osobliwie wierzchołkowej, i jej spadziściach, rozległy las zdrowych i dawnych drzew stanowią. Lasom tym zagrażają bardzo, równie topór mieszkańców, jak i wydarzające się corocznie pożary. Życzyćby więc należało, aby rząd Francuzki rozciągnął pieczę, i nie dozwalał niszczyć bezpotrzebnie drzew tak użytecznych. Według p. Durieu, jeden jest tylko gatunek cedru. Srebrno-biały i ciemno-zielony kolor szpilek, zależy właściwie od wieku drzewa: gdyż oba te kolory, na jedném i témże samém indywiduum napotkać można. (*Flora N. 41, 1844 r.*)

* Raport o podróży w Abissynii pp. Gallinier i Ferret, rozbiérany w piśmie *l'Institut*, wspomina o kilku roślinach tego kraju, które szczególniej zwróciły uwagę tych podróżnych, dla użytków jakie z nich krajowcy mają. Rośliny te, pismo rzeczony oznacza jeszcze nazwiskami od krajowców im nadawanemi:

1) *Gotho*. Roślinę tę pp. Gallinier i Ferret, oznaczyli nazwiskiem figi chlebowej (*Ficus panificus*); kora bowiem jej zmielona, wyrabiana bywa na chleb.

2) Nowy gatunek drzewa kawy. Owoc z niego jest smaczny, i wielce od samych Arabów lubiony; a nawet jest przedmiotem obszernego handlu. Kawę tę Abissynicykowie wystawiają na sprzedaż w różnych portach od zachodniej strony morza Czerwonego; z kąd dostaje się do Arabii, a następnie w handlu znana jest pod nazwiskiem kawy *Moka*.

3) *Endo*. Krzew wysoki od 1,3 do 1,6 metra. Owoc jego wysuszony w słońcu, i na proszek w moździerzu drewnianym utłuczony, zarabiane bywają z wodą na ciasto, zdatne do prania bielizny; pieni się bowiem jak nasze mydło i bardzo dobrze czyści z brudu materye, nie szkodziąc kolorom. Mają nadzieję, że w Algierze przyswoić się uda rzeczony roślinę.

4) Krzew, którego gałązki wkładają do roztworu miodu przasnego. Mieszanina ta wystawiona przez dwa dni na działanie ciepła, stanowi pewny rodzaj nadzwyczaj przyjemnego do picia miodu.

5) *Belbeta*. Ziarna rośliny téj utłuczone i ugotowane w wodzie, stanowią bardzo skuteczne lekarstwo przeciw tasiemcom, dręczącym równie kobiety Abissyńczyków jak i mężczyzn, starce równie jak i dzieci. Ziarn téj rośliny krajowcy równie skutecznie zażywają jak i *Cosso*, którego wiele próbek podróźni wymienieni sprowadzili.

6) *Tombough*. Kora z niéj umielona, podobne powyższemu stanowi lekarstwo.

7) *Oungouille*. Owoc jego na proszek zmielony i rozpuszczony w urynie krowiej, używany bywa do niszczenia sierci na skórach z bydłat.

8) Gatunek rośliny której cebulka jadana bywa jak nasze owoce, od Abissyńczyków bardzo lubiona.

9) *Karos*. Kora i liście rośliny téj zmieszane z liśćmi i korą krzewu, od krajowców *Amba-ambo* zwanego, służą do farbowania skór, na pięknie czerwony kolor.

10) Krzewinka zwana *Czaad*. Liście jéj zastąpiłyby bardzo dobrze herbatę, gdyby niezbyt podniecające ich własności.

11) W kraju Chochos, pp. Gallinier i Ferret znaleźli także nowy gatunek indygo, i zdaje się, obfity w farbę.

12) W końcu przedstawili wiele próbek nieznaných nam drzew wielkich, grubych i nadzwyczaj twardych; i tak chcąc obrobić gatunek drzewa zwany od krajowców *Aye*, potrzeba najhartowniejszych narzędzi. Dla téj twardości możnaby materiału tego użyć bardzo korzystnie, w robocie kół ząbionych. (*l'Institut N. 567, r. 1844*).

X. J. W.

ZOOLOGIA.

P. Stan. Konst. z Siemuszowéj Pietruski w Galicyi, ogłasza postrzeżenia swoje nad chowaną nórką czyli wydrą

małą (*Mustela lutreola* Lin.), która należy do rzadkich zwierząt Galicyjskich wraz z gat. niedopérza: *Rhinolophus ferrum equinum* zwanym, rysiem (*Felis lynx*), bobrem (*Castor fiber*), bobakiem (*Arctomys bobac*) i susłem (*Spermophilus guttatus*). Wydra nórką nazwana, Linneuszowi i Buffonowi tylko z opisu znana była. Cuvier w swoim systemie, miejsce jój pomiędzy tchórzami nazначzył (*Putorius lutreolus*), a wszyscy Niemieccy badacze natury do rodzaju wyder ją rachują (*Lutra lutreola* Blum. Illig.). Niedawno między dwoma zoologami Niemieckimi: professorem Glogierem z Wrocławia, a professorem Wiegmannem w Berlinie (już zmarłym), powstał nader zacięty spór o miejsce w układzie systematycznym dla nórki. P. Pietruski następujące temu zwierzęciu cechy naznacza: „*Głowa okrągława, uszy szerokie, szyja gruba; po obudwu stronach kolo nosa, dwie białe plamki; futro połyskujące, maści ciemno-brunatnej*. Opis: Długość cała od początku nosa aż do końca ogona, wynosi 22 1/2'' z których 7 1/2'' na ogon idzie; pyszczek gruby, mopsowaty, wąsy mierne, uszy szerokie, słabo włosami obrosnięte, zębów 36, z których dwa fałszywe trzonowe aż na podniebienie zachodzą: t. j. 6 przednich u góry i tyleż u dołu, po dwa psie w obydwóch szczękach, 10 trzonowych u góry i u dołu, szyja mało co cieńsza od całego tułowu, nogi krótkie, każda o 5 palcach krótką błoną do pływania spojonych, pazury do połowy białe, a od połowy czerwone. Futro połyskujące, miększe niż u wydry, twardsze niż u tumaka czyli kuny leśnej, przepyszne i bardzo drogie (?) do sobolowego podobne, maści ciemno-brunatnej, pod pierśiami i brzuchem nieco lecz bardzo mało jaśniejsze, ogon czarniawy; po obydwóch stronach różowego noska, znajdują się dwie białe plamki, które całą brodę zajmują i aż do gardła się rozciągają. Oczy ciemno-siwe. Rzadkie to zwierzątko (mówi dalej p. Pietruski), mieszka w Ameryce północnej, w Norwegii, w Inflantach i w naszej Galicyi, lecz nigdzie nie jest pospolite; u nas ich bardzo mało się znajduje w porównaniu do innych drapieżnych zwierząt, a do tego tak są ostrożne i bojaźliwe, że je bardzo trudno ubić,

a prawie niepodobieństwo żywcem ułowić, i to chyba w żelazka lub na mocne, do tego celu umyślnie sporządzone, sidelka. Dowiedziałem się od leśniczego, który mi żywą nadesłał, iż lubią biegnącą wodę, potoki głębokie, przez wielkie odwieczne lasy Karpackie płynące, a szczególnie gdzie jest dużo wymulonych miejsc, osobliwie jeżeli koło brzegu znajdują się leżące kłody olszowe lub wiérzbowe; lecz czasem także widzieć się dają i koło ludzkich mieszkań, przy kanałach, stawach, jeżeli takowe mają śluzy, łotoki i t. p. po których zwinnie łążą. Pożywieniem nórki są rybki, raki i żaby, które zanurzając się w wodzie, łapie, a na brzegu pożera. Zdaje się, iż jak tchórz, poczyna w kwietniu a w czerwcu ma młode. Jak co do zewnętrznej budowy ciała, tak też i co do sposobu życia, nórka zbliża się do trzech gatunków z nią spokrewnionych zwierząt, to jest do wydry, kuny i tchórza. Pływa bowiem tak szybko jak wydra, a nawet ją przewyższa w sztuce zanurzania się, lecz umie także jak kuna z wielką zwinnością po drzewach łązić za ptaszkami, i z téjto przyczyny nieraz ją już znajdowano w głębi lasów daleko od wody; nareszcie odór, który dręczona z siebie wydaje, pryskanie i szczekanie, ma z tchórzem wspólne, i od szczekania Infantcy Niemcy nazwisko *Steinhund* jój nadali. Dostałem nórkę z lasów Mrażnickich, lecz pobita a przeto słaba rąk moich doszła. W nadziei jój utrzymania, kazałem ogromną, 4 łokcie długą a 2 łokcie szeroką, i wysoką klatkę z grubych tarcic a od frontu drócianą ścianę mającą, zrobić, w której się niża a w téjże obszerne koryto z wodą znajdowało; w takowe codziennie rzucałem 25 do 30 małych rybek, które szybko pływając i zanurzając się chwytała, i dopiero z wody wylazszy, na suchém miejscu pożerała. Jako zwierz nocny, cały dzień przesypiała i dopiero wieczór biegać zaczynała; zrazu była bardzo dzika i zajadła lecz nie wątpię, żeby się z czasem zupełnie była ułaskawiła, atoli krótkie jój posiadanie, nie dozwoliło dalszych doświadczeń. Teraz znajduje się wypchana w gabinecie historyi naturalnej Akademii Lwowskiej." (*Rozmaitości Lwowskie* Nr. 13, marca 29, 1845, str. 105, 106).

* Czytamy w Nr. 575 pisma *l'Institut* z 1 stycznia b. r., „że p. Murchison, podczas ostatniej wycieczki geologicznej do Rosyi, żywo domawiał się u tamecznego rządu o skielet i skórę żubra dla muzeum królewskiego kollegium chirurgów w Londynie. Dzienniki oznajmiły, że w skutek tego życzenia, wydany został najwyższy rozkaz postarania się o exemplarz tego zwierzęcia. Żubr, który jak mamut i inne zaginione rody, niegdyś szeroko się rozpościęrał, dziś jedynym jest wielkich ras czworonożnych reprezentantem, już tylko do obszernych Litewskich lasów spędzonym. Dzikość i wielkość zwierzęcia, stają się przyczyną nadzwyczajnej trudności w ujęciu go żywcem. Jakoż większa część muzeów, zaledwie pojedyncze kości jego posiadają. „Całe to doniesienie, które dosłownie z pisma *l'Institut* powtórzyliśmy, okazuje nielogiczność i niewiadosć autorów swoich. Wiadomo dziś, że żubry nie w samej znajdują się Litwie. Jeżeli większa część muzeów, mają tylko pojedyncze kości żubra, nie może to wynikać z trudności w ujęciu go żywcem. Ale co najważniejsza, że żubr nazwany jest w doniesieniu *Bos aurochs v. primogenius*, gdy to ostatnie nazwisko, oznaczając gatunek kopalny, już zaginiony, żadną miarą ściągac się nie może do żubra, bo raczej ma cechy domowego wołu. Wiadomo, że raczej inny wół kopalny, olbrzymi *Bos priscus*, ma cechy wspólne z dzisiejszym żubrem Litewskim.

* *Schroeter* (*Edinb. new philos. Journ.* lipiec 1844). *Użycie mięsa wielorybiego na paszę dla krów.* W okolicach wysp Feroer łowi się za pomocą sieci nader wielka liczba małych wielorybnych zwierząt, *Delphinus melas* (*). Tak w 1843, złowiono ich 3146, nielicząc kilku indywiduów z innego gatunku. Ilość wywiezionego tranu, przez te zwierzęta dostarczonego, wynosiła 87,404 galonów, wartości 5665 funt. szter.. Oprócz tego, część mięsa nasolono na pokarm, a pewną ilość tranu zostawiono na domowy rozchód. W ciągu ostatniej zimy zrobiono próbę z najzupelniejszym skutkiem, tojest próbę użycia mięsa tych zwierząt na poży-

(*) Zob. Bibl. Warsz. ze stycznia b. r. str. 243.

wienie dla krów. Każdej zimy wielka liczba krów ginęła dla braku paszy; a autor wyrachował, że więcej niż 600 krów, które tego roku byłyby zginęły dla braku żywności, ocalone zostały użyciem tego nowego jej źródła. Kraje się w tym celu mięso wielorybów w długie i wąskie paski, i suszy na powietrzu niesolone. Raz dobrze wysuszone, może się zachowywać nietknięte przez dwa lata. Do użycia, kraje się na małe kawałki, które potrzeba lekko rozparzyć, podczas czego zdejmuje się tran wyłączony i pływający na powierzchni. Krowy żywią się potem i mięsem i bulionem, do czego dodaje się połowa lub trzecia część zwyczajnej ilości paszy. Pożywienie to zdaje się im cudownie sprzyjać, pomnaża ilość mleka, które równie jak i śmietana z niego, nie nabiera przez to bynajmniej złego smaku, jak się to dzieje, gdy krowy żywione są suchą rybą w Islandyi.

Na wyspach Shetland i na Orkadach, łowi się także wielka ilość wielorybów; lecz że tam mieszkańcy wstręt mają ku użyciu mięsa ich na pokarm, umyślono przeto używać go za nawóz. Jasną jest rzeczą, że korzystniej byłoby użyć go na wyżywienie krów, których przez to liczbę możnaby pomnożyć, i tym sposobem powiększyć bogactwo krajowe.

Donoszący o tém w *Bibl. univ. de Genève* p. J. M., tak wyraża się na końcu: „Jestto szczególna ta własność krów domowych, że się skłaniają ku wszelkim pożywieniom. Na północy dają się im suche ryby i mięso wielorybie; na południu widzieliśmy jak jadły odarte ze skóry pomarańcze gorzkie. Prawda, iż nie możemy upewnić, ażeby mleko ich polepszało się w tym ostatnim przypadku, jak to przyjmuje p. Schroeter względem krów na wyspach Feroer mięsem wielorybiem karmionych.” (*Bibliothèque univ. de Genève* Nr. 106 Octobre 1844 publié le 23 Novembre 1844).

* *Allis, O locie ptaków* (czyt. w Tow. um. Bryt. w York. *Athenaeum*, 28 sierp. 1844). Budowa ptaków wymaga, ażeby środek ich ciężkości mieścił się bezpośrednio nad osią poruszenia gdy idą, a pod tą osią gdy lecą. Jakoż, kiedy wiszą w powietrzu, ciało ich przybiera z natury położenie

sprawdające środek ciężkości pod skrzydła. Ponieważ oś poruszenia, leży podczas chodu nie w tém miejscu na linii ciała co podczas lotu, przeto różnica, musi się kompensować u wszystkich ptaków tym lub owym sposobem, ażeby mogły z łatwością latać.

Ptaki drapieżne przybierają położenie poziome gdy zawieszane są w powietrzu, a siła kompensująca polega w tém, iż skłaniają się ku położeniu mniej lub więcej prostemu, kiedy zostają w spoczynku.

Inna familia, obejmująca dzięcioły i t. d., przybiera w powietrzu położenie ukośne. Dla takich kompensująca siła zależy na tém, że rozcinają i przebiegają atmosferę pod kątem przystającym do położenia ich ciała, i że wykonywają lot po liniach krzywych po sobie następujących, czyli skokami. Ptaki wodne, potrzebujące niekiedy utrzymywać się w locie przez czas bardzo długi, przybierają w powietrzu położenie bardzo ukośne. Żebra ich są bardzo długie, a okrycia odwłoka (*abdomen*) bardzo szerokie i giętkie; co im dozwala o wiele powiększyć objętość części ich ciała odwłokowej, przez nadymanie jęj powietrzem. Tym sposobem, zmniejszają gatunkową ciężkość téj części, i wznoszą ją do położenia poziomego. Tu siła kompensująca w tém polega, że tylna część ciała staje się gatunkowo lżejszą, gdy tymczasem gatunkowa ciężkość połowy przedniej, pozostaje bez zmiany.

Czyn dosyć ciekawy, a który przytoczono w oddziale zoologii z okoliczności tego artykułu, jest, że alka, która nie może wlecieć nad ziemię, dosyć dobrze lata ponad morzem. Ten czyn, zdający się być utwierdzonym postrzeżeniami łącznymi wielu naturalistów na posiedzeniu obecnych, nie otrzymuje od nich żadnego wytłómaczenia, i musi być w związku z warunkami wilgoci lub gęstości gatunkowej powietrza, w bezpośredniem zetknięciu z morzem. (*Ib.*)

* *G. Newport. O zdolności odzyskiwania postradanych członków u zwierząt z gromady myryapodów i owadów.* (Czyt. na pos. Tow. król. Lond. *Philos. Mag.* sierp. 1844). Oddawna wiadomo, że rakom i pająkom odrastają z czasem

te członki które one przypadkowo utraciły, lub które im naumyślnie odcięte zostały. Mówiono nawet, że zdolność ta jest w rodzaju *Phasma* i niektórych innych owadach z rzędu prostoskrzydłych, zatém nieodbywających prawdziwej przemiany i nieodmieniających sposobu życia, lecz których cała przemiana na tém się ogranicza, że im odrastają skrzydła i pokrywy, zrazu w rudymmentarnym tylko ukazujące się stanie. Nawet myryapody przedstawiały jakiś pozór tój samej własności, co ogólnie ich niezupełnemu rozwijaniu się przypisywano. Ale nie przypuszczano prawie, ażeby mógł odzyskać utracone członki owad z przemianą zupełną, jak np. z rzędu łuskoskrzydłych, których nietylko kształt, ale nawet pożywienie i sposób życia, zmieniają się w przejściu od stanu gąsienicy do stanu dojrzałego. Newport w ciągu trzech lat po sobie idących, zebrał szereg doświadczeń mających wprost ten przedmiot na celu i wypadki z nich Tow. król. Londyńskiemu przedstawił.

Pewnej liczbie krocionogów (*Iulus*), którym odjęto różki i niektóre nogi, organa te w zupełności odrosły: po pierwszej zmianie skóry, okazały się zupełnie podobnymi do organów pierwiastkowych, z różnicą wymiaru który był nieco mniejszy, i stopnia rozwinięcia pewnych drobnych szczegółów organizacyi, który był niezupełny.

Te same wypadki otrzymane były na wielonogach z rodz. *Lithobius*, podczas pierwszych epok ich rozwinięcia. Jedno tego rodzaju indywiduum, które już nabyło dziesiątej nóg pary (ze wszystkiém 15 par nóg mają), straciło przypadkiem trzy ostatnie pary. Po pierwszym zrzuceniu skóry, indywiduum rzeczzone, nietylko rozwinęło dwie dodatkowe nóg pary, lecz odzyskało jeszcze trzy pary stracone. Po niejakiem czasie, zwierzę jeszcze utraciło jedną nogę z dwunastój pary; ta jego strata, przy najbliższém zmięnianiu skóry, zastąpioną została reprodukcją nogi nowój, przy czém te które przedtém odrosły, większego rozwinięcia nabyły.

Autor, ujrzawszy w zbiorze muzeum Brytańskiego okaz owadu z rodz. *Phasma*, u którego prawa przednia noga zdawała się widocznie odzyskaną, skierował postrzeżenia swo-

je na właściwe owady. Za główny przedmiot doświadczeń swoich, obrał gąsienicę najpospolitszego motyla, *Vanessa urticae* Latr., jako owad z przemianami zupełnymi. Po odjęciu téj liszce jużto niektórych części, już kilku całych nóg prawdziwych, to jest łuskowatych ze szponami, zawsze postrzegał, iż organa te odrastały w różnych rozwijania się stanach. W pierwszym przypadku tylko odjęta część odnawiała się; w drugim cała noga odrastała. W niektórych przypadkach odrastanie następowało od drugiej przemiany owadu, to jest gdy przechodził w stan poczwarki. We dwóch lub trzech zdarzeniach, odrośnienie nie nastąpiło; wszakże wyjątki te, nie mogą, podług autora, sprzyjać przypuszczeniu, że reprodukcye zachodzą tylko w organach specjalnie do tego skutku przeznaczonych, to jest, że tylko te w skaléczeniu utracone, odnowić się mogą. P. Newport zapewnił się o tém, że u dojrzałego owadu, zawsze górna część nóg utraconych odrasta, nawet gdy reszta organu nie odrosła. Z tego, równie jak i z całkowitej reprodukcji nóg u krocionogów, a nawet kiedy cały organ był im odjęty, wnosi, że zdolność reprodukcji przesiaduje w całkowitości tkanki organicznej.

Zresztą, każdy nowy członek, zawsze ma w swoim składzie wszystkie istotne części: biodro, ud, goleń, podymki (*tarsi*). Zachodzi tylko prawie zawsze nieco anormalności w rozwinięciu się, mianowicie podymków, którym często kilku stawów zupełnie brakuje.

Autor kończy swoją rzecz następującemi ogólnemi wywiedzeniami. Zadane gąsienicom owadów lekkie skaléczenia, zawsze się ulęczają, przynajmniej jeśli nie było nadzwyczajnego krwotoku, lub gwałtownego wystąpienia trzewiów na zewnątrz. Często także goją się skaléczenia ciężkie, jakoto zupełna amputacja członka. Trzewia wtedy występują na zewnątrz, kiedy rana idzie w linii czynności głównych mięśni ciała gąsienicy. Gdy rana się zagaja, najprzód zatrzymuje się krwotok w skutek krzepnięcia krwi, jak u zwierząt rzędów wyższych. Następuje potem odrastanie organu, biorące początek ze skalęczonych po-

wieżchni cząstek, odpowiednich tym, które były odjęte. Do odrośnięcia nowego członka, potrzebną jest przynajmniej zmiana skóry. Zmianom tym, przyrodzonym owadowi, gojenie się rany którą sprawiła amputacya, a następne odrastanie nowego członka, nie przeszkadza, lecz tylko je opóźnia. (*Ib.*)

* P. Felix Dujardin udziela Akad. um. Par. w d. 9 listopada z. r. pierwszą swoją rozprawę *O molikowatych pajęczkach (Acaridiae)*, w której zastanawia się w szczególności nad przyrządem oddychania i żucia u wielu tych zwierzątek, prostując zarazem bardzo liczne w tej mierze błędy poprzedników swoich. Uważa on najprzód, że cecha sztuczna, jaką Dugès w ukształceniu głaszczek upatrywał, nie może służyć za podstawę wyrozumowanemu tej familii podziałowi. Stanowi potem że przyrząd do oddychania i przyrząd do żucia w takiej z sobą zależności u molików zostają, że za pośrednictwem cech ztąd wyczerpniętych, można dojść do naturalnego układu tych stworzeń. Według tego, pierwszy stanowią szereg te moliki, u których żuwaczki są klęszczowate, i u których funkcyje oddychania, zacząwszy od rodz. *Gamasus* mającego doskonały system dychawkowy, aż do *Acarus*, na coraz niższe szczeble zstępują. Do szeregu drugiego wszystkie te odłącza, które mają żuwaczki szponami opatrzone, i u których w ogólności postrzedz się daje podwójny system oddychania: jeden do wetchnienia, drugi do wytchnienia. Szereg trzeci składa z gatunków, u których żuwaczki mają kształt sztyletowaty. Niektóre nakoniec rodzaje, jak *Ixodes*, *Limnochares* i *Cheyletus*, tworzyłyby grupy pośrednie między tamtymi.

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844.

WARSZAWA.

257. *Lekute Abraham.* (Wykłady teologiczne i rozumowania.) Warszawa. 1844. Druk Szriftgissera. 12ka. Str. nieliczbowanych 62.

258. *Hagode szel pesach.* (Opowiadanie na Święta Wielkanocne.) Warszawa. Druk D. L. Sklowera. 1844. 8ka. Str. nieliczbowanych 25.

CZĘSTOCHOWA.

259. Dziennik albo krótki sposób nabożeństwa codziennego. Częstochowa. 1844. 16ka. Str. 412. Napisów, tablicy świąt ruchomych, kalendarza rocznego i spisu rzeczy kart 10.

260. Kancyonał pieśni nabożnych według obrządku kościoła katolickiego na uroczystości całego roku, z przydatkiem nowych pieśni, osobliwie o Bożém Narodzeniu. Częstochowa. 1844. 18ka. Str. 388. Spisu rzeczy kart 6.

261. Ucieczka grzeszników albo gorące nabożeństwo do Najświętszej Panny Maryi na Jasnej Górze, na piąte sto lat osobliwszemi cudami wstawionėj. Dla wygody chrześcijańskiej z łacińskiego na Polski język przetłómaczone. Częstochowa. 1844. 12ka. Str. 95.

JÓZEFÓW ORDYNACKI.

262. *Orchas Cadykim.* (Prawidła religijne i moralne). Józefów Ordynacki. Druk Waksa. 1844. 8ka. Str. 120.

263. *Sydor tefilos mikol haszana.* (Porządek modlitwy na cały rok). Józefów Ordynacki. Druk Szai Waksa. 1844. 8ka. Str. 256. i 36.

264. *Sydor tefilos.* (Modlitwy codzienne.) Józefów Ordynacki. Druk Szai Waksa. 1844. 12. Str. 420. i 123.

265. *Kicor chowas halwoves.* (Książka traktująca o służbie bożej, ufności, pokorze i pokucie i t. d.) Józefów Ordynacki. Druk Szai Waksa. 12ka. Str. 194.

266. *Ec chaim.* (Przepisy religijne i obrządkowe.) Józefów Ordynacki. Druk Waksa. 1844. 4ka. Str. 96.

1845.

WARSZAWA.

83. Sędziwój przez J. B. Dziekońskiego. z godłem:

„Księga waszjej przeszłości o ludzie! jest tylko księgą marzeń, w której się wasza przyszłość odbija.” *Jean Paul.*

Tomików trzy. Warszawa. Druk. Jaworskiego 1845. 8ka. Tom. I. str. 139. Tom. II str. 122. Tom III str. 125. Znaczniejszych omyłek druku str. 1. Spisu rzeczy karta 1. Wszystkie trzy części w drukowanych okładkach.

84. Wybór pism moralnych Benjamina Franklina, pomnożony krótkim rysem jego życia i ciekawszemi wyjątkami z jego własnych pamiętników, podług ostatniej edycyi pism kompletnych w Nowym Yorku. Warszawa. Druk Ungra. 1845. 12. Str. 161. i V. Okładki drukowane.

85. Sprawozdanie z czynności dozoru bóżniczego okręgów warszawskich, za lata 1842, 1843, i 1844. 8ka. Str. 20. Tablice drukowane dwie.

86. Ulżenia kłopotu młodemu gospodyniom w dysponowaniu obiadów (.) Zebrano ich na większą i mniejszą skale 60. Warszawa. Kaczanowskiego druk. 1845. 12. Str. 33. Okładki drukowane.

87. Mustasz romans obyczajowy K. P. de Kock. Tomików cztery. Warszawa. Nakład. Rosenthala. Druk. Dietrichowej. 1845. 12. Tom I. Str. 241. Tom II. Str. 255. Tom III. Str. 201. Tom IV. Str. 193. W każdym tomie kart napisowych 2 i spisu rozdziałów str. 1. Wszystkie w okładkach drukowanych.

88. *Nachrichten über die Missions-Wirksamkeit unter dem Volk Israel. Ein Auszug aus dem 36 Bericht dem Lon-*

doner Gesellschaft zur Beförderung des Christenthums unter den Juden vom Jahre 1844. Z godłem:

Ine Jehowa iszmia el-kietse aaretz imru lewat-tzion ine iszek ba. *Jeszi.* 62, 11.

Siehe, der Herr lässt sich hören bisan der Welt Ende. Saget der Tochter Zions: Siehe, dein Heil kommt. *Jes.* 62, 11.

Warszawa. Druk Missyonarzy Angielskich przy ulicy Żelaznej Nr. 2449. 1845. 8ka. Str. 51. VIII i nieliczbowanych 4. Karta napisowa I. Okładki drukowane.

89. *Psalm Dawida.* (Po hebrajsku.) Warszawa. Druk Szriftgissera. 1845. 32ka. Str. nieliczbowanych 100.

90. *Sydor meiras enajm aszknaz.* Warszawa. Druk Lebensohna. 1845. 8ka. Str. nieliczbowanych 160.

91. *Hagode szel pesach.* (Opowiadanie na Święta Wielkanocne.) Warszawa. Druk Szriftgissera. 1845. 4ka. Str. nieliczbowanych 62.

92. *Haancer.* Skarb, czyli udziałem ludzi prawych radość. Dramat z Niemieckiego na Hebrajskie tłómaczony. Warszawa. Druk Bomberga. 1845. 8ka. Str. 68.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Autor „*Ramot i Ramotek Literackich*”, obecnie zajmuje się wykończeniem tomu III i IV tegoż dziełka, które publiczność nasza tak dobrze przyjęła.

Księgarze tutejsi przedsiębiorą obecnie dosyć nakładów: I tak, Sennewald już rozpoczął druk dzieła Kazimiérza Wójcickiego w 3 tomach pod napisem: „*Historya Literatury Polskiej w zarysach.*” *Merzbach* w dalszym ciągu Biblioteki historycznej drukuje: „*Historyą Anglii.*” *Emmanuel Glücksberg* ogłasza: „*Panowanie Jana Sobieskiego.*” *Leon Glücksberg* kończąc wydanie *Kroniki Strykowski*, doda wiadomość o życiu tego kronikarza, napisaną przez p. *Mikołaja*

Malinowskiego. Orgielbrand drukuje: „Pamiętniki do panowania Zygmunta III, Władysława IV, i Jana Kazimiérza.” z dawnego rękopismu; wkrótce zaś zacnie drukować: „Panowanie Jana Kazimiérza” napisane przez Michała Krajewskiego, znanego z opisu życia Stefana Czarnieckiego, w Wyborze pisarzy Polskich Tadeusza Mostowskiego.

PETERSBURG.

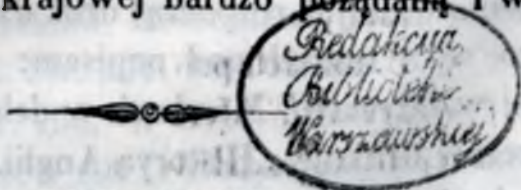
Autor „Pamiętek Szlachcica” dokończył dawno zapowiedziany historyczny romans pod napisem: „Listopad.”

W I L N O.

Wkrótce ma wyjść tom drugi „Bigosu Hultajskiego.”

L W Ó W.

P. Stan. Konst. z Siemuszowój Pietruski, znany z ogłaszania swoich spostrzeżeń nad zwierzętami fauny Galicyjskiej, które w swojej menażeryi w Podhorcach, obwodzie Stryjskim chowa, kończy postrzeżenia nad nórką (w niniejszym poszycie Bibl. Warsz. zamieszczone), następującą odezwą: „Udaję się znów do wszystkich tych moich szanownych współrodaków, którzy postęпки nauk przyrody na sercu mają, z prośbą, jeżeliby gdzie bądź jakiego rzadkiego zwierza lub ptaka ułowiono, o takowym właściciela menażeryi Podhorodeckiej łaskawie uwiadomić raczyli; szczególniej zaś do badań zoologicznych potrzebnemiby mi były bobaki, czyli tak zwane świszczce, i bobry! nawet jeżeliby takowych żywcem dostać nie można, to już sama dokładna wiadomość o nich, a mianowicie względem bobrów (którójby ci, co nad Bugiem i Wisznią mieszkają, łatwo udzielić mogli), jest dla zoologii krajowój bardzo pożądaną i wielceby mnie uszczęśliwiła.”



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Dziennik w Obserwatorium

Marzec 1845.

Miejsce dostawek wapienia jest 11400 metrów nad poziom morza
czyli w roku 1844-45, na wzdłuż

TERMOMETR ASTRONOMICZNY				BAROMETR W MIKROMETRZE SPRAWOWANY			
10	5	0	5	10	5	0	5

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatorium Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Marzec 1845.

1	10	5	0	5	10	5	0	5
2	10	5	0	5	10	5	0	5
3	10	5	0	5	10	5	0	5
4	10	5	0	5	10	5	0	5
5	10	5	0	5	10	5	0	5
6	10	5	0	5	10	5	0	5
7	10	5	0	5	10	5	0	5
8	10	5	0	5	10	5	0	5
9	10	5	0	5	10	5	0	5
10	10	5	0	5	10	5	0	5
11	10	5	0	5	10	5	0	5
12	10	5	0	5	10	5	0	5
13	10	5	0	5	10	5	0	5
14	10	5	0	5	10	5	0	5
15	10	5	0	5	10	5	0	5
16	10	5	0	5	10	5	0	5
17	10	5	0	5	10	5	0	5
18	10	5	0	5	10	5	0	5
19	10	5	0	5	10	5	0	5
20	10	5	0	5	10	5	0	5
21	10	5	0	5	10	5	0	5
22	10	5	0	5	10	5	0	5
23	10	5	0	5	10	5	0	5
24	10	5	0	5	10	5	0	5
25	10	5	0	5	10	5	0	5
26	10	5	0	5	10	5	0	5
27	10	5	0	5	10	5	0	5
28	10	5	0	5	10	5	0	5
29	10	5	0	5	10	5	0	5
30	10	5	0	5	10	5	0	5

Marzec 1845.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'45", na wschód

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 47^s.0, względem południka Paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	749.43	749.82	750.08	750.10	-12°3	-9°5	-6°9	-8°3	100.0
2	750.18	750.82	751.32	750.85	-9.9	-6.9	-7.1	-8.7	95.0
3	747.90	747.28	745.86	745.82	-9.6	-4.8	-4.7	-7.5	96.0
4	745.50	746.00	746.14	747.60	-8.7	-6.0	-3.6	-8.2	91.7
5	747.67	747.79	745.42	746.00	-15.1	-9.5	-9.7	-16.5	91.7
6	746.97	748.16	749.24	752.09	-23.2	-16.7	-8.4	-18.7	97.5
7	752.29	753.08	752.93	752.94	-16.1	-10.2	-7.3	-7.7	100.
8	754.28	754.94	753.97	757.26	-7.9	-5.7	-3.3	-3.5	88.0
9	759.80	760.82	758.69	754.51	-9.4	-6.7	-2.8	-8.4	86.0
10	751.16	749.81	746.45	744.10	-10.2	-5.7	-1.5	-6.4	89.0
11	738.15	736.62	734.09	733.50	-9.4	-6.2	-3.6	-6.4	100.
12	734.35	739.25	744.73	748.10	-9.9	-11.0	-12.0	-17.4	89.7
13	750.60	750.18	751.74	751.02	-24.3	-18.3	-10.9	-18.8	91.2
14	746.92	746.08	745.14	746.02	-18.7	-13.2	-11.2	-12.8	95.7
15	746.29	745.86	747.03	750.45	-14.8	-12.2	-10.2	-14.2	100.
16	752.63	753.79	752.84	750.35	-22.2	-19.5	-11.0	-18.1	94.7
17	747.22	747.00	744.87	741.56	-16.1	-8.0	-4.8	-6.4	81.2
18	739.30	741.12	743.32	743.75	-1.6	-1.4	-2.2	-5.4	92.7
19	741.90	739.97	737.72	739.12	-7.8	-5.3	-5.2	-6.4	92.7
20	743.50	745.46	747.78	750.30	-7.6	-4.0	-4.6	-6.2	92.0
21	753.98	756.75	760.07	764.16	-7.9	-3.2	-1.6	-8.0	79.2
22	766.67	768.06	767.17	767.79	-17.4	-6.1	-0.2	-7.4	84.2
23	765.74	764.26	759.81	755.19	-14.7	-8.2	-2.1	-11.1	95.5
24	750.46	749.63	746.75	746.67	-3.7	+2.3	+2.2	+1.3	98.0
25	749.25	750.52	751.70	754.55	+0.5	+1.9	+2.0	-0.8	91.0
26	756.97	758.35	756.61	754.11	-5.6	0.0	+2.1	-4.0	89.5
27	750.67	750.29	746.83	744.06	-6.3	+1.2	+3.8	+1.5	96.2
28	742.15	741.94	737.90	734.04	+2.4	+3.3	+3.7	+3.2	90.5
29	729.89	727.48	731.37	736.64	+3.9	+3.5	+1.6	-0.4	88.2
30	743.08	745.58	748.12	750.77	-1.3	+0.8	+1.1	-1.8	82.0
31	752.56	753.01	752.82	755.69	-2.6	-1.1	-0.2	-3.5	77.5
Sre.	748.628	749.023	748.662	749.042	-9°92	-6°01	-3°83	-7°65	91.5

Dnia	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
1	na pół pog.	na pół pog.	śnieg	pogodny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
2	pochmurny	pochmurny	śnieg drob.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		0.30
3	śnieg	lekko poch.	pochmurny	śnieg drob.	Z.	Pn.	Pn.	—		0.40
4	mgła	pogodny	pochmurny	śnieg drob.	Pn.	Pn.	PnZ.	—		0.40
5	mgła	chmurki	smugi	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
6	pogodny	pogodny	na pół pog.	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	Z.		
7	pochmurny	śnieg dr.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		0.20
8	pochmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
9	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnZ.	PdZ.	Z.	PdZ.		
10	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	Pn.		
11	mgła	mgła	śnieg pr.	śnieg drob.	PnW.	Pn.	Z.	Z.		0.30
12	śnieg	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		2.80
13	pogodny	pogodny	smugi	pogodny	Pd.	—	PdW.	PdW.		
14	śnieg	śnieg	lek. pochm.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		0.30
15	śnieg	śnieg	zadymka	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		6.70
16	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Z.	Z.	PdW.		
17	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
18	pochmurny	na pół pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	Z.	PdW.		0.20
19	pochmurny	pochmurny	śnieg drob.	pochmurny	W.	PnW.	PnW.	Pn.		3.60
20	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		0.30
21	pochmurny	pochmurny	na pół pog.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	—		
22	smugi	pogodny	pr. pogodn.	pr. pochm.	PdW.	—	Pd.	Pd.		
23	pogodny	pogodny	na pół pog.	smugi	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
24	pochmurny	pochmurny	dészcz	dészcz dr.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		4.00
25	pochmurny	na pół pog.	na pół pog.	na pół pog.	Z.	Z.	Z.	—		0.10
26	pogodny	na pół pog.	pogodny	pogodny	—	—	—	PdW.		0.50
27	pochmurny	śnieg prusz.	pochmurny	dészcz	PdW.	Pd.	Pd.	Z.		
28	dészcz dr.	pochmurny	pochmurny	na pół pog.	Z.	Z.	PdZ.	Z.		1.40
29	pochmurny	dészcz	dészcz	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		6.24
30	pochmurny	na pół pog.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Pn.	Pn.		0.40
31	pr. pochm.	na pół pog.	na pół pog.	pr. pochm.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
Sre.									11.64	16.50

	m.	c. l
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.839	27 7.957
Najwyżej barometr dochodził d. 22 o 10 g. r.	768.06	28 4.478
Najniżej „ „ d. 29 o 10 g. r.	727.48	26 10.488
Średnia zmiana dzienna barometru	6.35	2.81
Największa zmiana dzienna tegoż d. 29—30	18.10	8.02
Średnia wysokość barometru jest niższa o	0.163	0.072
od stanu normalnego z 19 lat poprzed.	749.002	27 8.029

Średnia temperatura Marca wynosi	— 6°.85 C.	— 5°.48 R.
i ta jest niższą o	7.64 „	6.11 „
od stanu normalnego z 19 lat popr.	+ 0.79 „	+ 0.63 „
Największe ciepło dochodziło d. 27 o 4 w.	+ 3.8 „	+ 3.04 „
Najmniejsza d. 13 o 6 g. r.	— 25.8 „	— 20.6 „

(Termometograf wskazał: max. + 4°.2 R. d. 28 w.; min. — 20°.6 R. d. 13).

Średnia zmiana dzienna temperatury	3.51 „	2.81 „
Najmniejsze zm. dzien. d. 17—18	14.5 „	11.6 „

Średnia wilgotność powietrza wynosi 91.5, biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną, albo 3.25 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 7 na pół pogodnych 8; pochmurnych 17.

— deszczu 4 (d. 24, 27, 28, 29).

— śniegu 15 (d. 2, 3, 4, 7, 11, 12, 14, 15, 18, 19, 20, 25, 27, 29, 30).

— mgły 6 (d. 4, 5, 9, 11, 22, 23).

Wody z deszczu spadło wysoko 11.64 milim. = 5.26 lin. paryzkich; z śniegu 16.5 milim. = 7.31 lin. paryz. razem 28.14 milim. = 12.47 lin. paryz. co wynosi o ¼ mniej, niż zwykle w tym miesiącu wody spada.

Marzec odznaczał się w tym roku wielkimi mrozami, obfitymi śniegami i częstymi zadymkami; pod względem stanu nieba był dość pogodny i suchy; w żadnym z lat poprzednich miesiąc ten nie był tak mroźnym jak w r. b. Średnia jego temperatura jest o 6 stóp. niższa niż zwykle, o 12 stóp: R. niższa od tem. marca w r. 1836; a o 3.7 stóp. od stycznia r. b. Siedm tylko dni było, w których termometr wznosił się wyżej zera. Mrozu blisko 21 stóp. R. dochodzącego, w 19 latach poprzednich w marcu nie było; jednak w latach 1808 i 1821 zimno w marcu było jeszcze większe bo 22 stóp. R. wynosiło. Barometr najwyżej wznosił się dniem przed pełnią; najniżej opadł dniem przed ostatnią kwadrą.

Wiatr panujący był zachodni.

Wichrów i wiatrów mocnych, które sprawiały zadymki było 14, to jest Pn=1; PnW.=2; PdZ.=1; Z.=5; PnZ.=5.

Dnia 4 koło białe i słup świetny nad słońcem wznosił się.

Dnia 5 słup świetny przez słońce przechodził.

O PRAWIE WŁASNOŚCI ZIEMI, SZCZEGÓLNIJ ZAŚ JEJ WNĘTRZA,

podług dawnych praw Polskich i przepisów dziś obowiązujących, ze względem na artykuł 552 kod. cyw.

przez

Hieronima Labeckiego.

Wykazanie, jaka jest rozciągłość prawa własności wnętrza ziemi w królestwie Polskiem, stanowi zadanie, które rozwinąć i bliżej poznać zamierzylimy.

Aby przedmiot ten ile możności wyczerpnąć, należy nietylko roztrząsnąć i porównać z sobą wszelkie przepisy do przedmiotu naszego ściągające się, z praw i urządzeń krajowych, lecz nadto wypada zapuścić się w badawcze rozpoznanie dziejowe, a mianowicie, jak wyobrażenia własności ziemi, szczególnież zaś własności wnętrza gruntów z następstwem czasu u nas powstały, rozwijały się, wykształcały, i jakie w najbliższych nas wiekach, stałe przybrały znamię.

Dziejowe to przebiegnięcie wyobrażeń i przepisów o prawie własności, a mianowicie, ze względu na wnętrze ziemi w kraju naszym, przedstawia widok wczesnie

rozwiniętej i ustalonej zasady prawnej, która kilku wiekami uprzedziła najoświećceńsze prawodawstwa Europy; a jak zaszczytnym jest dowodem jasnego pojmowania u nas w minionych wiekach wzniosłych pojęć prawodawczych, tak niemniej zajmującym czyni badanie naszego przedmiotu.

Wyobrażenia o prawie własności w Europie zachodniej w średnich wiekach, czyli po czasie tworzenia się praw Rzymskich, do dni dzisiejszych, przechodziły przez dwie główne postacie, charakteryzujące te wieki, to jest: feudalizm, a następnie uwalnianie się zpod tegoż. Granica między temi dwoma okresami, nie jest stałą; nowsze czasy wynalazły powoli i z osobna każdą myśl, każde prawo, które feudalizm pod swe skrzydła był zajął; a siła ta na której dawne mocarstwa spoczywały, chociaż stary budynek po większej części w skutek wieku i wstrząśnień runął, jeszcze części pojedyncze dawnego gmachu trzymała tak silnie, że i teraz przy wznoszeniu odnowionej budowy świata, użyta niejedna stara cegielka, tkwi z przywartą do niej feudalną myślą.

Na wschód Europy spojrzawszy, Polska stanowi przedmurze, które Słowiańszczyznę od feudalnych chroniło wpływów; w niejto z imienia tylko istniały niektóre instytucje, przypominające zachodni układ świata; inne w przekształconym, i jako chrome na ogół praw niewpływającym stanie, nie przeszły jednak w tętno rządu i ludu; napotykamy czasem nazwy z feudalności brane, lecz rzeczy wykazać nie można.

Materyalną częścią feudalności, jest względna zależność co do własności, czyli ograniczenie téjże na rzecz tego, któremu jakieś wyższe prawa własności się przyznają, stosownie do stopniowań układowi lennemu właściwych.

Takiego stanu rzeczy w Polsce nie było; wszakże odbitkę postaci téj cudzoziemskiej, w średnich wiekach w Polsce rozpoznać możemy, jako wciągnioną przez migracye osadników z zachodu, którzy z tych swojskich wyobrażeń otrząsnąć się nie umieli i nie śmieli; chwieją się prawa te, i tracą siłę, gdy wychodzą za obręb miejscowości przez przychodniów obranej, a czas wynarodowiając ich potomków, gdy ci z krajowcami w jedno zrosli ciało, prawa ich chociaż obcém ziarném zasiane, stały się rodzajem praw krajowych. Zbyteczną byłoby rzeczą przypomnieć, iż tu mówię wyłącznie o prawach i przywilejach miejskich; twierdzenie zaś powyższe, poniżej jeszcze bliżej wyluszczone będzie.

Wszyscy pisarze prawa natury zgadzają się na to, iż posiadanie, w pierwotnych czasach społeczeństwa, wypłyneło z prawa zajęcia rzeczy (*ex jure occupationis*); innego początku nawet naznaczyć mu niepodobna; każdy przeto tyle posiadał lub posiadać mógł ziemi, ile jęj zajął, i o ile drugi nie zajął, zwłaszcza mocniejszy (1). Po położeniu téj zasady, zobaczymy, jaki mógł być stan rzeczy w najodleglejszych wiekach co do posiadania, dzierżenia, a nareszcie i własności w krajach Słowiańskich, a w szczególności w Polsce. Nie ma wątpliwości, iż wyobrażenia nieokrzesanych społeczeństw o gminnej własności, to jest własności powszechnęj, czyli raczjęj niczyjęj, przeważać musiały. Odłogiem leżące pola, do nikogo jeszcze nienależące, były własnością wszystkich;

(1) Czacki, O Litew. i Polsk. prawach, tom II, str. 162 (nowe wydanie) oraz Ch. Comte, *Traité de la propriété*. str. 13, opierając się na Hugonie Grocyuszu: *De jure belli et pacis*. Libro II, cap. II, § 4 i 5, i Puffendorfic: *De jure naturae et gentium*, libro IV, cap. 6, Blackston. Komentarz, O pr. Ang. księga II, rozdz. 15.

kto atoli grunt jakowy ciągle posiadał i uprawiał, przyswajał go sobie powoli, i rozgraniczeń z sąsiadami poszukiwał. Nie traciła wszakże obok tego własność taka znamienia własności gminnej; kto bowiem posiadał, obowiązany był osobiście względem ogółu potrzeb państwa, wypełniając służbę wojenną, opłaty i usługi rozliczne. Obowiązki te przywiązane do osoby posiadacza, z zgonem jego ustawały; dopóki przeto utrzymać się mogło wyobrazenie gminnej własności, pozbawiona stałego posiadacza ziemia, za puścizną uważaną była, to jest wracając po śmierci tego który używał, do ogółu, każdy do jej otrzymania w dalsze posiadanie mógł mieć prawo, a może starszy syn zmarłego między innemi miał tylko oierwszeństwo (2). Tak więc puścizna może być uważaną za postać najdawniejszą dzierżenia gruntu w Polsce; postać nadto taka niestałego posiadania, nieprzywiązująca rodzin całych wiecznie do gruntu, odpowiadała potrzebie czasu, w którym, transmigracye dobrowolne lub przymuszone ludów, są rzeczą tak pospolitą (3).

Obok tego, własność szczegółowa dziedziczona w spadku, wcześniej powstać musiała tam, gdzie ją stała praca rąk utwierdzała; grunt wzięty pod uprawę, wprzód bez wątpienia stał się własnością nim puszcze, lasy, knieje ze zwierzem, pasieki, stepy, łąki obszerne, wody, ryby, a wreszcie nim minerały w obręb oznaczonej prywatnej

(2) Porównać początkowe prawodawstwo Polskie str. 28 sq. i Maciejowkiego, Hist. praw. Słow. tom II, str. 250 sq.

(3) Np. Bolesław w r. 1002 mieszkańców z okolic Strel i Elby, przeniósł wewnątrz kraju; w r. 1007 zabrał ludność z Serbii (Zerbst) i Morszynów (koło Magdeburga) Dytm. V, p. 369, 373; VII, p. 381, 384, 414. Po śmierci Mieczysława II, w skutek wojen Kazimierza i Masława, ludność z Polski przeniosta się do Mazowsza. Gallus I, p. 20 i t. d.

własności wchodzić mogły. Konieczność stałego zapewnienia potrzeb kraju, nakazywała szanowanie własności prywatnej, a obok tego ścieśniać się ona w stałych granicach musiała, utwierdzając obok tego coraz stałej następstwo w rodzinie posiadacza.

Są ślady dziejowe, iż pierwotkowo gminy Słowiańskie, na wiecach rozrządzać mogły rzeczą publiczną jakoby niczyją, rozdawać ziemie osiadającym; później przy ustalaniu się rządów, i to wyobrażenie bardzo naturalnie wejść musiało, iż ziemia nieskładająca prywatnej własności, jest własnością wyłączną panującego, który jest wyrazem zbiorowym interesu ogólnego, a przeto i do niego przejść musiało jej rozdawnictwo (4). Odtąd on ziemią wynagradzał pracę lub zasługę; a nadal w rodach posiadanie i własność pozostawały. W dobrach spadkiem przekazanych w rodzie i przez ojca nabytych, jest początek tej postaci którą oznaczają wyrazy dziadzina, ojczyzna czyli ojcowizna (*bona avita, bona paterna*), w nowszych czasach zastąpiona przez dziedzictwo. Obok tego stanu rzeczy, który około czasów zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polszcze (r. 1000) do początku XII wieku rozwijał się, napotykamy jeszcze puściznę; ale tylko brał kto chciał lub komu dano, po bezdzietnej śmierci posiadacza, zwłaszcza po duchownych, a po chłopach brał pan; takimi więc tylko odtąd były puścizny i odumarte.

W Polszcze ponosili ziemianie czyli obywatele, to jest posiadacze gruntu, mieszkańcy w powiecie (po wiecu), wspólnie ciężary ogólne; obrona kraju, budowa i naprawa zamków (*castrorum aedificatio*), podatki, daniny, naprawa i utrzymanie dróg, pogoń złoczyńców, podwody

(4) Maciejowski. *Historia prawod. Słowiańskich*, tom I, str. 177.

(angaria), przewodniki (przewód), przyjęcie i karmienie sług publicznych (stan, statio), zaopatrzenie nawet stołu publicznego i t. d., były powinnościami, służebnościami, do ziemi od najdawniejszych czasów, jako do wspólnej własności przywiązane; lecz wówczas, gdy posiadanie tak ściśle było powiązane z przyjęciem obowiązków względem rzeczy publicznej, jeszcze raczej ziemia jako puścizna, anizeli jako własność w rodzinach przechodzić mogła. Gdy zaś takie posiadanie, chociażby jako puścizna obejmowane, to jest po śmierci posiadacza jako rzecz niczyja (szczególnie po duchownych), lub przed innemi, przez jednego z synów zmarłego, później w rodzie ciągle pozostawało jako dziedzina lub ojcowizna (czyli odziedziczone i nabyte); wszystkie powyżej wymienione obowiązki nie przestawały ciążyć posiadaczy gruntu, i były do tegoż przywiązane służebnościami, albo powinnościami. Szły one na korzyść kraju i panującego, ten przeto raz jako wyobrażający rzecz publiczną, najwięcej mógł posiadać puścizn czyli ziemi, a jako władca rozrządzając owemi powinnościami, wchodził niejako w zwierzchnią własność. Im kto z prywatnych więcej posiadał, ten do panującego w swych prawach zbliżał się, a przeto lepiej posiadał, jakoto: możni i duchowieństwo; lecz drobni posiadacze, właśnie z téjże saméj przyczyny w coraz większą wchodziłi zależność, a przez nich trzymana ziemia, już jako własność panującego, uważaną być musiała.

To co panujący sami posiadali, było wolne od ciężarów, które ponosiły ziemie obywateli; panujący zwierzchniej używali własności nad mniejszemi posiadłościami, w porównaniu, obowiązkami przeciążonemi; większe własności albo się od nich wyłamywały, albo je panujący dla ustalenia swéj zwierzchniej własności, przez wpływ

przykładu zachodu, od nich to w części, to mniej, to więcej, lub prawie wszystkich uwalniali.

Gdy więc upowszechniały się i ustalały wyobrażenia dziedzictwa (*haereditatis*), rozróżniano jeszcze ziemie posiadane z powinnościami i ciężarami, czyli podług ogólnego dawnego prawa krajowego (*possessiones ex jure polonico*), od dzierzonych z prawem rozciąglejszém i uwolnionych od wielu powinności, a które nadto po śmierci posiadacza, w rodzinie jako spadek pozostawały, czyli dziedzictwo. Ustępowały wszelkie inne wyobrażenia dawne puścizn, przed dziedziczeniem w rodzinach, a nawet od zjazdu, czyli raczój Synodu Łęczyckiego r. 1180, zniesioną została puścizna po duchownych (5); ustaliła się odtąd własność duchownych prywatna, poprzednio zaś miały ją już niektóre zgromadzenia duchowne do Polski sprowadzone. Od tego czasu, własności ziemi były dziedzictwami (*haereditates*), jedne z obowiązkami wypływającymi z dawnego prawa (*haereditates ex jure polonico*), drugie z prawami zwykle panującym tylko służącymi. Uwalniali oni bowiem wyższe duchowieństwo, zgromadzenia klasztoru i możniejszych panów, od wielu ciężarów publicznych i powinności; a często-kroć nawet w nadaniach swych pewnych praw, im tylko służących, odstępywali, jak np. sądzenia poddanych, uwolnienia od ceł, poboru, podatków i t. p.; takie dziedzictwa na wzór ich własnych dzierżaw, zwano prawem

(5) Naruszewicz, T. VI, księga VIII, 6, str. 103, cytuje z Kadłubka k. 799, iż na zjeździe tym postanowiono: „Rursus, qui demortui bona praesulis invaserit, aut invadi jusserit, sive princeps ille fuerit, seu quaelibet illustris persona, seu quaevis officialium, sine omni exceptione anathema sit.” Po duchownych najdłużej mogły się utrzymać puścizny, a tu zdaje się, ostatni ich kres naznaczyć można.

książęcém posiadane (haereditates ducales, albo cum jure ducali).

Krom powinności przywiązanych do ziemi, jaka mogła być rozciągłość prawa jój własności, nad tém jeszcze nieco nam się zastanowić wypada. To co prawnicy zowią przybytem, to jest: las, woda, powierzchnia gruntu i wnętrza, należało do tego czyja była ziemia. Ztąd téż zwierz w lesie, a ryba w wodzie, były tego, czyj las, czyja woda; te zaś po większej części jako w szczególne posiadanie niezajęte, pozostawały własnością publiczną; skutkiem czego wynikało, iż panujący na znacznej przestrzeni mogli mieć wyłączność polowania, a może i rybołówstwa, a w następstwie tego, w wielu miejscach powstały obowiązki utrzymywania psów, sokołów jego, a nawet pilnowania bobrów dla monarchy. Dlatego jednak mniemać nie należy, żeby polowanie było wszędzie wyłącznością panującego, albowiem również zasadnie twierdzić można, iż każdy na swym gruncie, mógł praw tych w całej rozciągłości używać. Nadania w dokumentach które nas doszły, dowodzą tylko, że panujący tam, gdzie własność lasów jego była, również i możność polowania w nich za swe wyłączne uważał prawo; jeszcze w XIII wieku polowanie panujący albo dla siebie w nadaniach zastrzegali, albo na rzecz nadanego odstępowali. Od Ludwika króla, nie ma już nawet śladu, aby królowie mieli gdzie w kraju wyłączone polowanie dla siebie, prócz w swych własnych dobrach, tak jak każdy inny właściciel ziemi. Co do rybołówstwa, to należało w ogólności do tego czyj był brzeg wody; i tak téż ostatecznie rzecz tę wyjaśnia Statut Zygmunta I, z r. 1507 (6), przyzna-

(6) Vol. Leg. I, fol. 362.

jący każdemu właścicielowi użytek z rzék, o ile te przez jego dobra przechodzą.

Co do wnętrza ziemi czyli kopalni, to kopanie w ogólności u wszystkich narodów Słowiańskich, a w szczególności u Czechów (7), Morawów, Polaków, i t. d. tak było złączone z gruntem, i za tak nieodrębne od niego uważane, że jak w najdawniejszych nadaniach dostrzegamy, gdy panujący wieś jaką nadawał, udzielał ją z prawem do kopania. Później jednak wpływ cudzoziemskiego prawa, w Czechach, Morawach, a następnie i na Śląsku, przemienił kopanie w królewszczyznę, to jest, iż wszystkie i gdziekolwiek znalezione lub prowadzone kopania, za wyłączną własność panującego poczytywano; w Polsce jednak pozostały kopalnie zawsze własnością tego, czyj był grunt, czyja ziemia, czyli króla w królewskich dobrach, prywatnego w jego dobrach, gdzie zarówno mieli zawsze kopalnie rud i soli jak i monarcha, o czém jeszcze później mówić będziemy.

Przytoczenie kilku nadań, przekona nas, w jakiej one rozciągłości w najdawniejszych czasach udzielane bywały.

Bolesław Chrobry według Długosza pod r. 1025 (8), nadając duchownym w ich dobrach własność nietylko ziemi w folwarkach, ale i zamków na ich gruntach wzniesionych, dozwolił im kopać żelazo, ołów, srebro i sól, wyjąwszy tylko złota.

(7) Dobner. Monumenta historica Bohemiae inedita. T. III, p. 336. T. IV, p. 229.

(8) Długosz. Księga II, pod r. 1025 str. 175. „Boleslaus rex dotavit ecclesias, attribuens eis praedia et castra cum pertinentiis earum, scilicet servitiis diversorum officiorum, proventus rerum mobilium et immobilium, tam praesentium quam futurarum, terra nascentium, scilicet: ferri, plumbi, salis et argenti sine exceptione, auri vero cum exceptione”.

Późniejsze nieco przywileje nadające wsie, oznaczają co do nich ma należyć, czyli wskazują rozciągłość własności, jak np. przywilój Tyniecki Idziego biskupa Tuskułańskiego z r. 1105 (lub może 1120 albo 1125) (9), (z powodu wątpliwości w dacie, w swój wiarogodności może niewłaściwie zachwiany, wszelako powoływany i używany), który wymienia posiadłości klasztoru na Tyńcu; podobnie bulla papieża Innocentego z roku 1136, zatwierdzająca i wyliczająca posiadłości arcybiskupa Gnieźnieńskiego. Oba te dyplomata z tego tu względu na uwagę zasługują, iż pierwszy zawiera nadania dochodów solnych z Wieliczki i posiadanie warzelnii soli przyległych klasztorowi Tynieckiemu, drugi zaś również o soli w Babicach pod Wieliczką, jako własności arcybiskupa wspomina, oraz o należących do tegoż arcybiskupa kopalniach srebra pod wsią Zuersów, niedaleko Bytonia (10).

(9) Szczygielski. *Tinecia*, część II, p. 138. Początkowe prawod. Pol. str. 160. Zdarzyło mi się widzieć w przygotowanym do druku dyplomatarjuszu, odpis z oryginalnego dyplomu, którego pismo nie dopuszcza żadnej wątpliwości, iż z XII pochodzi wieku, iż w nim data oznaczona przez indykcyje i epakty, podobnie jak w dyplomie Tynieckim Idziego, po obliczeniu błędną się okazała. To przemawia silnie za ważnością i wiarogodnością Tynieckiego. Prosić należy, szanownych wydawców dyplomatarjusza krajowego, aby tém ważném dziełem uczonej publiczności niezadługo przysłużyć się chcieli.

(10) Raczyński. *Codex diplom. maj. Pol. Nr. I, str. 1.* „Item villa ante Biton, quae Zuersow dicitur, cum rusticis argentifodinis, cum duabus tabernis, non nisi ad archiepiscopi pertinet jurisdictionem. Item apud civitatem Cracoviae sal archiepiscopi, quod Babiza nuncupatur, tantum suae respondet ditioni (str. 4). „Raczyński mniema, iż Zuersów ma znaczyć Siewierz; na to się nie zgadzam, gdyż miejsce to zwano się Syewyor (jak to najdawniejsze inne dyplomata Małopolskie i Śląskie okazują); Zuersów czytałbym raczej Zwierzów lub podobnie; pod samym Bytoniem jest jeszcze

Wśród małej liczby dyplomatów z tego wieku XII, z którychby doczytać się można coś o wnętrzu ziemi, zasługuje także na uwagę, przywilój Bolesława Wysokiego księcia Szląskiego, zakładający wr. 1178 klasztor w Lubeniu dla Cystersów z Niemiec sprowadzonych; i nadający im różne posiadłości z wolnością rządzenia się jakimi zechcą obcemi prawami; oddaje im wszelkie, jak się wyraża, prawo i własność do niego i jego następców należące, tojest prawo książęce (cum omni jure meo ducali), i to nietylko do tego co jest na ziemi, ale i do rud (minerae) w ziemi znajdujących się (11).

Inne nadania z wieku tego, głównie mają za przedmiot określenie powinności nadanego; z nich dobitnie okazuje się, czém były owe ciężary z prawa Polskiego. Pomiedzy innemi dokładnie je wylicza przywilój Mieczysława IIIgo Starego, księcia Wielkopolskiego z roku 1145 fundujący Cystersów w Lendzie (Łędzie) (12), który wsie klasztoru tego uwalnia od obowiązków *juris Polonici*, jakoto: od

wieś Chorzów, lecz wiele innych wiosek, Niemieckie przybrały nazwiska; a chociażby tylko wspomnieć o napadach Tatarów, trudno żądać, aby się wszystkie wsie do nas dochowały w dawnych swych posadach. Pod Bytoniem istotnie były kopalnie ołowiu srebronosnego.

(11) Sommersberg. *Scriptores rerum Silesiacarum* T. I, str. 894. Początkowe prawod. Polsk. str. 177. W przywileju tym, dozwała im używać praw obcych: *noviforensis, theutonici*; a nadając zakonnikom tym ziemię nad Odrą rzeką, mówi, iż udziela im takowe, „cum omni jure ducali, cum omni domino, cum omni libertate, cum omni utilitate quae nunc est super terram in omnibus bonis et praediis claustris, et quae sub terra esse poterit in futurum, nulli de his omnibus debendo aliquam portionem. Item duas villas meas, Mogses majorem et minorem, cum jure patronatus ecclesiae, et cum omni meo jure ducali, cum omni libertate, cum omni judicio, utilitate et fructu, super terram et in terra cujuscumque minerae &c.”

(12) Początkowe prawod. Polsk. str. 166.

przewodu, stróży, dan, naraz, potworowe, targowe, mostowe, od budowy zamków, od utrzymywania bobrów, sokołów, od opola (vicinia) i t. d., dodając w końcu i od wszelkich praw w Polsce postanowionych, a jak bądź zwanych. Tenże jeszcze Mieczysław Stary książę Wielkopolski, nadał klasztorowi Lendzkiemu w r. 1173 (13), wieś książęcą, mały Wronchin, prawem dziedzictwa i wolną od wszelkich powinności i praw Polskich. Odtąd coraz częstsze są takie nadania, wyłączające od obowiązków z prawa ogólnego krajowego, przez udzielanie prawa własności ziemi na dziedzictwo z pewnymi prawami samemu księciu panującemu służącemu (cum jure ducali).

W tym zamęcie przywilejów, nierównej między sobą rozciągłości, podkopujących zasoby najdawniejszych praw ogólnych kraju tego, w tak przygotowanym stanie rzeczy do zmian stosunków prawnych, obok chęci wyłamania się od ogólnych krajowych obowiązków, utorowała się droga do drugiego rodzaju wyjątkowych nadań mieszkańcom. Przykład Piastów Szląskich, ściągających osadników z Niemiec, a z postępem czasu i potrzeba zaludnienia kraju, napadami Tatarskimi wyludnionego, są pierwszymi przyczynami, iż i u nas Niemieckie powstały osady.

Niewiele ich być musiało w Polsce przed Bolesławem Wstydliwym, a przynajmniej mało tego śladów posiadamy; prócz bowiem przytoczonego przez Okólskiego (Tom I, str. 319) pozwolenia Bolesława Kędzierzawego (między r. 1146—1173), Dzierzławowi i Wojciechowi Jastrzębczykowi, do przeniesienia włości ich Jakosowic i Kobelnik z prawa Polskiego na Teutońskie, może tylko jeden jeszcze przykład wsi Cecowicz w Wielkopolsce

w roku 1212 osadnikami Niemieckimi zaludnionej, znajdziemy (Voigt. Cod. diplom. p. 9). Za Bolesława Wstydliwego, lub jemu współcześnie w różnych dzielnicach Piastowskich z wspomnienia lub z dochowania przywilejów, są znane następujące zasadzania miejsc prawem Niemieckim.

Konrad książę Mazowiecki, przywilejem datowanym z Warszawy r. 1224, pozwolił Warcisławowi w powiecie Ciechanowskim, wsi jego dziedziczne: Ślepowrony, Drozdino, Wola Strachowa, przenieść z pod prawa Polskiego pod Teutońskie. (Paprocki herby rycerstwa Polsk., str. 312 i 313).

Bolesław Wstydlivy, zapewnie około r. 1230, osadził Niemców w Krakowie i Sandomierzu, gdyż inne fundacye poniżej przytoczone, do téjże jako od siebie wcześniejszój odwołują się.

Mistrz Krzyżacki Herman de Salza, nadał r. 1233 prawo Magdeburskie: Chełmowi, Toruniowi i całej ziemi Chełmińskiéj. (Bandtkie Jus Culmense. str. 283).

Osadzenie wsi nad Dunajcem na prawie Teutońskim, znajduje się u Fejera. (Cod. diplom. Hung. II, str. 454).

Zasadzenie Płocka w Mazowszu r. 1237. (Gawarecki, Pisma historyczne str. 188).

Władysław Odonicz książę Wielkopolski, nadał roku 1237 szpitalowi śgo Jana, wieś Chontowo, z wolnością osadzania tamże Niemców z prawem Teutońskim. (Raczyński Cod. diplom. majoris Poloniae Nr. 16, str. 19).

Po napadach Tatarskich:

Przywilej na sołtystwo Podolin nad Popradem z roku 1244, odwołuje się do prawa Magdeburskiego, jak Kraków i Sandomierz. (Fejer. Cod. dipl. Hung. IV, 1, str. 353).

Kazimierz książę Kujawski, dozwolił r. 1250 opatowi Lendzkiemu założyć miasto prawem Teutońskim. (Początk. prawod. Pol. str. 187).

Cystersi w Szczyrzeczu otrzymali r. 1253 włók 100 przy Nowymtargu (Neumark, Novum forum), prawem Niemieckim jak Kraków i Sandomierz. (Fejer. Cod. dipl. Hung. IV, 2, str. 151).

Przemysław i Bolesław bracia, książęta Wielkopolscy, dali Poznaniowi prawo Teutońskie r. 1253. (Bandtkie Jus Culm. str. 298).

Ziemowit książę Mazowiecki, wydał w r. 1254 przywilej, na zakładanie miast i wsi prawem Niemieckim w biskupstwie Płockim. (Bandtkie Jus Culm. str. 327).

Henryk książę Szląski zasadził Oleśnicę na prawie Niemieckim roku 1255. (Sommersberg. Script. rerum Siles. T. I, str. 1073).

Potwierdzenie zasadzenia Krakowa prawem Niemieckim przez Bolesława Wstydlwego, przedrukował J. S. Bandtkie. (Miscellanea Cracov. r. 1815, fascicul. II, p. 63).

Zasadzenie Nowego Miasta Korczyna, przypada około roku 1257.

Przemysław książę Wielkopolski dał pozwolenie opatowi Lubeńskiemu (pod Lesznem) r. 1257, zasadzenia wsi Krzywina prawem Niemieckim. (Raczyński Codex dipl. majoris Poloniae Nr. 41, str. 48).

Tenże książę pozwolił klasztorowi Paradyzkowskiemu zasadzenie wsi na prawie Niemieckim tegoż r. 1257. (Raczyński Cod. dipl. maj. Pol. Nr. 42, str. 49) (14).

(14) Dobra klasztoru tego, od Bolesława Wstydlwego już poprzednio r. 1245, uwolnione zostały od wszelkich powinności podług prawa Polskiego, wyjąwszy sądownictwa księcia

Biskup Poznański otrzymał podobne pozwolenie w roku 1260 co do wsi Ciężyń. (Raczyński Cod. dipl. maj. Pol. Nr. 46, str. 54).

Bolesław Wstydlivy zamienił r. 1264 wieś Skaryszew klasztoru Miechowskiego, na miasto z prawem Niemieckim jak w Nowém Mieście Korczynie. (Nakielski, Miechovia str. 196), i t. d.

Wszystkie te nadania, ściągają się do prawa Niemieckiego Teutońskiego czyli Magdeburskiego, niekiedy u nas i Szredzkim (jus sredense, lub jus novifori) (15), a po r. 1233, czasem i prawem Chełmińskim zwanego.

Wypada nam tu powiedzieć, dlaczego z osadnikami przywędrowało i prawo to obce do Polski, i utrzymywało się; a co więcej, dlaczego z prawa Polskiego pod prawo Niemieckie, nie tylko miasta, dla których ono właściwsze, ale i wioski przechodziły.

Przed przybyciem Niemieckich, lub zniemczających Słowiańskich zachodnich osadników, zdaje się, iż miast podobnych jak istniejące na zachodzie Europy lub jej południu, nie było na naszej ziemi; lecz raczej oprócz wsi były tu posady z nagromadzonemi mieszkańcami, i ludniejsze od pospolitych włości, mianowicie w bliskości grodów czyli miejsc ogrodzonych dla obrony i sądenia, lub przy tychże grodach i zamkach; gdy zaś przybywający osadnik panującego; ab omni exactione juris Polonici, sicuti strossa, podworowe, powoz, poradne, naraz, szlad, głowa i t. d. Raczyński Cod. diplom, maj. Pol. Nr. 22, str. 27.

(15) Szredzkie prawo, podług wszelkiego do prawdy podobieństwa, znaczy prawo pisane (schreiben), lub może od miasta Wielkopolskiego Środa (Novum forum, Nowytarg, Neumarkt), albo może jus Novifori, znaczy prawo jakie miało Szląskie Neumark Novumforum, Nowydwór, otrzymawszy je już w r. 1178. Forum znaczy również sąd, ząd może ex foro, srady, szrody i szradzkiego powstało nazwanie.

cy w pewnych miejscach gromadząc się, oddzielną ludność przemysłową z oddzielnymi swymi zwyczajami tworzyli, miejsca te miastami, a ich mieszkańcy mieszczanami zwani być poczeli.

Obcych tych przybyszów, stanowiących tym sposobem nowy stosunek mieszczaństwa, przyjmowała gościnna Polska z ich rodzinnymi zwyczajami, z ich prawami, których główną cechą był rząd gminno-miejski (komunalny), to jest, iż w stosunkach wewnętrznych, najpospolitszych, codziennych, sami przez wybranych z pomiędzy siebie urzędników, którym najwięcej ufali, niejako familijnie zarządzili się; burmistrz (proconsul, Bürgemeister), rajcy (consules, Rathimburgi, Rathmänner), wójt (advocatus, Vogt), ławnicy (scabini, Schöppen), sołtys (scultetus, Schulze, Schuldheiss), oto wykonywacze praw obcych, do których przybysze rodzinie byli przywiązani. Trzymanie się przez miasta prawa Niemieckiego miejskiego czyli Wichbildu (jus theutonicum, jus maydemburgense), następujące jeszcze przedstawiało korzyści: iż łączyło nowych osadników z dawną matką ojczyzną, dokąd po sądzenie się od wyroków własnych miejskich urzędników udawali się nieraz, i że to zapewnienie udzielonej przez monarchę wolności osiadania na prawie Niemieckim, zasłaniało ich od używania prawa krajowego Polskiego, które chociaż w istocie większe zawierało prerogatywy, ale zobowiązywało do pewnych powinności i danin, zwłaszcza opłat sądowych, pod nazwaniem *czesnego* i *pamiętnego* znanych, utrudniających przystęp po wymiar sprawiedliwości, co obcym niemilém być mogło.

Jedną jeszcze ważną korzyść mieli nowi mieszczenie na Polskiej ziemi, to jest, iż tu wolni byli od gnębiącego

wpływu praw feudalnych, uciemniających w ogólności niższe stany w zachodnich i południowych stronach Europy.

W tak błogich stosunkach, wzrastały miasta, a nawet i liczne wsie z chęcią prawo Niemieckie przyjmowały, jako uwalniające je od uciążliwości, które się w prawie Polskiem z postępem czasu wzmogły, aż nareszcie staraniem Władysława Łokietka, prawo krajowe od nich oczyszczone, wzniosło się i w odnowionej ustalało się barwie; odtąd dając ono wszelkie rękojmie wymiaru sprawiedliwości, szlachta i kmiecie woleli je i przekładali nad prawo obce, z sądem obcych osadników, i apelacją (naganą) do dalekich krajów, połączone.

Od Łokietka, nie ma już nadań *jure hereditario*, czy to *ducali* czy *Polonico*; on bowiem dążył do ujednostajnienia prawa w całych granicach państwa swego, a przyjmując za zasadę dziedziczenie własności, dotąd jedną z cech wyjątkowego prawa na przywilejach opartego, stanowiące, nie widział potrzeby powtarzania oddzielnymi takimi przywilejami, tego, co przestało być wyłączeniem od ogólnych prawideł (16). Odtąd już prawo Magdeburskie wyłącznie miast stawało się udziałem, a Kazimierz Wielki r. 1356, przeciął udawanie się do obcych krajów (zwykle do Magdeburga w Saxonii), po poprawę wyroków, stanowiąc apelację od miast ziemi Krakowskiej, do sądu najwyższego miejskiego, według praw Magdeburskich w Krakowie ustanowionego, z rajców delegowanych z sześciu znaczniejszych miast téjże ziemi złożonego (17).

(16) Początkowe prawod. Polsk. str. 136, 139, i nast.

(17) Vol. Leg. I, fol. 143. Bandtkie, Jus. Polonicum, str. 161.

Od Łokietka i Kazimierza Wielkiego, ustaliło się jako powszechne prawidło, prawo krajowe (*jus commune*), a jako wyjątek od niego, prawo obce (*jus theutonicum*).

Pierwsze wszystkie ziemie obejmowało; to jest, stosuje się do trudniących się rolą, związane jest z obroną zbrojną (*cum jure militari*, statutów Kazimierza), obowiązuje obywateli ziemskich czyli ziemian, to jest: szlachtę i kmieci; ten ostatni czyli kmięć, nie ma wprawdzie nieograniczonej własności, jak pierwszy czyli szlachcic, ale statuta zapewniają mu posiadanie nakształt dzierżawy, którą opuścić może, skoro mu się spodoba; ztąd nazwanie ogółu tych powszechnych ustaw krajowych, prawem ziemskim (*jus terrestre*). Prawo obce, tylko w miastach już znajduje swe zastosowanie i rozwinięcie, gdzie pod zasłoną i tarczą podległości panującemu, uwolnieni od niektórych powszechnych obowiązków krajowych, mieszczanie odróżniają się własnym wewnętrznym zarządem, trudnieniem się rzemiosłami i przemysłem, i to stanowiło odtąd prawo miejskie.

Z tego widzimy, iż stosunek ziemian i mieszczan do władzy najwyższej czyli panującego, był różny. Pierwsi stanowią właściwie naród Polski, a pomiędzy tą ludnością rolniczą kraju, część jedna to jest szlachta, nabiera przewagi, z nięj wyradza się gminne możnowładztwo, z odsunięciem reszty, pierwiastkowo stan kmieci tworzącej, a z czasem w chłopów przetworzonej. W skutek rozszerzonych praw szlachty, tęj obszernęj budowy, do której ostatni panujący w Polsce z rodu Piasta po kądzieli Ludwik Węgierski, węgielny położył kamień, a która, dlatego, że zbyt ją rozprzestrzeniano bez wzmacniania starych fundamentów, runęła, niktą prawa kmieci, niktne z postępem czasu nawet troskliwsza nad niemi

praw opieka; a wszystkie prerogatywy zagarnia dla siebie szlachta; ona nawet już wyłącznie ziemianami się zowie, ona staje się nietylko rządzonym, ale w miarę nabywania przewagi i rządzącym sobą narodem, a przez wybranych z pomiędzy siebie posłanników, własnym prawodawcą.

Tymczasem mieszczenie, wierni swoim zwyczajom, nie odstępują od ustaw miejskich; pod bliższą opieką panującego, z powodu, iż do niego należy własność gruntu w ich posiadłości zostającego, używają swych szczupło zakreślonych swobód, i w stanie takim jednostajnie i bez zmiany wieki przetrwają, dopóki okoliczności ogólnokrajowe, upadek wykształconego przez wieki panowania wyłącznego szlachty, a nadewszystko silny wpływ zewnętrznej potęgi i czasu, różnicy stanów na tej ziemi nie zatarł, i jednego, dla wszystkich powszechnego, nie wprowadził prawa.

Nie wyprzedzajmy wszakże potoku dziejów, których porządku o ile można trzymać się tu godzi; a nim dojdziemy do owiej dla prawa własności stanowczej chwili w dawniej Polsce, przy wstępie do rządów monarchów wybieranych, zwróćmy się do jednego na początku przez nas dotkniętego przedmiotu, to jest rozberzmy związek feudalności z tym krajem, a mianowicie: czy ta istniała, i czy miała wpływ na wyobrażenia prawa własności ziemi, a to celem wyrozumienia, dlaczego u nas prawo nieograniczonej własności ziemi, wraz z własnością tego, co w jej łonie natura złożyła (wyobrażenie które musiało być i było jednem z najdawniejszych u spokojność miłujących ludów Słowiańskich), nienaruszenie wieki przetrwawszy, w końcu, w poczet fundamentalnych praw krajowych weszło.

Zpomiędzy pisarzy dziejów Polskich, wydawca *Historji książąt i królów Polskich* ks. Teodora Wagi, w przypisku do panowania Mieczysława II, pierwszy wyrzekł zdanie, iż na Rusi i w Polsce, nigdy feudalizmu nie było. Przed nim, dziejopisowie nasi, albo wcale przedmiotu tego nie dotykali, albo, dowierzając Niemieckim pisarzom, którzy przez własne szkła, na rzeczy Polskie zapatrywali się, dopuszczali, iż przez wpływ obcy, wyobrażenia feudalne u nas krzywiły się, i nad tém nawet rozprawiali, jakoby nad jedyną jeszcze kwestyą wątpliwą, czy Saskie, lub Longobardzkie ustawy feudalne, u nas obowiązującą moc miały (18).

Błąd ten wykazać można, raz przez wyjaśnienie, czém był w rzeczy samej feudalizm zachodni, i jak dalece u nas go nie było; następnie, jak wyrażenń mylnie użytych, mieszać nie należy z rzeczywistością; a tém samém wykazać, iż lenności u nas istotnie nie było, wyjąwszy odbitki wyobrażeń tych ustaw w szczególnych wypadkach z praw miejskich.

Feudalizm początkowo pod następcami Karola Wielkiego (Karolowingami), ówczasowém położeniem zachodniego państwa wywołany, stanowi nowy, przed końcem X wieku wcale nieznaną kształt rządu, żadnemi jednak stałemi prawidłami nieokreślony; tkwi on głównie w zwyczajach i życiu Giermańskich, Gallijskich, Italskich i Anglosaskich ludów, przebija się myślą w monarszych owego wieku reskryptach, lecz występuje dopiero jak coś określonego, jako instytucya oznaczona właściwem piętnem, po wyjściu z rąk szkoły prawniczej Włoskiej, która na gruzach prawa Rzymskiego w Bononii powstała.

(18) Biener. *Disquisitio de origine et indole feudorum poloniarum*. Rozprawa umieszczona in *Actis Jablonovianae societatis Lipsiensis*. Tom II.

Dwie główne są cechy układ feudalny znamionujące:

1) Zależność stopniowana, połączona z służbą osobistą wszystkich należących do systematu lenników, począwszy od suzerana, do ostatniego poddanego.

2) Zawisłość własności, to jest, iż każdy ma ziemię, którą od innego od siebie za wyższego i lepszego uznano otrzymał; suzeran czyli banher (heribanus), otrzymuje inwestyturę i tytuł własności od cesarza, i także daje swoim wassalom, ciż valvassorom, a u tych zostają niewolni poddani.

Pod każdym z tych względów, lenność jest nakształt drzewa, które z głównego pnia coraz dalej, coraz liczniejsze i drobniejsze wypuszcza konary.

Że ten układ kształtu rządu nietylko w Polsce, ale i we wszystkich Słowiańskich ziemiach, nie miał miejsca, nie podlega już dziś wątpliwości. Widzieliśmy, iż pod względem własności, pierwotnie wszystko znaczyć mogło, objęcie w posiadanie, puścizna, a później w jej miejsce dziedziczenie; nadania zaś *jure ducali* innéj są zupełnie natury jak feudalizm. Obowiązek służby wojskowej, był powszechnym w Polsce dla wszystkich mieszkańców téj ziemi, a szczególnie zaś jej posiadaczów (19). Nie był on odrębnym od ogółu powinności, mało jest nawet dyplomatów któreby o nim mówiły. Dostrzega się go w zadaniu przez Leszka Czarnego ks. Sieradzkiego z r. 1276 dóbr ziemskich Raclawowi, *cum omni jure militari hereditario* (20). O tém prawie *militare*, mówią jeszcze statuta Łokietka i Kazimiérza Wielkiego; zdaje się, iż rzecz, jako obowiązek ogólny istniała od wieków, nazwa pow-

(19) Początkowe prawod. Polsk. str. 312 i nast. 318.

(20) Maciejowski, Pamiętniki o dziejach Słowian. Tom. II str. 379.

stała później, i zdaje się, że wnet jako niepotrzebne odróżnienie znikła.

Innej wszakże jest natury ten obowiązek służby woj-skowej u Słowian, do obronnej walki stosujący się, od systematu do zaczepnych bojów urządzonego; duch bowiem narodów Słowiańskich nie był podbojowy, dla własnej tylko obrony powoływano do występywania z orężem tych, których powszechne dobro obchodziło. Zachodnie narody, szczególnież zaś Giermańskie, nienasycone w podbojach, potrzebowały między walczącemi głębszego posłuszeństwa, większej zależności mass od woli zwierzchnika, a to zapewniał układ lenny.

Z tego powodu również, mniemam iż nie jest uzasadnionem zdanie tych, którzy upatrują zupełną feudalność w urządzeniach Witołda w kraju Litewskim; bliższy rozbiór mógłby to stwierdzić.

Zależności politycznej, z przewagi mocarstw większych nad krajami ościennymi, stanu koniecznego hołdownictwa, mieszać nie należy z układem feudalnym. Stosunki z Szląskiem, Mazowszem, nadania Krzyżaków ziemi Dobrzyńskiej, stosunki z Pomorzem, z księstwem Pruskiem, z Kurlandją, Wołoszą i innemi pogranicznymi dawniej Polski krajami, w maństwie jej zostającymi i oniej hołdującymi, nie są feudalnością; te bowiem obok głównego ciała politycznego, węzłem uległości przez homagia złączone zostają; istotne feudum czyli lenność, wewnątrz i w obwodzie rzeszy istnieje (21).

(21) Feudum, feodum, po Franc: féodalité, fief, po Niem. Lehen, Lehenschaft, prawo feudalne, jus feudale, droit féodal, féage, Lehnrecht. Ztąd okazuje się, iż feudalność, feudalizm, lenność, oraz prawo feudalne, prawo lenne są wyrazami równoważącymi, i tak ich używam; chyba że dowiedzionem będzie, iż feudalność Francuzka, zupełnie czém innem była jak lenność Niemiecka.

Za żaden dowód feudalności również służyć nie może, to, że monarchowie Polscy niepodlegli, z krajów przyległych cesarstwu Niemieckiemu hołdownikami tegoż uważać się mieli, a chociażby Mieczysław I około r. 963 uznał zwierzchność Ottona I cesarza z posiadłości swych w Luzacyi i Syrbii (dziś Zerbst), lub że Bolesław I Chrobry r. 1001 przystąpić miał do związku rzeszy za Ottona III, to w żadnym razie nie dotyczyło kraju Polskiego, lecz Nadelbiańskich granic czyli Marchii; krótko to nawet trwać mogło, gdyż w lat kilkanaście później, Chrobry, w rzece téj słupy żelazne bić kazał. W kroku tym monarchy Polskiego, dostrzedz raczój należy zamiar jego wejścia do rzeszy Rzymskiego państwa i wpływania w politykę tego kraju, celem zapewnienia i rozciągnięcia narodowi swemu przewagi za granicą królestwa.

Gdy tak w stosunkach politycznych, nie ma dowodu feudalności, również okazuje się, iż prawo feudalne w stosunkach wewnętrznych wprowadzone i stosowane nie było. Jan Łaski, w trzecim przedruku Zbioru praw krajowych, w r. 1506 dokonany, zamieścił prawo lenne Saskie, w skutek swój autorskiej dowolności. Nie uczynił tego dla dogodzenia potrzebie krajowej, a co większa sprzeciwiało się wyraźnemu postanowieniu Ludwika króla, który na sejmie w Koszycach r. 1374 (Bandtkie Jus Polon. str. 184), podstawy równości szlacheckiej założył, i Kazimiérza Jagiellończyka z r. 1476 (Vol. Leg. I, str. 229), który przepisując dla ziem Pruskich używanie prawa Chełmińskiego, abroguje wszelkie prawa Pruskie, Magdeburskie, Pomorskie i lenne (22), oraz Alexandra

(22) „Omnia jura Pruthenicalia, Magdemburgensia, Pomeraniae ac feudalia, in quibus alias tempore magistri et ordinis consistebant et regulabuntur, ab ipsis removentes, abrogantes” &c.

króla z r. 1504 (Vol. Leg. I, str. 298), który zrzekł się możności nadawania lenności, stanowiąc, iż dobra stołu królewskiego, nietylko zastawiane, ale nawet rozdawane być nie mogą.

Zamieścił Łaski w zbiorze swoim owe zwierściadło Sakskie, równie niewłaściwie i niepotrzebnie, jak rozprawę kanoniczną Kotficza o interdykcie, lub niezgrabny wyciąg z prawa Rzymskiego, *summa Raymundi Parthonopei*, zwanym. Z praw obcych weszły w rzeczy samej, jak to widzieliśmy, wcześniej do Polski, dla pewnej jednak tylko klasy ludności, prawa miejskie Niemieckie; chociaż one nie są prawami feudalnymi, lecz obok tych ostatnich powstałe w Niemczech i tamże wykształcone, niekiedy do ich przepisów nagiwały się, i duch zawistości tychże, częstokroć w nich przebija się. To więc tylko jaki taki ślad rzeczywisty z praw feudalnych w Polszcze zostawiło, co prawa miejskie z sobą przyniosły.

Używanie pisarzy publicznych, notaryuszów Niemców, mogło być powodem wprowadzenia niektórych nazw w feudalności używanych, które zrazu niewłaściwie użyte, gdyż bez istnienia rzeczy odpowiedniej tamtym wyobrażeniom, z czasem w Polszcze odmienne i zupełnie odrębne oznaczały stosunki. Wyrazy: *allodium*, *feudum* czyli *lenno*, co innego u nas jak na zachodzie oznaczały; a *hommagium*, *investytura*, istotna ta cecha lenności, do zewnętrznych tylko ściąga się stosunków, lubo homagia składały niekiedy znaczniejsze miasta królom przy wstąpieniu na tron za Jagiellończyków, co wszakże wnet ustało, w prywatnej jednak własności, miejsca nigdy nie miały.

Dobra ziemskie zwano nietylko folwarkami (*prae-dium*), lecz i *allodiami*; w tém znaczeniu używają wyrazu

allodium, dyplomata w zbiorze Wielkopolskim Raczyńskiego: z r. 1438 Nr. 121, str. 168; z r. 1439 Nr. 122, str. 166; z r. 1456 Nr. 127, str. 176. Nawet własność kmiecią oznacza statut Mazowiecki z r. 1531, przez allodium (Bandtkie Jus Polonicum str. 389), przepisując: iż kmieć wychodzący, winien *construere allodium pro festo Sti Michaelis*.

Podobnie przywilój Krzyżacki z r. 1233, w art. 20 (Bandtkie Jus Culmense str. 292), mówi o własności kmieciój czyli 10 łanach (*qui allodium vel X mansos emerit*).

Tak samo wyraz *wassal* znaczył niewłaściwie kmiecia, jakoto w statucie Mazowieckim z r. 1412 (Bandtkie Jus: Polon. str. 429), gdzie odróżniając szlachtę i kmieci, mówi: „*nobiles et vassali*;" czynszownicy zaśzwani są *feodales*, jak np. w nadaniu Krzyżackim z r. 1233 w art. 8 (Bandtkie Jus Culmense str. 287), lub w kodexie dypl. Wielkopolskim Raczyńskiego, w dyplomacie fac-simile z r. 1302, gdzie Bogus de Wesenburk oświadcza iż od klasztoru w Paradyżu bierze *hereditatem Lubinisco in feudum*, tojest na czynsz czyli dziérzawę, na ciąg życia swego.

Jeszcze i w dalszych wiekach znajdujemy podobnie wyrazy praw feudalnych, bynajmniej atoli z niemi związku niemające, jak np. nadanie Zygmunta Igo z r. 1530 (w Metr. Kor. xięga HH., Nr. 17 str. 240), dla Sarnickiego na 12 łanów (*mansos*), we wsi królewskiej (*villa regia*) Sarnów w starostwie Rogoźnickim, *cum ea conditione, ut perpetuus vasallus castri Rogosinensis; vasallus* coby znaczyło, objaśnia tenże przywilój, a mianowicie, iż jest czynszownikiem starostwa, i ulega sądownictwu tegoż grodu. W paktach konwentach Stefana króla z r. 1576 (Vol. Leg. II, fol. 900), zawarowano

w § 11, aby żadne wykłady lub wywody z prawa obcego dopuszczone nie były, ani też aby daniny prawem dziedzictwa dane, za *lenna* nie poczytywano, tylko te które są nadane *jure feudali*. Tu przez prawo lenne nie rozumie się przepisów praw feudalnych, lecz dzierżenie dożywotnie lub wrócić się mogące do króla.

Wszystkie później tak często zdarzające się wybraniecstwa, uroczyska, sąto również nadania ograniczone. Po wyższym sposobem dawane wsi na dzierżenie czasowe, które zwano daninami a rzadko lennami, znajdujemy w Voluminach Legum, i tak np. pod r. 1589 (Vol. Leg. II, str. 1023 i nast.) dla kniazia Rożyńskiego, dla Taranowskiego, dla Alexandra i Karola Chodkiewiczów, dla Czapli. Przechodziły one na następstwo obu płci jak inne własności prywatne, według postanowienia Stefana Batorego dla Rusi z r. 1581 (Vol. Leg. II, str. 1017), co Zygmunt III do Podlasia r. 1588 (Vol. Leg. II, str. 1230), a następnie i do innych prowincyj rozciągnął; gdy tak stawały się zupełną własnością prywatną jak i inne dobra ziemskie, zwano je odtąd pospolicie wieczne lenno; i tak Alexander Gąsiewski w r. 1613 (Vol. Leg. III, str. 682) daninę w województwie Smoleńskim, prawem lennym to jest na dożywocie daną, otrzymał prawem wiecznym, to jest przemienioną w dobra ziemskie dziedziczne. Tak więc lenna wieczne w pogranicznych województwach za zasługi z dóbr królewskich rozdawane, sąto ich darowizny na prywatną własność i zrównanie z innymi dobrami szlacheckimi; w województwie Czerniechowskim, pozostały do końca posiadania tej ziemi przez Polskę takie nadania, pod nazwą lennów wiecznych (konstyt. z r. 1646, Vol. Leg. VI, str. 100).

Majoraty wyrodziły się w ościennych krajach z praw feudalnych, dlatego też tym *fideicommissowym* spadkom, które do Polskich ustaw niezupełnie przystawały, trudno było ustalić się. Ustanowiona przez Jana Tarnowskiego ordynacya w Jarosławiu w roku 1470, zniesioną została r. 1591 za Zygmunta I.

Później za Stefana Batorego i przez niego w r. 1579 przyjęta, utworzyła się ordynacya Radziwiłłów, na Olyce, Nieświeżu, Klecku i t. d. lecz zaledwie dopięro w 10 lat później w r. 1589 za następnego panowania potwierdzono ją (Vol. Leg. II, str. 1284); i to jako ugodę familijną pomiędzy braćmi Mikołajem, Krzysztofem, Olbrychtem i Stanisławem, bez użycia wyrazu: majoratu, ordynacyi i t. p. Tenże sam sejm Warszawski wszelako wyraźnie na ordynacyę Jana Zamojskiego zezwolił (Vol. Leg. II, str. 1282). Również następnie zatwierdzono ordynacyę Piotra Myszkowskiego r. 1601 (Vol. Leg. II, str. 1515) i Janusza księcia Ostrogi kasztelana Krakowskiego, r. 1609 (Vol. Leg. II, str. 1668).

Ordynacye te prawom krajowym w istocie nie sprzeciwiały się, gdyż prócz sposobu brania spadków, z resztą od nich nie odstępowały, i zawsze były natury innych dóbr ziemskich (23).

Widzieliśmy więc, jak własność gruntowa w ręku szlachty i duchowieństwa, drogą wyłączeń doszła do co-

(23) Szczególném zjawiskiem, napozór istnienia praw feudalnych dowodzącém, są włości Szczebrzeszyńskie przez Władysława Jagiełłę r. 1388 dane Mikołajowi z Goraja marszałkowi królew. na wieczne dziedzictwo, *et cum jure vassallatus*. To ztąd pochodziło, że w dobrach tych pozostał starosta Grodzki, choć na własność prywatną przeszły. Gdy następnie włości te (tractus Szczebrzeszynensis), Czarnkowskim, Górkom, a w końcu Janowi Zamojskiemu w spadku dostały się, i objęte w ordynacyi zostały przez wyrazy *vassallus*, prawo mańskie, chciano ten szczególny

raz większych praw, i wreszcie zrównała się z własnością monarszą, głównie zaś w skutek przywileju, który Ludwik Węgierski z r. 1355 w Budzie podpisał, kiedy dopiero następcą na tron Kazimierza Wielkiego był naznaczonym (Bandtkie Jus Pol. str. 156). Rozpoczął on nim szereg przyznawanych coraz większych swobód szlachcie; następnie Władysław Jagiełło ujmował sobie ziemian ustawami w Czerwińsku r. 1422 (Bandtkie Jus Pol. r. 221), w Jedlnie str. 1430 (tamże str. 224), a następcy jego one pomnażali nowemi prerogatywami, tak dalece, iż za Jagiellończyków, szlachta w swych posiadłościach doszła do używania równych praw i władzy z samemi panującemi. Już tu nie zachodzi wątpliwość co do rozciągłości korzystania i używania swój własności; żadnych nie ma wyłączeń, żadnych ograniczeń, ziemia i jej płody, lasy ze zwierzem, wody z rybami, wewnątrz ziemi z rzeczami kopalnemi, wszystko należy do pana gruntu; nie ma wyłączeń w polowaniu, rybołostwie, kopaniu dla monarchy, lub jakowych danin z tychże; słowem, równe prawo służy szlachcie u siebie, jak monarsze w jego dobrach.

Nietylko wsie ale i miasta szlacheckie lub duchowieństwa, zarówno podlegają swym właścicielom, tak jak królowi królewskie; a nawet dziedzice mieli w swych wsiach nad własnemi włościanami sądownictwo w najniższej instancyi. Jedynie władza wyższa sądownicza,

stosunek starostów w dobrach prywatnych, a przez to zwierzchności nad dziedzicami w dobrach do prywatnego należących wyrazić; nie jest to jednak czystém zastosowaniem praw obcych feudalnych, choć je tak nazywano. O tém wiele szczegółów ciekawych znaleźć można, w dziele pełném ważnych wiadomości: *Dawna Polska* Adryana Krzyżanowskiego, w dopełnieniach, str. 113 i 131 i następne.

wykonywała się przez urzędników krajowych królewskich, w dawnych kastellach czyli grodach. Gdy kasztelani zasiedli w senacie, starostom wyłącznie tę władzę w grodach zostawili, a ci tym sposobem z zarządców ekonomicznych, stali się sędziami.

Zaszło jeszcze ważne rozróżnienie pomiędzy samemi dobrami królewskimi od r. 1504 (Vol. Leg. I, str. 298), gdy Alexander król, postanowił, iż dobra stołu królewskiego, mają być wykupione z zastawów, i więcej ani obdłużane ani rozdawane bez zezwolenia stanów być nie mogą. Jedne dobra istotnie jako dochód stołu monarszego pozostały, inne zaś, pod pozorem wypełniania obowiązków sądownictwa grodowego, z szczodrobliwości wrodzonej Jagiellończyków, szlachcie tytułem starostw rozdawane, przyzwyczały ją do uważania tych nadań za chleb dobrze zasłużonych (*panis benemerentium*); tak więc z łaski monarszej własność ta królewska stała się raczej publiczną, z rąk szlachty nie wychodziła, trzymana pod nadzwyczaj korzystnymi warunkami kwarty czyli czwartej części czystej intraty, zawsze nizko wykazywanej, chociaż przez z sejmu wyznaczonych lustratorów, co lat kilka, a według przepisów prawa co lat 5 ustanawianej lub sprawdzanej. Starostwa dawano na ciąg życia (*ad dies vitae*), później zwykły były przechodzić niekiedy i na wdowę, jak to nazywano *jure communicativo*.

Z powyższego okazuje się, iż własność gruntowa w krajach korony Polskiej, pod następującemi okazuje się postaciami:

1) Ziemia jako nieograniczona własność dzierzona przez prywatnych właścicieli, i podług ich powołania stanowiąca:

a) Dobra ziemskie, to jest wsie i miasta duchowienstwa.

b) Dobra ziemskie, to jest wsie i miasta świeckie czyli szlachty, gdyż oni już tylko mogli posiadać ziemię, i dlatego wyłącznie zwali się ziemianami (terrigenae).

2) Ziemia jako własność panującego czyli królewszczyzna. Ta stosownie do przeznaczenia swego i wedle oznaczenia ostatecznego, w ustawie z r. 1590 za Zygmunta IIIgo (Vol. Leg. II, z r. 1334), była:

a) Własnością stołu królewskiego czyli ekonomią (24), stanowiącą wyłączny dochód monarchy.

b) Własnością królewską przemienioną w publiczną, czyli jak ją zwaną narodową, przez zostawanie w posiadaniu szlachty, to jest starostwa.

Rodzajem posiadania podobnym do starostw, były dzierżawy królewskie czyli tenuty, to jest wsie pojedyncze królewskie rozdawane dobrze zasłużonym; podobnie jak i ziemie na pograniczu państwa, szczególnie w wschodnich województwach, znane pod nazwą danin i lennów, o których już wspomnieliśmy; dalej mniejsze jeszcze nadania, jakoto: sołtystwa, wybraniectwa i t. p.

Miasta w dobrach królewskich, to jest w ekonomicach i starostwach, jako na gruncie królewskim, należały do króla, i grunt w nich równie jak wszelka ziemia, w takich dobrach uważany był za królewszczyznę.

(24) Co odtąd stanowić miało dobra stołowe, oznacza szczegółowo ustawa sejmu Warszaw. r. 1590 (Vol Leg. II, str. 1334) mówiąc: „A te ekonomie, prowenty y dobra mianuiemy: żupy Krakowskie, żupy Olkuskie, cła koronne, cła Ruskie, żupy Ruskie, starostwo Sędmirskie, starostwo Samborskie z oziminą y medenicami, ekonomia Malhorska, wielkie rządy (Kraków), Rogożno, Czczew, funteczol Gdański, Elbiński, Ryski, myniczne pieniądze y podwodne pieniądze, cło Płockie iakie ie teraz wybieraią, salvis iuribus zamków Mazowieckich, na których poprawę nadanie cła przywileiem byłoby pokazane.”

Tu właśnie ów wpływ własności królewskiej, stosując się do mieszczan rządzących się prawem Niemieckim, okazywał się w kształcie niezgodnym z prawem krajowym, i z postaci podobny do Niemieckiej królewszczyzny (regale), z wpływu praw feudalnych na prawa miejskie, wynikającą.

Aby wyjaśnić co przez prawo królewszczyzny według wyobrażeń lennych rozumieć wypada, i jaki to wpływ mieć mogło na miasta Polskie prawem Teutońskim rządzące się, przypomnieć należy co jest regale Niemieckie. Ustawa Fryderyka Rudobrodego cesarza z r. 1158, stanowiąca tytuł 56 księgi IIgiej praw feudalnych (25), oznacza prawa skarbu (jus fisci), i wymienia co stanowi królewszczyznę (quae sint regalia), obejmując pod tém nazwaniem to wszystko, co prawnicy zwykli obejmować pod określeniem rzeczy niczyjéj (res nullius), lub praw monarszych, jakoto: drogi, rzeki, cła, pobór podatków, bicie monety, wymiar sprawiedliwości i t. p., a wreszcie dochód z salin, połowa znalezionej skarbu w ziemi ukrytego i t. d. Lecz kopalnie nie są w ustawie téj liczone do regaliów; dopiero następnie przy wzmocnionej władzy panującego i rozszerzonym zwierzchnictwie jego feudalnym, z przyjęcia niejako powszechnego zwyczajowego, wcisnęło się do praw rzeczywiście wykonywanych chociaż niestanowionych, czyli do praw zwyczajowych (in das gemeine deutsche Recht), iż uznano rozdział pomiędzy własnością powierzchni przez kogo bądź, czy to jako allodium czy jako feudalna inwestytura posiadana, a własnością wnętrza ziemi, przyznając tę osta-

(25) Corpus Juris Romani edit. Elseviri ex a. 1681. Pars II, Feudorum libro II, str. 741; albo téż Jacobi Cujacii libri de Feudis, libro V, tit. 8.

tnią wyłącznie monarsze jakoby feudalne regale (feudum metallicum).

Gdy w Niemczech wyobrażenia te królewszczyzny kopalń, przeważały i wkorzeniły się, a nareszcie i w prawo pisane weszły, znaleziono środek na złagodzenie surowości ustaw, w tak zwaném wolno ogłoszoném górnictwie (das frei erklärte Bergbau), to jest, iż panujący udziela każdemu zgłaszającemu się, pozwolenie do otwierania lub prowadzenia kopalń za umiarkowaną opłatą dziesięciny. Czyniąc więc przemysł ten przystępnym dla każdego, stanowi oraz nowy rodzaj usufruktuarneho posiadania zwany gwarectwem, trwający tak długo, póki gwarek lub gwarectwo wypełnia przyjęte powinności w prowadzeniu górnictwa. Taki jest ten nowy stosunek wpływem feudalnych wyobrażeń utworzony, na którym spoczywają ustawy górnicze Niemieckie.

Jako prawo zwyczajowe, ściągnęli je osadnicy z zachodu z prawem Niemieckim przybywający, a monarchowie Polscy, znajdując w rozdzielonych podług jego zasad zyskach z odkrytych kopalń, zarazem własną zepewnioną korzyść, dozwolali na stosowanie prawa tego dla przybyszów na gruncie królewskim osiadających; a co więcej, monarchowie nasi w nadaniach swych nawet wyraźnie powołują się na używanie w gwarectwie (to jest pozwoloném w gruncie królewskim górnictwie), praw obcych Niemieckich, a częściej jeszcze na wspólnych z Niemiec wykształconych zasadach, praw Węgierskich i Czeskich. Uważałem, iż nigdy w Polsce nie były stosowane prawa górnicze Niemieckie do tych miejsc, gdzie otworzenie kopalń w gruncie królewskim, poprzedziło czasy osiadania przybyszów z prawem Niemieckim, lub gdzie w gruncie prywatnym własnym, sam właściciel ko-

palnię prowadził. Dla przekonania się o téj różnicy pod względem uważania własności w kopalniach, stosownie do tego, czy według zasad prawa Polskiego lub Niemieckiego otworzone i prowadzone były, weźmy pod uwagę jako przykład, Wieliczkę i Olkusz.

Istnienie kopalni Wielickiej (Magnum sal), sięga przynajmniej początku XII wieku, jak to w inném piśmie wykazałem. Wówczas jeszcze prawo Polskie było bezwyjątkowo w całym kraju prawem ogólném; widzieliśmy, iż według jego ducha, były obowiązki względem kraju przywiązane do własności, lecz własność ta sama w sobie była nieograniczoną, pod względem rozrządzania nią, i korzystania z wszelkich jéj przychodów; ztąd téż jedynie właścicielowi przynależało się prawo kopania w łonie ziemi, i dalekie było od jakich bądź wyobrażeń regalu. Jeżeli zaś panujący w swoim gruncie kopał, również nieograniczenie czynił to jako właściciel, jak i każdy inny u siebie.

Początkowo gdy kopalnia soli w Wielicze otworzoną została w gruncie panującego, stała się dochodem monarchy, i dlatego na rzecz jego sól wyrębywali parobcy panującego, otrokami zwani, pod dozorem żupnika, to jest przewodniczącego urzędnika w kopalni czyli żupie. Hojność Piastów, do téj skarbnicy państwa wcześniej prywatnych przypuściła, przez dozwolanie im wybierania soli własnym kosztem, to jest przez własnych parobków (otroków); tak nadanych zwano stolnikami (mensarii). Oznaczono w nadaniach, ilu otrokami stolnicy mogli ją wyrębywać, a żupnik miał pilnować, żeby nie nadużyto danéj wolności. W dozorze tym, a szczególnie w kierowaniu robotami podziemnymi, żupnikowi był pomocnym barkmistrz (góromistrz, z Niemieckiego Bergmeister, pó-

źniej przez przekręcenie wyrazu, bachmistrem zwany). Czy kto z stolników nie nadużywa dozwolenia, sprawdzali ci urzędnicy, wyznaczając łój do przyświećania idącym do kopalni rębaczom, aby tym sposobem ograniczyć czas roboty, oraz wydzielali miejsca pracy i do téjże otroków ustawiali. Ztąd otroki czyli otrzystwa, łoje i działy, stają się wyrazami równoznacznymi i oznaczają dozwolenie wybiérania darmo soli z téj własności monarchy. Aż do Kazimiérza Wielkiego dozwolenia te były nie tyle nagrodą zasłużonych u monarchy, jak więcéj jeszcze, gdy czynione były na rzecz kościołów ofiarami pobożnemi dla zjednania zbawienia duszy (26).

Równie dawne, spółczesne są inne kopalnie soli prywatnych właścicieli: Sidzina, Łapsica, Kolanów pod Bochnią, i podobne téż w nich zapisy w celach duchownych, obok wydobywania w kopalni przez samego właściciela, napotykamy (27).

Po Kazimiérzu Wielkim aż do Zygmunta Augusta, ni kną dozwolenia do kopania soli przez prywatnych w Wieliczce, którzy snadź ich nadużywali, niszcząc kopalnie; miejsce ich zastępują, przywileje na utrzymywanie soli bałwanami lub beczkami, dla klasztorów, panów duchownych i różnych osób, lub przywiązane do urzędów; lecz największe dobrodziejstwo tego rodzaju otrzymała szla-

(26) Np. Konrada księcia Krakowskiego i Łęczyckiego r. 1242. Tinecia Szczygielskiego str. 151. Leszka Czarnego z roku 1288, w tymże zbiorze Tynieckich dokumentów str. 161, oraz Górnictwo w Pol. Tom II, str. 91, i wiele innych; wreszcie i w statucie Kazimiérza Wielkiego w Vol. Leg. I, str. 159. Bandtkie Jus Pol. str. 174. Górn. w Pol. T. II, str. 105.

(27) Szczygielski Tinecia str. 138. Początkowe praw. Pol. str. 163. Długosz in libro beneficiorum dyecezyi Krakowskiej przy Tinecy str. 147. Nakielski, Miechovia str. 144.

chta, wyjednałszy sobie pod pierwszemi Jagiellończykami przywilój bezcennego zakupu soli z pierwszeństwem przed innemi z Wieliczki i Bochni, znany pod nazwą wydawania im soli suchedniowój (28), od tego iż szlachta w terminach suchych dni przyjeżdżała lub posyłała do salin królewskich po zaopatrzenie się w sól, w miarę posiadanych folwarków wedle zaprzysiężonego rejestru, w każdym województwie ułożonego, i żupnikowi corocznie nadsyłanego (29). Tuż obok salin królewskich w Wieliczce, kopali Szreniawici sól w graniczących własnych wioskach Sierszy i Lednicy, a dalej u podnoża Karpat i ku wschodowi, inna szlachta wywarzała sól z równym prawem w dobrach swoich, jak król w swoich posiadłościach.

Tak więc widzimy, iż królowie nie mieli w Polsce prawa wyższej własności, to jest owego *Obereigenthum*, (*dominium supremum*), znanego w Niemczech, jako prawo ogólnej własności wszystkich kopalń w czyjém bądź posiadaniu; czyli że te nie były królewszczyzną (*regale*), gdyż prywatni również kopalnie, nietylko wszelkich rud kruszcowych, ale i soli w gruntach swoich mieli. Uważać nadto należy, że gdy w Niemczech saliny już najda-

(28) W statucie Kazimiérza Jagiellończyka z r. 1455 w Nieszawie i Opoce w § *De sale terrigenis vendendo*. (Bandkie *Jus Pol.* str. 288), pierwszy raz szlachta Krakowska, Sandomiérska i Lubelska, otrzymały zapewnienie iż trzy razy do roku może przyjeżdżać po sól, płacąc za centnar po cenie w ordynacyi salin za Kazimiérza Wielkiego spisanój, postanowionój po groszy sześć w Wieliczce, a po groszy ośm w Bochni. Prerogatywę tę z czasem i do innych rozciągnięto województw. Następných królów ustawy podniosły cenę soli tylko tyle, iż szlachta płaciła za Augusta III, za bałwan soli zł. 12, za beczkę zł. 4, gdy sama robota bałwana soli wypadła skarbowi królewskiemu po zł. 56, a beczki zł. 12. *Górnictwo w Pol.* Tom I, str. 165.

(29) Najjaśniej to wskazuje *Vol. Leg. IV*, str. 451, z r. 1654.

wniej, regale stanowiły, jak to dowodzi wyżej przytoczona ustawa Fryderyka Rudobrodego z r. 1158, właśnie tego rodzaju najdawniejsze kopalnie w Polsce, żadnemu wyłączeniu na rzecz panującego nie były podległe; co więcej, ci ostatni poddawali je przez swą hojność niesłychanym ograniczeniom, przypuszczając do ich użytkowania osoby prywatne, jak gdyby do rzeczy publicznej. Przykład ten dopiero co rozbiérany, również za dowód posłużyć może, jak odmienne i do siebie niepodobne były zasady praw naszych najdawniejszych krajowych i wyobrażeń zachodu, które wyrodziły systemat lenny.

Inaczéj się rzecz miała, sposobem wyjątkowym od powyższego prawa ogólnego, gdy gdzie w miejscu nadaném prawem Niemieckim, a w dobrach monarchy kopalnie powstawały, gdyż te na sposób cudzoziemski urządzone, już pod zwierzchnią opieką panującego zostawały, a nawet ustawy skrészlone w duchu praw regaliałnych otrzymywały.

Dla bliższego objaśnienia i przeciwstawienia z tém cośmy dopiero mówili o kopalniach soli królewskich, i wszelkich kopalniach prywatnych w kraju, weźmy Olkusz.

Początek Olkusza, pierwotnie zwanego Ilkuszem (Ilcus, Ilcussia), według ostatnich moich badań, przypadać może pomiędzy pierwszym, a drugim napadem Tatarskim. Powstanie osady téj, w nazwaniu samém nosi ślady górniczego początku, a mianowicie od kucia ilów marglistych, które wraz z wapieniami, pod piaszczystą powłoką kurzawek, rudy kruszcowe w sobie przechowują; inny téż powód jak korzystanie z daru łona ziemi, nie byłby nigdy ściągnął żadnych osadników na płonne pola Olkusza, gdy w kraju Polskim na urodzajnych nie zbywało niwach.

Już w fundacyjnym przywileju panien Klarysek na Skale przez Bolesława Wstydliwego r. 1257 (Metr. kor. księga ZK. Nr. 76, str. 415), jest wspomnienie o ołowiu z Olkusza, przeznaczonym na dochód dla tegoż klasztoru; jest przeto do prawdy podobnym, że górnicy przybyli w to miejsce gdzie dziś Olkusz, miasto to założyli, jeśli nie wcześniej to przynajmniej po pierwszym napadzie Tatarskim, i bezwątpienia na prawie Niemieckim, gdyż przywilej Władysława Łokietka z roku 1331 na wójtostwo Olkuskie (30), powołuje się na prawa Magdeburskie, jako oddawna miastu służące.

Chociaż równie Olkusz jak Wieliczka, były dobrami i własnością panującego, i następnie zarówno żupy to jest kopalnie królewskie w tychże miejscach, wyliczone są w poczcie ekonomii w konstytucyi z r. 1590 (Vol. Leg. II, str. 1334), odmienny wszakże był w każdej z nich zarząd. Naczelnym urzędnikiem był żupnik, lecz w Wielicze żupnik był zarządzającym kopalnią jako dobrem króla, i albo poborcą do wiernych rąk dochodów królewskiej saliny (zupparius ad fideles manus), albo zapewniającym oznaczony dochód z saliny, a resztę w zysku zatrzymującym dzierżawcą (zupparius arendator, później administratorem żup przezwany). W Olkuszu w najdawniejszych czasach, żupnika wybierała osada; byłto przewodniczący w sądzie przysięgłych ławników górniczych, a obok rozjemstwa sporów pomiędzy trudniącemi się górnictwem, to jest gwarkami, którzy tylko za jego wiedzą i pozwoleniem kopać mogli, lub między ich górnikami, miał obowiązek wybierania dziesięciny kopalnianej na znak uznania własności zwierzchniej monarchy (ra-

(30) Znajduje się w zbiorze przywilejów miejskich, przez komisję dobrego porządku w r. 1788 w Olkuszu spisanych.

tionem supremi dominii), jak się wyraża dawny przywilej górniczy Olkuski Elżbięty Łokietkówny z r. 1374 (31). Wyobrażenie to *supremi dominii*, niekrajowe, przez prawo Magdeburskie, z nigdy u nas nieobowiązującego prawa lennego, wciągnęło się.

W Wieliczce obok żupnika, zarządzającego żupą i jej dochodami, i wypełniającego w pierwszej instancji sąd nad górnikami przez siebie lub swego podżupka, widzimy bachmistrza kierującego sposobem prowadzenia robót górniczych, a apellacya spraw górniczych, należy do sądu ziemskiego podkomorzego Krakowskiego podług praw Polskich ziemskich, i ten ostatni urzędnik wchodzi również do składu wszelkich kommissyj lustracyjnych; trzy te zaś urzęda razem, stanowią ogół władzy i zarządu, zwany tamże *Trójurząd*.

W Olkuszu żupnik jest przede wszystkiem wydającym pozwolenia do kopania czyli gwarectwa, i przewodniczącym w sądzie górniczym na wzór Niemieckich miejskich urządzonym; od niego idzie apellacya do sądu miejskiego Magdeburskiego. W początkach rozrządzał funduszami dla panującego z olbory wpływającemi, lecz już pod pierwszemi Jagiellończykami dostrzedz można oddzielnego poborcę dziesięciu tych górniczych, olbornika. Kto otrzyma od żupnika pozwolenie do otworzenia, lub częściowego prowadzenia kopalni, to jest, do należenia do wspólnej przez towarzystwo prowadzonej kopalni, jest gwarkiem; każdy w swój części urządza roboty, lub na naradę zebrani spólnicy, radzą o prowadzeniu kopalni, i wspólnych robotach; gwarkowie przeto i gwarectwa same, kierują przez siebie wykonywanemi robotami; jest i tu rząd komunalny jak w porządku miejskim. Zale-

dwie jednak do Kazimierza Jagiellończyka, żupnik pozostał urzędnikiem przez miejscowych gwarków obieranym; coraz większy wzrost tych kopalni i ważność ich przez dochody dla króla, wciskanie się szlachty do korzystnych gwarectw, podniosły i rozszerzyły władzę żupnika; król go przeto naznaczać począł, wprowadzając w wykonanie zawarowania dawniejszych przywilejów gwarków. Zrazu za Kazimierza Jagiellończyka wszedł na żupnika ten, kto poręczył za dochód i z prawem zastawu, otrzymał i sam urząd, czyli był *zupparius arendator*; lecz to zaledwie kilkanaście lat trwało, gdy postanowienie z r. 1504 (Vol. Leg. I, str. 298), zastawy królewszczyzn wzbronily, a od Zygmunta I już ciągle sama szlachta, nawet krzesłem w senacie zaszczytzeni, obowiązki te żupnika przyjmowali, co jednak nie zmieniło natury urzędu; był on tylko rozdającym pozwolenia do gwarkowania, i przewodniczył w sądzeniu ławnikom przysięgłym z grona gwarków, a najczęściej zarazem i mieszczan Olkuskich wybieranym (Niemieckie Bergschöppenstull, scabini jurati juris montanici). Gdy go sprawy ważniejsze krajowe odrywały, zastępował go, przez niego samego ustanawiany, podzupek.

Tak jak Kazimierz Wielki, pierwszym był, który r. 1368 zebrać kazał zwyczaję miejscowe w żupach Wielickich i Bocheńskich, i ten spis praw zwyczajowych (*regestrum zupae*), natury dawnego prawa krajowego, stanowi zasadniczą kopalni tych ustawę (ordynację) (32); tak podobnie Jan Albert uzupełniając przepisy dla kopalń Olkuskich zawarte w przywileju (ordynacji) Elżbiety r. 1374, wydał statut dla nich, który ogłoszony przez

(32) Vol. Leg. I, str. 159. Bandtkie Jus Pol. str. 174. Górnictwo w Polsce T. II, str. 105.

Alexandra został w r. 1505, i jest podobnież zebraniem praw zwyczajowych tychże kopalń, lecz na wzór i w duchu praw górniczych Niemieckich, albo raczej na tychże zasadach wykształconych Węgierskich i Czeskich (33).

Obu tych rodzajów ustawy nie milczą o własności; urządzenie salin Kazimierza Wielkiego, zowie Wieliczkę i Bochnię: *zuppae Domini Regis*; ustawa Elżbiety mówi o opłacie dziesięciny: *ratione supremi domini*. Obie więc sąto własności panującego; pierwsza w posiadaniu i używaniu króla, druga, przez panującego na użytek prywatnym oddana; pierwsza jest prawem krajowém dzierzona, własność zupełna, *zuppa domini Regis*, druga na obcych wyobrażeniach i zasadach praw cudzoziemskich, przez kogo bądź posiadana, przy panującym pozostaje tylko *supremum dominium*.

Wyjątkowe to stosowanie praw obcych i ogólnym ustawom sprzecznych, w téj miejscowości, i w innych dobrach królewskich, gdzie podobnież było urządzone górnictwo na wzór Olkuskiego, jak np.: pod Chęcunami, koło Nowegotargu i Czorsztyna i t. d., mniej atoli jest rażącym z powodu, iż przynajmniej zasadę szczególność tę usprawiedliwiającą, wykazać możemy. Dziwniejszém daleko jest, iż królowie Jagiellońskiego rodu, przez jakieś naśladowanie praw Niemieckich, Czeskich, i Węgierskich, wydawali pozwolenia do ogólnych poszukiwań ciał kopalnych w kraju (*litterae inquisitoriae minerarum*). Byłyto dozwolenia, od początku XV wieku prywatnym osobom, chcącym poszukiwać minerałów w kraju, dla otworzenia w miejscach wysłędzonych, kopalni, przez samego króla wydawane, pod warunkami z praw górni-

(33) Górn. w Pol. T. II, str. 124. — i 196. Metr. kor. księga O. Nr. 22, str. 1.

czych obcych wyciągniętemi; to w nich jest najszczegól-
 niejsze i najważniejsze, iż dozwolali szukać w gruntach
 nietylko królewskich, ale i prywatnych, to jest szlachty
 i duchownych (*in bonis tam nostris regalibus, quam re-
 gni nostri subditorum spiritualium et secularium; albo téż
 in bonis tam nostris quam religiosorum aut nobilium*),
 powołując się przytém wyraźnie na prawa Niemieckie,
 Węgierskie i Czeskie (*more jurium montanorum in
 Hungaria, Bohemia aut Germania usitatorum*) (34). Naj-
 dawniejsze z tych pozwoleń do poszukiwań rud kruszco-
 wych, mówią o śledzeniu ich w całym kraju (*in toto re-
 gno*); późniejsze bliżej wyłuszczają, czy tylko w dobrach
 królewskich czy téż i prywatnych. Co bądź, jakkolwiek
 pozostały tu i owdzie w kraju od Bałtyku do Karpat
 ślady zrobów, świadczące o poszukiwaniach, wszakże nie
 wiadomo mi, aby gdzie dokonane być miały w gruncie
 prywatnym w skutek pozwolenia takiego; a jeżeli gdzie
 w prywatnych dobrach, dawne zroby wskazują dawne
 kopalnie, wyszukiwał tam ciał kopalnych, i prowadził
 roboty na nie sam dziedzic, i to niewątpliwie bez pozwo-
 lenia królewskiego.

Rozumiém, iż wspomnienia owe, w wydawanych po-
 zwoleniach o możności szukania nawet w dobrach pry-
 watnych, są formą, po której starali się panujący dojść
 do opieki i rozrządzania własnością wnętrza ziemi u pry-
 watnych; lecz środkiem tym, wprost przeciwne wywołali
 oddziaływanie, i wzbudzili troskliwość szlachty o zapewnie-
 nie swój własności według odwiecznych i nigdy niezach-
 wianych u nich wyobrażeń i zasad prawnych, to jest
 dzierżenia własnych gruntów do największej głębokości.

(34) Górnictwo w Polsce Tom II, str. 144, 261, 315 i 336.

Po wygaśnięciu Jagiellończyków z śmiercią Zygmunta Augusta, gdy otwarły się szranki dla zjiszczenia żądań szlachty przy pierwszych obiorach, nie przepomnieli w umowie z elektem Henrykiem przywdziać w literę pisaną, tego co prawem krajowém uświęcone, w zwyczajowej przedtém pozostawało postaci. Zastrzeżono naówczas przy obiorze pod Warszawą przy wsi Kamionnej d. 20 maja 1573 (Vol. Leg. II, str. 900): „§ 10. Aby wątpliwość żadna około gruntów szlacheckich nie była, wolne zawzdy ze wszemi pożytkami którebysiękolwiek na ich grunciech pokazywały; toż y kruszce wszelakie y okna solne zostawać mają, a My y potomkowie Nasi, przekazywać im nie mamy, czasy wiecznemi wolnego używania”.

§11. „Także obiecujemy, iż wykładów nie przypuścimy, ani wywodów żadnych z prawa obcego, ani daininy z przodków Naszych, dóbr prawem dziedziczném nadanych, aby miały być za lenna poczytane, tylko na którychby stało mianowicie, że są nadane *jure feudali*.”

Tym sposobem przeciętą została wszelka wątpliwość co do własności ziemi, iż ta zawiera własność powierzchni z wnętrzem, i że wyjąwszy wyraźnych nadań *jure feudali* sposobem wyjątkowym, własność ta nie mogła być natury lennej; jak dalece zaś te lenna i to określenie *jure feudali* były tylko nazwą, a nie były istotnie lennością, już powyżej wykazaném zostało.

Mimo téj kardynalnej zasady co do własności gruntów z ich wnętrzem, z której wyrodziło się to przekonanie, iż własność szlachecka gruntu, sięga nieledwie do środka ziemi, że nawet zagon cząstkowego szlachcica, stanowi własność wprawdzie wąską i niezbyt długą, lecz bardzo głęboką, i tak téż w aktach urzędowych często-

króć określaną, mimo téj mowię zasady, wszelako Batory, który codosłownie ją przyjął w swych paktach konwentach r. 1576 (Metr. kor. księga XQ. Nr. 114, str. 177), r. 1582 (Metr. kor. księga WG. Nr. 129, str. 47), i r. 1583 (Metr. kor. księga WG. Nr. 129, str. 408), i to na całe królestwo, zobowiązując wynalazcę rud kruszcowych do opłaty olbory temu w czym gruncieby je znalazł, tojest, nietylko królowi w królewskich, ale i szlachcie w szlacheckich, a duchowieństwu w duchownych dobrach (35).

Wątpię, aby ostatni z tych przywilejów z r. 1583, jakkolwiek obszerny i szczegółowo stosunki opisujący, a który powołuje zwyczaję górnicze Niemieckie, był miał zastosowanie i wykonanie. Może nawet Mikołaj Firlej kaszt. Biecki, i towarzysze jego, którym dany ten przywilej, czynili jakowe poszukiwania górnicze w kraju, lecz przypuścić trudno, aby szlachta posiadając tarczę w paktach konwentach, na takie uwłoczenie jéj prawom pod Batorego rządami była przystała, kiedy nawet poprzednio podobnego śledzenia w swych gruntach za Jagielłończyków, nie byłaby dopuściła. Bezskuteczność takich przywilejów spostrzegli snąc monarchowie, gdyż ów Firlejowi dany, był ostatnim.

Od tego czasu coraz więcej utwierdzała się własność wnętrza przy właścicielu gruntu.

Król w dobrach swoich, tojest ekonomicach i starostwach, albo sam trzymał kopalnie na siebie (jak w Wieliczce i Bochni), albo je w dzierżawę wypuszczał (tojest te same żupy Krakowskie, równie jak i Ruskie), albo téż gwarkowie górnictwo prowadzili opłacając dziesięcinę; król zaś niekiedy przystępował sam do gwarectwa i czę-

(35) Górnictwo w Polsce Tom I, str. 123. Tom II, str. 336.

ści niektóre kopalni na jego rachunek odbudowywano (jak w Olkuszu), albo wreszcie starostowie w prawa króla wchodzili, jak w Chęcinach i innych starostwach po różnych punktach kraju, gdzie rudnice żelazne i dymarki, jako najlichszy rodzaj górnictwa, w czynności utrzymywali.

Szlachta i duchowni w swych dobrach, nie zawiśli co do swój własności ziemi, posiadali różne kopalnie, i tak: biskupi Krakowscy kopali na międz pod Kielcami, na ołów pod Sławkowem; szlachta zaś miała w gruntach własnych między Kielcami i Chęcunami kopalnie ołowiu, siarki koło Swoszowic, kopalnie i warzelnie soli koło Wieliczki, na Rusi pod Karpatami, i po całym kraju tu i owdzie dymarki, o czém obszerniej mówiłem w właściwych miejscach w dziele Górnictwo w Polsce (36).

Przyjęli i potwierdzili w ogólności warunki Henrykowi przy obiorze pcdane, w takichże chwilach: Zygmunt III, 1587 r. (Vol. Leg. II, str. 1099), i jego synowie Władysław IV r. 1632 (Vol. Leg. III, str. 767), Jan Kazimierz r. 1648 (Vol. Leg. IV, str. 197), a Michał Wiśniowiecki przyjął wyraźniejsze jeszcze określenie niezachwianej własności kopalń każdego w jego gruncie r. 1669 (Vol. Leg. V, str. 27): „Fodinas y szyby wszelakie tak solne iako y kruszcowe, siarczyste y wszelakie inne, wolno będzie każdemu na swoim ziemskim gruncie brać, według praw tey rzeczypospolitey, w czym nikomu przeszkadzać nie będziemy, ani przez się ani przez *subordinatas quasvis personas.*” Toż samo prawie codosłownie powtórzyli Jan III, r. 1675, (Vol. Leg. V, str.

(36) Górnictwo w Polsce Tom I, str. 123, 125, 159, 162, 192, 299, 300, 311, i 321 i następne.

274), August II r. 1699 (Vol. Leg. VI, str. 33), wreszcie August III r. 1736 (Vol. Leg. VI, str. 629).

W paktach konwentach Stanisława Augusta, uznano już nawet powtórzenie zastrzeżeń tych jako zbyteczne; jest tylko wzmianka o otworzeniu gór Olkuskich nakładem spółki jakiej (Vol. Leg. VII, str. 208), i toż powtórzono pod r. 1776 (Vol. Leg. VIII, str. 854), przy upoważnianiu departamentu skarbu w Radzie nieustającej do układania się z kompaniami, co jednak z przedmiotem naszym w związku nie zostaje. Po rozbiorach kraju, rząd Pruski od r. 1794, Austriacki zaś od 1796, wprowadziły tymczasowo swe prawa górnicze do zajętych części kraju, a mianowicie: rząd Pruski, z prawa powszechnego krajowego (Allgemeines Landrecht), części II, tytuł XVI o królewsczyźnie kopalń (vom Bergregal), Austriacki, ustawę górniczą Węgierską cesarza Maxymiliana II, z r. 1573, którą za obowiązującą następnie ogłosił cesarsko-królewski patent dla Galicyi zachodniej, względem kopalń z d. 28 grudnia 1804 (37).

W obrębie kraju dziś królestwo Polskie stanowiącym, niedługo obowiązywały te prawa, które wszędzie wewnątrz ziemi za regale uważają, i według których, nikt nigdzie bez uzyskania pozwolenia od władzy, robót górniczych prowadzić nie może.

Po ustanowieniu księstwa Warszawskiego, wprowadzony został, z mocą obowiązującą od d. 1 maja 1808 r., kodex cywilny Francuzki; ustały przeto wraz z prawami Pruskiemi i Austriackiemi, z niemi wprowadzone prawa górnicze; za księstwa Warszawskiego jednakże, w ich miejsce żadne inne ustawy lub szczegółowe postanowienia w tym przedmiocie wydane nie zostały, ani też usta-

(37) Górn. w Polsce Tom II, str. 474.

wa górnicza Francuzka z d. 21 kwietnia 1810 r., będąca rozwinięciem przepisów kodexowych, mocy obowiązującej nie uzyskała.

Od ustanowienia królestwa Polskiego, prócz zapewnienia w ustawie zasadniczej z r. 1815 w art. 26 co do „nietykalności własności do kogo bądź należącej, jakiegokolwiek nazwiska i rodzaju, czy się znajduje na powierzchni czy we wnętrzościach ziemi,” z materyą rozbięraną ma związek postanowienie Namiestnika królewskiego z d. 6 maja 1817 r. (Dziennik praw T. III, str. 152), względem poszukiwań górniczych w cudzym gruncie, zapowiadające wydanie ogólnych przepisów górniczych, co wszakże dotychczas dopełnionem jeszcze nie zostało. Statut zaś organiczny z d. 2/14 lutego 1832 (Dziennik praw T. XIV, str. 187), w art. 11: „prawo wszelkiej własności osób pojedynczych i stowarzyszonych, tak na powierzchni jak wewnątrz ziemi znajdującej się, uznaje za święte i nietykalne, a to stosownie do ustaw istniejących.”

Z przepisów tych, stwierdzoną jest dawnych praw krajowych zasada, iż własność gruntu obejmuje nie tylko własność powierzchni, lecz pociąga za sobą zarazem własność wnętrza ziemi, to jest ciał kopalnych w niem zawartych (jako to: palnych, rud kruszcowych i soli). Ztąd wynika, iż rząd według praw nabytych z dawnych ustaw, używa tylko jedynie w gruntach swoich czy miejskich czy wiejskich, prawa zakładania i prowadzenia górnictwa, lub dozwolić może prywatnym trudnienia się tymże przemysłem, to jest być gwarkami, przez udzielenie właściwych na ten cel pozwoleń.

Z drugiej strony, prywatni w gruncie własnym kopalnie otwierać i na gruncie tym zakłady hutnicze urządzać

mogą, bez wpływu i pozwolenia rządu, a jedyne ograniczenia są te, które przewidział kodex i którym wszystkie własności nieruchomości ulegają. I tak, właściciele kopalń mogą być wywłaszczeni z powodu użyteczności publicznej, gdy tego potrzeba zachodzi; co do kopalni nadto stosuje się przepis art. 2giego prawa sejmowego z d. 12 października 1820 r. (Dzien. pr. T. VII, str. 87), że zasypaną być winna, gdy jest w kierunku prowadzić się mającej drogi publicznej. Rozciągają się do nich przepisy względem służebności, np. przyjmowanie wód od właścicieli wyższych i nieszkodzenie niższym (art. 640 i następne kod. cyw.).

Wspomnieliśmy iż rząd udzielać może według przepisów postanowienia namiestnika z d. 6 maja 1817 r., pozwolenia do wyszukiwania rud i miedzi, ołowiu, srebra, tudzież soli w cudzym gruncie (38), lecz to nie jest bezwarunkowém; otrzymujący bowiem pozwolenie, winien poprzednio z właścicielem się umówić, lub wynagrodzić go według uznania biegłych, i właśnie warunek ten sprawia, iż postanowienie to wykonania nie miało, mianowicie zaś w dobrach prywatnych.

W zupełnej zgodzie z tym stanem rzeczy w kraju naszym, na powyższych zapewnieniach władzy najwyższej opierającym się, zostaje artykuł 552 kodexu, który kopalnie uważa za przybyt nieruchomości (accession). Oto są jego wyrazy:

„Własność gruntu pociąga za sobą własność powierzchni i wnętrza ziemi. Właściciel może w głębi robić

(38) Niedostatecznością postanowienia tego jest szczególnież to: że o 4ch tylko ciałach kopalnych mówi, niewspomniawszy tych, które głównie górnictwo u nas zatrudniają, jakoto: rudzie żelaznej, galmanie czyli rudzie cynkowej, i węgłu kamiennym.

wszelkie odbudowy i kopania, które uzna za stosowne, i wydobywać z tych kopalń płody, których one dostarczyć mogą, nieuwłaczając ograniczeniom wypływającym z ustaw górniczych oraz ustaw i urzędzeń policyjnych.”

Przepis atoli ten, w pierwszym ustępie, kładąc myśl na zachodzie Europy i w samej Francji zupełnie nową, w żadnym poprzedzającym prawodawstwie tamże nieznajdującą się, objaśniając co przez wewnątrz rozumieć, w ustępie drugim odwołuje się do ustaw górniczych i ustaw i przepisów policyjnych; te przeto ostatnie rozwijają dalej myśl prawodawcy,

W kraju dzisiejszego królestwa Polskiego, gdy od czasu zaprowadzenia kodexu czyli po r. 1808, żadnego istotnego prawa górniczego nie ogłoszono, przywołanie przeto zasad z dawnego prawa krajowego i wprowadzenie ich w statuta organiczne, wydawanie na ich podstawie rozporządzeń dotyczących niektórych ciał kopalnych i w ogólności wewnątrz ziemi, mianowicie postanowienia z d. 6 maja 1817 r. o poszukiwaniach, nadają pierwszemu ustępowi artykułu 552 kodexu cyw. u nas rozciągłość większą aniżeli ma w kraju, dla którego był pisany; inne postanowienia jakoto: z d. 20 lutego 1816 r. (Dziennik praw T. I, str. 169), zaprowadzające była główną Dyrekcyę górniczą w Kielcach, z d. 28 lutego (12 Marca) 1817 r. (Dziennik praw T. III, str. 188), stanowiące korpus urzędników górniczych i górników, i inne, są tylko wewnątrz urzędzeniami zarządu górnictwa rządowego; we Francji zaś w następstwie przepisu artykułu 552 k. c., wydano ustawy zawierające przepisy dla górnictwa jako też i policyjno-górniczne, rozwijające zaś drugi ustęp tego artykułu, a mianowicie: ustawę o kopalniach z dnia 21 kwietnia 1810 r., oraz ustawę z dnia 18

listopada 1810 r. zaprowadzającą korpus inżynierów górniczych, i postanowienie z d. 3 stycznia 1813 r. obejmujące przepisy policyjne co do kopalń i górników, prócz wielu uzupełniających je urządzeń i postanowień późniejszych.

Podług tych ustaw, we Francyi nie masz górnictwa rządowego; wyłącznie tylko prywatni przemysłem tym trudnią się pod opieką rządu, to jest: tak właściciel gruntu, jak każdy inny, za poprzedniem umówieniem się z właścicielem, otwierać i prowadzić kopalnie może, lecz uzyskać poprzednio winien dozwoleń Rady stanu (concession) do prowadzenia kopalni; pozwolenie prefekta (permission) do hut, fabryk soli, siarki, i t. d., a zaawiadomić prefekturę i mieć jęj upoważnienie (autorisation), do torfiarń i kamieniołamów; wszakże dozwoleń te, w trzech wymienionych stopniach, odmówione żądającym być nie mogą, szczególniej zaś właścicielowi. Z ustaw wspomnionych, wypływają te głównie skutki: iż rząd przez korpus inżynierów górniczych, czuwa nad porządnym, gospodarnym i bezpiecznym prowadzeniem robót tego przemysłu w całym kraju, a prowadzący go, do opłaty stosownego podatku (39) na utrzymanie korpusu tego obracanego, są pociągani; niemniej, iż rząd czuwa nad porządkiem policyjnym kopalń i zakładów, i udzielaniem pomocy lekarskiej górnikom.

Tak obszernego prawa jak we Francyi, a tym mniej w Polsce, nie ma właściciel gruntu w Niemczech.

(39) Podatek ten górnicy, jest w części stały (redevance fixe), czyli 10 franków z kilometru kwadratowego powierzchni kopalnią zajętej; w części stosunkowy (redevance proportionelle), to jest mały procent od dochodu zmieniający według potrzeb. Porówn. art. 33 i następne, ustawy górnicyj Francuzkiej z r. 1810.

W krajach Niemieckich, lub gdzie na wzór tychże prawa krajowe wykształcone zostały, jakoto: w Szwecyi, Czechach, Węgrzech i t. d., przyznana jest jakaś umysłowo wyobrażona zwierzchnia własność gruntu panującemu, szczególnież zaś własność wnętrza jego, stanowiąc prawo królewskie czyli królewszczyznę *regale*, (w Prusiech *das Regal*, w krajach Austryackich *das Kammergut* zwane). Ztąd wynika, że właściciel powierzchni, może się stać używaczem przychodów wnętrza, za pozwoleniem panującego, gdy tenże trudnienia mu się przemysłem górniczym dozwala. W takim razie, jeżeli monarcha sam nie prowadzi górnictwa, lecz zgłaszającym się dozwala się niemu trudnić, zowią ten stosunek prawa górnicze Niemieckie, jakieśmy to już wspomnieli, wolnoogłoszonem górnictwem (*das freierklärte Bergbau*); a kto przejdzie formalności zgłoszenia się (*Muthung*), otrzymania pozwolenia czyli ulennienia, (*Belehnung*), i urzędowego wymierzenia pola kopalni (*Vermessung*), byle ciągle i bez przerwy prowadził roboty i uiszczal dla panującego dziesięciny górnicze (olborę, *Zehnte*, *Frohn*), a na prowadzenie wspólnych robót składki gwareckie (*Zubusse*, *Samkosten*, *Wassergeld* i t. p.), jest gwarkiem, czyli niejako używaczem kopalni, i doznaje opieki technicznej i policyjnej rządu. Do tego, aby w ten sposób został gwarkiem, przez ulennienie, nie potrzebuje być właścicielem gruntu, ani z tymże poprzednio umawiać się; wynagrodzić go tylko winien według przepisów prawa, za szkodę w polu, w którym kopie, zrządzoną.

Widzimy z tego, że właściciel gruntu, w krajach, gdzie zabytkiem praw lennych pozostało wyobrażenie regalu, nie ma owój mocy używania i rozrządzania (*utendi et*

abutendi) gruntem, to jest tą częstką skorupy ziemskiej, która prawem własności jest jego z powierzchnią i wnętrzem, co według kodexu Francuzkiego, jak to artykuł 544 określa, stanowi istotną i najrozciąglejszą cechę własności.

Cechą również własności wnętrza gruntu, podług ducha kodexu jest, iż jako przybyt nabywa się razem z gruntem; gdy jednak właściciel gruntu ma całą możliwość rozrzadzania, może przeto sam, własność wnętrza oddzielić od powierzchni, i jako odrębną nieruchomość, sprzedać w formie prawem przepisanej; a ztąd wnętrze ziemi czyli kopalnia, podług tych samych form i temiż sposobami dalej zbytą być może.

Własność niezupełna gwarecka, przez udzielone lenne pozwolenie utworzona, zawsze w prawach Niemieckich stanowi rzecz odrębną od własności gruntu, lecz nie jest prawem wieczystym, gdyż różnemi jeszcze sposobami znika, jakoto: przez zaleganie w opłatach, zawieszenie dłuższe aniżeli prawem przepisane robót (zwane Frist, które jest dwóch lub cztero tygodniowe, a w rzadkich wypadkach roczne), a które są dostatecznymi powodami do utracenia praw nabytych.

Również podług kodexu, gdy we Francyi wnętrze ziemi może być oddzielone od gruntu, i stanowić oddzielną własność, może ją przeto właściciel powierzchni oddzielnie sprzedać (40), (podobnie jak np., dom należyć może do kogo innego, a powierzchnia gruntu do innego); wypływa ztąd przeto, że do téj utworzonej nowej nieru-

(40) Ustawa górnicza Francuzka z r. 1810, w artykule 19, najwyraźniej przepisuje, iż od chwili wydania pozwolenia przez rząd, kopalnia poczyna stanowić oddzielną od powierzchni własność, i że ta nowa własność, stać się może przedmiotem nowym hypoteki oddzielnej.

chomości pod powierzchnią gruntu, jaką jest kopalnia, we Francyi wszystkie przepisy ustaw hipotecznych zastosowane być mogą; nawet prawna hipoteka do takiej nieruchomości stosuje się i zgodnie z art. 2103 kodexu cyw. (oraz art. 20 ustawy górniczej z r. 1810), mieć ją będzie ten, kto dostarczał funduszu na poszukiwania, na odbudowę kopalń, na zaprowadzenie machin wydobywalnych i t. p. Według praw Niemieckich, znanym jest wprawdzie rodzaj hipoteki kopalń, albowiem księgi obrachunków gwareckich (das Gegenbuch), wykazując stan czynny i bierny kopalni, służyć mogą za księgi hipoteczne, i istotnie tę usługę czynią; lecz czy rzecz na ulennieniu polegająca, i która uchybieniem w opłatach lub zawieszeniem robót, traci się w zupełności, ma cechę trwałości, jaką mieć potrzebują księgi hipoteczne nieruchomości?

Powiedzieliśmy, iż gwarek Niemiecki, czyli lenny właściciel kopalni (der belehnte Bergeigenthümer, der Gewerke), nie ma tak nieograniczonej własności, jaką kodex przyznaje; następuje bowiem rozdział prawa własności między suzeranem (der Obereigenthümer, dominus supremus), a ulennionym kopalnią gwarkiem (der belehnte, dominus utilis), bo ulennienie to czyni go raczej użytkownikiem przychodów kopalni (ususfructus fodinarum). Gdy zaś i prawo Francuzkie, zna użytkownika przychodów co do kopalń, zastanówmy się jeszcze i nad tym stosunkiem, aby uzupełnić to, co względem wnętrza gruntów kodex wyrzekł. Stosownie do brzmienia artykułów 578, 579, 581, 582, i 598 kod. cyw., jeżeli z mocy ustaw lub postanowienia jakiej osoby, bez poprzedniego nabywania własności, ustąpione jest prawo używania rzeczy ruchomej lub nieruchomej, jej płodów lub przybytków,

z zastrzeżeniem zachowania istoty rzeczy, prawo to zwie się używaniem przychodów (usufruit).

W jaki sposób w szczególności, wewnątrz gruntu, to jest kopalnia, może być przedmiotem używania przychodów, osnowa sama artykułu 598 kod. cyw. objaśnia, określając stosunek używacza przychodów kopalń, jak następuje: „Używacz, przychodu używa równie jak właściciel kopalń i kamieniołamów (40), w których wydobywano przy rozpoczęciu używania przychodów; wszelako, gdy idzie o wydobywania, które wymagają dozwoleń, używacz przychodów, wejdzie w ich używanie po poprzedniem dopięro otrzymaniu pozwolenia od Rządu. Nie ma on żadnego prawa do kopalń i kamieniołamów jeszcze nieotworzonych, ani do torfiarń, których wydobywania jeszcze nie rozpoczęto”.

Tak oznaczone używanie przychodów kopalń, godne jest bliższego zastanowienia, z tego właśnie powodu, iż używacz przychodów wchodzi w prawa właściciela; gdy właścicielowi służy nietylko moc używania ale i zupełnego rozrządzenia istotą rzeczy, a nawet jęj zupełnego zniszczenia (jus utendi et abutendi), samo zaś wybięranie pldów kopalnych z łona ziemi, jest juź samo przez się zużyciem tego przybytu ziemi, gdyż ciała kopalne nie ulegają odrodzeniu, przeto słuzące z tego artykułu używaczowi przychodów prawo, nie powinnyby pozostać bez ścisłego określenia; jakoż, aby całej istoty rzeczy, to jest samęj kopalni nie zniszczył, zapobiega prawo w przepisie

(40) Ustawa górnicza Francuzka z r. 1810, dzieli roboty kopalniane na trzy główne rodzaje: kopalń, rudokopów i kamieniołamów. Artykuł zaś ten wspomina tylko o kopalniach i kamieniołamach, lecz uważać należy, iż księga II kodexu, ogłoszoną została w r. 1804, zatem o lat 6 poprzedziła ustawę wspomnioną.

artykułu 601, chcąc, aby działał jako dobry gospodarz (*bonus paterfamilias, en bon père de famille*) i nakazuje w artykule 600, aby przed wejściem w używanie przychodów, spisał inwentarz ruchomości i nieruchomości; nadto, za nakłady w czasie używania przychodów poczynione, według artykułu 605, a nawet za ulepszenia i wkłady z artykułu 599 ustępu 2^{go}, chociażby te wartość kopalni powiększały, gdy do porządnego prowadzenia robót są potrzebne, nie ma prawa żądać wynagrodzenia. Tym więc sposobem, po ukończeniu używania przychodów, czy takowe było czasowe z artykułu 617, czy dojściem osoby trzeciej do pewnego wieku ograniczone z artykułu 620, czy wreszcie na lat 30 z artykułu 619 zakreślone, ponieważ kopalnia potrzebuje zostać kopalnią, ze względu na warunek zachowania istoty rzeczy, winna o ile możności w ten sposób gospodarnie być prowadzoną, aby taż istota rzeczy w niej zniszczoną nie została.

Porównywając raz jeszcze z sobą dopiero co rozbięte stosunki, widzimy, iż prawa używania gwarka podług ustaw górniczych Niemieckich, odpowiadające dawnym prawom gwareckim w Polskich kopalniach w gruncie miast królewskich, nie mogą być wyobrażone prawami użytkownika przychodów podług kodexu u nas obowiązującego, a nie wyrównywają prawom samego właściciela gruntu; ten bowiem według przepisów dawnych praw ziemskich krajowych, które o wieki uprzedziły zasadę artykułu 552 kod. cyw., miał moc dowolnego i najrozsądniejszego rozrządzenia powierzchnią i wnętrzem.

Według wyobrażeń ustaw górniczych Niemieckich, prawo własności górniczej należy do monarchy, lecz jej używanie może być przez ulennienie udzielone prywa-

tnym na czas nieograniczony, z możliwością nawet przechodzenia w spadku, gdyż to się bynajmniej wyobrażeniom praw lennych nie sprzeciwia; za główny atoli warunek dane jest bezprzestanne używanie; tam początkiem używania nadanej własności lennej górniczej, jest ulennienie, a może być spadek lub nabycie tych praw; kończy się zaś zawieszeniem robót górniczych przez czas prawem oznaczony, to jest przedawnieniem od 2ch tygodni, do roku i 6 niedziel, według rodzaju prowadzonych robót.

Używanie przychodu według kodexu, nie rząd ustanawia lecz właściciel, kończy się zaś z śmiercią używacza przychodów, lub z upływem oznaczonego czasu na jaki było dane, oraz przez nieużywanie czyli przedawnienie lat 30. Lecz sam właściciel tylko we Francyi ma co do swój nieruchomości możność hipotecznego nią zarządzania (42); gwarkowi służy również to prawo, i możność podobnaż dawania na kopalni hipoteki.

Uleńniony przeto właściciel kopalni, według praw królewskiej górnicy, czyli gwarek, jest w prawach środkujących pomiędzy kodexowym używaczem przychodów, a właścicielem gruntu podług tegoż kodexu.

Właściciel gruntu według artykułu 552, posiada najobszerniejsze prawo własności powierzchni i wnętrza, czyli tego wszystkiego, co się na ziemi lub w jej łonie jako jej przybyt znajduje; lecz stosować się winien do ustaw górniczych i policyjnych istniejących; ta zasada kodexu we Francyi zupełnie nowa, i dopiero wraz z tymże w r. 1804 wprowadzona, obaliła wszystkie dawniej przeciwne jej ustawy i wyobrażenia prawne,

(42) Mianowicie zaś z artykułów 7, 18, 19 i 20 ustawy górniczej Francuskiej z r. 1810.

a ustawa górnicza z r. 1810, ograniczyła tylko właściciela w formie.

W kraju naszym, po zaprowadzeniu kodexu, przepis statutów organicznych ustalił wiekami uświęconą zasadę co do własności gruntu i wszelkich jego przybyków na powierzchni i w jej łonie, która wszystkich innych krajów prawodawstwo wyprzedziła, a wieki przetrwawszy, dotąd żadnemi formami któreby jej naturę zachwiały, skrepowaną nie została.

WTOREK I PIĄTEK.

OPOWIADANIE

przez

Józefa Horzениowskiego.

Przeszłej jesieni, po ośmnastu latach ciągłej niebytności, byłem w Warszawie, jak się o tém czytelnicy moi musieli dowiedzieć z Kuryerka, którego numer na różowym papierze, zamykający chlubny dla mnie anons, otrzymałem z rąk grzecznego redaktora. Podziękowawszy zacnemu weteranowi naszej literatury i sztuki dramatycznej za tak miły podarunek, poszedłem do Saskiego ogrodu; był bowiem dzień piękny, i ja mając tegoż dnia po raz pierwszy w życiu widzieć swoją sztukę na scenie, byłem cokolwiek niespokojnym i potrzebowałem świeżego powietrza. Pod kolumnami pałacu, niegdyś Saskiego, spotkałem się z dawnym kolegą szkolnym, dobrym znajomym i przyjacielem, który równie jak ja wybrał się na przechadzkę. Poszliśmy więc razem, przypominając dawne czasy: spacery w Krzemieńcu po górze Zamkowej i Czorczy; gawędy szkolne o Chońszyźnie, Łuczyńskim i Jar-gowskim na Tarpejskiej skale; potem włości nasze po alejach Warszawskich, po cichych i oddalonych uliczkach

za Lesznem; wyprawy wodą na Bielany; rozmaite przygody młodości, a potem coraz poważniejsze przygody i nasze i nie nasze; nareszcie o żonach, o dzieciach. Tak rozmawiając, przeszliśmy kilka razy środkową aleję i doszedłszy do bramy, zwróciliśmy się na lewo. Chciałem obejść te boczną i miłą uliczkę, po której tyle ranków schodziłem, na którą patrzałem ciągle lat kilka ze swego okna w pałacu Zamojskich, na której czytałem po raz pierwszy Grażynę, i postrzegłem jedną, miłego mi dotąd wspomnienia twarzyczkę. Właśnie byliśmy już naprzeciw mojego niegdyś okna, gdyśmy postrzegli idącego ku nam mężczyznę z głową schyloną i zatopionego w myślach. Usłyszawszy widać nasz głos, podniósł głowę, spojrzął na mojego przyjaciela, odwrócił się i poszedł nazad. „Zejdźmy na bok, rzekł do mnie mój kolega, jest to odludek, dla którego spotkanie znajomego jest rzeczą bardzo przykrą.” Zeszliśmy więc na prawo; lecz uderzony wyrazem tej twarzy niegdyś pięknej, dziś pokrytej bladością i napiętnowaną ciężkim smutkiem, zapytałem mego towarzysza: czy zna tego pana?

— Znam go dobrze, odpowiedział; byliśmy niegdyś w jedném biurze, i w kilku zdarzeniach oddałem mu niewielkie przysługi. Od lat siedmnastu, biędny ten człowiek porzucił urząd i żyje zupełnie samotnie. Coto dziś mamy?

— Piątek, odpowiedziałem.

— A, to jego dzień, rzekł mój towarzysz. Każdy wtorek i piątek od godziny jedenastej do ciemnej nocy przepędza na tej ulicy, i to cała jego rozrywka.

— Dlaczegoż tylko w te dni? zapytałem.

— Z tém się łączy smutna historia, która stanowczo na jego życie wpłynęła.

— Czy ci ona wiadoma? zapytałem znowu.

— Znam ją dobrze, odpowiedział, i ze wszystkimi szczegółami. Słyszałem ją nieraz z ust tego biédaka, i czytałem opisaną przez niego samego, gdy się tłómaczył przed sądem kryminalnym.

— Aj, krzyknąłem uradowany; siądźmy pod tym kasztanem, i opowiedz mi to.

— Kiedy bo wam autorom, niebezpiecznie powierzać takie rzeczy. Co tylko pochwycicie, zaraz czém prędzej rzucacie na papier, a potem z mokrym jeszcze rękopismem biegniecie do drukarni. Co zaś najgorsza, stroicie proste opowiadanie waszemi dodatkami, i..... zatrzymał się i uśmiechnął się złośliwie.

— I psujemy, rzekłem. Czy to chciałeś powiedzieć?

— Zgadłeś, odpowiedział. Rzadko który z was umie opowiadać tak, żeby nie widać było waszych własnych łałek, któremi szpecicie jednostajną materiją, dostarczoną wam przez naturę. Wam się zdaje, że trzeba koniecznie rzeczy nadzwyczajnych, jakichsi wypadków niespodziewanych; kiedy tymczasem życie, jestto rzecz niezmiernie prosta, a wszystko co nas w jego obrazie interesuje, zamyka się w głowie i w sercu ludzi, których malujecie.

— Jest w tém cokolwiek prawdy, ale więcej przesady, odpowiedziałem. Trzeba żeby i osnowa była choć trochę obudzająca ciekawość. Na takiej kanwie lepiej się wyszywają usposobienia moralne i uczucia osób działających. Nie lubię ja i sam owych mniemanych sekretów komedyjnych i niespodzianych, to téż i łają mnie za to więcej niż zasługuję; wszakże wybieram zawsze takie przedmioty, któreby mi dały powód odkryć jakąś interesującą stronę serca lub umysłu. Historia tego pana musi ją

mieć także, kiedyś o niej wspomniał. Inaczej nie zrobiłbyś był żadnej wzmianki.

— To prawda, rzekł mój towarzysz.

— Opowiedz więc ją, proszę cię.

— Ale nie będziesz pisał? rzekł patrząc mi w oczy.

— Za to nie rękę, odpowiedziałem. Mogę ci wszakże dać słowo, że nic nie dodam, i tak napiszę, jak opowiesz.

Przystał na ten warunek mój towarzysz. Usiedliśmy w miejscu ustronném, z kąd widać było ową ulicę i przechadzającego się po niej człowieka, którego część życia miałem usłyszeć, i oto jest opowiadanie mojego towarzysza, wiernie i bez żadnych dodatków spisane.

— Ten pan, nazywa się Michał Studnicki. Ma on wielki dom na Lesznie, który mu przynosi dochód znaczny i aż nadto wystarczający na jego utrzymanie. Wkrótce po przyjeździe naszym z Krzemieńca, poznałem się z nim, gdyż weszliśmy do jednego bióra. Nie byliśmy z początku bardzo ścisłymi przyjaciółmi, zbliżyliśmy się jednak dosyć, może przez kontrast naszych charakterów. Ja zawsze zimny matematyk, jak wiesz, widziałem na świecie same tylko liczby. Uśmiechy ładnych ustek, wejrzenia ślicznych oczek, ukłony grzecznych panów, zimne skinienia głową naczelników, nawet uściski kolegów redukowałem zawsze na liczby większe lub mniejsze, które się dawały summować lub odciągać. Pan Michał był zupełnie inny. Każdą myśl maczał wprzód, że tak powiem, w sercu, nim ją odział w słowa. Wszakże nie sądz, aby to był mazgaj płaksiwy i tchórzliwy. Owszem, gdy tego była potrzeba, działał z wytrwałością i odwagą właściwą takim głębokim i melancholicznym charakterom. Właśnie ta wytrwałość i ten upór w uczuciach

i postanowieniach przyprowadził go do tego stanu w jakim go widzisz; bo gdy co raz weszło do jego głowy i serca, już tam zostało na zawsze. Gdy sobie postanowił co zrobić lub się czego nauczyć, póty się męczył, póki nie doszedł do nadzwyczajnej biegłości. I tak np. gdy był jeszcze w szkołach, podobało mu się, że stryj jego, do którego jeździł na wakacje, wystrzeliwał asy. P. Michał póty się męczył, póty psuł proch i kule, póki nie doszedł do takiej pewności ręki i oka, że kilka kul w jeden punkt wbijał. Chodząc raz nad rzeką, postrzegł kilku żołnierzy niezmiernie zręcznie pływających po Wiśle. Zajął go to. Poszedł więc do oficera szkoły pływania, naszego niegdyś kolegi, zaczął się uczyć, i przez jedno lato lepiej pływał, niż oni wszyscy. To samo mu się zdarzyło z Angielskim językiem. Pokazałem mu tylko jak się wymawiają niektóre litery; w rok potem lepiej umiał po Angielsku ode mnie. Rozciągnąłem się cokolwiek nad temi okolicznościami, ponieważ one ci wytłómaczą wypadki jego życia. W którymto roku po raz pierwszy opuściłeś Warszawę?

— W 1823, odpowiedziałem.

— Już więc ciebie tu nie było; a widziałbyś był ze swojego okna początek téj historyi; bo właśnie na téj ulicy rzecz się zawiązała. W r. 1824 w sierpniu podobno, p. Michał, który zawsze lubił samotność, przechodził właśnie tedy i postrzegł na téj oto ławeczce pod kasztanem, gdzie i pan mój podobno także oczekiwał na różowy kapelusik, postrzegł mowę twarzyczkę śliczną, ale bladą i smutną. Byłato brunetka mająca może lat dziewiętnaście. Oczy miała czarne nadzwyczajnej piękności; spod czarnego kapelusza wychodziły błyszczące czarne loki; szlafroczek także był czarny; słowem wszystko na

niej było czarne, oprócz twarzy, która była blada, i szyi, która była jak śnieg biała. Ta twarzyczka, ta kształtna i wysmukła figurka, ta drobna rączka ciemną odziana rękawiczką, i trzymająca zgrabny parasolik, ta wystawiona cokolwiek, delikatna i wązka nóżka, odziana z elegancją Warszawską, wszystko to zostało odrazu w myśli i w sercu melancholicznego p. Michała.

Ja byłbym tę bladą twarz, i czarne ubranie, i wystawioną nóżkę zredukował na liczby, uśmiechnął się, poszedł dalej i zapomniał; p. Michał przeszedłszy raz, wrócił, i znowu poszedł i znowu wrócił, co czynił póty, póki panienska siedziała na ławeczce. A gdy wstała i poszła, on szedł za nią i przypatrywał się jej figurze, jej lekkiemu chodowi, jej ruchom pełnym gracyi i powagi.

— Czy była sama? zapytałem.

— Oho! już widzę, że będziesz pisał, odpowiedział. Nie, nie była sama. Był z nią poważny staruszek w granatowym surducie, z amarantowemi wyłogami, ale bez szlif. Widać stary dymisyonowany oficer, cokolwiek przygarbiony, z siwym wąsem, ale także smutny. Szedł więc za niemi p. Michał; postrzegł że blada twarzyczka parę razy obróciła się, i wejrzenie jej czarnych oczów oblało go, jak gorącą wodą. Byłby szedł tak dalej i odprowadził ich zdaleka aż do mieszkania; ale na nieszczęście spotkał go szef naszego bióra, ukłonił się i zaczął rozmowę. Niegrzecznie było porzucić szefa bióra, który miał ochotę pogadać; rozmawiał więc z nim p. Michał cokolwiek roztargniony, a tymczasem granatowy surdut i czarny szlafroczek zginęły w tłumie. Gdy był znowu sam, pobiegł, oglądał się, szukał, ale już ich znaleźć nie mógł. Na drugi dzień oczywiście p. Michał chodził samotny po téj ulicy wprzód i nazad, a gdy się zbliżał do

swojej ławeczki, wzdychał i przypominał sobie czarny szlafroczek i blade lice. Ale tą razą wzdychał i chodził napróżno; bo zmrok padł, zaczęło się robić ciemno i nikt nie przyszedł. Smutniejszy niż zwykle wrócił do domu, i nazajutrz w biórze do nikogo słowa nie przemówił. Tak przeszło dni kilka; każdego wieczora p. Michał przechadzał się po ogrodzie, i każdego wieczora coraz smutniejszy powracał do domu. Nareszcie przyszła niedziela. Od samego rana puścił się p. Michał po kościołach, spodziewając się, że gdziekolwiek spotka prześlizne widziadło, które mignęło przed jego duszą, stąpiło raz tylko w jego sercu i zostawiło na zawsze ślad delikatnej swój stopki. Był u Fary, u Dominikanów, u Pijarów, u Kapucynów, u Bernardynów, u Śgo Krzyża; tu zmówił paciierz, tam zapomniał i przeżegnać się, a nigdzie nie znalazł obrazka, którego właściwie szukał i do którego chciał pomodlić się. Nareszcie wracając już zdesperowany od Missyonarzów, postrzegł na Krakowskiem przedmieściu kościół Karmelitów. Piękny i ponury front téj świątyni uderzył go. Dawno już w niej nie był, coś mu szepnęło, żeby wstąpić. Wszedł więc, ale tą razą już nie szukał ziemskiego obrazka, straciwszy zupełnie nadzieję znalezienia go kiedykolwiek. Wszedł z szczerą chęcią pomodlenia się; chciał ofiarować Bogu męki swego serca i oddać swój los jego opiece. Niepatrzając, co się wkoło niego dzieje, ukląkł przy bocznym ołtarzu i szczerze się modlił. Gdy skończył modliwę i podniósł oczy, postrzegł, że przy drugim ołtarzu klęczała osoba w czarnym szlafroczk, w czarnym kapeluszu i jeszcze goręcej się modliła. Nie widział jój twarzy, ale kibić była ta sama, te same drobniutkie i białe rączki pobożnie złożone, ta sama maleńka nóżka wygląda-

ła zpod szlafrocza. Śpiewano właśnie suplikacye. Przenikająca nóta pieśni: Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny, rozchodziła się po kościele. P. Michałowi łzy się w oczach zakreśliły, a gdy postrzegł, że jego piękna rzewnie płakała, zawołał z westchnieniem: „Zmiłuj się nade mną i nad nią!” Powstał więc i stanął tak, aby jój z oka nie spuścić i wyjść razem i śledzić dokąd pójdzie. Parę razy obejrzał się, czy niema gdzie szefa bióra; ale że szefowie rzadko chodzą do kościoła, zaspokoił się i czekał cierpliwie. Suplikacye się skończyły, summa się zaczęła. Czarna postać klęczała, a p. Michał stał i czekał. Nareszcie pobłogosławił ksiądz lud pobożny i wszyscy rzucili się do drzwi. Powstała i ona. Była to ta sama twarz, ale jeszcze bledsza; jeszcze piękniejsza niż w ogrodzie. Widać łzy przyniosły jój ulgę i modlitwa pokrzepiła duszę. Przypadkiem spojrzała w tę stronę, gdzie stał nasz bohater i czarne jój oczy poznały melancholiczną twarz p. Michała, i odgadły zapewne co się działo w jego sercu, bo rumieniec przesunął się po jój licu i znikł tak prędko, jak para oddechu ze stali polerowanój. Prędszym krokiem rzuciła się w tłum i obejrzała się parę razy, czy p. Michał idzie. P. Michał był tuż za nią; pchał się jak student do wielkiego ołtarza, kiedy biskup celebkuje. Nie poznawał znajomych, byłby nawet udał, że nie poznał swego szefa bióra, gdyby szefowie bióra chodzili częściej do kościoła. Wszakże mimo wszelką usilność odsunęła się od niego dalej, niżby żądał, i była już na placu przed kościołem, gdy p. Michał był dopiero we drzwiach. Na otwartszym miejscu mógłby ją dopędzić, ale nie chciał; uważał bowiem, że się oglądała, i im bliżej go postrzegła, tym prędziej i zręczniejsz nóżki jój dotykały się kamieni. Już byli na

Krakowskiem-przedmieściu naprzeciw Bernardynów; nagle obejrzała się raz jeszcze i postrzegłszy, że p. Michał idzie z okiem wyteżonem na swoją zdobycz, poskoczyła skokiem łani na kilka schodów i wbiegła do kamienicy Rezlera. Pamiętasz zapewne, że to kamienica przechodnia, i prowadzi na ulicę Senatorską a ztamtąd na Miodową. Wbiegł p. Michał na korytarz, ztamtąd na dziedziniec, ztamtąd na drugi, dalej pod bramę podjazdową; obejrzał się po trotoarze ulicy Senatorskiej na prawo i na lewo, wszędzie pełno ludzi, ale dla niego były pustki, bo jój nie było. Wrócił więc nazad, przeszedł raz jeszcze dziedziniec i korytarz, napróżno. Pytał stróża, nie widział. Kazał się zaprowadzić do rządcy domu, wypytywał go czy nie mieszka tu jaki stary oficer dymisyonowany, mający córkę, która chodzi w czarnym szlafrocuku, ma czarne oczy i twarz bladą. Ruszył ramionami tłusty i zatabaczony rządcą, uśmiechnął się widząc gorliwość p. Michała, ale odpowiedział, że takiego lokatora w całej kamienicy nie ma. Poszedł więc p. Michał powoli do domu zmartwiony i zfatygowany, i zaczął seryo myśleć o wypędzeniu z głowy niepotrzebnego gościa. Ale tą razą postanowienie jego nie było dość silne i nie dotrzymało placu; bo gdy się zbliżył wieczór, znowu czarny szlafroczek lśnił się przed jego myślą, i małe nóżki tuptały mu w sercu. Wziąwszy więc kapelusz, poszedł znowu do ogrodu. Zaraz na zawrocie od żelaznej bramy, postrzegł czarny szlafroczek i granatowy surdut. Uszczęśliwiony, szedł ostrożnie i zwolna, aby ich nie spłoszyć, i unikał troskliwie wszystkich znajomych, bojąc się, aby mu który przy wychodzie do wysłedzenia ich pomieszkania nie przeszkodził. Usiedli znowu na ławeczce, a p. Michał przeszedł raz i drugi, i nieznacznie, ukradkiem spoglądał na tę

twarz bladą, zawsze piękną, na te czarne oczy, które go nie unikały, ale owszem zdawały się za nim skierowywać. Gdy się już czwarty raz przybliżał do ławeczki, postrzegł, że do owego staruszka przystąpił jakiś wojskowy, także już niemłody, ale jeszcze w czynnej służbie. Taką między nimi usłyszał rozmowę.

— Jak się masz, majorze, rzekł oficer ze szlifami.

— Zle się mam, jak zwykle, odpowiedział stary z westchnieniem.

— Niepotrzebnie się martwisz, majorze; chodź, mam ci coś powiedzieć. Major powstał, obrócił się do córki i rzekł: Posiedź tu, Maryniu, ja zaraz przyjdę. Wziąwszy się pod ręce, oba weterani poszli ulicą, a Marynia została sama jedna. P. Michałowi przyszła heroiczna myśl; przybliżył się i usiadł na drugim końcu ławeczki. Serce mu biło gwałtownie i oddech zatrzymywał się w piersiach. Marynia siedziała ze spuszczonei oczyma, udając, że go nie widzi i rysowała na ziemi jakieś znaczki parasolikiem. Gdy p. Michał postrzegł, że major odszedł dosyć daleko, że będzie mógł cokolwiek z nią pomówić a przynajmniej usłyszy jej głos, przeżegnał się w duchu, jak gdyby miał wskoczyć do Wisły i ją przepłynąć, i rzekł przysuwając się nieznacznie: „Niech mi pani daruje, że nieznajomy śmiem do niej przemówić; ale boję się, żeby mi się ta zrzeczność nie wymknęła, której już od niejakiego czasu szukam. Będę się starał być zwięzłym, i powiem otwarcie co myślę. Czy pani raczysz mię posłuchać?”

— O cóż idzie? mów pan, rzekła Marynia i podniosła na niego śliczne czarne oczy. Jój głos dźwięczny, ząbki białe i czyste, które się przy tych słowach pokazały, a nadewszystko te oczy i to wejrzenie, tak zmieszały p. Michała, że przez chwilę nie mógł przyjść do słowa.

Patrzył tylko na nią, z wyrazem pełnym miłości i byłby długo jeszcze patrzył, gdyby się była nie odezwała:

— Słucham pana. Stłumił więc w sobie westchnienie, obejrzał się jak daleko major, i rzekł prędko:

— Nazywam się Michał Studnicki; jestem urzędnikiem w Kommissyi Spraw Wewnętrznych. Mam dom na Lesznie, który mi zapewnia niezależność. Nie wiem kto pani jesteś; widzę tylko żeś młoda, piękna, żeś córka oficera. Widziałem panią kilka dni temu w ogrodzie; szukałem cię potem codziennie, dziś spotkałem panią w kościele. Modliłaś się gorąco i płakałaś. Jeżeliś pani nieszczęśliwa, jeżeliś wolna, pozwól mi dać się poznać bliżej. Może mi Bóg dopomoże, że w sercu mojem znajdziesz dla siebie pociechę, jeśli jej potrzebujesz. Ja będę aż nadto szczęśliwym, gdy mi nie odbierzesz choć dalekiej nadziei. Umilkł p. Michał i ona milczała. Potem dodał drżącym głosem: czym panią rozgniewał?

— Słowa pana, odpowiedziała cokolwiek zmieszana i okryta prześlicznym rumieńcem, mają charakter prawdy i szczerości. Gniewać się za nie nie mogę, dziwię się tylko, że pan wystawiasz się na taki hazard, czyniąc tak stanowcze ofiary kobiecie nieznajomej. A gdybym też je przyjęła?

— Tobys pani uczyniła najszczęśliwszym człowieka, który od kilku dni nie ma snu i pokoju, rzekł p. Michał z ożywioną twarzą.

— A gdyby się pokazało, rzekła znowu, żeś tych ofiar niegodna?

— O! to być nie może, odpowiedział p. Michał. Ręczy mi za to pani twarz, mundur jej ojca, i ta gorąca modlitwa, którąś dziś posyłała do nieba.

— Dziękuję panu za to o mnie mniemanie, rzekła z wyrazem, który twarz jój zrobił dziwnie piękną, i wyciągnęła do niego drobną rączkę, tak, że p. Michał mógł ścisnąć delikatne paluszki. Potém dodała spuszcżając oczy: Nie odrzucam znajomości zacnego człowieka, jakim mi się pan wydajesz. Ale przyjmiesz jeden warunek?

— Każdy, choćby najcięższy, rzekł p. Michał.

— Dziś, rzekła z uśmiechem, musiałam przed panem uciekać. Nie rób mi pan nigdy téj przykrości. Nie staraj się poznać naszego mieszkania, ani mojego nazwiska. Czy zgoda?

— Wykonam święcie ten rozkaz pani, chociaż nie taję, ile mię to będzie kosztować. Ale gdzież i kiedy będę mógł panią widziéć? Jeżeli pani nie odrzucasz mojej znajomości, to znaczy, że pozwalasz abym cię kochał, abym ci to mówił. Nie jestem młodzik, nie jestem trzpiot niestały i zmienny. Za nadto seryo patrzę na świat i brzydzę się wszelką płocnością. Kłamliwe i zimne grzeczności, które się mówią kobietom bez myśli, lub w celu występny, nie skalały dotąd ust moich. Pani pierwsza opanowałaś moje serce, i uczucia moje muszą być głębokie i silne, kiedy przy pierwszej zręczności odważyłem się je wyrazić. Daj się pani ubłagać.

Przez cały ten czas patrzyła mu w oczy z uwagą i zajęciem. Po chwili dodała: — O! jaką mi pan boleść sprawiasz.

— Mojem szczerém wyznaniem? rzekł p. Michał.

— O! nie, odpowiedziała prędko, swoją prośbą. Umilkła, lecz postrzegłszy, że twarz p. Michała pobladła na te jój słowa, dodała ciszej: we wtorek i w piątek o godzinie jedynastej będę tu zawsze. A teraz idź pan; jak

pan mię lepiej poznasz, może nie będziesz miał ochoty zabiierać znajomości z moim ojcem, który się przybliża.

— Wracasz mi pani życie i pokój. Powstał, spojrzał raz jeszcze na tę twarz której się nie mógł napatrzeć, i poszedł.

Gdy powracał do domu, był szczęśliwy i smutny razem. Jakieś wątpliwości zaczęły powstawać w jego sercu, jak lekkie mgły zaciemniające horyzont; lecz wkrótce śliczna twarz jej wynurzała się jak słońce, i rozpędzała je zupełnie. Myślał dużo i o tém spotkaniu i o swojej z nią rozmowie, a rezultat tych myśli był zawsze korzystnym dla Maryni, kontent był, że na jego otwartość i szczerość odpowiedziała otwartością i szczerością; że nie udawała niewinności, i dowiodła rozumu, poznawszy z jego twarzy i słów, że mówił seryo i był przenikniętym. Zakłopotala go cokolwiek obietnica przyjscia do ogrodu; lecz gdy przypomniał sobie jak się przeraził jej odmówieniem, jak zapewne musiał poblednąć i mieszać się, widział w tém jej przyrzeczeniu dowód jej dobrego serca i litości nad swoim stanem. Jeden tylko był szkopuł, o który okręt niosący piękne nadzieje p. Michała, zadzierał się cokolwiek mocniej, t. j. dlaczego nie chciała mu pozwolić poznać się z ojcem i uczęszczać do ich domu. Wszakże po długim biedzeniu się, i to zagadnienie rozwiązał. Muszą być bardzo biędni, pomyślał, i wstydzą się swego ubóstwa. Uradowany tym wynalazkiem, jak Archimedes, uspokoił się p. Michał, i z biciem serca wyglądał wtorku.

We wtorek o pół do piérwszej wracał z ogrodu, szedł krokiem śmiałym i pewnym, kapelusz niósł w ręku nieważając że słońce piekło jak ogniem. Piątek jeszcze mu więcej dał wesołości i dobrego humoru. Takim spo-

sobem od wtorku do piątku, od piątku do wtorku, szczęście p. Michała podniosło się do wysokich potęg. A przecież nic szczególnego nie zaszło. Chodzili z sobą po téj ulicy, lub siedzieli na téj ławeczce, ale zawsze zdaleka, z uszanowaniem. P. Michał nie śmiał się przysunąć, wziąć jój ręki i przycisnąć do piersi; ale p. Michał kochał ją nad wszystko, ale widział w niój oznaki życzliwości, ale lubił jój skromność, jój wychowanie, jój rozum. Dość mu więc było widzieć ją i słyszeć i mieć daleką nadzieję, którą ona zręcznie coraz dalej odsuwać umiała. Gdy raz we wtorek p. Michał zaczął niby narzekać, gdy chciał przynajmniej dowiedzieć się jak się jój ojciec nazywa, Marynia rzekła: „To ja już w piątek nie przyjdę”; i słowom tym towarzyszył wyraz twarzy tak miły, wejrzenie tak słodkie, że p. Michałowi żal się zrobiło piątku; umilkł, nie nalegał i czekał dalej. Tak przeszło kilka tygodni. Nadszedł październik. A chociaż wtorki i piątki były jeszcze piękne, ale miałyże złożyć swój los, swoje szczęście w ręce pogody jesiennój? Ta myśl przyprowadzała go czasem do rozpacz.

Jednego piątku, gdy się zeszli o samój jedynastój, Marynia uśmiechnąwszy się mile, rzekła: — Jak pan akuratywny! jeszcze ni razu nie czekała na pana ani chwili.

— Czyż to panią dziwi? odpowiedział. Jeszczeż mi pani nie wierzysz że ją kocham nad wszystko w świecie? Każdy ranek we wtorek i w piątek, kosztuje mię wiele zdrowia. Wstaję ze świtem, chodzę, niecierpliwie się, wyglądam téj jedynastój i doczekać się jój nie mogę.

— A gdy nadejdzie? rzekła spojrzawszy nań z wdzięcznością.

— O! gdy nadejdzie, gdy panią obaczę, gdy się uśmiechniesz, słowo wymówisz, spojrzysz tylko, zapominam o wszystkiem, com wycierpiał. Jestem szczęśliwym, ale...

— Ale, powtórzyła Marynia.

— Ale możeż to trwać długo, dodał p. Michał. Jesień się przybliża, zima nadejdzie. Będieszże pani mogła przychodzić, jak dotąd? Ja sam wyrzeknę się tego szczęścia, jeżeli mam je otrzymywać kosztem jój zdrowia. Jeżeli ręka pani wolna, jeżeli pani masz dla mnie choć cokolwiek życzliwości, zechceszże mię wystawić na taką męczarnię? Jakie mogą być przyczyny, które panią wstrzymują, pojąć nie mogę. Dlaczegoż nie znam dotąd nazwiska jój ojca, ani nazwiska pani, ani jój domowych okoliczności? Mogłaś pani mieć wstręt objawić to obcemu, ale godzisz się kryć się przede mną, którego majątek, ręka, imię i życie nawet poświęcone i oddane pani od téj chwili, gdy ją raz piérwszy obaczył. Ponieważ pani tego żądasz, szanuję i szanować będę jój sekret, wszakże pewny jestem, że on nie jest takim, za którybyś miała potrzebę się rumienić. Za to mi ręczy święty wyraz, który czytam w twarzy pani. Jeżeli cała rzecz w tém, żeś pani biédna i wstydzisz się swego ubóstwa, jakże bolesną krzywdę wyrządzasz memu sercu. To powiedziawszy, westchnął p. Michał i umilkł. Marynia milczała także. Widać było w jój twarzy walkę jój duszy. Czasem spojrziała na niego okiem pełném życzliwości, to znowu schyliła je ku ziemi. Nareszcie zatrzymała się, wzięła jego rękę, ścisnęła w swojej i rzekła: „we wtorek już nie przyjdę.”

Staął p. Michał jak osłupiały; a gdy podniósł głowę, już była daleko. Dziwne uczucia powstały w jego sercu; sam nie wiedział, czemu przypisać jój upór. Już mu nawet przychodziło do głowy, czy nie ma ona męża? czy się nie kryje przed nim? czy nie jest to intryga naganna, mogąca go doprowadzić do występku, którym się brzydził.

Ale gdy sobie znowu przypomniał anielski i czysty wyraz téj twarzy, wszystkie rozmowy pełne skromności, w których nie było najmniejszego śladu kokieteryi; gdy mu przyszła na myśl ta niedziela i ta modlitwa, wśród której ją odszukał, wszystkie podejrzenia znikaly, miłość silniejsza niż piérwój opanowała jego serce, i postanowił. — Cóż postanowił? gdybyś opisywał tę historiją, cóżby u ciebie teraz p. Michał postanowił?

— Naturalnie, pobiegłby za nią, odszukałby, wyszedłby jój mieszkanie, dowiedziałby się od sąsiadów, albo raczej od sąsiadek, bo lepiej wszystko wiedzą, kto ona? i jeśli by było warto, poszedłby prosto i upadłszy do nóg...

— Byłoby to po Francuzku, przerwał mój kolega. Nie darmo ci zarzucają, żeś się rzucił do Francuzkich pisarzy, i przenosisz z nich wszystko żywcem do swoich dramatów, nawet piérwój, nim który z nich co napisze, jak ci się to zdarzyło z Piękną kobietą i Katarzyną Howard. Otoż nie zgadłeś, mój łaskawco: najprzód dlatego, że p. Michał nie Francuz, a potém że dał słowo, iż jój śledzić nie będzie, i nie śledził. Gdy znikła z jego oczu, poszedł zwolna do domu smutny, zdesperowany i postanowił czekać wtorku. Ale minął wtorek, minął piątek, a Marynia do ogrodu nie przyszła. W niedzielę modlił się gorąco u Karmelitów, przy tym samym ołtarzu; ale na stopniach drugiego ołtarza, gdzie niegdys rysowała się piękna postać, z kąd podnosiło się tyle rzewnych myśli do nieba, nie było nikogo. Niepoczyszony wyszedł z kościoła p. Michał. Resztę dnia i cały następny poniedziałek chodził z jednéj ulicy na drugą, z jednego ogrodu do drugiego, z jednéj alei w drugą, zawsze w téj nadziei, że ją gdzie spotka. Kilka mil zrobił przez te dwa dni, wszakże nie naprózno.

— Znalazł ją? zawołałem.

— Nie, odpowiedział mój towarzysz; ale zfatygował się okropnie, i gdy w poniedziałek w wieczór rzucił się na łóżko, spał całą noc jak zabity. Ruszyłem ramionami, a mój towarzysz postrzegłszy to, uśmiechnął się i tak dalej mówił. Nie było wszakże sen pokrzepiający. Obudził się na drugi dzień p. Michał z mocnym bólem głowy, i czuł w całym ciele bijące pulsa. Lecz że to był wtorek, przed jedynastą jeszcze poszedł do ogrodu. Usiadł samotny na ławeczce, i oparłszy łokieć na kolano a na dłoni położywszy twarz smutną i bladą, zadumał się; wtém poczuł, że delikatna rączka dotknęła się jego ramienia. Podniósł głowę, było to Marynia. Ale twarz jój bledsza, niż kiedykolwiek, miała wyraz głęboki powagi i smutku. Wziął jój rękę p. Michał, pierwszy raz przycisnął ją do ust, potem tuląc do serca rzekł: „Zlitowałaś się nareszcie nademną.” i dwie łzy potoczyły się po jego twarzy. Ona widocznie rozrzewniona, ścisnęła jego rękę i odpowiedziała:

— Więc pan nie możesz mię zapomnieć? Inna kobieta pyszniłaby się takim przywiązaniem zacnego człowieka; a mnie sprawia ono niewysłowioną boleść.

— To znaczy że mię nie kochasz. Nie masz dla mnie ani odrobiny życzliwości, ani przyjaźni?

— Czyżbym tu przychodziła? rzekła rumieniąc się zlekka.

— O! droga Pani, odezwał się z zapałem p. Michał, dlaczegoż mię dręczysz?

— Chodź Pan ze mną, odpowiedziała smutna. Porwał się z miejsca. Ona oparła się na jego ramieniu i poszli dosyć śpiesznie. Prawie całą drogę nic do siebie nie mówili; nie wiedział, czy go czekało szczęście, czy jaki

cios niespodziewany; raz trwoga ścisnęła jego serce, to znowu gdy spojrzął na nią idącą obok siebie, gdy poczuł ję magnetyczne zbliżenie, był szczęśliwym i pełnym nadziei. Już byli na ulicy Freta i przy samym ję końcu weszli do jednę niepokaznę kamienicy. Na schodach serce okropnie biło w piersiach p. Michała, i pulsa rozrywały mu skronie, musiał się zatrzymać i odetchnąć. Weszli wreszcie do mieszkania na drugiem piętrze. Pokoiki były małe, ale czysto i gustownie nawet ubrane. Wszędzie widać było rękę kobiety, która lubiła porządek, miała chęć i cierpliwość zajrzeć do każdego kącika. Obejrzał się p. Michał; nie było nikogo i cichość zupełna.

— Gdzież ojciec pani? zapytał spojrzawszy na pałasz, który stał w kącie.

— Mego ojca nie ma teraz w domu, odpowiedziała. Usiądź Pan tu i odpocznij, ja zaraz przyjdę. Wyszła do trzeciego pokoiku, zamknęła drzwi za sobą, i wkrótce usłyszał p. Michał stłumione szlochanie. Sam nie wiedział jak to sobie wytłómaczyć i czego się miał spodziewać, ale czuł, że się serce w nim krajało. Zerwał się, chciał wejść i do nóg się ję rzucić, ale jakaś dziwna obawa wstrzymała go na miejscu. Po chwili drzwi się otwarły, i Marynia z zapłakanemi oczami, z twarzą okropnie bladą wyszła i dała mu znak, aby wszedł za nią. Wszedł więc p. Michał drząc cały, w oczach mu się ćmiło; ledwie mógł stać na nogach. Było ję sypialny pokoik; ale obok ję łóżka stało drugie łóżeczko zakryte delikatną i białą firanką. Przystąpiła Marynia wpółżywa, podniosła zasłonę, i p. Michał obaczył dziecę dwuletnie, pogrążone we śnie. Rumieniec zdrowia tlił się na pulchnę twarzączce, białe włoski wiły się po delikatnę skroni; czysta i cienka bielizna je

okrywała; wszystko pokazywało, że to śliczne dziecko było jedynym celem życia matki. Ostupiał melancholizny p. Michał na ten widok, *et vox faucibus haesit*. A pamiętasz jak nam ks. Osiński to miejsce tłómaczył?

— A dajże mi pokój, rzekłem zniecierpliwiony; mów dalej.

Uśmiechnął się jak zwykle, i tak dalej mówił:— P. Michał stał oniemiały; Marynia oparłszy się o łóžeczko, milcząc poglądała na niego z wyrazem dziwnej jakiejś i jakby dumnej spokojności. Nareszcie rzekła: „Oto jest moje dziecko, a ja nie mam męża. Czy Pan mię chcesz teraz?” Zimny pot oblał p. Michała. Zdawało mu się, że sufit leży na jego głowie i ciśnie go do ziemi. Nie mógł znaleźć słów do odpowiedzi, i w rzeczy samej trudno było odpowiedzieć. Wszystkie illuzye, wszystkie marzenia, któremi zdobił swoje przyszłość, odbiegły go nagle. Został tylko sam na sam z gorzką prawdą, która mu pokazała twarz suchą, bez rumieńca, bez uśmiechu, podobną do piątego podania 1^{szej} księgi geometryi Euklidesa. Postrzegła stan jego Marynia; zasunęła firaneczkę, która okrywała jój skarb, i wyszła do drugiego pokoju. P. Michał machinalnie wyszedł za nią, ona wróciła nazad, stanęła we drzwiach i rzekła: „Chciałeś pan wiedzieć, wiész teraz. Szanuję twój charakter, cenię wysoko twoję miłość dla mnie, i wyznaję, że przy tobie mozeby moje oczy oschły z płaczu i serce odżyłoby i otworzyło się szczęściu ziemi. Mogłabym była ukryć mój wstyd, ale nie chciałam pana oszukiwać. Namysł się więc dobrze, czy możesz być mężem dziewczyny biédnej i zwiedzionej; czy możesz być ojcem i opiekunem tego dziecka, które ci codzien bład mój przypominać będzie, a które ja kocham więcej niż życie. Po jutrze o godzinie

jedynastój czekam pana". To powiedziawszy zamknęła drzwi, i klucz dwa razy obrócony w zamku stuknął przeraźliwie. P. Michałowi zdało się, że leży w trumnie spuszczonej już do grobu i słyszy nad sobą stuk tych grudek ziemi, które najprzód ksiądz, potem krewni, dalej znajomi i nieznajomi zrzucają na wieko.

— Ciekawa byłaby rzecz wiedzieć, dodał po chwili mój towarzysz, co sobie myślał Napoleon, gdy opuściwszy plac boju pod Waterlo, rzucił się do karęty, i leciał pędem strzały przez Francją, która mu się zpod nóg wysunęła i nie była już jego własnością.

— Ale żeś skoczył! rzekłem.

— Nie tak bardzo, jak ci się zdaje, odpowiedział, i mógłbym ci tego dowieść; ale wróćmy do p. Michała. Przygnieciony swoim dziwnym położeniem, usiadł i zakrywając sobie twarz obiema rękami, myślał o czém? o tém samym, o czém myślał Napoleon wracając zpod Waterlo, t. j. o wszystkiém i o niczém. Opowiadał mi potem, że nawet bióro przychodziło mu na myśl, i mnie widział przy stoliku uśmiechającego się do papierów. Jak długo tak siedział, nie pamięta. Nagle usłyszał w drugim pokoju płacz dziecka. Przerażony tym krzykiem, jak gdyby kamienica miała się zwalić na jego głowę, zerwał się, chwycił za kapelusz i uciekł. Biegł tak bez pamięci przez różne ulice. Wszędzie go ścigał ten płacz niewinnego dziecka. Widział tłum ludzi, ale żadnej twarzy rozróżnić nie mógł. Czuł że mu się miesza w głowie, że żadna myśl stać nie chce na miejscu, ale wszystkie razem płacząc się z sobą i harując wkoło, najdziwaczniejsze wyprawiają kozły. Wreszcie po długiej gonitwie, znalazł się sam nie wie jak i kiedy, w Łazienkach. Wycieńczony, bezsilny, z gorejącą głową, rzucił się na

chłodną ziemię i leżał tak do wieczora. Szczęściem żołnierz jakiś przechodził tamtędy, zbliżył się, i poznawszy że człowiek chory, pomógł mu powstać, posadził na ławeczce, a sam pobiegł poszukać doróżki. W godzinę przyjechał poczciwy wiarus, pomógł p. Michałowi wejść do koczycy, podziękował za dwuzłotówkę, którą dostał za fatygę, i wkrótce potem p. Michał był już u siebie i w łóżku. Ciało jego trzęsło się od zimna, a głowa płonęła jak ogień. Przestraszony służący, niewiedząc co robić, przybiegł do mnie. Pojechałem natychmiast i zastałem go w gorączce. Całotygodniowa męczarnia gdy sądził, że już jój nie znajdzie, gwałtowne wstrząśnienia dnia tego, fatyga i przeziębienie, przyprowadziły go do tego stanu. Udałem się do doktora M. którego imię było już wówczas głośne; szczęściem zastałem go w domu i przywiózłem z sobą. Dzielne i umiejętne środki i odpoczynek, przywróciły wkrótce zdrowie p. Michałowi. Już trzeciego dnia gorączka została przerwana, ale nie mógł jeszcze wstać z łóżka. W tydzień dopiero mógł wyjść z domu. Miał więc dosyć czasu do namysłu; jakoż namyślił się i postanowienie jego było niezachwiane. Choć nie znał okoliczności jakie towarzyszyły jój błędowi, wiedział przecież dobrze, że tylko młodość i niedoświadczenie, nie zepsucie, mogło być jego przyczyną. Czuł przytém, że mu bez niej żyć niepodobna, a przynajmniej, że życie takie nie miałoby ani jednego uśmiechu, ani jednego kwiatka. Ten śliczny aniołek, którego płacz tak go niedawno przeraził, teraz do niego wyciągał rączki; on go w myśli tulił do serca, a oczy matki patrzyły nań z niewysłowioną wdzięcznością i miłością. Rozmarzony temi obrazami, ubrał się i pojechał na ulicę Freta. Gdy wszedł na scho-

dy, usłyszał na drugim piętrze niezwykłą jakąś wrzawę. Gniębny głos kobiety, ale takiej, która lubi gospodarować głośno, krzyk ludzi wynoszących meble, stuk młotka uderzał jego uszy. Niepojmując coby to mogło znaczyć tam, gdzie niedawno było tak cicho, pobiegł prędzej. Gruba jakaś imość z pękiem kluczków, wydawała rozkazy; wszystkie drzwi były otwarte, i stołki, stoliki, kanapa, stały na środku jakby przygotowane do wyniesienia.

— Co to znaczy? zapytał p. Michał przełknięty.

— Albo to Jegomość nie masz oczów i nie widzisz co to znaczy, odpowiedziała gruba pani. Wynoszą meble, które musiałam wziąć za to co mi się od nich należało. Dużo mię, mój Jegomość, kosztują te graty, z którymi nie wiem co zrobić. Ale cóż było robić, ludzie biedni, P. Bóg mi to nagrodzi. Ale cóż Jegomość tak na mnie patrzysz? czyto ja nieprawdę mówię, czy co?

— Więc oni już tu nie mieszkają? przenieśli się gdzie indziej? co? rzekł p. Michał, i czując że się pod nim zginają kolana, usiadł na krześle.

— Ij, gdzie zaś przenieśli się, odpowiedziała. Oni zupełnie wyjechali z Warszawy. A widząc że p. Michał okropnie pobladł, zawołała:—A słowo stało się. Co to Jegomości?

— Dokąd wyjechali? zapytał p. Michał cichym głosem.

— A czy ja wiem, mój Jegomość! odpowiedziała ruszając ramionami. P. Michał posiedział, pomyślał, zapłacił pięćset złotych gospodyni, które się jej należały od majora; kazał meble nazad poznosić, i najął to pomieszkowanie na dwa miesiące. A gdy ludzi odprawił, zaprosił gospodynię do pokoju, usiadł i zaczął namyślać się co

powiedzieć. Twarz jego była strasznie blada, usta drżały, ręce się trzęsły. Poprawiał sobie włosy co chwila, podnosił je ręką na czole, które tarł niemiłosiernie, i tak siedział i milczał. Gospodyni patrzyła nań długo, potem uśmiechnęła się pomyślawszy, że zgadła przyczynę jego zmartwienia i rzekła:—Już ja to widzę, oni i Jegomości winni. To źle, ale cóż począć? Martw się Jegomość, nie martw, a pieniądze Jegomości przepadną, bo nikt nie wie dokąd pojechali. Trzy dni temu wieczorem zaszła żydowska bryka, spakowali rzeczy, mnie oddali za dług wszystkie te graty; stary major płakał, a biedna panienska otuliwszy swoje dziecko, blada jak trup, wyszła naprzód i usiadła w bryce. O mój Jegomość! coto za aniół ta nieszczęśliwa dziewczyna, którą niewdzięcznik jakiś żeby go Bóg ciężko skarał, pozbawił losu i zdrowia. Jak ona to dziecię swoje chowała, jak jakie paniątko, a jedną tylko mieli sługę, a trzeba było widzieć mój Jegomość, jakto u nich wszystko było czysto i porządnie.

— Jak się nazywa stary major, zapytał wreszcie p. Michał.

— To Jegomość nie wie jak się nazywa major? a pożyczal im pieniędzy i jeszcze i teraz zapłacił za nich pięćset złotych! Nie mogło się to pomieścić w głowie gospodyni; nareszcie po różnych jój uwagach, dowiedział się p. Michał, że major nazywa się Jakób Groiński. Kto zaś był ten niegodziwy, który nadużył zaufania młodziutkiej panienski, i stał się przyczyną jój nieszczęścia, o tém nie wiedziała gospodyni. O tém podobno i ojciec nie wiedział, choć długo męczył i bił biedną, aby mu odkryła zdrajcę.

Westchnął głęboko p. Michał, zakrył sobie twarz i tak siedział. Gospodyni patrzyła nań długo, kiwała głową

i pomyślała sobie: oto gospodarny człowiek! jak żałuje straconego grosza. Nareszcie p. Michał powstał i odprawił ją. Gdy został sam, zamknął się na klucz, poustawiał wszystko jak było, pochodził, popatrzył, czy nie znajdzie jakiego śladu, jakiego listu, wszędzie było pusto. Po dwóch godzinach wrócił do domu. Na progu oddał mu służący list, przyniesiony przez weterana z Mokotowskich rogatek. Rozpieczętował go i znalazł te słowa: „Wiedziałam o tém, że nie przyjdiesz. Chociaż wierzę w szlachetność twego serca i w twoje przywiązanie do mnie, nie mam ci jednak za złe, żeś mię zostawił memu losowi. Czuję to sama, żeś niewarta ofiary, jakąbyś mi był przyniósł, pokrywając swoim imieniem mój błąd i moje hańbę. Byłaby to niezasłużona nagroda za występki, który wart kary. Uciekam ztąd, gdzie mi wszystko przypomina i chwilę ciężkiego zapomnienia, i bolesny czas mojej pokuty, i godziny słodkiej pociechy, jaką czerpałam w twojej rozmowie, drogi mój przyjacielu! i w tém przekonaniu, że znalazła się jeszcze choć jedna istota, która skłoniła myśl i serce moje ku mnie, bo mnie już więcej nie obaczysz. W nieznanym zakątku kraju zagrzebie krótką resztę dni, które mi Stwórca przeznaczył. Bądź zdrow, mój drogi! całą duszą wdzięczna ci, Marya.”

Gdy służący wszedł do pokoju usłyszawszy jakiś stuk, zastał swego pana na ziemi, bez zmysłów. Podniósł go, zaczął trzeźwić, przyprowadził do przytomności i położył w łóżko, z którego biedny p. Michał przy najusilniejszych staraniach dra. M. ledwie w miesiąc potem powstał. Wszakże wypadek ten uderzył za mocno jego melancholiczny umysł. Gdy zupełnie przyszedł do zdrowia, nie odzyskał już i tej odrobiny wesołości, którą miał da-

wniej. Mnie nie unikał, owszem opowiedział mi całą tę historią, prosił tylko, abym się nie uśmiechał, gdy będzie mówił. Podzielałem jego strapienie, nie uśmiechałem się bo i nie było powodu, i odtąd p. Michał przywiązał się do mnie daleko więcej, bo ze mną tylko mógł o niej mówić; bo choć mi dziesięć razy powtarzał wszystkie szczegóły swojej krótkiej z nią znajomości, ja zawsze słuchałem cierpliwie.

— I nie szukał jój? zapytałem.

— Widno że piszesz dramata, odpowiedział mój towarzysz z wiecznym uśmiechem, i czém prędzej dążysz do końca, jak gdybyś miał przed sobą kilka set głodnych spektatorów, którzy nieczekając rozwiązania, powstaną i wyjdą. W opowiadaniu to co innego. Powieść czyta się zwykle do poduszki, lub po obiedzie, kiedy żołądek pełny i nie można poważniejszą rzeczą zajmować głowy. Wtenczas czytelnik nie śpieszy i owszem gniewa się, gdy wszystko leci do końca piorunem.

— Masz racją, rzekłem, ale wróć, proszę cię, do p. Michała.

— Otoż wracając do p. Michała, powiem ci, że w takim stanie melancholii i smutku przebył całą zimę. Gdy nadeszła wiosna, odzyskał prawie zupełnie zdrowie, ale razem z siłami fizycznymi powróciła miłość z całą gwałtownością i żądzą obaczenia Maryni, choćby raz jeszcze w życiu. Jako urzędnicy Kommissyi Spraw Wewnętrznych, mieliśmy więcej sposobności niż kto inny do robienia poszukiwań. Rozpisałiśmy więc do wszystkich miast i miasteczek, do jednych z prośbą, do innych z poleceniem. Długo nie było żadnej odpowiedzi, lub przychodziły niezaspokajające. Nareszcie, jednego dnia, zdaje mi się na początku czerwca, odebrał p. Michał list od bur-

mistrza miasta Hrubieszowa, w którym mu donosi, że od niejakiemu czasu osiadł w ustronnym domku na przedmieściu major Groiński, z jakąś wdową młodą ale chorą, której nikt jeszcze nie widział. Czy to była jego córka, czy jaka inna, tego z pewnością nie wie, bo nie miał żadnego powodu tak srogo examinować zasłużonego oficera, który żyje zamknięty, nikogo nie zna i nikomu żadnej krzywdy nie robi. Łatwo się domyślisz, że na drugi dzień po odebraniu tego listu p. Michał już był w drodze. Piątego dnia około godziny czwartej po południu, obaczył przed sobą dziedzictwo naszego filozofa, z którego skąpstwa śmiano się, póki żył, a którego miłości ludzi i dobra publicznego nikt nie naśladował. Wjechał na przedmieście i postrzegł na ulicy tłum zebranego ludu. Przed jednym z czystych domów miasteczka, powiewały chorągwie, i zdaleka ulicą zbliżali się tamże księża, z krzyżem, który ich poprzedzał. Wyskoczył p. Michał z bryczki, rozparł tłumnie zbitych ludzi, zbliżył się, i przede drzwiami domku, ujrzał siedzącego na ławeczce dymisyonowanego oficera z siwemi włosami, ale z zakrytą twarzą. Koło niego na lewo był przed oknami maleńki ogródek, otoczony sztachetami i napęczniony mnóstwem kwiatów; okna były otwarte, a przez liście akacyi, przez błękitne pęki dokwitających już bzów, przez bukiety róż zagładające do okien, błyskały świece, które otaczały katafalk. P. Michał przeszedł prędko obok siedzącego przy drzwiach oficera, rozepchnął ściśniętych w sieniach ludzi i stanął przy tém uroczystém łożu, które się raz tylko dla każdego z nas zaściela. Leżała na niém młoda i śliczna kobieta. Biała suknia spadała po bokach katafalka; maleńkie nóżki w delikatnej pończoszce, związane były białą wstążeczką; w czarne jej włosy wpleciony był wianek z białych

róż, a na marmurowej jej twarzy, czerniły się tylko równe brwi i rozlegał się delikatny cień długich jej rzęsów. W ręku miała krzyżyk drewniany, a poduszka jej obrzucona była wokoło kwiatami. Byłato Marynia, równie piękna jak za życia, ale na czole jej nie było myśli; w oczach nie było duszy, w ustach nie było głosu, który tak przenikał p. Michała. Zbliżył się on zwolna, patrzył długo w twarz tak mu dobrze znajomą; ale ani westchnieniem, ani jękiem, ani łzą, ani żadnym ruchem nie okazał, że rozpacz w jego sercu, że życie i szczęście jego wkrótce zamkną do stojącej obok trumny. Bo milczenie jest najwyższym wyrazem równie dla wielkiego szczęścia, jak dla nieskończonej bolesti. W śmierci najwidoczniej objawia się nam Bóg i jego wszechmocna potęga. Głupi tylko nie umie ukorzyć się przed majestatem katafalku, i krzykiem i łzami chce podnieść tę głowę, którą ręka Stwórcy przycisnęła na wieki do śmiertelnej poduszki.

Gdy to mówił mój kolega, p. Michał przeszedł przed nami ulicą, stanął przed ławeczką, patrzył tam długo, i poszedł dalej. Nie mogłem się wstrzymać od mimowolnego rozrzewnienia; łza zakręciła się w moich oczach, postrzegł to mój towarzysz, uśmiechnął się i tak dalej mówił:—Gdy p. Michał odprowadził Marynię na cmentarz i rzucił grudkę ziemi na jej trumnę, wtenczas dopiero rozmierzył całą głębię swego żalu, który miał być równie nieskończonym, jak nieszczęście jego było wielkie i bez miary. Nie miał już co robić w Hrubieszowie; napisawszy więc kilka słów do majora, wsiadł do powozu i pojechał nazad. List jego był takiej treści: „Majorze! kochałem córkę twoję nad życie. Nie mogłem osłodzić jej niedoli i zatrzymać ją dłużej na ziemi. Jeżeli ty ma-

gorze, lub jój dziecko, czegokolwiek potrzebować będziecie, oto mój adres. Wszystko co mam, jest na wasze usługi."

• We trzy lata potem, powracał p. Michał z Hrubieszowa, dokąd co roku jeździ, i stanął na popas w Krasnymstawie. Poszedł do traktyerni chcąc się czemkolwiek posilić, i usiadł sobie spokojnie przy ustronnym stoliku. Na środku pokoju stał stół okrągły i przy nim siedziało siedmiu czy ośmiu oficerów od ułanów. Już widać byli po obiedzie, bo butelka krążyła prędko, i rozmowa stawała się coraz głośniejszą i coraz brudniejszą. Przechwalali się młodzi żołnierze swemi dziełami na polu miłości, i każdy z nich zaczynający opowiadanie, starał się przesadzić swego poprzednika. Nie szczędzili nawet nazwisk tych pań i panien, które zawierzyły ich zepsutemu sercu. P. Michał miał jeszcze w myśli cmentarz, na którym cały wczorajszy dzień przesiedział w dumaniu; marmurowy pomnik, który postawił Maryni i prosty napis: „Módlcie się za jój duszę” który kazał wyryć, stał jeszcze żywo przed jego oczami. Nie mógł więc słuchać bez obrzydzenia tych rozmów, i nieskończywszy obiadu, chciał wyjść, gdy zaczęte opowiadanie jednego z oficerów, zatrzymało go na miejscu.

— Wszystkie wasze kontesy i kaśki, rzekł ów oficer, sąto wory sieczki w porównaniu z moją Marynią, która mi kilka lat temu siedmnastoletnie skarby swoje otworzyła.

— Zapewne jaka płaksiwa blondynka z czerwonymi pyszczkami? rzekł inny.

— Mylisz się, rotmistrzu! odpowiedział pierwszy. Najśliczniejsza brunetka, jakiej już potem nigdy nie widziałem.

— Kiedyż to było? zapytał rotmistrz. Założę się, że się chwali.

— W r. 1822, odpowiedział, w Warszawie, na Podwalu, w bawialnym pokoju mojej ciotki!.... tu dodał więcej szczegółów, których ci nie powtórzę i które p. Michał wymawiał zgrzytając zębami.

— Wielki mi tryumf, rzekł inny; zapewne garderobianka twojej ciotki.

— Pleciesz! odpowiedział pierwszy, któż rachuje i pamięta grzeczności garderobianek? To była panienka edukowana, śliczna, z gorącym sercem; ale jedną nieznośną miała wadę.

— Co? ciężki oddech? rzekł rotmistrz śmiejąc się głośno. Na te słowa p. Michał uderzył nożem o taléř tak, że się rozbryznął na drobne kawałki. Spojrzeli nań wszyscy, a narrator tak dalej mówił:— Przeszkodził nam ten niezgrabny pan, który tłucze talérze. Otoż powiadam wam, że miała jedną, nieznośną wadę, to jest, że mię kochała i chciała koniecznie, żebym się z nią ożenił.

— Czegoś naturalnie nie zrobił, rzekł jeden z oficerów podkrecając siwe wąsy.

— Nie głupim, odpowiedział pierwszy. Żona to tłómk za ciężki.

— Gdzież ona teraz? zapytał rotmistrz.

— O! czy ja wiem? a mnie co do tego. Sześć lat temu, bójcie się Boga!

— I nie żal ci jój?

— Żal mi, zem tylko jeden wieczór rozkoszny z nią przepędził. Poznałem ją u mojej ciotki, gdzie przez niejaki czas bawiła. Była śliczna i pełna życia. Przez trzy miesiące udawałem miłość, a ona zakochała się do prawdy. Razu jednego moja ciotka pojechała na teatr,

a ona została w domu dla bólu głowy. Stałem we drzwiach krzesel, a obaczywszy że moja ciocia w loży sama jedna, cofnąłem się żeby mię nie dojrzała i pędem strzały na Podwale. Zastałem Marynię w bawialnym pokoju. Byliśmy sami, głowa jęj płonęła... i... ale dajcież mi pokój, jeszcze się wstydzę, że to był wieczór jeden i jedyny.

— Któż temu winien? zapytał inny.

— Ja, i nie ja, odpowiedział piérwszy. Na drugi dzień Marynia już powróciła do ojca. Żadne próby mojęj ciotki zatrzymać jęj nie mogły. A ja odebrałem zgadnijcie co? ale nie zgadnicie. Oto odebrałem bilecik, prawie w tych słowach: „Karolu! zgubiłeś mię. Mój ojciec pozwoli, przychodź, nie opuszczaj nieszczęśliwęj.” Parsknąłem ze śmiechu i pojechałem konno na Nowy-Świat. We trzy miesiące odebrałem drugi bilecik takiej podobno treści: „Karolu! jestem matką, mój ojciec wie o wszystkiém, męczy mię i katuje abym mu odkryła sprawcę mojego nieszczęścia; milczę i milczć będę. Opuściszże mię Karolu! Przychodź, on ci przebaczy i ja ci przebaczę”. Pewny byłem że kłamię, że to była łapka, nic więcj; przytém pani R* czekała mię w ogrodzie Saskim, nie miałem więc czasu długo nad tём medytować.

— A potémże co? zapytał rotmistrz.

— A potém? odpowiedział młody człowiek wstając i opierając się na poręczy krzesła, pani R* była śliczna, grzeczniejsza niż mogłem się nawet spodzićwać; jęj mąż większy daleko mazgaj, niżelim sobie wyobrazał, i naturalnie o mojęj brunetce zapomniałem.

— Któż był jęj ojciec? mnie się wszystko zdaje, że to jakaś gryzетка.

— Mówiłem ci, rotmistrzu, że nie. Jój ojciec było dymisyonowany major, nazywał się.... Na te słowa p. Michał zerwał się ze swego miejsca i krzyknął piorunującym głosem: „Nie wymawiaj pan jego nazwiska; za nadto brudne twoje usta”.

— Co to jest? zawołał oficer, czy mi pan tego wzbrosisz? Było major Groiński. Ledwie wymówił te słowa, gdy p. Michał podniósł rękę i uderzył go w twarz z całej mocy. Potoczył się oficer daleko, wszyscy porwali się do szabel, ale widząc że p. Michał stoi nieporuszony, wstrzymali się. Wówczas zwodziciel biednej Maryni przyskakując do niego zapytał: „Kto pan jesteś”? P. Michał powiedział mu swoje nazwisko i swój urząd.

— Dobrze, rzekł dalej trzęsąc się od gniewu. Możesz mi więc dać satysfakcją; rozumié się że pistolety.

— Pistolety! pistolety! krzyknęli wszyscy.

— Zgoda, rzekł p. Michał, ale usiądźcie panowie. W jego głosie było coś nakazującego. Twarz poważna i blada, wyraz pełen szlachetności, dowód odwagi i siły który dał dopiero, wszystko to skłoniło oficerów, że go usłuchali i usiedli. Wtenczas p. Michał opowiedział im historią Maryni i swoje. Mówił z przeniknieniem, z boleścią pełną prawdy i wymowy; odmalował ją jako ofiarę rozpusty, czystą i niewinną, opisywał jako córkę, jako matkę pełną poświęcenia i miłości. Zacytował jój ostatni list do siebie i nareszcie dał obraz tego widoku, na który natrafił w Hrubieszowie, gdzie spodziewał się znaleźć jój pociechę i sam znaleźć szczęście. Gdy skończył, wszyscy byli wzruszeni, a zwodziciel siedział zdaleka w kącie z zakrytą twarzą. Spojrzał po nich p. Michał i dodał: „Słyszeliście panowie! jakkolwiek jesteście zdemoralizowani i zepsuci, nie sądzę jednak, abyście byli

pozbawieni wszelkiej szlachetności. Powiedźcież, który z was zechce być sekundantem tego zbrodniarza ?”

Spojrzeni po sobie oficerowie, ruszyli ramionami i żaden się nie odezwał.

— Jakto? zawołał powstając p. Karól, więc nie mam tu między wami żadnego kolegi? żadnego przyjaciela?

Wszyscy milczeli, i ten i ów brał za kaszkiet żeby się wynieść.

— Dobrze więc, nie chcecie aby był pojedynek, krzyknął z rozpaczą opuszczony od wszystkich, to będzie proste zabójstwo, bez świadka; bo rzecz ta na słowach skończyć się nie może: Pan to sam czujesz.

— Ztąd niedaleko cmentarz Hrubieszowski; wole więc tu umierać niż gdzieindziej, odpowiedział zimno p. Michał. Ale żebyś pan miał dowód, dodał, że się lituje nad twojém położeniem, chociaż tego nie wart, przyjmuję pojedynek, i tych panów wszystkich proszę: aby byli naszymi świadkami, wszakże bez żadnego zobowiązania, jakie przyjmują na siebie sekundanci. O pół mili na drodze Lublińskiej będę panów czekał. Panowie wyjedziecie tam na spacer. To powiedziawszy p. Michał wyszedł, kazał zaprzęgać, i o pół mili zatrzymał się i czekał. W pół godziny rozległ się po polu tentent kilku galopujących koni, i cała kompania oficerów przybyła. Zwrócili na lewo do niedalekiego lasu, gdzie poszedł dróżyną i powóz p. Michała. Siedząc w nim nasz bohater, pierwszy raz od lat kilku uśmiechnął się na obraz śmierci, która go miała połączyć z Marynią. Gdy przybyli na miejsce, dwaj przeciwnicy z bronią w ręku stanęli naprzeciw siebie o kilka kroków. Nigdy zapewne nieboszczyk Albert Mir nie siadał z tak zimną krwią do tłumaczenia Andromaki, i nie stawał obojętniej do poje-

dynku. Oficerowie niezsiadając z koni, uszykowali się z boku. Wtenczas p. Michał odezwał się: „Nie pojedynkowałem się nigdy, ale strzelam lepiej od pana. Gdybym pierwszy strzelał, jak mam prawo, nie byłoby pojedynku, bobyś pan pewno nie żył. Strzelaj więc.” „Czy mam strzelać?” zapytał oficer kolegów. Wszyscy milczeli. „Strzelaj pan, krzyknął p. Michał, bo cię drugi raz uderzę.” Na te słowa oficer zatrząsł się, wymierzył i strzelił. Z głowy p. Michała zleciał kapelusz. Oficerowie siedzieli na koniach w milczeniu jak posągi. „Niechże ci teraz Bóg i cień jój przebaczy, bo ja nie mogę,” rzekł p. Michał; wymierzył, ogień błysnął na panewce, huk się rozległ i oficer upadł na ziemię. Zeskoczyli z koni koledzy, obstąpili go, ale już nie żył, ani jęknął, ani odetchnął, kula przeszła przez serce. Skłonił się p. Michał swoim świadkom, wsiadł do bryczki i pojechał.

Tu się zaczyna prozaiczna część jego historyi. Pod samym Lublinem dopędził go oficer od żandarmów z dwoma żołnierzami. Osadzono go w Lublinie pod strażą, po dwóch miesiącach przewieziony został do Warszawy i oddany pod sąd kryminalny. Dowiedziawszy się o losie p. Michała, dostałem się do jego więzienia. Nigdy go nie widział spokojniejszym. Gdy przyszła kolej jego sprawy, zamiast obrony, napisał całą historyą swoją i Maryni. Sędziowie czytali ją z zajęciem; żal im się zrobiło p. Michała; a pomniąc, że *summum jus, summa injuria*, korzystali z tak oryginalnego sposobu bronięcia się i naznaczyli kommissyą lekarską. Pobiegłem do doktora M. uprosiłem go; on uprosił kolegów i wszyscy poświadczyli, że p. Michał ma pomieszane zmysły. Odesłano go do Bonifratrów, gdzie mieszkał dwa lata. W r. 1829 wyszedł z domu waryatów, ale nigdy odtąd nie widziałem go in-

nym, jak jest dziś. Zawsze zamyślony, ponury, milczący, a nawet mnie unika. Co roku tylko jeździ do Hrubieszowa, a co wtorku i piątku chodzi, jak dziś po téj ulicy i siedzi na téj ławeczce. Przyjdź tu kiedy przez ciekawość tego dnia, bądź pewny, że znajdziesz p. Michała. Ale chodźmy, dosyć już téj gawędy.

Szliśmy zwolna, a przed nami szedł p. Michał. Wkrótce zbliżyła się ku niemu jakaś młoda kobieta, piękna i pięknie ubrana, oparta na ramieniu młodego i przystojnego mężczyzny. Gdy już była niedaleko, puściła ramię swego towarzysza, podbiegła ku p. Michałowi i zaczęła go całować w rękę. Pocałował ją w czoło p. Michał i wszystko troje poszli razem.

— Któż ta pani zapytałem.

— Nie zgadniesz? rzekł uśmiechając się mój towarzysz.

— Bynajmniej, odpowiedziałem.

— Mało masz domyślności choć piszesz dramata. To córka Maryni, dodał, którą po śmierci majora, p. Michał wziął, wychował najstaranniej, wyposażył i wydał za mąż.

— Biedny p. Michał, rzekłem. Pójdźmy prędkiej, chciałbym jeszcze jego twarz obaczyć. Poszliśmy, dopędziliśmy go. Spojrzał na nas i odwrócił się; ale w myśli mojej zostały szlachetne rysy człowieka, którego życie pełne wzruszeń bolesnych i głębokich, więcej daleko warte, niż puste dni tych, którym się wszystko udało, którzy sobie codzień mówią: jacy my szczęśliwi, i jak głupi.

O UŻYCIU GŁOSKI *ǰ* W PISOWNI POLSKIEJ,

w przypadkach dotąd wątpliwych.

Słusznie mówi J. N. Kamiński: „Tylko w języku narodowym, może kwitnąć nauka i umiejętność dla narodu, ale wszelką umiejętność winien poprzedzać *język umięjętny*, jako *środek* i *klucz* umiejętności” (a). W troskliwości zatém o udoskonalenie języka, nie godzi się pomi-jać żadnego szczegółu, żadnego drobiazgu, jakkolwiekby się błałym wydawał, bez krytycznego wyjaśnienia i rozbi-
bioru.

Pisownia, jako zewnętrzny kształt językowy, jest bez wątpienia nader ważną w uprawie jego częścią; dla naszego zaś pokolenia, które już zna ogromną potęgę druku, które z tego wynalazku już nie piérwszy podziw wielkości, lecz rozliczne i płodne zbiera owoce; okazanie się i przyjęcie w pisowni, nowego wyobraziciela myśli, to jest nowój głoski, powinno być równie znakomitém, jak odkrycie nowego mechanicznego działacza dla przemysłu; bo to nie jest wprowadzenie znaku hieroglificznego do pisma Chińczyków, co, do jednego wyrazu przywiązany, traci moc poza obrębem znaczenia tego wyrazu; jestto raczej owe szczęśliwie pomyslane narzędzie, co do rozli-

(a) *Maliczanie*, tom I, str. 107.

cznych machin stosowane, sprawia nieskończone w rozmaitości ruchy i wydaje coraz nowe wyroby. Takiego to narodzenia się głoski w języku naszym pisanym, byliśmy oniemal świadkami: gdy zaś już powszechne przyjęcie téj litery, która niewłaściwie *jota*, a stosowniej *je* zowie się, uświęciło jój prawe obywatelstwo, nie dozwólmy, ażeby jój wstęp w dziedzinę krajową pewnym krokiem rozpoczęty, pozostał w niektórych przypadkach chromym lub utrudnionym.

Pierwszy, jak wiadomo, Feliński, przedstawił naukowo potrzebę wprowadzenia stałego znaku, do pisma, tam gdzie niewytłómaczonym zwyczajem, brzmienie spółgłoskowe *je*, znakami samogłosek *i*, *y*, zastępować usiłowano. Lecz dopiero Deputacya uczonych w r. 1830, położywszy pewne w téj mierze prawidła, podała w *wrozprawach* swoich o pisowni, zasady dotąd za powagę uchodzące. I zaiste, czyliż można powagi téj im odmówić, czyliż wątpić się godzi o głębokich powodach wyroku owego Areopagu naukowego, gdy się zważy jak liczne, jak znakomite przysługi dla mowy krajowej, przyniosła ta sumienna i bezstronna praca? Lecz im większą przyznać winniśmy jój ważność, im z większym uszanowaniem oddajemy hołd szczęśliwym usiłowaniom, w rozwikłaniu przez tę Deputacyą licznych niepewności lub trudności językowych, z tym większą starajmy się skwapliwością, uzupełniać pracę jój tam, gdzieby widoczne pozostały wątpliwości.

Że zaś w użyciu głoski *j* napotykają się dotąd wątpliwości, dowodem jest niejednostajność w téj mierze pisowni, w wielu dziełach objawiająca się: zdaniem zaś mojem, wątpliwości te byłyby odrazu przecięte, gdyby Deputacya z r. 1830 była chciała położone przez siebie zasadnicze prawidło, że *głoska j jest zawsze spółgłoską*,

a nigdy samogłoską, do ostatnich następstw rozwinąć. Okazane przez nią wahanie się w zastosowaniu głoski *j* do wielu wyrazów posiadających jój spółgłoskowe brzmienie, w połączeniu z brzmieniem samogłoskowym, naprowadziło mniej baczących na mniemanie, jakoby w głosce *j*, natura samogłoskowa pomimowolnie ukrywała się; wszakże tak nie jest; bo i owszem, głoska *j*, w przypadkach spółgłoskowego jój odzywiania się, wszędzie używaną być może i winna.

Jeżeli bowiem nie ulega zaprzeczeniu, że spółgłoski odznaczają się tém, iż, aby wydały głos pełny, muszą na samogłosce się oprzeć, lub na nią spłynąć, to przyznać należy że *j* w zupełności tę cechę posiada, tworząc zgłoski *ja, ja, je, ji, jo, ju, aj, ej, ij, oj, uj, yj*. Wszakżeż w tych zgłoskach jest jedna, to jest *ji*, która stała się powodem wszystkich zamieszania i niezgód. Ażeby jój naturę dobrze pojąć, zwrócić należy bacność na tę ważną uwagę, że między samogłoskami a niektórymi ze spółgłosek tak ściśle istnieje powinowactwo, że w różnych zmianach mowy, wzajemnie na siebie spływają, mieszając się nierozdzielnie w brzmieniu: z kąd wynika, że odgłos spółgłoskowy, potrzebujący koniecznie samogłoskowej pomocy, gdy w niej znajduje wielką jednotonności siłę, niknie prawie w zupełności, i dlatego w wymawianiu w części, a w piśmie całkiem opuszcza się. Przykłady takiego powinowactwa są następujące:

1) Samogłoska *a* ze spółgłoską *h*, np. rzecz *blaha*, wymawia się prawie jak *blaa*; wyspa *Bahama*, jak *Baama*; *Sapieha*, jak *Sapiea*; *halas*, *haracz*, prawie jak *atas aracz*; wyrazy *arfa*, *armata*; już się ani piszą ani wymawiają jak dawniej *harfa*, *harmata*; a chociaż zdarza się, że *h* i przed inszemi samogłoskami, czasem bardzo

w wymowie słabnie; nigdy jednak to jój zlanie nie jest tak widoczne jak z samogłoską *a*, co się wytłómaczyć daje naturą brzmienia *h*, które dla wewnętrznego tchnienia gardłowego, potrzebuje ujścia w otwartym głosie *a*.

2) Samogłoski *e*, *o*, w języku Polskim bardzo wydatne okazują powinowactwo ze spółgłoskami *m*, *n*, tworząc samogłoski nosowe *ę*, *ą* (b). Połączenie to dwóch brzmień samogłoskowych ze spółgłoskowemi, w naszych nosowych *ę*, *ą*, dokładnie okazał p. Ludwik Koncewicz w świeżo wydaném dziełku: *Prawidła Pisowni Polskiej*; a już i dawniej to było przedstawione w pracach Deputacyi ortograficznój.

3) Co do samogłoski *u*, możnaby upatrzeć podobne powinowactwo ze spółgłoską *w*; jak o tém nietylko przekonywają niektóre wyrazy cudzoziemskiego pochodzenia, jakoto: *August*, *Europa*, które dawniej pisano przez łacińskie *Avrust*, *Evropa*, jak i dotąd w Ruskim języku piszą i wymawiają się; ale nadto uwaga, że bardzo mocne wymówienie samogłoski *u*, z nader słabém brzmieniem spółgłoski *w*, miesza się i w jedno zléwa. Wyraził to już dobrze Mroziński mówiąc: „*U* jest grubą samogłoską, oddaną pewném położeniem warg, które łatwo posłużyć może do wyrobienia spółgłoski *w*” (c). Jakoż w wyrazach: *pozdrów wuja mego*; głoska *w* w wyrazie *wuja*, daleko brzmi słabiej jak w wyrazach: *wybaw naszą matkę*.

(b) Samogłoska *ą*, powinna się właściwie pisać przez głoskę *o* z ogónkiem, tym bardziej, że samogłoska nosowa *ą*, *an*, w wielu wyrazach cudzoziemskiego pochodzenia objawia się, jakoto: *romans*, *kwadrans*, *bilans* i t. p., wykazując nowe powinowactwo samogłoski *a* ze spółgłoską *n*, i mogłaby przybyć do Polskiego abecadła, w postaci dotychczasowego *ą*, co jednak osobnego wywodu i rozbioru potrzebowałoby.

(c) *Pierwsze Zasady Grammatyki*, str. 82.

Podobnież w zakończeniach rzeczowników męzkich, w drugim przypadku liczby mnogiej na *ów*, gdzie samogłoska *u* brzmi przed spółgłoską *w*, ta ostatnia często w wymawianiu widocznie słabnie, a czasem zupełnie niknie, jak: *oczu*, *uszu*, zamiast *oczów*, *uszków*. W wyrazach pochodnych, *w* często na *u* przechodzi, np. *psować*, *zepsowany*, *psuć*, *zepsuty*. Wreszcie, w trzecim przypadku rzeczowników męzkich liczby pojedynczej, podobnież *w*, na *u* się zmienia np. ku *końcowi*, ku *końcu*.

Lecz w ogólności zważyć potrzeba, że w tym zléwku samogłosek z bratniami spółgłoskami, tak rozliczne od-cienia brzmień dla delikatnego ucha przytrafiają się, że często trudno położyć granicę między jednym a drugim odgłosem; i ztąd to pochodzi, że przywrócenie w piśmie ukrytej w brzmieniu spółgłoski, zależy od mocniejszej lub słabszej wymowy; i dlatego także zdarza się, że w jednychże wyrazach, niejednakowo przez wszystkich domyślne spółgłoski zamieszczają się; nie można tego za bezwzględny błąd pisowni uważać, bo jój tylko przeznaczeniem i obowiązkiem jest zupełne oddanie wymówionego brzmienia. Jakoż jedni piszą *Abraham*, drudzy *Abraam*; jedni *chomąty*, drudzy *chomonty*; jedni *cmętarz*, drudzy *cmentarz*; pisać można *uszu* lub *uszków*, *oczu* lub *oczów*.

Otoż tedy, te wszystkie względy najwidoczniej i najliczniej okazują się w mowie Polskiej; uważając związek spółgłoski *j* z samogłoską *i*, są niektóre brzmienia wyraźnie okazujące przytomność téj spółgłoski, w innych i to najliczniejszych, brzmienie spółgłoskowe tak się jednoczy z samogłoskowém, iż prawie zupełnie w to ostatnie spływa. Uważmy przykłady następujące: Ostra zima rzeki mrozem *zjima*. I. Osiński ten sam przykład po-

dając (d), przyznaje, że niepodobna byłoby pisać: ostra *zima*, rzeki mrozem *zima*, i przywodząc, że niektórzy piszą *z'ima*, radzi sam pisać *z-ima*. Nie wiem, jakim sposobem nie dosłyszał tu brzmienia *j*, kiedy nawet przypomina pochodzenie słowa *zjima* od *zejmować*, co samo pochodzi od *jąć*. *Zjisczenie*, nie można pisać *zisczenie*; bo się nie wymawia jak wyrazy *łazi szczenie*, lecz raczej jak wyrazy z *Azji szczenie* (*). Dlatego także nie *ziścić* lecz *zjiścić*. Nadto, wiele jest brzmień w języku Polskim, w których *é* króskowane wymawiające się prawie jak *i*, następuje po *j*; na przykład: *ja jęza widziałem* (*jiża* a nie *iza*). *On ję jaje* (*on ji ja-je*), nie zaś *on i jaje*. *Król Jęrzy* (*król Jirzy* a nie *Irzy*). *Idźcie prędko, jędźcie obiad* (*jidźcie obiad*, nie zaś *idźcie obiad*). *On jęj nie zna* (czyta się *jęj* a nie *ij*). Trudno zaprzeczyć iż w tych przypadkach, spółgłoska *j* wyraźnie przed brzmieniem *b* odzywa się, dlatego nie należy się dziwić, iż w innych razach, brzmienie *jęj* słabnąc, coraz znakomiciej a czasem zupełnie w samogłoskę *i* zléwa się, jakoto:

Żmija-żmiji, lub *żmii*, *mój*, *moji* albo *moi*; *stoję*, *stojisz* lub *stoisz*, i t. p. Tutaj dokładniejsza wymowa, wyprowadza na jaw brzmienie spółgłoskowe *j*; więcej potoczysta, na *i* przemienia.

Jeżeli więc okazuje się, że dla wielkiego powinowactwa najmniejszej ze spółgłosek z równie miękką samogłoską, zjednoczenie ich często następuje; to jednak nie może być dowodem, jakoby spółgłoska *j* kiedykolwiek samogłoską stawała się, bo i owszem, we wszystkich tych

(d) Rozprawy i wnioski o ortografii Polskiej, str. 152.

(*) Autor niniejszego artykułu, jest jednym ze stronników tej pisowni *Azja*, *Biblja* i t. d. którą więc w przykładach jego zachowujemy.

przypadkach, głoska *j* jest domyślną przed *i*, chociażby się nie pisała; przywrócenie *j*ej zatem wedle natury wyrazów pierwotnych, w zupełności usprawiedliwiłoby się dało. Dlatego też nie można się zgodzić bezwarunkowo na zdanie w *t*ej mierze Deputacyi z r. 1830, i nie należy poczytywać za błędy pisowni sposobu pisania *nadzieji, swoich, twojich, twojimi* (w rodzaju męzkim); jak z drugiej strony opuszczenie głoski *j* dozwolone być może, dopóki wykształcona delikatność wymowy, tego dodatku nie robi koniecznym; a wszakże przyznać należy, że czysto rozumowe i logiczne powody, za postanowieniem *j* we wszystkich tych przypadkach, przemawiałyby. Już i Osiński w *t*ej mierze powiedział: „że język w rozwijaniu form swoich porządny, inaczej postępować nie może(e)”. Nie mamy potrzeby przytaczania dalszych dowodów na poparcie *t*ej niewzruszonej zasady, że *j* jest zawsze spółgłoską, a nigdy za samogłoskę uważać się nie da, bo brzmienie samogłoskowe które wielu złudziło, jest zawsze czystym dźwiękiem samogłoski *i*, poprzedzonym lekkim brzmieniem domyślnej lub wyraźnej w piśmie głoski *j*.

Lecz raz przyjąwszy *t*ę zasadę, musimy przyjąć wszystkie *j*ej następstwa, które nas doprowadzą do rozwiązania wątpliwości, w przedmiocie dotąd najbardziej spornym, to jest używania *j* w wyrazach cudzoziemskiego pochodzenia. Wyrazów tych jest wielkie mnóstwo i coraz ich nowych do języka przybywa; najczęstsze zakończenie *ja* objawia się, poprzedzone którąkolwiek ze spółgłosek abecadlowych, i dotąd podług prawidła przez Deputacyą z r. 1830 położonego, raz pisze się przez *ia*,

(e) Rozprawy i wnioski o ortografii Polskiej, str. 152.

drugi raz przez *ya*. Dla bliższego rozpoznania tego przedmiotu, należy dwie przedwstępne uczynić uwagi.

Najprzód. Właściwością jest pisowni Polskiej, że brzmienia składające zgłoski, w jakimkolwiek miejscu wyrazu stoją, zawsze jednakowo się piszą, bez względu, czy są umieszczone na początku, w środku lub na końcu wyrazu, np. „piękny, zapięty, złapię, wszelako, powszedni, zawsze, bliskość, przybliżyć, szabli; bez względu na to, czy głoski należą do jednej czy do dwóch zgłosek, np. po-dmuchać, od-murować, wcielić, mów-cie; wie-trzyć, powietrzny; bez względu na koniec czy zgłoska należy do jednego wyrazu, lub na dwa wyrazy jest rozdzielona: np. straszliwy, bystra szlichtada; strzel-ba, mistrz Elbląski, wiatr ogromny, o pawia troskliwa”. Wszystkie te brzmienia, chociaż różnie podzielone, jednakowo się wymawiają i tak samo się piszą; w szczególności zaś tę uwagę stosując do *j*, okazuje się, iż umieszczenie jej w którymkolwiek miejscu zgłoski lub wyrazu, nie wpływa na brzmienie, jakoto: *jaja, zjawiska, raj*; i t. p. (f).

Powtórę. Zastanowić się wypada nad naturą wyrazów cudzoziemskiego pochodzenia; są z nich jedne, dawnym

(f) Ta uwaga popiera zdanie oddawna uświęcone, którego p. Koncewicz w cytowanym wyżej dziełku, pomimo usiłowania wcale nie zbit: że w Polskim języku *tak się pisze jak się czyta*, i na odwrót *tak się czyta jak się pisze*: bo główna broń przeciw tej zasadzie użyta, polega na okazaniu, że spółgłoski słabe zamieniają się na mocne przed spółgłoskami mocnymi; pominął wszakże autor wzgląd na tę uwagę, że spółgłoska słaba przed mocną nie może się wymówić jak tylko przez jej wzmocnienie, co już i Mroziński wyraźnie wskazał (*Pierwsze zasady grammatyki języka Polskiego. str. 10*). Spostrzeżenie to zatem, nie służy na zbitie lecz na poparcie zdania, że tak się czyta jak się pisze; i tak w wyrazach *babka, dziadka, b, d*, w właściwym sobie brzmieniu nie mogą być wymówione przed *k*; lecz z natury swój muszą być wymówione jak *p, t*; a zatem pisownia jest zgodna z brzmieniem; podobnie, jeżeli

używaniem już tak spolszczone, że nie zachodzi żadna wątpliwość w ich pisowni odmiennéj od zagranicznéj; np. *teatr*, nikt nie napisze *theatr*, chociaż w Łacińskiem *theatrum*; pisze się *metr*, choć we Francuzkiem *maitre*; *szlifa*, choć w Niemieckiem *schleife* i t. p. Inne, mianowicie tam, gdzie zachodziła wątpliwość użycia głoski *j*, pozostawiono z pisownią cudzoziemską np. *familia*, *akademia* (wszakże nie *academia*) i t. p. i twierdzono, że pisownia taka jest dobra, jako zastosowana do cudzoziemskiéj. Lecz jeżeli wyrazy *teatr*, *metr*, zachowawszy tylko pochodzenie cudzoziemskie, we wszystkich warunkach pisowni, stały się Polskimi; dlaczegóż wyrazom *familja*, *akademja*, ta naturalizacya ma być odmówiona? bo jak wyrazy *w teatrze*, *z metrem*, przybiérają zakończenia niemające nic wspólnego z cudzoziemszczyzną; tak podobnież wyrazy *z familją*, *w akademjach*, nie mogą usprawiedliwić zakończeń swoich łacińską pisownią. Ztąd wniosek, że wyrazy cudzoziemskiego pochodzenia, skoro raz naturę języka Polskiego przyjmują, już zupełnie z prawideł cudzoziemskich wychodzą, a Polskiej wymowie i pisowni ulegać muszą. Zdanie to popiéra jeszcze uwaga, że znajduje się wiele wyrazów cudzoziemskich, uży-

końcowe *w słabe*, nie może być wymówione tylko jak *f mocne*: np. *lew*, to także pisownia nie jest przeciwną wymowie; a nieomylna skazówka właściwego użycia głoski, wykrywa się w odmianach i wyrazach pochodnych (*babeczka*, *dziadek*, *lwica*). Gdyby w Polskim, tak jak we Francuzkim, Niemieckim, Angielskim, i t. d. języku też same spółgłoski, różne, zupełnie nienależące do właściwego sobie brzmienia, wyobrażały dźwięki; gdyby jedne samogłoski, wymawiały się głosem zupełnie innych samogłosek; gdyby liczne spółgłoski i samogłoski w piśmie kładzione, wcale w wymowie nie odzywały się; wtedy możnaby utrzymywać, że się inaczej czyta jak się pisze. Lecz ponieważ tak nie jest, pozostaje więc wyznawcą i obrońcą zdania: że w Polskim języku pisownia, wymowę mieć powinna za przewodniczkę.

wanych w mowie pospolitéj a czasem nawet pisanéj, które wcale pisownią Polską wyrazić się nie dadzą, bo mają brzmienia zagraniczne, mowie Polskiej obce; np. *portefeuille, Corneille*; wyrazy więc takie jak się wymawiają nie po Polsku lecz po Francuzku, tak téż i pisane być powinny między cudzysłowem, lub odmienném pismem, dla wskazania, że nie są swojskie; i dlatego chcąc je przepolszczyć, musimy je kaléczyć; lecz w tym stanie (zapewnie mniej właściwym) poddajemy je ogólnym prawom naszego języka; tak zniewoleni jesteśmy pisać: *w portefelu, z Kornelem* (g).

Te dwie zasady mając na baczności: że wymawianie powinno być skazówką pisowni, i że w wyrazach cudzoziemskiego pochodzenia, pisownia cudzoziemska na żaden wzgląd nie zasługuje; łatwo już nam będzie wyprowadzić prawidłó używania *j*, w tych ostatnich wyrazach.

Lecz w téj mierze porozumiéć się najgłówniej potrzeba co do wymawiania:

Że wymawianie jednych wyrazów, nie jest u wszystkich jednakowém, jest rzeczą niewątpliwą; lecz w téj mierze rozróżnić należy: 1^o sposoby wymawiania przywiązane do pewnej miejscowości, czyli tak zwane *provincjonalizmy*; 2^o wymawianie niezupełnie ustalone; 3^o wymawianie dwojakié, lecz zawsze równie dobre; 4^o wymawianie zupełnie błędne.

(g) W ogólności unikać należy takich gwałtownych przeobrażeń, bo można wpaść łatwo w śmieszność i niezrozumiałość, jak nam tego drukowane niektóre nawet pisma dowód przedstawiają. Daleko podobno byłoby stosowniej i logiczniej, wyrazy cudzoziemskie trudne do oddania Polską pisownią, zostawiać z właściwą im ortografią, i albo zupełnie unikać ich przypadkowania, albo w razie koniecznej tego potrzeby, zakończenia zmienne pisać oddzielnie po znaku przecinkowym, w górze zamieszczonym. Pisownią taką już wiele osób wprowadza; a dla stanowczego jej przyjęcia, przedmiot ten wywołuje potrzebę osobnego rozbióru.

Prowincjonalizmów nie godzi się w zupełności potępiać, bo jak J. N. Kamiński (w przywiedzioném wyżej miejscu) powiada, wszystko ma swoją przyczynę, przeto i zwyczaj narodowy swoją mieć musi; lecz prowincjonalizmy polegając u nas, najczęściej na szczególnych zwrotach mowy, lub tylko na większém albo mniejszém przeciąganiu albo ścieśnianiu samogłosek, niełatwo odbijają się w samej pisowni, która przeto na ten szczegół może być obojętną. Nie tak się rzecz ma co do wymowy niezupełnie ustalonej lub kilkorakićj. W piérwszym przypadku, zwykle do wyrazów cudzoziemskiego pochodzenia stosującym się, różna wymowa, wymagając różnej pisowni, sprawia, że pisownia wstrzymywać się musi ze swoim ustaleniem, aż do czasu przeważania jednego sposobu wymawiania nad drugi. Bo pamiętajmy na to niezawodne prawidło, już przez L. Osińskiego przywiedzione: „że zwyczaj narodowy najlepszy sędzia, gdy idzie o brzmienie językowi właściwe (h).”

Już niejednen widzieliśmy takich zmian przykład: mało już kto wymawia: *geometrja*, *generalny*; dlatego téż powszechnie prawie pisze się *jeometrja*, *jeneralny*; lecz ci, co wymawiają w tych wyrazach głoskę *g* w jej właściwém brzmieniu, słusznie ją w piśmie kładą: jak zatém nie mogą być w téj mierze winieni, tak równie winić nie powinni tych, którzy pisownią do upowszechniającego się już zwyczaju stosują. W tym względzie zmiana językowa nie może okazywać się sposobem nagłym lub przymusowym; następuje ona z wolna i dobrowolnie; przyprowadza zaś do tego, że ci, co kiedyś dawnym sposobem wymawiali, mimowolnie nowy przejmują: w tych razach zatém troskliwi o czystość pisowni, lękać się nie powinni,

(h) Rozprawy i wnioski o ortografii Polskiej, str. 132.

bo każdy dzień zbliża ich do ustalenia w głoskach tego, co się w głosie ustala.

Są jednak wyrazy, jakkolwiek nieliczne, przez zwyczaj w dwojakim sposobie wymawiania uświęcone: nie zdaje się, aby one były jeszcze w owój epoce przechodniej, którą, dopiéro co dla innych wyrazów wskazałem; i owszem, ucho nasze przywykło tak do jednej jak i drugiej wymowy; jakoto: *święta Maryja*; sławny poemat *Marja*: wonny *fjolek*; *fjolek* i róża. W tych przypadkach zatém, nie powinna ulegać wątpliwości, wolność pisania jednym lub drugim sposobem, wedle dogodniejszego dla autora brzmienia, z którójto wolności, poeci ze skwapliwością nawet korzystać zwykli. I tak dokładny będzie rym: *szyi, Maryi*: jak przeciwnie, nikt z wykształconym smakiem nie będzie rymował: *Maryja, Szwajcaryja*, bo się mówi: *Szwajcarja*. Tu już przychodzimy do rozsądzenia najznakomitszej trudności, to jest do ocenienia, jaka wymowa jest dokładną, a jaka błędna w wielu wyrazach cudzoziemskiego pochodzenia. W przypadkach powyżej przykładami wspartych, trudność ta nie tak stanowczo się okazuje, jak w wyrazach najpospolitszego użycia: *Azja, Grecja, komedja, Julja, Hiszpanja* i mnóstwo innych. Wiele jest osób utrzymujących, że błędna jest wymowa, która nie odznacza głosu *y* po ostatniej spółgłosce w jednych, a głosu *i* w drugich; twierdzą oni, iż rzeczywiście mówić się powinno *Azy-i, Grecy-e* (liczba mnoga), *komedy-om, Juli-i, Hiszpani-i*. Niech jednak porównają wymowę tę, z wymową, która podług nich wydając głosy *y* i *i*, po tych samych spółgłoskach i przed temi samemi samogłoskami, taką samą byćby powinna.

„Płazy i ryby, kobiecey ekran, Szwedy omdlałe, przytuli i uściska, pani Irena”. Czyż można zaprzeczyć, że taka wymowa w powyższych cudzoziemskich wyrazach, byłaby zupełnie niestosowną, a czasem niezrozumiałą? Czyż zatem nie należy raz na zawsze, odstąpić od sprzeczności, którą niektórzy pragną jeszcze w pisowni utrzymać, i czyż nie potrzeba zupełnie przestać pisać *Azya, Grecye* i t. p.?

Z drugiej strony porównajmy też same wyrazy z następującymi:

„Idea *zjiszczona*, *goreć* jeszcze w głowie, *przed jodłą*, *król je* obiad (krul ji), nie strasz *pan jézami* (jiżami).” Jeżeliby utrzymujący dawne zdanie, niezupełnie zgodzić się chcieli na jednostajność w obu razach wymowy zgłosek: *azji, ecje, edjo, ulji, anji*; to chyba tylko zarzucićby mogli, że w pierwszych trzech wyrazach spółgłoski *z, c, d*, niektórzy wymawiają prawie zupełnie twardo bez zmiękczenia; lecz nie zdołaliby przeczyć jednostajności brzmienia samych zgłosek *ji, je, jo*. A wszakże i co do zmiękczenia poprzedzających spółgłosek, większość zdaje się już obecnie wyraźnie przechylać do takowego zmiękczenia, mówiąc: *Francja* nie *Francja*, *poezja* nie *poezja* i t. p., któryto zwyczaj narodowy, znakomicie upowszechniający się, przyczynia się zdaniem mojem, w sposób bardzo pożądanym, do harmonii i dźwięczności języka.

Dla przekonania, że we wszystkich prawie cudzoziemskich wyrazach, spółgłoska *j* poprzedzająca, skłonna jest do zmiękczenia, uciekam się do broni, której właśnie przeciwnicy tego zdania używać chcieli; a mianowicie twierdząc, że spółgłoska najtwardsza *r*, która w wyrazach Polskiego pochodzenia, nigdy prawie nie miękczy się, staje się właśnie miękka w wyrazach cudzoziemskich

przed *j*; i dowodzę, że w nader małej tylko liczbie wyrazów tych, głos *y* brzmi po *r* przed *j*. Sąto więc bardzo nieliczne wyjątki, do których oprócz wyrazu *Maryja*, powyżej przywiedzonego, należą tylko, ile mi się zdaje, wyrazy: *waryjata*, *waryjaty*, gra *maryjasza*. Lecz i co do wyrazu *Maryja* uważać należy, że się nigdy nie wymawia podług dawniej pisowni *Marya*, gdyż porównując trojakie brzmienia:

„*Mary axamitne*, *komary jasnoskrzydłe*, *kalif Omar jawny barbarzyńiec*”, tylko brzmienie drugie odpowiada wymowie *Maryja*, a trzecie wymowie *Marja*. We wszystkich innych przypadkach, w wyrazach cudzoziemskich po *r* głosu *y* wcale nie słyszemy; np. *Bawarja*, *perjod*, *Iskarjota*, *materjalny*, *kurjer* i mnóstwo innych; z kąd wniosek nietylko, że głoska *y* po *r* w tych wyrazach cudzoziemskiego pochodzenia pisać się nie może, ale nadto, że *r* przestaje być twardem i rzeczywiście miękcy się. Jeżeli zaś najtwardsza ze wszystkich spółgłosek, zdoła zmiękczyć się przed *j*, wnosić słusznie się godzi, że inne spółgłoski łatwiej daleko tego dostępują; i rzecz ta nietylko nie jest dziwną, ale owszém, z natury spółgłoski *j* wypływa, bo ona będąc ze wszystkich najmiekszą, nie może przyjąć na siebie spływającego głosu zupełnie twardego: ztądto pochodzi, że i w wyrazach Polskiego pochodzenia, jakoto: *zjazd*, *zjechać*, *wjazd*, *wjechać*, spółgłoski *z*, *w*, nie mogą i nie powinny w dokładnej wymowie zupełnie twardo wymawiać się; lecz owszem, wymowa ta zbliża się do *źjazd*, *w'jazd*.

Przychodzimy tedy do wypadku, że w wyrazach cudzoziemskiego pochodzenia, spółgłoska, brzmienie *j* poprzedzająca, prawie zawsze miękcy się w wymowie;

a ponieważ to jest ogólném niemal prawidłem, zatem znak miękczący może być opuszczony.

Lecz dla zupełnego przekonania, że wyrazy cudziemskie przepolszczając się, muszą przybiierać *j* tam, gdzie jój brzmienie znajduje się; musimy jeszcze rozpoznać okoliczność, która już uwagę Deputacyi z r. 1830 ściągnęła, to jest, czy w wyrazach o których mowa, zachowują się dwie zgłoski, wedle Łacińskiego wzoru, czy też w jedną zlewają się?

Podług Deputacyi należy pisać i zgłoskować Hisz-pa-ni-a, Per-sy-a i t. p. Pytam się, czy też same zgłoski w innych wyrazach umieszczone, jakoto: *tój pani atłasowa suknia; Persy a Medy*; odpowiadają brzmieniu *Hiszpanja, Persja*? Czy przeciwnie, nie są zupełnie z tą wymową zgodne brzmienia w wyrazach: tych *pań ja* nie znam; *pierś jadem struta*; które się zupełnie tak wymawiają, jak gdyby się pisało: tych *pa-nja* nie znam; *pier-sjadem struta*; a wszakże tu brzmienia *anja, ersja*, nie tworzą trzech, lecz tylko dwie zgłoski.

Piszą podług zasad Deputacyi *Dania, linie*: nie można wiedzieć, czy to jest kraj Dania, czy dwa *dania* przy obiedzie; czy to *linie* proste, czy też następuje karp' po *linie*.

Prócz tego, nie można w pierwszych razach zgłoskować: *Da-ni-a, li-ni-e*, bo wymowa wcale jest różną od wyrazów:

„Bogu w *dani* anieli śpiewają; bogini *Egipska*”. Przyznać więc należy, że we wszystkich tego rodzaju wyrazach, odzywają się zgłoski:

bja, cja, dja.... fje, gje, hje.... kji, lji, mji.... njo, pjo, rjo, sju, wju, zju.... i t. d.; a zatem, przy zamianie wyrazów cudzoziemskich na Polskie, i przy wprowadzeniu do

nich jednej z powyższych spółgłosek, rzeczywiście, dwie zgłoski cudzoziemskie w jedną zlewają się. Choćby nawet dozwoląć wyznawcom dawnego wymawiania, pozostawienie twardego brzmienia w wyrazach cudzoziemskich, spółgłosek *j* poprzedzających; to wszakże mamy i na ten przypadek zgłoski *cja* i *cja*; *zja* i *zja* i t. p., w których odmienność wymowy tych spółgłosek, miększej lub twardszej, zachować można. Nie ma też zasady dostatecznej do zgodzenia się z Deputacją ortograficzną na zdanie, że posiadamy zgłoski *bja*, *mja*, *zja*, *wja*, a że zgłoski *cja*, *dja*, *lja*, *rja*, nie są nam właściwe (i); skoro tak te jako i tamte zgłoski, często w wyrazach cudzoziemskiego pochodzenia napotykają się, i jednymże sposobem w wymawianiu są urabiane.

Nie zdaje się wreszcie bynajmniej zasadnym powód, przez Deputacją przytoczony, przemawiać mający za utrzymaniem jej pisowni; jakoby nie należało się pozbawiać w języku małej liczby wyrazów z przedostatnią krótką; i owszem, mniemam, że takie przekształcenie wyrazów będąc zupełnie przeciwne ogólnej własności Polskiego języka, którego dźwięczność i harmonia polega najglówniej na przedłużaniu przedostatniej zgłoski wyrazów; nie może być dla języka korzystne, a nawet staje się niepodobnym, gdy wymawianie tych wyrazów, dobrze rozważone, nie dopuszcza po największej części brzmienia dwóch oddzielnych zgłosek, lecz tylko jednej; a gdzie dwie zgłoski w wymawianiu odzywają się, tam je spółgłoską *j* rozdzielać należy. Tym sposobem ogólne prawidło przedostatniej dłużej, nie zostaje w niczem nadwerżone. Liczne jeszcze możnaby przytoczyć przypadki,

(i) Rozprawy i wnioski o ortografii Polskiej, str. 159.

w których wątpliwe dotąd użycie głoski *j* w wyrazach cudzoziemskich, powinnyby być stanowczo wprowadzonym, lub niewłaściwe jój pisanie stanowczo usunięciem (*k*). Mając jednak nadzieję że powyżej przedstawione uwagi, będą dostateczne do przekonania o potrzebie uzupełnienia władzy głoski *j* w Polskiej pisowni, oświadczyc winienem, że z sześciu prawideł co do téj głoski przez Deputacyą z r. 1830 objawionych, godzę się bezwarunkowo na cztery, mianowicie:

- 1) Że *j* jest spółgłoską, a nigdy samogłoską.
- 2) Że głoska ta zwać się powinna *je* i mieć brzmienie spółgłoskowe.
- 3) Że głoska *j* jako najmiejsza, nie może spływać na *y* tylko na *i*.
- 4) Że w pisaniu, *J* wielkie przechodzić powinno podstawę liter, dla odróżnienia od *I* wielkiego.

(*k*) Jednym z bardzo uderzających nadużyć co do głoski *j*, jest natrafiający się często w drukach sposób pisania, *kwestyj*; *komisyj*; co ma być *kwestji*, *komisji*, to jest drugi przypadek liczby mnogiej, a nawet liczby pojedynczej. Wada ta odnosi się już raczej do grammatyki jak do pisowni; wszakże i z téj ostatniej, rzecz jest jawna, że nie można czytać *kwestyj* jak *stryj*; *komisyj* jak *uszyj* i t. p.. Zdaje się, że to jest jeszcze przypomnienie dawnego przyznawania własności samogłoskowej głosce *j*; lecz teraz, gdy już Deputacya z r. 1830 dowiodła, że *j* jest spółgłoską, a gdy nam pozostaje tylko tę zasadę dalej rozwinąć, pisownia *kwestyj*, *komisyj* żadnym sposobem utrzymać się nie może. I niech używający téj pisowni nie tłómaczą się, że chcą tym sposobem wyrazić brzmienie *kwestjij*, *komisjij*, dla drugiego przypadku liczby mnogiej; bo takiego przypadkowania dozwolić nie można. Jakoż zupełnie inny zachodzi przypadek co do wyrazów *zmija*, *szyja*, które 2gi przypadek liczby mnogiej mają *zmij*, *szyj*: te imiona przypadają się jak wszystkie inne żeńskie, zakończone na *a* z poprzedzającą spółgłoską twardą lub miękką, która sama samogłoską jest poprzedzona, jakoto: *rola*, *ról*; *góra*, *gór*; *wada*, *wad*; *zgraja*, *zgraj*; *rama*, *ram*, i t. p.. Z imionami *kwestja*, *komisja*, i wszelkimi innymi cudzoziemskimi, zakończonymi na *bja*, *cja*,

Lecz co do dwóch pozostałych prawideł, zdanie moje różni się od zdania Deputacyi, to jest:

1) Gdy Deputacya zakazuje bezwarunkowo pisać *szyi, stojisz, nadzieji*; ja nie mogę tego sposobu pisania potępić, bo jest logiczny, w wielu przypadkach dokładnej wymowie odpowiedni, a w każdym razie zgodny z naturą pierwotnych wyrazów. Lecz uważam, że ten sposób pisania nie jest konieczny, bo w większej ilości przypadków brzmienie spółgłoskowe *je*, na samogłoskowe *i* spływa. Wszakże, o ileby w tym razie powody naukowe przemódz miały nad czysto praktycznymi, i zwyczaj narodowy okazał się skłonny do pojęcia delikatnego odcienia wymowy; byłbym jednym z pierwszych gorliwych zwolen-

dja i t. p., porównać można tylko imiona zakończone na *a* z poprzedzającą naprzód miękką, a potem drugą jakąkolwiek spółgłoską; bo *j* jest ze wszystkich spółgłosek najmniejszą. Takie imiona mają drugi przypadek liczby mnogiej na *i*, przez zostawienie spółgłoski miękkiej i drugiej ją poprzedzającej, a zamianę samogłoski końcowej *a* na *i* np. *budowla, budowli; pochodnia, (pochodna) pochodni; lutnia (lutnia) lutni; powierzchnia (powierzchnia) powierzchni* i wiele innych. Podobnym więc sposobem *Batawja* powinna mieć 2gi przypadek liczby mnogiej *Batawji; parodja; parodji, kwestja, kwestji, monarchja, monarchji* i t. p. Wprawdzie, niektóre z takich imion, w 2gim przypadku liczby mnogiej, rozdzielają dwie spółgłoski ostatniej zgłoski, pomocną samogłoską *e*; końcową zaś samogłoskę tracą; np. *wisnia (wiśnia) wisien; szabla, szabel; głownia (głownia) głowien*: lecz jak z jednej strony nie byłoby wielkim błędem grammatycznym, używanie wyrazów *wisni, szabli, głowni*, zamiast *wisien, szabel, głowien*; tak z drugiej strony, powołać się winienem na zamieszczone powyżej spostrzeżenie, że spółgłoska *j* w najściślejszym zostaje powinowactwie z samogłoską *i*: łatwiej jej zatem na *i* spłynąć jak na *e* się oprzeć, i dlatego 2gi przypadek liczby mnogiej nie tworzy się podług tych wyjątków, *Arkadja, Arkadej*, lecz *Arkadji*; nie *Germanja, Germanej*, lecz *Germanji*. Gdy więc w żadnym razie przypadkowanie imion *kwestja, komisja*, nie daje *kwestyj, komisyj*; i pisownia więc wyrzec się powinna tej sprzeczności, pisząc 2gi przypadek tak liczby mnogiej jak i pojedynczej *kwestji, komisji*.

ników przywrócenia pisowni téj dokładności, jaka powinna być ostatecznym jój celem.

2) Co do wyrazów cudzoziemskich, jestem stanowczo i bezwarunkowo za wprowadzeniem głoski *j* tam, gdzie Deputacya, ulegając jeszcze zapewne resztkom dawnego nawyknienia, samogłoski *i* lub *y* pozostawiła; z temi tylko małemi wyjątkami jak *Maryja* i t. p. w których zwyczaj wyraźne brzmienie samogłoskowe *y* utrzymał. Niechaj miłośnicy rzeczy krajowej, niechcą się zapatrywać na przedmiot niniejszy, ze stanowiska czysto użytkowego i nie poczytują go za szczegół zbyt drobny, owszem wznosząc się do obszerniejszego pojęcia, niechaj zechcą go rozważyć pod względem ogólnego wyrobienia i postępu języka, a pewny jestem, że pisownia Polska tę odnieście korzyść, iż mieszanina sposobów używania głoski *j*, jaka dotąd istnieje, wkrótce zniknie i zastąpioną będzie jednostajnym, systematycznym jój użyciem.

W. Ł.

UWAGI NAD ARTYKULEM

O użyciu głoski *j* w pisowni Polskiej, w przypadkach dotąd wątpliwych.

Krytyczne wyjaśnienie wszystkich, napozór błahych nawet wątpliwości, jakie dotychczasowe prace uczonych badaczy mowy Polskiej, zostawiły jeszcze nierozstrzygnięte po sobie, godną jest, troskliwego o udoskonalenie języka umysłu, pracą. Takięj podjął się autor artykułu *O użyciu głoski j w pisowni Polskiej, w przypadkach dotąd wątpliwych*; i niejedną trafną uwagą o wymawianiu głosek, naturę ich brzmienia wyjaśnił. Niepodobna jednak zgodzić się na wprowadzenie spółgłoski *j* w miejscu samogłoski *i* i *y* w wyrazach przyswojonych z obcych języków, w zgłoskach *ia, ie, io, iu, ya, ye, yo, yu* i t. p. wprowadzenie, za którym szanowny autor artykułu stanowczo obstaje; ani na zatrzymanie spółgłoski *j* przed samogłoską *i* w kształceniu się drugiego przypadku liczby pojedynczej z *ja*, na *ji*. Piérwszemu opiera się nadto silnie zwyczaj narodowy, na gruntownych powodach oparty; drugiemu sama natura spółgłoski *j*, i wpływająca ztąd obraza harmonii językowej. Jedno i drugie według mojego sposobu widzenia, w kilku uwagach rozwinę.

W wyrazach z obcych języków, a zwłaszcza z Łacińskiego przyswojonych, w których znajdowały się zgłoski

ia, ie, io, iu, ya, ye, yo, yu i t. p., głoski *i, y*, z następującą w języku pierwotnym samogłoską, mogły tworzyć albo *jedną zgłoskę*, albo *dwie*. W pierwszym przypadku nie ma wątpliwości, że i w Polskim języku jedną tworzyć powinny; np. *Jan, Ja-kób, Ja-nusz, Jan-czar, Ja-śmin*. Ale prawie zawsze *i, y*, z następującą samogłoską tworzą oddzielne zgłoski, a zawsze *i, y*, wymawiają się *krótko*: np. *Ara-bi-a, Ju-li-a, Re-li-gi-o, Ra-ti-o, A-si-a, Di-a-bolus, Di-a-co-nus, Ses-si-o, Da-ci-a, Hi-e-ro-gly-phi-cus, Hi-e-ro-so-ly-ma, Pi-us, Gy-aros, Hy-ems*.

Takie wyrazy przeniesione do Polskiego języka, musiały zachować wszystkie zgłoski swoje, *A-ra-bi-a, Ju-li-a, A-zy-a, re-li-gi-a, ses--sy-a, pi-us*, a nie *A-ra-bia, Ju-lia, A-zia, reli-gia, ses-sia, pius*; na tym ostatnim wyrazie najdobitniej się to prawidło okazuje; nikt nie pomyślał zapewne wymówić go *pjus*, ani przymiotnik z niego *pjusowy*, zamiast *pi-u-so-wy*. Co więcej, gdyby szło o nazwanie koloru, który Francuzi *puce* nazwali, zmiekczylibyśmy w Polskim języku *p* przybraniem *i*, i wymawialibyśmy *piusowy*, a nie *pjusowy*. Ale w tych wyrazach głoska *i* lub *y* przed drugą samogłoską, w językach pierwotnych Łacińskim i Greckim, koniecznie wymawiała się *krótko*; w języku Polskim przeciwnie, ile razy ta głoska byłaby w przedostatniej zgłosce, tém samém musiałyby się w wymawianiu przeciągać. Nie zniosłoby było takiego wymawiania ucho przodków naszych, do iloczasu Łacińskiego przywykłe, i w wyrazach takich przeniesiono *akcent* z przedostatniej na bezpośrednie ją poprzedzającą. Wymawiano zatem *Ju-li-a*, a nie *Ju-li-a, A-zy-a*, a nie *A-zy-a, Re-li-gi-a*, a nie *Re-li-gi-a*, tak jak w innych przyswojonych wyrazach wymawiamy *Gram-ma-ty-*

ka, a nie *Gram-ma-ty-ka*; albo nawet i w niektórych czysto Polskich np. w *ogó-le*, w *szcze-gó-le*, a nie w *ogóle*, w *szcze-góle*.

Tym bardziej zachowało się to krótkie wymawianie w zgłoskach, które nie były przedostatnimi, w wyrazach np. *Hi-e-ro-glif*, *Hi-e-ro-zo-li-ma*.

Wyrazy obce musiały się jednak zresztą innym prawidłom języka naszego poddać. I tak, spółgłoski twarde *d*, *r*, *t*, w Polskim języku nie cierpią po sobie *i*, ani jako znaku miękczącego, ani jako oddzielnej samogłoski; ile razy przeto były w obcych wyrazach zgłoski *di-a*, *ri-a*, *ti-a*, *di-e*, *ri-e*, *ti-e* i t. p., musiały się zamienić w Polskim na *dy-a*, *ry-a*, *ty-a* i t. p., np. *Ko-me-dy-a*, *Hi-sto-ry-a*, *Par-ty-a*. Spółgłoska *c* nawet, na którą zawsze prawie spółgłoska *t* z obcych wyrazów przechodzi, lubo w Polskich wyrazach *i* po sobie przyjmuje, np. *kar-ci*, *ma-ci-ca*; w przyswojonych, jakby z przyczyny zastępstwa spółgłoski twardej *t*, koniecznie zamiany *i* na *y* wymaga: np. *Ra-ti-o*, *Ra-cy-a*, *Sta-ti-o*, *Sta-cy-a*.

Podobnie spółgłoska *s*, która w Polskim języku często po sobie *i* przyjmuje nietylko jako znak miękczący, ale jako samogłoskę, np. *si-ła*, *si-to*; w wyrazach przyswojonych z obcych (czy w pierwotnym języku jak *s* czy jak *z* brzmiało), w Polskim zamiany samogłoski *i* na *y* wymaga, np. *ses-si-o*, *ses-sy-a*; *A-si-a* *A-zy-a*. Zwyczaj ustalił już w tych słowach wymawianie grube w miejscu cienkiego. Taki był zwyczaj przyjęty i tyłowiecznym trwaniem uświęcony, gdy zastanawiając się nad mową Polską, i nad naturą spółgłoskową tak nazwaną samogłoski *i*, w połączeniu z poprzedzającą ją lub następującą po niej

samogłoską, Feliński wprowadził do alfabetu Polskiego nową spółgłoskę *j*. Po niedługim wahaniu się, wszyscy niemal badacze językowi, zgodzili się na uwagi Felińskiego; a młode pokolenie od lat dziecinnych do nowych kształtów, wyrazów z *j* spółgłoską przywykłe, uświęconą dawnością ustawę, następnym pokoleniom przekaze. Piszemy więc *ja*, *jechać*, *już*, *majaczyć*, *nadzieja*, gdyż tu wszędzie *i* spółgłoskowe zamieniło się na *j*. Nawet po samogłosce *i*, drugie *i* spółgłoskowe zamieniło się na *j*, np. *mijać* zamiast *miiac*, *pijany* zamiast *piiany*, *fioletek* zamiast *fiioletek*, *zmija* zamiast *zmiia*.

Ale cóż miało zamienić się na *j*, w wyrazach przyswojonych *Re-li-gi-a*, *A-zy-a*, *Hi-sto-ry-a*, *Ses-sy-a*? Nie samogłoski *i*, *y*, stanowiące oddzielne zgłoski. Dlaczegoż mielibyśmy dodawać spółgłoskę *j* pomiędzy dwie zgłoski? Czy dla lepszego wymawiania? Nie; bo zgłoski *gi-a*, *zy-a*, *ry-a*, *sy-a*, w wyrazach *Re-li-gi-a*, *A-zy-a*, *Hi-sto-ry-a*, *Ses-sy-a*, wymawiają się *obie krótko*, a dodanie pomiędzy nie spółgłoski *j*, przeciągnęłoby niepotrzebnie brzmienie końcowe. *Re-li-gi-ja*, *A-zy-ja*, *Hi-sto-ry-ja*, *Ses-sy-ja*.

P. F. Żochowski, rozbiérając własności spółgłoski *j* w pracowitem dziele swoim: *Części mowy odmieniające się przez przypadki*, na str. 31 wyznaje, że przestałby na dawnym zwyczaju pisania wyrazów cudzoziemskich na *i-a*, *y-a* np. *Religi-a*, *Edukacy-a*, a nie *Religi-ja*, *Edukacy-ja*, gdyby nie przymiotniki od tych wyrazów pochodzące: *Religij-ny*, *Edukacyj-ny*, każące domniemywać się spółgłoski *j* w wyrazach, od których pochodzą. Gdy od wyrazów *Opa-ra*, *Grammaty-ka*, powstają przymiotniki przez zamianę zakończenia *a* na *ny* niekiedy

ze stosowną przemianą spółgłosek, np. *Ofiar-ny*, *Grammatycz-ny*; a zatem gdyby pisało się *Religi-a*, a nie *Religi-ja*, przymiotnik byłby *Religi-ny*; a nie *Religij-ny*. Na to dość będzie zwrócić uwagę, że w formowaniu przymiotników, nie zawsze zamienia się zakończenie *a*, na *ny*; ale też na *yiny*, *iny*, np. *Matka*, *Ma-tczyny*, *Ba-sia* (gdzie *i* jest tylko miękczące), *Basiny*; a zatem z *Religi-a*, tworzy się przymiotnik *Re-li-gi-iny*; z którego przez skrócenie zrobimy *Re-li-gij-ny*. Ale gdybyśmy mieli pisać *Religja*, *Policja*, przymiotniki od tych wyrazów musiałyby być *Re-li-gji-ny*, *Po-li-cji-ny*, a nie *Re-li-gij-ny*, *Po-li-cyj-ny*; na co niełatwo się zgodzić.

Słusznie więc uczona Deputacya z r. 1830, poprawiając pisownią Felińskiego, wyrzuciła nowo wprowadzone *j*, pomiędzy dwóch zgłosek *i-a*, *y-a* i t. d. w wyrazach przyswojonych.

Czy dlatego mielibyśmy je przywrócić na nowo, że w niektórych wyrazach może być na pierwszy rzut oka niepewność w wymawianiu? Że *i* może być wzięte za znak miękczący tylko, albo za samogłoskę, i w obu razach nadawać wyrazowi znaczenie odmienne? np. $\overline{Da-ni-\grave{a}}$ (kraj), *da-nia* (przy obiedzie); $\overline{lini-\bar{e}}$ (matematyczne); *linie* (od *lina*, albo *liny*); $\overline{Ma-ni-\grave{a}}$ (choroba), i *Ma-nia* (Marynia). Prędzej możnaby w takich wyrazach oznaczyć *i* dwiema kropkami, gdy jest samogłoską, a jedną tylko gdy jest znakiem zmiękczenia: *Daniä*, i *Dania*; *Maniä*, i *Mania*; (jak we Francuzkim języku *Maïs* (kukurudza), *Mais* (ale); jeżeliby warto było dla tak niewielu wyrazów dwuznacznych, nowość do pisowni wprowadzać.

Jeżeli zaś spółgłoska *j* nie wprowadza się dla rozdzielenia zgłosek *i-a*, *y-a*, ale zastępuje *i*, *y*, dla zlania dwóch

zgłosek w jedną, przeciwko temu protestują wszyscy poeci nasi, od Kochanowskiego do autora *Grażyny*, których wiersze każdy ma w pamięci:

Wilija, naszych strumieni rodzica.

Widząc zem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ład nogą trącił,
Całą *Arabiją* zmacił.

(Z *Farysa*, w *Melitele* na rok 1829 str. 249).

Lecz stójmy, coto w oknie błysnęło zarazem?
Tu wschód słońca, a słońcem są *Julii* lica.

(Z *Romeo i Julii*, w *Melitele* na rok 1830 str. 46).

Nagle zadrżała pamiętka skora,
Gwiazd *milionem* jak tło jeziora.

(B. Z. *Śpiewające jezioro*, w *Melitele* na rok 1830 str. 141).

Przybył najpierwszy z *milionem* zbrojnych.

(F. M. *Świątynia szczęścia* z *Melitele* na rok 1830 str. 76).

Witam cię *Tobijaszu*. Czas się coraz skraca.

(*Tobiasz*, *scena liryczna*, z *Melitele* na rok 1829 str. 17).

Przecież z *Grecyi* wziąłem te powieści,
Z czasów niedawnych i żalostnej treści.

A. M.

W cóżby się obróciły miary tych wierszy, gdybyśmy mieli pisać *Wilja*, *Arabja*, *Julja*, *Miljon*, *Tobjasz*, *Grecja*?

Wprawdzie znajdziemy gdzieniegdzie, który z tych wyrazów skrócony o jedną zgłoskę dla miary wiersza; jestto wolność, której trudno poetom zaprzeczyć. Wtedy można skrócenie dwóch zgłosek przez wprowadzenie *j* zamiast *i*, *y*, oznaczyć. Najczęściej zdarza się to z wyrazem *Dy-ābēl*, (*Di-a-bo-lus*), który pisze się wtedy *Djabel*; a *D* brzmi przed *j* jak w wyrazie *zdjąć*. Tak, w jednym z ulubionych poetów naszych, znajdujemy imię

Mā-ry-ā pisane przez dwie zgłoski *Ma-rja* (1). Wreszcie mamy w Polskim języku wyrazy *Ukrā-i-nā*, *Stō-i*, których nikt na *Ukrajna*, *Stoj* nie zmienia; z cudzoziemskich mamy *Bē-du-in*, który po Polsku nie brzmi *Bedujn*, i tyle innych.

Skorośmy dowiedli niepodobieństwa zakończenia wyrazów przyswojonych na *i-a, y-a*, na *ja*, tém samém nie będzie już trudności co do drugiego przypadku liczby pojedynczej. *Māry-ā*, *Sēsŷy-ā*, będą miały 2gi p. l. p. *Māry-i*, *Sēsŷy-i*, a nie *Mar-ji*, *Ses-sji*.

Ale że pisownia *ji* mogłaby być zastosowaną do wyrazów *szyja*, *szyji*; *nadzieja*, *nadzieji* i do wyrazów *zjść*, *zjimać*, trzeba nam zastanowić się nad naturą najmniejszej spółgłoski *j*.

Autor artykułu o *użyciu j*, nalega na to, że głoska *j* jest spółgłoską, i że tę zasadę należy do ostatnich następstw rozwinąć. Zapewnie *j* jest spółgłoską, i dlatego łączy się ze samogłoskami *ja*, *ja*, *je*, *jé*, *jo*, *ju*, także *aj*, *ej*, *ij*, *oj*, *uj*, *yj*. Jeżeli zaś nie łączy się z następującymi po niej samogłoskami *i*, *y*, np. *ji*, *jy* (tak jak *l* nie łączy się z następującą po niej samogłoską *y*), nic to jéj spółgłoskowej naturze nie uwłacza. Spółgłoska *j* z *y*, to jest *jy*, wymówiłaby się bez najmniejszej różnicy jak *jé*; brzmienie to jest więc w naturze rzeczy; ale nie potrzebuje być nowym znakiem oznaczone we środku wyrazów, a w zakończeniach z żadnej odmiany nie wypłynie. Co do brzmienia *ji*, to jest niepodobnym do wymówienia; najmniejsza spółgłoska spływając na najcieńszą sa-

(1) Rozumié się, że 2gi przypadek liczby poj. powinien się formować od *Māry-ā*, *Māry-i*, a nie od *Maryja*.

mogłoskę, niknie zupełnie; i w tém już odwołuje się do słów własnych autora artykułu. „Między samogłoskami, a niektórymi ze spółgłosek, tak ściśle istnieje powinowactwo, że w różnych zmianach mowy, wzajemnie na siebie spływają, *mieszając się nierozdzielnie w brzmieniu*. Zkąd wynika, że odgłos spółgłoskowy, potrzebujący koniecznie samogłoskowej pomocy, gdy w niej znajduje wielką jednostajności siłę, niknie prawie w zupełności, i dlatego w wymawianiu w części, a w piśmie całkiem się opuszcza”. Przykłady *arfa*, *armata*, zamiast *harfa*, *harmata*, bardzo dobrze prawidło to objaśniają. Zastosować je potrzeba do brzmienia *ji* z tą różnicą, że i w wymawianiu i w pisaniu, *zawsze j* jako niepotrzebne opuszczać się powinno np.: *Nadzie-ja*, 2gi p. l. p. *nadzie-ji* skraca się na *nadzie-i*; podobnież *szy-ja*, *szy-ji*, skraca się na *szy-i* (1).

Co do słów *ziscić*, *zimać*, które pochodzą od słów *iścić*, *imać*, i przyimka *z*, nie ma żadnego powodu do przedzielania tego przyimka od słów, spółgłoską *j*. Wiemy, że ile razy potrzeba złagodzić brzmienie tego przyimka, połączonego z początkowymi głoskami słowa, dodaje się do niego samogłoska *e*; tak mamy *zebrać*, *zelżyć* zamiast *zbrać*, *zlżyć*; a gdy słowo zaczyna się od samogłoski *i*, wtedy w połączeniu z *e* przedzielającym ją od przyimka *z*, samogłoska *i* przechodzi na spółgłoskę *j*, np.

(1) Mojem zdaniem, przypadek 2gi l. m. w tych wyrazach równie jak w przyswojonych na *i-a*, *y-a*, powinienby być jak 2 p. l. p.; tak jak w wyrazach *r. ż.* na spółgłoskę albo na *ni*, *nia*, zakończonych. *Pani*, *lutni*, *religii*, *nadziei*, w czém zupełnie się zgadzam z autorem artykułu, zawsze z wyrzuceniem niepotrzebnego *j*. Zakończenie bowiem *religi-a*, *religij*; *sessy-a*, *sessyj*, nie jest ani zupełnie skrócone jak *fala*, *fal*, *burza*, *burz*; ani z mową zgodne. Wymawiano zawsze *religii*, a nawet *sessyi*, chociaż pisano kiedyś *sessyy*.

zejść zamiast *ze-iść*. Tak więc, gdyby miało być trudne do wymawiania *ziści*, *zima*, trzeba by pisać i wymawiać *zejści*, *zejma*; ale w wymawianiu *ziści*, *zima*, nie ma najmniejszej trudności, a w pisowni łącznik może wszelką dwuznaczność usunąć, *z-iści*, *z-ima*.

Wszystkie sześć prawideł zatém, przez Deputacyą z 1830 roku co do użycia spółgłoski *j*, podanych, zupełnie są co do zasady swojej prawdziwe, a co do zastosowania dogodne. Przeniesienie *akcentu* z przedostatniej zgłoski na tę, co ją bezpośrednio poprzedza w wyrazach przyswojonych na *i-a*, *y-a*, tłómaczy się przez prawidło ogólne iloczasu Łacińskiego i Greckiego. Dwuznaczność w niektórych wyrazach, jak *Dāni-ā*, *dania*, *Līni-ē*, *linie*, łatwa do uniknienia, przez spis takich wyrazów po grammatykach umieszczony, albo wreszcie przez przyjęcie dwukropki nad *i* samogłoską, *Danīa*, *dania*. Swoboda poetów zabezpieczona przykładem wieszczki *Maryi*; z tém, żeby wyjątki nie wzbiły się do powagi ogólnego prawidła, i nie potępiły przekazanej nam w tytu nieśmiertelnych wiérzszach miary.

Takie uwagi nastęrczył mi artykuł *O użyciu głoski j*, który tę już mieć będzie niezaprzeczoną zasługę, że poruszył ważny a wątpliwy jeszcze spór, który zapewne badacze mowy Polskiej, mający za sobą powagę zasług w tym zawodzie położonych, stanowczo rozstrzygnąć zechcą.

A. P.

KILKA SŁÓW ODPOWIEDZI NA UWAGI.

Odpiérając zasady przeze mnie położone względem użycia głoski *j* w przypadkach dotąd wątpliwych, autor uwag oświadcza się za obu prawidłami Deputacyi z roku 1830, tak co do wyrazów cudzoziemskiego pochodzenia, jako i zgłoski *ji*.

I. Co do wyrazów obcego pochodzenia.

Autor uwag dowiódł dokładnie, że trzymając się ilarasu Łacińskiego i Greckiego, należy zachować dwie zgłoski w zakończeniach na *ia*, *ya*, a zatém i pisownią Deputacyi uczonych. Lecz ja ośmielam się przeczyć głównej tego rozumowania podstawie, tojest, że nie należy, a nawet nie można trzymać się źródłosłowu Łacińskiego i jego prozody, jeżeli zechcemy zastosować pisownią do ducha czysto Polskiego języka. Usiłowałem już w samym artykule przedstawić, i toż samo wszystkie niemal przytoczone w uwagach przykłady okazują, że w żadnym prawie razie pisownia Łacińska w zupełności do Polskiej nie przechodzi, a zawsze się zmienia, gdy imię ulega przypadkowaniu; dlatego pisownia cudzoziemska nie może, podług mnie, stanowić żadnej zasady dla pisowni Polskiej: bo gdy celem i przeznaczeniem pisowni jest niewątpliwe oddanie brzmienia, wyobrażenie zatém brzmie-

nia tego, tylko podług prawideł językowi Polskiemu właściwych, a nie wedle zasad żadnego obcego języka, następować może.

Niektóre szczegółowe uwagi, wymagają następujących odpowiedzi:

1) Zwyczaj narodowy jest prawem w wymawianiu, w tworzeniu wyrazów lub zwrotów językowych; lecz nie może być przytaczaną jego powaga we względzie pisowni, w której jak doświadczenie co do samej głoski j przekonywa, zwyczaj narodowy poddaje się naukowym zasadom.

2) Z przeniesienia z Łacińskiego do Polskiego wyrazów *Julia, Religio, Ratio, Asia* i t. p., nie można wyprowadzać potrzeby zachowania wszystkich zgłosek, gdy nie zachowano wszystkich liter, lecz owszem zmieniać je musiano: *religio* na *religia*, *ratio* na *racya*, *Asia* na *Azya*, a z natury Polskości tych nowych wyrazów i odmiany ich przez przypadkowanie (*religje, religjach, religjami, racją, racjom, racjami* i t. p.), wynikło, że i prawidła iloczasu Łacińskiego, musiały w nich ustąpić miejsca prawidłom iloczasu Polskiego. Ile razy taki wyraz pozostaje czysto Łacińskim, zachować powinien swoje Łacińską pisownią i Łaciński iloczas; a nawet wtenczas jako w cudzysłowie umieszczony, pozostaje Łacińskim w texcie Polskim; np.: „pospolite ruszenie zwołane *ratione* wojny z Turkiem:” lecz skoro raz staje się Polskim, nie może się już odwoływać do Łacińskiej natury; dlatego: „bez *racyi* zaczepka” nie może się pisać z Łacińskiego: bez *ratii*, bo byłaby sprzeczność w zakończeniu Polskiem obok środkowej pisowni Łacińskiej. Ztąd wniosek, że i iloczas i podział zgłosek w Łacińskim, nie jest prawem dla iloczasu i podziału zgłosek wyrazu już spolszczonego.

3) Prawdą jest niewątpliwą, że nie można zgłoskować ani wymawiać *Ara-bia*, *Reli-gia*, *Pius*: ale téż właśnie tę uwagę stawiam za jeden z najsilniejszych dowodów przekonania, że gdyby zostawić taką pisownią, toby dwojaki wymawianie i dwojaki zgłoskowanie, jednym sposobem było pisane; co być nie może, a przynajmniej naukowo być nie powinno. *Arabja* nie może się więc pisać jak *zarabia* (od *zarabiać*); a *pius* powinnyby się pisać z dodaniem *j*, zwłaszcza że ten sam wyraz *pijus*, używa się w żartobliwej mowie jako pochodzący od *pijaka*.

4) Zdaje mi się dostrzegać, że zwyczaj narodowy nie mógł się nauczyć, a przynajmniej napotykał na pewną odrazę w wymawianiu spolszczonych wyrazów z Łacińskim iloczasem, i że z tego właśnie powodu, poeci wyrazy *wilija*, *lilija*, *Arabija*, rozdzielając wyraźnie na więcej zgłosek jak w zwyczajnej brzmi mowie, chcieli okazać, że tego wyjątku dla harmonii wiersza potrzeba im było; lecz tak dodając zgłoskę, zachować musieli *i* obok *j*.

5) Że się nie mogła ostać pisownia cudzoziemska, dowodzi tego samo twierdzenie autora *Uwag*, że po *d*, *t*, *r*, zamieniono *i* na *y*. Wszelako i téj zamiany usprawiedliwić nie można; bo jak w samym artykule obszerniej wyłożono, brzmienie samogłoskowe *y*, w wyrazach tych nie istnieje.

Zaprzeczam także bezwarunkowego twierdzenia, jakoby zwyczaj ustalił w wyrazach *Sessja*, *Azja*, i t. p. wymawiania grube w miejsce cienkiego, czyli wymawianie twarde spółgłosek *s*, *z*, w miejsce miękkiego. Powiedziałem i jestem tego mniemania, że jeżeli tak dawniej wymawiano i dotąd wiele osób wymawia, to obecnie większość, a przynajmniej całe młode pokolenie używa wymowy miększej; i dlatego dodałem, że gdy w wyrazach

tego rodzaju, wszystkie spółgłoski, jotę w mojej pisowni poprzedzające, zawsze do zmiękczenia się są skłonne; ten zatem tylko powód może uwalniać od kładzenia nad niemi kréski miękczącój.

6) Przytoczone zdanie Żochowskiego, za pisownią *Religija*, *Edukacyja*, wyprowadzone z przymiotników *religijny*, *edukacyjny*, miałyby za sobą logiczne rozumowanie, gdyby nie uwaga, że utworzenie tych przymiotników, inaczéj jak Żochowski i jak autor *Uwag*, tłumaczyć należy. Wedle mego zdania, przymiotniki te dowodzą istnienia spółgłoski *j* w wyrazach *religja*, *edukacja*, bo utworzyły się z rozdzielenia przedostatnich dwóch spółgłosek pomocniczą samogłoską *i* lub *y*, i zamianą końcowego *a* na *ny*: jestto też sama formacja, co w wyrazach *wiosna* wiosenny, *grobla* grobelny, *karczma* karczemy, *wojna* wojenny, z tą różnicą, że przy spółgłosce *j*, samogłoska posilkowa okazuje się *i* lub *y* w miejsce *e*, a to dla ściślejszego tych samogłosek z jotą powinowactwa; mówi się zatem *religijny* w miejsce *religiejny*, *edukacyjny* w miejsce *edukacejny*.

7) Sądzę, że autor *Uwag*, za mało przywiązał uwagi do wyrazów *Danja*, *linje* i t. p., twierdząc, iż sąto nieliczne wyjątki; nie można ich bowiem uważać za wyjątki, skoro też same brzmienia końcowe *anja*, *asja*, *amja*, i t. d. powtarzają się w mnóstwie wyrazów cudzoziemskiego pochodzenia, *Hiszpanja*, *passja*, *kwassja*, *Idamja* i t. p., które nie mogą się wymawiać jak *bania*, *Kasia*, *zawiadamia* i t. p., a zatem i pisać się tak nie powinny. Dlatego też nie można dopuścić nowego w języku Polskim znaku pisarskiego (dwukropki) nad *i*, bo ten znak nie miałby żadnej wartości, skoro w wyrazie *Dania* trzeba by go dodawać, a w wyrazach *Albania*, *Hirkania*, *filo-*

zofomania i t. p., możnaby się bez niego obchodzić, czytając wszakże końcowe głoski *anja* nie zaś *ania*.

8) Już wyżej wspomniałem, co spowodować mogło poetów do używania wymowy i pisowni *wilija*, *lilija*. Tu powołać się winienem na spostrzeżenia w samym artykule zamieszczone, co do wymawiania, że w niektórych wyrazach, oddzielenie dwóch ostatnich zgłosek wyraźnie odbija się; i przypomnieć, że w tych razach stosując pisownią do wymowy, spółgłoskę *j* po *i* lub *y* dodawać należy. Że jednak i poeci używają czasem wyrazów o których mówimy (cudzoziemskiego pochodzenia), bez rozdzielania na dwie zgłoski, dowodem autor Grażyny:

„Tak mówi: Hejno! dobra nasza, bez marjasza (nie maryjasza).
Popas w Upicie.

„Hjeroglif (nie Hijeroglif) mchem zarosłe zdobiący kamienie.
Tamże.

Książdz w konfesjonale (nie konfesyjonale) siedzi,
Czas o córko, do spowiedzi.

Ucieczka. Ballada.

II. Co do głoski *ji*.

Nie oświadczyłem się bezwarunkowo za wprowadzeniem wszędzie téj pisowni, lecz przyznałem, że była logiczną, i że zasługiwać będzie na przyjęcie częściowe w miarę doskonalenia się wymawiania w tym szczególe, bo nie mogę się zgodzić z autorem Uwag na zdanie, jakoby brzmienie *ji* było niepodobnym do wymawiania, skoro znajduje się w niektórych wyrazach; i owszem, zgadzam się w tém z Deputacją z r. 1830, że tylko na samogłosce *y*, nigdy *j* oprzecz się nie może. Gdyby zaś zgodzono się, że naukowa powaga winna nadać kierunek pisowni, wnioskowałbym za teoretycznym inicjowaniem, w przywróceniu głoski *j*

w wyrazach *nadzieji*, *stojisz* i t. p., a to dla naprowadzenia zwyczaju na wyrozumowane postępowanie. Tu tylko winienem dwa dodać szczegóły z powodu Uwag:

1) Co do wyrazów *zjiścić*, *zjima*: Już J. N. Kamiński, i inni, uważali że *iścić*, pochodząc od *istoty* czyli *jestoty*, zachowaćby powinno na początku jotę; *imać* pochodzi widocznie od *jać*, tak jak *dać* ma *dymać*, *nadymać*; *kląć*, *klinać*, *zaklinać*; *ciąć*, *cinać*, *ścinać*; tu wszędzie początkowa spółgłoska zostaje; zatem *imać*, winno pisać się *jimać*, a więc i *zjima*, nie *zima*.

2) Wprowadzenie łącznika do takich wyrazów jak *zjiścić*, *zjima*, było już proponowane przez Śniadeckiego a nawet Osińskiego; ale uczony autor pisma *O znakach przecinkowych w piśmie, czyli znakach pisarskich*, słusznie użycia łącznika w tych razach nie przyjął, zwłaszcza, że pisownia taka stała się zbyt częstą przez przyjęcie pewne, i już zupełnie upowszechnione głoski *j*, w wyrazach tamtych odpowiadających, *zjadać*, *zjawienia*, *objawiać* i t. p.. Taka pisownia, jak mówi wspomniany autor, F. Bentkowski (str. 110), „wskazuje już przyzwoite wymówienie i czyni znak łącznika niepotrzebnym”.

W. Ł.

O użyciu j,

w wyrazach: Anglja, Dańja, koronacja i t. p.

ZDANIE

T. Kurhanowicza.

„Zpomiędzy pism o pisowni Polskiej w niedawnym czasie ogłoszonych, na szczególniejszą uwagę zasługiwał artykuł p. Krupskiego, drukowany w wydawanój przez niego Gazecie Codziennój z r. 1843. W niej autor podając środki do radykalnej zmiany pisma Polskiego, usilnie wzywał miłośników krajowej mowy, do objawienia zdania o trafności podawanych przez niego środków. Czyniąc zadosyć takowemu wezwaniu T. Kurhanowicz, przesłał redaktorowi uwagi tyczące się ośmiu następnych szczegółów jego rozprawy:

- 1) Przywrócenie głoski *x* do alfabetu Polskiego.
- 2) Wyrugowanie z niego głoski *ch*.
- 3) Usunięcie *é* kréskowanego.
- 4) Zaprowadzenie znamienia w miejscu *z*, w spółgłoskach *cz, dz, dź, dż, sz, rz*; tudzież kréski zamiast *i* będącego znakiem miękczenia (np. *nie, się* zamiast *nie, się* i t. p.).
- 5) Wprowadzenie nowego znaku skrócenia (: średnik przewrócony).
- 6) Kończenie trybu bezokolicznego na *yc, ic* w miejscu *éc* np. *słyszyc, widzić* zamiast *słyszéc, widziéc*.

7) Zaniedbanie używanój dotąd zamiany dwóch spółgłosek syczących na spółgłoski téjże samój natury, np. *miasto*, *mieścić*, *mieszczę*.

8) Wstrzymanie coraz bardziej wchodzącego w użycie sposobu pisania: *Anglja*, *Dañja*, *koronacja* i t. p.

Nim uwagi te w zupełności zostaną ogłoszone, Redakcyja Biblioteki, udzielony z nich przez autora wyimek, tyczący się zagajonój w poprzedzających artykułach treści, w swém piśmie umieszcza.”

8. *Wstrzymanie coraz bardziej upowszechniającego się sposobu pisania: Anglja, Dañja, Hiszpanja* i t. p.

Chcąc ten szczegół gruntownie rozważyć, należałoby tu przytoczyć i ocenić wszystko, co dotąd o nim pisano. Lecz jak w poprzedzających kwestyach, tak i w téj ostatniej, o tém tylko będę mówił, na czém Pan szczególniejsze dowody opiérasz. Utrzymujesz Pan: „*Ze j* może się tylko łączyć z poprzedzającemi *z*, *w*, a z żadną inną spółgłoską, ani z poprzedzającą ani téż z następującą, łączyć się nie może”. Sądzę jednak, że bez namysłu Panbyś połączył ją z innemi spółgłoskami, gdyby mu przyszło użyć następnych wyrazów: *zdjąć*, *zdejm*, *przejsć*, *przejdz*; *miejsc*, *wojsk*, *dobrodziejstw*, *glejt*, *Rejch*, *Możajsk* i t. p.

Są więc zdarzenia, gdzie *j* musi się łączyć z rozmaitemi spółgłoskami, przynajmniej po sobie następującemi, i że to zgoła nie przeciwi się naturze téj głoski. Prawda, że więcéj się na to znajdzie przykładów obcych niż swoich; ale téż i wyrazy, w którychby się w ostatniej zgłosce *j* mogło łączyć z poprzedzającemi różnemi spółgłoskami, nie są Polskie. Oczywiście więc pierwszy dowód przez Pana przytoczony, sam przez się upada. Przejdźmy do drugiego, w którym Pan również sam z sobą jesteś w sprzeczności, jak i ci, przeciw którym powstajesz.

Utrzymujesz Pan, że trzeba pisać *filozofia*, *Maryja*, *koronacya* dla zachowania cech obczyzny, a potem zarzucasz inaczej piszącym nieznajomość słoworodu (np. administracja, administracyjny). Szanowanie obczyzny nie może być dla nas obowiązującym przepisem. I jeżeli w obcych wyrazach pozwoliliśmy sobie poczynić zmiany, stosowne do natury mowy swojej, co do innych głosek (np. Hiszpania zamiast Hispania; *koronacia* lub *koronacya* zamiast *coronatio*; *Daryusz* zamiast *Darius*, *Aleksandrya* zamiast *Alexandria* i t. p. (wymawiając nawet z przyciskiem nad *a*, chociaż w Łacinie i w Greckim języku przedostatnia w tych wyrazach jest długa), za cóżbyśmy nie mieli tego samego prawa zastosować do litery *j*? Prócz tego, Pan pisząc np. *koronacia* lub *koronacya*, również nie zachowujesz zasad słoworodu; bo zkadże w wyrazie *koronacyjny* weźmie się *j*? Ze wszystkich sposobów pisania wyrazów obcych u nas na *ia* kończących się, dwa tylko są do wyboru: albo pisać *koronacyja*, *astronomija*, albo też *koronacja*, *astronomja*. Pierwszy wyświęca tworzenie się pochodnych wyrazów; drugi zastosowany jest do wymawiania. Piszący pierwszym sposobem, muszą zgodzić się na umieszczenie w grammatyce wyjątkowego pod względem wymawiania przepisu, iż w wyrazach obcych, na *ija*, *yja* zakończonych, trzecia od końca zgłoska wymawia się z przyciskiem: drudzy niepotrzebując tego przepisu, inny dodać są obowiązani, to jest że w tworzeniu od takich wyrazów, drugiego przypadku liczby mnogiej, tudzież przymiotników, należy dodawać *y*, na wzór dodawanego w wielu zdarzeniach *e* (np. *koronacja*, *koronacyjny*, gdzie *y* dodaje się tak, jak *e* w wyrazie np. *łódka*, *łódek*). Oba te prawidła pod względem wykładu *mównictwa* (grammatyki), są prawie równowa-

zne. Lecz, że Polacy za główną zasadę swojej pisowni przyjęli stosowanie się, o ile można, do wymawiania, ztąd wynika, że coraz się bardziej upowszechnia sposób pisania Marja, Aleksandrja, Anglja, Francja i t. p. Jestto wyrzutnia samogłoski *i* lub *y*, oparta na stosowaniu się do wymawiania, w tworzeniu odmian i wyrazów pochodnych łatwo mogąca się wyżej przytoczonym przepisem okazać, i dająca się usprawiedliwić naturą nie tylko Polskiego języka, lecz i innych z tego samego źródła wynikłych. Ten przeto sposób pisania, za niedorzeczny poczytanym być nie może.

PAMIĘTNIKI SEGLASA,

przez

Fryderyka hr. Skarbka.

(Dokończenie.)

ROZDZIAŁ XX.

Napoleon w Warszawie.

Długo oczekiwani i gorąco upragnieni Francuzi, byli już tedy w Warszawie; a podobnie, jak wszelkie dobro spodziewane większym jest od tego jakim nas rzeczywistość obdarza, tak i owi zbawcy w postaci aniołów oczekiwani, przy bliższym poznaniu niezawsze niebianom właściwe przymioty rozwijali. Póki Murat z dowodzoną przez siebie jazdą zajmował Warszawę, i wraz z podwładnymi dowódcami swemi, słodkie słowa damom na balach i zebraniach towarzyskich prawił, póty byli jeszcze Francuzi owemi z grzeczności słynącemi ludźmi, których uprzejmość i ton salonowy był wzorem dla eleganckich towarzystw wszystkich krajów. Lecz gdy nadciągające jedne za drugimi oddziały różnej broni, tak dalece zappełniły Warszawę, że ich po wszystkich domach prywatnych i nawet u lokatorów kwatrować musiano, gdy niejeden z prostego żołnierza na polach bitew wyniesiony oficer, zamiast uprzejmiej grzeczności właściwe sobie prostactwo, z sobą wniósł do kwatery, i wy-

maganiem swoim spokojność domową gościnnych gospodarzy zakłócił; gdy nadewszystko zdarzyło się, iż przy tém uchybił kobiecie, że się poważył naznaczyć dla siebie kwatery w pokojach z których gospodynię domu wyrugował: natenczas znikł urok niebiaństwa którym bujna wyobraźnia przybyszów otaczała, i zaczęto nabierać przekonania, że żołnierz w pochodzie wojennym więcej do piekielnych istot jak do aniołów jest zbliżony. Porównanie to było i tém usprawiedliwione, że powierzchowność i postawa licznych oddziałów które następnie zajmowały Warszawę, a mianowicie téż liniowej piechoty, nie odpowiadały bynajmniej, pięknej i zajmującej postawie pierwszych oddziałów jazdy, które Murat do miasta wprowadził, i niweczyły zupełnie wszelkie ideały marsowych piękności, któremi się kobiety zajmowały. Proszę sobie wyobrazić te massy niskich ludzi w małych rogatych kapeluszach, z łyżką blaszaną nad kokardą zatknietą, różno-kolorowych, a najczęściej szarych podartych płaszczach, w złém obuwiu, bez należytego szyku, w ciągłym gwarze, a raczej szemraniu postępujących; a następnie tych niepozornych, a zniechęconych żołnierzów, przychodzących na kwatery do ludzi, którzy ich języka nie rozumieli, klnących tym mocniej im mniej odgadnąć można było czego żądali, i biorących to czego uprosić nie umieli; a łatwo będzie pojąć, że ci ludzie nie odpowiadali wyobrażeniu jakie miano w Warszawie o przyjemnych i uprzejmych Francuzach, i że w tych żołnierzach trudno było widzieć nauczycieli dobrego tonu i grzeczności towarzyskiej.

Ja sam wyznaję, iż gdym ujrzał pierwszy raz liniową piechotę Francuzką, nie mogłem pojąć tego, jakim sposobem tak niepozorni, nędzni żołnierze, mogli być zwy-

ciężcami dorodnych i silnych Prusaków, a porównyując ich z wojskowemi których w młodości mojej w Paryżu widziałem, nie mogłem sobie wyobrazić, aby jedni i drudzy z tegoż samego kraju pochodzili. Mieszkańcy Warszawy, a mianowicie téż damy towarzystwa, były zupełnie zawiedzione w oczekiwaniu swoim. Ci, którzy za pierwszym okazaniem się Francuzów, z takim uniesieniem wkroczenie ich do miasta witali, i serdeczną gościnnością do swoich przyjmowali ich domów, truchleli w kilka dni potem na każde okazanie się nowych gości przed ich mieszkaniem, i poczytywali konieczność ich przyjmowania jako poświęcenie, które dla sprawy krajowej czynić musieli. Do tego przykrego wrażenia, przyczyniały się niemało wiadomości o przyjęciu Deputacyi Polskiej w Berlinie przez Napoleona, i wszyscy powtarzali sobie z ciężkim żalem te słowa przez niego wyrzeczone: „Zobaczę, czy Polacy są godni być narodem.”

Pomimo to wszystko, oczekiwano z wielkiem upragnieniem i z większą jeszcze ciekawością przybycia Napoleona do Warszawy. Czyniono przygotowanie na jego przyjęcie i marzono o uroczystościach, jakie przybyciu jego towarzyszyć będą. Rozumiano bowiem, że kiedy szwagier i namiestnik jego odbywał świetny wjazd do miasta, to cesarz niewątpliwie z większą jeszcze okazałością, zachwyconym wielkością jego mieszkańcom objawić się zechce. Gdy o tém wiele rozprawiano i radzono jak przyjmować bohatera wieku, i gdy przy zbliżaniu się jego ku Warszawie, ciekawość do najwyższego stopnia zaostrzoną była, gdy już zamawiano okna przy ulicach przez które tryumfalny jego wjazd miał się odbywać, i gdy jednego wieczora cała ludność Warszawy udała się na spoczynek z tém przekonaniem, że nazajutr rano trzeba

będzie wcześniej zająć stanowiska przy rogatkach Wolskich: rozeszła się tegoż poranka wiadomość po całym mieście, którą obudzonym i zawiedzionym mieszkańcom udzielono: że Napoleon już jest w Warszawie; że w nocy przyjechał konno w towarzystwie dwóch adjutantów do miasta, i w zamku stanął.

Tłumy ludu obległy zamek pilnując nieodstępnie chwili, w której się Napoleon okaże, i wytrzymały w tém oczekiwaniu do godziny trzeciej, w której ujrzano go nagle wyjeżdżającego na siwym koniu klósem z zamku, i udającego się wprost do Wisły ulicą Bednarską, do miejsca gdzie stał most spalony. Po krótkim rozpoznaniu miejscowości wrócił do zamku, gdzie o godzinie 7mej wieczorem władze krajowe przyjmował.

Pospólstwo, które wielkości moralnej bez okazałości powierzchnowej wyobrazić sobie nie może, i wyższego ukształcenia ludzie, którzy powagę i łaskawość pragną widzieć połączone z potęgą w mocarzach, zawiedzeni byli w oczekiwaniu swoim; bo pospólstwo ujrzało niskiego człowieka w popielatym surducie szybko na koniu przejeżdżającego, a poważni obywatele i urzędnicy krajowi, doznali zimnego przyjęcia od nowego pana i zamiast przyrzeczeń, otrzymali napomnienie za niedosyc skwapliwe zajęcie się opatrzeniem wszystkich potrzeb wojska tak nagle i w tak wielkich massach kraj zajmującego.

Po pięciodniowym pobycie, opuścił Napoleon Warszawę i udał się za wojskiem, na drugą stronę Wisły przeprowioném, zostawując po sobie zawiedzione oczekiwanie w upominku. Obywatele krajowi nie dowiedzieli się niczego o dalszych zamiarach jego, i nie usłyszeli ani jednego pocieszającego wyrazu; damy z towarzystwa Warszawskiego nie były przedstawiane cesarzowi, i tylko

go widziały na ulicach, gdy konno przejeżdżał, lub gdy przegląd wojska odbywał,

A odbył jeden taki przegląd na Krakowskim - przedmieściu, i w ogrodzie Saskim, tak, iż go cała ludność miejscowa widzieć mogła. Ja nie mogłem się dosyć nadszwić postawie wojennej tych samych żołnierzy, gdy w paradzie przed swoim wodzem wystąpili, w których ledwo mogłem odgadnąć wojowników, gdy znużeni do miasta wchodzili. Zdawało się, że to inni byli ludzie, gdy szare płaszczyki z siebie zrzucili, i w szyku bojowym ochludzeni i dobrze przybrani wystąpili. Znikły między nimi oznaki niechęci i mrukliwości, żywość i wesołość Francuzka panowała w szeregach, tak, że się zdawało, iż trzeba im było zapowiedzieć blizkie wystąpienie na polu bitew i śmierci, aby ich rozweselić.

Gdy te wojska wyruszyły za Wisłę, i gdy ich wódz za nimi wyjechał prowadzić je do nowych bojów, przybrała Warszawa postać placu broni, w którym o niczem inném nie mówiono, jak o wojnie, gdzie nic innego nie widziano jak wchodzących, kwaterujących się, wychodzących żołnierzy; gdzie zamiast eleganckich ekwipażów, armaty i furgony, uwijały się po ulicach, na których było zawsze pełno ludzi i zgiełku, pomimo że się miejscowa ludność w domowém zaciszu ukrywała; gdzie opustoszone niedawno gmachy były teraz zajęte, nie na zakłady przemysłowe lub gościnne, lecz na koszary, na magazyny i lazarety.

Kto pomnąc na to czém była Warszawa przed miesiącem, przechadzał się wówczas po mieście, temu mogło się zdawać, że jest na wielkiej maskaradzie; bo pełno spotykał nieznanomych figur, lub znajomych w zupełnie odmiennój postaci, i poniekąd poprzebiéranych. Na-

pooleon żądał wystawienia wojska, więc wszystko wchodziło w nowo kształcące się szeregi; ale z początku każdy jak mógł i jak chciał, to jest przybrany krojem i kolorem albo ziemstwa do którego należał, albo oddziału wojska do którego miał zamiar się zaciągnąć, i uzbrojony w broń, jaką po przodkach odziedziczone skarbcie rodzinne posiadały. Dlatego można było widzieć na ulicach Warszawy, czerwonych, niebieskich i żółtych żołnierzy, z czarnymi, białymi, i czerwonymi wyłogami; słowem najrozmaitszą mieszaninę kolorów, w pojedynczych osobach, ale nie w massach, bo każdy chcący wejść do wojska, zaczynał od tego, że sobie mundur sprawiał, że po to do Warszawy przybywał, i że według upodobania umundurowany, okazywał się po ulicach i cieszył wrażeniem, jakie na patrzących czynił. Do tych ochotników dodać należało wkrótce żołnierzy wybranych ze wsiów w stosunku ilości dymów, których panowie swoim kosztem ubierać, zbroić i w konie opatrzyć musieli, i przytém, albo sami siadać na koń, lub synów swoich za siebie wyprawiać, albo téż najętych zastępców dawać. Nawet kobiety właścicielki dóbr, nie były wyłączone od téj osobistój usługi, i lubo to była pora do objawienia rycerskiego ducha średnich wieków, gdyby czciciele dam, w ich zastępie byli chcieli do boju występować, nie zdarzyły się wszakże przykłady takiego poświęcenia, i wdowy jakkolwiek ładne i młode, musiały nająć zastępców do stawania w szeregach w ich imieniu. Pamiętam, że moja pani Klemencya, która tyłoma czcicielami była otoczona, niezmiernie się o to gniéwała, że żaden z nich nie ofiarował się być jéj zastępcą, i że musiała jednego z ekonomów swoich, byłego konfederata, pod swoim imieniem na wojnę wyprawić.

W ogólności wszystkie damy Warszawskiego towarzystwa, nie były rade przemianie która w pożyciu zaszła, bo utraciły całą młodzież która im hołdy składała, a nie nabyły między zjawiającemi się coraz to nowemi gośćiami, takich nowych czcicieli, którychby hołdy za godne przyjęcia i za trwałe poczytać można było. Ustały zebrania i zabawy, a natomiast nastąpiły we wszystkich salonach modnych, grube roboty, szycia bielizny i skubania szarpi dla chorych i rannych, a gazety donosiły codziennie publiczności, ile która z dam koszul uszyła, lub funtów szarpi uskubała.

Ulubiona zabawa eleganckiego świata, teatr Francuzki, nie był już tyle uczęszczany przez damy, bo tracił owe znamiona dobrego tonu i towarzyskiej przyzwoitości, którym się odznaczała dawniej publiczność tego teatru. Upragnieni zabaw wojownicy Francuzcy, uczęszczali tłumnie na widowiska w ich języku przedstawiane; parter był zawsze napełniony oficerami, a paradys żołnierzami, którzy w antraktach głośne prowadzili rozmowy z jednego końca na drugi, czynili mniej więcej nieprzyzwoite uwagi nad kobietami leżącymi, tak dalece, że te nie śmiały wystawiać się na ich gminne dowcipkowania, ani mogły znosić hałasu, który za każdym zapadnięciem kurtyny po całej sali się rozlegał.

W pierwszych dniach stycznia wrócił Napoleon do Warszawy, a rozłożenie wojsk na zimowe leże, zapowiedziało dłuższy jego pobyt w tém mieście. Jakoż wkrótce posłyszano o urządzonym dworze monarszym w zamku, o mianowanych mistrzach ceremonii: szambelanach i paziach, i o nastąpić mającém otworzeniu pokoi monarszych. Zapomniały damy o doznawanych dolegliwościach wśród stanu wojennego Warszawy, skoro tylko

posłyszały, że Napoleon nietylko żądał aby mu były przedstawione na pokojach, lecz nawet zapowiedział, że je będzie przyjmował co tydzień na zebraniach dworskich.

Jeżeli Napoleon zasmucił obywateli zimném przyjęciem i tém, że im nic pocieszającego nie powiedział, rozradował przeciwnie wszystkie damy Warszawskie, pierwszemi wyrazami, które wyrzekł wstępując w ich grono, przy pierwszym ich przedstawieniu. Jakże ich nie miał odrazu ucieszyć, kiedy wchodząc do sali w której wieczorem były zgromadzone, zapomałni na chwilę o powadze monarszój, i ulegając mimowolnie przemocy wrażenia jakie na nim wdzięki niewieście uczyniły, zawołał: „*Oh! qu' il y a de jolies femmes à Varsovie*”. A przy tym ogólnym rzucie okiem po wszystkich pięknościach, odrazu odkrył i gienialném spojrzeniem odznaczył jedną, która go bardziej nad wszystkie zajęła, i przymiotami duszy równie jak wdziękami, w długim paśmie lat przychylnie uczucie żywić i utrzymać umiała.

Od dnia téj prezentacyi, bywały dwa razy na tydzień, to jest w poniedziałek i w piątek, wieczorne zebrania się w zamku, na których Napoleon bardzo uprzejmie damy przyjmował, tak dalece, że się wkrótce wszystkie z nim pojednały, i że się wszystkie o miłe słowo z ust jego ubiegały. Wieczory te zaczynały się od zajęcia stolików gry, w których zwykle bez pieniędzy i tylko dla formy grano. Następnie przechodził Napoleon z całym towarzystwem do okrągłej sali, zajmował krzesło przed oknem wśród wielkiego półkola dam, za któremi mężczyźni się uszykowali, wszyscy dla przysłuchania się śpiewom Pu-eva i jego małżonki, śpiewaków Włoskich, których cesarz poniekąd do swojego sztabu przyłączył, aby melodyami

Włoskiemi, ucho jego wrzawą wojenną strudzone, do miłego spoczynku kołysali. Po krótko trwającym koncercie, następowała wieczerza, do której tylko damy zasiadały, a cesarz, jego szwagrowie i marszałkowie Francuzcy, przechodzili się między niemi, prowadząc uprzejme rozmowy z temi, których wdziękami więcej byli zajęci.

Prócz tych wieczorów dworskich, było jeszcze téj zimy kilka balów, przez książąt Bergu i Borghese i przez Talleyranda dawanych, tak dalece, że damy Warszawskie pojednały się zupełnie z temi Francuzami, którzy zrazu ich oczekiwanie tak byli zawiedli.

Bawiono się i tańczowano w Warszawie, gdy w całym kraju dawna wesołość i swoboda, ustąpiły miejsca kłopotom i trwodze. Tu goszczono w złożonych przysionkach, lub przyjmowano w własnych domach wysokich gości, tam musiano ustępować własnych mieszkań, coraz to nowym gościom, którzy jako panowie wchodzili do domów obywatelskich. Tutaj zajmowano się strojami na uroczystości dworskie, tam ubierano synów familii i domowników, aby ich na wojnę wyprawiać. Tu pędzono chwile na biesiadach i wystawném życiu, tam wycieńczano uzbiérane zasoby na potrzeby wojenne, i nieraz z uszczerbkiem własnych wygod, obcym dogadzano wymaganiom... Lecz czyż kiedy było inaczej między ludźmi? wszędzie i zawsze natrafiamy na przeciwieństwa. Wszak w jednym domu odbywają się czasem gody weselne i obrzęd pogrzebowy; gdzie dziecię piérwszém kwileniem świat wita, tam może przez ścianę, umierający, ostatniem westchnieniem go żegna.....

Dotąd były pamiętniki Seglasa porządnie pisane; zdaje się, że autor miał zamiar prowadzić je dalej, bo w oprawnej księdze wiele jeszcze było stronic niezapełnionych; w końcu znalazły się tylko urywkowe notatki. Przytoczymy z nich niektóre:

* * *

Nie trzeba nigdy wątpić o nikim; z wielkich ladaco, mogą się wykształcić znakomici ludzie. Mój pierwszy uczeń August, który wystąpiwszy z półku rajtarów przed ich wyjściem z Warszawy, wszedł do nowo utworzonego wojska Polskiego, odznaczył się przy zdobyciu szanca pod Gdańskiem, w wyprawie, w której marszałek Lefebvre, batalionowi drugiego półku Polskiej piechoty osobiście dowodził.

* * *

Ow pan próżności i samym rozkoszom oddany, ojciec Augusta, wszedł do służby rządowej; jest sędzią apellacyjnym. Jak się to ludzie odmieniają! Nie wiem jednak, ile na to wpływała pani kasztelanowa. Zamieszkanie w Warszawie, świetne zebrania u Napoleona i książąt, uprzejmość wodzów Francuzkich..... sąto wszystko bardzo mocne powody do skłonienia męża, aby się przecież usłudze krajowej poświęcił.

* * *

Wielkie wypadki w domu pani Klemencyi. Kiedy się tego najmniej spodziewano, wprowadził się pan wojewodzie do niego jako małżonek. Kiedy i gdzie był ślub, o tém nikt nie wie; otrzymałem *consilium abeundi*.

* * *

Wyrzekam się nazawsze moich zasad emigranckich, mam już paszport, wracam do Francyi! Nie będę już

wygnańcem. Ach jakaż to myśl pełna pociechy! jakież nowe i piękne życie otwiera się przede mną!

* * *

Opuszczając Polskę, byłem w domu starosty... chciałem widzieć miejsca, w których tak szczęśliwe chwile pędziłem!... Niestety, smutek mnie czekał w progu tego gościnnego domu! Dobra matka była już w grobie; starosta tyle poniósł ofiar dla kraju, że ów tak piękny i dobrze zarządzony majątek, znacznie został uszczuplony. Anusia była rozwiedziona z mężem. Ach jak mi przykro było, widzieć tego zacnego obywatela tym potrójnym ciosem znękanego!

Daléj były grubém piórem i wyraźnie z niechęcią napisane te wyrazy: — Baronowa wydała się za mąż.... to była sztuka, dowód największy jéj zrzeczności.

Na oddzielnéj kartce był narysowany krzyż, a pod nim data 13 stycznia 1809, i te kilka wyrazów:

„Kochany Emil zabity pod Saragossą. *Sit tibi terra levis.*”

JESZCZE SŁÓW KILKA O BRUKACH.

Odpowiedz na artykuł p. Klopmann, O brukach w miastach większych za granicą, w poszycie kwietniowym Biblioteki Warszawskiej zamieszczony.

Czynione powszechnie uwagi nad złym stanem Warszawskich bruków, częste ich na jednychże ulicach naprawy i przekładania, wynikające z braku systematu w robocie i z pominięcia najprostszych zasad technicznych, spowodowały mnie w roku 1843 do napisania krótkiej wiadomości o brukach Warszawskich, w której starałem się także skręślić zasady brukowania, niebędące moim pomysłem; lecz oddawna znane i powszechnie za granicą używane. Trafne zastosowanie dla nas takowych zasad, ze względu na materyał i miejscowe okoliczności, jest bezwątpienia nader ważném do rozwiązania zagadnieniem; sądziłem więc, że pismo moje wywołać powinno gruntowniejszy rozbiór tego przedmiotu, a zwłaszcza ze strony techników posiadających doświadczenie przy wykonywaniu tego rodzaju robót. Lecz traktując o rzeczy nie o osobach, nie mogłem spodziéwać się obudzenia czyjéj bądź niechęci. Z niemalém przeto zadziwieniem znajduję takową w artykule, w którym p. Klopmann po dwuletnim namyśle, występuje jako recenzent spostrzeżeń moich o brukach. Że jednak uwagi do mnie wymierzone, nie mają żadnego związku z ulepszeniem bru-

ków Warszawskich, przeto zostawiam je bez odpowiedzi, a przechodzę do bruków.

Szczegóły o brukach zebrane przez p. Klopmann w czasie podróży do obcych krajów, i w rozprawie jego zamieszczone, niewiele z naszymi brukami mają wspólności; jednak z nich widzimy, że zagraniczni technicy myślą o ulepszeniu bruków, tworzą w tym celu przepisy i starannie robót dozorują. Lecz nacóż komu zda się naprzykład wyliczenie nazwisk dwudziestu kopalń kamieni na bruki Paryżkie, i ciężkość młotów tamtejszych brukarzy? albo też dokładne wyszczególnienie wymiarów kostek granitowych Wiedeńskich ze skał nad Dunajem wyrabianych, i tym podobne wiadomości, podane jakby dla okazania, że takich bruków w Warszawie mieć nie możemy? Przeciwnie, to coby się przydać mogło, i wszystko co piszący o brukach Warszawskich mówi, nie jest dokładnym. Wspominając np. o kopalniach naszych w Sandomirskim i Kieleckim, piszący radzi zrobienie próby i obmyślenie środków ułatwiających sprowadzenie do Warszawy: a przecież dobrze mu wiadomo, że znany zaszczytnie z użytecznych prac inspektor Kommunikacyj, półkownik Urbański, zwróciwszy oddawna uwagę na obfitość kamieni pod Rachowem nad Wisłą, które dla zbytnej twardości nie były dotąd w budownictwie używane, zamierzył przed dwoma jeszcze laty sprowadzić pewną ilość tych kamieni do Warszawy na bruki, i to nawet w r. z. już uskutečnił; próba zaś w porze stosownej wykonaną zostanie. Jeżeli więc transport i wyrób kostek, nie okażą się zbyt kosztownymi, temu mężowi winną będzie Warszawa dobre bruki z twardego piaskowca.

Przypomnieć tu wypada, że również próby bruków z kamieni zwyczajnych na betonie sadzonych, odbywane

były u nas w ulicy Miodowej, podług wskazania inspektora Kommunikacyj p. Pancer. Gdy jednak ten znakomity inżynier, z powodu ważniejszych prac, bliższego nadzoru rozciągnąć nie mógł nad próbami rzezonemi, wykonane jak zwyczajny bruk, nieumiejętnie i w porze niewłaściwej pod okiem służby miejskiej, o użyteczności betonu żadnego nie mogły dać przekonania. Wielkie dzieło, budowa zjazdu do Wisły, podług projektu i pod kierunkiem p. Pancer wykonywane, nastreczy może sposobność powtórzenia podobnej próby.

Oddawna znaną jest technikom cegła przez p. Dowbor wyrabiana i okazywana w Zarządzie Kommunikacyj lądowych i wodnych. Doskonałym ona zdaje się materiałem na chodniki; nie wszyscy jednak znawcy którzy ten wyrób widzieli, sądzą, że na bruk środkowy ulic będzie wytrzymała, owszem większość przeciwnego jest zdania.

Nie ulega wątpliwości, że można korzystnie wyrabiać bruki z wielu innych jeszcze materiałów, przy stosowném ich używaniu i kombinowaniu, lecz do tego potrzeba mieć nieco trafności w sądzeniu, chęć niezmordowaną postępu, i lubić swój przedmiot dla samego przedmiotu.

Z rozprawy p. Klopmann (str. 154 wiersz 8 — 12) wnosić należy, iż on zajmuje się także obmyśleniem materiału doskonalszego na bruki od używanych dziś kamieni. Nim wszelako swój wynalazek ogłosi, nim inne próby okażą się dogodnemi, poprzestać musim na kamieniu polnym stanowiącym dotąd bruk środkowy, na wszystkich bez wyjątku ulicach Warszawy. Z kamienia tego, powtarzamy, mieć można *dobre* bruki, przy starannój robocie pod bacznym dozorem, *lepsze* przez dobiéranie i docinanie kamieni, *najdoskonalsze* przez foremne tychże

kamieni obrobienie. Bruki oczywiście, im doskonalsze tym droższe być muszą, lecz wytrwają także dłużej.

Otoż czynnością główną przełożonych nad brukami, prócz dozoru dobrego wykonania, powinno być ocenienie wytrzymałości każdego rodzaju bruku, porównanie kosztów różnych bruków z ich trwałością, wykazanie, jakie ztąd korzyści w ciągu lat kilkunastu wynikną, stosowanie nakoniec rodzaju bruku do miejsca. Takie tylko czynności prawdziwą korzyść dla miasta zjednać mogą. Zamiast drobiazgowych opisów bruków obcych, należałoby wykazać, kiedy i jakie ulice Warszawy były brukowane, przerabiane i naprawiane, wiele każda robota kosztowała, wiele użyto lub dodano kamieni. Oto praca użyteczna dla kraju. Bez takich bowiem wiadomości i bez starania o ulepszenie tego co posiadamy, bez dokładnego wreszcie rozpoznania środków, które już są pod ręką, przegląd obczyzny jest nawet bez celu.

Jeżeli zaś koniecznie potrzeba nam brać wzory z zagranicy, to przynajmniej bierzmy takie które mogą się na coś przydać. Piszący, wiele mówił o materiałach jakich u nas nie ma; czemuż więc nie zwrócił uwagi na bruki obce, wyrabiane z podobnego materiału jaki u nas się używa? Powiedzieć, że w miastach gdzie używają kamieni polnych, bruki są złe, mniej więcej do naszych podobne, to chociaż zbyt mało, jednak zbyt mylnie. Po wielu miastach, mianowicie w Berlinie, Frankfurcie, Bruxelli i Kolonii, bruki z kamieni polnych są dobre i piękne, o ile z takiego materiału, szczególnież też wykonane na sposób zwany w Niemczech *Lütticher Pflaster*.

Zwiedzając tyle miast dla rozpoznania bruków, nie godziłoż się wstąpić do Liège, do téj szkoły brukarzy? Przecież to miasto słynie ze sposobu wyrabiania bruków

z kamieni polnych, jak Wiedeń z fabryk powozów, jak Brabant z koronek; ztamtąd brukarze sprowadzani są umyślnie, do wszystkich większych miast Europy.

Opisy p. Klopmann dotyczące postępowania przy robocie bruków Wiedeńskich i Paryzkich, pomijając niepotrzebne drobiazgi, w tém co istotę dobrego bruku stanowi, zupełnie zgadzają się z wyłożonemi przeze mnie zasadami, jak np. o ubijaniu fundamentu, o należytej warstwie grubego piasku lub żwiru pod kamienie, o polévaniu bruku w robocie i t. p.

Przyjemną zaś jest wiadomość autora (jeśli ściąga się także do przełożonych nad brukami), że już żaden inżynier nie przypuszcza, aby obłakowatość bruków na ulicach formowała pewien rodzaj sklepienia: widoczny ten postęp w wyobrażeniach spodziewać się każe, iż nie wrócimy również do pochyłego ustawiania kamieni w kierunku podłużnym (aby się wzajemnie podpiérały), teorii, która się niemało do złego brukowania przyczyniała.

Nie mogę atoli przyznać się do zaszczytu uczynionego mi przez p. Klopmann, jakoby zaproponowany w miejsce obłakowatości, profil poprzeczny płaski, był zupełnie nowym jedynym pomysłem moim. Jak inne o brukach tak i ten pomysł nie jest moim, i nie może być nowym dla techników zajmujących się brukami. Oprócz powszechnego za granicą użycia tego profilu, obszernie i zasadnie o jego użyteczności mówi znany Berliński budownicz (*), w rozprawie pod tytułem: *Über die Mittel und die nöthigen Bauwerke zur Reinigung der Staedte &c.*, czy-

(*) A. L. Crelle dr. filozofii, król. Pruski tajny radca budowniczny, członek towarzystw uczonych w Berlinie, Petersburgu, Bruxelli, Neapolu i t. d.

taniej na posiedzeniu Akademii nauk w Berlinie w lutym 1842 i w tymże roku drukowanej, znaniej zapewne wszystkim inżynierom miast większych. W Wiedniu, Berlinie, Bruxelli i t. d., do wszystkich nowych bruków używają takiego płaskiego profilu, a jest rzeczą niewątpliwą, że te płaskie profile nie przeszkadzają w niczem zagłębieniu się z rynsztokami około trzech cali, bo tyle tylko potrzeba, aby woda nie płynęła ani łokciową ani sążniową szerokością. Co większa, umieją w miastach zagranicznych urządzać przy takim profilu mostki rynsztokowe, a poczęści zupełnie się bez nich obywać, gdzie nie są potrzebne.

Przejdźmy z kolei do asfaltów. Dla ogółu obojętną jest zapewne erudycya p. Klopmann o naturze asfaltu de Seysel i Val-de travers, o kombinacyach sztucznego asfaltu, z kamienia sprowadzonego z Auvergne, przy dodaniu maltu z Pireneów z Bastenne, albo z Lobsan; a tym mniej jeszcze interesować nas może wyliczenie, na jakich ulicach i po jakich cenach w Paryżu lub w Wiedniu wykonano roboty z rzeczonych materyałów. Większą bez wątpienia uczyniłby p. Klopmann przysługę, gdyby przynajmniej tę samą ciekawość jaką okazał dla rzeczy zagranicznych, udzielił także robotom w naszym kraju z miejscowych materyałów wykonanym. Wypada o nich pomówić nieco obszerniej, albowiem z powodu licznych i dawnych prób, nabyły do tego prawa.

W roku 1837, p. Wysocki inżynier, przedsięwziął pierwsze próby fabrykacyi i różnych zastosowań asfaltu nazwanego smołowcem. Nie zraził się mniej pomyslnemi wypadkami początkowych doświadczeń, ale przeciwnie w gruntowném tychże ocenieniu, szukał sposobów udoskonalenia rzeczy. Wzorowa jego w tym względzie wy-

trwałość, w następnych latach pomyslnym skutkiem uwieńczoną została; przekonywają o tém liczne roboty smołowcowe w Warszawie wykonane, a między innemi, wylany powtórnie w roku 1838 chodnik przed gmachem banku na ulicy Elektoralnój, już rok siódmy bez uszkodzenia utrzymujący się. Pokrycia zewnętrzne kruchty kościoła katedralnego, fabryki wernixów, przy młynie parowym i galeryi łączącej pawilony Saskiego pałacu. Ozdobna mozajkowa posadzka w sali giełdowój; z robót zaś później, gdyż dopiero przed parą laty wykonanych, chodniki około zamku, przed kościołem Bernardynów, na tarasach zamkowych. Płaskie dachy w posesyach Nr. 85 na Kanonii, i Nr. 1056 przy ulicy Grzybowskiej. Nakoniec, zastosowania smołowca do bruków kamiennych i drewnianych, z których ostatnie chociaż wymagają jeszcze dłuższego doświadczenia, to jednak już dotąd obiecują lepsze wypadki od próbowanych za granicą różnych sposobów użycia drzewa na bruki ulic.

W ogólności, lubo natura odmówiła naszemu krajowi asfaltu de Seysel i Val-de-travers, i nie uposażyła nas maltem z Bastenne, z Lobsan i kamieniem z Auvergne, to przecież pochlubić się możemy, iż roboty wykonane u nas z Polskiej smoły, marglu i wapna, nie ustępują zagranicznym asfaltowym dziełom, a nawet przewyższają takowe liczbą użytecznych zastosowań.

Otrzymanie tak pomyslnych wypadków, wymagało zapewne nietylko mozolnej pracy i wytrwałości, ale nadto poświęcenia znacznych funduszów na liczne próby i doświadczenia rzeczy w kraju naszym zupełnie nowój. Pan Klopmann jednakże nie uznał godnym swojego pióra, oddanie należnej w tym względzie sprawiedliwości gorliwym usiłowaniom współziomka, chociaż jako inżynier

miasta Warszawy, miał większą jak ktokolwiek sposobność gruntownie takowe ocenić; a byłby może przez to uniknął w swojej rozprawie wielu mylnych wniosków nad tém, co widział za granicą.

Za to donosi nam, że on pierwszy wykonał w Warszawie próbę robót smołowcowych, lecz, że ta nie udała się, gdyż smołowiec ze smoły roślinnej, tak dalece zwietrzał, że pod nogami pokruszył się.

Niezaprzeczając roszczonego pierwszeństwa, czynię tylko uwagę, iż z próby wykonanej podług zagranicznej recepty, nie należało jeszcze tak stanowczo o rzeczy wyrokować. Pan Wysocki używa także smoły roślinnej do fabrykacyi smołowca, a przecież roboty, które powyżej wymieniliśmy, skutków zwietrzenia bynajmniej nie okazują; przeciwnie cienkie warstwy smołowca, użyte w różnych miejscach na pokrycie sklepień i wyskoków muru, utrzymują się wybornie i po upływie lat kilku, nawet na zewnętrznej powierzchni, nie dają spostrzedz żadnej zmiany od pierwotnego stanu.

Części żywiczne do utworzenia smołowca potrzebne, znajdują się tak w mineralnej, jako i roślinnej smole. Przez odpowiedni stopień wygotowania, każdy gatunek smoły musi być poprzednio oczyszczonym z wody, oleju, (*huile essentielle*) i terpentyny; gotowanie więc pozbawia właśnie smołę lotnych pierwiastków, smołowcowi niepotrzebnych.

Złe wypadki pierwszych prób smołowcowych, nie pochodziły ze zwietrzenia smołowca, lecz jak to już kilkakrotnie pan Wysocki udowodnił, miały powód w zbyt czynnem wygotowaniu i niejako przepaleniu smoły, która dała smołowiec twardy, lecz kruchy i łatwo pękaniu ulegający. Doświadczenie dopiero nauczyło, iż elastyczność

jest najważniejszym przymiotem smołowca, i pierwszym warunkiem wytrzymałości we wszelkich zastosowaniach tego materiału.

Asfalt lub smołowiec przeznaczony na chodniki, po roztopieniu, musi być mieszany ze znaczną ilością żwiru. Żwir takowy głównie wpływa na wytrzymałość warstwy smołowca, przeciw zużyciu jej przez chodzących.

Wytrzymałość więc tego rodzaju chodników zależy będzie: 1) od ilości ruchu na chodniku odbywającego się, 2) od grubości warstwy żwiru asfaltem powiązanego, 3) od gatunku tegoż żwiru, bo łatwo przewidzieć, iż na przykład wapienny żwir z Sekwany prędzemu ulegnie zużyciu, jak kwarcowy z Wisły. Trudno zatem zrozumieć bezwarunkowe zawyrokowanie p. Klopmann, iż na chodnikach wytrwać mają: asfalt naturalny lat siedm, naturalno-sztuczny lat sześć, a czysto sztuczny tylko lat pięć.

Innego w tym względzie przekonania nabyli zapewne przedsiębiorcy robót smołowcowych w naszym kraju, kiedy przedstawili rządowi deklaracją, iż podejmują się zaprowadzić w Warszawie chodniki smołowcowe, za połowę kosztu marmurowych chodników, przyjmując na siebie odpowiedzialność i obowiązek utrzymania takowych w najlepszym stanie, przez przeciąg lat dziesięciu. Deklaracja takowa, znana jest zapewne p. Klopmann, jako byłemu inżynierowi miasta Warszawy; dlaczegoż więc o niej zamilczał wtedy, gdy jak się zdaje, w rozprawie swojej zamierzył udzielić nam dokładnych wiadomości o chodnikach smołowcowych?

Nie jest także uzasadnionem twierdzenie, iż chodniki asfaltowe, dłużej jak kamienne wilgoć utrzymują, i że dlatego za granicą dawane są wyłącznie na otwartych placach lub szerokich ulicach, gdzie przez działanie słońca

i przewiew powietrza, łatwiej wysychają. Nie można przecież przypuszczać, aby smołowiec przesiąkał wodą, jak drzewo lub ziemia. Wiadomo, że warstwa smołowca na chodniki wylana, przed zastygnięciem posypuje się drobnym żwirkiem; ztąd świeżo odlane chodniki mają powierzchnią szorstką, wilgoć i błoto nieco dłużej utrzymującą; lecz niedogodność ta jest tylko przemijającą, gdyż po krótkim użyciu, smołowiec otrzymuje zupełnie gładką, a jednakże nie śliską jak marmury powierzchnię, nader przyjemną dla chodzących. W miastach zagranicznych, chodniki asfaltowe dawane są tak na wązkich, jak na szerokich ulicach; a gdyby nawet było inaczej, to przecież zdanie obcych nie może być dla nas prawidłem niezmienném, skoro każdy naocznie przekonać się może, iż chodnik smołowcowy przed gmachem banku na wązkiej Elektoralnej ulicy, nie sprawdza zarzutów uczynionych przez p. Klopmann asfaltowym trotoarom.

Oddanie tu należnej sprawiedliwości, gorliwym i użytecznym pracom spółziomka, zdawało mi się tym potrzebniejszym, że gdy tak liczne próby i zastosowania smołowca, wykonane przez p. Wysockiego, wszystkie bez wyjątku doskonałemi być nie mogły, błędne i niedokładne przedstawienie wypadków, mogłoby zapewne tamować dalszy postęp tej gałęzi przemysłu, z prawdziwym dla kraju pożytkiem rozwiniętego; a nadto zniechęcić tych wszystkich, którzy o ulepszeniu bruków lub czynieniu doświadczeń, pomyśleć mogą.

Wilhelm Kolberg.

WILCZEK

przez

Antoniego Czaykowskiego.

Doliną bystra Strypa bieży,
A tu na górze zamek stoi,
Więwa chorągwią z górnjej wieży,
I przekopami boki zbroi;
Ma most zwodzony z silną broną,
A w zamku mieszka Wilczek z żoną.

Wilczek, to szlachcic z prapradziada,
Przeto barankiem jest w kościele,
A jak wilk, płoszy obce stada,
Gdy do rąk chwyci karabelę;
Na zjazdach zdrowém zdaniem świeci,
I kocha Boga, kraj i dzieci.

A pani, zacna białogłowa,
Śpięwa godzinki, kądziel przedzie,
Dziatwę w bojaźni bożej chowa,
Rządna gosposia, zajrzy wszędzie,
To do nabiātu, do czeladzi,
Biędnych opatrzy, chorym radzi.

A co tam dworzan, na tym dworze!
Jest komu stanąć, bić się komu!
A co tam gości! miłyż Boże!
Toć gość do domu, Bóg do domu:
Bóg błogostawił gościnności,
Było i na dwór, i na gości.

I szło wesolo, jakby z płatka,
Ptasiego chyba brakło mlęka,
Bog z swą czeladką, a czeladka
Na swego Boga nie narzeka;
I tak przejrzysto płynie życie,
Jak bystra Strypa w swém korycie.

Aż nagle błysły straszne łony,
I coraz bliżej, jaśniej płoną;
Toćto Tatarskie mkną zagony,
Toćto wsie nasze popalono;
Toćto lud biędny trapią nędzą,
A dzielnych brańców w jassyr pędzą.

Mógł Wilczek w zamku spać bezpiecznie,
Ale kraj w ciężkiej był potrzebie,
A on kraj kochał tak serdecznie,
Iżby zań chętnie oddał siebie;
Więc żegna żonę, ściska dzieci,
I na Tatarów z hufcem leci.

Patrzała żona długo, długo,
Na dziarskie konie, dzielne męże,
Wiejące skrzydła nad kolczugą,
Na buzdygany i oręże,
Patrzała długo rozboleła,
I nie prócz żalu nie widziała,

Oni zniknęli, ona czeka,
Coraz to łony mniej żarzące,
Niebo się pali już zdaleka,
A tuman jakiś mknie po łące;
Powraca garstka porąbana,
W końcu zwycięzka, lecz bez pana.

A pan od ostrój poległ strzały,
Gdzieś mu tam kruki pogrzeb sprawią,
Wiatry *requiem* będą grały,
Dészcze się tylko nad nim złzawią;
Wdzięczna go ziemia nie przywali,
A imię jego przejdzie dalej.

W zamku żałoba, pusto wkoło,
Wdowia podwika, suche oczy,
Wybladłe lica, smętne czoło,
Aż się nakoniec łza potoczy;
A z nią i rozpacz w żal się zmieni,
Jak chmura niknie wśród strumieni.

Ze łzą westchnienie w niebo leci,
Dalej modlitwa, cicha, szczera,
Posępne cienie wpół rozświeci,
I błogą przyszłość wpół roztwióra;

Cichym pokojem duszę wieńczy,
Jak słońce chmurę blaskiem tęczy.

A czas na wszystko jest lekarzem,
I sześć lat w życiu, to nie chwila;
Już też i pani przed ołtarzem,
Z nowym małżonkiem głowę schyla;
Zmarłemu jednak zawsze święci,
Z tkliwém westchnieniem łzę pamięci.

I znów ubiegło cztery lata,
Gdy raz wieczorem pątnik wchodzi;
Włos rozpuszczony, długa szata,
Dokoła rzewném okiem wodzi;
A kiedy wstąpił w gród wspaniały,
To się zatrzymał, tak drżał cały.

A państwo właśnie przy wieczerzy,
Wkoło nich chłopcy siedzą wieńcem;
Wszedł pątnik, panią okiem mierzy,
Twarz mu się dzikim łśni rumieńcem,
Czoło się chyli, krok nieśmiały,
Słowa na ustach mu konały.

A pan go wita w Boże imie,
I stawia pełen puhar miodu:
„Spocznijże z nami cny pielgrzymie!
Z jakiegoż teraz wracasz grodu?”
„Idę z daleka do ojczyzny,
Wracam z jassyru, z Tatarszczyzny.

Jeszcze daleko, a czas ciecze,
Niech za gościnność Bóg odplaci”.
Wstał, aż syn pani tak doń rzecze:
„Maszże pielgrzymie! krewnych, braci,
Którym twój powrót boleść skróci?
O! czemuż ojciec nasz nie wróci!”

A pielgrzym zadrżał, twarz odwraca,
Potém się chłopcu na pierś rzucił;
O synu! ojciec twój powraca!
Synu! twój ojciec już powrócił!
I wśród uniesień pątnik siwy,
Nagle na ziemię padł nieżywy.



O POMIARACH WYSOKOŚCI MIEJSC

przez uważanie spólczesnych stanów barometru, ze względem lub bez względu na ciśnienie pary w atmosferze, oraz o bardzo prostym nowym sposobie obliczania tychże wysokości.

przez

Jerzego Bog. Pusza.

Uważając spólcześnie stan barometru w dwóch miejscach, obliczyć można podług wiadomych prawideł, różnicę ich wyniesienia.

Dotychczas przy podobnych pomiarach, używając do obliczenia sławnej formuły Laplasa, zwykle uważano tylko na ciśnienie całej atmosfery, które barometr wskazuje, po sprowadzeniu wszakże stanu merkuryusza w rurkach barometru do jednej i téj samej stałej temperatury. Bessel dodał do téjże formuły wyraz $x + x'$ (czyli stan pary wodnej w powietrzu, w górném i dolném stanowisku). Patrz *Schumacher, Astronomische Nachrichten*, tom XV, Nr. 357, str. 366.

Gdy stanowiska są zbliżone, a ztąd mała różnica w wyniesieniach miejsc, naówczas uważanie ciśnienia pary wodnej w atmosferze, mało wpływać będzie na wypadek rachunkowy, szczególniej zaś z tego powodu, iż w razie

takim zwykle ciśnienia te w wyższym i niższym stanowisku, mogą być jednakowe; bez uważania ich jednak, ostateczny wypadek zupełnie dokładnym nie będzie.

Jeżeli stanowiska są odległe, lub między ich położeniem pod względem wyniesienia znaczna zachodzi różnica, oczywista rzecz, iż wypadek pomiarów barometrycznych niedokładnym wypaść może, skoro względ nie będzie miany na hygrometryczne oznaczenie ciśnienia pary wodnej w obu stanowiskach, i gdy toż od ciśnienia całej atmosfery odciągnięciem nie zostanie, albowiem w takim razie, prężność pary wodnej w obu stanowiskach może być różną.

Uważam przeto za rzecz konieczną, aby wówczas, gdy idzie o dokładne oznaczenie za pomocą barometru różnic wysokości, czynione były spostrzeżenia jednoczesne, i poprawki następowały podług jednakowych zasad do wyznajdowania średnich barometrycznych oznaczeń, z potrąceniem ciśnienia pary wodnej w atmosferze.

Dlatego téż równie potrzebném jest uważanie obok oznaczeń barometrycznych, odmian psychrometrycznych, jak i temperatury merkuryusza na termometrze. Bez tego, oznaczenie wysokości za pomocą barometru, czyli spostrzeżenia hypsometryczne, nie byłyby wolne od niektórych niedostateczności, które tym tylko sposobem usunąć się dają.

Dla okazania, jakim sposobem poprawki wprowadzają się, gdy ciśnienie pary jest rozmaite, następujący posłuży przykład:

Roczny stan barometryczny (czyli ciśnienia całej atmosfery), w przecięciu z lat siedmiu (od r. 1837 do 1843) przeze mnie uważany, i według obserwacyj codziennych Bran-

desa w Salzuffel poprawiony, wynosił po zredukowaniu na 0 Réaumura:

w Warszawie = $b = 332,458$ linij Par.;

w Krakowie = $b' = 328,923$ linij Par.;

średnia poprawiona temperatura powietrza z tychże lat siedmiu, była w Warszawie = $t = + 5,672$ °R.

zaś w Krakowie = $t' = + 5,595$ °R.

$$x = \frac{50^{\circ},3' + 52^{\circ},3'}{2} = 51^{\circ},8'$$

Różnica zatem między wzniesieniami poziomów barometrów na obserwatorium Warszawskim i Krakowskim, wypada podług formuły Laplasa, przy użyciu do obrachunku tablic hypsometrycznych Gaussa = 271,92 st. Par.

Licząc zaś podług arcywygodnego sposobu skrócenia rachunku, podanego przez Babineta, przy użyciu potrzebnych poprawek, okazuje się tylko 268,43 st. Par. jak to jeszcze poniżej zobaczymy. Że zaś sposób podany przez Babineta przy miejscowościach w jednej szerokości geograficznej, i gdy różnice wyniesień nie przechodzą 3000 stóp Par., wykazuje je z taką dokładnością, iż te porównane z obliczeniami podług formuły Bessla, zaledwie w setnych częściach stopy różnicę in minus okazują; przeto wynalezione ilości 271: 268 st. Par., nie mogą być uważane za zaspokajające, i z nich okazuje się, iż w samym sposobie obliczenia błąd zachodzić musi.

W tych siedmiu latach (1837 — 1843), średnia prężność pary wodnej w powietrzu atmosferycznym była:

w Warszawie = $x = 3,151$ linij Paryz.

w Krakowie = $x' = 2,909$ linij Paryz.

przeto ztąd znaleźć można wartość na $b - x$ i na $b' - x'$, to jest prawdziwą wielkość średniego ciśnienia powietrza

suchego w Warszawie i w Krakowie z lat siedmiu, a mianowicie będzie:

$$b = 332,458 - 3,151 = 329,307 \text{ linij Par.}$$

$$b' = 328,923 - 2,909 = 326,014 \text{ linij Par.}$$

Jeżeli ilości tych użyjemy do rachunku hypsometrycznego, okaże się różnica pomiędzy poziomem merkuryszu w obserwatoryum Warszawskiem, a Krakowskiem, obliczona podług tablic Gaussa $= 253,36$ st. Par.

$$\text{podług sposobu Babineta} = 253,14 \text{ st. Par.}$$

podług formuły Bessla $= 253,17$ st. Par., ztąd wniesć można:

1) Że odciągając od stanu barometrycznego, ciśnienie pary w atmosferze rozpostartej, chociaż podług którego bądź prawidła obliczać będziemy, otrzymuje się wypadki do siebie więcej zbliżone, aniżeli gdy się na toż ciśnienie pary względu nie daje.

2) Że różnicę wyniesienia Warszawy i Krakowa, obliczoną podług tej zasady na 253 st. Par. uważać należy za najwięcej dokładną, gdyż ona opiera się na średniej z obserwacyj lat 7miu, które oczywiście więcej pewności przedstawiają, aniżeli uważanie wysokości barometru przez dni 13 co dwie godziny, przez pp. Baranowskiego i Steczkowskiego, i z opuszczeniem względu na ciśnienie pary, a które okazało 237 st. Par. Przedmiot ten na szczególniejszą zasługuje uwagę, i byłoby do życzenia, ażeby kilku badaczy sprawdziło je swemi spostrzeżeniami, zwłaszcza, gdy to nastąpiło pomiędzy dwiema niepewnościami, których prawdziwe różnice wysokości znane są z niwellacyj, lub trygonometrycznych pomiarów, do czego ja sam, nie mam tu niestety sposobności. Przytém atoli zwrócić uwagę winienem na jedną jeszcze okoliczność, od której stopień dokładności

pomiarów wysokości za pomocą barometru wielce za-
wisł. Koniecznym jest również, aby obserwacje, na któ-
rych obliczenie ma się opierać, były nietylko jednocze-
śnie, ale i na dobrych i pomiędzy sobą porównanych czy-
nione narzędziach; wszelako powstaje zapytanie: jak da-
lece z tych jednoczesnych uwazań, wypadki były jedna-
kowe lub różne, stosownie do tego, czy do obliczenia
różnicy wysokości dwóch stanowisk używać będziemy
spostrzeżeń jednorazowych, lub wielorazowych z kilku
miesiący, albo wreszcie ciągłych z całego roku?

Będzie temu lat 20, jak mieszkając w Kielcach, czę-
ste czyniłem pomiary barometryczne na wielu punktach
w téj okolicy, w różnych dniach i różnych miesiącach;
porównyując je z moim stałym barometrem; w Kiel-
cach otrzymywałem z rachunku, raz zupełnie jednozgo-
dne wypadki, to znowu nieco odmiennie, mimo że względ
miéwałem na rozmaitość kierunku wiatru. W później-
szym czasie, wielokrotnie porównywałem podawane, je-
dnoczesne średnie miesięczne i roczne, a nawet kilkole-
tnie pomiary różnic wysokości między Warszawą, Wro-
cławiem i Krakowem; wypadki otrzymywałem raz nieco
większe, drugi raz nieco mniejsze, a ztąd wpadałem
niekiedy w wątpliwość, czy należy dowierzać pomiarom
hypsometrycznym za pomocą barometru. Zniesienie się
osobiste z professorem astronomii Bogusławskim z Wro-
cławia w r. 1844, w tym przedmiocie, doprowadziło
mnie do stwierdzenia mego zdania, iż nawet przy jedno-
czesnych spostrzeżeniach barometrycznych w dwóch sta-
nowiskach, mogą być wypadki niejednostajne, a to za-
leżyć będzie od tego, czy do rachunku używa się śre-
dnych z spostrzeżeń w jednoczesnych godzinach, lub téż
z jednoczesnych i wielokrotnych spostrzeżeń miesię-

cznych, albo wreszcie średnich z całego roku. Wypadki pracy tego rodzaju, przez p. Bogusławskiego z wielkim mozołem dokonanej, jużto wprost dla tego już dla innych celów, znajdują się w rozprawie jego, ogłoszonej w piśmie: „*Ubersicht der Arbeiten und Veränderungen der schlesischen Gesellschaft für vaterländische Kultur*” z r. 1843, w Wrocławiu 1844 w 4ce, str. 240—269.

W tém sprawozdaniu swém, obejmuje prof. Bogusławski spostrzeżenia meteorologiczne i czynności dla oddziału Towarzystwa Szląskiego badawczego w Sudetach w r. 1842 i 1843, a w dodatku mającym 41 stronnic, podaje szereg wypadków hypsometrycznych i klimatologicznych bardzo zajmujących. W dodatku tym (str. 14 — 19) dostrzedz można, iż różnice wysokości między Wrocławiem i 13 stanowiskami rozmaitemi, bardzo różne przedstawiają wypadki, co od tego zależy, czy wysokości te obliczone są z średnich rocznych ze wszystkich, albo z pojedynczych spostrzeżeń godzinnych z r. 1842, albo téż z średnich miesięcznych tegoż roku. Niektóre różnice są nawet dość znaczne; i tak np. różnica wyniesienia Kupferbergu nad Wrocław, obliczona z średniej rocznej w r. 1842 = 1154,3 st. Par. z średniej z miesiąca stycznia = 1194,7 st. Par. z średniej z miesiąca grudnia = 1104,45 st. Par. zatém między temi dwiema ostatniemi, zachodzi różnica 90,25 st. Pa., czyli— 40,4 i 49,85 porównywając z średnią z roku całego.

Nawet dla stanowisk w równej prawie wysokości będących, jak np. Wrocław i Bodenbach, wykazują się znaczne różnice; i tak według średniej rocznej z r. 1842 obliczając, leży Bodenbach niżej jak Wrocław o stóp 21; tymczasem biorąc średnią ze stycznia, wypada, że leży

wyżej od Wrocławia 22,08, a biorąc średnią z grudnia, iż leży niżej od Wrocławia stóp 64,22, zatem różnica ztąd stóp 86,3.

Dzięki mozolnej pracy prof. Bogusławskiego, przekonać się mogliśmy jak są niepewne obliczenia oparte na pojedynczych obserwacjach barometrycznych równo-godzinnych, i wyciągniętych ztąd średnich miesięcznych z jednego roku; wątpliwość tych wypadków staje się widoczniejszą i tym mniej na nich zasadzać możemy, gdy porównywając co prof. Bogusławski na str. 38 powiedział, uważamy, iż otrzymywane wypadki na zasadzie średnich z obserwacji równoczesnych z całego roku, są również niekiedy bardzo od siebie odległe. Jakoż np. miasto Kluczbork (Kreutzburg), pomiędzy Wrocławiem a Częstochową, według średnich z całego roku 1842 obliczone, leżeć ma 163,58 stóp Par. wyżej od Wrocławia; z średniej zaś otrzymanej z przecięcia z lat 13 (od 1824 do 1836 włącznie), w którymto czasie spostrzeżenia trzy razy dniem czynione były, leżeć ma 136,98 st. Par. Biorąc zaś wypadki z każdego z tych 13 lat oddzielnie, liczby otrzymane będą od tych odmienne, gdyż np. w 1836 okaże się tylko wysokość 51,91 st. Par., w r. 1826 zaś aż 199,75 st. Par.

Ztąd przeto niestety poczynić możemy wnioski:

1) Iż z jednoczesnych obserwacji barometrycznych, na dwóch od siebie niezbyt nawet oddalonych stanowiskach, różnica ich wyniesień da się tylko w sposobie przybliżonym oznaczyć, zwłaszcza, jeżeli zmiany ciśnienia pary wodnej w powietrzu, i wpływ zmieniających się wiatrów, nie były brane pod uwagę i rachunek.

2) Iż dla ścisłego niejako oznaczenia różnicy wyniesienia dwóch stanowisk, za pomocą pomiarów barome-

trycznych, potrzeba spostrzeżeń z lat wielu, i wziąć średnią z tych wszystkich lat, szczególnie zaś z tych spostrzeżeń, które czynione były w chwilach, gdy ciśnienie suchej jedynie atmosfery miało miejsce.

W podróży trudno używać przy czynieniu spostrzeżeń barometrycznych, tablic hypsometrycznych i tablic logarytmicznych do wyrachowań, dlatego też professor Bogusławski w powyż przywiedzionej swojej rozprawie, zwrócił uwagę na użyteczność stosowania metody podanej przez Babineta na d. 23 maja 1840 Towarzystwu filomatycznemu Paryżkiemu, i tam takowej używał przy obliczeniach hypsometrycznych, uskutecznianych dla oddziału Towarzystwa Szląskiego, zajmującego się badaniem Sudetów.

Metoda ta jest dziwnym sposobem prostą, i podług doświadczeń profesora Bogusławskiego w wypadkach przy jej użyciu obliczonych, tak dalece prawdziwą się okazała, iż w wynalezionych za pomocą niej lub formuły Bessla cyfrach, zaledwie w ułamkach stopy różnica zachodzi. Należałoby znajomość i użycie tego sposobu upowszechnić, i dlatego, celem przysłużenia się tym, którzyby jej użyć chcieli, wiadomość o niej udzielić tu zamierzylem.

Pan Babinet uważa ją za zupełnie wystarczającą do obliczeń dla miejsc, których różnice w wyniesieniu uważane, dochodzą 1,000 metrów. Oto jest działanie, na którym podany przez p. Babineta sposób polega. Jestto zwykła reguła trzech, do której układa się następująca proporcya: Tak się ma summa stanów barometrów na dwóch stanowiskach uważanych i do jednej temperatury przywiedzionych, : do ich różnicy (lub połowa ich summy do połowy ich różnicy, :: jak się ma summa tem-

peratur powietrza w obu stanowiskach uważanych, powiększona o ilość stałą, oznaczoną przez obraną wysokość słupa merkuryszu w termometrze, : do znajdującęj się pomiędzy temi stanowiskami liczby jednorodnych warstw powietrza, równej grubości, która to grubość zmienia się ze zmianą szerokości geograficznęj i wysokości miejsca.

Zkąd metoda ta wyprowadzoną została i jak jęj dowodzić wypada, tego Babinet nie podał; wszelako w powyżęj wskazyanych przez niego granicach, sprawdza się zupełnie.

Oznaczmy:

b , stan barometru w stanowisku niższém;

b' , stan barometru w stanowisku wyższém;

t , temperaturę w niższém stanowisku;

t' , temperaturę w wyższém stanowisku;

Δ stosunek $\frac{b - b'}{b + b'}$;

przyczém oba barometry mogą mieć podziałki dowolnie wielkie, byle sobie odpowiadające i równe.

N liczbę pośrednich warstw powietrza; w takim razie będzie:

$$b + b' : b - b' = C + (t + t') : N.$$

Tu pozostaje oznaczyć jeszcze sposobem empirycznym wielkość ilości stałej C podług podziałki termometru, i grubość warstw powietrza. Dla szerokości geograficznęj pomiędzy 50 a 52° , będzie następująca różnica wysokości, którą oznaczę przez \ddagger .

1) Używając stóp Angielskich i podziałki termometru Fahrenhejta : $\ddagger = \Delta (836 + t + t') 58,13$.

2) Używając metru i 100 stopniowego termometru: $\ddagger = \Delta (500 + t + t') 31,89$.

3) Używając stóp Paryzkich i stustopniowego termometru: $\ddagger = \Delta (500 + t + t') 98,175$.

4) Wreszcie używając stóp Paryzkich i 80cio-stopniowego termometru: $\ddagger = \Delta (400 + t + t') 122,72$.

Tu widzimy, iż rachuba jest bardzo łatwa; weźmy np. różnice wyniesień pomiędzy obserwatorium Warszawskiem i Krakowskiem, podług cyfr powyżej już podanych, będzie:

$$b = 332,458 \text{ linij Paryzkich } t = 5,672^\circ \text{ Réau.}$$

$$b' = 328,928 \text{ linij Paryzkich } t' = 5,595^\circ \text{ Réau.};$$

zatem ułożyć już możemy proporcją:

$$(332,458 + 328,923) : (332,458 - 328,923) :: 400 + 11,267 : N, \text{ czyli } 661,381 : 3,535 = 411,267 : N,$$

$$\text{ząd } N = \frac{3,535 \times 411,267}{661,381} = 2,196.$$

Ze zaś przy użyciu stóp Paryzkich i ciepłomierza Réaumura, grubość warstwy powietrza = 122,72 stóp Paryzkich, zatem $\ddagger = 122,72 \times 2,196 = 269,49$ stóp Paryzkich. Aby ilość ta zgodziła się z obliczoną podług formuły Bessla, potrzeba jeszcze dopełnić małą poprawkę, łatwą do wykonania.

Nazwijmy wynalezione wzniesienie = \ddagger' , będzie: $\ddagger = \ddagger' - 0,0010803 \ddagger' + 0,000000688 \ddagger'^2 = 269,53 - 1113 + 0,050 = 268,43$ stóp Paryzkich. Można sobie ułatwić działanie, biorąc wynalezione w tablicach logarytmicznych ważności dla \ddagger' i \ddagger'^2 , jakoż:

$$\log. 0,0010803 = 7,03355 - 10,$$

$$\log. 0,000000688 = 3,83711 - 10.$$

W ogólności możnaby całą poprawkę opuścić, gdyż ilość ta mało zmienia wynaleziony wypadek; a zatem sposób Babineta jest najłatwiejszym i najkrótszym, a w podróżach i przy niwellacyach barometrycznych najwygodniejszym, gdyż z ołówkiem w ręku, na miejscu zaraz obliczyć można z wielką ścisłością różnice wyniesień stanowisk uważanych.

Dnia 12 marca 1845.



Jeszcze uwag kilka

O TEMPERATURZE ŹRÓDEŁ I POWIETRZA W KRAKOWIE,

przez

Jerzego Bogumila Pusza.

P. Zejszner umieścił w poszycie marcowym Biblioteki Warszawskiej r. b. str. 656, odpowiedź na moje uwagi nad jego rozprawą o temperaturze źródeł Tatrowych, a mianowicie na dwa te moje twierdzenia:

1) Iż niedość dokładnie oznaczyłem średnią temperaturę źródeł.

2) Że temperatura źródeł nie zniza się o 1° termometru stustopniowego co 500 stóp wyniesienia (mianowicie nie w właściwych Tatrach wznoszących się nad okolicznymi płaskowzgórzami).

W ogólności uważam, iż p. Zejszner nie chciał w właściwym świetle uznać mego zamiaru, jaki miałem w napisaniu poprzednich uwag nad jego rozprawą, a mianowicie, iż chciałem tylko wykazać, że trudno jest bardzo wyciągnąć prawdziwe cyfry na oznaczenie średnich temperatur powietrza lub źródeł, kiedy spostrzeżenia są nieliczne, bez użycia w pomoc rachunku poprawkowego. Z tego też powodu, widzę się w konieczności dodania jeszcze niektórych objaśnień dla zakończenia sporu, a w każdym razie pragnę, aby różniące się obecnie nasze sposoby zapatrywania się na przedmiot ten, przez czynienie ciągłych obserwacyj usunięte być mogły, gdyż powtarzam: iż spostrzeżenia tak w téj jak

i w każdej innej gałęzi nauk przyrodzonych, najlepszym są kamieniem probierczym istotnej prawdy.

Co do I. P. Zejszner przyjmuje, że średnia arytmetyczna z 8^u jego obserwacyj przy źródle Glinnickiem w 7^u różnych miesiącach w ciągu lat 4, daje prawdziwą roczną średnią temperaturę źródeł w Krakowie, to jest: $9,87^{\circ} \text{C} = 7,896^{\circ} \text{R}$; a odciągając od tego średnią temperaturę roczną Krakowa, różnica między nimi będzie $1,7^{\circ} \text{C}$, (patrz w poszycie Biblioteki Warszawskiej z maja 1844 r. str. 264). Ja zaś byłem zdania, że sądząc podług obserwacyj p. Zejsznera, przyjąć należy nieco większą cyfrę na prawdziwą średnią temperaturę źródeł w Krakowie, a tém samym i różnica pomiędzy temperaturą źródeł i powietrza, nieco odmienna wypaść winna. Od tych moich twierdzeń, mimo wszelkich zarzutów p. Zejsznera w odpowiedzi jego, bynajmniej jednak odstąpić nie mogę, albowiem:

a) Różnica powyższa $1,7^{\circ} \text{C}$ ostać się nie może, gdyż cyfra ta wynika z pomyłki jaką p. Z. w rachubie przeoczył; odciągając bowiem od podanej przez pana Z. średniej temperatury źródła w Glinniku $9,87^{\circ} \text{C} = 7,896^{\circ} \text{R}$.
 średnią temperaturę powietrza w Krakowie, z średniej arytmetycznej z lat 23 obliczoną $9,18^{\circ} \text{C} = 7,35^{\circ} \text{R}$.
 pozostanie różnica. $0,69^{\circ} \text{C} = 0,546^{\circ} \text{R}$.

Lub téż odciągając od powyższej temperatury źródła Glinnickiego. $9,87^{\circ} \text{C} = 7,896^{\circ} \text{R}$.
 średnią temperaturę powietrza Krakowa z obserwacyj lat 11 lecz poprawioną. $8,3^{\circ} \text{C} = 6,64^{\circ} \text{R}$.
 wykaże się różnica $1,57^{\circ} \text{C} = 1,256^{\circ} \text{R}$.

Jakkolwiek licząc, nigdy do różnicy $1,7^{\circ} \text{C}$ nie dojdzie się, a przeto zachodzi w niej błąd liczebny, a sama różnica między $0,69^{\circ} \text{C}$, a $1,57^{\circ} \text{C}$ jest tak znaczną, że nie śmiemy wyrzec z pewnością, która z obu tych cyfr może być prawdziwszą.

b) Pan Z. nie objawia podmiotowego zdania swego w tym względzie, ani przechyła się na stronę żadnego

z dwóch powyższych sposobów obliczenia średniej temperatury rocznej Krakowa, to jest: czy należy przyjąć $7,35^{\circ}$ R., lub $6,64^{\circ}$ R., a wątpliwość swą tak wyraża (Bibliot. Warsz. za marzec r. b. str. 658): „Która z nich bardziej zbliża się do prawdy, nie tak łatwo rozstrzygnąć; obserwacje bowiem termometryczne w Krakowie wykonane nie są tak niezawodne, jak p. Pusz chce uważać, albowiem termometra użyte, nie były poprzednio rozpoznane, jak dalece są dobre, a zatem nie są te liczby nieulegające wątpliwości.” Tém wyjaśnieniem, niebardzo pochlebne daje pan Z. świadectwo obserwatorom Krakowskim, ale co gorsza zdaje mi się, iż należało raczej dla bronienia własnej sprawy, iżby pan Z. w wątpliwość takowych nie podawał. Co do mnie, nie mogę przypuścić, aby pan astronom Weisse i p. Steczkowski, termometrów swych nie byli porównali, i dlatego uważam ich obserwacje za prawdziwe, szczególnież zaś czynione od roku 1826, gdy od czasu tego używano Fortina termometrów. Wyjawiając wątpliwość, która cyfra może być prawdziwszą, czy $7,35^{\circ}$ R., lub $6,64^{\circ}$ R., zapewne nie zważał p. Z., iż tu do dania pierwszeństwa jednej nad drugą, istnieją niewątpliwe zasady. Liczba $7,35^{\circ}$ R. jest średnią arytmetyczną z obserwacji w Krakowie od lat 23, czyli 1826 r. czynionych, lecz nieciągle w tychże samych godzinach, bez użycia poprawek, które nawet tu nie dadzą się z pewnością zastosować, a zatem w ogólności jest liczbą wątpliwą; liczba $6,64^{\circ}$ R. zaś jest wypadkiem obserwacji wprawdzie tylko z lat 11, od 1826 do 1836, lecz cztery razy dziennie w jednych godzinach czynionych, poprawionych według godzinnych spostrzeżeń termometrycznych w Padwie i w Leith podług przepisu Kämtza, a zatem dają prawdziwą poprawioną średnią temperaturę roczną Krakowa. Jak dalece zaś różnica w tym razie jest stanowczą pomiędzy temi dwoma sposobami wyznajdowania średnich temperatur, raz jako średnią arytmetyczną, drugi raz jako średnią poprawioną, niech mi wolno będzie odesłać (dla skrócenia tu rozprawy), do dzieł: Kämtz, *Handbuch der Meteorologie*, i Dove, *Repertorium der Physik*. Żaden meteorolog w tej

mierze dziś już nie poddaje wątpliwości, iż dowierzać tylko należy wyrachowaniom tym drugim sposobem czynionym, a zatem i wahanie się pana Z., czy $7,35^{\circ}$ R, lub $6,64^{\circ}$ R jest więcej do prawdy zbliżoną cyfrą, nie jest uzasadnioném, skoro nie tak trudném jest rozstrzygnąć tę wątpliwość.

Że liczba $6,64^{\circ}$ R jest istotnie prawdziwém wyrażeniem średniej rocznej temperatury Krakowa aż do r. 1836, okazują to również zmuadne i długie obliczenia prawdziwych średnich rocznych temperatur Warszawy, Lwowa, Wrocławia, Opawy i Leobszycu, znajdujące się w obszerniejszej pracy mojej o klimatologii całej dawniej Polski, którą zamierzam drukiem ogłosić.

P. astronom Weisse był łaskaw nadesłać mi również dal-
sze swe spostrzeżenia od r. 1837 do 1843 w Krakowie czy-
nione, i z nich posiadam obliczoną średnią temperaturę z te-
go czasu. Zastosowawszy dla otrzymania prawdziwego
wypadku poprawek najwłaściwszych naszej szerokości geo-
graficznej podług obserwacyj godzinnych Brandesa w Salz-
feln, a które podług mego przekonania są właściwsze jak
Padewskie i z Leith,

okaże się średnia z lat 11 od r. 1826 — 1836 ... $6,755^{\circ}$ R.
podobnie z lat 7 od r. 1837 — 1843 ... $5,775^{\circ}$ R.

zatem w przecięciu z lat 18. $6,31^{\circ}$ R.
przeto jeszcze o $0,3^{\circ}$ R niższa od wynalezionej przez pp.
Weissa i Steczkowskiego, gdyż w latach ostatnich przypadają
zimne lata 1837, 1838, 1840 i 1842; zawsze jednak ztąd wy-
pada dowód stwierdzający, iż cyfra $7,35^{\circ}$ R w przecięciu
przyjętą być może. Dla czterech lat 1839, 1840, 1841
i 1843, w których p. Z. źródło w Glinniku uważał, średnia
temperatura poprawiona roczna Krakowa wypada $6,039^{\circ}$
R. = $7,549^{\circ}$ C.; tę przeto ilość należało p. Z. z dziennika me-
teorologicznego obserwatoryum Krakowskiego wyciągnąć
i obliczyć, gdy właśnie z tych czterech lat chciał wynaleźć
różnicę pomiędzy temperaturą źródła w Glinniku i powie-
trza w Krakowie, a byłaby wszakże wypadła nie $1,7^{\circ}$ C.,
lecz $2,32^{\circ}$ C.

Biorąc zaś średnią temperaturę powietrza w Krakowie z lat 18, byłaby mu wypadła z rachunku $=6,36^{\circ}$ R. $=7,65^{\circ}$ C.; zatem różnica powyższa $=1,92^{\circ}$ C.

c) P. Z. obserwował temperaturę źródła Glinnickiego w ciągu lat 4 i w 7 różnych miesiącach tylko razy 8, jakoto:

w styczniu 1839 r. $= 9,95$

w lutym. . 1840 „ $= 9,60$

w marcu . 1841 „ $= 9,75$

w marcu . 1843 „ $= 9,70$

w kwietn. 1841 „ $= 9,65$

w czerw. 1839 „ $= 10,00$

w lipcu . . 1843 „ $= 10,25$

w sierpn. 1840 „ $= 10,08$

Zatem średnia arytmetyczna $= 9,872^{\circ}$ którą p. Z. za prawdziwą średnią temperaturę źródeł w Krakowie przyjmuje.

P. Z. bez głębszego w rzecz wchodzenia, nie chce dozwolić, aby przypuszczenie to za wątpliwe uważane było; wszelako zdaje mi się, iż zbyt tanim kosztem chce nas zbyć, opierając się na 8 tylko obserwacyach dla wyznaczenia prawdziwej średniej temperatury źródeł jakieś okolicy.

Z codziennych pomiarów termometrycznych źródeł w Berlinie, oraz w moich w Warszawie dopełnianych 3 i więcej razy na dzień (czego prócz mnie inni nie robili), z starannych obserwacyj w Gdańsku, Upsalu, Edyburgu i t. d. dostatecznie okazać można, iż temperatura źródeł równie jak i temperatura powietrza, w rozmaitych porach roku w daleko mniejszym stosunku zniża się i podnosi, i że w ciągu roku dochodzi do pewnego minimum, a następnie regularnie do swego maximum podnosi się i znów zwraca się ku minimum.

Wątpię, aby na tém który badacz chciał poprzestać, iżby mu do oznaczenia średniej temperatury powietrza miejsca jakowego, przedstawiono średnią arytmetyczną z 8miu a dajmy nato nawet 80 lub 100 obserwacyj w ciągu jednego roku, i to bez wprowadzenia do rachunku poprawek? Same przejrzenia powyż przytoczonych obserwacyj temperatury źródła w Glinniku, wyraźnie wskazują, iż liczb tych nie można

przyjąć za średnie miesięczne; gdy bowiem według nich w Glinniku przypadłoby minimum w lutym, to tém samym w kwietniu średnia temperatura nie powinna być mniejszą jak w marcu. Gdyby i tam podobnie jak w Warszawie minimum przypadać miało w marcu, naówczas stopnie ciepła podane dla lutego i kwietnia, okazują się za niskie. Tym więc sposobem, obserwacye pana Z., wymagają poprawek, aby z nich prawdziwą średnią roczną temperaturę źródeł w Krakowie wyznaczyć można było.

P. Z. występuje z tém, iż dla oznaczenia téj średniej w Krakowie, ja moich obserwacyj Warszawskich użyć się poważylem, i utrzymuje, iż postępowanie to moje jest bezzasadne, gdyż źródła pod Warszawą wytryskują z gliny i piasku, a pod Krakowem i w Tatrach ze skał. Dobrze mi jest wiadomém, iż wpływ ziemi i skał przez które woda przepływa, jako różnej siły przewodników ciepła, na uwagę wzięty być powinien; lecz gdy źródło w Glinniku wypływa z utworu trzecio-rzędowego, w którym są naprzemian warstwy piaskowca, piasku i gliny, a w Warszawie przez piaskowe i marglowe iły przechodzi, ztąd przeto nie mogą się przedstawiać tak ważne różnice z wpływu tych gruntów jako przewodników ciepła. Gdy nadto od którejkolwiek strony Krakowa obserwacye żadne bliższe czynione nie były, nad te, które robiłem nad Warszawskimi źródłami, przeto najwłaściwiej użyć ich mi wypadało do poprawki 8 obserwacyj pana Z., i niejako byłem przymuszony użyć ich, nie mogąc odwołać się do żadnych innych. Jeżeli p. Z., może mi wskazać lepsze obserwacye w Galicyi, Morawii albo Szląsku, czynione w gruncie podobnym do Krakowskiego, przyjmę je z wdzięcznością i podług nich natychmiast poprawkę przedsięwezmę; nim zaś to który z nas dopełni, wyznaje, iż średnia arytmetyczna przez pana Z. podana, bynajmniej nie wskazuje prawdziwej temperatury źródeł pod Krakowem.

Co do 2go. W odpowiedzi na moje uwagi nad obliczonym przez pana Z. stosunkiem zniżania się temperatury źródeł na każde 500 stóp. mówi on: „Prawo zmniejszania się tempe-

ratury co 500 o jeden stopień, nie zostało wyprowadzoném jak to chce p. Pusz uważać z porównania temperatur źródeł Glinnika i Rzęcej-wody pod Lubniem, ale 5 głównych źródeł na różnych wysokościach leżących, poczynając od wyniesienia nad morze 650, aż do 3481"; zapomnieć atoli musiał p. Z. co napisał poprzednio (w Bibliot. Warszaw. poszyt z maja 1844 r. stro. 265); iż: „porównawszy źródło Glinnika z Rzęcą-wodą Lubnia, pokazuje się, że ostatnia jest o $+ 1,40^{\circ}$ C niższa, a zatem temperatura wód źródłanych zmniejsza się co 500 stóp Paryzkich, o jeden stopień podziałki stustopniowej”; mnie się zdaje, że to było bardzo wyraźnie napisane, a powołując się na to, nie odstąpiłem od tego co sam p. Z. powiedział.

Gdy więc obecnie p. Z. (l. c. str. 660 i 661) twierdzi: iż źródła leżące na 3500' wysoko, nie podlegają prawu przez niego wskazanemu, a nadto iż zmniejszanie się to o 1° C na 500' ściąga się tylko do letnich miesięcy, to zdania nasze się nie różnią. Gdy wszelako p. Z. dodaje, że nie utrzymywał, jakoby prawo to do wyższych gór stosować się miało, zwrócić winienem uwagę, iż tego domyślić się nie mogłem z twierdzenia jego (w zeszycie majowym 1844 r. str. 266), które przeciwnie temu zmniejszaniu się temperatury źródeł w skali przez niego podanej, do 4550' doprowadza i oblicza,

Pan Z. twierdząc, iż średnią temperaturę dla Nowogotargu, z kilku obserwacyj wyprowadziłem i obliczyłem, i że jest nieuzasadnioną, czyni mi niesprawiedliwy zarzut, co może ztąd pochodzi, iż niedość jasno się wyraziłem. Nie na kilkuto obserwacjach opieram się, lecz na większej liczbie onych przez pewnego znacznego urzędnika Kamery, przez nie wiem jak długi czas czynionych, a których następnie użył A. v. Sydow w swoich uwagach nad Bieskidami i środkowemi Karpatami, i umieścił w podróży tej wydanej w Berlinie r. 1830, gdzie na str. 178 przytacza, iż średnia temperatura lata ma być = $+ 11,66^{\circ}$ R.

zimy = $- 4,03^{\circ}$ R.

całego roku = $+ 3,815^{\circ}$ R.

Przypuszczając więc, iż obserwujący, do miesięcy letnich liczył czerwiec, lipiec, i sierpień, a do zimowych grudzień, styczeń, i luty, i zamieniając stopnie Réaumura na stustopniowe, położyłem $+ 3,815^{\circ} R = 477^{\circ} C$, jako średnią temperaturę roczną dla Nowegotargu; wprawdzie nie jest to bezwzględnie pewna cyfra, wszelako porównywając ją z średnią temperaturą roczną Krakowa i Kiezmorku, zdaje się bardzo do prawdy podobną.

KRONIKA LITERACKA.

Północna godzina, dramat Szekspira, przekład Johna of Dycalp. Wilno, u Zawadzkiego, 1845, in 12-mc, 192 str.

Przytoczymy najprzód treść dramatu, należącego do liczby mniej znajomych dzieł Szekspira.

Sebastyan i Viola, bliźnięta, tak do siebie podobne, że jedynie po ubiorze rozróżniano brata od siostry, gdy odbywają razem podróż morską, nad brzegiem Illiryi okręt rozbija się; kapitan z Violą dostaje się do lądu w małej łódce, a ubolewającą nad stratą brata pociesza zapewnieniem, że widział, jak Sebastyan ucepiony do masztu płynął śród zburzonej fali, i w inném miejscu mógł przybić do brzegu. Uspokojona nieco Viola, rozmyśla co z sobą począć w obcym kraju; dowiaduje się od kapitana: że tu panuje książę Orsino, znajomy niegdyś jój ojcu, zakochany w pięknej Oliwii, która jednak ofiarę ręki jego odrzuca, bo pogrążona w smutku po śmierci ojca i brata, na lat kilka zupełnie usunęła się od ludzi. Viola najprzód okazuje życzenie umieszczenia się przy Oliwii, lecz gdy kapitan jój tłumaczy, że to niepodobna, wpada na myśl przebrania się po mężku, i pod nazwiskiem Cezario, jako paź, wchodzi do służby księcia. Bardzo rychło mniemany paź zyskuje całą przychylność księcia Orsino, który na chwilę bez nowego ulubieńca obejść się nie może; tę przychylność Cezario, albo raczej Viola, odplaca tajemną najżywszą miłością. Orsino posyła pazia

swego do nieprzystępnej Oliwii, z poleceniem, aby usiłował zmienić jej postanowienie. Cezario zwycięża wszystkie trudności, widzi się z Oliwią, lecz ta po długiej rozmowie oświadcza mu, że księcia nigdy kochać nie może i żadnych od niego poselstw więcej słuchać nie chce, chyba by Cezario sam raz jeszcze chciał przyjść z doniesieniem, jak Orsino przyjął jej odpowiedź. Oliwia bowiem przy pierwszej rozmowie z pięknym paziem, namiętnie się w nim zakochała, pragnie więc co rychlej widzieć go znowu u siebie; i gdy Cezario z rozkazu księcia drugi raz do niej przybywa, Oliwia otwarcie już wyznaje mu najgorętszą miłość. Wyznanie to, jak się łatwo domyśleć można, jest daremne: mniemany paź, głuchy na czułe zaklęcia i prośby, odpowiada stanowczo, że poprzysiągł *nigdy żadnej nie kochać* kobiety. Gdy tak Viola kocha się w księciu, księżę w Oliwii, a Oliwia wzdycha do przebranej za pazia Violi, po kilku scenach naturalnie wynikających z takiego położenia osób, poeta wprowadza Sebastjana, brata Violi, tak bardzo do niej podobnego, który równie jak siostra uszedł śmierci, i niemal przekonany o jej zgonie, teraz udaje się do dworu księcia Orsino. Sebastjan od wszystkich brany za Violę, spotyka Oliwią, która ponawia mu namiętne wyznania; on, lubo zdziwiony, słucha jednakże nie tak oziębło jak wprzód słuchała siostra, i owszem ujęty wdziękami hrabianki, okazuje wzajemność; a gdy Oliwia, uradowana tą zmianą, pragnąc sobie zapewnić niespodziane szczęście, żąda aby z nią natychmiast wziął ślub, Sebastjan chętnie zezwala. Wkrótce potem przybywa księżę. Oliwia doń wychodzi i widzi przy boku osobę którą ma za swego męża, osobę, która jednak wypiera się nie tylko wszelkiego z Oliwią związku, ale nawet jakiegokolwiek do niej przywiązania. Całe *qui pro quo* rozwiązuje nadejście Sebastjana; brat poznaje siostrę; Oliwia odzyskuje męża; księżę Orsino dowiadując się, że mniemany paź jest kobietą, rozumiejąc teraz dopiero prawdziwe znaczenie wielu jej słów, co dlań dotąd musiały być zagadką, ogłasza ją panią serca swojego i rękę jej oddaje.

Takie jest tło sztuki, bynajmniej niecelując nowością wynalezienia, ani podobieństwem do prawdy. Jestto nic więcej, jak dosyć pospolita *novella*, wyjęta z jakiego dawnego, najprędzej Włoskiego, powieścio-pisarza, *novella* dramatyzowana, raczej dyalogowana, przerobiona dla sceny, zapewne dla wygodzenia chwilowej potrzebie truppy aktorów, do której Szekspir należał. Nieraz już przedtem użyto nadzwyczajnego podobieństwa bliźniąt za główną sprężynę komedyi; zna je teatr starożytny; sam Szekspir inną jeszcze sztukę na niem zbudował, w której dla większego skomplikowania sytuacji, wprowadza dwie pary takich bliźniąt: dwóch panów i dwóch sług. W utworach tego rodzaju głównie zręczność autora na tém polega, żeby zawsze jedna tylko z tych osób znajdowała się na teatrze, żeby dopiero przy rozwiązaniu obie razem wychodziły na scenę.

Chociaż więc dramat, jako dramat, małej jest wartości, niepodobna, aby oryginalny gieniusz Szekspira dotknął się przedmiotu, a nie zostawił na nim właściwego sobie jedyne piętna. Rzeczywiście też, jakkolwiek poeta traktował główną akcją lekko, zanedbanie, z niejakiem nawet ironicznym lekceważeniem, wprowadził jednak do niej kilka figur epizodycznych, na które rozlał szczodłą ręką skarby humoru i dowcipu. Są niemi: *sir Tobiasz Łyk*, wuj Oliwii prawie zawsze pijany; godny jego towarzysz, wierny naśladowca *sir Andrzej niedołęga*, konkurrent do ręki Oliwii; *Malvolis*, marszałek jej dworu, zarozumiały głupiec; wreszcie *blazen*, trefniś, który tu jak wszędzie w dawniej komedyi znaczną gra rolę. Sceny, w których te osoby wychodzą, sceny z główną akcją zaledwie słabą nicią związane, są właśnie najlepsze, najoryginalniejsze, i na nich bez wątpienia Szekspir powodzenie utworu swojego zakładał.

Każda literatura Europejska, powinna by koniecznie posiadać tłómaczenie dobre i zupełne wszystkich dzieł wielkiego Angielskiego dramatyka. Lecz tłómaczenie dobre niełatwe, i Szekspira na każdy prawie język według innych zasad tłómaczyć trzeba. Niemcy wzięli sobie za правило

największą doskonałość i podobieństwo zewnętrznej nawet budowy każdego niemal peryodu; tak wielkie wymagania dały się osiągnąć, bo natura obu języków jest ta sama, bo nadto, co rzecz główna, wykonania przekładu podjęli się dwaj mistrzowie stylu, Schlegel i Tieck. W Polskim języku, taka dosłowność, takie niewolnicze naśladowanie formy, uczyniłyby tłumaczenie twardém i niesmaczném; u nas sztuka tłumacza na tém zależy, aby niegwałcąc swojej mowy, nie ubliżył jednak wierności, i zachował nietylko wszystkie właściwe cechy, ale i cały wdzięk oryginału; zadanie bez wątpienia nader trudne, i tym trudniejsze, im większa różnica natury języków, z powodu której musi zostawiona być tłumaczowi pewna dowolność w oznaczeniu granicy, do której ścisłość i wierność przekładu ma być posunięta.

Niemniej ważnym względem musi téż być cel, dla którego przekład został zrobiony. Jeden tłumacz obiéra sobie jaki dramat Szekspira do przełożenia go w taki sposób, aby na dzisiejszym teatrze mógł być grany; będzie to raczej naśladowanie niż przekład; wzór w tym rodzaju zostawił Szyller w obrobieniu Makbeta. Inny znowu, przy zachowaniu całej wierności, zamierza w tłumaczeniu przedstawić dzieło sztuki, któreby bez względu nawet na oryginał, samo w sobie, wykonaniem, doskonałością formy, odpowiadało najwyższym estetycznym wymaganiom; będzie to ideał tłumaczenia: kopia wprawdzie, ale kopia zrobiona przez wielkiego malarza; tak Józef Korzeniowski przełożył króla Jana. Zwyczajne nakoniec tłumaczenie, nie sięga tak wysokiego celu i nie tą skalą powinno być mierzone; żądamy po niém, aby dało poznać autora w wierném chociaż słabszém odbiciu, aby zachowując ściśle jego myśli, nie zacierало charakteru jego stylu; będzie to coś nakształt ryciny zrobionej podług olejnego malowidła; układ, formy, efekt światła, gradacye cienia zostały, kolorów tylko brakuje.

Nim zastosujemy te uwagi do przekładu *Północnej godziny*, niech nam wolno będzie uczynić jedno pytanie: jaki był cel tłumacza? na co się przydała w Polskim języku osobna publikacya jednego z najmniej ważnych dramatów

Szekspira? Jaki użytek z tego ułamku, który oderwany od ogółu dzieł wielkiego poety, nieskończenie tracić musi? Dla sceny dzisiejszej przydać się nie może: akcja oparta na złudzeniu wzroku widzów, mogła mieć niejaką nadzieję złudzenia w czasie nowości swojej, bo wtedy, za dni Szekspira, role dziewcząt grywali zawsze młodzi chłopcy; owoż także obsadzenie roli przeciwi się dzisiejszym wyobrażeniom o przyzwoitości teatralnej. Nie sądźmy też, aby p. Dycalp uważał swoje tłumaczenie za mające swoją właściwą wartość wewnętrzną, za dzieło sztuki; widocznie nie miał tej pretensyi, bo aż nazbyt lekko traktował podjętą pracę. Rozumiemy tłumaczenie pojedynczych kolosalnych dramatów, jak Hamlet, Makbet, Lear, Romeo i Julia, Otello, z których każdy jest całkowitym, w sobie zamkniętym, osobnym światem; rozumiemy tłumaczenie pojedynczych dramatów, mogących dać poznać całą jedną dziedzinę wielostronnego gieniuszu Szekspira, i równie bylibyśmy wdzięczni za wyborny przekład fantastycznej Burzy, Snu nocy letniej, jak uwielbiamy Korzeniowskiego przekład dramatyzowanej kroniki o królu Janie; ale tłumaczenie osobne *Północnej godziny* naco się zdało? jakie może mieć znaczenie? czy z tego dramatu pozna kto wielkość, umysłową potęgę Szekspira? bynajmniej; gdyby sztuka ta nie znajdowała się w zbiorze dzieł *lubego labędzia Awonu* (jak go Anglicy radzi nazywają), niktby o niej nie wiedział, niktby jej nie czytał, chyba jaki szperacz zamiłowany w Gockim druku.

Nietrafność wyboru rodzi niekorzystne uprzedzenie o dobroci tłumaczenia, a uważne jego porównanie z oryginałem, nie każe nam w tej mierze zmieniać zdania. Co do wierności materalnej, niewiele mielibyśmy do zarzucenia, i usterki w tej mierze zdarzają się wprawdzie, ale nie są zbyt liczne. Tytuł: *Północna godzina*, nie odpowiada Angielskiemu *Twelfth-Night*, co znaczy *wieczór*, albo *noc trzech królów*. Na str. 110 czytamy w Polskiem o łóżku olbrzyma Ware; gdy tymczasem Szekspir mówi o łóżku znajdującem się w mieście Ware w Anglii; łóżko to stało niedawnemi je-

szcze czasy w tamecznym domu zajezdnym, i mogło pomieścić dwanaście osób. Str. 124 *wise woman*, źle oddane przez *akuszerka*; tu tłumacza omyliło Francuzkie *sage-femme*; *wise woman*, jest z professyi doktorka, wróżbiarka. Moglibyśmy więcej podobnych naliczyć przykładów, ale wolimy zastanowić się nad rzeczą daleko ważniejszą, t. j. estetyczną wiernością przekładu. Czy tłumaczenie Johna of Dycalp daje wyobrażenie stylu manieri Szekspira? czy odbija się w niem zewnętrzna forma w jaką Szekspir odziewa swe myśli? Na to stanowczo i bezwarunkowo musimy odpowiedzieć: *nie*. W komedyi niniejszej dwa są rodzaje stylu całém niebem od siebie różne. Gdzie występują osoby istotnie do akcji głównej potrzebne, księżę, Viola, Oliwia, Sebastyan, mówią wiérsem, mówią stylem bujnym, kwiecistym, tym stylem wytwornym, który w końcu XVIgo wieku od Hiszpanów i Włochów cała prawie przejęła Europa: coby nas zbyt razić w nim mogło, przesada i nadużycie obrazów i porównań, to szczęśliwie łagodzi efekt samego języka, który się zestarzał, zachował wprawdzie całą moc i dosadność, ale już nie jest dzisiejszy. Tak, na obrazie olejnym, jaskrawe z początku były kolory; ale w przeciągu lat pociemniały, i postęp czasu zlał je w harmonijną całość.

Gdzie znowu wchodzą osoby epizodyczne, Tobiasz, Andrzej, Malvolio, błazen, tam mowa jest rubaszna, ucinkowa, epigrammatyczna.

Tytuł honorowy *Knight*, ironicznie dawany sir Andrzejowi, wszędzie znajdujemy tłumaczony przez rycerz: *mylisz się, rycerzu; o rycerzu! potrzebny ci jest teraz spory kubek kanaryjskiego*. Prawda że wyraz *Knight* właściwie znaczy rycerz, ale tu wzięty za tytuł, nie powinien inaczéj być oddany jak przez kawaler (*chevalier*); podobnie np. *Knight of the Garter* nie powiedzielibyśmy po Polsku rycerz ale kawaler orderu podwiązki.

Koncepta, żarty, igraszki słów, składają w dramatach Szekspira wielką część scen, tych mianowicie, gdzie wychodzi błazen. Opuszczać ich nie należy; bardzo rzadko wierne i zrozumiale przełożyć się dadzą, a ponieważ żart do

którego trzeba komentarza, musi być ekliwy, tłumacz zaś winien miejsca takie zastąpić czémś własnym, odpowiedniem; mamy wszakże prawo żądać po nim, aby zręczną wstawką wynagrodził konieczny brak ścisłości. Pan John of Dycalp w tém nienader był szczęśliwy. Wybierzmy jedno tylko miejsce, aby nad miarę nie rozwlekać i tak już długiego artykułu. W scenie V aktu I, służąca Marya mówi błaznowi że pani za włóczęgę powiesić go każe. Tłumaczymy dialog najprzód dosłownie:

„*Blazen.* Więc niech wiesz: ten kto dobrze jest powieszony na tym świecie, nie potrzebuje bać się żadnej barwy (chorągwi wojskowej).

Marya. Dowiedz mi tego.

Blazen. Bo nikogo już nie zobaczy, kogoby się potrzebował bać.

Marya. Dobra sucha odpowiedź. Mogę ci powiedzieć gdzie się urodził ten sposób mówienia: nie lękać się chorągwi.

Blazen. Gdzie, dobra panno Maryo?

Marya. Na wojnie; śmiało możesz to w swoim głupstwie powtórzyć.”

Nie znamy w Polskim języku wyrażenia: *nie bać się chorągwi*; całe to więc miejsce dla nas musi być dosyć blade. Czuł to pan John of Dycalp i tak je oddał:

„*Blazen.* Więc niech wiesz! kto na tym świecie został należycie powieszonym, dla tego już niestraszne nocne mary.

Marya. Czemuż to?

Blazen. Bo się one ciągną po ziemi, a kto wisi ten wznosił się nad ziemię.

Marya. Twoja odpowiedź uszlaby za dowcipną w Suchedni. Ale jeśli chcesz, mogę cię nauczyć z kąd wziął początek ten wyraz *mara*?

Blazen. No, z kądże, proszę panny?

Marya. Z tych dwóch sylab: *ma* i *ra*! możesz śmiało pomieścić to w zbiorze głupstw swoich.”

Szczerze wyznamy, że zdaniem naszym to *ma i ra!* nie jest ani kęs lepsze od ustępu w oryginale, który niém tłumacz zastąpił.

Więrsze nierymowe (co w zupełności pochwalamy, bo rytmowany Szekspir przestaje być samym sobą), więrsze słabe, bez harmonii, bez życia, bez jędrności, nie dają wyobrażenia manieri Szekspira, dziwnych arabesków, któremi myśl swą zdobi; proza wodnista, niedołączna, ociężała, psuje najżywsze sceny. Co chwila napotykamy frazesy ułomne, podobne do następnych: (str. 64), „jeśli się wam podoba pożegnać moją panią, *to jest ona gotowa przyjąć to pożegnanie*; (str. 67) odkąd posłaniec wyszedł od pani, *jest ona* w największym stopniu niepokojną; (str. 101) otoż jesteśmy uprzedzeni (ma znaczyć wyprzedzono nas)”. *Północną godziną* nie wylegitymował John of Dycalp, ani zdolności ani powołania do obdarzenia nas Polskim Szekspirem. Niewielkać to sztuka, umiając po Angielsku oddać jako tako szkielet myśli autora; ale tego niedosyć, na tém poprzestać nie możemy. Tłómaczenie Szekspira jest wielkie zadanie; aby mu podolać, trzeba być artystą, mieć czyste czucie estetyczne, trzeba zamiłowania, wytrwałości, sumiennój pracy, surowego sądu własnej roboty. Kiedy się znajdzie pisarz co to wszystko w sobie połączy, a czego w Johnie of Dycalp nie znajdujemy, wten czas będziemy mieli Szekspira po Polsku. Korzeniowski pokazał czego na tém polu dokazać można, ale dla dobra literatury własnej, wolimy żeby pisał oryginalnie. Bądźmy mu wdzięczni, że przynajmniej dał wzór, dał miarę, podług której sądząc, śmiało wyznać możemy, że ani niesmaczny przekład dawniejszy Kefalińskiego, ani kulawe więrsze i ociężała proza Johna of Dycalp, Polskiemu czytelnikowi poznać Szekspira nie dadzą.

Bemerkungen über die Mundart der polnischen Niederschlesier, von Robert Fiedler, Pastor zu Medzibor. (*Uwagi nad dyalektem Polskim w niższym Szląsku, przez Roberta Fiedler, pastora w Międzyborzu*). Wrocław. 1844. 39 stron. in 8^o.

Autor liczy w całym Szląsku 7—800,000 dusz ludności mówiącej dotychczas po Polsku; w szczególności zaś w niższym Szląsku, nad którego dyalektem się zastanawia, ludności takiejże naznacza głów 100—120,000. Dyalekt Polski niższego Szląska, ma się różnić od języka książkowego (Hochpolnisch), czyli czystej polszczyzny, wymawianiem, mnóstwem archaizmów, oraz zdarzającemi się dosyć gęsto giermanizmami. Co do wymawiania, różnice przez autora wykazane, nie są zbyt uderzające. U niższych Szlązaków niekiedy brzmi *a* jak *o*, zamiast *ja, pan*, mówią *jo, pon*; głoski *cz, sz, szcz, ż*, brzmią jak *c, s, sc, z*; mówią zatem *cekaj, Kalis, szczęście, żywot*. Niewyraźnie wymawiają *ł*, np. *nąka, nawa*, zamiast *łąka, ława*. Wszystkim wiadomo, że wymawianie takie nietylko u Szlązaków słyszeć się daje. W Krakowskiem i całej stronie zachodniej naszego kraju, jest powszechne między ludem wiejskim. Co do form przestarzałych, niżsi Szlązacy często używają jeszcze liczby podwójnej *dwie lecie, dwie nodze, dwie słowie*; niekiedy 6ty przypadek liczby mnogiej kończą na *oma*, zamiast na *ami*: *rączkoma, wołoma*; w drugim przypadku zamiast *pracy, krwi, ziemi*, mówią: *prace, krewie, ziemie*. U nich, bodaj jednych, utrzymała się jeszcze dawna forma *bych*, zamiast *bym*: *jabych dał, byłbych ja posłał, żech tu szedł*. Od Niemców przejęli zwyczaj używania w słowach liczby mnogiej, na znak uszanowania np. *co mówią?* albo *co oni mówią*, zamiast *co pan mówisz? oni są doma*, zamiast *pan jest w domu*; podobnież *ojciec poszli do ogroda, matka żyją*. Wszakże ten ostatni sposób wyrażania się i u naszego ludu nie jest rzadki. Czystemi giermanizmami są *dwa dwadzieścia, trzy dwadzieścia*, zamiast *dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy*, i t. p. *Ciężko tu idzie jechać*,

wystać, zamiast *wytrwać*; niektóre wreszcie wyrazy z Niemieckiego żywcem przejęli: *bruta* (Braut) panna młoda: *hysa* (Haus) sień, *prosto* (gerade) właśnie, *kirchówek* (Kirchhof) cmentarz i t. p. Uwagi samegoż pastora Fiedlera przekonywają, że mowa Polska niższych Szlązaków bynajmniej osobnym dyalektem nie jest; że to owszem mowa czysto Polska, do której tylko przez naturalny wpływ okoliczności wkradła się pewna liczba wyrazów i wyrażań z niemczyzny przejętych.

Autor zamieścił w dodatku kilkanaście piosnek, które zebrał między ludem swojej parafii: między niemi są wcale ładne, lecz co do języka nie różnią się bynajmniej od śpiewek ludu w Poznańskim, Mazowieckim lub Krakowskim. Dołączył jeszcze ciekawą powiastkę o *wilku wędrownym*, oraz oracyą jako *drużbowie gości na wesele proszą*.



ROZMAITOŚCI.

O uraganach.

Każdemu zapewne znane są okropne klęski, jakie sprawia niekiedy powietrze, gdy wyszedłszy ze zwyczajnego stanu, przybierze pęd niezwykły, gdy ten żywioł, nabywszy nadzwyczajnej siły, sprawia takie skutki, jakich człowiek, wysiliwszy cały swój przemysł, a nawet za pomocą potężnych i silnych machin teraz odkrytych, zdziałać nie może. I w samej rzeczy, jakież siły człowieka przemysłem wywołane, zdolne są w jednej prawie chwili zniszczyć zabudowania, wysuszyć staw wyniosłszy z niego wodę w powietrze ze wszystkimi tworam i w niej znajdującymi się i przeniść ją niekiedy na dość znaczną odległość, powrywać drzewa z korzeniami, i tym sposobem, nawet przez odwieczny las drogę sobie uścić? Podobne jednakże skutki sprawić może powietrze, gdy w biegu wirowym przebiega okolicę. Zjawisko to, które uraganem nazywamy, może powstać na lądzie stałym, nad jeziorami lub rzekami, albo na otwartém morzu, i w każdym razie słusznym strachem przejmuje mieszkańca, podróżnego lub żeglarza, który je zdaleka spostrzeże.

Sposób pojawiania się uraganu, czas trwania i skutki jakie sprawia, tak są rozmaite, że każdy tego rodzaju fenomen ma coś szczególnego; można zawsze upatrzeć przy

uważaniu jego, szczegóły, których przy innych tego rodzaju zdarzeniach nie było; aby więc mieć ogólne pojęcie o tém pod rozmaitemi kształtami ukazującym się zjawisku, sądzę, że najlepiej zrobię, jeżeli przytoczę kilka z nich spostrzeżonych i opisanych, ze szczegółami mogącemi wyjaśnić nadzwyczajne i niezupełnie jeszcze objaśnione zjawiska.

Pojęcie o nich można mieć z opisu uraganu, które skrzęślił professor Grossman według swych obserwacyj we Francyi nad rzeką Mozella w okolicach Trewiru w 1829 r.

Około drugiej godziny po południu, za miastem Trewir we wschodnio-północnej stronie Ruweru i Pfalzel, około 20 stopni nad poziomem, pojawił się fenomen, który zadziwił, i w pół godziny przejął strachem ludzi pracujących w polu.

Niebo po niedawno spadłym deszczu było jeszcze pokryte chmurami, gdy nagle zwewnątrz czarnego obłoku unoszącego się na północno-wschodniej stronie, ukazała się czerwona chmura, zaczęła się poruszać w kierunku przeciwnym, i gwałtownie rozdarła ten obłok; przybrał on wkrótce u góry kształt komina, z którego wychodził dym szary i czasami pokazywał się płomień przez wiele razem innych otworów, a z taką siłą, jak gdyby był rozdmuchiwany przez miechy.

Meteor przybył nad winnicę Dysburga, leżącą naprzeciw Ruweru, gdy z południa z prawego brzegu Mozelli, przy poziomie, pokazał się nagle nowy meteor; rozproszył on masy węgla ziemnego nagromadzone naokoło drzewa, przewrócił robotnika około nich pracującego, i przeszedł Mozellę z takim łoskotem, jaki daje się słyszeć, gdy wielka liczba kamieni toczy się razem. Woda wzniosła się w wysoką kolumnę. Postępując z tymże łoskotem, zawsze przy ziemi, meteor ten przeszedł pola Pfalzel, pozostawiwszy wyraźne ślady swój drogi w kształcie zygzaku, przez pola okryte zbożem i jarzynami. Część jarzyn była zupełnie spustoszona, inna część przytłoczona do ziemi, reszta wyrzucona i przeniesiona daleko.

Wiele kobiet, około których przeszedł meteor, omdlało; inne bardziej oddalone, skryły się, lub uciekły z krzykiem.

Dwóch robotników, którzy schronili się na drzewo, obserwowali meteor w całym jego przechodzie; inny był tak odważny, że postępował za nim, i było mu z początku łatwo dokonywać zamiaru idąc zwyczajnym krokiem: lecz w jednym z zygzaków, które opisywał meteor, uniesiony został jego wirem. Czuł on się już to pociągany naprzód, już gwałtownie podnoszony; nachylił się, i udało mu się nareszcie po wielu trudnościach oprzeć mocno o ziemię za pomocą rolniczych narzędzi, które niósł z sobą. Wtém na bok odrzucony został, wir go opuścił; i postępował dalej.

Nie czuł on żadnego szczególnego zapachu ani smaku w tej chwili, tylko huk ogłuszający. Upewnia, że postrzegł dwa kierunki wiatru, z których jeden wznosił się ukośnie pociągając z sobą gałęzie, kłosa i inne ciała lekkie, drugi zaś miał kierunek przeciwny. Droga, którą sobie meteor przez pola torował, miała według rozmaitych doniesień 10 do 18 kroków szerokości, długości zaś 2100 kroków; kształt uraganu zbliżony był do ostrokągowego; kolor zaś, już to szary, już żółty, już ciemnopopielaty, a najczęściej ognisty. Nad tym meteorom był drugi, prawie od niego równoległy, bardziej na północy; przedstawiał on przez 18 minut wielką popielatą masę, która zdawała się czasami wyrzucać czerwony płomienisty dym, i który, patrząc nań z odległości, miał kształt węża 140 kroków długiego, którego głowa była w kierunku północno-wschodnim, a ogon w przeciwnym. Po 18tu minutach, ogon zaczął się zniżać, i w chwili której się dotykał ziemi, cały fenomen znikł; w tymże czasie znikł także i meteor niższy, niewydawszy żadnej eksplozyi, ani w wyższej, ani w niższej części (zapewnia to naoczny świadek), lecz wtenczas nieprzyjemny zapach siarki rozszedł się po całej okolicy.

W chwili zniknięcia uraganu, powstała burza w lesie, położonym na północno-wschodniej stronie tego miejsca, w którym się pokazał meteor, i towarzyszył jój grad nadzwyczajnej wielkości.

Na większą jeszcze uwagę zasługuje uragan pustoszący 18 czerwca 1839 r. okrag Chatenay w kantonie d'Ecouen, w departamencie Sekwany i Oazy. Pan Peltier dla dokładniejszego zdania sprawy o tém zjawisku Akademii Paryzkiej, odbył podróż na miejsce w którym ono zaszło, wyszukał licznych jego świadków, wybadał ich szczegółowo, i z poszukiwań swych tak zdaje sprawę:

„Od rana zabiérało się na burzę w południowej stronie Chatenay. Około 10 godziny pojawiła się ona w dolinie położonej pomiędzy wzgórkami d'Ecouen i pagórkiem Chatenay. Chmury dość wysoko unoszące się, zatrzymały się nade wsią i dały powód do mniemania, że burza nie postąpi dalej. Grzmoty huczały ciągle. Około południa, druga burza, nadchodząc równie z południa i postępując dość szybko, posuwała się ku téjże płaszczyźnie i ku temuż pagórkowi. Przybywszy do końca płaszczyzny nad Fontenay, przybliżyła się do pierwszej, i zastanowiwszy się w niejakiéj odległości, zostawia przez chwilę świadków téj sceny w niepewności o swym dalszym kierunku. Do téj chwili, grzmot dawał się słyszeć w późniejszej burzy, teraz nagle, jedna z chmur zewnętrznych, zniżając się do ziemi, doszła aż do niej; wtedy zaczęło się silne przyciąganie, ciała lekkie pokrywające powierzchnią ziemi, wzbily się z piaskiem pod obłoki, dawał się słyszeć ciągły huk; małe obłoczki przesuwał się i kręcąc, otaczały ostrokrąg przewrócony; tu więc uformował się uragan. Pewien obserwator, p. Dufour, mając dogodną pozycyą, widział ostrokrąg zakończony u podstawy ognistą czapeczką, gdy przeciwnie pastérz Olivier, będący w tychże miejscach, lecz otoczony wirem pyłu, nie widział nic podobnego.

Drzewa rosnące na południowo wschodniej stronie uraganu, nadwreżone były od północno zachodniej strony, obróconej do niego. Części uszkodzone, nadwreżone były głęboko. Druga połowa każdego drzewa, zachowała soki i wegietacyą. Uragan posuwał się wzdłuż doliny na granicy Fontenay, około drzew posadzonych przy strumyku (wtedy bez wody, lecz jeszcze wilgotnym). Tam wszystko połama-

wszy, powyrywawszy drzewa z korzeniami, przeszedł na drugą stronę, zniszczył plantacyą drzew, i zatrzymał się kilka minut (jakoby niepewny swęj drogi); poczem poszedł pod chmury piérwszėj burzy.

Chmury te, dotąd stojące, odepchnięte przez uragan, zaczęły się chwiać i toczyć ku zachodniej dolinie Chatenay. Uragan zaś, zatrzymany jakeśmy rzekli na płaszczyźnie, gdy ją spustoszył i wysuszył, posunął się ku zwierzyńcowi zamku Chatenay, pustosząc wszystko w swym przechodzie. Przybywszy w tym zwierzyńcu na wierzchołek pagórka, obrócił w gruzy jedno z najprzyjemniejszych mieszkań okolic Paryża; zwierzyniec stracił najpiękniejsze drzewa, szkółka tylko drzew umieszczona na uboczu, ocalała; mury były obalone, zamek i folwark straciły dachy i kominy, z których drzewo, żerdzie, krokwie, dachówki i cegły porozrzucone były po całej okolicy. Uragan zeszedł następnie z pagórka ku północy, zatrzymał się nad stawem, przewrócił i zniszczył połowę drzew, pozabijał wszystkie ryby, zeszedł wolno wzdłuż alei wiérzb, których korzenie dochodziły do wody; w tym przechodzie straciwszy większą część swęj siły i gwałtowności, postępował wolniej po przyległej płaszczyźnie. Potém rozdzielił się na dwie części około klombu drzew blisko Chatenay; jedna z tych części wzniosła się w obłoki, druga rozpostarła się po ziemi.

W tém ogólném zdaniu sprawy, mówi dalej p. Peltier, opuściłem umyślnie stan drzew, odkładając to na później. Wszystkie dotknięte trąbą okazują też same znaki; soki ich wyparowały, włókna straciły siłę skupiającą; są one tak wysuszone, jak gdyby były dwa dni trzymane w retorcie nagrzanęj do 150°; nie zostało ani śladu wilgoci. Ta ogromna ilość pary, nagle utworzona z soków drzew, nie mogła ujsć inaczej, tylko roztrzaskawszy drzewo, rozumie się w podłużnym kierunku, w którym włókna mają mniej ścisłości. Pni 1500 świadczy, że drzewa, po których one zostały, służyły za konduktory silnej elektryczności, piorunom nieustannym, że temperatura mocno podniesiona przez ten przepływ płynu elektrycznego, wyparowała nagle całą wilgoć

z tych organicznych konduktorów, że ta nagła ewaporacya, była przyczyną roztrzaskania się ich, i że tak wysuszone, roztrzaskane, stawszy się złemi przewodnikami, były złamane od wiru towarzyszącego uraganom.

Śledząc bieg tego zjawiska, widzimy przemianę burzy zwyczajnej w uragan, widzimy spotykające się dwie burze; wyższą nieruchomą, niższą zaś objawiającą się za pomocą chmur obładowanych elektrycznością. Wyższa burza odpychając drugą do ziemi, zniżyła jej chmury do tego stopnia, że ustalona była komunikacya ich z ziemią przez wir pyłu i przez drzewa. Za ustaleniem takiej komunikacyi, przestaje już huk grzmotu, wyładowania elektryczne uskuteczniają się przez konduktory, uformowane ze zniżonych chmur pyłu i drzew płaszczyzny. Temperaturę tych drzew elektryczność tak wzniosła, że w jednej chwili wszystkie ich soki wyparowały, i drzewa prężnością powstałej pary zostały rozdarte. Widziano płomień, kule ognia, iskry towarzyszące temu meteorowi; zapach siarki w domach przez trzy dni później czuć się dawał, firanki były przysmalone. Wszystko więc przekonywa, że uragan służy za przewodnika elektryczności, przy ciągłym wyładowywaniu chmur wyższych."

Okoliczność, że ryby w stawie były zabite, dała powód p. Peltier do wniosku, że wyładowanie elektryczne miało miejsce nad stawem; „bo, mówi, gdyby elektryczność przeszła w wodę bez wyładowania iskrą czyli piorunem, ryby nie byłyby zabite;" zdanie to opiera on na doświadczeniach które sam wykonał, i które okazują, że gdy przez wodę wprost przejdzie strumień elektryczny, zwierzęta w niej będące nie zdają się nic cierpieć; gdy tymczasem po przepuszczeniu mocnej iskry nad wodą, większa ich część ginie w téjże chwili.

Pan Peltier po zdaniu sprawy o początku, ruchu i spustoszeniach uraganu, któren przeszedł okęgi Fontenay-les-Louvres i Chatenay, 18 czerwca, odpowiadał wielu członkom Akademii, którzy zadawali mu pytania, i żądali objaśnienia niektórych faktów trudniejszych do zrozumienia.

Z odpowiedzi pana Peltier, dają się wyciągnąć wnioski: że uraganom lądowym towarzyszy zwykle ogień lub iskra; przeciwnie morskim, obce jest to zjawisko, lub przynajmniej bardzo rzadkie. Różnica ta według niego pochodzi od złego przewodnictwa ciał, tworzących że tak powiem konduktor wewnętrzny uraganów lądowych. Konduktor ten jest złym przewodnikiem, bo składa się z pyłu, piasku i innych ciał lekkich, znajdujących się na powierzchni ziemi i będących z temi przewodnikami. Ciała te wyładowują uragan przez ciągłe następstwo komunikacji między nim i ziemią, komunikacya zaś tworzy się przez przyciąganie i odpychanie ciał naelektryzowanych. Elektryczność przechodzi niekiedy do ziemi za pomocą drzew, znajdujących się na drodze przechodu uraganu, lecz i w tym razie konduktor nie jest dostateczny; siła jego przewodnicza bardzo się zmniejsza, gdy część drzew wyschnie przez wyparowanie soków.

Zresztą, i ziemia sama jest tylko średnim przewodnikiem elektryczności, mianowicie w wierzchnich, mało wilgotnych warstwach; przejście więc jęj w ziemię uskutecznia się powoli.

Zupełnie jest co innego, gdy woda morska tworzy uragan; tu nietylko przewodnik jest bez porównania lepszy, lecz podstawa na której spoczywa cały ostrokąg, daleko więcej sposobna do przyjęcia elektrycznego płynu; natężenie chmury nie jest wtedy dostateczne do wydania wystrzału między ostokręgiem i powierzchnią morza, gdyby to natężenie stało się silniejszym, wtedy większa część wody byłaby przyciągnięta, kolumna jęj stałaby się grubszą a następnie przewodniczość większa.

W niektórych jednak przypadkach, zdarzają się eksplozye w ostokręgu lub w obłoku który go podnosi; ma to miejsce wtedy, gdy komunikacya jest nagle zmniejszona, albo zupełnie przerwana przez jakąkolwiek ustronną przyczynę, jak to widziano w uraganie 12 lipca 1782 r. na północ wyspy Kuby; w chwili, gdy kolumna była przerwaną przez

kulę armatnią, zjawił się błysk, usłyszano grzmot i piorun wpadł na inny statek będący w małej odległości.

Teorya uraganów. Gdy dwa wiatry gwałtowne, z przeciwnych stron płynące, natrą na chmurę lub powietrze, nadać im mogą bieg wirowy. Im gwałtowniejsze wiatry, z tym większą chyżością obraca się kolumna powietrza na którą one natarły. Z wirowego biegu tworzy się siła odpychająca, która odrzuca na bok wszystko co wewnątrz téj kolumny wpadnie. Tym więc sposobem siła odpychająca rozrzedza ciągle i wypróżnia wewnątrz kolumny, w którą z dwóch jéj końców wpada wewnątrz wszystko, co może być przyciągnięte przez powietrze z pewnej odległości, jakoto: woda, chmury i t. p.

Takiéj teoryi trzymał się p. de Maistre, jak to wskazuje raport jego do p. Dausse w 1832 r..

Jeżeli kolumna utworzyła się w wyższych częściach obłoków, wciąga ona w siebie natenczas wodę morską, wodę z jezior i rzék, lub piasek, wznosząc je ku punktowi środkowemu uraganu; jeżeli utworzyła się w krainie średniej pomiędzy ziemią a obłokami, wtedy wciąga razem i obłoki i wodę, lub ciała odosobnione i lekkie; gdy wreszcie utworzyła się blisko ziemi, wciąga chmury w kolumnę (podobną do kolumny wody, o której wyżej była mowa); lecz w tym przypadku więcej ona jest rozszérzona przy wiérzchniej podstawie i mniej regularna, bo większą massę chmur jako gatunkowo lżejszych może w siebie wciągnąć, niż wody lub innych ciał np. piasku, gdy się utworzy nad piaszczystemi puszczami Libii i Nubii. W tym ostatnim przypadku, pokazuje się ona według opisu wędrowców w postaci słupa, jakby ogniem pałającego, pędzonego z wielką szybkością siłą wiatru, pochłaniającego w siebie massy rozpalonego piasku, dusząc i zabijając wędrowców na drodze spotkanych. Gdy uragan nie jest gwałtowny, mogą się niekiedy uratować podróżni, kładąc się twarzą na ziemię i dech w sobie zatrzymując; lecz przy silniejszym zasypują ich massy piasku, w którym grób dla siebie znajdują.

Wszystkie te skutki uraganu są czysto mechaniczne, same przez się zupełnie niezależne od elektryczności atmosferycznej. Lecz ponieważ tylko gwałtowne wiatry tworzą uragany, a wiatrom takowym prawie zawsze towarzyszy burza, oczywista więc, że zjawiska elektryczne zwykle towarzyszą uraganom, i czynią je więcęj pustoszącami i zdumiéwającami.

Wspomnieliśmy wyżej o trzech odmianach uraganu, zależących od miejsca, w którym się znajduje punkt przyciągający. W pierwszym przypadku, to jest gdy punkt ten znajduje się wysoko, może i nawet powinna nastąpić iskra; późniéj kolumna wody staje się prawdziwym konduktorem, i wszelkie wyładowanie ustaje. Jeżeli się przerwie uragan wystrzałem z działa, to w chwili przerwania kolumny, zjawia się iskra. W drugim przypadku wyładowanie ma miejsce, gdy dwa uragany jeden wznoszący się, wody, drugi zniżający się, obłoków, blizkie są zetknięcia; iskra powinna być widoczniejsza niż w pierwszym przypadku. W trzecim nakoniec przypadku, elektryczność przepływa do ziemi za pomocą zniżającej się części uraganu, gdy drzewa, pył, i inne ciała porwane wirem z ziemi, ustalą dostatecznie komunikacją pomiędzy ziemią, a tym uraganem z chmur utworzonym. Wtedy tworzą się te zdumiéwające skutki elektryczne. Te gogo rodzaju uragan pustoszył Chatenay. Nie ma wątpliwości, że nocną porą, przy zjawisku podobnego rodzaju, można by widziéć kolumny ognia pomiędzy punktem przyciągającym a ziemią.

W ostatnim przypadku uragan jest najbardziéj pustoszący, bo najsilniejsza część jego, to jest wierzchołek ostrokręgu, znajduje się przy ziemi, wciąga we wnętrze swoje nietylko pył, lecz powietrze samo uniesione przez wir gwałtowny, przewraca wszystko, unosi, odrzuca daleko nawet ciała dość znacznej wagi, np. dachówki, krokwie; słowem czyni te spustoszenia, które znamy z opisów pp. Peltier i Grossmana.

Teorya, którąśmy opisali, nie jest wynaleziona przez p. de Maistre. Znana ona była Franklinowi, któren w swych listach filozoficznych, rozstrząsa skutek sprawiony przez

spotkanie się wiatrów przeciwnych, ruch wirowy, który wzajemnie na siebie wywierają, próżnią, która się formuje w środku, i w którą wpadają ciała lekkie, piasek, woda i chmury. Xawery de Maistre, wznowił więc tylko teorię Franklina; na poparcie jej wynalazł nawet aparat, przedstawiony Akademii Paryżkiej przez znanego z dzieł treści duchownej p. Moignot. Aparat ten przedstawia w miniaturze uragan wstępujący w wodę, utworzony na zasadach potwierdzających objaśnienie uraganu przez Franklina. Lecz w objaśnieniu Franklina, równie jak i w objaśnieniu de Maistra, nie ma wytłómaczenia tego, dlaczego próżnia utworzona wirem powietrza wznosi wodę aż do obłoków, to jest, wyżej niż próżnia zwyczajna. Kapitan Napier, stronnik tej teorii, objaśnia to przypuszczeniem, że woda w tę kolumnę wznosi się spiralnie i działa jak szruba Archimedes. Przypuszczenie to jest naciągnięte i nieprawdopodobne. Lecz nie jest to jedyny zarzut przeciw teorii Franklina. Wiele uraganów obserwowano bez żadnego ruchu wirowego; i tak p. Peltier wzmiankuje uragan widziany w Nicei 12 kwietnia 1780 r., który wciągał wodę morską przez wabania; uderzenie wiatru rozdzieliło go na dwie prawie zupełnie oddzielne części. Niższa część obalona wiatrem, postępowała w kształcie fal ku wierzchniej, bez żadnego ruchu wirowego. Wzmiankuje on także uragan d'Arcachon w 1774 r. który wyrzucił wodę na bok w kierunku promieni idących od środka kolumny, nie mógł więc mieć ruchu wirowego. Uraganowi temu towarzyszyły małe obłoczki, które wstępowały w linii prostej. Ostatnie to zdarzenie było także obserwowane w Chatenay.

W Neuchatel widziano uragan niemający żadnego ruchu wirowego; był on pionowy i nieruchomy. Inny uragan, 18 stycznia 1789 r. widziany przez Buchanana, miał trzy odnogi, wychodzące z trzech różnych punktów, i dotykające tegoż ciała, co jest przeciwne teorii Franklina. Kapitan Bechy widział i wyrysował trzy uragany, wychodzące z tegoż obłoku, które przez chwilę można było widzieć jeden przy drugim, później złączyły się one w jeden.

Druga teoria tłumaczenia uraganów, uważa elektryczność za ich przyczynę. Lecz jak w pierwszej teorii wszystko chciano przypisać próżni utworzonej przez bieg wirowy, tak w tej chciano mieć elektryczność za przyczynę wszystkiego. Brisson i Berthelon przyjęli ją polegając na doświadczeniu, którym dowiedli obecności wielkiej masy płynu elektrycznego towarzyszącego obłokom, z których rodzą się uragany. Doktor Hare był także jej stronnikiem, polegając na nowych doświadczeniach.

Każda z tych teoryj jest niedostateczną. Pierwsza dlatego, że nie uznaje elektryczności za pierwotną przyczynę tego meteoru, i tłumaczy go za pomocą widoczniejszych i ogólniejszych skutków, sprawionych ruchem wirowym; druga, że nowe siły powstające widocznie z ruchu wirowego, sili się wytłumaczyć za pomocą elektryczności; nie dziw więc, że żadna z tych teoryj nie może dokładnie objaśnić tego zjawiska.

P. Peltier objaśnia uragany następującym sposobem: „Wia-
domo każdemu, że gdy ciało lekkie, jednorodne i regularne, np. kulka bzo-
wa, znajduje się między dwoma ciałami prze-
ciwnie naelektryzowanymi, natenczas przelatuje ono od
jednego ciała do drugiego, przeprowadzając tym sposobem
za pomocą swojej powierzchni dodatnią elektryczność do od-
jemnej i odwrotnie; jeżeli ciało lekkie jest nieregularne, jeżeli
ma chropowatości, to promieniuje elektryczność przeciwną
przez tę chropowatości przed dojściem jeszcze do przewo-
dnika z przeciwną elektrycznością; przez to promieniowanie
zmniejsza nateżenie elektryczności, bo część jej połączyła się
z przeciwną, którą od drugiego przewodnika przyjęło, i dla-
tego mniej się zbliża ku ciału, które i zdaleka przyjmuje od
niego elektryczność. Jeżeli zaś końce lekkiego ciała są roz-
maitych wymiarów, szerszy bok przylega do ciała naelektry-
zowanego, lub bardzo się do niego zbliża, a drugi jego ko-
niec, od działania drugiego ciała naelektryzowanego, kołysze
się z wielką prędkością. Jeżeli ciało lekkie jest wąskie, zę-
bate lub nieregularne, waha się prędko, później odrywa się,
w biegu swym ku drugiemu przewodnikowi opisuje z po-

czątku koła, potem przybięra przez to ruch wirowy i dość znaczną prędkość. Jeżeli więc wielka masa ciał lekkich, od silnej elektryczności atmosferycznej nabyły ruchu wahałowego i wirowego, ruch ten udziela się i otaczającemu je powietrzu, które wkrótce i samo jest wciągnięte w ruch wirowy. Gdy następnie ta masa uniesiona będzie silnym wiatrem, bieg ten wirowy utworzy właściwy uragan”

Opisane więc zjawisko składa się, podług tej teorii, z dwóch rzeczy zupełnie oddzielnych, lecz których połączenie tworzy uragany najzwyczajniejsze i najbardziej niszczące. Pierwszą z nich jest przyciąganie elektryczne, które przybliży obłoki do ziemi i tworzy konduktor rozbrajający obłok z jego elektryczności; drugą są ruchy wirowe, które tworzą lub mogą utworzyć zamianę elektryczności przez środki mało przewodnicze, i którąto przewodniczość zewnętrzne przyczyny znacznie powiększają. Dwie te rzeczy mogą istnieć oddzielnie; są uragany bez ruchu wirowego jak 20 kwietnia 1780 r. w Nicei; widzieć znów można wir bez uraganu, to jest bez przewodnika elektrycznego, zjawiska dość zwyczajne i które wszędzie się spostrzegają. Tak więc wiry dają poznać mechaniczne przyczyny, burze przyczyny elektryczne, a uragany zwyczajne obie siły połączone.

Dawszy pojęcie o sposobie pojawienia i przyczynach uraganów, pozostaje nam jeszcze zrobić wzmiankę o sposobie, za pomocą którego roztropny żeglarz, może uniknąć okropnych klęsk, na jakie niechybnie wystawiłby okręt, gdyby go wprowadził na miejsce, przez uragan opanowane. Tutaj to najbardziej zimna krew i rozwaga potrzebna, gdyż potrzeba kierować statkiem w czasie burzy (wtenczas tylko bowiem uragan się pojawia), w czasie, gdy podróżni drżąc o życie, jemu powierzają z rozpaczą swoje losy, w nim pokładają ostatnią wybawienia nadzieję.

Wiemy już, że uragany mają bieg wirowy. Punkt najbardziej niszczący znajduje się w środku; sternik więc tego punktu najbardziej unikać powinien. Nie należy mu czekać aby zobaczył kolumnę wody w górę się wznoszącą, wtedy ratunek może już być zapóźny, a przynajmniej bardzo tru-

dny i wątpliwy; wiadomo bowiem, że ku temu punktowi z niezmierną chyżością zmierza powietrze i wzburzona woda: żywioły więc te unoszą z sobą i okręt, a siły ludzkie bardzo są słabe i niezawsze zdolne pokonać tych groźnych przeciwników. Wprzód więc oznaczyć potrzeba miejsce uraganu i od niego wszelkiemi siłami starać się oddalić. W tym celu uważać potrzeba jaki był kierunek wiatru przed burzą: kierunek ten wskazywać będzie postępujący ruch uraganu; uważać nadto potrzeba na zmianę wiatru w czasie burzy: z tej zmiany wniesć można, w której stronie okrętu znajduje się uragan. Przypuśćmy np. że wiatr wiał z południa, ztamtąd więc, jeżeli inne okoliczności każą się spodziewać uraganu, wyglądać go należy. Lecz aby poznać czy we wschodniej, czy w zachodniej stronie okrętu znajduje się punkt niszczący uraganu, uważać potrzeba na zmianę wiatru. Zmiana ta wiatru pochodzi ztąd, że bieg wirowy zaczynający się od punktu najsilniejszego uraganu, rozprzestrzenia się na dość znaczną od niego odległość, i będąc w znacznym oddaleniu od tego punktu, można już być w ruchu wirowym. Że okręt wchodzi w ruch wirowy, poznać można z nagłej zmiany wiatru z południowego w zachodni lub wschodni. Jeżeli wiatr przechodzi nagle w zachodni, a później stopniowo nazad przechodzi w południowy, uragan jest we wschodniej stronie, na zachód więc płynąć potrzeba żeby się od niego oddalić; jeżeli zaś z zachodniego przechodzi stopniowo w północny, uragan jest na zachód okrętu. Gdy wiatr nagle zmienia się we wschodni, a później stopniowo przechodzi w północny, uragan jest na wschodzie; przeciwnie zaś jest w zachodniej stronie, gdy kierunek zmienia się nazad, lecz stopniowo, w południowy.

Jeżeli nagła zmiana wiatru nie wynosi czwartej części okręgu koła, lecz mniej lub więcej, niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, uragan bowiem znajduje się w znacznej odległości na stronie okrętu, i tym jest mniejsze, im kąt nagłej zmiany wiatru bardziej się różni od 90°. Niebezpieczeństwo wtedy tym mniej jest znaczące, że odrazu z nagłej zmiany wiatru można poznać kierunek i miejsce

uraganu. Jeżeli wiatr z południowego zmieni się w południowo zachodni, lub w północno zachodni, uragan jest na wschodzie; gdy zaś zmieni się w północno zachodni, lub południowo wschodni, w zachodniej stronie panuje uragan.

Salon literacki.

W Chinach na 3421 lat przed narodzeniem Chrystusa, w ówczesnym mieście stołecznym Kinikoj, nadobna i piękna przyjaciółka półkownika gwardyi państwa Niebieskiego, jasnobrewa Mou-Mik-Fou-Pfy, gdy półkownik wyjechał o mil 200 na wojnę przeciw rzeczypospolitej Rarytów, o toż wtenczas owa Fou-Pfy była od stworzenia świata najpięrszą, która w mieście Kinikoj literackie otworzyła salony, wezwwała na nie młodzież co piękniejszą, a dla zamaskowania swych rzeczywistych zamiarów, zaprosiła także kilku sędziwych splenników naukowych i zgrzybiałych filozofów. Historia literackich salonów panny Mou-Mik-Fou-Pfy, przez społecznego kronikarza w 12 tomach *in quarto* spisana wierszem miarowym, zaginęła podczas potopu; Noe tylko posiadał z trzeciego, z ósmego i dziewiątego tomu wypisy ciekawszych zdarzeń, i tento rękopis Noego, z objaśnieniami poczynionemi przez Sanchoniatona historyka Fenicyjskiego, jest najprawdziwszym źródłem, z którego o pierwotnym celu salonów literackich dowiedzieć się można.

Żona Sezostrysa króla Egipskiego, która jak wiadomo była bardzo głęboko uczoną kobietą, następnie Massynissa król Numidy i syn jego Jugurta, później Hannibal podczas wojen Punickich, w chwilach od zatrudnień wolnych, wiele i szeroko pisali przeciw autentyczności rękopisów Noego; wszakże wszelkie w tej mierze wątpliwości, Ludwik Łysy władzca Francyi, Henryk Ptasznik cesarz Niemiecki i astronom Herszel, krytycznemi rozbiorami najzupełniej usunęli, i błędem jest nie do darowania, dlaczego księżna d'Abrantes, wdowa po czcigodnym Junot'cie, pisząc o salo-

nach, ani razu o pannie Mou-Mik-Fou-Pfy nie wspomina, i początek salonów literackich wyłącznie do samej Francyi odnosi.

U nas w Polsce żadnej dotąd nie posiadamy historyi rodowych salonów literackich, bo téż i Polskie salony literackie bardzo niedawno istnieją; a chociaż od kilku lat wielce się zagęścily, i dla ludzi *quasi* naukowych jest dzisiaj z łaski Boga gdzie popróżnować, to jednakże nie czas jeszcze potemu, abyśmy już mieli w tym przedmiocie pisać osobne historyczne dzieło. Niemniej przeto rozumiem, że mały odłamek z dzisiejszych dziejów naszych literackich salonów, łaskawych znajdzie czytelników. A więc zaczynam:

Roku 1844, Kamilla z Gomółkowskich Cielątkowska i mąż jej Cielątkowski Wojciech, dla lekcyi tańca swojej najstarszej córki, postanowili w gubernialnym mieście zimę przepędzić. Jakoż już w początkach miesiąca października, Wojciech Cielątkowski całe pierwsze piętro narożnej w rynku kamienicy półrocznie wynajął, swoim kosztem odświeżył i uporządkował. W początkach miesiąca listopada przywieziono ze wsi meble i fortepian, kuchenne naczynia i sprzęty w 8 dni później sprowadzono znaczny zapas siana i obroków, kilkadziesiąt sztuk rozmaitego drobiu i obfitą spiżarnią legumin; 16 listopada przybył kredencierz, dziewczka i trzy dojne krowy; nazajutrz zaś, w samo południe, przyjechali państwo Cielątkowscy, nową landarą z walizami, z kufkami, i z ogromnym tłómokiem pościeli, osobną fornalką tuż za landarą wiezionym, na którymto tłómoku pokojówka Zuzia siedząc z rozpiętym parasolikiem w ręku, o dobrym tonie swój pani uprzedzające dawała świadectwo. Zanim się pani Cielątkowska na pierwszym pięttrze narożnej kamienicy usadowi, zanim zawyrokuje, że dla jegomości potrzeba na dole przynająć osobny pokoić; zanim rozpakują rzeczy i jaki taki ład zrobią, powiem cokolwiek o dawniejszym żywocie państwa Cielątkowskich, i tym razem zaczę od pana Cielątkowskiego. Wojciech Cielątkowski, syn Walentego i Małgorzaty z Prosiątkiewiczów Cielątkowskich, urodził się nad rzeką Prosną w dzierzawnej wiosce Wielkie

Mordy. Do 14 roku życia swojego nie uczył się ani czytać, ani pisać, bo był jedynakiem i matka kochała go *passyami*, a ojciec pan Walenty, kochał znów żonę *passyami* i nie chciał jój się w niczem sprzeciwiać; nadto zatrudniony z dnia na dzień gospodarstwem i polowaniem, nie miał czasu myśleć o początkowém wychowaniu syna, i spuszczał się w tej mierze na żonę swoją, z bezwarunkową ufnością. Dopiero gdy mu ksiądz proboszcz pewnego razu mocne uczynił *reflexye*, że Woś nie był jeszcze u spowiedzi, a to z przyczyny, iż katechizmu wcale nie umie; gdy wspomniał, że zgrozą jest, aby czternastoletni chłopak i jednej nie znał litery, wówczas to pan Walenty spostrzegł, że się w ojcowskim obowiązku nieco opóźniał, i w kilka dni potem przywiózł z Kalisza jakiegoś pana Mazgajskiego na nauczyciela dla Wosia. Pan Mazgajski niegdyś podoficer od ułanów; później przez ożenienie się z wdową kupcową, posiadacz korzennego handlu; później podleśny w dobrach rządowych; później prywatny sekretarz przy pisarzu Żupy solnej; w końcu asystent przy odbieraniu kopytkowego w Kaliszu, jakto mówią, człowiek co nie z jednego pieca chleb jadał, pojął odrazu, że w wielkich Mordach najwłaściwszą postąpi drogą, gdy stosując się do woli pani Cielątkowskiej, Wosia do nauk naglić nie będzie.

Przez cztery lata pobytu pana Mazgajskiego, Woś nauczył się czytać, pisać, i rachować, o tyle, że w mieście Warcie za usilném staraniem się ojca, do klasy pierwszej szkoły u Bernardynów przyjęty został.

Jak wielkie postępy w naukach Wosio w mieście Warcie uczynił, oznaczyć nie umiem; to tylko jest mi wiadomém, że w sześć tygodni po rozpoczęciu nauk, jakoś przed Zielonemi Świątkami, piechotą do rodzicielskiego domu drapnął i już do szkół nigdy nie powrócił; albowiem, jak się wyżej powiedziało, matka kochała jedynaka *passyami*, ojciec zaś kochał matkę *passyami* i w niczem jój się sprzeciwiać nie chciał; w tym razie tym więcej, że na żądanie rozpaczającej żony naocznie się przekonał, iż miękka część jedynaka Wosia, nielitościwie sińcami opatrzoną była, i to

tylko podobno za to, że na lekcji arytmetyki, gdy professor na tablicy pisał przykłady mnożenia (multyplikacyi), Wosio zdrzymnął się troszeczkę. Dziwną to jest rzeczą, że często wypadki napozór drobne, wielki na całe życie człowieka wpływ wywierają!... Wosio w szkołach za niechęć do mnożenia oćwiczony, mnożenie w pamięci zachował, i kiedy w dwa lata po ukończeniu nauk w mieście Warcie dzierżawne rządy Małych Mordów przez ojca oddane sobie miał, tak dobrze dochody mnożył, że przed dojściem do pełnoletności, już 28,000 złp. uzbierał. I mówże tu o nauce w rolnictwie potrzebnej!

Dziedziczką Wielkich i Małych Mordów była pani Gomółkowska, wdowa, miała córkę jedynaczkę Kamillę. Pani Gomółkowska, której ojciec był dawnemi czasy dygnitarzem, żyła niegdyś na wielkim świecie, to jest: w Warszawie, i po śmierci męża, przez lat kilkanaście, ani razu w dobrach swych nie powstała; ale gdy dzierżawca pan Wojciech Cielątkowski nowych przypożyczek odmówił, gdy dochody z dóbr za ledwie na opłatę procentów starczyły, pani Gomółkowska z żalem opuściła stolicę i do Wielkich Mordów na mieszkanie zjechała, mając w dzierżawnym kontrakcie Cielątkowskiego wymówiony dla siebie pałac, ogród Angielski, 50 korcy twardego zboża, i inne jeszcze pomniejsze dodatki i dogodności.

Z początku pani Gomółkowska i jej córka Kamilla widywały się tylko z samym Cielątkowskim przy czynieniu pieniężnych obrachunków, lecz gdy przysłał wypowiedzenie częściowo przypożyczonej bezpośrednio, częściowo od żydów nabytej summy 192,000 złp., gdy wywłaszczeniem dóbr zagroził, pani Gomółkowska za rzecz rozsądku uznała, odwiedzić panią Cielątkowską, i na drodze niewieściej dyplomacyi, względność i uległość Cielątkowskich, dla swego interesu pozyskać.

Nie wątpię, że niejedna z dziedziczek zgorszyła się postępkami pani Gomółkowskiej, i ja sam co tę ramotkę piszę, wyznaję, że się zgorszyłem; ale drugostronnie zważając i zważwszy, że szacunek Wielkich i Małych Mordów 400,000

złp. nieprzechodził, a dług Towarz. kredyt. 130,000, pożyczka skarbową 90,000, summy Cielątkowskich prócz wielu drobiazgów, 192,000 złp. wynoszące, w razie przymusowej sprzedaży Mordów, stworzyłyby wyraźny minus dla dziedziczki; zważając i zważywszy tę przykrą okoliczność, należy przebaczyć pani Gomółkowskiej, że się do grzeczności względem dzierżawców Cielątkowskich zniżyła. Boże! ileżto ofiar ze znakomitych uczuć wielkiego świata, damy dla interesu nie czynią. Trudno płynąć pod wodę. Pani Gomółkowska знаła świat wielki, znała słabości ludzkie... znała swoje interesa... była matką ukochanej córki... szło o byt... szło o pieniądze, niech tam zresztą kto jak chce sądzi, pani Gomółkowskiej potrzeba było pozyskać przyjaźń Cielątkowskich; o toż więc z tej przyczyny 17 września r. 18... w niedzielę po południu z córką Kamillą odwiedziła panią Cielątkowską!... Aż mi pióro drży w ręku do opisania tej pierwszej wizyty; o! ta pierwsza wizyta była mistrzowską, zawierała w sobie szczegóły cudowne, cóż kiedy niepodobna wszystkiego na raz wypisać; nadto w gubernialnym mieście, w narożnej kamienicy, jestem bardzo potrzebny, a więc rad nierad muszę pominąć opis wizyty pierwszej, muszę pominąć cudowną rewizytę pani Walentowej Cielątkowskiej, muszę pominąć pierwsze zapoznanie się pana Wojciecha z panną Kamillą, ach! wiele, wiele scen wybornych pomijam, i krótko a węzłowato opowiem, że pan Wojciech, po dwuletniej milczącej konkurencyi do pięknej panny dziedziczki, wiedząc, że panna Kamilla lubi zupę z dyni, posłał jej w podarunku ogromnej wielkości dynię, na której własną ręką „kocham Cię Pani!” scyzorykiem wyrznął, a w trzy miesiące później, z panną dziedziczką przed ślubnym stanął ołtarzem.

Interes pieniężny i dynia z napisem „kocham cię pani!” stworzyły związek małżeński Wojciecha Cielątkowskiego z Kamillą Gomółkowską.

W 16 lat po ślubie, widzieliśmy ich wjeżdżających do miasta gubernialnego... widzieliśmy ich wysiadających do narożnej kamienicy, lecz prócz posłuchu że to są ludzie bardzo bogaci, że przyjechali dla lekcji tańca swój

starszej córki, nie wiadomo nic więcej. Dopiero nazajutrz wieczorem, pan Zenon assessor trybunału cywilnego *pięrszej instancyi*, opowiadał u państwa N... że pani Cielątkowska upoważniła go do wprowadzenia w jej dom o ile można, najwięcej młodzieży, albowiem zamierzyła otworzyć salony literackie!...

— Proszę cię duszko, zapytała po cichu swojego małżonka pani regientowa Kleksowicz, cóżto istotnie znaczy salony literackie?

— Moje kochanie, po cichu odrzekł pan regient Kleksowicz, jestto wykład pewnych nauk literackich w domach przyjacielskich, zwykle w stolicy praktykowany, mianowicie w Paryżu, gdzie już taka moda, że kobiety uczone dają takie wieczory uczone, i to nazywają salony literackie.

— Więc pani Cielątkowska jest taka uczona?

— A zapewne; kiedy otwiera salony literackie, głupią być nie może.

— Proszę pana sędziego, zapytała swojego sąsiada pani Krętalska żona adwokata, czyto tylko sami mężczyźni bywają na takich salonach literackich?...

— Nie umiem tego pani dobrodziejce objaśnić, bo ja nigdy nie byłem na żadnym literackim salonie.

Pan Zenon. Zwykle sami mężczyźni bywają.

Pan Kleksowicz. To nie dobrze że sami mężczyźni.

Pan Zenon. Dlaczego pani dobrodziejko niedobrze?...

Pani Kleksowicz. Widzisz pan dlatego, że kiedy kobieta uczy, powinna uczyć także i kobiety, a nie samych mężczyzn.

Pan Zenon. Ale to nie jest żadna *prelekcya*, to jest tylko *konwersacya* o rzeczachuczonych.

Pan Kleksowicz. Moje kochanie, *konwersacya* nie jest *prelekcją*.

Pani Kleksowicz. No, to ja wiem że nie zadają żadnych lekcyj, ale zawsze pani Cielątkowska będzie tym panom rozpowiadała ouczonych rzeczach.

Pan Robaczyński doktor. A bodaj państwa z waszemi salonami! zabiłem forteę; dlaczego pani naczelnikowa nie zadała *pik* albo *karo*?

Pani naczelnikowa. Zastłuchałam się o tych salonach literackich i zapomniałam że radca wygrał renons.

Robaczyński doktor. A propos czyto ten Cielątkowski, który kupił Rogały od pana hrabiego?....

Zenon. Ten sam.

Robaczyński. Chyba to żarty, żeby on miał otwierać salony literackie?.... ledwie że się podpisać umie.

Naczelnikowa. Do otwierania nie potrzeba nauki; nasz Andrzej wcale do szkół nie chodził, a wybornie otwiera podwoje.

Pan Zenon. Dowcipnie lecz złośliwie, a trzeba pani dobrodziejce wiedzieć, że i pan naczelnik zaproszony będzie.

Naczelnikowa. Wątpię aby mój mąż miał czas do tych literackich salonów; wczoraj wyjechał do Warszawy, jak powróci zacznie się spis wojskowy.

Pani Kleksowicz. I mój mąż nie będzie, bo pan Cielątkowski kupując Rogały, robił tranzakcyą przed Kminkoskim, chociaż mój mąż mówił nawet panu hrabiemu....

Pan Kleksowicz. Ale moja duszko, wolno każdemu...

Robaczyński. Cztery honory i 3 lewy, siedm, a ośm, 15 5 reszty, *partie double*, robr z dziewięciu. Powiedz mi panie asessorze, czy tam na tych waszych literackich salonach będą grywali w wiska?...

Pan Zenon. Osoby nienaukowe będą zapewne i wiska grywać...

Robaczyński. A któżto ułoży listę naukowych i nienaukowych?

Pani Kleksowicz. Zdaje się, że to już należć będzie do pana dyrektora gimnazjum.

Te i tym podobne rozmowy, których niepodobna wszystkich powtórzyć, odnawiały się codziennie w każdym niemal zebraniu; nadto małe miejskie panie rozciągnęły baczność na wszystko co w domu Cielątkowskich zaszło lub zająć miało: wiedzano jakie są firanki, jakie meble, ile zapłacono od wywoskowania posadzki, co jedzą, co piją, co mówią, nawet i co myślą; kto bywa, kto bywać będzie; wiedzano, że pani Cielątkowska rządzi i błądzi, a pan

Cielątkowski na wszystko się zgadza; wiedziano, że pan Zenon assessor trybunału 1éj instancyi, jest wielkim marszałkiem dworu państwa Cielątkowskich, że już wielu z młodzieży wprowadził, że wielu jeszcze wprowadzić ma; wiedziano, że panna Barbara Cielątkowska, lekye tańca już rozpoczęła, że bardzo wiele Francuzkich czyta romanów, że mówi wiele o Tajemnicach Paryża, że w absolutnych pojęciach ma wielką przewagę nad rodzicami, że pali Hiszpańskie sygaretta, że *robi wiérse*, że *filozofią umie na pamięć*, a co jeszcze główniejsza, wiedziano, że rodzice dla niej przeznaczili 200,000 złp. na posag, i że ta summa w listach zastawnych, w osobnej spoczywa szkatułce. Pogłoska o baranich skórach rzuciła nieugaszony pożar w serca miejscowej i zamiejscowej młodzieży, a lubo każdy wypierał się tak podrzędnego uczucia, jednakże po prawdzie nie było ani jednego z kandydatów małżeńskiego stanu, któryby o owej szkatułce nie marzył. Już siedmnastu kawalerów zgłosiło się o zaszczyt bywania na literackich salonach, więc tedy pani Cielątkowska niezwłóczęc dłużej, dzień czwartego grudnia, dzień imienin swéj córki na piérwszy literacki wieczór przeznaczając, trzy uosobione Francuzkie romanse płci żeńskiej, i trzydziestu mężczyzn zaprosiła. Od samego rana trwały przygotowania w narożnej kamienicy. Pan Cielątkowski z kluczykami od spiżarni co chwila przez kucharza wzywany, wydawał mąkę, masło, cukier, korzenie, rozporządzał przyprawę do sztufady, radził nad sosem do ryb, sprzeczał się o leguminy, wino garncowe w butelki przelewał, srebro i bieliznę stołową lokajom doręczył, wschody oczyścić, dziedziniec zamieść rozkazał, drzewo do pieców wydzielił, trociczki przygotował, i przy tak ważnych a niezliczonych zatrudnieniach, upłynął dzień cały, i dopiero zmiérzchem posłał po balwierza, umył się i chociaż nie był egoistą, począł jednakże rozmyślać, czy w czarnym, czy w granatowym fraku wystąpić. Pani Cielątkowska z córką, takóž od samego rana były zajęte: do południa trzy razy zmieniały porządek rozrzuconych książek na głównym stoliku i pięć razy ustawiały krzesła; po

południu każda w osobnym pokoju ostateczne przed zwierciadłem czyniła usiłowania. Matka siedm zmieniła stroików na głowę, Basia doprowadziła rysy swój twarzy do zupełnego posłuszeństwa: zamyślenie, natchnienie, roztargnienie, łagodność, chmurka na czole, gwałtowne uczucie, wszystko odcieniowało się przewybornie, i o godzinie 6tej, pani Cielątkowska w cytrynowej sukni jedwabnej, w czarnym blondynowym czépeczku z ponsowemi różami; Basia w białej organtynowej sukience z aksamitną szarfą koloru niebieskiego, z rozkwitającą różą przy lewym boku, z jednym bławatkiem w splotach czarnego włosa; pan Cielątkowski w granatowym fraku, w pantalionach granatowych ze strzemiączkami, zgromadzili się w głównym salonie.

— Cóżto jegomość wziął za kamizelkę?

— Że téżto papa nigdy się nie ubierze stosownie.

— Dlaczego nie masz rękawiczek?

— Papo! na literacki wieczór mężczyźnie ani podobna ubierać się inaczej jak czarno.

— Ona ma *racyę*, weź mi zaraz frak czarny.

— Ach Boże! że téżto papa zawsze robi jaki *nonsens*. Papa słowa nieodrzekłszy wrócił się na dół do swojego pokoiku, i niezadługo przyszedł w rękawiczkach i w czarnym fraku.

— Ach papo! czarny frak i granatowe pantaliony, *quelle idée!* zawołała z oburzeniem córka; a matka dodała z gniewem: — ja nie wiem kiedy ty już rozum mieć będziesz? Jegomość więc znów nierzekłszy ani słowa, powtórnie udał się do swego pokoiku, i o w pół do ósmej wrócił jak kruk czarno ubrany.

W téż chwilę wbiegłszy znany nam pan Zenon, assessor Trybunału Iej instancyi, wystrojony *à quatre épingles* i najgwałtowniej pizmem woniejący.

Bon soir Madame! bon soir Mademoiselle la comtesse! dobry wieczór panie Cielątkowski! (Obejrzawszy się po pokoju): Panie są dobrze, bardzo dobrze! wszystko dobrze, lecz fortepian należy nieco posunąć naprzód; ustawianie instrumentu przy ścianach, *pardonnez Mesdames*, ale to trąci

wiejskością, o tak dobrze! Książki! *à merveille!*... Kefaliński, George Sand, Eugeniusz Sue, Wiszniewski, Przegląd Warszawski, *ah voila!* Przegląd naukowy, Biblioteka Warszawska „Mieszaniny” *qu'est-ce-que-c'est?....* „Nic ma hemoroid!” *fi donc!* jak można pokazywać tak obrzydliwe dzieło!

— Widzi mama; że ja zaraz mówiłam...

— Księgarz mnie zapewniał, że to do najświeższych utworów należy, że zaś będzie pan doktor Robaczyński, chciałam mu zrobić siurpryzę.

Pan Zenon. Nie, nie! *cela ne va pas.*

— Mężu, zanieś tę książkę do drugiego pokoju.

Jegomość wzięwszy podaną sobie książeczkę, poniósł ją do przyległego pokoju; pan Zenon tymczasem wyjął z kieszeni przyniesionych kilka dzieł nowszych, jakoto: Córkę artysty, poezye Orzeszki, Twory Minasowicza i Filozofią ekonomii materyalnej, któremi z bogacił rozłożony na stoliku księgozbiór.

— *Mille graces*, z wdzięcznością wymówiła pani Cielątkowska, a panna Basia rzuciła dziękczynne spojrzenie, na które assessor odpowiedział szczerym drobną rączki pocałunkiem.

— Należy jeszcze uczynić, odezwał się assessor, pewien literacki nieład pomiędzy temi książkami, jako dowód, że są w użyciu. Ale co widzę! karty nieporozcinane, ach dla Boga! zdradziłyby się panie najokropniej.

— Noży! noży! kilku noży!

— Janie! Grzegorz! mężu! noży! dajcie noży!

— Papo! noży! noży!

Jan, Grzegórz i papa Cielątkowski, przyskoczyli na rozkaz z koszykiem przygotowanych do wieczery noży, i wszyscy poczęli z największym pośpiechem rozcinać karty książek. Panie i assessor odbywały tę operacyą dość zgrabnie, ale jegomość i lokaje szarpali nielitościwie, i zpod ich rąk wychodziły książki z frandzlami wcale nieestetycznymi. Jeszcze téj pośpiesznej operacyi ani w połowie robotnicy nie ukończyli, gdy usłyszano w sieni przybywających gości. Naturalnie operacya ustała, służba pobiegła do przedpo-

kojów, a panie i assessor rozpoczęli ceremonią przyjęcia. Z każdą chwilą przybywały coraz to nowe osoby, wreszcie o godzinie 9tej znajdowali się już wszyscy zaproszeni, i było mężczyzn 30tu, białogłów trzy, prócz gospodyni domu i jej córki, panny Barbary. Przy pierwszym daniu herbaty, panna Cielątkowska głośną zawiązała rozmowę z panem Zenonem, o obecnym stanowisku filozofii Niemieckiej; pani Cielątkowska zaś przy głównym stoliku chwaliła powieści p. Laskowskiego, i opowiadając treść Hiszpanki w Polsce, dziwiła się nad twórczością autora. Mniej więcej wszyscy obecni zgadzali się ze zdaniem pani Cielątkowskiej, natomiast rozprawa o filozofii, stawała się coraz żarliwszą, albowiem pan Trzaski, dóbr ziemskich właściciel, kawaler świeżo przybyły z Monachium, wbrew twierdzeniu panny Cielątkowskiej, utrzymywał, że filozofia Niemiecka musi upaść pod objawem naszych pojęć Słowiańskich, rodowych, i że cała nadzieja zbawienia rodu ludzkiego, jest głównie w przyznaniu zasad autora Myślini.

— Jeżeli pani sądzi, dowiódł ostatecznie pan Trzaski, że *passynki*(1) z podmiotu Hegla, są *krępakami* prawdy absolutnej, jesteście pani w największym błędzie; albowiem *wynik* jego pojęć, jest tylko *mżykami* socyalnych warunków materji, a nigdy oczyszczonej wiedzy ducha, a tym mniej *masłokami* idei Boga, bezwzględnie na *awożność* zasadniczej *prawdoświeci* trzeciego *prawdoblamu*, to jest *żywostanu* w *spiętości* poznania.

Na takie prawdziwe *dictum acerbum*, panna Barbara zamilkła jak truśka, ale pan Zenon, będący w oczywistej zimowie z panem Trzaskim, przygotowany ku temu, wybornie udając że zrozumiał dowodzenie pana Trzaskiego, odpowiedział istotnie z filozoficzną powagą:

(1) *Passynki* i wiele innych wyrazów, które czytelnicy mej ramotki, w filozoficznej rozmowie pana Trzaski z panem Zenonem, niezrozumiałemi znajdują, są istotnie używane w dziele p. t. *Myślini*; za niewłaściwe zaś używanie, i za bezmyślne nagromadzenie tychże wyrazów, niechaj panowie Trzaski i Zenon odpowiedzą; ja tylko to dosłownie powtarzam, co na moje uszy słyszałem.

— Realność zasady przez pana objawionej, jest również moją jaźnią, o ile transcendentalność nie jest *zawornikiem przedświata*, ani *calcem rozczłonu wsobistości*, bo w takim razie byłbym zmuszony *prawdostęb* panny Barbary uważać za *przyczynowość* spólrzędnego *dwójgańca*.

— *Sacz* myśli pana assessora jest *antymonią* do moich *pas-synków*, a *trafak* tylko mógł nas zjednoczyć w *siestrzanach* bezwzględnej *jedni*, dlatego *wierzeje* *wykładników* pańskich, nie są bynajmniej *kwiatowym* *rozwojem* *sobistości*.

— Za pozwoleniem, czyliż pan *dychtomią* i *trychtomią* w *różnojedni* chcesz *supernaturalizować*, bez względu na stan *przeświadczenia*?....

— Bynajmniej, ja uważam *ostoję* empiryzmu jako *achromatyczność* *prawdozbirów* zupełnie odrębnej *wiedzo-świe-ci* (1), i tutaj właśnie jest *innobyty* i *rozłoga* *zlewu* *jedno-przydrugości* ogólnego *bożostanu*; ztąd też *spiętość* *in sempiterno* (2), biorąc *korzącą* *rotundę* *wszechistnienia* za *świat trzeci*, *czwarty* i *piąty*, musimy nie *a posteriori* ale *a totali* przyznać jako *przejście* do *rzeczywistego* *przeświadczenia*, i to do *przeświadczenia* *in sempiterno*!

— Ale panowie! zawołał były major Ząbkowski, któż słyszał aby o *sempiternie* mówiono przy *damach*?..... panie Trzaska! znudzisz i nikogo nie nauczysz.

— *Vous avez raison* majorze! ozwała się pani Cielątkowska, trudno nam rozumieć, o co się panowie sprzeczą. Jużto moja Basia zawsze musi tę filozofią zaczepić. To dobrze kiedy wszyscy rozumieją, ale nie pomiędzy tylu osobami.

— Pani! odezwał się Kaczykowski, 18-letni młodzieniec: filozofia jest głównym zadaniem naszego stulecia, i należy uwielbiać każdą sposobność, w której życzliwa chwila przypuszcza nas w dziedzinę podmiotowych badań materji ducha, na polu *wiedzowej* *widzy* *umu* *ludzkiego*.

Pan Zenon. Niewątpliwie.

(1) Czy tylko nie *wiedzo-śmicci*?....

(2) (Sic).

Pani Cielątkowska. Nie przeczę, ale panowie pozwolą, że i poezya ma swoje wielkie prawa. Pan Bzik przyobiecał wczoraj, że dzisiaj raczy nam zaimprovizować.....

Wszyscy spojrzeli się na pana Bzika, który nieczekając powtórzenia prośby, wystąpił na środek, wznosił do góry biało glansowaną rękawiczkę, oczy kołem postawił, ciężko odetchnął, i następny wiersz z wielkiem uczuciem wygłosił:

Nocy cień	O! w tę porę
Okrył dzień	Serce gore
I ponury	Lecąc w natchnień szczyt.
Zpoza chmury
Księżyc spuszcza sen!
Blade światło	Dla mnie noc
Bierzcie za tło	Ma tę moc;
Malowniczych scen!	Pod jej cieniem
Myśli tłum	Ja promieniem
Krajem dum	Barwię uczuć nie,
Wtenczas rządzi;	I swobodnie
Serce błądzi	Mogę zgodnie
Jak miły ten byt!	Szczęścia wianki wić...

Bzik skończył, a powszechny poklask uwieńczył gieniusz wieszczą, który zaimprovizował tę cudowną, jak sam nazwał: „*Iskrę fantastyczną*.” Pani Językiewicz tylko, autorka kilku kompilacyj Francuzkich romansów, uczyniła uwagę, że coś podobnego czytała w rękopisach przygotowanych do Lubelskiego Fijołka.

Na taki zarzut pan Bzik dał słowo honoru, że pani Językiewicz myli się najwyraźniej, i dla zawstydzienia pamięci swój złośliwej przeciwniczki, powtórzył całą *Iskrę fantastyczną*; a na prośbę gospodyni domu też *Iskrę fantastyczną* wpisał dosłownie w sztambuch panny Barbary, z umieszczeniem swojego nazwiska i imienia. Przy tej okoliczności wszczęła się żywa *dyskussya* czy należy pierwój nazwisko, czy imię podpisywać? Wiele głosów było za pierwszeństwem nazwiska, wiele przeciw; zdania się podzieliły niemal na dwie równe części, szczęściem że był obecnym sławny historyk, który przez półgodziny wywodził i dowiódł, iż historia dla imienia pierwszeństwo naznacza, albowiem

bracia Romulus i Remus zawsze piérwój swoje imiona podpisywali; twierdzenie więc strony przeciwnój, że narodzenie poprzedza chrzest, jako zmysłowa przyczyna, odrzuconém zostało. Po téj historyczno-religijno-filozoficznój dyspucie, pani Helena, młoda lecz smętna rozwódka, zapytała pana Edwarda Bzika, czyliby nie był łaskaw jeszcze jedną iskrę zaimprovizować?....

—Pani! odpowiedział Edward Bzik, natura tylko dla pani była szczodrą gromadząc w jój oczach iskier tysiące..... ale jeżeli pani pozwoli, zaimprovizuję „Czarną elegią.”

— Prosimy! prosimy! zawołały panie; a ktoś dodał z boku: — a ha! to ta cudowna elegia, którą pan Edward improwizował u naczelnikowój; słowo honoru że nieporównana!

Bzik powtórnie stanął na środku pokoju, powtórnie wznosił do góry białą glansowną rękawiczkę, powtórnie zatoczył oczami w punkt nieruchomy, i stłumionym, a rozmiarowo powolnym głosem w dzwonek natchnienia uderzył:

„I było smutno! I całe przestworze
Lśniło jak w nocy Adryatów morze.....

.....
.....

Lecz cóżto za ton?....

Jakby w kościele wieczorny dzwon
Rozbudza cmentarza ciszę.

Z jakiejże piersi wy płynął on
Że w powietrzu drży i dysze?...

O! ton to! ton! nie z ziemi téj,
Tam na górach, tam na chmurach
Jutrzenkowy promień zwiędz,

I z piorunów i z całunów
Jego całość bracie złej!

O! ton to! ton! nie z ziemi téj,
Marzenia wstęgą opasany jasną;
Ton błyszczący, gwiazdy przed nim gasną,
Ton dźwięczy, wiatry przed nim jęką,
I w cichój pokorze u stóp jego klęką!

I znowu cisza, lecz całe przestworze
Jak ług majowy w młodej wiosny porze,
Pełnej powabu, pełnej niewinności,
Dźwięcz mi o dźwięcz, tyś tonem miłości.....”

„I dźwięczy on,
Ów miły ton;
I coraz dalej
Na morzach fali

Mgli się i pali
Dalej i dalej.
Aż i na ton
Nie przyjdzie skon"....

Czarna elegia podobała się nadzwyczajnie; zrobiła i pomiędzy paniami wrażenie, wrażenie aż do łez spółczucia; panna Barbara i pani Helena płakały głośno. Tylko znów jedna Językiewicz odezwała się z zarzutem, że należało w takiej elegii, bezwarunkowo we wszystkich wierszach porobić zakończenia mężkie, jako najsilniej malujące głębszą uczuciowość tyle wzniosłego przedmiotu. Zaniósł się na burzę rozpraw o przeznaczeniu poezyi, o posłannictwie poetów, a że gadali nedorzeczności posunione do siódmej potęgi ludzkiego głupstwa, przyjąłem zaproszenie do wiska. Roznoszono tymczasem na tacach spore kieliszki wina i tort Wiedeński. Pan Cielątkowski chodził z kolei do każdego z gości i prosił aby państwo byli łaskawi pić i jeść, a gdy i do dr. Robaczyńskiego w wiskowym pokoju prośbę swoją objawił, konsyliarz oświadczył, że nietylko chętnie przyjmuje kieliszek, ale nadto wnosi zdrowie zacnych gospodarstwa, którzy swém przybyciem do miasta gubernialnego zdają się zapowiadać jutrzenkę nauk i oświaty.

Pan Cielątkowski. Jużto w tej mierze mojej żonie i mojej córce należy się podziękowanie.

Dr. Robaczyński. Skromnośćo tylko pana dobrodzieja jest powodem, że nie przyjmujesz wyrazów powszechnej wdzięczności; nie prawdaż panie naczelniku?...

Naczelnik. Prawda! prawda!

Zenon (wbiegając z głównego salonu):

— Panowie! ach dla Boga! jak można obrzydliwym wistem znieważać pierwszy literacki wieczór!..... proszę, proszę do salonu, pan Gładcki będzie czytał swoją wielką pieśń o Michale Archaniole, cudowny, boski utwór z dziedziny prawdziwej poezyi.

Radzi nieradzi, złożyliśmy dopiero co przez regienta rozdane karty, i udaliśmy się do głównego salonu, gdzie młodzieniec bladego oblicza, nizki, wychudły, z krótko strzyżo-

nym włosem, niedbale ubrany, z pomiętego sexterna czytał ową przez pana Zenona zapowiedzianą nam pieśń o Michale Archaniole. Nie było wprawdzie ani cudowny, ani boski utwór, ale był wiersh odznaczający się oryginalną formą. Niektóre ustępy były prawdziwie poetyckie, wszystkie udowodniały siłę czucia i duszę cnotliwej tęsknoty; przecież główna myśl zupełnego odwiedzenia ludzi od spraw ziemskich, wyłącznie modlitwę wskazująca, o ile była niezrozumieniem człowieka, o tyle objawiała wymuszoną jaźń autora, usiłującego sprawić gwałtowny efekt, i wzbudzić w słuchaczach nibyto jakąś pokutę za grzechy.

— Któż jest ten młodzieniec, zapytałem doktora Robaczyńskiego, co tak bardzo wiele ma wrodzonego talentu, a tak dziwny nadał kierunek swoim pięknym zdolnościom?

— Panie dobrodzieju, odrzekł konsyliarz popijając wina, jestto siostrzeniec pani naczelnikowej naszego powiatu, od dwóch tygodni tymczasowo pełniący obowiązki zastępcy rachmistrza powiatowego. Przed rokiem pracował w Dyrekcyi Tabacznój w Warszawie; przed dwoma laty był pomocnikiem przy geometrze w Suwałkach, a przed trzema dopiero laty ukończył szkolne nauki w Sandomierzu, gdzie ojciec jego jako emeryt miał podówczas stałe zamieszkanie. Pierwszą znajomość z młodym Gładecim zrobiłem w Suwałkach. Byłto chłopiec skromny, uprzejmy, pełen chęci kształcenia się, i bardzo wiele obiecujący. Ta pieśń o Michale Archaniole, którą pan dobrodziej słyszałeś, jest wier-ném zwierciadłem jego dzisiejszego usposobienia umysłowego. Pijetyzm czy też chęć błyszczenia pijetyzmem, powiodła go na bezdroża myśli, i dzisiaj należy do zagorzałych marzycieli religijnych, a żywoty świętych pańskich i jasności niebios wiją się po jego mózgu w chorobliwych widzeniach. Naprzykład przedwczoraj opowiadał mi w wielkim sekrecie, że od dwóch miesięcy, codziennie w chwili wschodu słońca objawia mu się *śty Ignacy Lojola*, że z nim rozmawia, że go wzywa do wystąpienia przeciw autorowi *Dawnej Polski*, że obiecuje zaprowadzić go na promieniu łaski boskiej do bezwzględnej doskonałości, że mu przyrzeka

uczynić go apostołem odrodzonej ludzkości i t. d. i t. d. Ra-
dzilem mu aby przystawił synapizmy za uszami, lecz nietylko
nie przyjął lekarstwa, ale jeszcze nazwał mnie bluźniercą,
panteistą, wrogiem odrodzenia, wcielonym szatanem, i pie-
niąc się ze złości czy zawstydzenia, pobiegł do swych przy-
jaciół czernić mię w sposób najgwałtowniejszy. Nie gnie-
wam się na niego, albowiem czyni to skutkiem choroby,
i pewny jestem że gdyby sobie dozwolił upuścić 15 uncyj
krwi, ustałoby obłąkanie, i byłby z niego chłopiec jak da-
wniej miły i kochany.

— Powiedz mi, konsyliarzu, czy on istotnie do tego sto-
pnia jest chory, że wierzy w rzeczywistość swoich marzeń,
czy tylko jest tyle chory, że udaje?

— Z pewnością tylko udaje.

— Cóż u licha za stan choroby, aby udawać głupiego.

— Pochodzi to w części z istotnej słabości nerwów,
a w większej części z mody, która się nowocześnie z Pary-
ża udzieliła zawsze chętniej do naśladowania Warszawie;
i w Warszawieto właśnie pan Gładcki zachwycił tój szar-
lataneryi, którą się na prowincyi popisywać chce.

— Wielka szkoda, że chłopiec z tak pięknymi zdolnościami
dał się obłąkać. I któż w Warszawie wpłynął na niego
tak szkodliwie?

— Rzecz się tak ma: dla talentu swój poezyi zaproszony
do salonów, w salonach utracił równowagę rozumu, swoje
piękne uczucia sparaliżował, i co mógł być wieszczem ludu,
zmieniał się w narzędzie bigoteryi.

— Cóż go u licha spowodowało do odwiedzania takich li-
terackich salonów?...

— Źle zrozumiana chęć błyszczenia, chęć popisywania się
swoim talentem na niewłaściwem polu, i ciekawość po-
znania salonów. Najgorzej zaś młodzieńcowi nieustalonych
zasad raz wleźć na woskowane deski, to i trudno mu rzec
się przyjemnych dla młodego nosa kadzideł.

— Więc literackie salony byłyby prawdziwem nieszczę-
ściem?...

— Nie dla wszystkich i newszyskie. Jeżeli są siedliskiem bigoteryi, człowiek rozsądny popatrzy się, ulituje się nad kołowacizną i nie zarazi się bynajmniej; jeżeli zaś są zbiorem ludzi nauk i postępu, jak w istocie być winno, wówczas przez rozmowę z światłemi ludźmi, znajdzie w wielu przedmiotach łatwe, przyjemne i nader pożyteczne objaśnienie. *Dlatego życzyć należy, aby salony literackie zastąpiły owe dawniejsze biesiady wyłącznie z kuchni i z piwnicy złożone; aby się u nas upowszechniły, wszakżeż zawsze z najstaranniejszą bacznością na istotnie naukowy kierunek, a nie w celu koteryi, pijetyzmu, osobistych widoków podrzędnych, lub częściej mody tylko.*

— Cóż pan sądzi o salonie literackim pani Cielątkowskiej?...

— Salony pani Cielątkowskiej, są skutkiem troistój rachuby, *popierwsze*: pani Cielątkowska chce się bawić w salony; *powtóre*: chce wydać córkę za mąż; *potrzecie*: chce się wstawić przez salony. Celu rzeczywiście literackich salonów nie zna, nie pojmuje, a może pojąć niezdolna.

Podczas mojej rozmowy z konsyliarzem, panna Barbara na usilne prośby młodzieży, usiadła do fortepianu i nieco piskliwym głosem odśpiewała kilka wyjątków z *Normy*. Młodzież objawiła uwielbienie w sposób bezczelny: jakiś pan Węchocki, nibyto w skutek doznanych wrażeń, udał rodzaj blizkiego omdlenia; pan Edward zawołał donośnie: „Niech się wszystkie Włoszki schowają przy śpiewie panny Barbary;” inny kawaler znów zapewniał, że głos panny Barbary jest tchnieniem anioła; czwarty westchnął, i z uczuciem wymówił jeden tylko wyraz „bosko!”

Pani Cielątkowska uszczęśliwiona powodzeniem Basi, już ją miała zawezwać do wyjątków z *Łucyi*, aliści lokaje otworzyli podwoje jadalnego pokoju, z kąd zapach gastronomiczny mile zachwycił literackie powonienie.

Pan Cielątkowski z hrabiną B.... pomaszerowali w pierwszej parze; hrabia B.... z panią Heleną puścili się w drugą parę; naczelnik z panią półkownikową Językiewicz, toczyli się w trzeciej parze; pan Trzaski z gospodynią domu postę-

powali w czwartej parze, wieszcz Gładecki z panną Barbarą szli w piątej parze; za nimi posunęła się reszta gości, i w jednej chwili literacki salon przepłynął do jadalnego pokoju.

Podczas obfitej wieczerzy, z początku mało co mówiono, dopiero gdy pierwszy głód zaspokojonym został, wszczęła się rozprawa o *estetyce postępowej*, o dykcyonarzu Joche-
ra, o kassie oszczędności, o kolei żelaznej, w końcu pan Odwachowicz, autor rękopisu p. t. *Tajemnice mojej młodości*, z sygarem w ustach, rozpoczął opowiadanie swojego niegdyś sławnego na Polesiu romansu, z żoną jakiegoś kapitana sprawnika. Dowiedziałem się nazajutrz, że ten ciekawy przedmiot zabawił gości do godziny trzeciej z północy.

Au. Wi. chirurg filozofii k. n. k.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

Astronomia.

W dzienniku Francuzkim *Journal des Débats* z d. 25 kwietnia r. b. czytamy artykuł o olbrzymim teleskopie, który lord Irlandzki *Rosse* kazał zbudować w jednej z swych posiadłości blisko Dublina. Teleskop ten jest największym narzędziem katoptrycznym jakie dotąd widziano, jest arcydziełem sztuki, które będzie stanowiło epokę w rocznikach historii astronomii, jeżeli nie przez wypadki już nim otrzymane, to przynajmniej przez te, które spodziewają się nim osiągnąć badacze rozległych krain niebieskich.

Średnica wielkiego metalowego zwierciadła teleskopu, wynosi 6 stóp 4,2 cale nowój miary Polskiej, grubość 5 cali 10 linii, a ciężar oceniony na 93 i pół cetnarów. Metal z którego zwierciadło jest wyrobione, składa się z 126 części miedzi, a 57½ części cyny czystej. Odległość jego ogniska wynosi 57 stóp 2 cale. Rura czyli przeziernik jest z drzewa sosnowego; grubość jej w połowie długości wynosi 11 cali, a na końcach 6 stóp 4 cale. Teleskop ustawiony jest pomiędzy dwoma murami z kamienia ciosowe-

go, które mu służą za podpory i te w kierunku południka długie są na 75 stóp 2 cale, a na 53 stóp wysokie, i oddalone od siebie na 24 stopy 4 cale. Wzniesione zostały z wielką ścisłością równoległe od południka.

Na zewnętrznej ścianie muru wschodniego, utwierdzony jest łuk żelazny promienia $45\frac{1}{2}$ stóp, opatrzony mechanizmem do poruszania teleskopu i kierowania go na przedmioty obserwować się mające. Mechanizm ten jest tak prosty i dokładny, iż najmniejsze zboczenie od kierunku południka, łatwo oznaczyć się daje.

Rura, zwierciadło i części należące do teleskopu, tworzą całość tego ogromnego narzędzia, i ważą około 369 cetnarów.

Teleskop wspiera się jednym końcem na słupie murywanym, wzniesionym na 6 stóp 4 cale nowój miary Polskiej nad ziemię; drugim końcem może się poruszać, to jest wznosić i zniżać za pomocą łańcucha żelaznego obwijającego się na kółku i połączonego z przeciwwagą; lubo ciężar narzędzia, jak powiedzieliśmy, wynosi 369 cetnarów, mimo to, dwóch ludzi może niém z łatwością władać.

W téj chwili narzędzie można było tylko tak poruszać, iż przebiegało łuk południka między zenitem, a 14 stopniami pod równikiem; lecz gdy narzędzie zostanie zupełnie ustawione, będzie można niém obserwować wszystkie ciała niebieskie położone między biegunem północnym, a 27° pod równikiem.

Podstawy ruchome dla obserwatora umieszczone są między dwoma murami, w galeryach mogących się podnosić i zniżać dowolnie za pomocą machin bardzo prostych; galerye te na pierwszy rzut oka zdają się być niedość mocnymi, ale można stać na nich tak bezpiecznie jak na ziemi. Gdy narzędzie ma położenie poziome, dwóch ludzi w sześciu minutach mogą je podnieść do góry ku zenitowi.

Dnia 21 lutego r. b., wielkie zwierciadło było już przygotowane do użycia. Powierzchnia jego kulista była wytaczana i polerowana podług sposobu podanego przez dra *Robinson*, który wiele czasu i pracy na to poświęcił.

Dnia 4 marca r. b., to ogromne zwierciadło było osadzone w wielkiej rurze.

Noc dnia 5 marca, była najpiękniejszą jaką kiedy w Irlandyi widziano. Wiele gwiazd obłoczkowych uważał lord Rosse, dr. Robinson, i astronom South. Większa liczba z pomiędzy nich od czasu wynalezienia lunet, wydawała się mieszkańcom naszej planety, jako grupy ze zbioru drobnych gwiazdek białawych. „Nigdy w życiu mojem (mówi James South), nie widziałem takiej wspaniałości, aureoli tak cudownej, zbioru gwiazd tak świetnych jak te, które się oczom naszym przez to narzędzie przedstawiły. Uważałem często moją wielką lunetą achromatyczną (11 cali średnicy soczewki a 18 stóp długości ogniska) wiele obłoczków, lecz moc powiększająca téjże, tak jest daleką od niego, iż siła jój optyczna, tak się ma do siły teleskopu hrabiego Rosse, jak oka ludzkiego do mojej lunety; gdy się gołem okiem szuka w przestrzeni tarczy ciemnej Saturna lub świetnego Wenus. Wiele obłoczków, które uważano téj nocy, należały do téjże samej konstellacyi, i oznaczone są w katalogu Messiego numerami 51 i 94, a inne numerem 13. Obłoczki te powinny być teraz wyłączone z liczby gwiazd ciemnych, a zamieszczone między najświetniejszymi.”

„Zawsze sądziłem, mówi jeszcze James South, iż lunetą takiej mocy jak moja, będę mógł widzieć obłoczki, pozbawione znacznej części atmosfery, która je zasłania przed naszymi oczami. Lecz obserwując pilnie gwiazdy najświetniejsze, utwierdziłem się w téj myśli, iż najlepsze teleskopy nic mnie nie nauczą o ich naturze, i że nie będę lepiej ich widział jak moją sześć-stopową lunetą, nabytą w Paryżu roku 1829.

Następnój nocy uważaliśmy 30 innych obłoczków, które zamieściliśmy w liczbie gwiazd świetnych różnej wielkości. Gwiazdy jasne, któreśmy mogli uważać, były α niedźwiedzia wielkiego i γ panny.

Dnia 12 marca r. b. uważaliśmy kometę d'Arresta, lecz ta nie okazała nic szczególnego.”

Obserwacje czynione nad księżycem, sprawiły niewymowną przyjemność naszym astronomom.

„Dotąd, mówi *James South*, widziano tylko to, co jest na księżycu, a teraz mamy nadzieję zobaczyć to, co jest w nim. Dnia 15 marca, księżyc był w $7\frac{1}{2}$ dnia po nowiu. Nigdy nie widziałem jego tarczy tak cudownie oświetconej i gór tak czysto i wyraźnie odznaczonych, jak w tym teleskopie; aż chęć brała je zmierzyć. W pierwszej chwili obserwacji widziałem gwiazdę siódmej wielkości, która w kilka minut zbliżyła się na jeden stopień do ciemnego brzegu księżyca, i wkrótce się w nim pograżyła. Widzieliśmy ją jeszcze przez dwie minuty w tym cieniu, aż potem o godzinie 10 min. 9 zupełnie znikła. Często wprzód uważałem to zjawisko, lecz nigdy nie widziałem, ażeby która gwiazda jaśniej błyszczała w czasie swego zanurzania się i w chwili znikania; niedocieczona jeszcze kryje się w tém tajemnica.”

Teleskop hrabiego *Rosse* może sprowadzić zmiany w układach astronomicznych, w uporządkowaniu niezliczonych światów zaludniających niebios. Odtąd obłoczki różnych konstellacyj będą gwiazdami świetnymi, będą środkami nowych układów planetarnych. Księżyc Jowisza, księżyc i pierścień Saturna, te wielkie ciała w takim porządku i z taką jednostajnością krążące, lepiej poznane zostaną.

J. B.

Chemia.

O odkryciu nowego metalu nazwanego ruten (*Ruthenium*), w téj treści pisze professor Claus z Kazanu do p. Hess w Petersburgu: „Wreszcie po ciągłej dwuletniej pracy, udało mi się łatwym sposobem z rudy platynowej nowy metal wydzielić. Jest on w postaci proszku szaro-czarnego, lżejszy od irydu, należy zaś do ciekawego oddziały metalów przy platynie znalezionych. Jedną z soli tego metalu przesłałam Berzeliusowi, uznał wielki chemik Szwedzki, za sól metalu mu nieznanego. Tento metal nazwałem rutenem.” (*Journal für praktische Chemie N. 2 i 3, z r. 1845*).

* O pierwiastkach niektórych gorzkich roślin, tak się wyraża p. Peretti z Rzymu: że te, których smak nie pochodzi od zasady organicznej, zawierają w sobie żywicę połączoną z jakimś alkali. Zniszczyć można ten związek za pośrednictwem znacznej ilości wody, przez kwasy, lub przez sole ziemne. Powyższy chemik otrzymał pierwiastek gorzki z kwassyi, goryczki (*Gentiana*), kawy, i t. p.: najważniejszy jest jednak wydobyty z rośliny *Absinthium romanum*, i używany przeciw chorobie morskiej. Wszystkie powyższe gorycze są podług p. P. żywicanami alkalicznemi; same zaś żywice, takie jak jalapa, gwajak, są dwu-żywicanami alkalicznemi; a gummy żywiczne mają być żywicanami i dwu-żywicanami potażu, w połączeniu z żywicanami wapna i magnezyi. (*Bibl. univ. de Gen. Janvier 1845*).

* Powszechnie znane są zajmujące i piękne doświadczenia Doebereinera nad gąbką platynową; w dalszym ciągu tychże, umieścił powyższy chemik w dzienniku *Annalen der Chemie und Pharmacie, Februar 1845*r. następne w tym przedmiocie wiadomości, z których ważniejsze punkta przytaczamy:

Gąbka platynowa przy zwyczajnej temperaturze powietrza, nadzwyczajnie mocno działać może na wyskok i wyskok drzewny (*Holzgeist*). W tym celu jedną z powyższych cieczy należy zmieszać ze stężonym roztworem potażu gryzącego lub sody gryzącej, i tą mieszaniną zwilgocić też gąbkę; wtedy rozpali się ona do czerwoności, przyczem wyskok zmieni się na niedokwas acetylu, żywicę aldehydową i kwas octowy; wyskok drzewny zaś nasamprzód na kwas mrówkowy, a później na kwas węglowy i wodę. Powyższe wywiązywanie się ciepła, i przemiana ciał chemiczna dotąd się odbywa, aż alkali przez utworzony kwas nasycone zostanie.

Oprócz powyższego, wykrył także p. D., że gąbka platynowa utworzona przez rozkład drogą ogniowo-chemiczną platynowego salmiaku, skropiona w zwyczajnej temperaturze przy przystępie powietrza kwasem mrówkowym z 1, 2, lub 3 atomami wody połączonym; tak gwałtowne działanie

okazuje, jakie w podobnych okolicznościach widzimy przy doświadczeniu z gazem wodorodnym; to jest, że nawet przy słabym zwilgoceniu powyższym kwasem, gąbka rozpała się do czerwoności; sam zaś kwas zmienia się na kwasoród i wodę.

* *O krochmalu w owocach.* Przez kilkakrotnie powtórzone doświadczenia, okazał Döbereiner, że krochmal należy do głównych części składowych niedojrzałych, lub też w pół dojrzałych jabłek i gruszek. Zastanawiając się nad powyższym przedmiotem dr. Schubert z Würzburga, przekonał się, że niekażdy owoc niedojrzały, krochmal w sobie zawiera; i tak w miesiącu wrześniu jabłka zimowe i gruszki, roztwór jodu na ciemno-błękitno farbował, podobnie jak to widzieć można na ziemniakach; gdy przeciwnie w pół urosłe owoce, od tego odczynnika w swym kolorze żadnej nie ulegały zmianie. W środku października na wielu gatunkach owoców znalazł p. S. tylko ślad oddziaływania jodu. Z powyższych przeto doświadczeń okazuje się, że tworzenie się krochmalu właściwe jest dalszym okresom, byleby nie zanadto posuniętym dojrzewania owocu. (*Journal für praktische Chemie, Nr. 5 i 6 z r. 1845*).

* W rucie (*Ruta graveolens*), wynaleziono nowy kwas, nazwany rutowym; dr. Weiss pierwszy uważał go za oddzielny pierwiastek, i nazwał go *Rutin*; później okazało się że to jest kwas.

Kwas rutowy otrzymuje się przez gotowanie wysuszonej i pokrajanej ruty z zwyczajnym octem przez pół godziny; poczem płyn się wyciska, i przez kilka tygodni zostawia w spoczynku; w tym przeciągu czasu opada kwas rutowy połączony z wielu innymi istotami, już to w postaci osadu, już też w bardzo drobnych mikroskopowych kryształkach. Przez odparowanie z wierzchu zlanej cieczy, można go jeszcze więcej otrzymać. Nieczysty kwas, przepłókuje się wodą zimną, a następnie rozpuszcza się go przez zagotowanie w occie 4 częściami wody rozcieńczonym, po kilku dniach z poprzedzonego płynu, opadają kryształki kwasu rutowego; te na nowo opłókują się wodą zimną, i rozpusz-

czają w 6 częściach co do wagi wrzącego wysokoku, z dodatkiem węgla zwierzęcego. Płyn precedzony miesza się z $\frac{1}{8}$ wody, poczem wyskok się odpędma, a roztwór bezwyskokowy zostawia w chłodnym miejscu przez kilkanaście dni w spoczynku; wtedy kwas na nowo skryształizuje się. Ług maciczny również winien być zgęszczony, ażeby nie kwasu nie stracić. Kryształki napozór tak są drobne, że wydają się być proszkiem żółto-zielonawym; nie mają smaku, jednak ich roztwór wyskokowy czerwieni lakmus. Ogrzewane przy przystępie powietrza roztapiają się, wonieją jak cukier przypalony, i palą się płomieniem. W kąpieli z oleju w 180° , rozpływają się w żółtą ciecz, nietracąc swęj wody, w 220° ulatniają się, w 243° zwęglają się. Kwas rutowy w wodzie zimnej, bardzo mało się rozpuszcza, więcej zaś w wrzącej; w zimnym bezwodnym wysokoku także niewiele jest rozpuszczalny, w słabszym, na 76° areometru 100° , łatwo się rozplywa. Z płynów powyższych w bardzo długim czasie osiada kwas rutowy, co zapewne ztąd pochodzi, że on w cieczach inny skład posiada jak w postaci kryształicznej. W eterze kwas rutowy się nie rozpuszcza. W słabych alkaliach rozpuszcza się, farbując je na żółto-czerwono. Z niedokwasem ołowiu tylko, wchodzi w związek doskonale udowodniony; ten tworzy się przez dodanie kwasu rutowego rozpuszczonego w wysokoku do octanu ołowiu, wtedy tworzy się osad pomarańczowy. (*Journal f. p. C. Nr. 5 i 6 z r. 1845*).

* O bytności mączki w jagodach jałowcowych, zielonych i niedojrzałych, przekonał się dr. Witting, roztarłszy też jagody, zarobiwszy je z wodą jak najlepiej, i dodając wtedy do nich jodku potasu; za ogrzaniem i wpuszczeniem do tego kropli kwasu stężonego, i kropli wody chlorowej, kolor błękitny powstaje. (*Archiv der Pharmacie. v. Wackenroder, März 1845*).

J. B...a.

Fizyka.

Uragan, który zniszczył miasto Cette 22 października r. z. przypominając klęski jakich doznało Chatenay 1839 r. 18 czerwca od podobnej burzy, spowodował p. Peltier do przedstawienia Akademii następujących uwag:

W obudwu wspomnionych wypadkach, okoliczności towarzyszące uraganom, są prawie nie do tłómaczenia za pomocą obrotu powietrza ze starcia dwóch przeciwnych wiatrów wynikłego. Siła, która wrywa z korzeniami drzewa i daleko z sobą unosi, która zrywając dachy, kawałki ich na kilka set metrów rozrzuca a często nawet w kierunku przeciwnym wiatrowi, która porusza meble w zamkniętych pokojach, wrywa tafle z posadzki i parkietów i t. d. taka siła i zjawiska nie dają się wytłómaczyć za pomocą starcia się dwóch przeciwnych pędów powietrza. Meteor ten daje się czuć w wązkim pasie, za granicami którego z obu stron istnieje cisza lub zaledwie lekki wietrzyk. Do najosobliwszych jednak zjawisk towarzyszących uraganowi 1839 r. należy to, że w tej chwili 850 pniów drzew, skutkiem uraganu, zupełnie z soków zostało wysuszone i na podłużne pasy połupane. P. Darcet ciekawą wykonał analizę, z której się okazuje, że podobne drzewa na pniu stojące posiadają 36—44% wody, te które w Chatenay od 4—5 lat były powalone, zachowują 24—25% wody, a drzewa skutkiem uraganu wysuszone, miały tylko 7% wody. P. Peltier opierając się głównie na tém zjawisku, chce widzieć przyczynę uraganów w elektryczności. Że przy uraganach istnieje silne napięcie elektryczności, o tém przeświadcza wiele fenomenów, lecz aby elektryczność wyłącznie, np. w powyższym przykładzie, na połupanie drzew wpłynąć miała, z taką pewnością twierdzić nie należy. P. Clerget, przywodzi, że w Chatenay głównie tylko wiązy zostały potrzaskane w kierunku podłużnym; a wiadomo, że kawał wiązu mechaniczną siłą skręcany, łupie się na podobne podłużne pasy. W ogólności, wyjaśnienie zjawisk towarzyszących uraganom wyłącznie za pomocą elektryczności, nie jest zbyt prawdopodo-

bną hipotezą, a powszechniejsze tłómaczenie, uważające uragany za wynikłość dwóch przeciwnych pędów powietrza, w skutek odkrycia wielu nowych fenomenów, towarzyszących spiralnemu biegowi powietrza, na większą zasługuje wiarę. S. P.

Historia naturalna.

ZOOLOGIA.

Wiadomo, jak wiele jest gatunków fosforyzujących pomiędzy owadami, a nierównie więcej pomiędzy niższymi zwierzętami morskimi, osobliwie z działu promienistych, które wszystkie prawie w pewnych okolicznościach fosforycznym światelkiem jaśnieją. Ale przykłady fosforescencyi u zwierząt wyższych, są bardzo rzadkie, tym więc rzadsze jest następujące z człowiekiem zdarzenie:

M. S..., lat 43 wieku mający, bardzo wysokiego wzrostu lecz silnej budowy mężczyzna, cierpi świerzbę (*psoriasis*) pod dłońmi. Jada o zwykłym czasie, wiele wszakże używa tłustego, które przyprawia cytrynowym sokiem dla pokonania swojej dotkliwości skórnej. Pewnego wieczora zrzuciwszy on z siebie koszulę, powiesił ją na poręczy krzesła, i zdziwił się wkrótce postrzegłszy fosforyczne światelko na krześle, na którym złożył koszulę, a która miała kształt kadłuba bez głowy; jednocześnie postrzeżę, że ramiona jego i piersi okryły się takim samym światelkiem, znikającym wprawdzie za potarciem, ale wkrótce znowu się odnawiającem. Trwało to dni kilka, i jeszcze potem nieraz się powtarzało. (*L'Echo d. m. s. 1844, nr. 16*).

* W przedmiocie zjawisk elektrycznych w ciele ludzkim, pod wpływem ostrego klimatu w Rosyi, donosi p. Aepinus w liście do dra Guthrie, co następuje: „Kiedy p. Aepinus wszedł do pokoju księcia O....., do którego był wezwany,

zastał księcia przy toalecie, i ilekroć kamerdyner przeciągnął grzebieniem przez włosy jego, słychać było mocny trzaskający szelest. Gdy się w pokoju zciemniło, ujrzano, że pociąganiem grzebienia mnóstwo iskier towarzyszyło, a ciało księcia tak było elektrycznym, że z jego rąk i twarzy silne iskry wyprowadzać się dawały. Nawet za dotknięciem go tylko łabędzikiem od pudrowania, powstawały iskry. W kilka dni potem, p. Aepinus był świadkiem osobliwszego jeszcze działania elektrycznego stanu atmosfery. Podczas jego doświadczeń, wszedł książę O.... z sobolowym rękawikiem do pokoju, i okazał nam, że jak tylko 5 do 6 razy ponad swoją głowę w powietrzu nim przeciągnie, całe jego ciało tak się elektryzuje, że ze wszystkich części jego iskry wyprowadzać można". (*Fror. Notiz.* 1844 nr. 681).

* P. Young donosi w *Colonial Magazine*, że we wsi Le-reboyer oglądał całkowicie białe trzechletnie dziecko, którego rodzicami byli, zupełnie czarny Karaib i matka cery miedzianej. Young uważał je zrazu za potomka białego ojca, przy dokładniejszej jednak uwadze znalazł grube usta, ukształcenie nosa i głowy jak u Karaibów, o obok tego wełniste białe włosy. Nader czułe na światło oczy, miały błękitną czerwonosć Albinosów, brwi i rzęsy były białe, skóra zgnilo białego koloru. (*Ibid.* nr. 663).

* Wielka jaskinia w Kentucky, zwana jaskinią mamutów, okazuje się coraz większą; niedawno odkryto w niej dwadzieścia sześć nowych przechodów, i trzecią rzeczkę. Odkryto także źródło siarczane znakomitej dobroci, na kilka mil Angielskich daleko w głębi tej jaskini. (*Ib.* nr. 683).

* P. Levillant ogłosił w *Echo du monde savant* następujące bardzo ważne tłumaczenie sposobu, jakim powstały jaskinie z kośćmi zwierząt, w formacjach krédowej i trzeciorzędowej: „Nieraz, mówi on, znajdujemy w pomienionych formacjach wielkie rozpadliny, które z mniej lub więcej rozszerzonymi pod powierzchnią ziemi jaskiniami w związku zostają. Kiedy górny otwór tych rozpadlin ziołami zarosnie, tworzą one prawdziwe zasadzki, które przez wieki niezamykając się, stają się grobem wielu zwierząt

w nie wpadających, a niemogących wydostać się z tamtąd. Jeśli później jaskinia taka przez zarwanie się ziemi lub inne podobne przypadki odsłoni się, wtenczas oczywiście znajdą się w niej reszty poginionych zwierząt. „Nie pragnąc przez to wszystkiego objaśnić, mówi dalej p. Levaillant, mniemam wszakże, iż w tych rozpadlinach, czyli naturalnych zapadłościach, szukać należy początku wielu jaskiń z kośćcami. Widziałem przy Almarar w Estremadurze, jedną jaskinię przez zapadnienie się ziemi otworzoną, która obejmowała mnóstwo kości kóz, owiec, lisów i zajęcy, i ledwie można ich zebraniu się inną nad taką zasadę naznaczyć. W Sierra de Andia, w bliskości Pampeluny, znajduje się rozpadlina, której mocno lękają się pastérze, a która, podług ich zapewnienia, mnóstwo już zwierząt pochłonęła. Jestto rzecz nader znana myśliwym w południowej Hiszpanii, że gdy susza wielkie szpary w ziemi otworzy, większa część młodej zwierzyny w nich przepada. Koło La Calle, w północnej Afryce, znalazłem w niedawno przez zapadnienie się ziemi otworzonej jaskini, kości kóz, jézozwierzów i szakalów, a gdym pewnego dnia w bliskości przylądku Tilsila polowałem, wpadłem w opuszczony torp (Silo), w którym prócz takichże kości, wielką jeszcze mnogość szczątków żółwi znalazłem.” (*Ibid.* 674).

* Ignacy Pallme, rodem Czech, w niedawno wydaném przez siebie dziele: *Travels in Kordofan* (London 1844) pisze, iż nierzadko w Kordofanie oswojone hyeny znajdował. „Na dziedzińcu jednego domu w Lobeid (opowiada on), widziałem zupełnie oswojoną hyenę, wolno biegającą. Dzieci właściciela bawiły się z nią; mięso dane jój na pożywienie wydziérały jój z paszczy, a nawet rękę jój w paszczę kładły, niedoznając żadnego skaléczenia. Gdyśmy na dworze jedli, przychodziła ona z zupełną ufnością do stołu, i jak pies pochwycała rzucane jój kawałki. Inną razą chciano mi sprzedać starą hyenę z dwojgiem jój szczeniąt. Szczenięta przyniósł właściciel pod pachą, nieopatrzony kagańcem. Stara miała wprawdzie powróz wokoło paszczy; dała się jednak przez 2 do 3 mil Niemieckich jednemu człowiekowi pro-

wadzić, najmniej się nieopierając. Afrykanie nie liczą nawet hyeny do zwierząt drapieżnych i najmniej się jej nie boją." (*Ibid.* nr. 668).

* Sławny naturalista M. Audubon (*) doniósł z odległości 100 mil od portu Union, pod szer. półn. 49°10', że odkrył zwierzę ssące, któreby stać się mogło wielce użytecznym. Zwierzę to podobne jest do kangura. Staje na tyle, a jego przednie nóżki są krótkie i ostremi uzbrojone szponami. Skacze za pomocą tyłu; w pośrodku ciała ma gątnek dosyć obszernego worka, obejmującego wiele wilgoci tłustej. Głowę jego zdobią dwa rożki, podobne dosyć rogom daniela. Brunatne futerko jego zadziwiającej jest piękności. Waga zwierzęcia 600 funtów wynosi; długość od głowy do ogona 9ciu stóp i 4 cali dochodzi. Indyanie nazywają je *kekokaki*, czyli skoczek, i jedzą mięso jego, którego smak rzeczywiście jest wyborny. Zwierzę to, w swojej ojczyźnie nader rozmnożone, łatwo się oswaja. (*L'Echo d.m.s.* 1844 nr. 3).

* P. Carr i ja, mówi Waterton w *Essays on nat. hist. chiefly ornithol.* London, 1844, uważaliśmy jednego dnia po południu dwóch zająców samców, które do upadłego z sobą walczyły tak, że naokoło szeroka przestrzeń ziemi siercią ich zaścieloną została. Podczas tej walki stały obydwaj na tylnych skokach, a po 25 minutach walczenia, jeden z nich upadł na ziemię. Wtedy drugi przebiegł niejaką przestrzeń, spojrzawszy z uwagą na poległego nieprzyjaciela, znowu z wściekłością rzucił się na niego, tłukł i drapał go nielitościwie przednimi skokami, tak, że kosmy sierci ulatywały wokoło. Kilka razy powtórzył to zwycięzca. Zwyciężony tarzał się po ziemi na jedną i na drugą stronę, i usiłował znowu na nogi powstać, co się mu jednak nie udało. Naostatek legł spokojnie, a my zbliżyliśmy się w to miejsce, które zwycięzca opróżnił i na które przybyliśmy właśnie w tę chwilę, kiedy ofiara boju ostatnie tchnienie wydała. Znaleźliśmy nieżywego zająca po obu bokach zupełnie odar-

(*) Zob. Bibl. Warsz. z r. 1844, tom 4, str. 193.

tego z sierci, a nawet na grzbiecie i na brzuchu w wielu miejscach oskubanego. Był należycie wypastym samcem. (*F. N.* 1844 nr. 673).

* Wyobrażenie o długości życia zwierząt w menażeryach, podają ogłoszone niedawno postrzeżenia ściągające się do menażeryi Ogrodu roślin (*Jardin des Plantes*) w Paryżu. Trwałość życia pantery, tygrysa, lwa, sześciu do siedmiu lat w przecięciu dochodzi; wszakże jeden lew dwadzieścia dziewięć, a jedna lwica siedmnaście lat tam przeżyły. Lwy w menażeryach przewoźnych, na publiczny widok wystawiane, zwykły żyć dłużej: pospolicie lat siedmnaście do dwudziestu. Biały Syberyjski niedźwiedź tylko w ciągu trzech do czterech lat daje się utrzymać przy życiu, ale czarny, silniejszego składu (Amerykański barrybal), siedm do ośmiu lat żyje. Znajome pod nazwiskiem *Martin - monte à l'arbre* brunatne niedźwiedzie (nasze Europejskie), żyją siedmnaście do 20 lat po menażeryach, i są w stanie liczne pokolenia przeżyć. Hyena cztery tylko do pięciu lat żyje; drabarze i wielbłądy lat trzydzieści do czterdziestu. Słoń, który na wolności stu lat dochodzi, w niewoli tylko czwartą część tego wieku osiąga. Żerafa teraz w Ogrodzie roślin utrzymywana, żyje tam od lat siedmnaśtu, i dotąd zupełnym cieszy się zdrowiem. (Wkrótce potem, to jest przy końcu zeszłego roku, zdechła. W r. 1827 przysłana w darze od Mehameda Alego królowi Karolowi X, przeżyła zatem 17 lat w klimacie Francuzkim. *F. N.* 1845 nr. 712). Małpy dochodzą tylko czterech do pięciu lat, i jako rzadkie zjawisko przytaczają, że jedna w Gibraltarze siedmnaście lat żyła. (*Ib.* 1844 nr. 704).

* W przytoczonym wyżej opisie podróży do Kordofanu, Czecha Pallmego, czytamy, że dla wysokiej ceny w jakiej jest w Alexandryi żerafa, częste odbywają się łowy na to zwierzę. Zwykle dwóch jeźdźców udają się z dwoma wielbłędami, żywnością i wodą na kilka dni obładowanemi, w głąb puszczy. Wielbłądy zostawiają się na jakim dogodnym miejscu, podczas gdy jeźdźcy po śladach wytropiają żerafy. Postrzegłszy którą, przedewszystkiem jój wiek sta-

rają się ocenić. Jeśli jest żwawa i młoda, natychmiast zaczyna się polowanie, a myśliwy może być pewnym, że w ciągu kilku godzin zwierzę ujrzy przed sobą; skoro to nastąpi, puszcza się za niém. Żérafa jest w wysokim stopniu szybkonoga, ale tak lękliwa, że to tu, to owdzie ucieka i często się potyka, tak, że zręczny i dobrze jeżdżący łowiec, wkrótce ją prześciga. Skoro więc młodą żérafę dopędził, zarzuca jój sidło na głowę, a koniec liny przywiązuje sobie do siodła, i jak tylko można najbliżej przy koniu ją prowadzi. Żérafa na wszystkie strony skacze, za pomocą jednak konia umyślnie do tych łowów ułożonego, daje się przywlec do najbliższego miejsca, gdzie ją posilają mlékiem wielbłądziem, póki się zwolna do siana i trawy nie przyzwyczai. Mléko jest przez cały czas głównym posiłkiem żérafy zostającój w niewoli. Sprowadzenie do Alexandryi jeszcze potém wielkie trudności przedstawia, bo żérafa zdaje się do najdelikatniejszych zwierząt należéc, dlatego téż i tak drogo ją płacą. Niekiedy polują na żérafy tylko dla skór, lecz i mięso jój Pallme smaczném i posilném znajdował. (*Ib. nr. 669*).

* P. Ball na zgromadzeniu naturalistów w Yorku, okazał szczególniejszą budowę kopyta u żérafy, przez którą ona zdolna jest z nadzwyczajną szybkością po przepaścistych gór miejscach biegać. Budowa ta zależy na szczotkowanym uzbrojeniu podeszwy (*Ib. nr. 691*).

Wszakże professor Gurlt w Berlinie, który niedawno miał sposobność anatomizowania żérafy, temu postrzeżeniu Balla zaprzecza, znalazłszy podeszwy jój kopyt takimi jak zwykle u bydłat. Tego i innych o budowie żérafy spostrzeżeń, Gurlt udzielił Berlińskiemu Tow. bad. nat. a mianowicie: że muskuły, gruczoły ślinowe, nerwy widzenia, są jak u innych bydłat; że żérafa ma jednym mięskiem brzuszynym więcéj, leżącym przy *m. extensor digitorum communis longus* nóg przednich i tylnych (*). W płucach, które nie tak głęboko jak zwykle podzielone są na klapki, znalazł robaka *Echinococcus veterinarum*. (*Ib. 1845, nr. 706*).

(*) Cf. Bibl. Warsz. r. b. tom II, str. 229.

* Alpaka, jestto odmiana lamy (*Camelus glama*), nader upowszechnione domowe zwierzę w Peru, 1 do 1 $\frac{1}{4}$ centnara ciężaru nosi, wyborniej dostarcza wełny, tak dziś poszukiwanej w Anglii, i mięso ma smaczne. Kilka tych bydłał sprowadził (24 sierpnia z. r.), p. Speck-Sternburg do dóbr swoich Liczeny, koło Lipska, i jest nadzieja że chów tych użytecznych zwierząt, da się zaprowadzić w Niemczech. (*Ib.* 1844 Nr. 670).

* Waterton (l. s. c.) opowiada, że gdy we Włoszech towarzyszący mu przewodnicy, przestrzegli go, ażeby się nie zbliżał do trzody bawołów, któreby go na miazgę zgnieść mogły, on upatrzawszy sobie piérwój kilka drzew na któreby w razie potrzeby szybko się mógł wędzić, podstąpił śmiało pod pasącą się trzodę. Natychmiast bawoły jeść przestały, i tak ku niemu wzrok wymierzyły, jakby nigdy jeszcze nie widziały człowieka. Wtedy Waterton wykonywać zaczął najdziwniejsze rękami i nogami poruszenia, i z całych sił ryczyć, czego tak przelekła się trzoda, że buhaje, krowy, cieleta, wszystko to, łby powieszawszy, co żywo uciekło. (*Ib.* nr. 671).

* W Rzymie, w okolicy Rotundy, dawnego Panteonu, odbywa się targ na ptaki, nadzwyczaj liczny. Drozdy, kosy, ludarki, skowronki i inne drobne ptaki, widzieć tam można stosami poukładane, a są przykłady, że jednego dnia 17,000 (!) przepiórek w Rzymie oclono. Łowią się te ptaki, gdy w czasie swoich wędrówek przybędą, na brzegach Śródziemnego morza, w niesłychanie wielkie sieci. Na wiosnę i w jesieni przybywają na targ całe wozy wyładowane dziłkami gołębiami. Handlujący ptaszą zwierzyną, mają powierchowność bandytów, są jednak dobrimi chrześcianinami, ponieważ Waterton, który nam powyższe wiadomości (l. s. c.) podaje, widział ich, słotnego zimowego poranku, już o wpół do szóstej u Jezuitów na mszy. Dostarczyli mu oni niejednego rzadkiego ptaka do zbioru. (*Ib.* nr. 668).

* Waterton (*tamże*) o małej Włoskiej sówce (*Civetta*) podaje: że ją ogrodnicy tameczni niezmiernie szacują, ponieważ nadzwyczaj wiele robactwa, owadów, ślimaków, gadzin

i myszy wyniszcza, tak, że ją wszędzie dobroczynną zowią. Używają jej także przy strzelaniu małych ptaszków, osadzając ją na żerdzi, gdzie bezprzestannie najdziwaczniejsze giesta i pokłony wykonywa. Często ją przeto widzieć można na ptasim rynku koło Panteonu w Rzymie, na sprzedaż wystawioną: i nietylko żywą, lecz także razem z jastrzębiami, krukami, wronami, kawkami, sójkami, srokami, jęczami, żabami, ślimakami i t. d. oskubaną i przygotowaną na rożen. Włochy bowiem jedzą prawie wszystko co Noe do arki swojej przyjął. (*Ib. nr. 676*).

* Tenże (*tamże*) pisze o łabędziach, co następuje: „Gdy łabędzie utrzymują się na miernej wielkości stawie, stare zaczynają na wiosnę swoje własne dzieci z największą zajądłością ścigać, we dnie i w nocy niedając im spoczynku, dopóki ich na ląd nie spędzą. Skoro tylko młode na staw powrócą, prześladowanie znowu się rozpoczyna. Kiedy starym pływalne błony u nóg poprzecinałem, młode postrzeżły zaraz, że tamte nie mogły już tak szybko jak one pływać, i użyły tej okoliczności na korzyść, bo nigdy odtąd nie opuściły stawu, lecz tylko zawsze pływały w należytej odległości od starych, które swojej wściekłości nie mogły już na nie wywierać. (*Ib. nr. 673*).

* Dr. Pereira, w nowém dziele swoim o *pokarmach i dyecie* i t. d., tak o użyciu żółwiów na pokarm mówi: „Żółw zielony czyli jadalny, wielce jest przez Epikurejczyka szacowany. Na targach w Jamaice, sprzedają go i kupują, jak wołowinę. Dla żeglarza pod zwrotnikami jest on nader ważnym, nader szacownym wyżywienia środkiem; ciężarna samica nadewszystko się ceni. W Europie żółw używa się szczególnie na zupę. Wielką grzbietową tarczę, którą naturalisci *carapace* zowią, kucharze nazywają *callipash*; dolna, u tamtych *plastron* nazwana, u tych *callipee* się zowie. Po zdarciu ze zwińczenia tych dwóch tarczy, oparza się je ukropem, ażeby kucharz mógł odłączyć skorupy czyli łuski: potem się je gotuje aż póki nie rozłączą się kości, a ciecz zachowuje się na użycie. Miększe części tarczy, pozbawione tym sposobem kości, jako też części błony pływalnej, gdy

ostygną, krają się na ukośne i podługowate kawałki, i one-to tworzą owe ulubione galaretowate kaski w żółtawej zupie, częstokroć mylnie za zieloną tłustość uważane. Kawałki tarczy górnej (*callipash*), z wierzchu ciemny mają kolor i bywają niekiedy czarném albo zieloném mięsem nazywane, gdy przeciwnie kawałki spodniej tarczy (*callipee*), z wierzchu są białe. Po Londyńskich szynkach mięso żółtawie przedaje się niekiedy na ukroj, zwykle przecieź na zupę się obraca. Tłuszczowa tkanka (zielona tłustość) zwierzęcia, ma zielonawo-żółty kolor, i dlatego zwierzę zielonym żółwiem nazwane zostało. Wytopiona słonina, czyli smalec, jest jasno-żółtą, a wejrzeniem i smakiem równa się szpikowi. Tłustość wszelka obraca się także na zupę, lecz wiele żółtawie do Londynu przywożonych mało tłustości mają. Zielona tłustość ma moc zafarbowywać zielono. Żółtawina jest nader pożywną, a jeśli czysto przyrządzona, jest pewnie i strawną; jednak w kształcie żółtawej zupy, łatwo może na skutki niestrawności narazić." (*Ib. nr. 664.*)

* Wiadomo, że tak nazwany odmieniec (*Proteus anguinus*), płaz w tém osobliwy, iż lubo opatrzone jest wewnątrz płucami, ma jednak zewnątrz nigdy nieodpadające skrzela, znajduje się w jednej tylko Adelsberskiej grocie, w Krainie, i dziś okazy jego do zbiorów zoologicznych, drogo się tam sprzedają. Doniesiono z Sign w Dalmacyi, że tam, po gwałtownym dészczu d. 9 lipca r. z., wyszło z podziemnego lochu około 10 sztuk tego ciekawego zwierzęcia, i wszystkie zachowane zostały. Już przed kilku laty znaleziono tamże dwa okazy odmienca. Około 20 lat temu, jak pewien miłośnik natury ogłosił w piśmie pod tyt. *Berliner Nachrichten*, że z pewnej granitowemi kamieniami wycembrowanej studni w środkowej Marchii, wydobył jaszczurkę ze skrzelami, kształtu i koloru zupełnie jak odmieniec, ale tylko na 3 cale długą. Mogła to być wszakże, jak Froriep uważa, w pierwszym okresie życia traszka, czyli jaszczurka wodna (*Triton*) z przemijającemi skrzelami (*Notiz. nr. 665 p. 74*). Ale na większą uwagę zasługuje to, co Dyonizy Jakutowicz b. nauczyciel botaniki w szkołach Łuckich, przy swoim artykule

treści botanicznej (w *Tygodniku Petersburskim* r. 1843 nr. 10), tak wyraził w przypisku: „Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w r. 1829 zwiedzając ogromne jezioro Hunczybrodzkie na Wołyniu, w celu odkrycia roślin wodnych, niezawodnie spostrzegłem płynącą tak rzadką i tak interesującą w historii naturalnej jaszczurkę *Proteus anguinus*, która żywi się grzybem *Sclerotium semen*.”

* Próby sztucznego rozmnażania ryb, a mianowicie łososiów i pstrągów, odbywają się teraz równie w Szkocji w Drumlanrig, jak i w Szwajcaryi. W Szwajcaryi przedsiębierze je Agassiz z pstrągiem jezior Neuszatelskich, a zakładanie oddzielnych stawów na przechowywanie płodu pstrągów, zdaje się wielkie zapowiadać korzyści. Tak w Agassiza jako i w sir F. Mackenzie próbach, okazała się potrzeba żywienia płodu kiszkami owczemi. (*Annals and Mag. of nat. hist. nr. LXXXIX Aug. 1844. Fror. Not. nr. 681.*)

* P. A. Young, inspektor rybołówstwa księcia Sutherland, ofiarował Ashmoleańskiemu muzeum w Oxfordzie, zbiór ikry i płodu łososia. Składa się on ze 13 prób ikry, we 13 do 133 dni po jej zniesieniu zebraną, i 10 okazów płodu od dnia wyklucia się jego, to jest 135go po zapłodnieniu, aż do czasu, w którym maleńki łosoś staje się srebrno połyskującym i pod imieniem *smolt* do morza wędruje, co tą razą w rok i 9 dni po wykluciu się nastąpiło. Postrzeżenia, które p. Young z płodem łososia z rzeki Shin w Sutherlandshire czynił, stwierdzają w ogólności te wypadki, które p. Shaw z płodem łososia z rzeki Nith w Dumfrieshire otrzymał, a drobne różnice dostatecznie tłómaczą się wpływem odmiennych miejscowości. W rzece Shin potrzebują jaja łososia, od zniesienia do wyklucia się, 100 do 140 dni, podług ciepła w powietrzu. W ciągu około roku, młody łosoś, już w poprzek pręgowany (*parr*), przemienia się w srebrno błyszczącego (*smolt*). Zdaje się, że niektóre późno wyklute okazy, nie w tym czasie co inne, ubarwienie *smoltów* przybrały, i nierazem z niemi do morza wędrują (*). (*Ib. et F. N. nr. 680.*)

(*) Cf. Bibl. Warsz. r. b. t. I. str. 506, 507.

* W przedmiocie rozmnażania się węgorza, p. Young w Invershin koło Bonar-Bridge, przedsięwziął postrzeżenia, których następujące wypadki Tow. Ashmoleańskiemu w Oxfordzie udzielił. Dorosłe węgorze trą się w miesiącach letnich, na piaszczystych i żwirowatych rzek brzegach, i nie schodzą do wody słonej dla złożenia ikry. W następującym wrześniu i październiku młode węgorze wylęgają się, lecz pozostają pod żwirem w zatokach, w których odbywało się tarcie, aż do najbliższego kwietnia lub maja, podług tego jak cieplejsze lub zimniejsze jest powietrze. Węgorze dorosłe, zamiast wędrować, udają się w szpary skał nad brzegami rzeki i pod wielkie kamienie, skoro się woda oziębi. Przebywają tam aż póki ciepło lata znowu nie ogrzeje wody w rzekach. (*Fror. Notiz. nr. 679*).

* Na posiedzeniu Akademii umiejętności. Par. 9 listop. r. z. p. Valenciennes czytał rzecz o budowie chrząstek u ryb chrząstkowatych (*chondropterygii*), w tém osobliwój, że w zasadniczej treści tych chrząstek, dają się postrzegać liczne pęcherzyki, i te nie leżą w niej rozrzucone, ale owszem tak mierzytelnie i w tak właściwy sobie sposób ułożone, iż można z tego oznaczyć rząd a nawet rodzaj do jakiego należy ryba, której chrząstkę z pomocą mikroskopu rozważamy. Wszystkie te pęcherzyki czczemi są wewnątrz. Rurek nie widać. Plastyczna substancya, która się przez stos kręgowy ryb chrząstkowatych ciągnie, nie zawiera żadnych pęcherzyków i nie należy do chrząstkowatej tkanki. Chrząstki zwierząt miękkich przedstawiają tę samą budowę. U pławów (*Cephalopoda*), zawierają one nadzwyczaj wiele materji galaretowatej. (*Ib. nr. 700*).

* Na posiedzeniu Towarz. mikroskop. Londyńskiego, 17 kwietnia r. z., p. M. J. Quekett czytał postrzeżenia swoje nad poruszeniami w tak nazwanych rżęsach u pospolitego omułka (*Mytilus edulis*). Rżęsy u tego małża dają się widzieć na skrzelach, których on ma cztery, po dwa na każdej stronie, między klapkami płaszcza leżące. Każdy grzebień skrzelowy utworzony jest z promieni naczyniowych, między sobą równoległych, a rżęsy leżą na brzegach tych pro-

mieni. P. Quekett rozważał szczególnie poruszenia rzesów na bokach wewnętrznej warstwy skrzelowego promienia. Ułożywszy jeden z tych promieni w taki sposób, ażeby strona wewnętrzna, a zatém wklęśła rzesów, znajdowała się na wierzchu, każdy z nich przedstawi oprócz ruchu zwyczajnego, krzywolinijnego po płaszczyźnie wertykalnej, inny ruch słaby, ale jednak ważny, pod kątem prostym do pierwszego. Drugi ten ruch podobny jest ruchowi piór w skrzydle ptaka, albo wiosł postępującego statku. Ażeby go wyraźnie widzieć, potrzeba użyć powiększenia przynajmniej 400 średnic. P. Quekett mniema, że go rodzi przyczyna popędzająca płyn w kierunku jednostajnym i stałym. (*L'Echo d. m. s. 1844 nr. 35*).

* Perły z rzeki Conway w Wallii, od dawnego już czasu są znane, a nawet liczone bywają pomiędzy przyczyny, które spowodowały wędrówkę Rzymian do Anglii. Od czasu do czasu znajdowane bywają (w *Unio margaritifera*) teraz jeszcze wielkie perły w części rzeki ze słodką wodą, a małe, ziarniste perły, dostają się w znacznych ilościach (z *Mytilus edulis*) w części rzeki stanowiącej jej ujście. Użycie tych drobnych pereł, i droga handlowa, którą je Londyn otrzymuje, dotąd są tajemnicą, zapewniającą rodzaj monopolu dla tych, którzy je kupują u wieśniaków uncyami i po cenach zachęcających nie tylko kobiety i dzieci, ale i mężczyzn do zbierania ich, jakby do zarobkowej roboty. Zebrane muszle gotują się w kociołku, przez co ich skorupy otwierają się; po wzruszeniu potém massy i splókanii, perły spadają na dno naczynia. (*Fror. Not. 1844 nr. 667*).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844.

WROCLAW.

267. *Bemerkungen ueber die Mundart der polnischen Niedershlesler. Ein Beitrag zur Kenntniss der polnischen Dialekte von Robert Fiedler Pastor in Medzibor.* Wrocław. Nakład i druk Wilhelma Bogumiła Korna. 1844. 8ka. Str. 39. Okładka drukowana.

BERLIN.

268. *Leben und Schicksale des Felix Faustin Dodosinski von Dodoscha. Ein humoristischer Roman von Grafen von Skarbek ehemaligen Profes. der Warschauer Universität.* Tłómaczenie Antoniego Mauritius. Berlin. Nakładem C. G. v. Puttkammer. 1844. Tom. I. Tytułu i przedmowy str. VIII. textu str. 166. Tom II. str. 180. Okładki drukowane.

1845.

WARSZAWA.

93. Zbiór urzędzeń i wiadomości tyczących się ubezpieczeń w Królestwie Polskiem. Zeszyt 4ty. Warszawa. Druk Strąbskiego. 1845. 8ka. Od str. 247 do str. 309. Ten czwarty zeszyt zakończający Tom Iszy dopiero wymienionego zbioru, zawiera: XVIII. Zdanie sprawy z czynności Dyrekcyi Ubezpieczeń w roku 1843. XIX. Przepisy nowego oszacowania i ubezpieczenia od ognia zabudowań w Królestwie Polskiem, podług zasad ustawą z dnia 5/17 kwietnia 1844 wskazanych. XX. Wiadomość dla właścicieli dóbr ziemskich, o łatwości zaopatrzenia się w sikawki potrzebne do ratunku w czasie pogorzeli. — Sprostowanie pomyłek druku w tomie I. — Spis rzeczy w Tomie I zawartych. Okładka drukowana. Zeszyty zbioru tego sprzedają się w Warszawie w Biurze Dyrekcyi Ubezpieczeń, na prowincyi zaś w Biurze każdego Naczelnika powiatowego, po cenie kopiejek 15 za każdy zeszyt.

94. Sprawozdanie z odbytych wyścigów konnych i wystawy zwierząt gospodarskich w królestwie Polskiem w r

1844. Warszawa. Druk przy ulicy Rymarskiej Nr. 743. 1845. 4ka. Str. 44.

95. Sprawozdanie komitetu wsparcia mieszkańców miasta Warszawy, przedmieścia Pragi i Saskiej Kępy w roku 1844 powodzią dotkniętych. Warszawa. Druk Strąbskiego. 1845. 4ka. Str. 68. Okładka drukowana.

PETERSBURG.

96. *Chemin hydro-terre ou nouveau système de communications par A(dam) Idzkowski, Architecte du Gouvernement de Pologne. St. Pétersburg, 1845. Librairie de Hauer et Co, Commissionnaire de la Bibliothèque Impériale; Imprimerie de Charles Kraj. 8ka wielka. Str. 16. Tablic arkuszowych litografii krédowej dwie. Okładka drukowana.*

KRAKÓW.

97. Żywot błogosławionego Prandoty z Białaczowa Biskupa Krakowskiego, napisał Ks. Mateusz Gładyszewicz kan(onik) Katedr(alny) Krak(owski). Kraków. Druk uniwersytecki. Nakład i wydanie Ferdynanda Kojsiewicza. 1845. 8ka. Str. 269. Spisu rzeczy str. I. Dołączona rycina przedstawiająca Prandotę, według rysunku Al(eksandra) Płonczyńskiego, dokonana krédą na kamieniu przez Piotra Wrońskiego w Krakowie. Okładka drukowana.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

U Strąbskiego drukuje się dzieło nader ważnej treści pod względem historycznym; mające obejmować zbiór dyplomatów od najdawniejszych czasów aż do roku 1505. Ilość tomów niewiadoma, gdyż w razie przybywających materyałów, liczba takowych może być zwiększona.

W drukarni Strąbskiego rozpoczętym został druk dzieła pod tytułem: *Historja narodu Rzymskiego*. Autorem jest Jan Szwaynic, professor kursów prawnych i pedagogicznych, Członek Komitetu Examinacyjnego. Przedpłata na dzieło

to w 3ch tomach, od 80 do 90 arkuszy druku obejmujących w ósemce większej, na papierze pięknym, kosztować będzie rubli sr. 4 kop. 50. W mieszkaniu autora przy ulicy Wierzbowej pod Nrem 614 lit. B., tudzież w kantorze drukarni Strąbskiego, jak niemniej u osób uproszonych przyjmować się będzie albo w 3 ratach po rub. sr. 1 kop. 50 lub całkowicie z góry. Pierwszy tom wyjdzie w miesiącu lipcu, następne z kolei wychodzić będą. Po wydrukowaniu dzieła, cena jego podwyższoną zostanie.

Professor Zdzitowiecki przełożył Liebig'a Listy o Chemii ze względu jej zastosowań w przemyśle, fizyologii i rolnictwie. Druk już rozpoczęty.

W pierwszych dniach czerwca, ukaże się 2gi zeszyt Kujawiaków Kolberga na fortepian, który nabyć będzie można w tutejszych składach muz. po złp. 4 exempl.

Jeszcze w końcu zeszłego roku powinien był opuścić prasę drukarską nowy, przez profes. Wagę uskuteczniiony przekład Wireja *Historji obyczajów i zmysłności zwierząt*, dzieła dwutomowego, o 507 str. Tomu I^{go}, a 520 tomu II^{go} w oryginale. Pomnożona w tej epoce czynność drukarni do której ogłoszenie rzeczzonego przekładu należało, sprawiła, iż całkowite wydanie go w początkach zeszłego dopiero miesiąca dojść do skutku mogło. Ostatni (12^{ty}) zeszyt 7 arkuszy druku obejmujący, kończy tę zaszczytną p. Orgielbranda publikacją, której autorska sumiennosc tłumacza nadała cechę ściśle naukowego dzieła. Oprócz bowiem dodanej na końcu II^{go} tomu dopełniającej niejako Wireja, rozprawy profes. Wagi, znaniej pod tyt: *O tajnych celach które miała natura nadając barwę zwierzętom*, dwa arkusze nieinterliniowanego pisma we dwóch kolumnach, obejmują pracowicie ułożoną nomenklaturę Łacińską i Polską zwierząt w dziele tém wspomnianych. Ta nomenklatura po większej części nowa i do obecnego stanu nauki zastosowana, wyrobiona jest w taki sposób, że przekład *Historji obyczajów zwierząt*, p. prof. Wagę, staje się dziełem nieodzownie potrzebném dla wszystkich, których postęp zoologii w naszej literaturze obchodzi.

L W Ó W.

Na wsparcie włościan klęskami wylewu rzék i nieurodzaju najsrożej dotkniętych, wyjdzie najpóźniej z końcem sierpnia r. b. pismo zbiorowe pod nazwą: *Włościanin*, do którego chlubnie znani pisarze Galicyjscy podjęli się prac swo-

ich dostarczyć. Wydawca p. Tadeusz Wasilewski, w ogłoszonym prospekcie mówi: „Niniejszém ogłoszeniem zapraszam do udziału w wykonaniu téj myśli tak piszących przez rychłe nadesłanie artykułów, jak wszystkich przyjaciół ludzkości, przez liczne i śpieszne rozebranie przedpłaty, aby się prędzej cierpiącej braci pomogło. Księgarnie Lwowskie i na prowincyi przyjęły na siebie bez wynagrodzenia zbieranie po 2 złr. m. k. (złp. 8) na egzemplarz, niekładąc tamy dobroczynności. Po zamknięciu przedpłaty z końcem lipca cena egzemplarza się podniesie.” Szanowny wydawca, w tak szlachetnym zamiarze przedsiębiorząc ogłoszenie Włościanina, w liście swoim do jednego ze współredaktorów Biblioteki Warszawskiej pisanym, wynurza nadzieję, że zechcą go wesprzeć nadesłaniem artykułów i literaci z królestwa. Wizerunek i rys życia zmarłego Dominika Magnuszewskiego dołączone do tego pisma zostaną.

Augustyn Bielowski pracuje ciągle nad dziejami pierwsiastkowemi Polski. Wyjątki z téj pracy, objaśniające tak nazwane bajeczne dzieje Polski, ogłosił autor w Bibliotece imienia Ossolińskich.

Autor Parafiańszczyzny, niezważając na oburzenie tutejszych salonów, dalszy ciąg tegoż dzieła wkrótce wyda lubo pod innym napisem.

Józef Dzierzkowski, znany powieścio-pisarz, wkrótce drukiem ogłosi zbiór swych powieści we 2ch tomach.

BERLIN.

Wychodzą tu przekłady wyborowych dzieł Polskich, pod napisem: *Uebersetzungs-Bibliothek ausgewählter Schriften der modernen Polnischen Litteratur*. Pierwsze dwa Tomy obejmują znaną powieść Fryd. hr. Skarbka: Przypadki Faustyna na Dodoszach Dodosińskiego przywiedzioną pod nrem 268 Kroniki Bibliograficznej niniejszego zeszytu.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z r. 1845.

Historya.

	Stron.
Pamiętniki moje w Hiszpanii, przez <i>Kajetana Wojciechowskiego</i> (dokończenie).	35
Zgon <i>Żółkiewskiego</i> w <i>Cecorskiej</i> wyprawie, i pomnik jego w <i>Bessarabii</i> , opowiadanie historyczne, przez <i>Michała Balińskiego</i> (z rycinami)	255
Przypisy i dowody do tegoż.	299
Testament <i>Reginy</i> z <i>Fulsztyna Herburciance</i> <i>Żółkiewskiej</i> , z oryginału własną jej ręką pisanego	448
Słówko o badaniach historycznych p. <i>Stanisława Kaczkowskiego</i> , p. <i>Alex. Wacł. Maciejowskiego</i>	444

Sztuki piękne.

Dramata starożytne z muzyką nowożytną p. <i>Józefa Sikorskiego</i>	191
--	-----

Prawo.

Mylność opinii komentatorów <i>Toullier</i> , <i>Delvincourt</i> i t. d. jako też wyroku sądu kassacyjnego Francuzkiego z d. 11 grudnia 1844 r. w tćm. art. kod. cyw. pozwalającego pobierania procentu od procentu, przez <i>Heylmana</i>	395
--	-----

Odpowiedź na rozprawę o procentach, o karze umownej i zastawach antychretycznych, przez <i>W. D.</i> napisaną, w <i>Bibl. Warsz.</i> na miesiąc marzec i kwiecień 1841 r. umieszczoną, przez <i>Franciszka Brzezińskiego</i>	52
O prawie własności ziemi, szczególnież zaś jej wnętrza, podług dawnych praw Polskich i przepisów dziś obowiązujących, ze względem na artykuł 552 kod. cyw. przez <i>Hieronima Łabęckiego</i>	485

Administracya.

Krótki rys powstania i rozwijania się królewsko-Pruskiej kompanii morskiej w Berlinie, p. <i>Adama Bagniewskiego</i>	334
O brukach i brukowaniu w miastach większych za granicą, przez <i>Edwarda Klopmana</i>	140
Jeszcze słów kilka o brukach. Odpowiedź na powyższy artykuł, p. <i>Wilhelma Kolberga</i>	624
Dodatek do wiadomości o kopalni rudy miedzianej około Kielc, p. <i>Konstantego Wolickiego</i>	204

Statystyka.

Polesie, przez <i>Józefa Śniadeckiego</i>	1
---	---

Powieści.

Pamiętniki Seglasy, przez <i>Fryderyka hr. Skarbka</i>	107, 379, 613
Czeladka, powieść historyczna, p. <i>Macieja Baijera</i>	197
Wyjątek z trzeciego tomu powieści pod tytułem: <i>Bigos hultajski</i> , przez <i>Izaslawa Blepońskiego</i>	424
Wtorek i piątek, opowiadanie, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	541
Salon literacki, przez <i>Au. Wi.</i>	678

Poezyc.

Karzeł Wielki, p. <i>Antoniego Czaykowskiego</i>	135
Gazele Perskie (tłómaczenie) p. <i>tegoż</i>	137
Wilczek, p. <i>tegoż</i>	634

Grammatyka.

O użyciu głoski <i>j</i> w pisowni Polskiej, w przypadkach dotąd wątpliwych, przez <i>W. Ł.</i>	575
Uwagi nad powyższym artykułem, p. <i>A. P.</i>	594
Kilka słów odpowiedzi na te uwagi p. <i>W. Ł.</i>	603

	Stron.
O użyciu <i>j</i> w wyrazach Anglja, Dańja, koronacja i t. p. <i>zdanie T. Kurhanowicza</i>	609

Rozbiory dzieł.

Blanqui'ego Ekonomia przemysłowa, kurs z roku 1837 i 1838, wykładany w konserwatoryum sztuk i rzemiosł, p. <i>H. L.</i>	165
Monety dawniej Polski, jako też prowincyj i miast do niej niegdyś należących, z trzech ostatnich wieków, p. Ignacego Zagórskiego, wydał E. baron Rastawiecki, p. ***	409
Pieśni ludu Podhalan, czyli górali Tatrowych Polskich, zebrat i wiadomość o Podhalanach skreślił Ludwik Zejszner	172
Kamoens, Fryderyka Halma dramat w 1ej odstonie, przez T. Nowosielskiego	175
Prawidła pisowni Polskiej na zasadzie wniosków Deputacyi z r. 1830 oparte, rozwinął praktycznie dla użytku młodzieży Ludwik Koncewicz.	180
Chirurgia weterynaryjna praktyczna, czyli wykład sposobów wykonywania pospolitszych operacyj na zwierzętach domowych, dla użytku lekarzy weterynaryjnych i gospodarzy, przez Edwarda Ostrowskiego	187
Powieści nieboszczyka Pantofla, wybrane i ogłoszone przez Eleonorę Szyrmer, 2 tomy, w Wilnie, r. 1844.	412
Północna godzina, dramat Szekspira, przekład Johna of Dycalp. Wilno, 1844.	565
<i>Bemerkungen</i> i t. d. Uwagi nad dyalektem Polskim w niższym Szląsku, przez Roberta Fiedler. pastora w Międzyborzu. Wrocław, 1844	663

Nauki przyrodzone.

O bursztynie i z czego on powstał? przez <i>Antoniego Waga</i>	67
Zdanie Goeperta o pochodzeniu bursztynu, p. <i>tegoż</i>	205
O machinach elektro-magnetycznych, przez <i>Stanisława Przysiańskiego</i> (dokończenie, z figurami)	90
O pomiarach wysokości miejsc przez uważanie społecznych stanów barometru, ze względem lub bez względu na ciśnienie pary w atmosferze, oraz o bardzo prostym nowym sposobie obliczania tychże wysokości, przez <i>Jerzego Bogumila Pusza</i>	637
Jeszcze uwag kilka o temperaturze źródeł i powietrza w Krakowie, przez <i>tegoż</i>	647
O uraganach, p. <i>C. Tolwińskiego</i>	665

	Stron.
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
<i>Astronomia i fizyka kuli ziemskiej</i> p. J. B.	208, 451, 697
<i>Fizyka</i> p. S. P.	454, 704
<i>Chemia</i> p. J. B...ę.	213, 458, 700
<i>Botanika</i> p. X. J. W.	461
<i>Zoologia</i> p. A. W.	228, 468, 705

Nowości literatury Rosyjskiej, p. *Dubrowskiego*. 435

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA 235, 477, 718

Doniesienia literackie 239, 479, 718

Dostrzeżenia meteorologiczne za luty. 241

— — — marzec 481

— — — kwiecień. 721

SPROSTOWANIA.

W przeszłym tomie:

Stronnica.	Wiersz	zamiast	czytaj:
720	12	a największa ilość	a najmniejsza ilość

W tym tomie:

175	15	<i>Gutchen</i>	<i>Gutzkow</i>
216	27	glinkach	glinkanach
—	33	magnesu	manganazu
217	6	wszystkie metaliczne	wszystkie niedokwasy metaliczne
293	1	Polakó	Polaków
436	15	<i>Itfensa</i>	<i>Stefensa</i>
440	9	tak....tak	tam....tam
663	17, 18	<i>nąka, nawa</i>	<i>uąka, uawa</i>

Do niniejszego zeszytu Biblioteki Warszawskiej, dołącza się jeden arkusz Paleontologii Polskiej Ludwika Zejsznera, z ogólnemi o Ammonitach wiadomościami.

Historia 1845

W tym miesiącu wzięto do obserwacji 11800 punktów i 11800 punktów
w dniu 1845-10-10

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném WARSZAWSKIEM.

Kwiecień 1845:

TERMOMETR w Obserwatorium		BAROMETR w miarach sędziowych do 00		Dnia	
100	100	100	100	1	1
99	99	99	99	2	2
98	98	98	98	3	3
97	97	97	97	4	4
96	96	96	96	5	5
95	95	95	95	6	6
94	94	94	94	7	7
93	93	93	93	8	8
92	92	92	92	9	9
91	91	91	91	10	10
90	90	90	90	11	11
89	89	89	89	12	12
88	88	88	88	13	13
87	87	87	87	14	14
86	86	86	86	15	15
85	85	85	85	16	16
84	84	84	84	17	17
83	83	83	83	18	18
82	82	82	82	19	19
81	81	81	81	20	20
80	80	80	80	21	21
79	79	79	79	22	22
78	78	78	78	23	23
77	77	77	77	24	24
76	76	76	76	25	25
75	75	75	75	26	26
74	74	74	74	27	27
73	73	73	73	28	28
72	72	72	72	29	29
71	71	71	71	30	30

Kwiecień 1845.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'45", na wschód

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 47^s 0,
względem południka Paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	760.51	762.14	762.75	761.71	- 6°.1	- 4°.5	- 0°.9	- 1°.4	74.7
2	759.00	758.45	756.50	754.13	- 0.6	+ 1.7	+ 5.7	+ 1.4	79.4
3	751.98	752.29	750.89	746.30	+ 0.8	+ 1.6	+ 4.4	+ 2.6	84.0
4	742.49	742.45	746.17	751.64	+ 2.6	+ 0.8	+ 1.7	- 3.9	81.5
5	753.54	753.28	749.48	751.97	- 3.6	- 1.9	+ 1.1	- 0.4	77.7
6	754.94	755.44	751.78	747.20	- 2.1	- 0.3	+ 3.3	- 0.8	86.7
7	741.01	739.47	739.85	743.48	+ 0.4	+ 5.1	2.4	- 0.2	86.0
8	746.21	746.78	745.55	744.43	- 3.1	- 0.8	5.6	0.0	78.7
9	742.08	741.11	737.78	736.15	+ 0.9	+ 8.2	14.2	+ 6.4	72.7
10	733.16	732.62	731.25	733.61	+ 5.4	+ 9.0	14.8	+ 7.8	74.2
11	734.72	734.97	732.29	732.50	+ 6.7	+ 11.6	+ 14.5	+ 7.9	81.5
12	731.82	734.00	738.78	741.58	3.3	3.7	9.0	6.4	77.7
13	746.46	747.49	749.00	749.85	0.6	1.6	4.9	3.5	94.2
14	749.75	748.91	746.17	746.58	3.2	9.0	14.2	7.8	73.7
15	747.67	748.29	748.64	752.15	7.8	8.4	12.3	4.9	75.2
16	753.20	753.73	753.04	753.92	+ 1.3	+ 6.1	+ 8.3	+ 6.8	82.0
17	753.54	753.91	752.52	752.78	4.2	6.5	12.2	7.3	76.0
18	752.73	752.35	750.03	749.92	4.0	9.5	13.6	7.5	60.7
19	749.48	749.76	749.31	751.10	4.9	10.7	14.8	8.0	66.5
20	752.43	753.41	753.52	754.15	4.9	10.4	13.8	9.1	65.2
21	755.08	755.77	753.72	753.24	+ 6.2	+ 12.0	+ 16.6	+ 10.4	67.5
22	752.28	751.84	749.69	749.56	7.5	13.9	18.4	12.2	60.5
23	749.97	750.44	749.45	750.09	7.7	13.8	18.1	10.8	59.2
24	750.65	751.08	748.86	748.71	8.1	15.5	20.4	11.5	58.5
25	748.72	748.99	747.74	748.45	10.8	16.3	19.5	12.9	65.0
26	748.22	748.41	746.39	747.18	+ 10.9	+ 17.4	+ 21.9	+ 12.8	61.7
27	746.87	747.23	745.95	747.22	12.0	16.8	22.4	13.6	62.0
28	747.89	748.73	748.18	749.56	11.7	16.3	18.9	13.1	79.0
29	751.08	751.86	751.33	751.55	10.4	12.6	18.4	10.8	74.2
30	751.75	753.15	753.30	755.55	3.6	2.5	10.0	3.4	73.7
Śre.	748.641	748.945	747.996	748.551	+ 4.13	+ 7.78	+ 11.82	+ 6.41	73.7

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczu	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pogodny	pogodny	pogodny	lek. zachm.	Pn.	Pn.	PnZ.	Z.		
pochmurny	smugi	na pół pog.	chm. podz.	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pogodny	chm. podz.	PnZ.	Z.	PnZ.	Z.		
pochmurny	dészcz dr.	krupy	chm. podz.	Z.	PnZ.	Pn.	Pn.	0.40	
na pół pog.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
pochmurny	na pół pog.	pogodny	pogodny	PnW.	PdZ.	Pd.	Pd.		
pochmurny	smugi	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	PnZ.	Pn.	0.20	
pogodny	pogodny	pogodny	lekko zach.	PnZ.	PnZ.	Z.	Pd.		
pogodny	na pół pog.	pr. pogod.	chm. podz.	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
pr. pochm.	pochmurny	pół pogod.	pogodny	PdW.	Pd.	Pd.	PdW.		
pochmurny	na pół pog.	dészcz dr.	pochmurny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.	1.60	
pochmurny	dészcz	pochmurny	pr. pochm.	Pd.	PdZ.	PdZ.	Z.	3.30	
śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.	7.48	
pochmurny	pr. pogodn.	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
dészcz	pochmurny	na pół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	W.	W.	0.50	
smugi	smugi	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	W.		
na pół pog.	na pół pog.	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
pogodny	pogodny	na pół pog.	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	PdZ.	Z.	Z.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Pn.	Pn.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	Pn.	PnW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	ch. p. pozio.	na pół pog.	pr. pochm.	PdW.	PdW.	PnW.	—	0.60	
smugi	pogodny	pogodny	na pół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	Pn.		
pogodny	pogodny	ch. pr. poz.	na pół pog.	Pd.	PdZ.	Z.	PdZ.		
pochmurny	na pół pog.	na pół pog.	na pół pog.	—	PdZ.	Z.	Z.	0.20	
pochmurny	pr. pogod.	na pół pog.	dészcz dr.	PnW.	PnW.	Pn.	W.		
dészcz	krupy	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	W.	—	4.40	
Śre.								18.08	0.60

	m.	c. l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.533	27 7.811
Najwyżej barometr dochodził d. 1 o 4 w.	762.75	28 2.124
Najniżej „ „ d. 10 o 4 w.	731.25	27 0.140
Średnia zmiana dzienna barometru	3.82	1.69
Największa zmiana dzienna d. 6—7 o 10 r.	15.97	7.08
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 19 lat poprzed.	0.528	0.235
	749.061	27 8.056

Średnia temperatura Kwietnia wynosi	+ 7 ^o .54 C.	+ 6.03 R.
i ta jest wyższą tylko o	0.08 „	0.07 „
od stanu normalnego z 19 lat popr.	+ 7.457 „	5.965 „
Największe ciepło dochodziło d. 27 o 4 w.	+ 22.4 „	+ 17.9 „
Najmniejsza d. 1 o 6 r.	— 6.1 „	— 4.9 „

(Termometrograf wskazał max. + 19^o.5 d. 27 w.; min. — 5^o.4 d. 1 r.).

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.47 „	1.97 „
Największa zm. dzien. d. 29—30 o 10 r.	10.1 „	8.1 „

Średnia wilgotność powietrza wynosi 73.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie, albo 5.48 grammów na metr sześciennym powietrza.

Średnia temperatura miesięczna źródła za pałacem Kazmirowskim + 6^o.3 R.

Dni pogodnych było 10; na pół pogodnych 15; pochmurnych 5;

— deszczu 9 (d. 11, 12, 13, 15, 25, 27, 28, 29, 30).

— śniegu 3 (d. 4, 7, 13).

— grzmotów 1 (d. 28).

— mrozu białego 1 (d. 18).

Wody z deszczu spadło 18.08 milim: czyli 8.01 lin. z śniegu 0.60 milim. czyli 0.27 lin. razem 18.68 milim. czyli 8.28 lin.

Kwiecień r. b. był pogodny i suchy; w pierwszej połowie, a szczególnie w pierwszych dniach tego miesiąca, powietrze było zimne; za to w drugiej połowie stała pogoda ciągle trwała, a powietrze znacznie się ocieplilo. W ogóle co do temperatury i stanu barometru miesiąc ten mało się różnił od stanu normalnego.

Wiatr panujący Z. i PnW.

Wichrów i wiatrów mocnych, 6 tojest Pn. = 1; PnW. = 1; Pd. = 1; PdZ. = 1; Z. = 2.

Koło białe otaczało słońce w d. 16 i 17.

Zorza zodyakalna wyraźna d. 6 między 8—9 godz. wiecz.



